

**LEN DEIGHTON**

**Mecz w Londynie**

Przełożył: *BOGUSŁAW LAWENDOWSKI*

„KB”

## **Rozdział I**

Rozchmurz się, Werner. Już niedługo Gwiazdka - odezwałem się. Potrząsnąłem butelką, nalewając resztkę whisky do dwóch białych plastikowych kubeczków balansujących na samochodowym radiu. Pustą butelkę wepchnąłem pod siedzenie. Dało się wyczuć silny zapach szkockiej. Musiałem trochę rozlać na grzejnik lub na ciepłą skórę osłaniającą radiodbiornik. Myślałem, że Werner odmówi. Nie należał do pijących, wypił zaś już sporo, ale noce berlińskie są bardzo chłodne, więc łyknął teraz jednym haustem i kaszlnął. Następnie zgniótł kubek w silnych dłoniach i wcisnął do popielniczki. Zena, jego żona, była obsesyjnie porządna i samochód należał do niej.

- Ludzi wciąż przybywa - powiedział Werner, gdy podjechał długi, czarny mercedes. Jego przednie światła odbijały się refleksami na szkle i lakierze zaparkowanych wozów, połyskując również na zmrożonej nawierzchni jezdni. Szofer pośpiesznie otworzył drzwi i wysiadło osiem czy dziewięć osób. Mężczyźni mieli na sobie płaszcze z ciemnego kaszmiru, a pod nimi wieczorowe stroje, zaś kobiety pokazywały całą menażerię futer. Tu, w berlińskim Wannsee, gdzie futra i kaszmiry są ubraniem na co dzień, ludzi tych zwą *Hautevolee* i jest ich mnóstwo.

- Na co jeszcze czekasz? Ładujmy się do środka i aresztujmy go teraz. - Słowa Wenera były trochę niewyraźne, toteż wyszczerzył się przyznając, w jakim jest stanie. Chociaż znałem Wenera od czasów szkolnych, to rzadko widywałem go zalanego czy wstawionego tak jak teraz. Jutro będzie miał kaca, jutro zwali winę na mnie, zresztą to samo robi jego małżonka, Zena. Z tego też powodu i paru innych dobrze będzie wyjechać przed tym wszystkim z Berlina.

Dom w Wannsee był duży; narodziła się brzydkich powiększeń, wydłużeń, balkonów, słonecznego tarasu i rozbudowanego poddasza kryły oryginalny budynek. Zbudowano go na krawędzi wzgórza w ten sposób, że z tylnego tarasu rozciągał się widok ponad lasem aż po czarne wody jeziora. Teraz pusto było na tarasie, meble ogrodowe pozostawiano w stosy, a markizy ciasno zrolowano, lecz cały dom

intensywnie błyszczał światłami, a we frontowym ogrodzie nagie drzewa przybrano setkami małych żarówek, niczym elektronicznym kwieciami.

- Ten facet z BfV zna się na robocie - odezwałem się. - Przyjdzie tu, aby nam powiedzieć o nawiązanym kontakcie.

- Kontakt tu nie przyjdzie. Sądzisz, że Moskwa nie wie, że mamy w Londynie defektora, który śpiewa wszystko jak leci. Do tej pory już ostrzegli swoją siatkę.

- Niekoniecznie - powiedziałem. Odmówiłem mu racji po raz setny i nie miałem wątpliwości, że wkrótce dojdzie do podobnej wymiany zdań. Werner miał czterdzieści lat, był zaledwie parę tygodni starszy ode mnie, ale przejmował się jak stara baba, co również nastawiało mnie ostro. - Nawet jego nieobecność może dać okazję do zidentyfikowania go - ciągnąłem. - Jest tu dwóch tajniaków sprawdzających każdego, kto będzie dziś wieczór, a biuro ma kopię listy zaproszonych.

- To znaczy, o ile kontakt jest jednym z gości - odrzekł Werner. - Personel obsługi również jest sprawdzany. Kontakt będzie kimś z zewnątrz. Nie byłby na tyle jełop, żeby podać nam swój kontakt na talerzu.

- Wiem.

- Może wejdziemy do środka raz jeszcze? - zasugerował Werner.

Otworzyłem drzwi i wysiadłem.

Werner zamknął swoje drzwi delikatnie; jest to nawyk, którego nabiera się z latami podczas śledzenia innych. Ta ekskluzywna, podmiejska okolica składała się głównie z willi, lasów i wody; było tu tak cicho, że słyszałem dźwięk ogromnych ciężarówek podjeżdżających do Punktu Kontroli Granicznej w Drewitz, aby rozpocząć długi przejazd autostradą wiodącą przez Republikę Demokratyczną do Niemiec Zachodnich.

- W nocy spadnie śnieg - zawyrokowałem. Werner niczym się nie zdradził, że mnie usłyszał.

- Popatrz na całe to bogactwo - powiedział machając ręką i prawie tracąc równowagę na lodzie, jaki utworzył się w rynsztoku. Jak okiem sięgnąć, cała ulica przypominała długi parking lub raczej samochodowy salon wystawowy, ponieważ wszystkie prawie bez wyjątku samochody błyszczały, były nowe i drogie.

Pięciolitrowy mercedes V-8 z antenami telefonu, porsche turbo, ogromniaste ferrari oraz trzy czy cztery rolls-royce'y. Tablice rejestracyjne informowały, z jak daleka potrafia się ludzie wybrać na tak wykwintne przyjęcie. Biznesmeni z Hamburga,

bankierzy z Frankfurtu, filmowcy z Monachium i dobrze zarabiający oficjele z Bonn. Niektóre samochody powjeżdżały daleko na chodnik, aby inni mogli zaparkować równolegle. Minęliśmy dwóch policjantów między sznurami samochodów, którzy sprawdzali tablice rejestracyjne i podziwiali lakiery. Na podjeździe stało tyluż *Parkwachter* przytupujących z zimna - mieli parkować wozy gości, będących w niefortunnej sytuacji wynikającej z braku własnego szofera. Werner, z rozpostartymi ramionami dla utrzymania równowagi, szedł podjazdem do góry. Kolebał się przy tym jak przeżarty pingwin.

Pomimo podwójnie oszklonych okien, mocno zamkniętych z racji zimnych berlińskich nocy, z budynku dochodziły dźwięki ledwo słyszalnej ulepkowatej i wirującej muzyki Johanna Straussa granej przez dwudziestoosobową orkiestrę. Przypominało to stopniowe zatapianie się w gęstym koktajlu mlecznym o truskawkowym smaku.

Służący otworzył drzwi, inny zaś wziął moje i Wenera okrycia. Natychmiast pojawił się jeden z naszych ludzi, stając obok lokaja. Nie dał znaku, że nas rozpoznał, gdy wchodziliśmy do ogromnego przedpokoju bogato przybranego kwiatami. W trosce o wygląd, Werner wygładził swój jedwabny smoking i pociągnął za końce muszki spoglądając na siebie w lustrze, oprawnym w złotą ramę rozmiarów całej ściany. Garnitur Wenera szyty był ręcznie na zamówienie u jednego z najbardziej ekskluzywnych krawców berlińskich, lecz na tęgiej figurze mojego przyjaciela wszystko wyglądało jak wzięte z wypożyczalni.

U podnóża niezwykle ozdobnych schodów stało dwóch starszych panów w koszulach z wysokimi sztywnymi kołnierzykami i dobrze skrojonych, wieczorowych garniturach, w których nie było śladu ustępstwa na rzecz nowoczesnej stylizacji ubiorów. Palili duże cygara i w rozmowie skłaniali głowy ku sobie z racji orkiestrowego tutti w sali balowej poza nimi. Jeden z nich przyjrzał się nam, lecz dalej rozmawiał, jakbyśmy byli niewidzialni. Zapewne odniósł wrażenie, że widzi dwóch byków wynajętych do ochrony domowych sreber.

Do roku 1945 dom ten - bądź *villa*, jak nazywane są takie lokalne posiadłości - należał do człowieka, który rozpoczął karierę jako urzędnik niższego stopnia w nazistowskiej organizacji rolników - i tak się złożyło, że jego wydział miał zdecydować, którzy rolnicy i pracownicy rolni mieli być zwolnieni ze służby w siłach zbrojnych. Ma się rozumieć, od tej pory - jak wszyscy biurokraci przedtem i potem - obsypywany był podarunkami oraz różnymi chodliwymi towarami, żyjąc w wielkim

stylu, o czym chociażby świadczył jego dom.

W latach powojennych domu tego używano jako tranzytowego pomieszczenia dla kierowców ciężarówek US Army. Domem rodzinnym stał się dopiero od niedawna. Boazeria, która niewątpliwie pochodziła z oryginalnego dziewiętnastowiecznego budynku, została starannie wyreperowana i doprowadzona do dawnego stanu, lecz obecnie dąb pomalowano na kolor lekko popielaty. Na ścianie na wprost schodów dominowało duże malowidło przedstawiające żołnierza na koniu i wszędzie było widać kunsztownie skomponowane kwietne bukiety. Lecz mimo wszystkich tych wspaniałości, oko przykuwała podłoga w ogromnym przedpokoju. Był to skomplikowany wzór z czarnego, białego i czerwonego marmuru, w którym centralne białe koło zastąpiło dużą złotą swastykę.

Werner pchnął drzwi skryte w boazerii, a ja podążyłem za nim wzdłuż ponurego korytarza przeznaczonego dla służby. Przy końcu przejścia mieściła się mała kuchenka. Czyste, lniane ściereczki leżały starannie ułożone na półce, tuzin butelek po szampanie suszyło się w zlewie do góry dnem, a pojemnik na odpadki wypełniały resztki kanapek, pozostawiona pietruszka i jakieś potłuczone szkło. Wszedł kelner w białym kitlu, niosąc dużą srebrną tacę brudnych kielichów. Opróżnił je, wstawił do kuchennej windy razem z pustymi butelkami, wytarł tacę ściereczką wiszącą na zlewie i wyszedł nie spojrzawszy nawet na żadnego z nas.

- Jest tam, koło baru - powiedział Werner, przytrzymując otwarte drzwi, abyśmy mogli popatrzeć ponad zatłoczonym parkietem. Ścisk panował przy stołach, gdzie dwóch ludzi w kucharskiej bieli wydawało tuzin różnych gatunków kiełbas i pienne kufle mocnego piwa. Z tej kotłowaniny wokół jedzenia i picia wyłonił się mężczyzna, który miał być zatrzymany.

- Mam diabelną nadzieję, że mamy do tego prawo - powiedziałem. Nie był to taki sobie tuzinkowy biurokrata; był prywatnym sekretarzem starszego deputowanego do parlamentu bońskiego. I dodałem: - Jeśli zwinie skrzydła i zaprzeczy wszystkiemu, to nie jestem pewny, czy uda nam się podtrzymać naszą wersję.

Popatrzyłem na podejrzanego, próbując dokładnie odgadnąć, jak się zachowa. Był to człowiek niedużej postury, z włosiem przyciętym na jeża i porządnie utrzymaną bródką w stylu Vandyke'a. Było coś wyjątkowo niemieckiego w tej kombinacji. Nawet pośród przesadnie ubranej berlińskiej elity jego wygląd rzucał się w oczy. Szerokie klapy smokingu wykładane jedwabiem, który okalał też całą górę, mankiety i szwy u spodni. Koniuszki muchy upchnięte miał pod kołnierzyk, w górnej kieszonce

nosił czarną, jedwabną chusteczkę.

- Wygląda dużo młodziej niż na swoje trzydzieści dwa lata, prawda? - powiedział Werner.

- Nie można polegać na tych wydrukach komputerowych, szczególnie jeśli chodzi o urzędników państwowych z listy, a nawet członków Bundestagu. Wszyscy zostali wprowadzeni do komputera przez maszynistki pracujące w nadgodzinach, żeby trochę dorobić.

- No i co o nim myślisz? - zapytał Werner.

- Z wyglądu on mi się nie podoba - rzekłem.

- Jest winny - powiedział Werner. Nie wiedział więcej niż ja, ale starał się dodać mi pewności.

- Lecz nie potwierdzone wypowiedzi defektora takiego jak Stinnes niewiele działają na otwartej rozprawie sądowej, nawet jeśli Londyn pozwoli mu wystąpić w sądzie. Jeśli boss tego gościa poprze go i obaj zawyją, że to nieprawda, to może się wyłgać.

- Kiedy go zdejmujemy, Bernie?!

- Może jego kontakt tu przyjdzie - powiedziałem. Był to opóźniający wykręt.

- Musiałby być rzeczywiście początkujący, Bernie. Tylko rozejrzyj się - całe to miejsce jest oświetlone jak świąteczna choinka, na zewnątrz gliny i nie ma się gdzie ruszyć - nikt z jakimkolwiek doświadczeniem nie ryzykowałby przyjścia tutaj.

- Może nie spodziewają się żadnych problemów - stwierdziłem optymistycznie.

- Moskwa wie, że Stinnes zaginał, i mieli dużo czasu, żeby uczulić na to swoją siatkę. I każdy z doświadczeniem wyniucha, że to wpadka, gdy tylko zaparkuje na zewnątrz.

- On nie wyniuchał - powiedziałem skinąwszy głową na naszego człowieka ostrzyżonego na jeża, podczas gdy ten pociągnął właśnie haust piwa i wdał się w rozmowę z jakimś gościem.

- Moskwa takiego źródła, jak on, nie może wysłać na szkolenie do swojego ośrodka - rozważał Werner. - Ale właśnie dlatego możesz być całkowicie pewny, że jego kontakt będzie miał moskiewskie wyszkolenie; a fo oznacza, że będzie ostrożny. Równie dobrze możesz aresztować go już teraz. - Nikogo nie aresztujemy - powiedziałem mu raz jeszcze. - Zrobi to niemiecka bezpieka; ma być po prostu zatrzymany w celu zadania mu paru pytań. Jesteśmy w odwodzie i czekamy na

rozwój wydarzeń.

- Pozwól, że ja to zrobię, Bernie.

Werner Volkmann był berlińczykiem z urodzenia. Chodziłem tu do szkoły, gdy byłem mały, mój niemiecki był równie naturalny jak jego, ale ponieważ byłem Anglikiem, Werner zdecydowanie trzymał się swego zarozumiiałego mniemania, że jego niemczyzna w jakiś magiczny sposób jest bardziej naturalna niż moja. Przypuszczam, że odczuwałbym to samo względem każdego Niemca mówiącego doskonałym angielskim z londyńskim akcentem, więc się nie spierałem.

- Nie chcę, żeby dowiedział się, że jakieś służby pozaniemieckie są w to wciągnięte. Jeśli wpadnie na to, kim jesteśmy, będzie wiedział, że Stinnes jest w Londynie.

- Oni już wiedzą, Bernie. Do tej pory muszą już wiedzieć, gdzie on jest.

- Stinnes i tak ma dość kłopotów nawet bez szukających go zabójców z KGB.

Werner przyglądał się tańczącym i uśmiechał do siebie, jak gdyby z powodu jakiegoś jemu tylko znanego dowcipu, tak jak to robią ludzie, którzy za dużo wypili. Twarz miał wciąż opaloną, jeszcze z czasu pobytu w Meksyku, i idealnie białe zęby bez najmniejszej plamki. Mimo że garnitur wisiał na nim jak worek, to wyglądał na prawie przystojnego.

- To jak hollywoodzki film - powiedział.

- Tak - odparłem. - Za duże koszta dla telewizji.

Na sali balowej było tłoczno od eleganckich par; wszyscy ubrani w stroje pasujące do balu z przełomu wieku. A i goście nie byli gromadą zasuszonych staruszków, jakich spodziewałem się ujrzeć na tym urodzinowym przyjęciu z racji pięćdziesięciolecia producenta maszyn do zmywania naczyń. Było mnóstwo bogato odzianej młodzieży wirującej w takt muzyki z innej epoki w innym mieście. *Kaiserstadt* - czyż nie tak zwał się Wiedeń, gdy był tylko jeden cesarz w Europie i tylko jedna dlań stolica?

Zgrzytliwy ton nowoczesności wprowadzały jedynie fryzury i makijaż oraz spluwa zarysowująca się pod piękną marynarką Wenera. Chyba dlatego tak ciasno było mu w ramionach.

Powrócił kelner w bieli z kolejną dużą tacą kielichów. Niektóre nie były puste. Gdy wylewał pozostawione drinki, oliwki i wiśnie do zlewu z ciepłą wodą, aby po opróżnieniu szkła wstawić je do kuchennej windy, rozszedł się zapach alkoholu. Potem odwrócił się do Wenera i z szacunkiem rzekł: - Aresztowano kontakt, proszę

pana. Poszła do samochodu podejrzanego, tak jak pan mówił. - Wytarł ścierką pustą tacę.

- O co tu chodzi, Werner? - spytałem.

Kelner popatrzył na mnie, a potem na Wenera, gdy zaś ten skinął przyzwalająco głową, rzekł: - Ta osoba podeszła do zaparkowanego samochodu podejrzanego... kobieta, lat co najmniej czterdzieści, może starsza. Miała kluczyk pasujący do samochodu. Otworzyła schowek na rękawiczki i zabrała kopertę. Zatrzymaliśmy ją, ale niestety zawartości koperty jeszcze nie znamy. Kapitan chce wiedzieć, czy zabrać ją do biura, czy przetrzymać ją dla panów w mikrobusie do momentu przeprowadzenia rozmowy.

Muzyka ucichła i tańczący bili brawo. Gdzieś z odległej strony sali balowej dochodził głos mężczyzny śpiewającego starą wiejską piosenkę, ale przerwał zażenowany i rozległ się śmiech.

- Czy podała jakiś berliński adres?

- Kreuzberg. Kamienica w pobliżu Kanału Landwehry.

- Proszę powiedzieć kapitanowi, żeby zabrał kobietę do tego mieszkania i tam ją trzymał. Proszę tutaj oddzwonić dla potwierdzenia, że podała właściwy adres, a my przyjedziemy później, aby z nią porozmawiać - powiedziałem. - Nie pozwólcie jej nigdzie dzwonić. Upewnić się, że koperta nie była otwierana; my wiemy, co w niej jest. Będę chciał użyć tej koperty jako dowodu rzeczowego, więc niech nikt jej nie pokierkuje.

- Tak jest - powiedział kelner i odszedł, przechodząc przez parkiet, z którego schodzili tańczący.

- Dlaczego nie poinformowałeś mnie, że on jest jednym z naszych? - zapytałem Wenera.

Werner zachichotał.

- Powinieneś być zobaczyć swoją minę.

- Jesteś pijany, Werner - powiedziałem.

- Nawet nie rozpoznałeś tajniaka. Co się z tobą dzieje, Bernie?

- Powiniennem być na to wpaść. Zawsze ich dają do wynoszenia brudnej zastawy; taki glina wie o jedzeniu i picciu wina zbyt mało, by móc podawać cokolwiek.

- A ty nie pomyślałeś, że warto było obserwować jego samochód, prawda?

Zaczynał mnie irytować. Powiedziałem: - Gdybym miał tyle pieniędzy co ty,

tobym się nie woził z kupą gliniarzy i bezpieczniaków.- A co byś robił?

- Z pieniędzmi? Gdybym nie miał dzieci, tobym znalazł sobie jakiś mały pensjonacik w Toskanii, gdzieś niedaleko plaży.

- Przyznaj, nie sądziłeś, że warto było obserwować jego samochód, prawda?

- Jesteś genialny.

- Nie musisz być sarkastyczny - rzekł Werner. - Teraz masz go. Beze mnie by cię obrzucili zgniłymi jajami.

Czknął bardzo łagodnie, zakrywając usta dłonią.

- Tak, Werner - odparłem.

- Chodźmy go aresztować, tego drania... Miałem przeczucie co do tego samochodu - sposób, w jaki zamknął drzwi na klucz, a potem rozejrzał się wokół, jak gdyby ktoś mógł tam na niego czekać.

Werner zawsze miał tendencję do dydaktyki; powinien był zostać szkolnym nauczycielem, tak jak chciała jego matka.

- Jesteś pijanym durniem, Werner - powiedziałem.

- Mam iść i aresztować go?

- Idź i nachuchaj na niego - powiedziałem.

Werner uśmiechnął się. Werner dowiódł, jak błyskotliwym operacyjnym agentem potrafił być. Werner był bardzo, bardzo zadowolony.

Naturalnie, że wybrzydzał. Chciał swojego adwokata i chciał rozmawiać ze swoim szefem oraz z jakimś znajomym z rządu. Znam zbyt dobrze ten typ ludzi; traktował nas jakbyśmy to my zostali przyłapani na kradzieży tajemnic dla Rosjan. Nadal protestował, kiedy był odprowadzany przez zespół aresztujący. Na nich nie robiło to żadnego wrażenia; znali to już wszystko z praktyki. Byli ludźmi doświadczonymi, sprowadzonymi z „politycznego oddziału” BfY w Bonn.

Zabrali go do biura BfV w Spandau, ale uznałem, że tej nocy nic z niego nie wydobędą poza oburzeniem. Może jutro troszkę się uspokoi i zdenerwuje na tyle, aby powiedzieć coś, czego warto wysłuchać, zanim nadejdzie pora albo oskarżenia, albo zwolnienia. Na szczęście nie będzie to decyzja, którą ja musiałbym podjąć. Póki co, zdecydowałem w trakcie przebiegu wydarzeń, że pojedę i zobaczę, co da się wydobyć z tej kobiety.

Werner prowadził. W czasie jazdy do Kreuzberg niewiele mówił. Ja gapiłem się przez okno. Berlin jest czymś w rodzaju podręcznika do historii gwałtu w dwudziestym wieku i każdy uliczny narożnik przypominał to, o czym słyszałem, co



widziałem lub o czym czytałem.

Jechaliśmy wzdłuż Kanału Landwehry, który wije się przez samo serce miasta. Jego oleiste wody kryją wiele ciemnych sekretów. W 1919, gdy Spartakiści usiłowali opanować miasto drogą zbrojnego powstania, dwaj oficerowie Gwardii Konnej zabrali ciężko pobitą Różę Luxemburg - przywódczynię komunistyczną - ze swojego sztabu w hotelu Eden, zastrzelili i wrzucili do kanału. Oficerowie utrzymywali, że zabrał ją rozszoszczony tłum uczestników zamieszek, lecz po czterech miesiącach jej rozdęte zwłoki wypłynęły i utknęły w śluzie. Teraz, w Berlinie Wschodnim, nazywają ulice jej imieniem.

Ale nie wszystkie duchy idą do kanału. W lutym 1920 roku sierżant policji wydobyl stąd przy moście Bendlera pewną młodą kobietę. Po zabraniu jej do szpitala im. Elżbiety przy Ltitzowstrasse zidentyfikowano ją jako Wielką Księżną Anastazję, najmłodszą córkę cara Wszechrosji i jedyną osobę, która przeżyła masakrę.

- To tu - powiedział Werner stając przy krawężniku. - Dobrze, że glina jest przy drzwiach, bo inaczej wracając znaleźlibyśmy samochód ogołocony do samej karoserii.

Adres podany przez kontakt był obskurną dziewiętnastowieczną kamienicą czynszową w okolicy praktycznie w całości opanowanej przez tureckich imigrantów. Ongiś imponujące wejście z szarego kamienia, nadal ze śladami odłamków z czasów wojny, straciło oblicze na rzecz kolorowych graffiti robionych sprayem. Wewnątrz ponurej sieni zalatywało ostrymi przyprawami, brudem i środkiem odkażającym.

W tych starych domach mieszkania nie były numerowane, ale ludzi z BfY odnaleźliśmy na samej górze. Na drzwiach były dwa zamki zabezpieczające, lecz trudno było dostrzec cokolwiek wartego zabezpieczenia.

Gdy przyjechaliśmy, dwaj ludzie nadal przeszukiwali przedpokój, pukali w ściany, wyważali deski podłogowe i wpychali śrubokręty głęboko w gipsowe ścianki z tym rodzajem uczucia nieprzeniknionej przyjemności, jakie nachodzi ludzi mających błogosławieństwo od rządu na działania niszczące.

Była to typowa dziura na jedną noc; takich miejsc dostarczało KGB swoim wyznawcom. Ostatnie górne piętra: zimne, ciasne i tanie. Być może wybierali takie obmierzłe lokale po to, aby przypomnieć wszystkim zainteresowanym o losie biednych w gospodarce kapitalistycznej. Lub też w tego typu dzielnicy zadawano mniej pytań odnośnie przychodzenia i wychodzenia różnych ludzi o różnych porach dnia i nocy.

Ani telewizora, ani radia, ani miękkich siedzeń. Żelazne wyrko ze starym, szarym kocem, cztery drewniane krzesła, mały stolik z plastikowym blatem, a na nim grubo krojony, ciemny chleb, maszynka elektryczna, poobijany czajnik, mleko w puszcze, wysuszone resztki kawy i parę kostek cukru w opakowaniu z hotelu Hilton. Były też trzy sfatygowane, niemieckie, zbroszurowane wydania Dickensa, Schillera i zbioru krzyżówek, w większości rozwiązanych. Na jednym z dwóch jednoosobowych łóżek leżała mała, otwarta walizeczka pokazując swoją zawartość. Niewątpliwie był to damski bagaż: tania czarna sukienka, nylonowa bielizna, pantofle skórzane na niskim obcasie, jabłko i pomarańcza oraz angielska gazeta - *Socialist Worker*.

Młody oficer BfV czekał na mnie. Wymieniliśmy pozdrowienia, po czym powiedział mi, że tylko wstępnie przesłuchano tę kobietę. - Najpierw obiecała, że złoży oświadczenie, a potem odmówiła - dodał.

Wysłał człowieka po maszynę, żeby było na czym pisać, jak zmieni zdanie. Wręczył mi trochę marek zachodnich, prawo jazdy i paszport, czyli zawartość jej torebki. Prawo jazdy i paszport były brytyjskie.

- Mam kieszonkowy magnetofon - powiedziałem nie ścisząc głosu. - Wybierzemy to, co będzie do napisania na maszynie, i każemy jej podpisać po rozmowie ze mną. Chcę, żeby był pan świadkiem składania podpisu.

Kobieta siedziała w maleńkiej kuchence. Na stole były brudne filizanki i parę szpilek do włosów, które, jak się domyślałem, wypadły w trakcie przeszukiwania jej torebki, leżącej teraz na jej kolanach.

- Kapitan mówi mi, że chce pani złożyć oświadczenie - powiedziałem po angielsku.

- Pan jest Anglikiem? - odezwała się. Popatrzyła na mnie, a potem na Wenera. Nie okazywała dużego zdziwienia, że obaj mieliśmy na sobie stroje wieczorowe, razem z wymyślnymi spinkami do mankietów, i lakierki. Zdała sobie sprawę, że w tamtym domu byliśmy służbowo.

- Tak - powiedziałem.

Dałem sygnał Wenerowi, żeby opuścił pokój.

- Czy to pan jest tu zwierzchnikiem? - spytała. Miała przesadny akcent wyższych klas, jakiego używają sprzedawczynie w boutique'ach na Knightsbridge. - Chcę się dowiedzieć, o co mnie się oskarża. Ostrzegam pana, że znam swoje prawa. Czy jestem aresztowana?

Podniosłem ze stołu nóż do chleba i pomachałem nim w jej kierunku. -

Zgodnie z Przepisem Regulaminowym nr 43 legislacji Sojuszniczego Rządu Wojskowego, który nadal obowiązuje w tym mieście, posiadanie takiego noża do chleba jest wykroczeniem, za co może być wymierzona kara śmierci.

- Pan chyba oszalał - powiedziała. - Wojna była prawie czterdzieści lat temu.

Włożyłem nóż do szuflady, po czym gwałtownie ją zatrzasnąłem. Wystraszyła się tego dźwięku. Przesunąłem krzesło kuchenne i usiadłem na nim tak, że patrzyłem jej w twarz z odległości jednego metra.

- Pani nie znajduje się w Niemczech - odezwałem się do niej. - Tu jest Berlin. Dekret 511, ratyfikowany w roku 1951, zawiera klauzulę, która czyni ze zbierania informacji wykroczenie, za jakie można dostać dziesięć lat więzienia. Nie szpiegowanie, nie praca wywiadowcza, tylko proste zbieranie informacji jest wykroczeniem.

Położyłem jej paszport na stole i przewracałem kartki, jakbym czytał jej nazwisko i zawód po raz pierwszy.

- Więc niech mi pani tu nie mówi o znajomości swoich praw; nie ma pani żadnych.

Z paszportu odczytałem na głos: - „Carol Elvira Miller, urodzona w roku 1930 w Londynie, zawód: nauczycielka”. Potem podniosłem wzrok na nią. Odwzajemniła moje spojrzenie spokojnym, obojętnym wpatrywaniem się, jakiego aparat fotograficzny zarejestrował w jej paszporcie. Włosy miała proste i krótkie, w stylu pazia. Poza tym czysto błękitne oczy i ostry nos, więc zuchwały wyraz twarzy był u niej czymś naturalnym. Kiedyś była ładna, ale teraz - chuda i wyczerpana, w stroju ciemnym, staromodnym i bez śladu makijażu - zbliżyła się dość znacznie do wyglądu słabej staruszki. - Elwira. To niemieckie imię, prawda?

Nie okazywała oznak lęku. Rozpromieniła się, jak to kobiety często robią w osobistej pogawędce. - Hiszpańskie. Mozart użył je w „Don Giovannim”.

Skinąłem potakująco głową: - A Miller?

Uśmiechnęła się nerwowo. Nie była przestraszona, ale był to uśmiech kogoś, kto chce zrobić wrażenie, że nadaje się do współpracy. Moje króciutkie napastliwe wystąpienie zrobiło swoje. - Mój ojciec jest Niemcem... był Niemcem. Z Lipska. Wyemigrował do Anglii na długo przed nadejściem Hitlera. Matka jest Angielką... z Newcastle - dodała po długiej chwili.

- Mężatka?

- Mój mąż zmarł prawie dziesięć lat temu. Nazywał się Johnson, ale ja

wróciłam do panińskiego nazwiska.

- Dzieci?

- Zamężna córka.- Gdzie pani uczy?

- Byłam w Londynie nauczycielką na godziny, dochodzącą, ale liczba propozycji, jakie dostawałam, coraz bardziej malała. Przez ostatnie kilka miesięcy byłam praktycznie bez pracy.

- Czy wie pani, co było w kopercie, którą wzięła pani z samochodu dziś wieczorem?

- Nie będę panu zabierać czasu wykrętami. Wiem, że zawierała jakieś ważne tajemnice. - Głos jej był czysty, a maniery pedantyczne, jak u nauczycielek wszędzie na świecie.

- Wie pani, dokąd to miało pójść?

- Chcę złożyć oświadczenie. Powiedziałam o tym temu drugiemu oficerowi. Chcę, żeby mnie zabrano do Anglii, i tam wypowiem się wobec brytyjskiej służby bezpieczeństwa. Wtedy złożę pełne oświadczenie.

- Dlaczego? - zapytałem. - Dlaczego tak pani zależy na powrocie do Anglii? Jest pani sowieckim agentem, oboje o tym wiemy. Co za różnica, gdzie pani będzie w chwili oskarżenia?

- Byłam głupia - powiedziała. - Teraz to widzę.

- Czy zdała pani sobie sprawę z tego przed czy po aresztowaniu? Zacisnęła wargi jakby hamując uśmiech. - To był szok. -

Położyła dłonie na stole. Były białe i pomarszczone, z brązowymi centkami jak piegi, co przychodzi w średnim wieku. Zauważyłem też plamy po nikotynie i atramencie z nieszczelnego pióra na palcu wskazującym i kciuku. - Nie mogę powstrzymać drżenia. Siedząc tutaj i asystując przy przeszukiwaniu moich rzeczy, miałam dość czasu, by zastanowić się nad tym, jaka byłam głupia. Kocham Anglię. To ojciec tak mnie wychował, żeby kochać wszystko, co angielskie.

Wbrew tej deklaracji wkrótce wróciła do niemczyzny. Nie była Niemką, nie była Angielką. Dostrzegalem w niej ten brak korzeni i częściowo odnalazłem w tym siebie.

- Czy to był mężczyzna? - spytałem. Zmarszczyła brwi. Oczekiwała upewnienia się, uśmiechu za uśmiechy, jakimi mnie obdarzała, i obietnicy, że nie przesadnie złęgo jej się nie stanie. - Człowiek... ten, który zwabił panią do tej głupoty?

Musiała usłyszeć w moim głosie nutkę przekory.

- Nie - powiedziała. - To wszystko z mojej własnej woli. Wstąpiłam do partii piętnaście lat temu. Po śmierci męża chciałam mieć zajęcie. Więc stałam się bardzo aktywna w związku nauczycieli. No i pewnego dnia pomyślałam, no tak, czemu by nie iść na całego.

- Co znaczyło „iść na całego”, pani Miller?

- Ojciec nazywał się Muller; mogę to panu powiedzieć już teraz, bo i tak niedługo będzie pan o tym wiedział. Hugo Muller. Zmienił na Miller po naturalizacji. Chciał, żebyśmy wszyscy byli Anglikami. - Znowu rozprostowała dłonie na stole i mówiąc patrzyła na nie. Było to tak, jakby swoje ręce obarczała winą za robienie rzeczy, których nigdy, w gruncie rzeczy, nie aprobowała.

- Zwrócono się do mnie, abym odbierała paczki, doglądała spraw, i tak dalej. Później zaczęłam nocować ludzi w moim mieszkaniu w Londynie. Sprowadzano tam ludzi późną nocą - Rosjan, Czechów i innych - zazwyczaj nie mówili ani po angielsku, ani po niemiecku. Czasami byli to marynarze, sądząc po ubraniach. Zawsze robili wrażenie piekielnie głodnych. Zdarzył się także jeden w sutannie. Mówił po polsku, ale udało mi się z nim tak rozmawiać, że mnie rozumiał. Rankiem ktoś po nich przychodził.

Westchnęła i spojrzała na mnie, żeby zobaczyć, jak odbieram jej spowiedź. - Mam jedną sypialnię ekstra - dodała, tak jakby posiadanie możliwości noclegowych ważniejsze było od jej usług dla KGB.

Na dłuższą chwilę zamilkła i patrzyła na swoje dłonie.

- To byli uciekinierzy - powiedziałem, by skłonić ją do ponownego mówienia.

- Nie wiem, kim byli. Po tym zwykle była koperta z paru funtami, wepchnięta przez szczelinę na listy, ale ja tego nie robiłam dla pieniędzy.

- To dlaczego pani to robiła?

- Byłam marksistką; służyłam sprawie.

- A teraz?

- Zrobili ze mnie durnia - powiedziała. - Służyłam im do wykonywania brudnej roboty. Co ich obchodził mój los? Co ja ich obchodzę teraz? No i co mam robić?

Przypominało mi to bardziej gorzką skargę kobiety rzuconej przez kochanka niż zeznania aresztowanej agentki.

- Powinna się pani cieszyć z roli cierpiętniczki - rzekłem. - To jest sposób, w

jaki system pracuje dla nich.

- Podam panu nazwiska i adresy. Powiem wszystko, co wiem. - Pochyliła się do przodu. - Nie chcę iść do więzienia. Czy to wszystko będzie musiało być w gazetach?

- A czy to ma jakieś znaczenie?

- Moja zamężna córka mieszka w Kanadzie. Wyszła za chłopaka z Hiszpanii, którego poznała na wakacjach. Złożyli podanie o kanadyjskie obywatelstwo, ale ich papiery jeszcze nie przeszły. Byłoby straszne, gdyby sytuacja, w jakiej ja jestem, miała zrujnować im życie; są tacy szczęśliwi razem.

- A to noclegowanie, które zapewniała pani swoim rosyjskim kolegom - kiedy to się skończyło?

Popatrzyła bacznie, jakby zdziwiona, że potrafiłem odgadnąć koniec tej działalności.

- Te dwie rzeczy nie łączą się - powiedziałem. - Te noclegi to było tylko pośrednie zadanie, aby stwierdzić, na ile można na pani polegać.

Skinęła głową.

- Dwa lata temu - powiedziała miękko - może dwa i pół.

- A potem?

- Przyjechałam do Berlina na tydzień. Opłacili mi przejazd. Przeszłam na stronę wschodnią i spędziłam tydzień w ośrodku szkoleniowym. Wszyscy inni studenci to byli Niemcy, ale jak pan widzi, mówię po niemiecku dobrze. Mój ojciec zawsze nalegał, żebym dbała o swój niemiecki.

- Tydzień w Poczdamie?

- Tak, tuż za Poczdamem, tak jest.

- Proszę nie pomijać niczego ważnego, pani Miller.

- Nie, nie pomijam - obiecywała nerwowo. - Byłam tam dziesięć dni ucząc się o radiostacjach krótkofalowych, mikrokropkach, i tak dalej. Panu prawdopodobnie te rzeczy są znane.

- Tak, znam te rzeczy. To szkoła szpiegów.

- Tak - wyszeptała.

- Pani Miller, nie powie mi pani, że wróciła stamtąd nie zdając sobie sprawy, że jest w pełni wyszkolonym szpiegiem sowieckim.

Podniosła wzrok i napotkała moje nieruchome spojrzenie.

- Nie, powiedziałam panu, że byłam entuzjastyczną marksistką. Byłam

całkowicie gotowa dla nich szpiegować. Z mojego punktu widzenia robiłam to w imię głodnych i uciśnionych na tym świecie. Przypuszczam, że ciągle jestem za marksizmem-leninizmem.

- Musi pani być nieuleczalną romantyczką - powiedziałem.

- Źle było z mojej strony robić to, co robiłam; dostrzegam to, naturalnie.

Anglia była dla mnie dobra. Ale połowa świata przymiera głodem i marksizm jest jedynym wyjściem.

- Proszę mi tu nie robić wykładów, pani Miller - przerwałem. - Dostyc mam tego w swoim biurze. - Wstałem żeby móc rozpiąć płaszcz i wyjąć papierosy. - Czy chce pani zapalić?

Nie zareagowała.

- Usiłuję rzucić palenie - powiedziałem - ale noszę papierosy ze sobą.

Nadal nie odpowiadała. Być może była zbyt zajęta myślami o tym, co z nią dalej będzie. Podszedłem do okna. Było za ciemno, żeby zobaczyć coś więcej prócz fałszywego berlińskiego świtu: zielono-białej łuny znad pełnego reflektorów „pasa śmierci” wzdłuż wschodniej strony Muru. Dobrze znałem tę ulicę; przechodziłem tamtędy tysiące razy. Od kiedy zbudowano Mur w 1961 roku, posuwanie się wzdłuż meandrującego Kanału Landwehry stało się najszybszym sposobem obejścia Muru od rozjarzonego neonami Ku-Dammu aż do reflektorów Checkpoint Charlie.

- Czy pójde do więzienia? - spytała ponownie.

- Nie wiem - odparłem. - Ale taką mam nadzieję.

Wydobycie z niej przyznania się do winy nie zabrało więcej niż czterdzieści minut. Werner czekał na mnie w sąsiednim pokoju. W pokoju tym brakowało ogrzewania. Siedział na kuchennym krześle z postawionym futrzanym kołnierzem swego palta, tak że prawie dotykał róna kapelusza.

- Dobrze nadała? - zapytał.

- Wyglądasz jak przedsiębiorca pogrzebowy, Werner - powiedziałem. -

Bardzo bogaty przedsiębiorca pogrzebowy czekający na bardzo bogate zwłoki.

- Muszę iść spać. Nie wytrzymuję już tych długich nocy. Jeśli ty masz zamiar zostać tutaj, aby to wszystko przepisać na maszynie, to ja już raczej pójde sobie do domu.

To był skutek picia, oczywiście. U Wenera zapalczliwość po wódce nigdy nie trwała długo. Alkohol jest środkiem depresyjnym i przemiana metaboliczna u Wenera na tyle się zwolniła, że nie był w stanie prowadzić samochodu.

- Ja poprowadzę - powiedziałem. - I napiszę, co trzeba na twojej maszynie.

- To dobrze - rzekł Werner. Zamieszkałem w jego mieszkaniu w Dahlem.

Teraz, w swoim melancholijnym nastroju, przewidywał określoną reakcję żony na przebudzenie jej o tak wczesnej, porannej godzinie. Jego maszyna do pisania była bardzo hałaśliwa, a zdawał sobie sprawę, że będę chciał skończyć robotę przed pójściem spać. - Dużo tego masz? - zapytał

- Jest to króciutkie i słodziutkie, Werner. Ale nadała nam kilka spraw, które londyńską Centralę mogą skłonić do myślenia i podrapania się w głowę.

- Na przykład?

- Przeczytasz rano, Werner. Pogadamy o tym przy śniadaniu.

Był piękny berliński poranek. Niebo błękitne, mimo tych wszystkich wschodnioniemieckich elektrowni spalających węgiel brunatny, wskutek czego przez większą część roku blady smog siedzi nad miastem. Dzisiaj wyziewy *Braunkohle* dryfowały gdzieś indziej, a na zewnątrz ptaki śpiewały, by to uczić. Duża osa, ostatnia, która przetrwała od lata, bzyczała ze złością latając wokół pokoju.

Mieszkanie Wenera w Dahlem było dla mnie drugim domem. Znałem je, kiedy było miejscem gromadzącym nie kończące się pochody dziwacznych przyjaciół Wenera. Za tamtych dni meble były stare, a Werner wygrywał jazzowe kawałki na fortepianie przyozdobionym wypalonymi śladami po papierosach, zaś pięknie skonstruowane przez Wenera modele samolotów zwisały z sufitu, bo było to jedyne miejsce, gdzie nikt nie mógł na nich usiąść.

Teraz wszystko zmieniło się. Wszystkie stare rzeczy zostały usunięte przez Zenę, jego bardzo młodą żonę. Teraz mieszkanie urządzone było wedle jej gustu: kosztowne, nowoczesne meble i duża roślina kuczukowa, i kilim wiszący na ścianie, z nazwiskiem „artysty”, który go utkał. Jediną rzeczą, jaka pozostała z tamtych dawnych dni, była gruzłowata sofa, która dawała się zamieniać w gruzłowate łóżko, kiedyś zajmowane przeze mnie.

Siedzieliśmy we trójkę w „śniadalni”, czyli przy kontuarze w końcu kuchni. Wyglądało to jak kontuar barowy, z Zeną grającą rolę barmanki. Z okna rozciągał się widok na okolicę, a byliśmy na tyle wysoko, że można było dostrzec obrzeżone słońcem wierzchołki drzew Griinewaldu odległego o jeden czy dwa bloki. Zena wyciskała pomarańcze w elektrycznym sokowniku, a w automatycznej maszynie do kawy skapywał napój, roznosząc swój bogaty aromat po całym pokoju.

Rozmawialiśmy o małżeństwie.



- Tragedią małżeństwa - powiedziałem - jest to, że podczas gdy wszystkie kobiety wychodzą za mąż myśląc, że ich mężczyzna zmieni się, to wszyscy mężczyźni żenią się myśląc, że ich żona nie zmieni się nigdy. Nieodmiennie oboje są rozczarowani.

- Ale bzdura - powiedziała Zena rozlewając sok do trzech szklanek. -  
Mężczyźni zmieniają się.

Nachyliła się, żeby lepiej widzieć poziom soku i upewnić się, że wszyscy dostali jednakowo. Było to dziedzictwo jej pruskich antenatów, z których była bardzo dumna, mimo iż nigdy nawet nie widziała starej ojczyzny rodziców. Bo Prusacy lubią myśleć o sobie, że są nie tylko sumieniem całego świata, lecz również jego ostateczną wyrocznią.

- Nie zachęcaj go, Zena, kochanie - powiedział Werner. - To wymyślone w stylu Oskara Wilde'a twierdzenie jest sposobem, w jaki Bernard lubi niepokoić żony.

Zena nie odpuściła; lubiła spierać się ze mną. - Mężczyźni zmieniają się. To właśnie mężczyźni opuszczają dom i rozkładają małżeństwo. I to dlatego, że się zmieniają.

- Dobry sok - powiedziałem upijając trochę.

- Mężczyźni chodzą do pracy. Mężczyźni chcą być w pracy promowani i aspirują do społecznie wyższej klasy swoich przełożonych. Potem odczuwają nieadekwatność swoich żon i zaczynają rozglądać się za taką, która zna maniery i słownictwo tej klasy, do której chcą dołączyć.

- Masz rację - przyznałem. - Chodzi mi o to, że mężczyźni nie zmieniają się w taki sposób, jak chcą tego ich kobiety.

Uśmiechnęła się. Zdała sobie sprawę, że komentowałem sposób, w jaki zmieniła biednego Wenera z rozluźnionego i nieco cygańskiego typu w oddanego i posłusznego męża. To Zena przerwała jego palenie i skłoniła do przejścia na dietę, aby zmniejszył mu się obwód w pasie. I była to Zena, która aprobowała lub nie wszystko, co kupował do noszenia, od kąpielówek po smoking. Pod tym względem Zena uważała mnie za swego oponenta. Byłem tym złym wpływem, który mógł zniweczyć całą jej dobrą robotę, a to było coś, czemu postanowiła zapobiec.

Wspięła się na wysoki stołek. Była tak proporcjonalna, że zauważało się jej drobną budowę tylko w takich momentach. Długie ciemne włosy tego ranka spięła w koński ogon sięgający jej do łopatek. Miała na sobie czerwone bawełniane kimono z szeroką szarfą w pasie. Nie zaważyła ani chwili snu tej nocy sądząc po jasnych,

przejrzystych oczach; znalazła nawet trochę czasu na drobny makijaż. Makijaż był jej całkiem zbędny - miała tylko dwadzieścia dwa lata i uroda jej nie podlegała dyskusji - lecz właśnie makijaż był parawanem, z za którego wołała stawiać światu czoło.

Kawa była bardzo ciemna i mocna. Taką lubiła, ale ja dolałem sobie dużo mleka. Dał się słyszeć brzęczyk na piecyku i Zena poszła wyjąć ciepłe bułeczki. Zanim przyniosła na stół, najpierw włożyła je do małego koszyczka wyłożonego tkaniną w czerwoną kratkę. - *Brotchen* - powiedziała. Zena urodziła się i wychowała w Berlinie, ale nie nazywała bułeczek *Schñppe*, jak cała reszta mieszkańców Berlina. Zena nie chciała być identyfikowana z Berlinem: wołała zostawić sobie wolny wybór.

- A masło? - przypomniałem rozłamując bułeczkę.

- Nie używamy - rzekła Zena. - Jest szkodliwe dla zdrowia.

- Daj Berniemu trochę tej nowej margaryny - odezwał się Werner.

- Powinieneś zrzucić trochę wagi - powiedziała do mnie Zena. - Na twoim miejscu nie jadłabym nawet chleba.

- Są różnego rodzaju rzeczy, które ja robię, a których ty byś nie robiła na moim miejscu - stwierdziłem.

Osa usadowiła się na moich włosach, więc ją odpędziłem.

Zdecydowała się nie wdawać w ten temat. Zrolowała gazetę i parę razy machnęła nią w kierunku osy. Potem z nie ukrywanym złym humorem podeszła do lodówki i przyniosła mi plastikowy pojemnik z margaryną.

- Dziękuję - powiedziałem. - Muszę złapać poranny samolot. Znikam, gdy tylko się ogolę.

- Nie ma pośpiechu - rzekł Werner dla załagodzenia sprawy. On, naturalnie, już był ogolony; Zena nie pozwoliłaby mu zjeść śniadania, gdyby usiadł do stołu nie ogolony. - Więc przepisałeś to wszystko w nocy - powiedział. - Powinienem być nie kłaść się, tylko ci pomóc.

- To nie było konieczne. Tłumaczenie zrobią mi w Londynie. Bardzo doceniam to, że oboje daliście mi się przespać, nie mówiąc już o kawie w nocy i tym oto wspomniałym śniadaniu Zeny.

Przypuszczam, że trochę przesadziłem z tym docenianiem. Mam taką skłonność, gdy się zdenerwuję, a Zena była specjalistką od denerwowania mnie.

- Byłem cholernie zmęczony - usprawiedliwiał się Werner. Zena rzuciła mi spojrzenie, ale przemówiła do Wenera.

- Byłeś pijany - powiedziała. - Sądziłam, że wczoraj wieczorem mieliście

pracować.

- Pracowaliśmy, kochanie - powiedział Werner.
- Picia było niewiele, Zeno - rzekłem.
- Werner robi się pijany od zapachu fartucha barmana - skwitowała Zena.

Werner otworzył usta, żeby sprzeciwić się takiej obsuwie. Ale zdał sobie sprawę, że stawienie czoła temu wyzwaniu oznaczałoby opowieść o dużym picciu. Zamiast tego wypił trochę kawy.

- Ja już ją widziałem - powiedział Werner.
- Tę kobietę?
- Jak się nazywa?
- Mówi, że Miller, ale była żoną niejakiego Johnsona kiedyś tam. Tutaj?

Widziałeś ją tutaj? Ona mówiła, że mieszka w Anglii.

- Chodziła do szkoły w Poczdamie - powiedział Werner. Uśmiechnął się widząc moje zdziwienie. - Czytałem twój raport, kiedy wstałem dziś rano. Nie masz nic przeciw temu, prawda?

- Naturalnie że nie. Chciałem, żebyś go przeczytał. Może się coś rozwinie.
- Czy to miało coś wspólnego z Erichem Stinnesem? - spytała Zena.

Odpędziła osę znad swojej głowy.

- Tak - powiedziałem. - To była informacja od niego. Skinęła głową i dołała sobie kawy. Trudno było uwierzyć, że nie tak dawno temu była zakochana w Erichu Stinnesie. Trudno było uwierzyć, że ryzykowała życie, aby go chronić, i że nadal chodziła na fizjoterapię z powodu urazów poniesionych w jego obronie.

Ale Zena była młoda i romantyczna. Z tych dwóch powodów jej namiętność mogła być krótkotrwała. I z tych dwóch powodów mogło być również tak, że nigdy go nie kochała, lecz kochała samą myśl o zakochaniu.

Werner robił wrażenie, że nie zauważył wzmianki o Erichu Stinnesie. To był cały Werner - *honi soit qui mai y pense* - hańba temu, kto o tym źle myśli - to mogło być jego motto, bo Werner był zbyt wielkoduszny i delikatny, żeby myśleć źle o kimkolwiek. I nawet jeśli to najgorsze było ewidentne, Werner gotów był wybaczyć. Jej jawna miłośćka z Frankiem Harringtonem - szefem naszej Berlińskiej Jednostki Operacyjnej, berlińskim Rezydentem - wywoływała większą złość u mnie niż u Wenera.

Niektórzy mówili, że Werner był takim masochistą, który odczuwał perwersyjną przyjemność wiedząc, że jego własna żona chodzi do Franka, ale ja

znałem Wenera zbyt dobrze, żeby kupować ten rodzaj wątpliwej psychologii. Werner był twardym facetem prowadzącym grę wedle własnych reguł. Może niektóre z jego reguł były elastyczne, ale niech Pan Bóg ma w swojej opiece tego, który przekroczy linię wyznaczoną przez Wenera. Werner był człowiekiem Starego Testamentu, a jego gniew i zemsta potrafiły być straszne. Wiedziałem o tym i Werner wiedział, że ja wiem. To właśnie trzymało nas tak blisko siebie, że nic nie ma prawa wcisnąć się między nas, nawet przebiegła mała Zena.

- Gdzieś tę Miller widziałem - rzekł Werner. - Nigdy nie zapominam twarzy. Obserwował osę. Była senna, z wolna pełzała po ścianie. Werner sięgnął po gazetę Zeny, ale osa wyczuła niebezpieczeństwo i odleciała.

Zena nadal myślała o Erichu Stinnesie. - My robimy całą robotę - powiedziała z nutą goryczy. - A Bernard zbiera wszystkie pochwały. I Erich Stinnes bierze wszystkie pieniądze. - Nawiązała w tym do sposobu, w jaki Stinnes, major KGB, uległ namowom, aby przejść na naszą stronę, i otrzymał grubą wypłatę. Sięgnęła po dzbanek i nieco kawy wylało się na gorącą płytkę wywołując głośny, syczący dźwięk. Gdy naląła sobie kawy, odstawiła gorący dzbanek na kafelki kontuaru. Zmiana temperatury musiała z pewnością spowodować pęknięcie dzbanka, gdyż rozległ się huk przypominający strzał z pistoletu i gorąca kawa popłynęła po kontuarze, tak że wszyscy zerwaliśmy się na równe nogi, aby uniknąć poparzenia.

Zena chwyciła garść papierowych ręczników i trzymając się z dala od kawy, lejącej się na kafelkową podłogę, zaczęła nimi osuszać kontuar.

- Za mocno postawiłam - powiedziała po uprzątnięciu całego bałaganu.

- Myślę, że chyba tak, Zeno - powiedziałem.

- On już był pęknięty - odezwał się Werner. Potem zrolowaną gazetą zamachnął się i zabił osę.

## **Rozdział II**

Był a ósma wieczorem w Londynie, kiedy wreszcie dostarczyłem raport mojemu bezpośredniemu szefowi Dicky'owi Cruyer, szefowi Sekcji Niemieckiej. Załączyłem też pełne tłumaczenie, bo wiedziałem, że Dicky był niezbyt dwujęzyczny.

- Gratulacje - powiedział. - Punkt dla towarzysza Stinnesa, co? Potrząsnął moim chudawym, pośpiesznie napisanym raportem, jak gdyby oczekiwał, że coś wyleci spośród stron. Przesłuchał już moją taśmę i wysłuchał ustnego sprawozdania z wyprawy do Berlina, więc szanse na to, że będzie dokładnie czytał moje

sprawozdanie, były niewielkie, zwłaszcza że nie wchodziło w grę darowanie sobie kolacji.

- Za to w Bonn nikt nam nie podziękuje - ostrzegłem go.

- Mają całość dowodów - powiedział Dicky z prychnięciem na znak lekceważenia.

- Godzinę temu rozmawiałem z Berlinem - dodałem. - Uruchamia wszystkie możliwe środki.

- A co na to jego szef?

- Pojechał na Boże Narodzenie do Egiptu, na krótki urlop. Nikt go nie może znaleźć.

- Co za rozsądny człowiek - powiedział Dicky z niekłamany podziwem. - Czy poinformowano go o nadchodzącym aresztowaniu jego sekretarza?

- To nie należy do nas, ale jest to rutynowa procedura BfV.

- Czy dzwoniłeś wieczorem do Bonn? A co sądzi BfV o możliwościach uzyskania jakiegoś oświadczenia od niego?

- Lepiej trzymajmy się od tego z daleka, Dicky.

Dicky popatrzył na mnie, kiedy się nad tym zastanawiał, a następnie, decydując, że ma rację, podjął próbę spojrzenia na problem z innej strony.- Czy widziałeś Stinnesa, od kiedy przekazałeś go Centrum Przesłuchań?

- Rozumiem, że bieżąca polityka jest taka, abym nie miał z nim kontaktu.

- Dobrze, dobrze - powiedział Dicky, uśmiechając się, aby mnie rozweselić w moim paranoicznym stanie. - Nie mówisz chyba, że ciągle jesteś podejrzany.

Podniósł się zza stołu z różanego drzewa, którego używał zamiast biurka, i podsunął mi przezroczyste składane krzesło z plastiku.

- Moja żona przeszła na ich stronę.

Usiadłem. Dicky usunął z gabinetu wszystkie krzesła dla gości pod pretekstem uczynienia pomieszczenia bardziej przestronnym. Jego rzeczywistym motywem było znalezienie dla siebie powodu do używania pokoi konferencyjnych wzdłuż korytarza. Dicky lubił korzystać z tych pokoi; dawało mu to poczucie ważności i oznaczało, że jego nazwisko, zapisane małymi plastikowymi literkami, figurowało na tablicy informacyjnej na wprost wind górnego piętra.

Jego składane krzesła były najbardziej niewygodne ze wszystkich siedzeń w całym budynku, ale Dicky tym się nie przejmował, ponieważ nigdy na nich nie siadał. A poza tym, nie chciałem przesiadywać z nim gwarząc o tym i o owym. Jeszcze

miałem trochę roboty do skończenia przed pójściem do domu.

- To historia miniona - rzekł Dicky, przeczesując kościstą ręką kędziorowate włosy, tak iż mógł po kryjomu spojrzeć na swój duży czarny zegarek, taki, co to działa głęboko pod wodą.

Zawsze podejrzewałem, że Dicky czułby się wygodniej mając krótko przystrzyżone i wyszczotkowane włosy, ciemny garnitur, białą koszulę i stary krawat ze szkolnym emblematem, które były *de rigueur* dla personelu o dłuższym stażu. Lecz on wolał uparcie być tym jedynym z nas, który nosił wyblakłe dżinsowe stroje, kowbojskie buty, kolorowe chustki na szyję i czarne pasy, gdyż sądził, że ułatwi to utożsamianie go z cudownym dzieckiem. Ale może ja to pojmowałem w drugą stronę; może Dicky byłby szczęśliwszy nosząc modne ubiory i pracując „twórczo” w agencji reklamowej.

Poruszył ponownie zamkiem błyskawicznym kurtki w górę i w dół i powiedział:

- Jesteś miejscowym bohaterem. To ty sprowadziłeś Stinnesa do nas, gdy wszyscy mówili, że tego nie da się zrobić.

- Tak mówią? Szkoda, że nie wiedziałem. Słyszałem za to, jak mnóstwo ludzi mówiło, że robiłem wszystko, aby uniknąć ściągnięcia go tutaj, ponieważ obawiałem się, że jego przesłuchania wciągną mnie w to.

- Wiesz, każdy kto rozpuszczał takie historyjki, teraz wygląda całkiem głupio.

- Jeszcze nie jestem sklarowany, Dicky. Ty wiesz o tym i ja wiem o tym, więc przestańmy pieprzyć.

Uniósł rękę, jak gdyby chciał odparować cios.

- Nadal nie jesteś sklarowany na piśmie - powiedział Dicky. - Na piśmie... a wiesz dlaczego?

- Nie, nie wiem dlaczego. Powiedz mi. Dicky westchnął.

- Dla prostej, ale oczywistej przyczyny, że ten Departament potrzebuje wymówki na przetrzymywanie Stinnesa w londyńskim Centrum Przesłuchań i na wypompowanie z niego, ile się da. Bez trwającego dochodzenia na temat naszego własnego personelu, musielibyśmy przekazać Stinnesa do MI 5... Oto dlaczego Departament jeszcze cię nie sklarował; to jest po prostu konieczność dla Departamentu, Bernard, nic w tym groźnego nie ma.

- Kto kieruje przesłuchaniami Stinnesa? - zapytałem.

- Nie patrz na mnie, stary przyjacielu. Stinnes to parząca sprawa. Nie chcę

mieć z tym do czynienia. Ani Bret... nikt tu, na górnym piętrze, nie chce mieć z tym nic wspólnego.

- Sytuacja może ulec zmianie - powiedziałem. - Jeśli Stinnes dorzuci parę takich kwiatków, jak ten, to parę osób zacznie zastanawiać się, czy kierowanie przesłuchaniami Stinnesa nie jest drogą do sławy i fortuny.

- Nie sądzę - rzekł Dicky. - Ten cynk, którym zająłeś się w Berlinie to był tylko początek... kilka szybkich wypraw, zanim Moskwa zacznie się zastanawiać, co się dzieje z ich siatką. Jak już burza trochę minie, wtedy przesłuchujący udostępnią mu akta... prawda?

- Akta? Masz na myśli, że będą wtykać nos we wszystkie nasze poprzednie operacje?

- No, nie wszystkie. Nie przypuszczam, aby cofali się w czasie aż do chwili, gdy Christopher Marlowe odkrył, że hiszpańska Wielka Armada ruszyła. - Dicky pozwolił sobie na uśmiešek z dowcipu. - Jasne, że Departament będzie chciał przekonać się, czy dobrze trafiamy z naszym zgadywaniem. Rozegrają wszystkie gry ponownie, ale teraz będą wiedzieć, które kończą się happy endem.

- I ty na to pójdziesz?

- Nie będą tego ze mną konsultować, synalku. Ja jestem tylko szefem Sekcji Niemieckiej; nie jestem D-G. Nawet nie zaliczam się do ścisłego kierownictwa.- Udostępnienie Stinnesowi akt wydziałowych będzie wyrazem ogromnego zaufania do niego.

- Wiesz, jaki jest Stary. Zastępca D-G przyszedł wczoraj na jedną ze swych rzadkich wizyt w tym budynku. Rozpływał się nad postępami w przesłuchaniach Stinnesa.

- Jeśli Stinnes jest wtyczką...

- No, jeśli Stinnes jest wtyczką... - Dicky opadł łagodnie w swój stylowy fotel i położył stopy na pasujący doń podnózek. Noc była ciemna, a okna odzwierciedlały w hebanowych taflach szyb wnętrze pokoju. Zapalona była tylko antyczna lampa na biurku; rzucała światło jedynie na to miejsce, gdzie raport i transkrypcja leżały obok siebie. Dicky prawie że tonął w ciemności, z wyjątkiem chwil, kiedy światło odbijało się od mosiężnej sprzączki jego pasa lub błyskało na złotym medalionie, jaki miał zawieszony na szyi. - Ale trudno utrzymać koncepcję, że Stinnes jest wtyczką, gdy nadał nam trzech pewnie ulokowanych agentów po kolei..

Popatrzył na zegarek, zanim zawołał „Kawa!”, dostatecznie głośno, aby

usłyszała go sekretarka w przyległym pokoju. Gdy Dicky pracował do późna, jego sekretarka też pracowała do późna. Nie miał zaufania do personelu z listy dyżurów, jeśli chodzi o przyrządzanie kawy.

- Będzie mówił, ten, co go aresztowałeś w Berlinie? Był rok w bońskim Ministerstwie Obrony, zauważyłem to w aktach.

- Ja go nie aresztowałem; zostawiliśmy to Niemcom. Oni mają dowody i dzięki Volkmannowi, mają też kobietę, która przysłała podjąć materiał z samochodu.

- I jestem pewny, że wszystko to jest w twoim raporcie. Czy już jesteś oficjalnym sekretarzem klubu fanów Wenera Volkmana? Czy też robisz to dla wszystkich swoich starych kumpli ze szkoły?

- Jest bardzo dobry w tym, co robi.

- No i bardzo dobrze, zgadzamy się, ale nie mów mi, że gdyby nie Volkman, tobyśmy nie mieli tej kobiety. Obserwacja samochodu to standardowy tok postępowania. Na litość boską, Bernard, każdy glina w swoim okresie próbnym zrobiłby to jako rzecz rutynową.

- Przydałaby mu się bardzo jakaś pochwała.

- Nie, nie dam mu żadnej cholernej pochwały. Nie myśl sobie, że tylko dlatego, że jest twoim bliskim przyjacielem, masz prawo wyłudzać ode mnie jakąś pochwałę czy przywilej dla niego.

- To nic nie kosztuje, Dicky - odezwałem się łagodnie.

- Nie, nic nie kosztuje - odrzekł Dicky sarkastycznie. - Aż do następnego razu, kiedy to wykona jakieś monumentalne gmoństwo. Wtedy zapytają mnie, dlaczego dałem mu pochwałę; wtedy to będzie kosztowało. Wtedy będę musiał wygrzebywać się z tego, a może i stracę szansę na awans.

- Tak, Dicky - powiedziałem.

Awans? Dicky był o dwa lata młodszy ode mnie i awansowano go o parę szczebli wyżej, niż pozwalały na to jego kompetencje. O jaką promocję mu chodziło? Ledwie co odparł próbę Breta Rensselaera przejęcia Sekcji Niemieckiej. Wydawało mi się, że powinien być zadowolony z umacniania swojej dobrej pozycji.

- No, a co z tą Angielką? - Postukał w napisaną z grubsza transkrypcję jej oświadczenia. - Wygląda na to, że skłoniłeś ją do mówienia.

- Nie mogłem jej powstrzymać - powiedziałem.

- Ot, tak sobie, co? Nie chcę dziś wieczorem znowu przez to wszystko brnąć.

Coś istotnego?



- Pewne nieskładności, które należałoby prześledzić.

- Na przykład?

- Pracowała w Londynie, obsługując ekspresową wysyłkę wybranych materiałów krótkofalówką do Moskwy.

- To musiało być cholernie pilne - rzekł Dicky. A więc już to zauważył. Czy czekał, aż poruszę temat? - A to znaczy bardzo dobre. Tak? Mam na myśli, że nawet nie przechodziło to przez radio ich ambasady, więc było to źródło, które chcieli bardzo, bardzo utajnić.

- Prawdopodobnie materiał Fiony - zasugerowałem.

- Ciekaw byłem, czy zaskoczysz - powiedział Dicky. - Oczywiście, że był to materiał przekazywany przez twoją żonę z naszych codziennych operacyjnych danych.

Lubił rozdrapywać rany. Nakładał na mnie odpowiedzialność za to, co zrobiła Fiona; praktycznie biorąc powiedział to nie raz.

- Ale materiał ciągle napływał. Dicky zmarszczył brwi.

- Do czego zmierzasz?

- Napływał. Materiał pierwszej klasy, nawet po tym jak Fiona zmyła się.

- Ta kobieta nadawała materiał z różnych źródeł - rzekł Dicky. - Pamiętam, co powiedziała, kiedy odtwarzałeś mi jej nagranie.

Wziął do ręki transkrypcję i usiłował znaleźć to, czego chciał, w potoku *hmmmmmm* i *ha* lub „niezrozumiały fragment”, które są zawsze częścią tego typu zapisów z taśmy magnetofonowej. Położył stronice z powrotem na biurku. - W każdym razie pamiętam, że były tam dwa zakodowane hasła: JAKE i IRONFOOT. Czy to właśnie niepokoili cię?

- Powinniśmy pójść za tym! - powiedziałem. - Nie lubię takich nie dopracowanych zakończeń jak te. Daty sugerują, że Fiona była IRONFOOT. A kto u diabła był JAKE?

- Nasze zmartwienie to materiał Fiony. Cokolwiek jeszcze Moskwa dostała - i nadal dostaje - to sprawa dla Piątki. Wiesz o tym, Bernard. Nie naszym zadaniem jest wyszukiwanie sowieckich szpiegów, gdzie się da.

- Ale nadal sądzę, że powinniśmy skonfrontować oświadczenie tej kobiety z tym, co wie Stinnes.

- Stinnes to nie moja sprawa, Bernard. Przed chwilą powiedziałem ci to.

- No, ale ja sądzę, że powinna być. To czyste wariactwo, że nie mamy do

niego dostępu bez zwracania się do Centrum Przesłuchań o pozwolenie.

- Pozwól, że coś ci powiem, Bernard - powiedział Dicky wychylając się głęboko do tyłu w siedzeniu z miękkiej skóry i przyjmując postawę oksfordzkiego wykładowcy wyjaśniającego chłopcu na posyłki prawo ciężenia. - Kiedy londyńskie Centrum Przesłuchań zakończy sprawę Stinnesa, tutaj, na górze, spadną głowy. Wiesz o tych gigantycznych gamoniostwach, jakie nękają od paru lat ten Departament. Będziemy mieć tutaj bardzo dokładne instrukcje na temat działalności Stinnesa w Berlinie. Każda decyzja podejmowana przez wyższy personel będzie badana w świetle pełnej świadomości, jak to było. Może zrobić się bałagan; ci którzy w przeszłości podejmowali złe decyzje, zostaną gładko pozbawieni pracy.

Dicky uśmiechnął się. Mógł sobie pozwolić na uśmiech; Dicky nigdy w życiu nie podejmował decyzji. Kiedykolwiek miało się zdarzyć coś, co wymagało podjęcia decyzji, Dicky udawał się do domu z bólem głowy.

- I sądzisz, że ktokolwiek kieruje przesłuchaniem Stinnesa, ten stanie się niepopularny?

- Prowadzenie polowania na czarownice najprawdopodobniej nie będzie towarzyskim plusem - powiedział Dicky.

Pomyślałem, że „polowanie na czarownice” nie jest najtrafniejszym określeniem pozbywania się ludzi niekompetentnych, ale było wielu, którym terminologia Dicky’ego przypadłaby do gustu.

- I to nie tylko moja opinia - dodał. - Nikt nie chce wziąć Stinnesa. I nie chcę, żebyś mówił, że jesteśmy za niego odpowiedzialni.

Sekretarka Dicky’ego wniosła kawę.

- Już miałam podać kawę, panie Cruyer... - powiedziała przepraszająco. Była to przypominająca myszkę wdowa, której każda strona maszynopisu upstrzona była białą farbą korekcyjną. Kiedyś sekretarką Dicky’ego była zgrabna dwudziestopięcioletnia rozwódka, ale jego żona, Daphne, zmusiła go, żeby się jej pozbył. Dicky wtedy udawał, że wyrzucenie dziewczyny z pracy było jego pomysłem; powiedział, że nie umiała odpowiednio zagotować wody do jego kawy.

- ...Ale właśnie zadzwoniła pana żona. Chciała się dowiedzieć, o której może spodziewać się pana na kolacji.

- I co jej powiedziałaś? - spytał ją Dicky.

Kobiecina zawahała się, przejęta tym, czy zrobiła właściwą rzecz.

- Powiedziałam, że jest pan na zebraniu i że zadzwonię do niej.

- Powiedz żonie, żeby nie czekała na mnie z kolacją. Gdzieś coś przekąszę.

- Jeśli chcesz iść, Dicky... - powiedziałem wstając.

- Siadaj, Bernard. Nie możemy zmarnować dobrej filiżanki kawy. Niedługo przyjdę do domu. Daphne wie, jaka to praca; ostatnio osiemnaście godzin na dobę.

Nie była to łagodna, melancholijna refleksja, ale głośna proklamacja wobec świata, a przynajmniej wobec mnie i jego sekretarki, która oddaliła się, aby donieść o tym Daphne.

Skinałem głową, ale nie mogłem powstrzymać się od zadania sobie pytania, czy Dicky nie planuje wizyty u jakiejś innej damy. Ostatnio zauważyłem u niego błysk w oku, sprężysty krok i niezwykłą chęć do pozostawania w biurze po godzinach.

Dicky podniósł się z fotela i wydziwiał nad antyczną tacą, którą sekretarka z taką ostrożnością umieściła na bocznym stoliku. Wylał gorącą wodę i do ogrzanych nią filiżanek wlał po pół czarnej. Dicky był bardzo dbały o swoją kawę. Dwa razy w tygodniu wysyłał jednego z kierowców po paczkę świeżo palonych ziaren od pana Higginsa na South Molton Street - *czagga*, żadnych mieszanek - i musiały być mielone tuż przed zaparzeniem.

- Dobra - powiedział, popijając drobnymi łyżkami, z całą wystudiowaną uwagą konesera, za którego się uważał. Zaaprobawszy kawę, dolał mi trochę.

- Czy nie byłoby lepiej trzymać się z dala od Stinnesa, Bernard? On już do nas nie należy, prawda?

Uśmiechnął się. Był to zwykły rozkaz; znałem styl Dicky'ego.

- Czy mogę prosić o trochę mleka, śmietanki albo czegoś w tym rodzaju? - powiedziałem. - Taka mocna kawa, jaką ty robisz, nie pozwala mi zasnąć w nocy. Zawsze przynoszono mu razem z kawą dzbanek śmietanki i cukierniczkę, chociaż nigdy ich nie używał. Kiedyś powiedział mi, że w jego pułku w kantynie śmietanka zawsze była na stole, ale korzystanie z niej traktowano jako złe maniery. Ciekaw byłem, czy w armii było dużo ludzi takich jak Dicky; taka myśl była przerażająca. Przyniósł mi śmietankę.

- Starzejesz się, Bernard. Czy myślałeś kiedyś o joggingu? Ja biegam codziennie z rana trzy mile - lato, zima, Gwiazdka, każdego ranka jak leci.

- I czy ci to pomaga? - spytałem, gdy nalewał mi śmietanki z dzbanka w kształcie krowy.

- Na Boga, Bernard. Jestem sprawniejszy niż wtedy, gdy miałem dwadzieścia

pięć lat. Słowo daję.

- A w jakiej byłeś formie mając dwadzieścia pięć? - zapytałem.

- Cholernie dobrej. - Postawił dzbanek, aby wsadzić palce za sprzączkę u pasa podtrzymującego jego dzinsy. Wciągnął brzuch dla przesadnego podkreślenia, jaki był smukły, a potem klepnął się po nim rozpląszczoną dłonią. Nawet bez wciągania brzucha, całkowity brak tłuszczu robił wrażenie. Zwłaszcza biorąc pod uwagę niezliczone długie kolacje, które zapisywał na konto wydatków specjalnych, płatnych przez biuro.

- Ale nie w takiej dobrej jak teraz? - naciskałem.

- Nie byłem taki gruby i sflaczały jak ty, Bernard. Nie ziajałem za każdym razem po wejściu na piętro.

- Myślałem, że teraz Bret Rensselaer przejmie przesłuchania Stinnesa.

- Przesłuchania - powiedział nagle Dicky. - Jak ja tego słowa nienawidzę.

Słuchasz instrukcji, słuchasz, a potem ciebie odsłuchują.

- Myślałem, że Bret rzuci się na to. On nie ma zajęcia od czasu, jak zwerbowano Stinnesa.

Dicky zaśmiał się w kułak, jak tylko mógł najciszej.

- Bez pracy, odkąd próbował zasiąść za moim biurkiem, ale mu się to nie udało. To masz na myśli, prawda?

- Chciał zająć twoje stanowisko? - rzekłem niewinnie, chociaż Dicky zdążył mi już dostarczyć kilku krótkich opisów taktyki Breta, i własnych przeciwdziałań.

- Chryste, Bernard, wiesz, że tak było. O wszystkim ci mówiłem.

- W takim razie na co on teraz czyha?

- Chciałby przejąć Berlin, kiedy Frank odejdzie.

Praca Franka Harringtona jako Szefa Berlińskiej Jednostki Operacyjnej zawsze była moim marzeniem, ale oznaczało to ścisły związek z Dickym, nawet czasami, słuchając jego rozkazów (choć takie rozkazy od niego były opakowane w ugrzecznione dwuznaczności i podpisane przez zastępcę Szefa Wydziału Europejskiego albo odpowiedzialnego za decyzje firmy), Bret by sobie takiej roli nie cenił.

- Berlin? Bret? Czy on chciałby tę robotę?

- Mówią, że Frank dostanie swój tytuł szlachecki, a potem odejdzie.

- Czyli Bret planuje pobyt w Berlinie aż do jego emerytury, z nadzieją, że on też dostanie szlachectwo? - Wydawało się to nieprawdopodobne. Towarzyskie życie

Breta skupiało się wokół modnie ubranych i bogatych arystokratów pieniądza z dzielnicy London S.W.I. Nie wyobrażałem go sobie męczącego się w Berlinie.

- Dlaczegożby nie? - rzekł Dicky, który wydawał się rumienić, gdy tylko była mowa o tytułach szlacheckich.

- Dlaczego nie? - powtórzyłem. - Bret nie zna języka, po pierwsze.

- Daj spokój, Bernard! - powiedział Dicky, który znał niemiecki tyle co Bret. - On będzie tam kierował sprawami; nie będzie musiał przekonywać ludzi, że jest murarzem z Prenzlauer Berg.

Trafny strzał dla Dicky'ego. Bernard Samson spędził młodość przyjmując postaci właśnie takich skromniutkich, mówiących z pospolitym akcentem obywateli Niemiec Wschodnich.

- To nie tylko kwestia wydawania wdzięcznych przyjęć w tym dużym domu w Grinewald - powiedziałem. - Ktokolwiek przejmuje Berlin, musi znać miasto. Będzie również potrzebował rozeznania wśród różnych kanciarzy i obwiesiów, przychodzących sprzedać swoje nędzne strzępy informacji dla wywiadu.

- To ty to mówisz - zachnął się Dicky, nalewając sobie jeszcze kawy. Podniósł dzbanek. - Jeszcze trochę? - Kiedy kiwnięciem głowy odmówiłem, ciągnął dalej: - Bo chcesz zająć pozycję Franka... nie mów, że nie, wiesz, że to prawda. Zawsze chciałeś mieć Berlin. Ale czasy się zmieniły, Bernard. Czasy twardego przepychania się skończone są raz na zawsze. To było w porządku za czasów twojego ojca, kiedy byliśmy *de facto* okupantami. Ale teraz - niezależnie od tego, co mówią prawnicy - Niemców trzeba traktować jak równych partnerów. W Berlinie potrzebny jest właśnie ktoś taki gładki, jak Bret, ktoś, kto może oczarować tamtejszych i wykonać robotę drogą łagodnej perswazji.

- Czy mogę zmienić zdanie na temat kawy? - przerwałem mu. Podejrzywałem, że poglądy Dicky'ego przeważały wśród mandarynów ostatniego piętra. Nie było sposobu, żebym znalazł się na tejkroćciutkiej liście miłych i grzecznych, którzy wykonywali swoją robotę drogą łagodnej perswazji, a więc oznaczało to pożegnanie z moimi szansami na Berlin.

- Nie bądź taki cholernie smutny - powiedział Dicky nalewając kawy. - Obawiam się, że same fusy. Chyba szykowałeś się na poważnie do zajęcia posady Franka, prawda? - Uśmiechnął się na myśl o tym.

- W centralnym budżecie nie ma tyle pieniędzy, żeby skłonić mnie do powrotu do Berlina na jakikolwiek stały pobyt. Spędziłem tam pół życia. Należy mi się praca

w Londynie, toteż tutaj zostanę.

- Jeśli już być, to tylko w Londynie - rzekł Dicky.

Ale nie udało mi się go oszukać. Moje oburzenie było zbyt silne, a wyjaśnienie za długie. Absolwent prywatnej szkoły taki jak Dicky wykonałby lepszą robotę skrywając swoje zgorzknienie. Z chłodnym uśmiechem rzekłby, że berlińska placówka byłaby „super”, a powiedziałby to w taki sposób, iż wydawałoby się, że nic go to nie obchodzi.

\* \* \*

Byłem w swoim biurze około dziesięciu minut, gdy usłyszałem kroki Dicky'ego, idącego korytarzem. Chyba tylko Dicky i ja jeszcze pracowaliśmy, niezależnie od ludzi na nocnym dyżurze, i właśnie te jego kroki pobrzmiwały nienaturalnie ostro, jak to zwykle bywa, kiedy słuchamy różnych dźwięków w nocy. A przy tym, zawsze rozpoznałbym odgłos kowbojskich butów Dicky'ego.

- Czy wiesz, co ci palnięci w mózg zrobili? - zapytał, stając w drzwiach, ręce na biodrach, nogi rozstawione, jak szeryf Wyatt Earp wchodzący do saloonu w Tombstone.

Wiedziałem, że połączył się z Berlinem, gdy tylko wyszedłem od niego z pokoju; zawsze było mu łatwiej bruździć komuś w pracy, niż robić to, co do niego należało.

- Zwolnili go?

- Tak jest - powiedział.

To, że trafnie odgadłem, rozzłościło go jeszcze bardziej, tak jakby przypuszczał, że miałem w tym udział.

- Skąd wiedziałeś?

- Nie wiedziałem. Ale nie trudno było odgadnąć, kiedy tak stanąłeś wściekły, że hej.

- Zwolnili go godzinę temu. Na bezpośrednie polecenie z Bonn. Są zdania, że rząd nie może przetrzymać kolejnego skandalu. Jak można dopuszczać do tego, żeby polityka przeszkadzała nam w pracy?

Odnutowałem w pamięci tę miłą frazę: „nam w pracy”.

- Wszystko to jest polityką - powiedziałem spokojnie. - Szpiegostwo dotyczy polityki. Usuń politykę, a szpiegostwo nie będzie ci potrzebne, czy nawet jakiegokolwiek jego rekwizyty.

- Przez rekwizyty masz na myśli nas, jak mniemam. No, wiedziałem, że

będziesz miał jakąś cholernie sprytną odpowiedź.

- Nie rządźmy światem, Dicky. Możemy go przenicować i napisać raport.

Potem to już rzecz dla polityków.

- Chyba tak.

Złość opuszczała go. Często miewał takie gwałtowne napady, ale nie trwały długo, pod warunkiem, że miał się na kogo wyrzeszczyć.

- Twoja sekretarka już poszła? - spytałem.

Przytaknął skinieniem głowy. To wyjaśniało wszystko - zwykle biedna sekretarka musiała znosić lwią część jego furii, gdy sprawy na świecie przebiegały kompletnie nie po jego myśli.

- Ja też idę - rzekł, spoglądając na zegarek.

- Mam jeszcze mnóstwo roboty - powiedziałem.

Wstałem zza biurka i włożyłem papiery do sejfu przekręcając cyferki w zamku. Dicky stał nadal. Popatrzyłem na niego, unosząc brew.

- I ta cholerna Millerowa - powiedział Dicky. - Próbowała ze sobą skończyć.

- Chyba jej nie zwolnili?

- Nie, naturalnie, że nie. Ale pozwolili jej zatrzymać tabletki nasenne.

Wyobrażasz sobie taką głupotę? Powiedziała im, że to aspiryna i że musi ją brać, kiedy miesiączkuje. Uwierzyli i gdy tylko na pięć minut zostawili ją samą, łyknęła wszystko, co było w buteleczce.

- No i?

- Jest teraz w klinice w Steglitz; pompowanie żołądka, chyba będzie dobrze.

Ale pytam... Bóg tylko jedyny wie, kiedy będzie nadawała się do kolejnych przesłuchań.

- Dicky, ja bym się tak nie przejmował.

Ale on stał nadal, oczywiście nie mając chęci do odejścia bez dalszego słowa pocieszenia.

- I to wszystko musiało się zdarzyć dziś wieczór, kiedy idę na umówioną kolację.

Popatrzyłem na niego i skinąłem głową. Czyli nie myliłem się. Zagryzł wargi zły, że wypsnął mu się jego sekret.

- Ale to między nami, naturalnie.

- Nie puszcze pary z ust - powiedziałem. I tak oto Kontroler wszystkich Niemieckich Sekcji odmaszerował na umówioną randkę przy kolacji. Było czymś

orzeźwiający zdać sobie sprawę, że człowiek na pierwszej linii frontu zachodniego systemu wywiadowczego nie potrafił nawet zachować w tajemnicy swoich własnych przypadków niewierności.

Gdy Dicky Cruyer oddalił się, ja zszedłem na dół do działu filmów i zabrałem z półki szpulę czekającą na wpisanie do rejestru. Nadal była w opakowaniu ze znakami kurierskimi. Wstawiłem ją w aparat i zaciemniłem światło, zerkając na ekran.

Napisy i komentarz były po węgiersku. Film dotyczył pewnej konferencji bezpieczeństwa w Budapeszcie. Nic specjalnie tajnego; film kręcony był przez Węgierską Kronikę Filmową w celu dystrybucji wśród agencji prasowych. Mieliśmy wykorzystać tę kopię dla bieżącej identyfikacji obecnych tam oficjeli.

Budynek konferencyjny był wspaniałym pałacem w dobrze utrzymanym parku. Ekipa filmowa zrobiła dokładnie to, czego od niej oczekiwano: sfilmowali zajeżdżające duże, czarne, błyszczące samochody, były tam zdjęcia oficerów i cywili idących do góry po marmurowych schodach i obowiązkowe ujęcie delegatów hurtem przy olbrzymim stole, gdy przesyłali między sobą przyjazne uśmiechy.

Taśma leciała aż do chwili, gdy kamera objechała stół. Pokazała tabliczkę z napisem: FIONA SAMSON. I oto moja żona - ładniejsza niż kiedykolwiek, idealnie wypielegnowana, uśmiechająca się do kamerzystów. Tu film zatrzymałem. Komentarz zawył i stanął, a ona zamarła w bezruchu, ręka niezgrabnie wygięta, twarz napięta i fałszywy uśmiech. Nie wiem, jak długo siedziałem wpatrując się w nią. Ale nagle drzwi do montażowni otwarły się z hukiem i jasnożółte światło z korytarza zalało całe pomieszczenie.

- Przepraszam, panie Samson. Myślałem, że już wszyscy skończyli pracę.
- To nie praca - powiedziałem. - Po prostu coś sobie przypomniałem.

### **Rozdział III**

Tak więc Dicky, wykpiwszy koncepcję, że nie pozwalają mi mieć kontaktu ze Stinnesem, właściwie dał mi rozkaz, abym się do niego nie zbliżał. No cóż, też dobrze. Po raz pierwszy od wielu miesięcy mogłem jako tako uporządkować swoje biurko. Pracowałem od dziewiątej do piątej i nawet stwierdziłem, że byłem w stanie dołączyć do tych poważnych konwersacji o tym, co było poprzedniego wieczora w telewizji.

I wreszcie miałem możliwość spędzania więcej czasu z dziećmi. Przez



minione sześć miesięcy byłem dla nich niczym obcy. Nigdy nie pytały o Fionę, lecz teraz, gdy już przygotowaliśmy papierowe dekoracje na święta Bożego Narodzenia, posadziłem je i powiedziałem, że mama ma się dobrze, tylko musiała podjąć pracę za granicą.

- Wiem - powiedział Billy. - Ona jest w Niemczech z Rosjanami.

- Kto ci to powiedział? - zapytałem.

Ja mu nie mówiłem. Nikomu nie mówiłem. Tuż po ucieczce Fiony, Dyrektor Generalny przemówił do całego personelu w stołówce na dole - D-G był eks-wojskowym, pielęgnującym w sobie nie skrywany podziw dla techniki postępowania z niższymi rangą, stosowanej przez nieżyjącego marszałka polnego Montgomery'ego - i powiedział nam, że żadnej wzmianki o ucieczce Fiony nie należy umieszczać w żadnym raporcie na piśmie i że pod żadnym pozorem nie wolno o tym mówić poza naszym budynkiem. Premier został poinformowany, a każdy, kto się liczył w Foreign Office, wiedział o tym z codziennych raportów. We wszelkich innych przypadkach całą sprawę należało „zatrzymać dla siebie”.

- Dziadek nam powiedział. No tak, to był ktoś, kogo D-G nie wziął pod uwagę; mój niepohamowany teść, David Kimber-Hutchinson, który wedle własnych słów, zawdzięczał wszystko tylko sobie.

- A co jeszcze wam powiedział? - spytałem.

- Nie pamiętam - Billy opuścił głowę.

To było bystre dziecko, z akademickim zacięciem, kalkulujące i ciekawe wszystkiego w sposób naturalny. Pamięć miał przeogromną. Zastanawiałem się, czy to był jego sposób sygnalizowania, że nie chce o tym zbyt dużo mówić.

- Powiedział, że mamusia nieprędko wróci - odezwała się Sally.

Była młodsza od Billy'ego, otwarta na innych, a jednocześnie introwertyczka w ten tajemniczy sposób, który przypada dzieciom drugim z rzędu, no i bliższa matki. Sally nigdy nie miewała nastrojów takich jak Billy, ale była bardziej wrażliwa. Znosiła nieobecność matki lepiej, niż myślałem, ale jednak ciągle się o nią martwiłem.

- Miałem zamiar wam o tym powiedzieć - odezwałem się. Przyniosło mi ulgę, że dzieci tak spokojnie reagowały na rozmowę o zniknięciu ich matki. Fiona zawsze organizowała wycieczki i strasznie zabiegała o najmniejsze drobiazgi w czasie ich kinder-bali. Moje wysiłki były tu mizernym substytutem i wszyscy o tym wiedzieli.

- Mamusia tak naprawdę to jest tam, żeby dla nas szpiegować, prawda, tato? -

powiedział Billy.

- Uhm - przytaknąłem. Trudno było na to odpowiedzieć. Obawiałem się, że Fiona bądź jej koledzy z KGB porwą dzieci i zabiorą do Berlina Wschodniego lub Moskwy albo gdzie indziej, jak to już raz próbowała zrobić. Gdyby spróbowała znowu, nie chciałem jej tego ułatwić, ale nie mogłem sam siebie nakłonić do tego, aby ostrzec dzieci przed ich własną matką. - Nic nie wiadomo - odpowiedziałem niejasno.

- No pewnie, to tajemnica - powiedział Billy z tym konfidencjonalnym wzruszeniem ramion stosowanym przez Dicky'ego Cruyera dla podkreślenia rzeczy oczywistych. - Nie martw się, nikomu nie powiem.

- Po prostu lepiej powiedzieć, że wyjechała - zasugerowałem.

- Dziadek powiedział, żeby mówić, że mamusia jest w szpitalu w Szwajcarii.

To było typowe dla Davida: wymyślić jakąś zbkowaną i zwodniczą historyjkę wciągającą dzieciaki.

- A więc mamusia i ja rozstaliśmy się - powiedziałem z rozpędu. - I zaprosiłem pewną panią z biura do nas, na dzisiejsze popołudnie.

Cisza trwała długo. Billy patrzył na Sally, a Sally na swoje nowe pantofelki.

- I nawet nie zapytacie, jak ma na imię? - rzuciłem desperacko. Sally popatrzyła na mnie swoimi dużymi błękitnymi oczyma.

- Ona z nami zostanie? - spytała.

- Nie potrzebujemy nikogo, żeby tu mieszkał z nami. Macie nianię - powiedziałem, unikając konkretnej odpowiedzi.

- Ona będzie używać naszej łazienki? - spytała Sally.

- Nie, raczej nie - powiedziałem. - Ale dlaczego pytasz?

- Niania nie lubi gości, co chodzą do naszej łazienki.

To było coś nowego na temat niani, cichej, pulchnej dziewczyny ze wsi z Devon, która mówiła szeptem, oglądała wszystkie programy telewizyjne jak zauroczona, żarła czekoladki tonami i nigdy nie narzekała.

- Dobrze, już postaram się o to, żeby używała mojej łazienki - obiecałem.

- A czy ona musi przyjść dzisiaj? - dopytywał się Billy.

- Zaprosiłem ją na podwieczorek, żebyśmy mogli być razem - powiedziałem. - A potem, jak pójdziecie do łóżka, zapraszam ją na kolację do restauracji.

- Chciałbym, żebyśmy wszyscy mogli pójść do restauracji - powiedział Billy, który niedawno dostał granatowy blezer oraz długie spodnie i chciał się pokazać.

- Do której restauracji? - spytała Sally.
- Tej greckiej, gdzie Billy obchodził swoje urodziny.
- Kelnerzy śpiewali mu *Happy Birthday*.
- Słyszałem o tym.
- Nie było cię w domu.
- Byłem w Berlinie.
- To powiedz im, że to urodziny twojej dziewczyny - powiedziała Sally. -

Będą strasznie fajni dla niej i nigdy się nie dowiedzą.

- Ona nie jest moją dziewczyną - wyjaśniłem. - Po prostu znajoma.
- Ona jest taty chłopcem - powiedział Billy. Sally zaśmiała się.
- Po prostu znajoma - oznajmiłem chłodno.
- Ja i moi kochasie jesteśmy przyjaciółmi - powiedziała Sally, przyjmując

głosowo styl „Hollywood”.

- Słyszała to na filmie - wyjaśnił Billy. - Nazywa się Gloria - powiedziałem.
- Nic nie ma na podwieczerek - niespodziewanie zatroszczyła się Sally. -

Nawet biszkoptów.

- Niania zrobi grzanki - rzekł Billy, by podtrzymać mnie na duchu. - Zawsze robi grzanki, gdy nie ma nic na podwieczerek. Grzanki z masłem i dżemem. Całkiem dobre.

- Sądzę, że przyniesie tort.

- Ciocia Tessa przynosi najlepsze torty - rzekła Sally. - Ona je kupuje w sklepie blisko Harrodsa.

- Bo ciocia Tessa jest bardzo bogata - powiedział Billy. - Ona ma rolls-royce'a.

- Przyjeżdża tu volkswagenem - dziwiła się Sally.

- No bo nie chce się popisywać - powiedział Billy. - Słyszałem, jak kiedyś mówiła to przez telefon.

- Myślę, że ona bardzo się popisuje - powiedziała Sally głosem pełnym podziwu. - Tata, a ciocia Tessa nie mogłaby być twoją dziewczyną?

- Ciocia Tessa jest żoną wujka George'a - uciałem, zanim wszystko wymknęłoby mi się z ręki.

- Ale ciocia Tessa nie jest mu wierna - Sally powiedziała Billy'emu. Zanim zdążyłem zaprzeczyć niezaprzeczalnemu faktowi, Sally, spojrzawszy na mnie, dodała: - Słyszałam, jak tatuś mówił o tym mamusi któregoś dnia, kiedy nie

powinam słuchać.

- A jaki tort przyniesie? - spytał Billy.

- Czy przyniesie czekoladowy? - spytała Sally.

- Dla mnie najlepsze są baby z rumem - rzekł Billy. - Specjalnie gdy mają dużo rumu.

Ciągle rozmawiali o swoich ulubionych tortach - dyskusja taka może ciągnąć się bardzo długo - gdy zadzwonił dzwonek u drzwi.

Gloria Zsuzsa Kent była wysoką i bardzo piękną blondynką, której dwudzieste urodziny właśnie się zbliżały. Miała stanowisko zwane w służbie *Executive Officer*, co znaczyło, że może być awansowana na Dyrektora Generalnego. Wyposażona w dobre szkolne stopnie i płynny węgierski, którego nauczyła się od rodziców, weszła w skład personelu Departamentu na podstawie niezbyt klarownej obietnicy płatnego urlopu na czas studiów uniwersyteckich. Prawdopodobnie wydawało się to dobrym pomysłem w tym czasie. Dicky Cruyer miał za sobą służbę w armii - i Bret studia w Oxfordzie - i to ważyło na awansach. Ale teraz cięcia w finansach spowodowały, że utknęła w miejscu na poziomie drugorzędnej roboty biurowej.

Zdjęła swój kosztowny zamszowy płaszcz na futrzanym podbiciu, a dzieci wydawały okrzyki radości, gdy odkryły, że przyniosła im rumowe baby i czekoladowy tort, które uwielbiały.

- Potrafisz czytać w myślach - powiedziałem. Pocałowałem ją. Postarałem się, żeby na oczach dzieci nie wyglądało to na więcej niż, ot, taki sobie dziobek, jaki dostaje się wraz z Legią Honorową.

Uśmiechnęła się, gdy dzieci dawały jej dziękczynne całusy, zanim poszły nakrywać do podwieczorku. - Uwielbiam twoje dzieci, Bernard.

- Wybrałaś ich ulubione ciasta - powiedziałem.

- Mam dwie młodsze siostry. Wiem, co dzieci lubią. Usiadła przy kominku grzejąc dłonie. Popołudniowe światło zanikało i w pokoju było ciemno. Widać było tylko pobłysk na jej jasnoblond włosach i odbicia kominkowego ognia na rękach i twarzy.

Weszła niania, wymieniając po przyjacielsku z Glorią hałaśliwe pozdrowienia. Rozmawiały parokrotnie przez telefon, a poza tym były mniej więcej w tym samym wieku, więc moje obawy co do reakcji niani na wiadomość, że mam „dziewczynę”, ustały.

Niania odezwała się do mnie:

- Dzieci chcą robić grzanki tutaj przy kominku, ale ja mogę je zrobić z łatwością w opiekaczu.

- Usiądźmy przy kominku i zjedźmy podwieczorek - powiedziałem.

Niania popatrzyła na mnie bez słowa.

- Co ci nie pasuje, nianiu?

- Będzie lepiej jak zjemy w kuchni. Dzieci nakruszą i nabałaganią tutaj, a pani Dias przyjdzie sprzątać dopiero we wtorek.

- Jesteś nudziara, nianiu - zażartowałem.

- Ja posprzątam, Doris - powiedziała Gloria do niani. Doris! No, patrzcie państwo, jak te dwie zaprzyjaźniły się!

- I panie Samson - powiedziała niania z wyczekiwaniem w głosie. - Dzieci były zaproszone na wieczór do jednego ze szkolnych kolegów Billy'ego. Do rodziny Dubois. Mieszkają blisko Swiss Cottage. Obiecałam, że dam im znać przed piątą.

- Oczywiście. W porządku. Jeśli tylko dzieci chcą tam iść. A ty też tam idziesz?

- Tak, chciałabym. Mają *Deszczową piosenkę* na video i będzie zupa i kanapki. Inne dzieci też przyjdą. Wrócimy trochę późno, ale dzieci mogą jutro pospać dłużej.- No dobrze, tylko jedź uważnie, nianiu. W sobotni wieczór miasto pełne jest pijanych kierowców.

Z kuchni doleciały okrzyki radości, gdy niania tam weszła i przekazała moją decyzję. A podwieczorek to była sama rozkosz. Dzieci recytowały Glorii wierszyki, Billy pokazał swoje trzy nowe sztuczki magiczne, które ćwiczył przed bożonarodzeniowym występem w szkole.

\* \* \*

- O ile pamiętam - powiedziałem - to obiecałem, że zabiorę cię do greckiej restauracji na kolację, potem wypijemy trochę w *Les Ambassadeurs* i odwiozę cię do domu, do rodziców.

- Tu jest lepiej - rzekła.

Byliśmy w łóżku. Nic nie powiedziałem.

- Lepiej, prawda? - powiedziała z wyczekiwaniem w głosie. Pocałowałem ją.

- To wariactwo, i wiesz o tym.

- Niania i dzieci wrócą późno.

- Mam na myśli ciebie i mnie. Kiedy zdasz sobie sprawę, że jestem o dwadzieścia lat starszy od ciebie?

- Ty mnie kochasz i ja ciebie Kocham.
- Nie mówiłem, że cię Kocham - powiedziałem.

Zrobiła smutną minę. Niechętnie traktowała fakt, że nie powiedziałem dotąd, że ją Kocham; ale byłem niewzruszony; była tak młoda, iż czułem, że ją wykorzystuję. Było to absurdalne, ale odmawianie sobie wyznania jej miłości dawało mi możliwość utrzymania resztki szacunku dla siebie.

- To nie ma znaczenia. - Naciągnęła pościel na nasze głowy robiąc namiot. -  
Wiem, że mnie kochasz, ale nie chcesz tego przyznać.

- Czy sądzisz, że rodzice wiedzą o naszym romansie?
- Czy nadal boisz się, że ojciec pogoni cię?
- Jak cholera.
- Jestem już dorosłą kobietą.

Im bardziej starałem się wyjaśnić moje uczucia do niej, tym bardziej ją to rozbawiało. Śmiała się i przytulała do mnie w łóżku.

- Masz tylko o dziesięć lat więcej niż mała Sally. Zmęczył ją namiot, więc odrzuciła pościel.

- Twoja córka ma osiem lat. Niezależnie od niedokładnej arytmetyki tego przypuszczenia, będziesz musiał się pogodzić z faktem, że gdy twoja córka będzie miała o dziesięć lat więcej, to stanie się także dorosłą kobietą. Nawet dużo prędzej, w rzeczy samej. Jesteś stary piernik, Bernard.

- Dicky mówi mi, że jestem gruby i sflaczały, a ty, że jestem stary piernik. To wystarczy, żeby zrujnować człowiekowi ego.

- Nie takie ego, jak twoje, Kochanie.
- Chodź do mnie - powiedziałem.

Objąłem ją mocno i pocałowałem. Prawda była taka, że coraz bardziej się w niej zakochiwałem. Zbyttno zaprzętała moją uwagę; wkrótce wszyscy w biurze odgadną, co jest między nami. A co gorsza, zaczynałem się obawiać perspektywy zakończenia tego romansu nie w porę. A to, jak przypuszczam, to miłość.

- Przez cały tydzień wypisywałam akta dla Dicky'ego.
- Wiem i jestem zazdrosny.
- Dicky to taki idiota - powiedziała bez żadnej przyczyny. - Kiedyś uważałam go za mądrego, ale z niego taki głupiec.

Była rozbawiona i przekorna, ale zauważyłem w jej głosie element afektacji. Wydawało się, że Dicky u wszystkich kobiet wywołuje instynkty macierzyńskie,

nawet u swojej żony.

- Mnie to mówisz. Przecież pracuję dla niego.

- Czy myślałeś kiedyś o opuszczeniu Departamentu, Bernard?

- Ciagle o tym myślę. Ale cóż ja bym robił?

- Mógłbyś robić prawie wszystko - powiedziała z naciskiem pełnym uwielbienia i szczerego przekonania, co charakteryzuje zwykle bardzo młodych.

- Mam czterdziestkę - przypomniałem. - Firmy nie potrzebują obiecujących „młodych” ludzi w wieku czterdziestu lat. Nie pasują do układów emerytalnych i są zbyt starzy, żeby być cudownymi dziećmi.

- Ja odejdę niedługo - powiedziała. - Ci dranie nigdy nie dadzą mi płatnego urlopu, abym mogła iść do Cambridge, a jeśli nie pójdę na przyszły rok, to nie wiem, kiedy w ogóle będę mogła się tam dostać.

- Czy powiedzieli ci, że nie dostaniesz płatnego urlopu?

- Zapytali mnie, czyby mi odpowiadał urlop bezpłatny. To właśnie Morgan; ten walijski gnojek wykonujący całą brudną robotę dla biura Dyrektora Generalnego.

- A co ty powiedziałaś?

- Powiedziałam mu, żeby się wypchał.

- Tymi słowy?

- Nie ma potrzeby owijać w bawełnę, prawda?

- Zgadzam się całkowicie, kochanie.- Nie mogę znieść Morgana - powiedziała. - I twoim przyjacielem on też nie jest. Słyszałam, jak rozmawiał z Bretem Rensselaerem w zeszłym tygodniu. Mówili o tobie. Słyszałam, jak Morgan powiedział, że naprawdę przykro mu z twojego powodu, i dodał, że twoja żona przechodząc na stronę Rosjan zabrała ci przyszłość w Departamencie.

- A co powiedział Bret?

- On jest zawsze sprawiedliwy, całkowicie beznamiętny, bardzo poważny i uczciwy; to piękny Amerykanin, ten Bret Rensselaer. Powiedział, że Sekcja Niemiecka rozleci się bez ciebie. Na to Morgan, że Sekcja Niemiecka nie jest jedyną sekcją w Departamencie, a Bret powiedział, „Nie, nie jest, lecz jest najważniejsza”.

- A jak Morgan to przyjął?

- Powiedział, że gdy skończy się przesłuchanie Stinnesa, to Bret może będzie miał inny pogląd.

- O rany! O czym ten palant mówi?

- Nie martw się, Bernie. To Morgan sący truciznę. Wiesz, jaki on jest.

- Frank Harrington powiedział, że Morgan to taki Martin Bormann w dzielnicy London S.W.I. - zaśmiałem się.

- Wyjaśnij mi ten dowcip.

- Martin Bormann był sekretarzem Hitlera, lecz dzięki kontrolowaniu roboty papierkowej w biurze Fiihrera i podejmowaniu decyzji, komu wolno było odbyć audiencję z Hitlerem, Bormann stał się szarą eminencją. Decydował o wszystkim, co się tam działo. Ci, którzy zdenerwowali Bormanna, nigdy nie spotkali się z Hitlerem, a ich znaczenie i wpływy coraz bardziej malały.

- I Morgan w ten sam sposób kontroluje Dyrektora?

- D-G nie czuje się zbyt dobrze.

- On kompletnie zwariował - powiedziała Gloria.

- Ma dobre i złe dni - dodałem. Przykro mi było za D-G; dawniej bywał w dobrej formie - twardy, gdy trzeba, ale zawsze skrupulatnie uczciwy. - Podejmując rolę wykonawcy wyroków w biurze D-G - robota, której nikt nie chciał - Morgan stał się przepotężną władzą w tym budynku. I osiągnął to w bardzo krótkim czasie.

- Od kiedy jest w Departamencie?

- Dokładnie nie wiem - dwa, najwyżej trzy lata. Teraz rozmawia ze starymi wygami jak Bret Rensselaer czy Frank Harrington jak równy z równymi.

- To prawda. Słyszałam, jak prosił Breta o przejęcie nadzoru nad przesłuchaniami Stinnesa. Bret powiedział, że nie ma czasu. Morgan na to, że to nie będzie czasochłonne; to tylko kwestia zwykłej kontroli, aby Departament wiedział, co dzieje się z dnia na dzień w londyńskim Centrum Przesłuchań. Można by pomyśleć ze sposobu, w jaki to mówił, że Morgan to D-G.

- A co na to Bret?

- Stwierdził, że potrzebuje czasu na zastanowienie się, więc ustalili, że da Morganowi odpowiedź w przyszłym tygodniu. A potem Bret spytał, czy ktoś orientuje się, kiedy Frank Harrington idzie na emeryturę, a Morgan odezwał się, że nic nie zostało ustalone. Bret powtórzył: „Nic?” takim dziwnym głosem i obaj roześmiali się. Nie wiem, o co tu chodziło.

- D-G ma do nadania tytuł szlachecki. Mówią, że dostanie go Frank Harrington, kiedy pójdzie na emeryturę po odejściu z biura berlińskiego. Wszyscy wiedzą, że Bret dałby sobie odciąć prawą rękę za szlachectwo.

- Rozumiem. To tak zdobywa się tytuły szlacheckie?

- Czasami.



- Było jeszcze coś - powiedziała Gloria. - Miałam ci o tym nie mówić, ale Morgan zastrzegł się, że D-G zdecydował, że byłoby dobrze dla Departamentu, gdybyś przestał pracować w Wydziale Operacyjnym z końcem tego roku.

- Mówisz poważnie? - zaalarmowało mnie to.

- Bret powiedział, że Wydział Bezpieczeństwa Wewnętrznego wystawił ci czyste świadectwo - tak właśnie to sformułował, „czyste świadectwo”. A wtedy Morgan odrzekł, że to nie ma nic wspólnego z Bezpieczeństwem Wewnętrznym; była to kwestia dobrej reputacji Departamentu.

- D-G tak nie mówi - powiedziałem. - To brzmi w stylu Morgana.

- Morgan bruchomówca - rzekła Gloria.

Pocałowałem ją znowu i zmieniłem temat. To zaczynało mnie cholernie przygnębiać.

- Przepraszam - powiedziała, reagując na zmianę mojego nastroju. - Zdecydowanie miałam nic ci nie mówić.

Objąłem ją.

- Skąd wiedziałaś o ulubionych tortach dzieci, ty czarownico?

- Zadzwoiłam do Daphne i zapytałam.

- Ty i niania macie się mocno ku sobie - powiedziałem podejrzliwie.

- Dlaczego nie nazywasz jej „Doris”? - Zawsze mówię do niej „nianiu”. Tak jest lepiej, gdy mieszkamy pod jednym dachem.

- Ale z ciebie pruderyjniak. Ona uwielbia cię, wiesz o tym.

- Nie unikaj mego pytania. Byłyście w zмовie z nianią.

- Z nianią? Odnośnie czego?

- Wiesz, co mam na myśli...

- Nie rób tego. Och, przestań mnie łaskotać! O jej, och! Nie wiem o czym ty mówisz. No przestań!

- Czy kombinowałyście z nianią, żeby ona i dzieci wyszły na wieczór? Żebyśmy mogli pójść do łóżka?

- Oczywiście, że nie.

- A co jej dałaś?

- Przestań, proszę. Ty bestio.

- Co jej dałaś?

- Bombonierkę czekoladek.

- Wiedziałem. Ty intrygantko.

- Nie znoszę greckiej kuchni.

#### **Rozdział IV**

Zabranie dzieci w odwiedzinach do ojca chrzestnego Billy'ego było pretekstem dla spędzenia całego dnia na wsi, gdzie czekał niedzielny lunch w najlepszym wydaniu, i okazją, aby porozmawiać z „Wujkiem Silasem”, jedną z legend złotego okresu Departamentu. I dało mi to również sposobność powiązać razem luźne wątki w zeznaniach aresztowanej kobiety. Jeśli Dicky nie chciał zrobić tego dla Departamentu, to zrobię to dla zaspokojenia własnej ciekawości.

Ta posiadłość zawsze mnie fascynowała; Whitelands było tak zaskakujące jak sam Silas Gaunt. W głębi długiego podjazdu, przy starannie zadbanym ogrodzie, stareńki wiejski dom z kamienia, tak śliczny jak reprodukcje w kalendarzach ściennych. Ale przez całe lata był dostosowywany do gustów różnych właścicieli. Adaptowany, modyfikowany, powiększany i gubiący swój naturalny wygląd. Z tyłu, po drugiej stronie brukowanego kocimi łbami podwórza, wznosiła się przedziwna zamkowa wieża, spiralne schody prowadziły do dużej zdobnej komnaty, niegdyś luksusowej sypialni. Jeszcze bardziej nie pasował do tego domu z kamienną posadzką i dębową powalą pokój bilardowy, bogato wyłożony boazerią, trofea myśliwskie słoczone na ścianach. Oba te architektoniczne dodatki pochodziły z tego samego okresu, oba zbudował dziewiętnastowieczny potentat piwa w celu oddawania się ulubionym rozrywkom.

Silas Gaunt odziedziczył Whitelands po ojcu, ale sam nigdy nie był farmerem. Nawet gdy opuścił Wydział i przybył tu jako emeryt, nadal pozwalał zarządcy farmy na podejmowanie wszelkich decyzji. Zatem nic dziwnego, że Silas czuł się osamotniony pośród sześciuset akrów ziemi na obrzeżach Cotswold. Miękka zieleń lata minęła i przeszły też ostre brzozy jesieni. Pozostał jedynie zarys całości: goła płatanina żywopłotów i bezlistne drzewa. Pierwszy śnieg pobielił twarde jak skała powierzchnie ogołoconych pól w kolorze brunatnym: wycieniowane fragmenty krajobrazu, gdzie sroki, gawrony i szpaki pracowicie zabiegały o robaki i owady.

Silas miewał niewielu gości. Wiódł żywot pustelnika, bo konwersacje z panią Porter, jego gospodynią, ograniczały się do przepisów kulinarnych, haftowania i stale rosnących cen w wiejskim sklepiku. Życie Silasa Gaunta toczyło się w kręgu jego biblioteki, płyt gramofonowych i piwniczki z winem. Lecz życie nie kończy się na Schillerze, Mahlerze i Margaux, która to trójca, jak twierdził Silas, stanowiła grono

jego „kolegów emerytów”. Tak więc urządzał od czasu do czasu weekendowe przyjęcia, na których oprócz personelu Departamentu, zarówno obecnego jak i dawnego, bywali także artyści, magnaci biznesu, ekscentrycy i dziwacy, jakich Silas napotkał w ciągu swojej bardzo długiej i zdumiewającej kariery.

Silas był nie uczesany; kosmyki białych włosów tworzyły aureolę na prawie całkowicie łysej głowie i nie reagowały ani na grzebień, ani na ruchy szponiastych palców. Był wysoką i barczystą falstaffowską postacią, lubiącą się śmiać i krzyczeć; potrafił kląć w sześciu językach i lekkomyślnie zakładał się z każdym o wszystko i twierdził - z pewnym uzasadnieniem - że potrafi przepić każdego.

Billy i Sally trochę się go obawiali. Zawsze byli gotowi pojechać do Whitelands, żeby zobaczyć się z wujkiem Silasem, lecz traktowali go jak dobrodusznego starego zbója, na którego zmienne nastroje powinni stale uważać. Ja również odbierałem go w ten sam sposób. Jednak w sieni stała wspaniale przystrojona choinka. Pod nią mały stosik prezentów dla obojga, wszystkie zapakowane w jasny papier i przewiązane dużą kokardą. Niewątpliwie robota pani Porter.

Tak jak wszyscy starzy ludzie, Silas Gaunt odczuwał potrzebę niezmienności rytuałów. Te gościnne weekendy miały z góry ustalony przebieg: w sobotę rano długi spacer po polach (którego ze wszystkich sił starałem się unikać), następnie pieczona wołowina na lunch, po południu bilard i odświeżna kolacja wieczorem. W niedzielę rano wszystkich gości prowadzono do kościoła, a potem do miejscowego wiejskiego pubu, z którego wracano na lunch składający się z lokalnie zdobytej dziczyzny, a gdy tej zabrakło, to z drobiu. Ulżyło mi, gdy obejrzałem menu i zobaczyłem, że w tym tygodniu będzie kaczka. Nie miałem ochoty na Silasowy zestaw małych ptaszków nafaszerowanych ołowianym śrutem.

- Nie dziwi cię obecność Waltera? - spytał mnie ponownie Silas, ostrząc długi nóż do pieczeni z beztróską wprawą rzeźnika.

Wyraziłem moje zdziwienie za pierwszym razem, lecz niewątpliwie za słabo odegrałem przypisaną mi rolę.

- Jestem zdumiony! - powiedziałem, wkładając całą energię w tę wypowiedź. - Nie miałem pojęcia...

Zrobiłem oko do von Muntego. Znałem go nawet lepiej niż Wujka Silasa; kiedyś, dawno temu, uratował mi życie ryzykując własne. Doktor Walter von Munte uśmiechnął się i nawet stateczna stara pani doktorowa przybrała cień uśmiechu. Przebywanie z otwartym, ekstrawertycznym Silasem musiało być dla nich swoistym

szokiem po surowym życiu, z ustami na kłódkę, w Niemieckiej Republice Demokratycznej, gdzie nawet „von” usunięto im z nazwiska.

Wiedziałem, że rodzina von Munte tu zamieszkiwała - moja praca polegała na tym, abym o takich rzeczach wiedział. Odegrałem pewną rolę w sprowadzeniu ich ze Wschodu. To, że tu mieszkali, było do pewnego stopnia powodem mojej wizyty, ale miejsce ich pobytu było w Wydziale otoczone tajemnicą, więc oczekiwano ode mnie właściwej formy zdziwienia.

Kilka krótkich tygodni temu ten smętny starzec był jednym z naszych najbardziej niezawodnych agentów. Znany tylko jako Brahms Cztery, dostarczał regularnie starannie wybrane fakty i liczby z Deutsche Notenbank, przez który przechodziły wszelkie operacje clearingowe z całych Niemiec Wschodnich. Od czasu do czasu zdobywał też dla nas decyzje i plany RWPG - odpowiednika Wspólnego Rynku w bloku wschodnim, a także memoranda z moskiewskiego Banku Narodowego. Po stronie odbierającej te materiały Bret Rensselaer stworzył całe imperium oparte na niebezpiecznej pracy von Muntego, ale teraz von Muntego już przesłuchano do końca i pozostawiono pod opieką jego starego przyjaciela, Wujka Silasa, a Bret rozpaczliwie poszukiwał nowych obszarów do opanowania.

Silas stał przy końcu długiego stołu i dzielił kaczkę, podając odpowiednie kawałki każdemu gościowi. Lubił robić to sam. Była to jego gra: dyskusowanie i spieranie się o to, który kawałek komu przypadnie. Pani Porter patrzyła na tę rolę znanego aktora, nie wyrażając ani nagany, ani entuzjazmu. Przygotowała stos podgrzanych talerzy, ustawiła jarzyny i sos i w dokładnie obliczonym psychologicznym momencie, wniosła drugą pieczoną kaczkę.

- Jeszcze jedna! - wykrzyknął Silas, tak jakby to nie on sam ją zamawiał i jakby nie było trzeciej w piecyku na dodatkowe porcje.

Przed nalaniem wina Silas wygłosił wykład na jego temat. *Chateau Palmer* 1961, powiedział, należało do gatunku najlepszych claretów, jakie kiedykolwiek próbował, prawdopodobnie najlepszych w tym stuleciu. Nadal trzymał w powietrzu antyczną karafkę z winem, jak gdyby zastanawiając się, czy obecne tu towarzystwo doceni to wino. Prawdopodobnie von Munte wyczuł wahanie, albowiem odezwał się:

- To wspaniałomyślne z twojej strony, że chcesz się nim z nami podzielić.

- Niedawno dokonywałem przeglądu piwniczki. - Stał wyprostowany, patrząc przez okno na pobielony śniegiem trawnik, rzekłbyś, nie pamiętając o gościach. - Znalazłem tam tuzin butelek porto rocznik 1878. Mój dziadek kupił je dla mnie dla

uczczenia moich dziesiątych urodzin, a ja kompletnie o tym zapomniałem. Nigdy tego wina nie próbowałem. Tak, mam tam mnóstwo skarbów. Robiłem zapasy, kiedy mogłem sobie na to pozwolić. Serce by mi pękło, gdybym był zmuszony zostawić zbyt wiele wspaniałego clareta, gdy przyjdzie na mnie pora.

Wino nalewał ostrożnie, więc prawiliśmy mu komplementy, jakich potrzebował. Pod tym i innymi względami był jak aktor - bardzo potrzebne mu były regularne i robione z całą powagą deklaracje uwielbienia.

- Zawsze trzymać etykietą do góry, zawsze etykieta w górze czy to podczas przechowywania, czy kiedy nalewamy. - Zademonstrował. - Bo inaczej to je wzbudzimy.

Wiedziałem, że będzie to lunch głównie w męskim towarzystwie, taki wydziałowy spęd. Silas wcześniej ostrzegł mnie, lecz mimo to przyjechałem. Byli też Bret Rensselaer i Frank Harrington. Rensselaer miał mniej więcej ponad pięćdziesiątkę; urodzony w Ameryce i dbający o linię, sprawiał wrażenie wprost wychudłego. Chociaż włosy mu posiwiały, to zachował w nich na tyle koloru blond, że nie wyglądał staro. Często uśmiechał się, miał zdrowe zęby i kościstą twarz z małą ilością zmarszczek.

Podczas lunchu miała miejsce, zwykła o tej porze roku, rozmowa o szybko nadchodzących świętach i prawdopodobieństwie większego śniegu. Bret Rensselaer właśnie decydował, dokąd pojedzie na narty. Frank Harrington, nasz przełożony w Berlinie, powiedział mu, że za wcześnie na dobry śnieg, ale Silas doradzał Szwajcarię.

Frank mocno argumentował w sprawie śniegu. Chciał, aby uważano go za autorytet w tej materii. Lubił jeździć na nartach, grać w golfa, żeglować i w ogóle dobrze się bawić. Frank oczekiwał przeniesienia na emeryturę, a więc czegoś do czego mężnie przygotowywał się przez całe życie. Była to postać o wojskowym wyglądzie, z ogorzałą twarzą o tępo zakończonym króciutkim wąsie. Inaczej niż Bret, „który przyjechał ubrany w ten sam typ garnituru z *Samie Row*, jaki nosił w pracy, Frank przybył poprawnie odziany w weekendowy strój wyższych klas angielskich: stare sztruksowe spodnie *Bedford* i sweter khaki z jedwabnym szalikiem w otwartym kołnierzyku wypłowiałej koszuli.

- Luty - rzekł Frank. - To jedyna pora na przyzwoitą jazdę na nartach, gdzie by się nie pojechało.

Obserwowałem, w jaki sposób Bret mierzył wzrokiem von Muntego, którego

wysokiej klasy informacje zawiodły Breta do najwyższych rangą kadr Departamentu. Teraz sekcja jego była zamknięta, a lata wysługi uległy zagrożeniu, od czasu jak ten starszy człowiek zmuszony został do ucieczki. Nie było zatem w tym niczego dziwnego: obaj przyglądali się sobie jak bokserzy na ringu.

Rozmowa stała się poważniejsza, gdy podjęto nieodzowny w tym towarzystwie temat - zjednoczenia Niemiec.

- Jak głęboko zakorzeniona jest filozofia komunizmu w Niemczech ze Wschodu? - Bret spytał von Muntego.

- Filozofia - ostro przerwał Silas. - Mogę przyjąć, że komunizm jest rodzajem zboczonej religii - nieomylny Kreml, nieomylny Watykan - ale to nie filozofia, o, nie.

Akurat tutaj był bardziej zadowolony z von Muntego, wyczuwałem to w tonie jego głosu.

Von Munte nie podjął sprawy na płaszczyźnie semantycznych rozważań Silasa. Odezwał się z powagą:

- Sposób, w jaki Stalin zabrał Niemcom Śląsk, Pomorze i Prusy Wschodnie uniemożliwił wielu nam, Niemcom, akceptację ZSRR jako przyjaciela, sąsiada czy wręcz przykład do naśladowania.

- Tu się cofamy bardzo daleko - powiedział Bret. - O jakich Niemcach mówimy? Czy młodych Niemców interesuje płacz i zgrzytanie zębami, jakie słyszymy na temat utraconych ziem?

Uśmiechnął się. To był Bret świadomie prowokujący. Jego czarujący sposób bycia był często stosowany w taki sposób - miejscowemu znieczuleniu towarzyszą ostre jak lancet obraźliwe uwagi.

Von Munte pozostał bardzo spokojny; czy był to spadek po latach pracy w banku, czy po latach komunizmu? Tak czy inaczej, nie chciałbym grać z nim w pokera.

- Wy, Anglicy, przyrównujecie nasze wschodnie tereny do Indii za czasów Imperium. Francuzi uważają, że my, gdy mówimy o zapewnieniu granic niemieckich aż po rubieżę Prus Wschodnich, zachowujemy się jak *pieds-noir*, którzy mają nadzieję na ponowne rządy Paryża w Algierii. - Właśnie tak - odezwał się Bret.

Uśmiechnął się do siebie i zjadł trochę kaczki. Von Munte przytaknął ruchem głowy.

- Ale nasze wschodnie prowincje zawsze były niemieckie i stanowiły żywotną część stosunków Europy ze Wschodem. Kulturowo, psychologicznie i handlowo

niemieckie wschodnie ziemie, nie Polska, zapewniały bufor i więź z Rosją. Fryderyk Wielki, Yorck i Bismarck - i właściwie wszyscy ci Niemcy, którzy ustanowili przymierza ze Wschodem - byli *ostelbisch*, Niemcy z terenów po wschodniej stronie rzeki Elby. - Przerwał i powiódł wzrokiem dokoła stołu, zanim zaczął mówić o czymś, co niewątpliwie powtarzał już wiele razy. - Car Aleksander I i Mikołaj, będący jego następcą, byli bardziej Niemcami niż Rosjanami i obaj poślubili niemieckie księżniczki. A co powiecie o Bismarcku, który stale bronił rosyjskich interesów, nawet kosztem niemieckich stosunków z Austrią?

- Tak, tak - odezwał się Bret sardonicznie. - Jeszcze musisz dodać Karola Marksa urodzonego w Niemczech.

Przez chwilę myślałem, że von Munte odpowie na dowcip we właściwy sobie poważny sposób i wyjdzie tym samym na głupka, ale on miał na tyle obycia z kodami, aluzjami i półprawdami, że wyłapał żart. Uśmiechnął się.

- Czy może w ogóle zaistnieć trwały pokój w Europie? - zapytał Bret znużonym głosem. - Jeśli mam dowierzać własnym uszom, ty utrzymujesz, że Niemcy mają aspiracje terytorialne.

Dla Breta była to tylko gra, ale biedny stary von Munte nie potrafił jej rozegrać.

- Chodzi o nasze własne prowincje - odezwał się matowym głosem von Munte.

- O Polskę i kawałki Rosji - rzekł Bret. - Postaw sprawę jasno. Silas, w geście pojednania, nalał wszystkim zainteresowanym jeszcze trochę swego cennego *Chateau Palmer*.

- Jesteś z Pomorza, Walter, prawda?

Było to raczej zaproszeniem do rozmowy niż rzeczywistym pytaniem, bo już do tej pory Silas poznał najdrobniejsze szczegóły z historii rodu von Munte.

- Urodziłem się w Falkenburgu. Mój ojciec miał tam dużą posiadłość.

- To blisko Bałtyku - potwierdził Bret udając zainteresowanie, aby wprowadzić do rozmowy, jak to on widział, pewną dawkę pojednania.

- Pomorze - odrzekł von Munte. - Znasz je, Bernard? - spytał mnie, ponieważ wśród zebranych byłem najbliższy spraw niemieckich.

- Tak - powiedziałem. - Dużo jezior i wzgórz. Nazywają to Szwajcarią Kaszubską, prawda?

- Teraz już nie.

- Piękne miejsce - dodałem. - Ale jak pamiętam, to tam jest piaszki zimno,  
Walter.

- Trzeba tam jechać latem - odparł von Munte. - To jedno z najbardziej uroczych miejsc na świecie.

Popatrzyłem na panią doktorową von Munte. Miałem odczucie, że wyjazd na Zachód był dla niej rozczarowaniem. Słabo znała angielski i dotkliwie odczuwała swoją niekorzystną pozycję społeczną z tytułu uchodźstwa. Na słowa o Pomorzu ożywiła się i usiłowała śledzić rozmowę.

- Czy byliście tam ponownie? - zapytał Silas.

- Tak, pojechaliśmy tam oboje z żoną jakieś dziesięć lat temu. To głupota. Nigdy nie powinno się wracać.

- Opowiedz nam, jak to było - rzekł Silas.

Zrazu wydawało się, że wspomnienia były zbyt bolesne dla von Muntego, by je tu przywoływać, lecz po chwili przerwy opowiedział nam o swojej podróży.

- Jest coś koszmarnego w powrocie do własnej ojczyzny, którą okupują wyłącznie cudzoziemcy. Było to najdziwniejsze przeżycie, jakiego kiedykolwiek doznałem - piszesz: „miejsce urodzenia - Falkenburg”, „punkt docelowy - Złocieniec”.

- To samo miejsce, obecnie noszące polską nazwę - rzekł Frank Harrington. - Ale musiałeś być na to przygotowany.

- Byłem przygotowany umysłem, lecz nie sercem. - Obrócił się w stronę żony i powtórzył to samo w szybkiej niemieckiej. Potwierdziła smutnym kiwnięciem głowy.

- Połączenie kolejowe z Berlinem nigdy nie było dobre - ciągnął von Munte. - Nawet przed wojną musieliśmy się dwukrotnie przesiadać. Tym razem pojechaliśmy autobusem. Dotarliśmy do Neustettin, rodzinnego miasta żony. Mieliśmy kłopoty ze znalezieniem domu, w którym mieszkała będąc dzieckiem.

- Nie mógł wam ktoś wskazać drogi? - spytał Frank.

- Żadne z nas nie mówi po polsku - odparł von Munte. - A poza tym żona mieszkała na Hermann Göringstrasse, więc nie bardzo miałem chęć pytać, jak dojść do tej ulicy. - Uśmiechnął się. - Ale w końcu znaleźliśmy. Na ulicy, na której mieszkała jako dziewczynka, spotkaliśmy nawet starą Niemkę pamiętającą rodzinę mojej żony. To niezwykle szczęśliwy traf, bo tylko mała garstka Niemców mieszka tam nadal.



- A w Falkenburgu? - pytał znowu Silas.

- Cóż, w moim ukochanym Złocieńcu Stalin był bardziej pieczołowity. Nie mogliśmy znaleźć nikogo mówiącego po niemiecku. Urodziłem się w wiejskim domu, tuż nad jeziorem. Pojechaliśmy do najbliższej wsi, gdzie miejscowy ksiądz próbował nam pomóc, ale nie pozostały żadne zapisy. Nawet użyczył mi swojego roweru, abym mógł tam podjechać, ale dom całkowicie zniknął. Wszystkie budynki zniszczono, a teren zalesiono. Jedyne pozostałości, jakie mogłem rozpoznać, to kilka budynków obejścia, daleko od miejsca, gdzie stał dom, w którym się urodziłem. Ksiądz obiecał napisać, gdy coś więcej znajdzie, ale nigdy nie dostałem od niego listu.

- I nigdy więcej tam nie byłeś? - spytał Silas.

- Planowaliśmy powrót, ale coś się w Polsce zaczęło dziać. Wielkie demonstracje na rzecz wolnych związków zawodowych, a o powstaniu „Solidarności” nasza prasa wschodnioniemiecka doniosła, że to robota elementów reakcyjnych wspieranych przez zachodnich faszystów. Bardzo niewielu ludzi było gotowych do rzetelnego skomentowania kryzysu polskiego. A większość z tych, którzy o tym rozmawiali, powiadała, że takie „kłopoty”, denerwujące Rosjan, tylko pogorszą nasze, Niemców wschodnich, warunki życia oraz innych narodowości w bloku wschodnim. Polacy stali się niepopularni i nikt tam nie wyjeżdżał. Było tak, jak gdyby Polska przestała istnieć jako nasz sąsiad przez miedzę i zamieniła się w jakąś bardzo odległą krainę po drugiej stronie świata.

- Jedz - rzekł Silas. - Nie dajemy ci skończyć obiadu, Walter. Lecz wkrótce von Munte powrócił do tego samego tematu.

Wyglądało na to, że chce nas nawrócić na swój punkt widzenia. Musiał usunąć nasze braki w pojmowaniu sprawy.

- To strefy okupacyjne stworzyły wam niemiecki archetyp - zaczął. - Teraz wszyscy Francuzi myślą, że wszyscy Niemcy to gadatliwi Nadreńczycy, Amerykanie uważają nas za zimnych jak lód Westfalczyków, a Rosjanie mają nas z kolei za bucowatych Saksończyków.

- Rosjanie - rzekłem, wypiwszy dwa kieliszki wspaniałego Silasowego wina oraz kilka aperitifów - mają was wszystkich za brutalnych Prusaków.

- Tak, *Saupreiss* - powiedział, używając słowa z dialektu bawarskiego na oznaczenie pruskiej świni. - Może masz rację.

Po lunchu goście podzielili się na grających w bilard oraz tych, którzy woleli usiąść gromadą w saloniku przy kominku pełnym tego płonących polan. Moje dzieci

oglądały telewizję z panią Porter.

Silas chciał dać mi szansę na prywatną rozmowę z von Muntem, więc poprowadził nas do cieplarni, gdzie o tej porze roku były wszystkie jego domowe kwiaty. Ciepłarnia przypominała duży szklany pałac oparty o jedną ze ścian domu, o konstrukcji zgrabnie zakrzywionej i podłodze z przepięknych starych kafelków. W ciągu zimowych miesięcy miejsce było kompletnie zatłoczone pnącą się zielenią wszelakiego kształtu i wielkości. Wydawało się, że jest tu za zimno, aby rośliny te rozwijały się, ale Silas zapewnił, że one potrzebują nie tyle ciepła, co światła.

- W moim przypadku - odpowiedziałem mu - jest akurat odwrotnie.

Uśmiechnął się, jakby słyszał już ten dowcip przedtem, co zresztą było zgodne z prawdą, ponieważ mówiłem mu go, ilekroć złapał mnie w pułapkę na pogawędkę pośród rosnącej rzepy. Lecz Silas lubił swoją cieplarnię, a jeśli on ją lubił, to wszyscy inni musieli ją też lubić. Robił wrażenie, że nie odczuwa zimna. Był bez marynarki, miał czerwone szelki pod rozpiętą kamizelką. Walter von Munte nosił czarny garnitur będący rodzajem uniformu niemieckiego urzędnika rządowego w służbie kajzera. Twarz miał szarą i pokrytą zmarszczkami oraz krótko przystrzyżone siwiejące włosy. Zdjął okulary w złotej oprawce i przetaił jedwabną chusteczką. A gdy tak siedział na dużym trzcinowym fotelu pod wielkimi liściastymi roślinami, przypominał jakiś staroświecki portret z atelier.

- Młody Bernard ma do ciebie pytanie, Walter - zagaił Silas.

Miał ze sobą butelkę madery i trzy kieliszki. Postawił je na stole i wydzielił każdemu po porcji wina koloru bursztynu, potem opadł na odlane z żelaza krzeselko ogrodowe. Siedział między nami jak sędzia na meczu.

- To mi nie służy - rzekł von Munte, ale podniósł kieliszek, popatrzył i powąchał z uznaniem.

- To nikomu nie służy - odparł Silas radośnie, sącząc starannie odmierzony trunek. - To nie powinno nikomu służyć. W zeszłym roku lekarz obciął moją porcję do jednej butelki na miesiąc. - Wypił. - Tego roku powiedział, żebym skończył z tym całkowicie.

- No, to w takim razie nie słuchasz rozkazów - rzucił von Munte.

- Załatwiłem sobie innego lekarza - odparł Silas. - Żyjemy tu w kapitalistycznym świecie, Walter. Nie mogę sobie pozwolić na doktora, który pozwala mi pić i palić. - Zaśmiał się i łyknął trochę madery. - *Cossart* rocznik 1926, butelkowana pięćdziesiąt lat później. Nie jest to najlepsza madera, jaką piłem w

życiu, ale też wcale nie jest zła, co? - Nie czekał na naszą odpowiedź, tylko wybrał cygaro z pudełka przyniesionego pod pachą. - Spróbuj tego - powiedział oferując mi to wybrane. - To *Uppman grand corona*, jedno z najlepszych cygar, jakie można zapalić, i akurat pasuje do tej pory roku. Walter, a co byś powiedział na jedną z tych cygaretek, które ci tak smakowały wczoraj wieczorem?

- Niestety - rzekł von Munte, podnosząc rękę w geście odmowy. - Nie stać mnie na doktora, którego ty masz. Musi mi wystarczyć jedna na tydzień.

Zapaliłem cygaro, które dał mi Silas. Było dla niego typowe, że musiał wybrać dla nas to, co uważał za odpowiednie dla nas. Miał zdecydowane poglądy na temat tego, co każdy z nas powinien i czego nie powinien mieć. Dla każdego, kto nazywał go faszystą, miał idealną odpowiedź: blizny po gestapowskich kulach.

- O co chcesz mnie zapytać, Bernard? - zadał pytanie von Munte.

Rozpaliłem cygaro na dobre i odezwałem się:

- Czy słyszałeś kiedyś o MARTELLO, HARRY, JAKE, SEE-SAW, huśtawka, albo IRONFOOT, żelazna stopa. - Dodałem kilka haseł dla dokładnego sprawdzenia.

- Co to za nazwy? - spytał von Munte. - Ludzie?

- Agenci. Zakodowane imiona. Rosyjscy agenci w Zjednoczonym Królestwie.

- Ostatnio?

- Wygląda na to, że jednego z nich używała moja żona.

- Tak, ostatnio. Rozumiem.

Von Munte łyknął trochę wina. Był na tyle staroświecki, by poczuć zażenowanie na uwagę o mojej żonie i jej szpiegowaniu. Przesunął ciężar ciała na wiklinowym siedzeniu, co wywołało głośnie skrzypienie.

- Czy kiedykolwiek natknąłeś się na te imiona? - spytałem.

- Postępowanie było takie, że moi ludzie nie mieli dojścia do takich tajemnic, jak zakodowane imiona agentów.

- Nawet jako hasła źródeł? - nalegałem. - Prawdopodobnie nie są to imiona agentów; są to zakodowane hasła używane w komunikatach i dystrybucji. Żadnego poważnego ryzyka; materiał z każdego takiego źródła ma tę samą nazwę do chwili jego zidentyfikowania, namierzenia i potwierdzenia. Takim systemem pracuje KGB i my także.

Obejrzałem się na Silasa. Przyglądał się jednej z roślin, z głową odwróconą, jakby nie słuchał, na pewno zaś słuchał i zapamiętywał wszystko do ostatniej sylaby. Znałem go od dawna.

- Nazwy źródeł, powiadasz. Tak, MARTELLO brzmi znajomo - rzekł von Munte. - Może te inne też. Nie pamiętam.

- Dwa imiona używane przez jednego agenta w tym samym czasie - powiedziałem.

- To byłoby bezprecedensowe - odparł von Munte. Rozluźniał się. - Dwa imiona, nie. Jak moglibyśmy utrzymać kontrolę nad materiałem?

- Właśnie tak myślałem - dodałem.

- To od tej kobiety aresztowanej w Berlinie? - odezwał się nagle Silas. Przesłał udawać, że przygląda się roślinom. - Słyszałem o tym.

Silas zawsze wiedział, co w trawie piszczy. Dawniej, gdy D-G sadowił się na posadzie, prosił nawet Silasa o śledzenie przebiegu niektórych operacji. Teraz Dyrektor i Silas byli w stałym kontakcie. Wykazałbym się głupotą mniemając, że rozmowa ta nie dotrze do Departamentu.

- Tak, od tej kobiety w Berlinie - odpowiedziałem.

Walter von Munte dotknął swego sztywnego białego kołnierzyka.

- Nigdy nie było mi wolno znać żadnych tajemnic. Dostawałem tylko to, co oni uważali, że mogę dostać.

- Tak jak Silas przydzielający jedzenie i cygara, o to ci chodzi? Pragnąłem, aby Silas odszedł zostawiając nas samych dla odbycia rozmowy, o jaką prosiłem. Ale nie było to po myśli Silasa. Informacja stanowiła nieodłączną część jego bytu. Zawsze wiedział, jak z niej korzystać dla własnego dobra. Dlatego tak długo przetrwał w Wydziale.

- Nie tak szczerze jak Silas - rzekł von Munte. Uśmiechnął się i wypił troszkę madery, a potem zaczął ruszać się na swoim miejscu, decydując, jak to wszystko wyjaśnić. - Personel służby wywiadowczej banku udawał się raz na tydzień na Warschauerstrasse. Czekał tam na nich cały nowy materiał ułożony w szufladkach. Kierował tym stary pan Heine. Pokazywał nam każdą cząstkę zgodnie z tematem.

- Surowy materiał? - spytałem.

- Surowy? - rzekł von Munte. - Co to znaczy?

- Czy powtarzał wam to, co agent powiedział, czy też po prostu omawiał treść jego przekazu?

- Nie, przekazy były opracowywane w inny sposób, niż były odbierane. Było to konieczne, gdyż personel zajmujący się materiałami nie znał się na tyle na ekonomii, by zrozumieć, o co tam chodziło. - Ale wy potrafiliście zidentyfikować

różne źródła? - spytałem ponownie.

- Czasami potrafilismy, czasami było to łatwe. Część tego to totalne bzdury.

- Od różnych agentów? - nalegałem.

O Boże, ależ to udreka mieć do czynienia ze staruchami. Czy ja też taki będę któregoś dnia?

- Niektórzy z ich agentów nadsyłali tylko pogłoski. Był taki jeden, który nigdy nie dostarczył ani jednego sensownego słowa. Nazywali go Grock. Nie było to imię ani agenta, ani jego źródła; to był nasz własny kawał. Nazywalismy go Grock, jak ten słynny cyrkowy błazen, ma się rozumieć.

- Tak - odparłem. Ale ucieszyłem się, że von Munte powiedział, że to kawał; zrozumiałem, że trzeba się roześmiać. - A co z dobrymi źródłami? - spytałem.

- Można je było rozpoznać po jakości danych i stylu, w jakim były przedstawiane. - Rozsiadł się w swoim krześle. - Może powinienem wyjaśnić, jak było w biurze na Warschauerstrasse. To nie było nasze biuro. Ma ono uchodzić za biuro Aeroflotu, ale przy drzwiach zawsze są policjanci i służba bezpieczeństwa; nasze przepustki skrupulatnie sprawdzano, niezależnie od tego jak często tam przychodziliśmy. Nie wiem, kto jeszcze korzysta z tego budynku, ale personel wywiadu gospodarczego spotykaliśmy tam regularnie.

- A ty należałeś do „personelu wywiadu gospodarczego”?

- Ale skądże. Oni wszyscy to KGB i służba bezpieczeństwa. Mój zwierzchnik był zapraszany tam tylko, gdy jakaś sprawa miała bezpośredni związek z naszym wydziałem. Inni urzędnicy bankowi i ludzie z ministerstwa przychodzili tam wedle tematyki, jaką miano omawiać.

- Dlaczego ten briefing nie miał miejsca w biurach KGB? - spytałem.

Silas siedział wyprostowany na swoim metalowym krzeselku, z oczyma zamkniętymi, jakby przysypiał.

- Biuro na Warschauerstrasse było - a właściwie powinienem powiedzieć „jest” - traktowane przez KGB jak swoje własne. Kiedy jakiś funkcjonariusz partyjny lub jakiś ważny gość ma dostateczne wpływy, aby odwiedzić instalacje KGB w Berlinie, to nieodmiennie jest zabierany na Warschauerstrasse raczej niż do Karlhorst.

- Używane jest jako parawan? - spytał Silas otwierając oczy i mrugając powiekami jakby przebudził się nagle z głębokiej drzemki.

- Nie chcę, żeby goście łazili po biurach, gdzie robi się prawdziwą robotę. A ponadto Warschauerstrasse ma kuchnię i jadalnię, gdzie można podejmować takich

dygnitarzy. I jest mała sala wykładowa, gdzie mogą obejrzeć program ze slajdów czy filmów, i tak dalej. Lubiliśmy tam chodzić. Nawet kawa i kanapki podawane tam były dużo lepsze niż gdzie indziej.

- Powiedziałeś, że mogliście zidentyfikować źródło na podstawie jakości i stylu. Czy możesz powiedzieć coś więcej na ten temat? - spytałem.

- Niektóre przekazy rozpoczynały się od zwrotów typu „Dochodzą mnie słuchy, że Bank of England”, albo coś takiego. Inne natomiast brzmiały: „W zeszłym tygodniu Skarb wydał tajne oświadczenie”. Jeszcze inni nadawali: „Obawy przed niechybnym spadkiem amerykańskiej stopy procentowej najprawdopodobniej spowodują...” Te odmienne style wystarczają do identyfikacji, ale skorelowane z udowodnioną jakością niektórych źródeł, pozwalały nam rozpoznać agentów. Mówiliśmy o nich jak o znanych sobie ludziach i żartowaliśmy z nonsensów, jakie niektórzy z nich nam wciskali.

- Więc musiałeś rozpoznać materiał pierwszej klasy, który dostarczała moja żona?

Von Munte spojrzał na mnie, a potem na Silasa. Silas rzekł:

- Czy to oficjalnie, Bernard? - W jego głosie brzmiała nuta ostrzeżenia.

- Jeszcze nie - odparłem.

- Trochę za blisko podchodzimy pod wiatr jak na pogawędkę - rzekł Silas.

Swobodny dobór słów i miękki ton głosu nie kryły siły autorytetu, jaka stała za tym, co mówił, wprost przeciwnie, był to sposób, w jaki pewne klasy Anglików wydają rozkazy swoim podwładnym. Milczałem, a von Munte bacznie obserwował Silasa. Wreszcie Silas zaciągnął się w zadumie cygarem i po pewnym czasie odezwał się:

- Walter, powiedz mu, co tylko wiesz.

- Jak już wam mówiłem, widywałem tylko materiały ekonomiczne. Nie odgadnę, jaką część rzeczy przedstawianych przez jednego agenta mogło to stanowić.

- Popatrzył na mnie. - Weźmy materiał tego Grocka. To były bzdury, jak mówiłem, ale z tego, co wiem, Grock mógł nadawać cudowne rzeczy o uzbrojeniu podwodnym lub o tajnych naradach NATO.

- Spoglądając wstecz, czy mógłbyś zgadnąć, co moja żona nadawała?

- To tylko zgadywanka - powiedział von Munte - ale była tam jedna szufladka materiału zawsze dobrze napisanego i zorganizowanego w sposób wręcz akademicki. - Dobry towar?

- Bardzo solidny, ale ze skłonnościami do ostrożności. Nic specjalnie alarmującego; większość to potwierdzenia trendów, jakie mogliśmy przewidzieć. Użyteczne, ale z naszego punktu widzenia nie cudowne. - Popatrzył na niebo przez szklany dach cieplarni. - *Eisenguss* - rzekł nagle i roześmiał się. - *Nicht Eisenfuss, Eisenguss.*

Nie „żelazna stopa”, lecz „żelazna gęś”, czyli gęś surówki żeliwnej: *Gusseisen*. Tak, to była nazwa źródła. Przypominam sobie, że wtedy myślałem, iż musi to być jakaś rządowa postać.

- Znaczy to „lane żelazo” - powiedział Silas, który mówił po niemiecku z perfekcją i pedanterią i który nie tolerował mojego berlińskiego akcentu.

- Znam to słowo - powiedziałem w poirytowaniu. - Niestaranna robota maszynistki z nasłuchu, i tyle. Żadna z nich nie jest naprawdę dobra.

Była to słabiutka wymówka i w dodatku całkowicie nieprawdziwa. Ja sam to zrobiłem. Powinienem był słuchać uważniej, kiedy byłem z Millerową, albo przyjąłem moje złe tłumaczenie, kiedy spisywałem z taśmy.

- A więc mamy nazwę łączącą Fionę z materiałem, jaki im nadała - rzekł Silas. - Czy o to ci chodziło?

Spojrzałem na von Muntego.

- Tylko jedno zakodowane słowo na szufladkę Fiony?

- Wszystko spływało pod jedną identyfikację - powiedział von Munte. -

Dlaczego mieliby to dzielić? To nie miałoby sensu, prawda?

- Nie - odparłem. Skończyłem wino i wstałem. - To nie miałoby sensu.

Usłyszałem jak na górze dzieci robiły coraz większy hałas. Telewizja mogła im wypełnić tylko określoną część czasu.

- Pójdę po dzieci - odezwałem się. - Wiem, że już męczą panią Porter.

- Nie zostaniesz na kolacji? - spytał Silas.

- Dziękuję, ale przed nami długa droga, Silas. I tak dzieci pójda spać dość późno.

- Miejsca starczy tu dla was wszystkich.

- Jesteś bardzo miły, ale oznaczałoby to wyjazd skoro świt, żeby dzieci zdążyły do szkoły, a ja do pracy.

Skinął głową i wrócił do von Muntego. Ale wiedziałem, że było to coś więcej niż zwykła gościnność. Silas postanowił porozmawiać ze mną na osobności. I kiedy szedłem na dół, po tym jak powiedziałem dzieciom, że wyjeżdżamy zaraz po

podwieczorku, wyłonił się ze swojego gabinetu i kładąc mi rękę na ramieniu, zaciągnął do wewnątrz.

Starannie zamknął drzwi. Potem, z nagłą zmianą nastroju typową dla niego, odezwał się:

- Czy mógłbyś, do cholery, powiedzieć mi, o co tu chodzi?

- Co?

- Nie „co?”, Bernard. Rozumiesz po angielsku. Dlaczego, do cholery, tak przepytujesz von Muntego?

- Ta aresztowana kobieta...

- Pani Miller - przerwał mi, aby pokazać, jak jest dobrze poinformowany.

- Tak, pani Carol Elvira Johnson, z domu Miller, z nazwiska ojca Muller, urodzona w roku 1930 w Londynie, zawód nauczycielka. To ta.

- To zupełnie nie było potrzebne - rzekł Silas, urażony moją odpowiedzią. - No, ale co z nią?

- Jej zeznanie nie pasuje do tego, co wiem o procedurach stosowanych przez KGB, i chciałem usłyszeć o doświadczeniach von Muntego.

- W stosowaniu wielokrotnych imion kodowych? Czy Millerową mówiła, że stosują takie wielokrotne imiona?

- Obsługiwała dwie partie materiałów wywiadowczych wyjątkowo dużej wartości. Były dwa szyfrowane imiona, ale Departament jest usatysfakcjonowany, wierząc, że wszystko to nadeszło od Fiony.

- Ale przychyłasz się do poglądu, że to były dwie partie materiałów od dwóch różnych agentów?

- Tego nie powiedziałem - rzekłem. - Nadal próbuję dowiedzieć się. Nie można sobie zaszkodzić wiedząc lepiej, prawda?

- Czy rozmawiałeś o tym z kimś w biurze?

- Wie o tym Dicky Cruyer.

- To bystry chłopak - rzekł Silas. - Co powiedział?

- Jego to nie interesuje.

- A co ty byś zrobił na miejscu Cruyera?

- Trzeba by sprawdzić u Stinnesa - odparłem. - Po co przesłuchiwać uciekiniera z KGB, jeśli nie wykorzystujemy go do poprawienia naszej znajomości tego, o czym już wiemy?

Silas odwrócił się w stronę okna z zaciśniętymi mocno wargami i twarzą, na



której malowała się złość. Z tego pokoju na pierwszym piętrze był widok przez cały padok aż po strumień nazywany przez Silasa „rzeką”. Przez dłuższą chwilę przyglądał się wirującym w powietrzu płątkom śniegu.

- Jedź wolno. Dziś w nocy będzie bardzo mroźno - powiedział nie oglądając się. Opanował zły nastrój i rozluźnił się.

- Tym moim starym pudłem nie można inaczej. Kiedy odwrócił się do mnie, znów się uśmiechał.

- Czyżbym przesłyszał się, jak mówiłeś Frankowi, że kupujesz coś dobrego od swojego szwagra?

Nic nie umknie jego uwadze. Musiał mieć jakiś nadludzki słuch, który, wbrew prawom natury, polepszał mu się z każdym rokiem. Mówiłem o tym Frankowi Harringtonowi i, zgodnie z naszą relacją typu ojciec i syn, Frank poradził, żebym bardzo uważał podczas jazdy tym wozem.

- Tak - rzekłem. - Limuzyna Rover 3500, którą para młodych szpanerów podrasowała, aby mógł wyciągać ponad 240 kilometrów na godzinę.

- Z silnikiem V-8 to nie powinno stanowić trudności. - Oczy mu się zwęziły. - Zadzawisz tym paru niedzielnych kierowców, Bernard.

- Tak, tak właśnie powiedział mąż Tessy. Ale dopóki nie jest gotowy, musi mi wystarczyć mój fordziak. A w nim nikogo nie mogę zadziwić.

Nachylił się blisko i mówił jak dobry wujaszek.

- Wyszedłeś ze spraw rodziny Kimber-Hutchinson z uśmiechem na twarzy, Bernard. Cieszę się.

Nie mogłem nie zauważyć, że mówił o swej dalekiej kuzynce Fionie używając jej panińskiego nazwiska, w ten sposób dystansując nas obu w stosunku do niej.

- Co do uśmiechu, to nie wiem - powiedziałem.

- Nie zaczynajmy znowu tego rozgrzebywać. Zostawmy to. - Zignorował moją replikę.

- Myślisz, że tak jest najlepiej? - powiedziałem, aby uniknąć dawania mu zapewnień, o które prosił.

- Zostawmy to ludziom z Piątki. Nie naszą rzeczą jest pogoń za szpiegami - rzekł Silas otwierając drzwi gabinetu i wypuszczając mnie na podest piętra.

- Chodźcie, dzieci! - zawołałem. - Herbata i ciasto, a potem musimy jechać.

- Niemcy mają pewne słowo na skutki takiej gorliwości, nieprawdaż? - rzekł Silas, który nigdy nie wiedział, kiedy przestać. - *Schlimmbesserung*, poprawa

pogarszająca sprawy.

Uśmiechnął się i klepnął mnie po ramieniu. Nie było w nim już ani śladu złości. Silas znowu stał się Wujkiem Silasem.

## **Rozdział V**

Dlaczego w ogóle ktokolwiek musi jechać do Berlina? - spytałem Dicky'ego niechętnie.

Byłem w domu: ciepło, wygodnie i przed nami Boże Narodzenie.

- Właśnie wydobywają ciało Millerowej z Hohenzollern Canal - podał Dicky.

- Nie możemy tego zostawić berlińskim glinom i trzeba będzie odpowiedzieć na wiele pytań. Dlaczego ją przewożono? Kto zamówił karetkę? I gdzie ją, cholera, przewozili?

- Mamy Boże Narodzenie, Dicky - powiedziałem.

- Czyżby? - rzekł Dicky udając zdziwienie. - To wyjaśnia trudność, z jaką przychodzi mi zrobienie czegokolwiek.

- Czy Operacyjny nie wie, że mamy Berlińską Jednostkę Operacyjną? - odezwałem się sarkastycznie. - Dlaczego Frank Harrington tym się nie zajmuje?

- Nie bądź kłótlivy, stary - powiedział Dicky, którego, jak sędzę, cieszyła myśl zrujnowania mi Gwiazdki. - Pokazaliśmy Frankowi, jak ważna to była sprawa, przez wysłanie ciebie, abyś nadzorował aresztowanie. I ty ją przesłuchiwałeś. Nie możemy tak nagle zdecydować, że BJO przejmie sprawę. Powiedzą, że obarczamy ich tą robotą, bo są święta. I będą mieli rację.

- A co mówi Frank?

- Franka nie ma w Berlinie. Wyjechał na Boże Narodzenie.

- Musiał przecież zostawić jakiś numer dla kontaktu z nim - powiedziałem zdesperowany.

- Ma jakichś krewnych w górach Szkocji. Były silne wiatry i linie telefoniczne są pozrywane. I nie mów, żeby wysłać lokalnego policjanta, aby go odnalazł, bo kiedy go odnajdą, to Frank powie, że w Berlinie pełni dyżur jego zastępca. Nie, musisz jechać, Bernard. Przykro mi, ale trzeba. A poza tym, nie jesteś żonaty. - Cholera, Dicky. Mam dzieci, a ich niania pojechała do domu spędzać święta z rodzicami. Przecież nawet nie jestem wyznaczony do rezerwowego dyżuru. Zaplanowałem różne sprawy na ten okres.

- Niewątpliwie ze wspomniałaś Glorią. Wyobrażam sobie, co zaplanowałeś,

Bernard. Trudno, ale jest to doraźna potrzeba.

- Z kim spędzam święta, to moja osobista sprawa - powiedziałem z rozdrażnieniem.

- Naturalnie, staruszk. Ale pozwól, że zwrócę twoją uwagę na fakt, że to ty włączyłeś do naszej rozmowy nutę osobistą. Nie ja.

- Zadzwonię do Wenera - zaproponowałem.

- Ależ naturalnie. Lecz będziesz musiał pojechać, Bernard. Ty jesteś osobą, która zna BfV. Nie mogę teraz wykonywać całej roboty papierkowej dla upoważnienia kogoś innego do pracy z nimi.

- Rozumiem - powiedziałem.

Więc, naturalnie, to była ta rzeczywista przyczyna. Dicky mocno postanowił, że nie wróci na parę godzin do biura dla wykonania roboty papierkowej i kilku telefonów.

- A kogo mógłbym wysłać? Powiedz mi, kto mógłby tam pojechać i przypilnować sprawy?

- Z tego, co mówisz, będzie to jedynie kwestia zidentyfikowania trupa.

- No, a kto inny może tego dokonać?

- Którykolwiek z ludzi BfV będący przy aresztowaniu.

- No, to by znakomicie wyglądało w dokumentacji, prawda? - powiedział z ogromną ironią. - Mamy polegać na obcej policji przy ustalaniu tożsamości? Nawet Wydział Koordynacyjny postawiłby tu znak zapytania.

- Jeśli to zwłoki, Dicky, to schować je do lodówki na po świętach.

Po drugiej stronie rozległo się głębokie westchnienie.

- Możesz się wykręcać, jak tylko się da, Bernard, ale mam cię na haczyku i dobrze o tym wiesz. Przykro mi, że psuję ci miłe święta, ale nie mam w tym żadnego udziału. Musisz pojechać tam i już. Bilet jest przygotowany, a gotówka i wszystko inne zostaną przesłane przez posłańca z bezpieczeństwa jutro rano.

- Okay - powiedziałem.

- Daphne i ja z przyjemnością zajmiemy się dziećmi. Gloria też może przyjść, jak będzie chciała.

- Dziękuję, Dicky. Pomyślę o tym.

- Ze mną będzie bezpieczna, Bernard - rzekł Dicky, nie kryjąc w ogóle sztucznej afektacji w głosie, jakim to powiedział. Zawsze palił się do Glorii.

Wiedziałem o tym i on wiedział, że ja wiedziałem. Myślę, że jego żona Daphne też o

tym wiedziała. Odwiesiłem słuchawkę bez pożegnania.

\* \* \*

A więc było to w Wigilię Bożego Narodzenia. Podczas gdy Gloria szykowała zapewne dzieci do wczesnego pójścia do łóżka, aby Święty Mikołaj mógł spokojnie działać, ja stałem obserwując berlińską policję, jak winduje z wody wrak samochodu. Nie był to kanał Hohenzollern, biorąc rzecz dokładnie. Dicky pomylił się; było to Hakenfelde, ten uprzemysłowiony odcinek brzegu Haweli, niedaleko od miejsca gdzie Hohenzollern łączy się z nią.

W tym miejscu Hawela rozszerza się, tworząc jezioro. Było tak zimno, że lekarz z policji nalegał na danie ludziom-żabom paru godzin na odtajanie. Inspektor stawiał opór, ale w końcu opinia lekarza zwyciężyła. Łódź z nurkami odpłynęła w ciemność i zostałem tylko z inspektorem dla towarzystwa. Dwaj policjanci, wystawieni do pilnowania całego miejsca, oddalili się za ciężarówkę z generatorem, którego hałas nie ustawał ani na chwilę. Policyjni elektrycy ustawili wzdłuż portu reflektory, aby obsługa windy miała dobrą widoczność, i teraz całość oświetlona była sztucznym światłem filmowego planu.

Przekroczyłem połamaną barierkę w miejscu, gdzie samochód wpadł do wody. Patrząc w dół nad krawędzią nabrzeża mogłem dostrzec chwiejący się zarys samochodu pod powierzchnią zanieczyszczoną różnymi smarami wody. Winda i dwie mocujące liny utrzymywały go w zawieszeniu. Jak na razie, samochód wygrywał w walce. Jedna stalowa lina pękła i pierwsze próby podniesienia samochodu urwały mu cały tył. To był właśnie problem z samochodami - powiedział inspektor - wypełniały się wodą, a jeden metr sześcienny wody waży tonę. A to był duży samochód, karetka Citroena. I co gorsza, rama była na tyle wygięta, że nurkowie nie mogli otworzyć drzwi.

Inspektor miał ponad pięćdziesiąt lat, wysoki mężczyzna z białym sumiastym wąsem, którego końce zakręcone były w stylu żołnierzy kaisera. Był to rodzaj wąsów, jakie człowiek zapuszcza dla dodania sobie poważniejszego wyglądu.

- I pomyśleć - rzekł inspektor - że przeniosłem się z drogówki, bo uważałem, że było mi zbyt zimno, kiedy stałem na służbie.

Przytupywał stopami. Jego ciężkie oficerki miażdżyły lód w szparach między kocimi łbami.- Trzeba było zostać w drogówce - powiedziałem - albo przenieść się do Wydziału Policji w Nicei czy Cannes.

- Rio - powiedział inspektor. - Zaoferowano mi pracę w Rio. Jest taka agencja

rekrutująca byłych policjantów. Moja żona była za tym bardzo, ale ja lubię Berlin. Nie ma drugiego takiego miasta. I zawsze byłem gliną; nigdy nie chciałem robić nic innego. Ja cię skądś znam, prawda? Pamiętam twoją twarz. Byłeś kiedyś gliną?

- Nie - powiedziałem.

Nie chciałem wdawać się w dyskusję na temat tego, z czego żyję.

- Od kiedy byłem dzieckiem - ciągnął dalej. - Wracam teraz daleko wstecz, do wojny, a nawet w czasy dawniejsze. Był sobie pewien glina z drogówki, słynny na cały Berlin. Zwali go Siegfried; nie wiem, czy tak nazywał się w rzeczywistości, ale wszyscy znali go jako Siegfrieda. Zawsze był na służbie przy Wilhelmplatz, przy małym, białym, pięknym pałacyku, gdzie doktor Goebbels prowadził swoje Ministerstwo Propagandy. Zawsze były tam tłumy turystów, oglądających wchodzące i wychodzące dobrze znane twarze, a jak był jakiś kryzys, tworzyły się wielkie tłumy, które próbowały odgadnąć, co się dzieje. Mój ojciec zawsze pokazywał Siegfrieda palcem, wysokiego policjanta w długim białym płaszczu. I ja chciałem mieć taki duży biały płaszcz. I ja chciałem, żeby ministrowie, generałowie, dziennikarze i gwiazdy filmowe zawsze pozdrawiali mnie przyjaźnie, tak jak jego. Był tam kiosk na Wilhelmplatz, gdzie sprzedawali pamiątki i mieli pocztówkowe zdjęcia wszystkich grubych ryb nazistowskich, i pytałem ojca, dlaczego nie mają zdjęcia Siegfrieda. Chciałem sobie jedno kupić. Ojciec powiedział, że może będą mieć w przyszłym tygodniu, więc co tydzień dopytywałem się o jego zdjęcie, ale nie mieli. Zdecydowałem, że gdy dorosnę, to będę policjantem przy Wilhelmplatz i że zadbam o to, aby moje zdjęcie było w sprzedaży w tym kiosku. Głupie to, prawda, jak takie mało ważne rzeczy potrafią zmienić człowiekowi życie.

- Tak - odrzekłem.

- Ja cię skądś znam - powtórzył, patrząc mi w twarz i marszcząc brwi.

Podąłem inspektorowi moją pierścionkę brandy. Zawahał się i rozejrzał po pustym terenie.

- Polecenie lekarza - zażartowałem. Uśmiechnął się, łyknął i wytarł usta wierzchem dłoni.

- Rany boskie, ale zimno - powiedział, jakby chciał usprawiedliwić swoje odstępstwo od zasad.

- Jest zimno i jest Wigilia - przypomniałem.

- Już wiem - powiedział nagle. - Byłeś w drużynie piłki nożnej grającej na śmietniku za stadionem. Zwykle zabierałem ze sobą młodszego brata, kiedy tam

szedłem. Miał dziesięć czy jedenaście lat; ty chyba byłeś w jego wieku. - Zaśmiał się cicho na wspomnienie o tym i z satysfakcji, że przypomniał sobie, gdzie mnie przedtem widział. - Drużyna piłkarska; tak, prowadził ją ten zwariowany angielski pułkownik - taki wysoki w okularach. Nie miał pojęcia o grze w piłkę; nawet nie potrafił prosto kopnąć, ale latał wokół boiska wrzeszcząc z całych sił i wymachując laską. Pamiętasz?

- Pamiętam - odpowiedziałem.

- To były dni. Widzę go, jak wymachuje laską i drze się. Ale to był wariat. Po meczu dawał każdemu chłopcu tabliczkę czekolady i jabłko. Większość dzieciaków przychodziła tylko po czekoladę i jabłko.

- Masz rację - powiedziałem.

- Wiedziałem, że gdzieś cię przedtem widziałem. - Stał patrząc ponad wodą przez dłuższy czas, a potem odezwał się: - Kto był w karetkce?

Wiedział, że byłem z Londynu, i resztę odgadł. W Berlinie nie trzeba było być psychicznym, żeby odgadnąć resztę.

- Więzień - powiedziałem.

Robiło się ciemno. Światło dzienne nie trwa długo w pochmurne, grudniowe dni, jak ten w Berlinie. Światła magazynu tworzyły małe, puchate kule we mgle. Były tam tylko dźwigi, szopy, zbiorniki, skrzynki ustawione na wysokość domu i zardzewiałe tory kolejowe. I jeszcze więcej tego samego sprzętu przed nami, daleko za wodę. Nie było ruchu oprócz wolno płynącego prądu. Wielkie miasto dookoła nas było ciche i tylko generator zakłócał spokój. Patrząc na południe wzdłuż rzeki, dostrzegałem wyspę Eiswerder. Za nią, całe wchłonięte przez mgłę, było Spandau - słynne na cały świat nie tylko z powodu karabinów maszynowych, ale i z racji ufortyfikowanego więzienia, w którym żołnierze czterech narodów strzegli starego i mocno osłabionego więźnia: zastępcę Hitlera.

Wzrok inspektora podążył za moim.

- Chyba nie Hess - zażartował. - Nie mów, że w końcu udało się staremu uciec.

Uśmiechnąłem się z obowiązku.

- To niefart dostać służbę w Boże Narodzenie - odezwałem się. - Jesteś żonaty?

- Tak, jestem żonaty. Mieszkam niedaleko stąd. Moi rodzice mieszkali w tym samym domu. Czy wiesz, że nigdy w życiu nie wyjeżdżałem z Berlina?- Iw ciągu

wojny także?

- Tak, mieszkałem tu przez całą wojnę. Pomyślałem sobie o tym, gdy dałeś mi się napić. - Podniósł kołnierz służbowego płaszcza. - Starzejesz się i nagle przypominasz sobie rzeczy, o których nie pamiętałeś przez prawie czterdzieści lat. Na przykład teraz, nagle przypomniałem sobie chwile tuż przed Gwiazdką w 1944, gdy byłem niedaleko stąd na służbie: gazownia.

- Byłeś w wojsku? - Nie wyglądał na tak starego.

- Nie. Hitlerjugend. Miałem lat czternaście i dopiero co dostałem swój mundur. Powiedzieli, że nie byłem dostatecznie silny, aby dołączyć do obsługi armaty, więc zrobili ze mnie posłańca placówki obrony przeciwlotniczej. Byłem najmłodszy. Pozwolili mi wykonywać tę pracę tylko dlatego, że od miesiąca Berlin nie przeżył nalotów lotniczych i wydawał się taki bezpieczny. Krążyły pogłoski, że Stalin powiedział zachodnim aliantom, iż nie wolno Berlina bombardować po to, aby Armia Czerwona mogła go zająć nie tknięty. - Na twarzy pojawił mu się sardoniczny uśmiech. - Ale pogłoski okazały się nieprawdziwe i piątego grudnia Amerykanie nadlecieli w ciągu dnia. Ludzie mówili, że próbują walnąć w fabrykę Siemens, ale ja tam nie wiem. Siemens-stadt było fatalnie zbombardowane, ale bomby trafiły Spandau i Panków, i Oranienburg, i Weissensee. Nasze myśliwce zaatakowały *Amis*, gdy nadlecieli - były gęste chmury, ale słyszałem odgłos karabinów maszynowych - i tak myślę, że zrzucili wszystko najprędzej jak mogli i odlecieli do domu.

- Dlaczego pamiętasz akurat ten nalot?

- Byłem na zewnątrz i bomba, która spadła na Streatstrasse tutaj z tyłu nie opodał, zmiotła mnie z roweru. Oficer na placówce przeciwlotniczej znalazł mi inny rower i dał mi się napić sznapsa ze swojej flaszki, tak jak ty teraz. Poczułem się bardzo dorosły. Nigdy przedtem nie miałem wódki w ustach. Potem wysłał mnie na rowerze z wiadomością dla naszego sztabu na stacji Spandau. Nasze linie telefoniczne były rozwalone. „Bądź ostrożny, powiedział, i jeśli nadleci nowa grupa bombowców, kryj się”. Kiedy wróciłem po dostarczeniu wiadomości, nic z nich nie zostało. Placówka obrony przeciwlotniczej była kupą gruzu. Wszyscy martwi. To była bomba ze spóźnionym zapłonem. Musiała upaść tuż koło nas, kiedy dawał mi łyk wódki, ale nikt nie usłyszał i nie wyczuł uderzenia z powodu ogólnego jazgotu.

Nagle zmienił styl, tak jakby poczuł się zażenowany opowieścią o swoich doświadczeniach wojennych. Być może jego opowieści zostały kiedyś zduszone przez historie tych, którzy wrócili z frontu na wschodzie - w takim zestawieniu jego

opowiadka o nalocie wydawała się być jedynie drobnym kłopotem.

Poprawił płaszcz, jak żołnierz mający iść na paradę. A potem, patrząc do wody na zanurzony samochód, rzekł:

- Jeśli następna próba nie uda się, będziemy musieli użyć dużego dźwigu. A to oznaczać będzie czekanie na po świętach; związki już się o to postarają.

- Ja zostanę - powiedziałem.

Wiedziałem, że próbował podsunąć mi wymówkę, żeby odejść.

- Nurkowie mówią, że samochód jest pusty.

- Chcieli po prostu iść do domu - zażartowałem niefrasobliwie. Inspektor poczuł się urażony.

- Ale skądże znowu. To dobre chłopaki. Nie kłamałoby mi tylko po to, by uniknąć kolejnego zanurzenia.

Oczywiście miał rację. W Niemczech ciągle jeszcze istniała etyka zawodowa;

- Niewiele widzą, bo samochód cały jest pokryty olejem i błotem. Wiem, jak to jest w takiej wodzie; światło lamp podwodnych odbija się w szybach samochodu - powiedziałem.

- Oto twój przyjaciel - odezwał się inspektor.

Odszedł w drugi koniec przystani, aby dać nam okazję do porozmawiania prywatnie.

Był to Werner Volkmann. Na głowie miał kapelusz i nosił swoje zimowe palto z kołnierzem z karakułów. Nazywałem to okrycie paltem impresaria, ale dzisiaj nie było mi do śmiechu, gdyż marzłem na śmierć w swoim wilgotnym trenczu.

- Co jest? - zapytał.

- Nic - odpowiedziałem. - Zupełnie nic

- Tylko się nie wściekaj - rzekł Werner. - Nawet mi za to nie płacą.

- Przepraszam, Werner, ale mówiłem ci, żebyś tu nie przyjeżdżał.

- Drogi są puste i szczerze mówiąc, jako Żyd, czuję się poniekąd hipokrytą świętując Boże Narodzenie.

- Chyba nie zostawiłeś Zeny samej?

- Rodzina jej siostry jest u nas - czwórka dzieci i mąż, pracujący w biurze podatkowym.

- Teraz rozumiem, dlaczego przyjechałeś.

- Podoba mi się to wszystko, ale tylko do pewnego momentu - powiedział Werner. - Zena lubi wykonać pracę akuratanie. Wiesz, jak to jest w Niemczech. Całe



popołudnie spędziła ubierając drzewko i wykładając prezenty, i jeszcze ma prawdziwe świece na choinkę. - Powinieneś być z nimi - powiedziałem. W Niemczech wieczór wigilijny - *heiliger Abend* - jest najważniejszą porą świąt. - Tylko niech ci nie spali domu.

- Wrócę do nich na kolację. Powiedziałem, że i ty przyjdiesz.

- Chciałbym, Werner. Ale muszę tu zostać, aż wydobędą samochód z wody.

Dicky zawarł to na piśmie, a wiesz, jaki on jest.

- Czy niedługo spróbujecie jeszcze raz?

- Mniej więcej za godzinę. Czego dowiedziałeś się dziś rano w szpitalu?

- Nic, co mogłoby pomóc. Ludzie, którzy ją zabrali, byli przebrani za lekarza i szpitalny personel. Na zewnątrz czekał Citroën. Z tego, co mówią w recepcji, ambulans miał ją zabrać do prywatnej kliniki w Dahlem.

- A co z pilnującym jej policjantem?

- Dla niego mieli inną historyjkę. Powiedzieli mu, że są z personelu kliniki. Że zabierają ją na dół na kolejne prześwietlenie i wrócą za około pół godziny. Była bardzo słaba i mocno narzekała, że ją przenoszą. Prawdopodobnie nie zdawała sobie sprawy, co miało się stać.

- Masz na myśli, że pójdzie na dno Haweli?

- Nie, że to był zespół KGB, który przyjechał, aby ją zabrać policji.

- Dlaczego z recepcji nie zatelefonowano na policję przed wypuszczeniem jej? - spytałem.

- Nie wiem, Bernie. Jeden z pracowników powiedział, że została zabrana na podstawie dokumentów jakiejś innej pacjentki, która miała być przewieziona tego dnia. Inny powiedział, że przy karetce stał policjant, więc wszystko wydawało się być w porządku. Prawdopodobnie nigdy nie dowiemy się dokładnie, co się stało. To jest szpital, a nie więzienie, personel nie za bardzo przejmuje się tym, kto tam wchodzi, a kto wychodzi.

- No, a jak ty to widzisz, Werner?

- Wiedzieli, że mówiła, tak przypuszczam. Jaką drogą to, co nam powiedziała, przedostało się do Moskwy, a tam zdecydowali, że jest tylko jeden sposób na załatwienie sprawy.

- A dlaczego nie zabrali jej prosto do Berlina Wschodniego? - powiedziałem.

- Karetką? Bardzo rzuca się w oczy. Nawet Rosjanom nie zależy na tego typu publicity. Wyrwanie aresztowanej z rąk policji i przewiezienie jej przez granicę nie

wyglądałoby dobrze teraz, kiedy Niemcy wschodni starają się pokazać światu, jakimi dobrymi sąsiadami potrafią być. - Popatrzył na mnie. Zrobiłem grymas. - W ten sposób jest łatwiej - dodał Werner. - Pozbyli się jej. Nie szli na żadne ryzyko. Jeśli już nam to i owo wyśpiewała, to chcieli przynajmniej mieć pewność, że nie dostarczy dowodów.

- Ale to jest drastyczne remedium, Werner. Co ich tak podnieciło?

- Wiedzieli, że obsługiwała serwis radiowy dostarczany przez twoją żonę.

- W porządku - powiedziałem. - A Fiona jest tam. Więc dlaczego mieliby obawiać się czegoś, co nam powie ta kobieta?

- Fiona się za tym kryje? To masz na myśli?

- Trudno nie podejrzewać jej o maczanie w tym palców.

- Ale Fiona jest cała i zdrowa. Czym miałyby się przejmować?

- Niczym, Werner, ona niczym nie musi się przejmować. Patrzył na mnie jakby w zaintrygowaniu. Potem rzekł:

- Zatem serwis radiowy. Co sądzi Dicky o tych wielorakich kodach?

- Dicky nie sprawiał wrażenia, że słucha. Miał nadzieję, że Millerowa zniknie, i zakazał mi rozmów ze Stinnesem.

- Dicky nigdy nie szukał dodatkowej pracy - powiedział Werner.

- Nikt nie jest zainteresowany - rzekłem. - Zszedłem do Silasa Gaunta i von Muntego, żeby porozmawiać, i żaden z nich nie był zbytnio zainteresowany. Silas pokiwał na mnie palcem, kiedy poruszyłem sprawę w rozmowie z von Muntem. I powiedział mi, żebym nie robił hałasu. „Nie zaczynaj znowu się w tym grzebać” - powiedział.

- Nie znam starego pana Gaunta tak jak ty. Pamiętam go tylko z berlińskiego biura, gdy twój ojciec był szefem jednostki operacyjnej. Mieliśmy wtedy mniej więcej po osiemnaście lat. Pan Gaunt założył się ze mną, że Muru nigdy nie będzie. Wygrałem od niego pięćdziesiąt marek, kiedy Mur wzniesiono. A pięćdziesiąt marek wtedy, to było mnóstwo pieniędzy. Za pięćdziesiąt marek można było pójść do lokalu na kolację w pełnej gali.

- Chciałbym mieć tyle marek, ile razy mi to opowiadałeś, Werner.

- Jesteś w podłym nastroju, Bernie. Przepraszam, że trafiła ci się ta parszywa robota, ale to nie moja wina.

- A tak chciałem być z dziećmi przez te parę dni. Dorastają beze mnie, Werner. I Gloria też tam jest.

- Cieszę się, że jest dobrze... ty i Gloria.- To przecież cholernie śmieszne - powiedziałem. - Mógłbym być jej ojcem. Wiesz, ile ona ma lat?

- Nie, i nie obchodzi mnie. Jest różnica wieku między mną i Zeną, prawda? Ale przez to nie przestajemy być szczęśliwi.

Obróciłem się do Wenera, żeby mu się przyjrzeć. Było ciemno. Jego twarz było widać tylko dlatego, że okalała ją światło padające z serii reflektorów. Oczy pod ciężkimi powiekami były poważne. Biedny Werner. Czy naprawdę był szczęśliwy? Jego małżeństwo było w moim pojęciu piekłem.

- Zena jest starsza od Glorii - powiedziałem.

- Ciesz się, dopóki potrafisz, Bernie. To nie ma nic wspólnego z wiekiem Glorii. Ciągłe jesteś w fatalnym nastroju po utracie Fiony. Nie przestałeś myśleć o jej ucieczce. Znam cię i mogę to powiedzieć. Była dla ciebie czymś w rodzaju kotwicy, bazy. Bez niej jesteś niespokojny i niepewny siebie. Ale to tylko chwilowe. To ci przejdzie. A Gloria jest tym, czego ci potrzeba.

- Możliwe.

Nie spierałem się z nim; zazwyczaj był bardzo spostrzegawczy, jeśli chodzi o międzyludzkie stosunki. Dlatego był takim dobrym agentem operacyjnym w czasach, gdy byliśmy młodzi i beztroscy i lubiliśmy podejmować ryzyko.

- O co ci właściwie chodzi? Zaszifrowane imiona są dla analityków i personelu Koordynacji. Co cię obchodzi, ilu zaszifrowanych imion używała Fiona?

- Używała jednego - uciałem. - Oni wszyscy używają jednego. Nasi ludzie mają po jednym imieniu na zaszifrowanie źródła i tak samo ich agenci. Potwierdził to von Munte. Fiona była *Eisen-guss* - żadnych innych imion.

- Skąd jesteś taki pewny?

- Nie jestem pewny na sto procent - powiedziałem. - W tej robocie trafiają się różne specjalne okoliczności; wszyscy o tym wiemy. Ale jestem pewny na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

- Co ty mówisz, Bernie?

- To oczywiste, Werner.

- Jest Boże Narodzenie, Bernie. Wypiłem parę kolejek, żeby być towarzyski. Co też ty mówisz?

- Były dwa główne źródła materiałów do obsługi przez Millerową. Oba dostarczały dane najwyższego kalibru. Tylko jedno z nich to była Fiona.

Werner ścisnął czubek nosa kciukiem i palcem wskazującym i zamknął oczy.

Robił tak, gdy o czymś intensywnie myślał.

- Masz na myśli, że jest tam ktoś jeszcze? Masz na myśli, że KGB ma nadal kogoś w londyńskiej Centrali?

- Nie wiem - powiedziałem.

- Nie wzruszaj ramionami - rzekł Werner. - Najpierw rzucasz mi w twarz kremowym tortem, a potem mówisz, że nie wiesz.

- Wszystko na to wskazuje - odparłem. - Ale ja im to powiedziałem w Centrali Londyńskiej. Zrobiłem wszystko z wyjątkiem wyrysowania diagramu, lecz każdy ma to w nosie.

- To może być jakiś popis, popis KGB.

- Ja nie organizuję linczu, Werner. Ja tylko sugeruję, że należy to sprawdzić.

- Może coś Millerowej nie wyszło - powiedział Werner.

- Mogło jej nie wyjść, ale nawet jeśli jej nie wyszło, to nadal pozostaje pytanie, na które trzeba odpowiedzieć. A co będzie, jeśli ktoś przeczyta transkrypcję Millerowej i zacznie się zastanawiać, czy to nie ja jestem tym drugim źródłem?

- Aha! Kryjesz swoją dupę - rzekł Werner. - Tak naprawdę to ty nie sądzisz, że w londyńskiej Centrali jest inny informator KGB, lecz zdałeś sobie sprawę, że tak to musiałbyś interpretować na wypadek, gdyby ktoś pomyślał, że to ty, czyli próbujesz się zabezpieczyć.

- Nie bądź głupi.

- Nie jestem głupi, Bernard. Znam londyńską Centralę i znam ciebie. Biegasz w kółko wrzeszcząc „Pożar!”, na wypadek gdyby ktoś posądził cię o podpalenie.

Potrząsnąłem przecząco głową, ale przyszło mi na myśl, że może miał rację. Znał mnie lepiej niż ktokolwiek, nawet lepiej niż Fiona.

- Naprawdę zamierzasz tu sterczeć, aż wydobędą ten samochód z wody?

- Taki właśnie mam zamiar.

- Chodź coś przegryźć. Poproś tego inspektora policji, żeby do nas zadzwonił, jak zaczną pracę na nowo.

- Naprawdę nie mogę, Werner. Obiecałem Lisi, że zjem z nią obiad w hotelu, w razie gdybym mógł się wyrwać stąd na czas.

- Czy mam do niej zadzwonić i powiedzieć, że nie dasz rady? Popatrzyłem na zegarek.

- Tak, proszę cię, Werner. Będzie u niej gromadka zżytych z nią przyjaciół - stary pan Koch i ci ludzie, u których kupuje wino - i zrobią się nerwowi, jeśli opóźni

obiad z mojego powodu.

- Zadzwoń do niej. Wczoraj byłem u niej z prezentem, ale zadzwonię, żeby życzyć jej wesołych świąt. - Podciągnął kołnierz swego palta i upchnął w nim biały jedwabny szalik. - Cholernie zimno tu nad rzeką.

- Wracaj do Zeny - powiedziałem mu.

- Jeśli jesteś pewny, że nie przyjdiesz... Przynieść ci coś do jedzenia?

- Przestań być żydowską mamuszką, Werner. Jest mnóstwo miejsc, gdzie mogę coś dostać. Odprowadzę cię do samochodu. Na rogu otwarty jest bar. Wezmę jakąś kiełbasę i piwo.

\* \* \*

Była prawie dziesiąta w nocy, kiedy wyciągnęli karetkę z Haweli. Smutny to był widok; bok, na którym leżała na dnie rzeki, cały był oblepiony oleistym mułem. Jedna opona była zerwana i karoseria poszarpana w miejscu zderzenia z barierką, która miała zapobiegać takim wypadkom.

Rozległy się przytłumione okrzyki radości, gdy wóz spoczął na twardym gruncie. Lecz natychmiast przystąpiono do zakończenia zadania. Nurkowie jeszcze pakowali swój sprzęt, gdy drzwi samochodu otwarto lewarem i zaczęło się przeszukiwanie wnętrza.

Żadnego ciała w środku nie było - stało się to jasne w ciągu pierwszych dwóch, trzech minut - ale przeszukiwanie trwało, aby znaleźć inne dowody.

O jedenastej piętnaście inspektor z policji zadeklarował zakończenie wstępnego badania w zakresie medycyny sądowej. Chociaż powkładali do dowodowych torebek z przejrzystego plastiku różne rzeczy, to jednak nie odkryto niczego takiego, co mogłoby rzucić jakiegokolwiek światło na zniknięcie Carol Elviry Miller, rosyjskiej agentki, wedle własnych zeznań.

Wszyscy byliśmy strasznie pobrudzeni. Poszedłem z policjantami do toalety na uboczu przystani. Nie było ciepłej wody w kranie i tylko jedna kostka mydła. Jeden z policjantów przyniósł duży kubek gorącej wody. Reszta stała z boku, dając pierwszeństwo inspektorowi. Ten wskazał mi drugi zlew.

- No i co o tym sądzisz? - rzekł inspektor wlewając gorącą wodę do każdego ze zlewów.

- A gdzie ciało może się wynurzyć? - zapytałem.

- Przy śluzach w Spandau, tam ich wyławiamy - powiedział bez wahania. -

Ale nikogo nie było w samochodzie, gdy wpadał do wody. - Zdjął marynarkę i koszulę, by umyć ramiona w miejscu, gdzie błoto przeciekło mu do rękawów.

- Sądysz, że nie? - Stałem koło niego i wziąłem podane mi mydło.

- Przednie drzwi były zamknięte na klucz i tak samo tylne drzwi karetki.

Niewielu ludzi wydostających się z zatopionego samochodu pamięta o zamknięciu drzwi na klucz przed odpłynięciem. - Podał mi kilka papierowych ręczników.

- Poszedł do wody pusty?

- Nie chcesz przyjąć tego do wiadomości? No i bardzo dobrze.

- Tak, masz rację - powiedziałem. - Był to prawdopodobnie kaskaderski numer. Skąd miałeś informację, gdzie go szukać?

- Spojrzałem do rejestru zgłoszeń. Jakiś anonimowy telefon od przechodnia.

Myślisz, że to był lewy numer?

- Prawdopodobnie.

- Podczas gdy więźnia zabierano gdzie indziej.

- Jest to sposób na odciążenie naszej uwagi.

- I zepsucie mojej Wigilii - powiedział. - Zabiję sukinsynów, jak ich kiedykolwiek złapię.

- Ich?

- Przynajmniej dwóch ludzi. Nie był na biegu, zauważ. Więc musieli go zepchnąć. Do tego trzeba dwóch: jednego do pchania i jednego do kierowania.

- Trzech, wedle tego, co słyszeliśmy. Kiwnął głową przytakująco.

- Za dużo jest zbrodni w telewizji - powiedział inspektor policji. Dał znak policjantowi, żeby przyniósł jeszcze jeden kubeł wody dla pozostałych osób.

- Ten stary pułkownik angielski z drużyną piłki nożnej... to był twój ojciec, prawda?

- Tak - odpowiedziałem.

- Uświadomiłem to sobie później. Bodajbym odgryzł sobie język. Bez obrazy.

Wszyscy lubili starszego pana.

- Nie ma sprawy - powiedziałem.

- On wcale nie lubił futbolu. Robił to dla niemieckich dzieciaków; tak mało miały rozrywek wtedy. Prawdopodobnie nienawidził każdej minuty tych rozgrywek. Wtedy tego nie rozumieliśmy; zastanawialiśmy się, dlaczego zadaje sobie tyle trudu z futbolem, kiedy nawet nie umiał prosto kopnąć piłki. Organizował mnóstwo rzeczy dla dzieciaków. I posyłał ciebie do miejscowej szkoły, zamiast do tej gustownej

szkoły, do której chodziły inne brytyjskie dzieci. Musiał być niezwykle człowiekiem, ten twój ojciec.

\* \* \*

Obmywanie dłoni, ramion i twarzy usunęło tylko najwidoczniejszy brud. Mój trencz był przemoczony, a w butach chlupotało. W tym miejscu brzegi Haweli zanieczyszczone są stuletnimi ściekami i odpadami. Nawet moje świeżo umyte ręce nadal śmierdziały dnem rzeki.

W hotelu było ciemno, gdy otwierałem sobie drzwi kluczem, który mogli wypożyczyć tylko niektórzy uprzywilejowani goście. Kiedyś hotel Lisi Hennig był jej wspaniałym domem, a przed wojną, domem jej rodziców. Mieścił się tuż obok Kantstrasse, wielki budynek z szarego kamienia, w jakie Berlin obfituje. Na parterze był sklep optyczny i jego jasna witryna częściowo skrywała dziury w kamieniu po ogniu artyleryjskim Armii Czerwonej w 1945. Moje najwcześniejsze wspomnienia dotyczyły domu Lisi - nie było łatwo myśleć o tym budynku jak o hotelu - ponieważ przybyłem tu jako zupełny bobas, kiedy mój ojciec był w armii brytyjskiej. Pamiętałem, że brązowy dywan, wiodący ogromnymi schodami na górę, był kiedyś jasnoczerwony.

Na szczycie schodów był olbrzymi salon i bar. Było tu ciemno. Iluminowała jedynie mała choinka ustawiona na kontuarze baru. Maleńkie zielone i czerwone żaróweczki zapalały się i gasły, podejmując smutną próbę stworzenia uroczystego nastroju. Zmieniające się światło padało na oprawne zdjęcia na ścianach. Widać było na nich najznamienitszych mieszkańców Berlina, od Einsteina do Nabokowa, od Garbo po Dietrich i od Maxa Schmelinga po Wielkiego Admirała Dónitza, osobistości tego Berlina, który minął bezpowrotnie.

Zajrzałem do jadalni; była pusta. Krzesła z giętego drewna położono na stole, by można było zamieść podłogę. Solniczki i pieprzniczki, sztuce i wysoka sterta białych talerzy czekały w pogotowiu na stole przy okienku do podawania potraw. Nigdzie nie było znaku życia. Nie było nawet zapachu kuchennego, jaki zazwyczaj rozchodził się w nocy po całym domu.

Przeszedłem na palcach przez salon do tylnych schodów. Mój pokój był na górze - zawsze lubiłem zajmować maleńki pokój na poddaszu, który był moją sypialnią jak za czasów dzieciństwa. Lecz zanim dotarłem do schodów, przeszedłem obok drzwi pokoju Lisi. Pasek światła wzdłuż framugi potwierdzał jej obecność.

- Kto tam?! - zawołała z niepokojem. - Kto tam?!

- To ja, Bernd - powiedziałem.

- Wejź, ty okropny chłopaku! - Jej krzyk był dostatecznie głośny, aby obudzić wszystkich w całym budynku.

Siedziała w pościeli wsparta na wykończonych koronkami poduszkach, których było za nią chyba z tuzin. Na głowie miała zawiązaną szarfę, a na stoliku obok stała butelka sherry i kieliszek. Po całym łóżku rozrzucone były gazety, niektóre z nich w kawałkach, tak że stronicze poleciały po pokoju aż pod kominek.

Zerwała okulary tak szybko, że aż jej brązowe farbowane włosy rozsypały się.

- Daj mi buziaka - zażądała. Tak też zrobiłem, zauważając kosztowne perfumy, makijaż i sztuczne rzęsy, które zakładała tylko na specjalne okazje. *Heiliger Abend* z przyjaciółmi znaczył dla niej bardzo wiele. Domyśliłem się, że czekała na moje przyjście i dlatego jeszcze nie usunęła makijażu. - Dobrze się bawiłeś? - spytała. W jej głosie była hamowana złość.

- Pracowałem - odrzekłem.

Nie chciałem wdawać się w konwersację. Chciałem iść do łóżka i długo pospać.

- Z kim byłeś?

- Powiedziałem ci, że pracowałem. - Chciałem zażegnać jej niepokój. - Zjadłaś kolację z panem Kochem i twoimi przyjaciółmi? Co podałaś - karpia?

Lubiła zjeść karpia w Boże Narodzenie; często mówiła mi, że to jedyne danie, jakie warto podawać. Nawet w czasie wojny jakoś zawsze udawało im się dostać karpia.

- Lothar Koch nie mógł przyjść. Ma grypę, a ci od wina musieli pójść na przyjęcie dla handlarzy winem.

- Więc byłaś całkiem sama - powiedziałem. Nachyliłem się, całując ją raz jeszcze. - Tak mi przykro, Lisi. - Kiedyś była taka ładna. Pamiętam, że jako dziecko miałem poczucie winy, uważając ją za piękniejszą od mojej matki. - Naprawdę tak mi przykro.

- I tak powinno być.

- Nie mogłem tego uniknąć. Musiałem tam być.

- Musiałaś być gdzie - hotel Kempinski czy Steigenberger? Nie kłam, *Liebchen*. Kiedy zadzwonił do mnie Werner, słyszałam w tle głosy i muzykę. Więc nie musisz udawać, że pracowałeś. - Zaśmiała się, ale nie tym śmiechem radości.

A więc była w łóżku i stopniowo rosła w niej wściekłość z tego powodu.



- Pracowałem - powtórzyłem. - Jutro rano ci wyjaśnię.

- Nie musisz nic wyjaśniać, *Liebchen*. Jesteś wolnym człowiekiem. Nie musisz spędzać *heiliger Abend* z brzydką starą kobietą. Idź i baw się, póki jesteś młody. Nie mam nic przeciw temu.- Nie demonizuj rzeczy, Lisi - powiedziałem. - Werner dzwonił ze swojego mieszkania, bo ja pracowałem.

Dopiero teraz doleciał ją odór mułu na moim ubraniu, więc założyła okulary, aby widzieć mnie wyraźniej.

- Ależ ty cuchniesz, Bernd. Cóżes ty robił? Gdzieś ty był?

Z jej gabinetu doleciała melodia kuranta ozdobnego, połączanego zegara wybijającego drugą trzydzieści.

- Ciągłe ci mówię, Lisi. Byłem z policją nad Hawelą, skąd wydobyliśmy samochód.

- Przecież powtarzałam ci, że jeździsz za szybko.

- To nie miało nic wspólnego ze mną - powiedziałem.

- No to co tam robiłeś?

- Pracowałem. Czy mogę się napić?

- Kieliszek jest na kredensie. Mam tylko sherry. Whisky i brandy są zamknięte w piwnicy.

- Sherry będzie w sam raz.

- O Boże, Bernd, co ty wyrabiasz? Nie pije się sherry całymi szklankami.

- Jest Boże Narodzenie - powiedziałem.

- Tak, jest Boże Narodzenie - potwierdziła i nalała sobie trochę.

- Była telefoniczna wiadomość, jakaś kobieta. Powiedziała, że nazywa się Gloria Kent. Powiedziała, że wszyscy cię serdecznie pozdrawiają. Nie chciała zostawić numeru telefonu. Powiedziała, że ty zrozumiesz. - Lisi pociągnęła nosem.

- Tak, rozumiem - powiedziałem. - To wiadomość od dzieci.

- Ach, Bernd. Pocałuj mnie, *Liebchen*. Dlaczego jesteś taki okrutny dla swojej *Tante* Lisi? Huśtałam cię na kolanie w tym właśnie pokoju, a było to zanim zacząłeś chodzić.

- Tak, wiem, ale nie mogłem odejść, Lisi. To była praca. Zatrzepotała rękami jak młoda aktoreczka.

- Któregoś dnia będziesz stary, kochanie. Wtedy zrozumiesz, jak to jest.

## Rozdział VI

Ranek Bożego Narodzenia. Berlin Zachodni był jak wymarłe miasto: gdy wyszedłem na ulicę, było niesamowicie cicho. Na Ku-Dammie żadnego ruchu ulicznego i chociaż niektóre neony i witryny sklepów nadal jarzyły się, nikt nie spacerował po szerokich chodnikach. Właściwie całe miasto aż do Potsdamerstrasse miałem tylko dla siebie.

Potsdamerstrasse jest główną ulicą Schönebergu, szeroką arterią, na jednym krańcu zwaną Hauptstrasse i ciągnącą się ku północy aż do Tiergarten. Można tu znaleźć dosłownie wszystko, czego się chce, i wiele rzeczy, których wolimy unikać. Są tu eleganckie sklepy i slumsy, bary szybkiej obsługi z szaszłykami i wspaniałe dziewiętnastowieczne domy, obecnie umieszczone na liście narodowych pomników. Tutaj znajduje się neobarokowy pałac - Volksgerichtshof - gdzie hitlerowscy sędziowie ferowali wyroki śmierci w tempie dwóch tysięcy rocznie i gdzie również wykonywano egzekucje na obywatelach obwinianych o opowiadanie nawet najniewinniejszych dowcipów antynazistowskich.

Za Volksgerichtshofem - którego pokoje teraz świeciły pustką i odbijały echem, z wyjątkiem tych używanych przez Sojusznicze Biuro Podróży i Sojusznicze Biuro Bezpieczeństwa Przestrzeni Powietrznej (gdzie czwórka kontroluje napowietrzne szlaki wiodące przez Niemcy Wschodnie do Berlina) - biegła ulica, gdzie mieszkał Lange. Okna jego mieszkania na górnym piętrze wychodziły na jedną z bardziej paskudnych bocznych uliczek. Lange nie było jego nazwiskiem ani też jego imieniem. „Lange” - albo „Długi” - to był opisowy przydomek, jaki Niemcy nadali temu bardzo wysokiemu Amerykaninowi. Naprawdę nazywał się John Koby. Był pochodzenia litewskiego i jego dziadek zdecydował, że „Kubilunas” nie było na tyle amerykańskie, aby mogło widnieć nad sklepem w Bostonie. Drzwi od ulicy prowadziły na ponurą kamienną klatkę schodową. Na każdym piętrze okna były zabite deskami. Było ciemno, schody oświetlały przyciemnione lampy osłonięte drutem dla ochrony przed wandalami. Ściany nagie, z wyjątkiem graffiti. Na najwyższym piętrze budynku drzwi do mieszkania pomalowano niedawno na ciemnoszary kolor, a przy dzwonku widniała naklejka: JOHN KOBY - DZIENNIKARZ. Drzwi otworzyła mi pani Koby i poprowadziła mnie do jasno oświetlonego i dobrze umeblowanego wnętrza.

- Lange tak się ucieszył, że zadzwoniłeś - szepnęła. - To cudownie, że mogłeś tak szybko przyjść. On czasami wpada w przygnębienie. Podniesiesz go na duchu. - Była drobna i chuda, o bladej twarzy, jak twarze wszystkich berlińczyków, gdy

nadejście zima. Miała jasne oczy, buzię okrągłą i grzywkę tak przystrzyżoną, że sięgała jej prawie do brwi.

- Spróbuję - obiecałem jej.

Był to ten rodzaj zabałaganionego pokoju, w jakim człowiek spodziewał się ujrzeć pisarza, a nawet „dziennikarza”. Na półkach stały stłoczone książki, biurko ze starą maszyną do pisania, a jeszcze więcej książek i gazet piętrzyło się na podłodze. Ale Lange już od wielu lat nie był pisarzem zawodowym i nawet za swych czasów dziennikarskich nie był człowiekiem sięgającym po książkę, chyba że w ostateczności. Lange nigdy nie był dziennikarzem, Lange zawsze był cwany reporterem, który znał fakty z pierwszej ręki i uzupełniał je zgadywaniem. Zupełnie tak samo jak ja.

Meble były stare, lecz mało wartościowe - przypadkowa mieszanka kształtów i stylów, jaką można znaleźć na wyprzedażach lub na strychu. Niewątpliwie kiedyś w rogu stał duży piec i pozostały po nim tylko biało-niebieskie kafelki na ścianie. Obecnie takie starodawne kafelki są w cenie, ale te musiały być solidnie umocowane, ponieważ odniosłem wrażenie, że wszystko, co było luzem w tym mieszkaniu, zostało już sprzedane.

Miał na sobie stary jedwabny czerwono-złoty szlafrok. Pod nim szare flanelowe spodnie i koszulę z grubej bawełny z końcami kołnierzyka zapinanymi na guziczki, rozslawioną w świecie przez Brooks Brothers. Krawat był w kolorze lodów, z *Klubu Garricka*, londyńskiego miejsca spotkań aktorów, ludzi od reklamy i prawników. Miał ponad siedemdziesiąt lat, lecz szczupłość i wysoki wzrost jakoś pomagały mu mieć młodszy wygląd. Twarz pociągła i dokładnie ogolona, z wysokim czołem i siwymi włosami oraz precyzyjnym przedziałkiem. Miał wydatny kościsty nos i zęby, zbyt żółte i nieregularne, aby móc uznać je za sztuczne.

Przypomniałem sobie w porę o tym rodzaju pozdrowienia, jakiego używał w kontaktach ze starymi przyjaciółmi - *Handsclag*, dłonie uderzają się z hałaśliwym kłaśnięciem w uścisku używanym przez niemieckich rolników dobijających targu o świnie.

- Wesołych Świąt, Lange - odezwałem się.

- Cieszę się, że cię widzę, Bernie - powiedział puszczając moją dłoń

- Mieszkaliśmy w tamtym drugim domu, kiedy byłeś u nas ostatnio.

Mieszkanie mieściło się nad piekarnią. - Silny amerykański akcent czynił zeń wczorajszego zaledwie przybysza. A przecież Lange mieszkał w Berlinie dłużej niż

większość jego sąsiadów. Przyjechał tu jako dziennikarz jeszcze przed przejęciem władzy przez Hitlera w roku 1933 i pozostał tutaj do czasu przystąpienia Ameryki do drugiej wojny światowej.

- Kawa, Bernard? Już jest gotowa. Czy wolisz kieliszek wina? - powiedziała Gerda Koby biorąc mój płaszcz. Była to nieśmiała i zamknięta w sobie kobieta i chociaż znałem ją od dziecka, to nigdy nie mówiła do mnie „Bernie”. Sądzę, że wolałaby nazywać mnie „Herr Samson”, lecz w tej sprawie zachowywała się tak jak jej mąż, zresztą podobnie jak we wszelkich innych sprawach. Była nadal ładna. Trochę młodsza od Langego, była swego czasu śpiewaczką operową słynną w całych Niemczech. Spotkali się w Berlinie, kiedy wrócił tu jako dziennikarz z armią amerykańską w 1945 roku.

- Nie jadłem śniadania - powiedziałem. - Filizanka kawy to będzie coś wspaniałego.

- Lange? - odezwała się. Popatrzył na nią nie widzącym wzrokiem i nie odpowiedział. Wzruszyła ramionami. - On napije się wina - powiedziała do mnie. - W tym nie będzie się ograniczał. - Wyglądała na zbyt małą, jak na śpiewaczkę operową, ale staroświeckie plakaty na ścianie uwidoczniały jej pierwszoplanowe role w takich pozycjach jak: Wagner w Bayreuth, „Fidelio” w Państwowej Operze Berlińskiej i w monachijskim przedstawieniu „Mongolska furia”, które było nazistowską „aryjską” wersją „Izraela w Egipcie” Haendla.

- Jest Boże Narodzenie, kobieto - rzekł Lange. - Daj nam obu wina. - Nie uśmiechnął się i ona też nie. To był ten szorstki sposób, w jaki zawsze się do niej zwracał.

- Zostanę przy kawie - odparłem. - Mam przed sobą dużo jazdy samochodem. I będę musiał stawić się w Głównej Komendzie Policji w późniejszych godzinach dla podpisania pewnych formularzy.

- Siadaj, Bernie, i powiedz mi, co ty tutaj robisz. Kiedyśmy cię widzieli ostatnio, mieszkałeś w Londynie, byłeś żonaty i dzieciaty. - Głos miał schrypnięty i niewyraźną wymowę w stylu Bogata powiedziałem. - Tutaj jestem tylko

- Nadal mieszkam tam służbowo na kilka dni...

- O, tak - rzekł Lange. - Wpychanie prezentów kominem: a potem musisz znowu zaprząć swojego renifera i odjechać z powrotem do roboty.

- Dzieci muszą być już duże - rzekła pani Koby. - Powinieneś być z nimi w domu. Każą ci pracować w święta? To okropne.

- Mój szef bywa złośliwy - odparłem.

- I sądząc po tym, co mówisz, nie masz związku zawodowego - powiedział Lange. Nie darzył miłością Wydziału i starał się swoje niezadowolenie okazywać w niemal każdym słowie o ludziach z londyńskiej Centrali.

- To prawda - powiedziałem.

Przez kwadrans lub dwa siedzieliśmy prowadząc rozmowę o niczym. Potrzebowałem trochę czasu, aby przyzwycząić się do opryskliwego, szorstkiego stylu Langego.

- Nadal pracujesz w Wydziale, co?

- Już nie - powiedziałem.

Zignorował moje zaprzeczenie; zdawał sobie sprawę, że w ogóle nie należało brać go pod uwagę. Po chwili dodał:

- Cieszę się, że odszedłem, kiedy odszedłem.

- Byłeś pierwszym człowiekiem, jakiego mój ojciec zwerbował w Berlinie, a przynajmniej tak mówią.

- I mają rację - rzekł Lange. - Byłem mu wdzięczny. W 1945 nie mogłem się doczekać, kiedy pożegnam się z dziennikarstwem.

- A co ci w nim przeszkadzało?

- Za młody jesteś, żeby pamiętać. Ubrali reporterów w ozdobne uniformy i przywalili nam odznakę „Korespondent Wojenny”. A wszystko po to, aby te durne palanty z oddziałów prasowych armii mogły nam rozkazywać i mówić, co mamy pisać.

- Nie tobie, Lange. Tobie nikt nie mówił, co masz robić.

- Nie można się było sprzeczać. Mieszkałem w mieszkaniu zarekwirowanym przez armię, jadłem amerykańskie racje żywnościowe, jeździłem samochodem armii na benzynie armii i wydawałem okupacyjną forszę armii. Tak, tak, trzymali nas za jaja.

- Próbowali powstrzymać Langego od odwiedzania mnie - powiedziała pani Koby z oburzeniem.

- Ci durnie usiłowali wcisnąć żołnierzom swoją stukniętą doktrynę o niefraternizacji. Czy potrafisz sobie wyobrazić mnie usiłującego pisać tu artykuły, gdy nie wolno było rozmawiać z Niemcami? Armię nachodziły wybuchy gniewu i nawet paru chłopaków poszło do aresztu, ale kiedy młode Niemki przechodziły koło naszych Gis, a ci, poklepując je po tyłkach, krzyčili *Verboten*, to nawet samo dowództwo **armii** zrozumiało, że to był głupi pomysł.

- Było strasznie w 1945, kiedy poznałam Langego - powiedziała Gerda Koby.  
- Mój piękny Berlin był nie do poznania. Jesteś zbyt młody, żeby to pamiętać, Bernard. Zwały gruzów leżały na wysokość kamienic. Nie było żadnego drzewa ani krzewu, który ostałby się w całym mieście. Tiergarten przypominał pustynię - wszystko, co nadawało się do spalania, zostało dawno wycięte. Kanały i drogi wodne były kompletnie zawałone gruzem i żelastwem, zepchniętym tam dla przygotowania przejścia ulicami. Całe miasto śmierdziało trupami; smród z kanałów był jeszcze gorszy.

Mówienie z taką pasją było u niej czymś niezwykłym. Urwała nagle, jakby zażenowana. Potem podniosła się i nalala mi kawy z termosu oraz szklanek wina dla męża. Myślę, że on miał już za sobą parę kieliszków przed moim przyjściem.

Kawa podana była w delikatnej filiżaneczce w ilości na jeden łyk. Zrećźnie wypilem. Nie potrafię działać od rana bez porcji kawy.

- *Die Stunde Nuli* - powiedział Lange. - Godzina zero dla Niemiec; nie potrzebowałem, aby ktokolwiek wyjaśniał mi, co to znaczyło, kiedy przybyłem tu w 1945. Berlin wyglądał jak symbol globalnej katastrofy. - Lange podrapał się w głowę bez naruszania starannie uczesanych włosów. - W tym chaosie musiałem pracować. Żaden z tych facetów z armii, ani spośród tych clownów pracujących dla tak zwanego Rządu Wojskowego, nie znał miasta. Połowa z nich nawet nie znała języka. Byłem w Berlinie aż do roku 1941 i mogłem odnowić te wszystkie stare kontakty. Stworzyłem całą siatkę agentów, którą twój tata wysłał na wschodnią stronę. Mądry był ten twój tata, wiedział, że potrafię dotrzymać obietnicy. Przydzielił mi pracę swojego asystenta i wtedy powiedziałem armii, gdzie mogą sobie wepchnąć naszywkę „Wojennego Korespondenta”. - Zaśmiał się. - O Jezu, ależ oni byli wściekli. Byli wściekli na mnie i na twojego tatę. US Army złożyła protest w wywiadzie Eisenhowera. Ale twój tata miał bezpośrednie połączenie z Whitehallem i tak skończyła się rozgrywka.

- Dlaczego pojechałeś do Hamburga? - spytałem.

- Bo byłem tu już zbyt długo. - Wypił trochę jasnoczerwonego wina.

- A w jakiś czas potem Bret Rensselaer przeprowadził swoją „misję ustalania faktów”?

- Nie wspominaj mi o tym draniu. Bret był szczeniakiem, kiedy przyjechał tutaj próbując „zracjonalizować administrację”. - Ostatniedwa słowa Lange wymówił z silnym sarkastycznym naciskiem. - Był najlepszym kumplem, jakiego kiedykolwiek

Kreml miał, i mogę ci to dać na piśmie, kiedy zechcesz.

- Naprawdę był? - powiedziałem.

- Idź do archiwum i popatrz... a jeszcze lepiej, idź do „żółtej łodzi podwodnej”.

Uśmiechnął się i przyjrzał uważnie mojej twarzy, aby zobaczyć, czy byłem zdziwiony rozległością jego wiedzy. „Żółta łódź podwodna” - tak się nazywał, jak słyszałem, wielki komputer londyńskiej Centrali.

- Bo ja wiem...

- Pewnie, pewnie - rzekł Lange. - Już nie pracujesz w Departamencie; przyjechałeś tu po to, aby dyrygować koncertem świątecznych kolęd dla garnizonu brytyjskiego.

- Co Bret Rensselaer zrobił?

- Co zrobił? Rozmontował trzy siatki, które ja wprowadzałem do Strefy Sowieckiej. Wszystko przebiegało gładko, dopóki on nie przyjechał. Rozwalił ten mechanizm i w końcu doprowadził do tego, że Londyn kazał mi pojechać do Hamburga.

- Jakie było jego wyjaśnienie? - nalegałem.

- Bret nie podał żadnych wyjaśnień. Znasz go za dobrze, żeby o to pytać. Nikt nie mógł go powstrzymać. Bret był tylko czasowo przydzielony do nas, ale złożył w londyńskiej Centrali jakiś papierek, który pozwalał mu robić, co chciał.

- A co zrobił mój ojciec?

- Twojego ojca tu nie było. Usunęli go z drogi przed przyjazdem Breta. Nie miałem do kogo apelować; to była część całego wrobienia.

- Wrobienia? Czy wrobili cię? - powiedziałem.

- Pewnie, że zostałem wrobiony. Bret wychodził z siebie, żeby mnie dopaść. Ja miałem jedyną sekcję w Berlinie dostarczającą dobry materiał od Rosjan. Jezu! Miałem faceta w Karlhorst, który przynosił mi codzienne materiały z biura rosyjskiego komendanta. Już lepiej nie można.

- I został zatrzymany?

- Był jednym z pierwszych, których straciliśmy. Poszedłem do US Army oferując im, co mi zostało, ale Bret był tam przede mną. Potraktowali mnie nader chłodno. Nie miałem tam przyjaciół z racji tej konfrontacji na początku. Więc pojechałem do Hamburga, tak jak tego chciała londyńska Centrala.

- Ale nie zostałeś tam?

- W Hamburgu? Nie, nie zostałem w Hamburgu. Berlin to moje miasto, proszę pana. Pojechałem do Hamburga na tak długo, jak tego wymagało złożenie mojej rezygnacji, a potem wyjechałem. Bret Rensselaer dostał to, czego chciał.

- A co to było?

Pokazywał nam, jaka z niego gruba ryba. Zdenazifikował berlińskie biuro i rozbił nasze najlepsze siatki. „Denazifikacja”, tak to nazywał. A co on myślał, do cholery, że kogo znajdziemy, aby nadstawiał karku grzebiąc w tajemnicach Rosjan - socjalistów, komunistów, lewicowych liberałów? Musieliśmy posługiwać się byłymi nazistami; byli to jedyni zawodowi fachowcy, jakich mieliśmy. Kiedy twój tata wrócił, aby uratować resztki, Bret już wykladał filozofię w jakimś wymyślnym college’u. Twój tata chciał, żebym znowu z nim pracował. Ale ja powiedziałem: „Już się nie bawię w te klocki”. Nie chciałem pracować dla londyńskiej Centrali, dlatego że nie chciałem ciągle spoglądać z ukosa, czy nie powraca Bret, żeby mi znowu dopiec. Nie, dziękuję.

- To była moja wina, Bernard - odezwała się pani Koby. Znowu wypowiedziała moje imię w ten oficjalny sposób, jakbym był jej zupełnie obcy. Być może zawsze odczuwała, że brytyjscy i amerykańscy przyjaciele Langego wciąż na nią patrzą jak na Niemkę.

- Nie, nie, nie - rzekł Lange.

- Chodziło o mojego brata - uparcie kontynuowała. - Wrócił z wojny taki schorowany. Został ranny na Węgrzech tuż przed końcem. Nie miał się gdzie podziąć. Lange pozwolił mu zostać u nas.

- Niecee! - rzekł Lange ze złością. - To wcale nie chodziło o Stefana.

- Stefan był cudownym chłopakiem. - Powiedziała to z całą powagą płynącą z serca, jakby broniła go w sądzie.

- Stefan to był drań - rzekł Lange.

- Nie znałeś go aż do tamtego czasu... To był ból, stały ból, który tak go wynaturzył. Ale zanim poszedł na wojnę, był łagodnym i miłym chłopcem. Hitler go zniszczył.

- No tak, zwałaj winę na Hitlera - powiedział Lange. - To w dzisiejszym stylu. Wszystko było winą Hitlera. Jak Niemcy daliby sobie radę nie mając nazistów, na których można zwalić winę za wszystko?

- To był słodki chłopak - powiedziała pani Koby. - Nigdy go nie poznałeś.

Lange wydał z siebie sardoniczny śmiech przechodzący pod koniec w



parsknięcie.

- Nie, nigdy nie znalazłem żadnego słodkiego chłopaka imieniem Stefan, tego można być pewnym. Pani Lange skoncentrowała całą swoją uwagę na mnie i powiedziała:

- Lange odstąpił mu sypialnię. W tym czasie Lange pracował dla twoich ludzi. Mieliśmy duże mieszkanie w dzielnicy Tegel, nad wodą.

- On tam przychodził - powiedział Lange. - Bernie bywał tam wiele razy.

- Oczywiście, że byłeś - rzekła pani Koby. - I nigdy nie spotkałeś mojego brata Stefana?

- Nie jestem pewny - odparłem.

- Bernie nie pamięta Stefana - powiedział Lange. - Bernie był dzieciakiem, kiedy Stefan umarł. I przez całe lata Stefan prawie nie wychodził z tej przeklętej sypialni!

- Tak, biedny Stefan. Życie jego było takie krótkie, a czas upływa tak szybko - powiedziała pani Koby.

- Moja żona uważa, że wszyscy ją prześladowali, bo Stefan był oficerem Waffen-SS. Ale w tamtych dniach większość Niemców była cholernie zajęta zdobywaniem garści kartofli, żeby nakarmić rodziny. Nikt nie dbał o „historie pułkowe” swoich sąsiadów - wyjaśnił mi Lange.

- Dbali i pamiętali - powiedziała pani Koby z głębokim przejęciem. - Jestem Niemką. Ludzie opowiadali mi takie rzeczy, których tobie ani żadnemu amerykańskiemu czy brytyjskiemu oficerowi nie powiedzieliby. I łączyły się z tym spojrzenia i mruknięcia, które tylko Niemiec mógł zrozumieć.

- Stefan był w SS - powiedział pogardliwie Lange. - Był majorem... jak oni nazywali majorów SS - Obergruppenführer...?

- Sturmabführer - sprostowała pani Koby znużonym głosem. Lange wiedział, jak zwano majora SS, ale wolał słowo, które w jego uszach brzmiało nieporęcznie i komicznie. - Czepiali się Stefana, bo kiedyś był adiutantem w sztabie Seppa Dietricha.

- Nieee! - powiedział Lange. - Tam był tylko kilka tygodni. To był artylerzysta.

- Chcieli, żeby Stefan zeznawał na procesie generała Dietricha, ale był zbyt chory, żeby tam pójść.

Przerodziło się to teraz w spór, rodzaj rytualnej dysputy prowadzonej przez

pary małżeńskie w obecności świadków, od których oczekuje się wydania werdyktu.

- Twój brat na swoje nieszczęście był w dywizji noszącej imię Adolfa Hitlera. Gdyby był w jakiejś innej dywizji, takiej jak Prinz Eugen, bądź w dywizji kawalerii SS Maria Theresia, nie prowokowałby sobą żadnych komentarzy - uśmiechnął się i wypił jeszcze trochę swojego jasnoczerwonego wina. - Napij się kieliszek wina, Bernie. Śliwkowe; Gerda je robiła. Jest wyśmienite.

- Ludzie potrafią być tak okrutni - powiedziała pani Koby. - Ona ma na myśli tych wszystkich wspaniałych „liberałów”, którzy wyłonili się po wojnie przegranej przez Niemcy.

- Langego też to dotknęło - kontynuowała pani Koby. - Bret Rensselaer przyszedł pewnego dnia do naszego mieszkania i powiedział mi żeby pozbył się Stefana. Ale Lange był dzielny; powiedział Rensselaerowi, żeby poszedł sobie do cholery. Kochałam go za to. - Zwróciła się do męża. - Kochałam cię za to, Lange.

Czułam, że w ciągu tych wszystkich lat, które minęły, nigdy przedtem mi tego nie powiedziała.

- Żadne takie patafiany jak Bret Rensselaer nie będą mi mówić, kogo mogę mieć w swoim mieszkaniu - warknął Lange. - A gdzie by się podział Stefan? Potrzebował opieki przez cały czas. Czasami Gerda przez całą noc siedziała przy nim.

- To była straszna kłótnia... wrzaski. Myślałam, że Lange uderzy go. Od tego czasu Bret Rensselaer nigdy mi tego nie zapomniał. Powiedział, że oficerowie Sojuszników nie powinni dawać schronienia SS-owskim przestępcom wojennym. Ale Stefan nie był przestępcą, był po prostu żołnierzem, dzielnym żołnierzem, który bił się za swoją ojczyznę - rzekła pani Koby.

- Bret czasami traci panowanie nad sobą, pani Koby - powiedziałem. - Mówi rzeczy, których nie ma na myśli.

- To był tylko dzieciak - powiedział ponownie Lange. Młodzieńczość Breta niewątpliwie przyczyniła się do pogłębienia poniżenia Langego. - Mając bogatego ojca, junior dostał dobry przydział do wywiadu.

- To była ta Rosjanka - wspominała pani Koby. - Zawsze mówiłam, że to ona się za tym kryje.

- Niecee! - rzekł Lange.

- Jaka Rosjanka? - spytałem.

- Sama siebie nazywała księżniczką - powiedział Lange. - Wysoka, ciemna... niewątpliwie w młodości była to całkiem niezła laleczka. Była dużo starsza od Breta,

ale on był tym typem Amerykanina, który leci na cały ten arystokratyczny blichtr. Znała wszystkich w mieście, a to się Bretowi podobało. Wprowadził ją do przydzielonego fnu mieszkania i odtąd mieszkali razem. Mieli dwoje służących i wydawali małe gustowne kolacyjki, na których podejmowali i Franka Harringtona, i Silasa Gaunta, i D-G. Znała doskonale angielski i jeszcze z tuzin innych języków. Jej ojciec był rosyjskim generałem, zabitym w czasie rewolucji. Tak przynajmniej wieść niosła.

- I była nazistką - odpowiedziała pani Koby.

- To naprawdę śmieszne - rzekł Lange. - Jego biało-rosyjska „księżniczka” była popularną postacią w Berlinie. Zawsze ją fotografowano w nocnych klubach i na przyjęciach. Była kimś, kogo czołowi naziści zawsze zapraszali na swoje przyjęcia i bale. Tak, to Bret bardziej się zbliżył do nazistów tak naprawdę, nie ja.

- Czy coś z tego jest w aktach Breta? - spytałem. Z błyskiem wnikliwości, z której słysnął, Lange rzekł:

- Prześwietlasz Rensselaera? Sprawdzasz tego drania na okoliczność innej roboty?

- Nie - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

- Ta przekłeta konwersacja zawsze zdaje się sprowadzać nas do Rensselaera. Jak zresztą wszystkie inne rozmowy z ludźmi z londyńskiej Centrali.

- I życzę wam obojgu Wesołych Świąt - powiedziałem kwaśno i podniosłem się.

- Siadaj, dzieciaku, na rany boskie. Jesteś jak twój ojciec; cholernie czuły na swoim punkcie. - Skończył wino i podał żonie pusty kieliszek. - Napij się kieliszek wina, Bernie. Nikt tak nie potrafi zrobić wina, jak Gerda. Nie miałem na myśli ciebie, dzieciaku. Niech to szlag trafi, byłeś przecież z Maxem, kiedy on umarł. Max był jednym z moich najlepszych ludzi. Czy on był nazistą?

- Max był jednym z najlepszych - odparłem.

- Nigdy nie słyszałem, jak to się stało - rzekł Lange. Chwilę lub dłużej wahałem się. Potem powiedziałem:

- Byliśmy na Wschodzie prawie trzy tygodnie. To było wtedy, kiedy wiele rzeczy nie szło nam pomyślnie. Do naszej meliny w Stendal przyszedł po niego arestujący team z KGB. Byłem tam również i ja. Było około dziewiątej wieczorem. Max miał samochód. Bóg tylko jedyny wie, gdzie go znalazł. Żaden z nas nie miał dokumentów; zostały w walizce na dworcu.

- Powinniście byli mieć papiery. Nikt przy zdrowych zmysłach nie próbuje pokonać Muru.

- Dworzec kolejowy? - powiedziałem. - Czy nie pamiętasz, jak wygląda wschodniemiecki dworzec? Pełno tam gliniarzy i żołnierzy. Co krok pytają cię o papiery. A do tej pory prawdopodobnie obstawili dział bagażowy. Nie, nie mieliśmy wyjścia, tylko przez druty. Zdecydowaliśmy się spróbować przejść granicę koło Wolfsburga. Wybraliśmy ten sektor, bo tam reperowano Mur i ja widziałem jego rysunki. W porządku, nikt przy zdrowych zmysłach nie próbuje sforsować Muru, ale tak samo myślą strażnicy i w zimne noce robią się bardziej opieszali.

- *Sperrzone* była łatwa; w tym miejscu była to ziemia rolnicza nadal pod uprawą. Dostrzeżliśmy bunkry i wieże i poszliśmy rowem przy drodze używanej przez robotników. Mieliśmy narzędzia do cięcia drutów i wszystko przebiegało pomyślnie, aż zaczęliśmy się czołgać przez *Kontr ollstreifen*. A noc była ciemna, naprawdę ciemna... Na początku wszystko szło dobrze. Ale musieliśmy potrącić jakiś drut lub jakiś alarm, bo nagle zaczął się rwetes. Zaczęli strzelać, zanim mogli mieć nas na celowniku. Wiesz, jak to z nimi jest; strzelają, żeby pokazać swojemu sierżantowi, jak są czujni. Nic nam nie było, dopóki nie dotarliśmy do drogi używanej przez wozy patrolowe. Przestaliśmy się martwić o zakłócenie wzorca na nagim pasie i przebiegliśmy go wpadając na pole minowe. Strażnicy goniący nas stanęli na krawędzi pola minowego. Było zbyt ciemno, aby mogli nas dojrzeć, więc musieli użyć reflektora - byliśmy za daleko, aby mogli mieć jakiś pożytek z ręcznych latarek. Pełzaliśmy i przystawaliśmy. Pełzaliśmy i przystawaliśmy. Max był stary: czołganie sprawiało mu trudności. Parę razy duży reflektor z wieży trafił na nas nie zatrzymując się. Przeczekaliśmy bez ruchu kilka minut, ale potem zaczęli to robić systematycznie i rozpoczęli omiatanie terenu kawałek po kawałku. Max starannie wycelował i załatwił światło dwoma strzałami. Ale oni dostrzegli błysk jego pistoletu. Strzelec karabinu maszynowego w wieży strzelił w to miejsce, gdzie widział błysk. Trzymał palec na spuście przez dłuższy czas, tak że Maxa musiało rozerwać na kawałki. Pobiegłem. To był cud. W ciemności i ogólnym zamieszaniu przedostałem się.

Na samą myśl o tym zatrzęsłem się.

- W kilka miesięcy później Frank Harrington uzyskał raport komendanta straży Vopo. Potwierdzał on, że Max został zabity przez obsługę karabinu maszynowego. Zdecydowali się powiedzieć, że był tylko jeden uciekinier, w ten sposób zapewniając sobie sto procent skuteczności. - Pociągnąłem łyk kawy. - Max

uratował mi życie, Lange. Musiał odgadnąć, co się stanie. Uratował mnie.

Dlaczego ja nagle wypaplałem tę historię Langemu? Nie mówiłem o tym nikomu, od kiedy to się stało w 1978 roku.

- Słyszysz, Gerda? - rzekł cicho Lange. - Pamiętasz kochanego starego Maxa, prawda? Ten to lubił wypić. Pamiętasz, jak zazwyczaj złościłaś się, bo nigdy nie chciał iść do domu? A potem na drugi dzień zawsze przysyłał ci kwiaty i wybaczałaś mu.

- Oczywiście, że pamiętam, kochanie - odpowiedziała. Zrozumiałem teraz, dlaczego musiałem nagle o tym opowiedzieć. Nie mogłem tego opowiedzieć Maxowi. Max nie żył. Druga najlepsza rzecz, jaką mogłem zrobić, to powiedzieć o tym Langemu, który kochał go.

- To był dobry człowiek - rzekł Lange. - Był Prusakiem starej daty. Wciągnąłem go do pracy w 1946 roku.

Pani Koby podała mi kieliszek jasnoczerwonego, śliwkowego wina domowej roboty, a drugi Langemu.

- Czy nigdy nie chciałeś wrócić do Stanów, Lange? - zapytałem. Wypiłem trochę wina. Była to mocna, owocowa nalewka, od której ściągnęły mi się wargi.

- Nieee. Chcę pozostać w Berlinie.

Patrzył, jak piję wino, i nie komentował. Miałem wrażenie, że wypicie kieliszka śliwkowego wina Gerdy było testem, który goście powinni znieść bez szemrania.

- Nie pozwolą nam wyjechać do Ameryki, Bernard - powiedziała pani Koby zaprzeczając blefowanemu oddaleniu samego pomysłu przez jej męża. - Już byliśmy gotowi wyjechać, ale ambasada nie chciała dać nam wizy.

- Ale ty przecież nadal jesteś obywatelem amerykańskim, Lange - powiedziałem.

- Nie, nie jestem. Kiedy zacząłem pracować dla twojego taty, on pośpiesznie uzyskał dla mnie paszport brytyjski. Nawet jeśli by mnie wpuścili, oboje bylibyśmy cudzoziemcami w USA. Nie wiem nawet, czy dostałbym wypłaty z ubezpieczalni. A gdy rozmawiałem z jednym z naszych pracowników ambasady, miał czelność powiedzieć, że „praca na rzecz zagranicznej służby wywiadowczej” będzie rzeczą obciążającą mnie w Immigration Department. No i jak ci się to podoba?

- Żartował sobie, Lange.

Lange popatrzył na mnie i nic nie powiedział, a ja nie posuwałem się dalej.

Wypiłem wino i wstałem znowu.

- Muszę już iść - powiedziałem.

- Nic nie miałem na myśli, Bernie. Wiem, że nie przysłała cię tu londyńska Centrala.

- Bez obrazy, Lange. Ale zabieram Lisi do Wenera Volkmana na wspólny posiłek. Wiesz, jak Lisi traktuje ludzi, którzy spóźniają się.

- To będą Święta Bożego Narodzenia po żydowsku, prawda? Co on serwuje - faszerowaną rybę i rosół z indyka z kluskami?

- Coś w tym rodzaju - powiedziałem. W nosie miałem dowcipy Langego.

Lange wstał także.

- Słyszę, że Frank przechodzi na emeryturę - powiedział. Była to oczywista próba wciągnięcia mnie w rozmowę. - O rany, już tyle razy żegnał się, prawda?

- Sinatra? - zapytałem żartobliwie.

- Frank Harrington - powiedziała pani Koby, poprawiając mnie.

Lange parsknął krótkim śmiechem i rzekł: - I słyszę, że jakiś facet nazwiskiem Cruyer wysoko mierzy w Londynie ostatnio. Włożyłem swój trencz.

- Cruyer? - zapytałem. - Nic mi to nazwisko nie mówi.

- Masz wielkie poczucie humoru, Bernie - rzekł Lange, nie kryjąc zgorzknienia, jakie odczuwał będąc wykluczonym z ostatnich plotek o londyńskiej Centrali.

## **Rozdział VII**

Było jeszcze wcześniej, kiedy wyszedłem od Langego i przespacerowałem się do Tiergarten, do tej najbardziej tajemniczej dzielnicy dzisiejszego Berlina. W parku było pusto, a trawa martwa i zbrązowiała, pokryta szronem. Nagie drzewa rysowały się na tle niskiego, szarego nieba niczym nieudolne bazgroły. Wyrastając ponad korony drzew niczym złocona rakieta gotowa do odpalenia, widniała kolumna Siegestaule. Jej uskrzydłona Victoria - berlińczycy zwali ją „złotą Elsie” - oddawała honory ostatniej wygranej przez Niemcy wojnie, około stu dziesięciu lat temu.

Skრęcając za róg można je dostrzec - osadzone wzdłuż Tiergarten jak wielkie kadłuby rdzewiejącej floty wojennej. Są to budynki ambasad, które do roku 1945 tworzyły z tej „dzielnicy dyplomatycznej” najbardziej ekskluzywne i ekstrawaganckie centrum życia towarzyskiego Berlina - Berlin nie jest stolicą Niemiec Zachodnich; ten zaszczyt przypada Bonn. A więc te pozbawione dachów, rozpadające się budynki,

stojące na uświęconym obcym terenie innych rządów, pozostały nietknięte przez prawie czterdzieści lat.

Zrujnowane ambasady zawsze mnie fascynowały od chwili, gdy wchodziliśmy na zakazany teren, w moich latach szkolnych, aby bawić się tam w niebezpieczne gry. Było tu okno, z którego Werner puścił swój model szybowca, po czym spadł prawie dziesięć metrów w dół między parzące pokrzywy. Poprzez potrzaskaną skorupę widziałem krokwie, po których wspinałem się, żeby wygrać od chłopaka o imieniu Binder jedną z zakazanych naszywek hitlerowskich z jego cenionego przez nas zbioru. Dach był wysoki, a krokwie chwiejne. Przypominam sobie teraz niebezpieczeństwo i ogarnia mnie dreszcz. Przypominam sobie wiele takich niebezpieczeństw i dostaję dreszczy; właśnie dlatego nie nadaję się już do roli agenta operacyjnego.

Obszedłem Diplomatenviertel dwa razy. Chciałem się całkowicie upewnić, że mnie śledzi; tak łatwo wpaść w paranoję. Nie był prawdziwym zawodowcem; był za wolny, to jedno, a poza tym jaki zawodowiec nosiłby charakterystyczną brodę i krótki płaszcz w szkocką kratę? Niósł dużą paczkę owiniętą w brązowy papier, usiłując wyglądać jak osoba niosąca przez całe miasto świąteczny prezent, ale donikąd nie niósł tego prezentu; śledził mnie; nie było co do tego wątpliwości. Zatrzymałem się i zerknąłem do góry na starą ambasadę włoską. Niektóre pokoje z tyłu wydawały się zajęte, więc zdziwiłem się, kto w takim miejscu mógł zamieszkiwać. Brodaty stanął i też się dziwił.

Moja decyzja odwiedzenia Langego dziś rano była spontaniczna, więc mój „ogon” musiał mnie pilnować od chwili mojego wyjścia przed śniadaniem od *Tante Lisi*, a to oznaczało, że prawdopodobnie spędził całą noc przed hotelem. Całą noc wigilijną; gdzie tu teraz szukać takiego poświęcenia? Od hotelu *Tante Lisi* musiał korzystać z samochodu, bo zauważyłbym go wcześniej. Mógł łatwo przewidzieć szybkość i kierunek samotnego wędrowca po prawie pustych ulicach. Powinienem był zauważyć samochód zaraz na początku. Robiłem się coraz starszy i coraz bardziej beztroski. Stanął znowu; chyba odgadł, że go zauważyłem, ale nadal trzymał się podręcznika, zachowując dystans i znikając z pola widzenia. Nie miał wprawy, ale był pilny, łatwo można było odgadnąć, że miał nadzieję na wykonanie całej roboty z wnętrza samochodu, ale gdy ja poszedłem po Tiergarten, to musiał wysiąść i swoje pieniądze zarobić nogami. Teraz był całkowicie widoczny, zwłaszcza z tą dużą paczką pod pachą.

Spojrzałem do tyłu. Nie widziałem jego samochodu, ale nie miał wielkiego wyboru, gdzie by go zostawić. Poszedłem w stronę zachodnią, ale na tyle jeszcze zmierzałem na południe, niepewnie zmieniając kierunki, żeby utrzymać go w przekonaniu, że wrócę tam, gdzie zaparkował. Czy był sam? - zastanawiałem się. Żaden zawodowiec nie pójdzie za podejrzanym bez jakiegokolwiek pomocy. Ale były święta i być może miał jedynie złożyć meldunek o moich ruchach. Nie był prywatnym detektywem; mimo wszystkich swych braków, potrafili wyśledzić zbląkanego męża i pozostać w ukryciu. A jeśli nie był z KGB i nie był prywatnym detektywem, to co pozostawało? Jeden z naszych z Berlińskiej Jednostki Operacyjnej? Nawet przy mojej zaawansowanej paranoi nie mogłem uwierzyć, że jeden z tych leniwców dałby się namówić do akcji w pierwszy dzień świąt. Wróciłem powoli °-o parku. Przystanąłem, aby przyjrzeć się pieńkowi drzewa, gdzie ktoś wyciął młot i sierp przechodzący w swastykę. Wykorzystałem tę °kazję, aby przyjrzeć mu się kątem oka. Paczka wysunęła mu się spod pachy i bardzo wolno podnosił ją z ziemi. Był praworęczny; no, warto o czymś takim wiedzieć.

Zatrzymałem się znowu nad małą rzeczką w parku. Lecz dzisiaj słynne *Berliner Luft* było za zimne, aby woda to wytrzymała. Dwoje ludzi kręciło się na łyżwach po lodzie. Mężczyzna i kobieta, starsi ludzie, sądząc po ich dystygowanej postawie i sposobie, w jaki ślizgali się ramię w ramię, długie płaszcze, szaliki na wietrze i wysoko uniesione głowy, zupełnie jak rycina z jakiegoś dziewiętnastowiecznego czasopisma.

Ruszyłem szybko ścieżką, jakby nagle przypominając sobie o ważnym spotkaniu. Trochę dalej zatrzymałem się i schowałem. Nie udałoby się to z kimś o większym doświadczeniu, więc był to sprawdzian jego umiejętności. Ciągle go jeszcze nie namierzyłem i nie wiedziałem, jakie motywy nim kierują. No i w ten sposób wpadł. To znaczy, wszedł prosto na mnie. Pośpiech to zrobił; pośpiech często wpędza goniącego w działania nieostrożne i impulsywne. Tak Hannibal zwyciężył w bitwie nad jeziorem Trasimene po przekroczeniu Alp. Trzeba było tylko gwałtownego ruchu w kierunku Rzymu, aby Flaminiusz pognął za nim i wpadł w zasadzkę. Hannibal prawdopodobnie miał dobre zadatki na agenta operacyjnego.

- Nie ruszaj się - powiedziałem.

Złapałem go z tyłu, jedno ramię wokół gardła, drugie wykręcało mu prawą rękę, podczas gdy on nadal patrzył na ścieżkę wzrokiem tropiciela. Chrząknął. Za mocno ścisnąłem go za szyję.



- Puszczę cię - rzekłem - ale gdy nadal będziesz się szwendał, to ci naprawdę zrobię krzywdę. Rozumiesz, prawda?

Nie odpowiadał, więc zwoleń uścisk na gardle, aby mógł oddychać. Kiedy go puściłem, złożył się jak scyzoryk i myślałem, że się na mnie przewróci.

Popatrzyłem na niego ze zdziwieniem. Szew na rękawie jego płaszcza puścił. A kapelusz poleciał na ziemię. Wydawał straszne dźwięki. Chyba za mocno go chwyciłem; nie miałem praktyki. Ale nie powinien był tak łapać powietrza: młodzian dużo poniżej trzydziestki, powinien być w lepszej formie. Nadal zgięty w pół, trzymał się za brzuch i głęboko oddychał.

- Kto ty jesteś, do cholery?! - zawołałem.

- My będziemy zadawać pytania, panie Samson!

A więc był i drugi; szczupły mężczyzna w okularach, noszący szykowny zamszowy płaszcz z futrzanym kołnierzem. Trzymał w ręku pistolet nie zwracając zbyt uwagi na osoby postronne.

- Ręce z tyłu, Samson. Wiesz, jak się to robi. Przeklinałem swoją głupią pewnością siebie. Powinienem być zgadnąć, że taka niezdarność ze strony brodatego była częścią całego tricku. Zamienili się ze mną rolami: ja byłem Flaminiuszem, a oni Hannibalem.

Brodaty, ciągle łapiąc powietrze, szybko i sprawnie przeszukał mnie, stwierdzając:

- Nic nie ma.

- Bez broni, Samson? To już nie ten ekspert, o którym tyle słyszeliśmy.

Robisz się coraz starszy i beztronski.

Nie odpowiedziałem. Miał rację. Postanowiłem nie iść do Langego ze spluwą pod pachą, ponieważ trudniej byłoby zaprzeczyć moim związkom z Firmą.

- Wreszcie jedzie - rzekł mężczyzna. - Trochę to trwało, co? Obserwował poobijany furgon toczący się po brązowej trawie.

Łyżwiarze zniknęli: byli częścią zespołu wysłanego po mnie.

Otworzyły się tylne drzwi pojazdu ukazując błyszczący wózek inwalidzki. Wepchnęli mnie na ten wózek, przymocowując kostki i szyję do stalowej ramy. Gdy furgon ruszył, założyli mi opaskę na oczy. W pięć minut było po wszystkim.

Na drogach pusto. Podróż trwała nie więcej niż dwadzieścia minut. Opaska na oczach była na tyle dobra, że nie wiedziałem, gdzie jestem, poza tym, że popchnięto mnie schodami do góry i drzwiami windy przytrzymało ramię.

Zostałem odwiązany od wózka i zamknięty w pokoju na klucz. Opaskę pozostawiono, abym sam sobie zdjął, co nie jest łatwe, gdy obie ręce ma się skrępowane z tyłu. Nie sposób było nie podziwiać ich sprawności i nie potępić mojego własnego braku przygotowania. Nie było wątpliwości, gdzie mnie przywieźli: byłem w Berlinie Wschodnim, parę minut spacerem od Checkpoint Charlie. Ale z tej strony Muru droga z powrotem wydawała się długa.

Pokój miał dwa okna. Taka poczekalnia - miejsce, gdzie ludzie naprawdę czekali. Lecz ludzie czekający tu musieli mieć kraty w oknach i ciężkie zamki na drzwiach, a szkło na szybach matowe, aby utrudnić wyglądanie. Na górze każdego okna znajdował się mały *oberluft*. Mogłem go dosięgnąć stawiając stółek na blacie stołu. Z rękami skutymi z tyłu prawie zleciałem podczas wdrapywania się. Przez wąską szczelinę - *oberluft* otwierał się tylko na tyle, na ile pozwalały kraty - mogłem oglądać miasto. Nie było ruchu: ani samochodów, ani ciężarówek, ani ludzi. Rozpoznałem masywny budynek ambasady ZSRR po kształcie jego dachu; mieścił się przy Unter den Linden. W pobliżu znajdowały się resztki hotelu Adlon: kilka zatłoczonych pokoi z tyłu, których w latach trzydziestych używali osobiści lokajklienteli hotelowej. I jeszcze parking oraz pagórek zaznaczający miejsce, gdzie był *Fuhrerbunker*, w którym Hitler stoczył ostatnie bitwy z własnym ożenkiem i Armią Czerwoną i, pokonany zarówno przez Wenus jak i Marsa, rozwalił sobie swój skołatany łeb. Teraz wiedziałem już, gdzie jestem: tu mieściło się stare Ministerstwo Lotnictwa Hermanna Göringa, jeden z niewielu przykładów architektury nazistowskiej, jakim udało się uniknąć anglo-amerykańskich bombowców i sowieckich planistów.

Wróciłem i usiadłem na swoim twardym, drewnianym krzeselku. Był to dzień Bożego Narodzenia - nie takie święto, żeby zaraz każdy szczerzy komunista chciał je obchodzić, ale dość było nieszczerych, aby budynek opustoszał. Panowała cisza z wyjątkiem rzadkiego trzaskania drzwi i buczenia windy. Rozejrzałem się po pokoju: ani książek, ani gazet, jedyny zadrukowany kawałek papieru to kolorowy afisz stanowiący część udziału Kremla w antynuklearnej debacie. Lecz pocisk, jaki miał być zakazany, oznaczono napisem NATO. Nie było wzmianki o rosyjskich pociskach - jedynie przystojny młody komunista i burczący amerykański GI. W pokoju znajdowały się jeszcze jedne drzwi. Miały one szybę z naklejonym wzorzystym i półprzezroczystym papierem. Taki papier stosowano powszechnie tam, gdzie brakowało matowego szkła. Stojąc tyłem do drzwi mogłem kawałek odkleić w

samym rogu. Pozostał na szkle klej, ale zdrapałem go paznokciem.

Opierając twarz o szybę można było zajrzeć do sąsiedniego pokoju. Było tam dwoje ludzi: mężczyzna i kobieta. Oboje mieli na sobie białe kitle: lekarz i siostra. Siostra miała około czterdziestki; na jej siwiejących włosach widniał mały wykrochmalony czepek. Mężczyzna był młodszy, mniej więcej dwadzieścia pięć lat. Góra od białego kitla rozpięta, a na klapie plama mogąca być plamą krwi... Na szyi miał stetoskop. Stał koło drzwi zapisując coś w notesie. Sprawdził zegarek i znowu coś zapisał. Siostra opierała się o dwupiętrowe łóżko, patrząc na jakieś zawiniątko na dolnym poziomie. Spojrzała do tyłu, aby wzrokiem porozumieć się z lekarzem. Przestał pisać, a ona potrząsnęła głową. Ruch głowy był prawie niedostrzegalny, tak jakby potrząsała głową cały ranek. To była Rosjanka, nie było wątpliwości. Miała płaskie rysy, zwężone oczy i bladą cerę tak typowe dla rosyjskiej wschodniej Arktyki. Odwróciła się ku zawiniątku i czule je dotknęła. Było to zbyt małe jak na osobę - chyba że bardzo małą osobę. Pochyliła się niżej, zaaferowana tak jak wszystkie matki, kiedy ich maleństwa zasypiają buzią do dołu. Ale to było za duże jak na niemowlę. Przesunęła się odrobinę. To było dziecko - czerwona wełniana czapeczka w paski spadła mu z głowy. Spośród grubej warstwy kocyków wystawał łokieć. Żółty rękaw - skafander. I błyszczące buty. O Jezus, mają Billy'ego! Malutki Billy. Tu, w Berlinie.

Wszystko przed oczami zachwiało mi się, puls przyspieszył, a w gardle nagle zrobiło się sucho. Tylko opierając się mocno o ścianę mogłem uniknąć zemdlenia. Billy! Billy! Billy! Znowu przywarłem okiem do dziurki w papierze na szybie. Siostra poszła po małą emaliowaną tackę stojącą na stole. Zniosła ją ostrożnie do zlewu i wyjęła strzykawkę. Zanurzyła igłę w szklance różowego płynu. Zrobiło mi się niedobrze. Niezależnie od tego, co podpowiadał mi rozsądek, a kazał mi zachować spokój, emocje wzięły górę. Teraz już wiedziałem, dlaczego ludzie z żonami i rodzinami byli tak rzadko wykorzystywani jako agenci operacyjni.

Obserwują cię, obserwują cię, teraz, w tej chwili. Powtarzałem to sobie po raz setny. Wszystko to jest dobrze przygotowaną grą, żeby cię zdezorientować i zmiękczyć na następne wydarzenia. Ale na niewiele to się zdało. Nie potrafiłem o niczym innym myśleć, tylko o moim synku i co ci skurwiele mogą mu zrobić. Na pewno Fiona wie o tym. Na pewno nie dałaby im skrzywdzić swojego syna. Ale może Fiona nie wie?

Nagle dało się słyszeć przekręcanie klucza w zamku. Ktoś wchodził z

korytarza. Miałem dość czasu, aby wrócić i usiąść na ławce. Miałem dość czasu, by przyjąć zrelaksowany i obojętny wygląd, ale nie wiem, czy mi się to udało.

- *Herr Samson!*

Znaliśmy się. Był to kawał byka, około pięćdziesiątki, dużej wiejskiej postury, na którą lata fizycznej pracy nałożyły warstwy twardych mięśni. Czaszka przeświecała przez krótko ostrzyżone włosy. Nad dużym nosem górowało wielkie szerokie czoło. Paweł Moskwin. Komputer z Firmy opisywał go jako „doradcę politycznego” KGB. Mogło to oznaczać wszystko. Polityczni doradcy byli czasami najbystrzejszymi z bystrych absolwentów, wielojęzyczni polimatematycy, którzy z równą swobodą cytowali komika Groucho, jak i filozofa Karola Marksa. Niektórzy wykorzystywali pobyt w KGB jako szkołę dającą ostatni szlif. Ale Moskwin dawno się z tym minął. Miałem go w pamięci jako mało utalentowanego, żmudnie wspinającego się po szczeblach kariery robociarza z hali fabrycznej, który odkrył, że Partia zawsze dba o swoich. W ZSRR pełno jest takich ludzi; ich lojalność odcięta od myślenia była tym, co trzymało cały ten trzeszczący system w całości.

- Gdzie jest moja żona? - spytałem go. Nie było to podręcznikowe otwarcie ani nic takiego, co Firma aprobowałaby, ale wiedziałem, że mnie nagrywają, i wydawało mi się, iż Fiona może podsłuchiwać rozmowę.

- Twoja żona? Dlaczego o to pytasz, *Herr Samson*? - odezwał się przedrzeźniająco Moskwin. Jego niemczyzna była kulawa i nie gramatyczna, lecz jego sposób bycia mówił wszystko.

- Moi ludzie wiedzą, że tu jestem, Moskwin - odparłem. - Zaraz uruchomią stan pogotowia.

- Czy próbujesz mnie nastraszyć? - zapytał. - Twoi ludzie nic nie wiedzą i nic ich to nie obchodzi. Są święta Bożego Narodzenia. Jesteś sam, *Herr Samson*, całkowicie sam. Twoi ludzie w Londynie jedzą pudding, oglądają królową w telewizji i upijają się!

- Jeszcze zobaczymy - mruknąłem złowieszczo, ale jego wersja tego, co mogą robić teraz w Firmie, brzmiała jak najbardziej przekonująco.

- Niech pan się zachowuje rozsądnie, *Samson*, dobrze?

- Na przykład?

Na korytarzu rozległy się kroki. Zrobił pół obrotu w kierunku drzwi i nadstawił uszu. Dało mi to sposobność, o jaką się modliłem. Obiema skutymi rękami z tyłu chwyciłem za poręcz krzesła. Potem, schylając nisko głowę dla uzyskania

przeciwwagi, skrzyłem ciało i z całej siły rzuciłem tym krzesłem w jego kierunku.

Było dla mnie za ciężkie. Trafiło go w nogi zamiast z boku w głowę, ale gwałtowność uderzenia dopadła go nie przygotowanego, więc zachwiał się do tyłu, przeklinając i gadając coś ze wściekłością.

Kopnął krzesło na bok.

- Ja cię nauczę... - powiedział i ruszył do przodu, aby mnie wyróżnić.

Nigdzie nie mierzył; rąbnął mnie, jak wściekły pijak może walić w ścianę. Tylko że Moskwin to była waga ciężka. Jego ciosy nie musiały być mierzone; waliły jak młot, więc rzuciło mną o ścianę, po czym osunąłem się na podłogę.

- Ty zwariowany idioto! - zahuczał i wytarł usta zaczerwienionymi knykciami pięści. - Jak chcesz się bić, to zabiorę cię na dół i zabiję gołymi rękami.

Powoli podniosłem się na nogi, a on kopnął krzesło w moim kierunku. Usiadłem i zamknąłem oczy. Strasznie mnie bolało w środku, jak gdyby do płuc wiano mi roztopiony ołów.

Kiedy Moskwin przemówił, odzyskał już swoją uprzednią formę.

- Bądź rozsądny. Spójrz prawdzie w oczy. Twoja żona zdecydowała się na pracę z nami z własnej woli. Czy naprawdę wierzysz, że trzymamy ją w niewoli? Czy to powiedzieli ci twoi szefowie w Londynie? Zapomnij o tym. Ona jest jedną z nas, Samson. Nie pragnie wracać na Zachód; nigdy tam nie wróci. Nigdy. - Przyglądał mi się bacznie, a ja patrzyłem na niego. - Chcesz papierosa? - zapytał w końcu.

- Nie, nie palę - odpowiedziałem, chociaż strasznie chciało mi się palić. Obaj wiedzieliśmy, jak to jest: przyjmujesz papierosa, mówisz „dziękuję”, a zaraz potem wdajecie się w pogawędkę i sięgasz po papier do podpisania.

Uśmiechnął się. Wiedział o mnie wszystko. Odkąd mieli Fionę w KGB, niewiele było rzeczy na mój temat, których nie mogliby odkryć. Ból był troszkę mniejszy, gdy zmieniłem pozycję i opanowałem oddech, ale jeden z jego ciosów chyba zerwał mi jakieś ścięgno, tak że duży mięsień trójkątny barku wysyłał ostre bóle aż do szyi.

- Dlaczego masz psuć życie wam obojgu - rzekł Moskwin w tonacji, jaką niewątpliwie uważał za przyjacielską. Poprawił mu się niemiecki: możliwe, że to przygotowany i przećwiczony tekst. - Gdy ty pracujesz dla Kontrolera Niemieckich Sekcji w Londynie, a twoja żona jest tutaj w Berlinie, to oboje musicie ciągle być nieszczęśliwi.

- Co proponujesz? - spytałem.

Usiłowałem nie spoglądać na przeszklone drzwi, ale było to trudne. Moskwin obserwował mnie uważnie. Wiedział, że zaglądałem do sąsiedniego pokoju. Jego przyjście było zbyt szybkie, aby nie było reakcją na to, co robię.

Ach, już wiedziałem; kamera mieściła się za tym cholernym afiszem antynuklearnym. Okrągła plama w liternictwie była matowa - prześwitująca tkanina, przez którą wyostrzone oko kamery mogło widzieć wyraźnie.

- Nic nam tu po tobie, Samson. Wiemy wszystko, co mógłbyś nam powiedzieć.

Skinąłem głową. Czy całkowicie stracili nadzieję na przeciągnięcie mnie na swoją stronę, czy też był to jakiś subtelny sposób, abym udowodnił, że wiem więcej, niż im się wydaje.

- Masz rację - odparłem.

- To dlaczego nie pojedziesz na jakąś zamorską placówkę? - rzekł Moskwin. Trzymał obie ręce w kieszeniach swojego palta, bawiąc się czymś metalowym, co wydawało dźwięki. Kiedy wyjął dłonie, trzymał w nich trzy magazynki amunicji do pistoletu. Obracał je w palcach. Kiedy spostrzegł, że na niego patrzę, powiedział: - Niech ci nie przychodzą do głowy żadne głupie pomysły, Samson. Spluwa jest na dole w moim sejfie. - Mnóstwo naboji; rzecz charakterystyczna dla tego gwałtownego prymitywa.

- Zamorską?

- Znasz Waszyngton, lubisz Amerykanów.

- Dużo ludzi chce pojechać do Waszyngtonu - odezwałem się, żeby zyskać na czasie. - Nie wiadomo, kiedy się zwolni miejsce.

Moskwin nadal bawił się nabojami.

- Plotka z Waszyngtonu niesie, że Firma wypełni dwa wolne miejsca w ciągu następnego miesiąca lub dwóch. Dwa stanowiska dla starszych stopniem - tak nam donosi nasze waszyngtońskie biuro.

Pamięć miałem przyćmioną bólem, lecz mimo wszystko mówiła mi, że Moskwin ma rację - choroba i awans nieoczekiwanie stworzyły dwa wolne miejsca w ambasadzie waszyngtońskiej. Widziałem wiadomość o tym na biurku Breta. Miałem wszelkie warunki ku temu, by ubiegać się o każde z nich.

- Nie - odpowiedziałem.

- Pomyśl o tym - rzekł Moskwin. Pod swoim jedwabistym głosem skrywał nienawiść i pogardę.

- Bo co?

- Żadnych gróźb - dorzucił Moskwin. - Ale byłoby to bardziej cywilizowane.

- Bardziej cywilizowane niż pozostanie w Londynie dla odrobienia pewnych szkód wywołanych zdradą mojej żony?

- Bądź bardziej wyszukany, a mniej arogancki, *Herr* Samson. Czy naprawdę wierzysz, że twój wkład w pracę Firmy przyniesie jakąś istotną różnicę?

Wzruszyłem ramionami - zabolalo.

- Co starasz się udowodnić, Samson? Mamy akta dotyczące twojej operacyjnej działalności, grube na tyle. - Tu pokazał palcem wskazującym i kciukiem. - I to z pominięciem wszystkich niebezpiecznych tricków, jakie wykonałeś pozostając niewykryty. Jak długo jeszcze będziesz próbował udowodnić, że jesteś agentem operacyjnym? Aż zostaniesz zabity, czy tak?

- Nigdy nie zrozumiesz - odparłem.

- Bo jestem facet z za biurka? - Prawie stracił panowanie nad sobą. - Próżność, o to ci chodzi? Sprawdzać się raz po razie, aby upewnić się, że nie jesteś tchórzem? Tak jak prześladowany homoseksualista staje się babiarem, aby udowodnić, że jest prawdziwym mężczyzną?

Czy to było jakieś odniesienie do jego byłego kolegi Stinnesa? Jeśli tak, to nie dał po temu dalszych dowodów. Odłożył swoje zabawki i stanął, ręce na biodrach, długie, czarne palto rozpięte, ukazujące szary, źle dopasowany garnitur oraz ciemny sweter z golfem. Wyglądał na kogoś, kto się ubrał reagując na sygnał alarmu pożarowego.

- Zaczynaj żyć od nowa, *Herr* Samson. Zapomnij o bólu przeszłości. -

Zobaczył, że spoglądam w stronę drzwi. - Co mam zrobić, żeby cię przekonać?

Uśmiechnął się i na jego twarzy pojawiła się sadystyczna radość. Wiedział, że zaglądałem do sąsiedniego pokoju.

- Pomyślę o tym - odpowiedziałem.

Czy Billy był tam nadal? Dalsze prowadzenie rozmowy było torturą.

- Nie myśl o tym - powiedział cicho Moskwin. Głos podniósł mu się do krzyku, kiedy dorzucił: - Zrób to!

- Powiedziałem, że pomyślę o tym.

- No to pomyśl i o tym! - wrzasnął.

Gwałtownie otworzył drzwi stając w nich. Z rękami skutymi z tyłu nie miałem z nim szans - jak to już udowodnił. Ale przysunąłem się blisko, żeby popatrzeć mu

przez ramię.

- Billy! - zawołałem, ale zawinięta postać nie zareagowała. - Po co mu dawać narkotyki, to dziecko - odezwałem się.

Nie potrafiłem ukryć zmęczenia i uczucia porażki w swoim głosie. Lekarz i pielęgniarka odeszli. Środek odkażający, strzykawka i emaliowana tacka zniknęły.

- Gdzie jest lekarz? - spytałem.

Podszedł wielkimi krokami do piętrowego łóżka.

- Pomyśl o tym, Samson! - wrzasnął przez ramię. Podniósł rękę, jego mocno zaciśnięta masywna pięść zawisła nad łóżkiem.

- Nie, nie rób tego!

To było błaganie, chęć do walki przeszła mi. Ale on nie słuchał. Cios prawie złamał drewnianą ramę łóżka, spadł na nie z taką siłą. Po tym strasznym uderzeniu wszystko śmignęło przez pokój: koce, wzruszająca wełniana czapeczka, buty i skafander. I spadło na podłogę jak kupa bałaganu.

Moskwin zarechotał.

- Co ty myślałeś, Samson? Myślałeś, że mamy twojego syna? Teraz zobaczyłem, że to nie było ubranie Billy'ego; po prostu było podobne. Oparłem się o ścianę. Czuję, jak żółć podchodzi mi do gardła. Zaciśnąłem wargi, aby nie dać mu satysfakcji z przyglądania się mojemu rzyganiu. Ale to było niemożliwe. Pochyliłem się do przodu i chlusnąłem całym śniadaniem z dodatkiem sporej porcji wina domowej roboty pani Koby na podłogę. Wtedy Moskwin zaśmiał się szczerze. Była to pierwsza spontaniczna ludzka reakcja, jaką u niego widziałem. Rozpiął mi kajdanki.

- Wsadzimy cię do samochodu i zabierzemy na Zachód, Samson. Gdzie chciałbyś pojechać, do hotelu *Frau Hennig*?

Przytaknąłem ruchem głowy i wytarłem chusteczką twarz i ubranie. Słodko-kwaśna woń wymiotów wypełniała mi nozdrza.

- Musisz się umyć i przebrać - powiedział Moskwin. - Ale pamiętaj o jednym, sprytny panie Agencie Operacyjnym. Kiedy tylko będziemy chcieli, wyjmemy cię z taką łatwością jak dziś. I nie tylko ciebie, Samson; twoje dzieci, twoją matkę, twojego przyjaciela Volkmana... kiedy tylko będziemy chcieli. Pamiętaj o tym, przyjacielu.

Znowu zaniósł się śmiechem. Słyszałem, jak ciągle porykiwał idąc korytarzem i wołając o kierowcę. Popatrzyłem w monitor telewizyjny. Czy Fiona patrzyła? I czy była z siebie dumna?

\* \* \*



Kiedy wróciłem do *Tante Lisi*, wziąłem długą gorącą kąpiel i obejrzałem swoje skaleczenia i siniaki. Potem zmieniłem ubranie, aby zabrać *Lisi* do Volkmannów: na coś, co, jak myśleliśmy, miało być spokojnym posiłkiem przy stole. Myliliśmy się.

Była to zupełnie zwariowana impreza: rodzaj szalonego party, jakie znajdziemy tylko w Berlinie albo Nowym Jorku. Kiedy wszedłem, sprzęt hi-fi odtwarzał *Hello Dolly*. Goście ubrani byli w stosowne stroje, uzupełnione biżuterią i kosztownymi fryzurami. Hałas, tłum, powietrze niebieskie od dymu tytoniowego i zapach francuskich perfum oraz kubańskich cygar.

*Tante Lisi* nie okazywała zdziwienia z powodu zwariowanego przyjęcia, na jakie ją przyprowadziłem. Wychowywała małego Wenera od śmierci jego rodziców i miała dla niego dużo współczującej wyrozumiałości, jaką niesie ze sobą macierzyństwo. Siedziała w rogu na przypominającym tron krześle, które Wenera zapobiegliwie przygotował dla niej. Sączyła szampana i przyglądała się groteskowym ruchom gości z grymasną wyższością, niczym szef plemienia oglądający rytualne tańce kończące się ludzką ofiarą. Przygotowała się starannie na to przyjęcie: sztuczne rzęsy i prawdziwe perły, najwyższa pochwała ze strony *Tante Lisi*.

Podszedłem do stołu w jadalnym, by naszykować jej talerz jedzenia. Pokój ten, jak każdy inny w mieszkaniu, był zatłoczony. Przedemną stał wysoki, chudy Mefistofeles. Rozmawiał na poważnie z mężczyzną w jedwabnym białym pulowerze z golfem. Niezbyt pewnym angielskim powiedział:

- My, Niemcy, jesteście bardzo podobni do was, Amerykanów! Dlatego stale przeżywamy różne konflikty. Nasi i wasi rodacy reagują na ideologię, jedni i drudzy starają się ulepszyć świat i często chcą to zrobić za pomocą krucjat militarnych.

- I obie nacje lubią czyste toalety - rzekł Amerykanin w golfie. - Niemcy to jedyny piesko-niebieski skórkowany kraj w Europie, gdzie nie ma brudnych toalet.

- Orientacja analna, jak mawiamy my, psychiatrzy - odpowiedział Mefistofeles. - W innych krajach ludzie chcą po prostu wejść, zrobić, co mają do zrobienia, i wyjść stamtąd jak najszybciej. Ale wy, Amerykanie, i my, Niemcy, lubimy toalety, w których można spędzić trochę czasu. Jedno spojrzenie na czasopisma poświęcone ulepszaniu domu potwierdzi to.

Ruch wokół stołu bufetowego pozwolił mi przepchnąć się do stolika przy oknie i sięgnąć do sterty pustych talerzy i sreber. Rozejrzałem się wokół. Jedynie w Berlinie odbywają się takie przyjęcia za dnia. Na zewnątrz było ponuro, ale od

zachodu troszkę słońca przebijało się przez chmury. Jedzenie też wywoływało dezorientację. To nie był właściwy świąteczny lunch, taki jak sobie wyobrażałem, ale raczej wspaniały przegląd luksusów. Choć mnóstwo już zjedzono, świeże półmiski jedzenia stale się pojawiały, przynoszone przez kelnerki w czarnych sukienkach i wymyślnych koronkowych fartuszkach. Mieliśmy do czynienia z *Fresserei*, ucztą, podczas której ludzie żrą jak zwierzęta. Podawano homary w majonezie, szczypce krabów w occie winnym, kawior, łososia na zimno, foie gras z truflami i z tuzin różnych typów krojonych kielbas.

- Ma pan krew na twarzy - powiedziała kobieta w okularach wysadzanych diamentami, sięgając obok mnie po kolejną porcję *Leberwurst* i kartoflanej sałatki. - Niegrzeczny chłopczyk. Wygląda, jakby się pan z kimś bił.

- Tak, tak - odparłem. - Znalazłem Świętego Mikołaja siedzącego w moim pokoju i pociągającego moją whisky.

W Tiergarten guziki u rękawa płaszcza brodatego rozcięły mi policzek, i kiedy dotknąłem tego miejsca, nadal krwawiło.

Diamentowe okulary odkryły półmisek wędzonego węgorka przybranego galaretką. Wydając z siebie entuzjastyczny okrzyk radości, kobieta nałożyła sobie pełen talerz węgorka i czarnego chleba, po czym oddaliła się.

Zgarnąłem rozmaitego jedzenia na dwa talerze i ostrożnie nimi balansując, ruszyłem przez tłum. Pośrodku podłogi było miejsce do tańca dla sześciu par lub coś koło tego, ale musiały się mocno przyciskać. Berlińczycy oddają się z całego serca wszystkiemu, co robią: audytorium berlińskie w operze i na koncertach radośnie krzyczy, wygwizduje, szydzi bądź oklaskuje z wściekłą zawziętością, nigdzie indziej nieznaną. I tak samo na przyjęciach; śpiewają, tańczą, żrą i chlają, ściskają się, spierają i śmieją, jak gdyby przyjęcie miało być ostatecznym wyrazem tego, po co żyją.

Bardzo przystojny, młody, czarnoskóry człowiek ubrany w błyszczące jedwabne szorty i podkoszulek boksinowy - z rękawicami zawieszonymi na szyi na wypadek, gdyby ktoś nie połapał się, kim jest - rozmawiał z Zeną Volkmann, panią domu, jedząc z nią ze wspólnego talerza.

Zena Volkmann miała na sobie połyskujące złote spodnie i dopasowaną ciasno czarną koszulę, na tle której ładnie odznaczał się ciężki, złoty naszyjnik i złota broszka w kształcie kwiatu, no i jej figura. Twarz miała nadal opaloną na ciemno, od czasu jej niedawnego wyjazdu do Meksyku; kruczoczarne włosy rozpuściła, tak że

spadały jej na ramiona. Dostrzegła mnie i pomachała widelcem.

- Cześć, Zena - odezwałem się. - Gdzie jest Werner?

- Wysłałam go, aby pożyczył lodu od sąsiadów z dołu - odpowiedziała. I natychmiast wróciła do rozmowy z czarnoskórym mówiąc: - Mów dalej.

Dojrzałem też innych ludzi, których znałem. W rogu stał Axel Mauser, kolega szkolny Wenera i mój. Nosił pięknie skrojoną, białą jedwabną marynarkę, czarne spodnie, muszkę i koszulę z falbankami. Rozmawiał z kobietą w bardzo obcisłej, srebrnej sukni i wymachiwał rękoma, jak to zwykle robił, kiedy opowiadał jakąś historię.

- *Tante Lisi* jest tutaj - powiedziałem przechodząc obok. - Bardzo by chciała, żebyś ją pozdrowił, Axel.

- Cześć, stary draniu - rzekł Axel, skupiając na mnie wzrok. - Wyglądasz okropnie. Ciągłe robisz te kawały?

- Powiedz tylko dwa słowa - dorzuciłem. - Poczuj się urażona, jak o niej zapomnisz.

- W porządku, Bernd, nie zapomnę. Znasz moją żonę, prawda? Pozdrowiłem ją. Nie rozpoznałem w kobiecie w srebrnej sukience żony Axela. Ilekroć ją widywałem do tej pory, miała na sobie zatłuszczony fartuch i ręce w zlewie.

Kiedy doniosłem talerze z jedzeniem, sztucce i czarny chleb do *Lisi*, wyszło na to, że się spóźniłem. Stary Lothar Koch zdążył już przynieść talerz dla niej. Siedział przy *Lisi*, być może zażenowany tym, że ją tu widzi, i opowiadał jej o swym nagłym ozdrowieniu z grypy, jaka nie pozwoliła mu zjeść z nią obiadu wczoraj wieczorem. Koch był malutkim, zasuszonym, osiemdziesięcioletnim staruszką. Jego „tarożytny wieczorowy garnitur był o wiele za duży na niego i dawno hiż złożył deklarację, że przewidywania co do długości życia nie dopuszczają myśli o stracie pieniędzy na nowe ubranie. Przywitałem go.

- Cudowne leki - powiedział Lothar do mnie, do *Lisi* i ogólnie do wszystkich.

- Wczoraj byłem u progu śmierci, Bernd. Właśnie o tym mówiłem *Frau Hennig*.

Ja nazywałem ją „*Lisi*” i on nazywał ją „*Lisi*”, ale kiedy mówił do mnie o niej to stawała się „*Frau Hennig*”, nawet jeśli siedziała wśród nas. Taki już był. Wytarł swój ogromny nos w czyściutką, lnianą chusteczkę.

Zdecydowałem się zostawić oba talerze z jedzeniem. Czego mi naprawdę było potrzeba, to drinka. Przyłączyłem się do tłumu przy stole, gdzie przepracowana kelnerka nalewała szampana.

- To cholernie fajny kostium - zauważył bardzo młody szeryf, uchylając swego dziesięciogalonowego kapelusza przed mężczyzną, przebranym za berlińskiego policjanta. Ale ten przebrany za policjanta wcale się nie uśmiechnął. On był berlińskim policjantem, na próżno starającym się ustalić, kto zostawił jasnoniebieskie audi, blokując wjazd do podziemnego garażu.

- Koktajle po prawej, szampan po lewej - mówiła kelnerka, usiłując rozproszyć tłum.

Ruszyłem do przodu i dostałem się trochę bliżej kieliszków. Przede mną stał starszy wiekiem wykładowca architektury rozmawiając z delikatnie wyglądającą studentką. Znałem ich oboje ze spotkań u Volkmannów. Wykładowca mówił:

- ...Pozostawiając politykę na stronie, plany Hitlera co do nowego Berlina były znamienite.

- No, wie pan - odparła blada dziewczyna; była studentką historii. - Ja myślę, że te plany były groteskowe.

- Dworce Anhalter i Poczdam miały być rozbudowane w kierunku południowym od Tempelhof, tak aby w centrum miasta znalazła się długa na trzy mile aleja. Pałace, wspaniałe budynki biurowe i olbrzymi łuk triumfalny. Po stronie północnej miała być hala kongresowa o sklepieniu szerokim na dwieście siedemdziesiąt pięć metrów, zdolna pomieścić sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

- Wiem. Chodziłam na pańskie wykłady - rzekła dziewczyna znudzonym głosem. - Potem poszłam do biblioteki. Czy wie pan, że jedyna zrealizowana część planu Hitlera to było zasadzenie drzew liściastych w Tiergarten? A i tak przywróciło to tylko stary las mieszany, jaki Fryderyk Wielki wyciął, aby spłacić wojny śląskie. Wykładowca chyba nie słyszał, co powiedziała. Rzekł:

- Planowanie miejskie wymaga silnego rządu centralnego. W układzie, jaki teraz mamy, nigdy nie doczekamy się właściwego rozplanowania miasta.

- I dzięki Bogu - odparła znudzona dziewczyna.

Zabrała dwa kieliszki szampana i odeszła. Profesor rozpoznał mnie i uśmiechnął się.

Gdy tylko zdobyłem swojego szampana, zacząłem szukać miejsca, żeby usiąść. Wtedy dostrzegłem Wenera. Stał w drzwiach wiodących do jego sypialni. Wyglądał na przemęczonego. Podeszedłem do niego.

- Ależ przyjecie, Werner - powiedziałem z uznaniem. - Oczekiwałem czegoś na osiem do dziesięciu osób przy stole.

Wprowadził mnie do sypialni. Teraz dopiero zobaczyłem, jak uzyskano przestrzeń do tańca. Meble włoczono do sypialni, tak że sięgały sufitu. Było tylko tyle miejsca, że mogliśmy z Wernerem postać. Zamknął drzwi sypialni.

- Muszę mieć kilka minut dla siebie - wyjaśnił. - Zena mówi, że potrzebujemy więcej lodu, a my tego mamy całe tony!

- No, Werner, poszłście na całego. Widziałem Axela... Axel Mauser tak odszykowany, że nigdy byś nie uwierzył. Czy nadal pracuje w policji?

- Żona Axela dostała poważny awans w AEG. Jest tam teraz kimś bardzo ważnym i wyprowadzają się z tego parszywego mieszkania w Markisches Viertel do miejsca w pobliżu lasu Hermsdorf.

- Lepiej idź pocałować *Tante* Lisi i formalnie ją przywitać - rzekłem. - Ciągłe o ciebie pyta. Za jej czasów, pan i pani domu stali przy drzwiach potrząsając ręce wszystkim anonsowanym.

- Zena lubi takie juble - zwierzył się Werner - ale dla mnie to za hałaśliwe. Chowam się. Połowy tych ludzi nie znam. Czy uwierzysz? - Zacisnął dłonie i rzekł: - Poszedłeś zobaczyć się z Langem?

Uporządkował parę krzeseł z jadalni, ustawionych jedno na drugim. Potem popatrzył na mnie.

- Czy nic ci nie jest?

- Zadzwoiłem do niego i poszedłem tam dziś rano. Werner pokiwał głową ze smutkiem.

- Ciągłe taki sam, co? Ciągłe w złym humorze. Pamiętasz, jak zwykle na nas krzyczał, kiedy byliśmy mali?

Werner nie patrzył na mnie. Na spodzie krzeseł widać było fabryczne naklejki. Werner zaczął nagle odczytywać jedną z nich, jak gdyby głęboko zainteresowany datami i kodami meblarskimi.

- Nie zdawałem sobie sprawy, jak głęboko nienawidzi on Breta Rensselaera. Lange nadal wini Breta za to, że musiał odejść z Wydziału.

Werner przestał studiować naklejkę i przesłał mi uśmiech, w którym nie było śladu współczucia dla Langego.

- On tylko tak mówi, bo od tamtej pory odstawili go na półkę. Kiedy Lange zrezygnował z pracy w Wydziale, to myślał, że dostanie jakąś wspaniałą pracę gdzieś indziej i wróci, aby pokazać twojemu tacie i wszystkim pozostałym, jaki odniósł wielki sukces.

- Nie wiem, z czego on żyje - zastanowiłem się.
- Jego żona odziedziczyła w spadku po rodzicach mieszkanie w Monachium.

Wynajmują je i żyją z czynszu.

- Dziś rano śledzono mnie, Werner - rzekłem.

Wypiłem resztę mego szampana. Potrzebne mi było coś mocniejszego.

Spojrzał bystro, unosząc brwi. Opowiedziałem mu o brodatym i jak mnie porwali i trzymali w Berlinie Wschodnim.

- O Boże! - wyrzucił z siebie Werner. Zrobił się blady. - A potem cię puścili?

- Nie przejmowałem się - skomentowałem nieprawdziwie. - Chcieli mnie tylko nastraszyć.

- Może podjęcie pracy w Waszyngtonie byłoby najlepszym wyjściem.

- Nigdy nie pracowałeś w ambasadzie - przypomniałem mu. - Ci ludzie żyją w świecie fantazji... Krakersy *Ritza*, białe wino i chutliwe żony. Przeżyłem sześć miesięcy tego święta; nigdy więcej.

- Czy myślisz, że to był pomysł Fiony? Co się za tym kryło?

- Nie potrafię zdecydować - odparłem.

- Lekarz i pielęgniarz... udający, że mają twojego syna... zbyt dziwaczne, za ponuro jak na Fionę. Śmierdzi Moskwą.

- Też tak wolałbym myśleć.

- Napiszesz raport, oczywiście - rzekł Werner.

- Niezbyt dobrze wychodzę w tym obrazie, co?

- Musisz napisać raport, Bernie.

- Jak oni się dowiedzieli o zapowiadanych zwolnieniach miejsc w Waszyngtonie? - spytałem.

- Wieści rozchodzą się szybko - rzekł ostrożnie Werner. Odgadł, co chciałem powiedzieć.

- Wiesz, kto automatycznie dowiadyuje się pierwszy o jakichkolwiek zmianach w Waszyngtonie, prawda?

Werner podszedł bliżej do miejsca, gdzie stałem, i zniżył głos. - Chyba nie dostałeś obsesji na punkcie Breta Rensselaera, co? - spytał.

- Obsesji?

- Ciągłe o nim mówisz. Najpierw te zakodowane imiona... o tym, jak żaden agent nie może mieć dwóch imion. I nadal starasz się mnie przekonać, że w Firmie jest człowiek KGB.

- Nic oprócz faktów ci nie powiedziałem - odrzekłem.

- Nikt nie może spierać się z faktami, Bernie. Ale rola Breta Rensselaera, jaką starasz mu się przypisać w swoim scenariuszu, nie jest czymś, co wynika ze spokojnego i racjonalnego rozumowania; to osobiste wycieczki.

- Mam Breta gdzieś - powiedziałem.

- Wiesz, że to nieprawda, Bernie - odezwał się Werner głosem słodkim i rozsądnym. - Poszedłeś do Langego wiedząc, że on nienawidzi Breta. Chciałeś wysłuchać kogoś, kto powie ci, że Bret to potwór, który rozmyślnie zniszczył wcześniej zorganizowane siatki. Wiedziałeś, co Lange powie, zanim tam poszedłeś. Po sto razy słyszeliśmy te jego bzdury. Jeśli chcesz założyć mu pętlę na szyję, to musisz znaleźć coś bardziej namacalnego niż plotki Langego czy uwagi o zwalnianych miejscach w Waszyngtonie. Spróbuj udowodnić, że Bret to ryzyko dla bezpieczeństwa, a wyjdiesz na durnia.

- Dlaczego miałbym chcieć to robić? - zaprotestowałem.

- Kiedyś podejrzewałeś go, że ma romans z Fioną...

- Myliłem się - odezwałem się szybko. Werner spojrzał do góry; powiedziałem to za szybko, cholera. - Nie wiadomo, jak to było naprawdę - dodałem, tym razem spokojniej.

- Nie lubisz Breta. Niezależnie od tego, jak irracjonalnie by nie patrzeć na to, nie lubisz go.

- A dlaczego miałbym?

- Nie wiem. On jest bogaty, czarujący i bawidamek. Ja też za nim nie przepadam; jest zbyt gładki i jest w nim coś okrutnego. Ale uważaj, Bernie.

- Będę uważał.

Werner nie był przekonany.

- Wszystko przemawia za nim. Bret jest anglofilem: wszystko, co brytyjskie, jest wspaniałe. Brytyjczycy lubią takie kadzenie - bo sami w to wierzą - i dlatego on jest taki popularny. Nie będzie ci łatwo go ruszyć.

- Już się o tym przekonałem - rzekłem. - Mimo złośliwych uwag Silasa Gaunta i szalonej zazdrości Dicky'ego Cruyera, to raczej nie chcieliby widzieć go przed komisją.

- Bret to amerykański dżentelmen w starym stylu - uczciwy i dzielny.

- Tak go widzisz?

- Bo taki jest. To nie materiał dla KGB. Obiecuj mi, że zastanowisz się nad

tym, o czym ci mówię, Bernie. Nie chodzi mi o Breta. Ty mnie obchodzisz. Wiesz o tym, prawda?

- No pewnie, Werner. Dzięki. Ale ja nie chcę dorwać Breta za wszelką cenę. Chcę tylko porozmawiać ze Stinnesem i wyjaśnić kilka spraw.

- Czy zastanawiałeś się nad tym, że ucieczka Stinnesa to może być trick ze strony KGB?

- Tak, wielokrotnie, ale przecież przekazał nam parę doskonałych kawałków; nie cudownych, ale dobrych - powiedziałem. - Wygląda na to, że Millerowa została zamordowana. Była agentką od dawna, Werner. Czy naprawdę zabiliby kogoś ze swoich, żeby Stinnes wyglądał czyściutko.

- Jeszcze nie znaleźliśmy jej ciała - odparł Werner.

- Nie mogli zostawić go w karetce, bo byłoby to dla nas dziecinnie łatwe - zauważyłem.

Ale Werner miał rację; póki nie znaleziono i nie zidentyfikowano ciała pozostawała szansa, że nadal żyje.

- A co powiesz o Brahmsie Cztery jako o wtyczce KGB? Zanim odpowiedziałem, przez chwilę zastanawiałem się.

- Nie sądzę.

Lecz Werner, zauważywszy moje wahanie, ciągnął dalej.

- Czy naprawdę trzeba było ściągać von Muntego ze Wschodu? Jest stary i jego żona też. Jak bardzo musi być stary, żeby mógł otrzymać oficjalne pozwolenie na złożenie wizyty na Zachodzie?

- Nie bądź głupi, Werner. Tego rodzaju urzędnicy, którzy mają do czynienia z tajnymi informacjami, nie są wypuszczani na Zachód, nawet gdyby mieli sto lat.

- Ale przypuśćmy, że von Munte jest wtyka? Wysłany po to, żeby nadać nam lewy towar. Mówiłeś, że kiedy chciałeś wypytywać von Muntego, to Silas był niechętny i działał ochronnie. Przypuśćmy, że londyńskie Centrum Przesłuchań już odkryło, że jest wtyczką KGB. Przypuśćmy, że ulokowali go u Silasa Gaunta, aby go przetrzymać i nie pozwolić mu czynić szkód.

- Wymagałoby to wiary w bystrość personelu Centrum, której nie odnajduję w sobie - odparłem.

- O to mi właśnie chodzi, Bernie. Za wszelką cenę chcesz, żeby było tak, jak ty chcesz.



## Rozdział VIII

Święta minęły, lecz urlop świąteczny, z racji obowiązków służbowych, dopiero mnie czekał. Zabrałem dzieci do cyrku i do teatru. Robiliśmy to, co one chciały. Oglądaliśmy modele statków i prawdziwe samoloty na górnych piętrach Muzeum Nauki, żywe gady w ogrodzie zoologicznym Regent's Park oraz gipsowy szkielet dinozaura w sali Muzeum Historii Naturalnej. Dzieci widziały to już przedtem, i to wiele razy, ale były istotami powodującymi się nawykami i wybierały te rzeczy, które znały na tyle dobrze, że nie ja im, ale one mogły mi o nich opowiadać. Rozumiałem płynącą stąd przyjemność i dzieliłem ją z nimi. Jediną rzeczą psującą te urocze chwile było to, że Gloria nie miała wolnych dni i brakowało mi jej.

Zabrałem dzieci do George'a Kosińskiego, ich wujka a mojego szwagra. Miejsce, które tym razem odwiedziliśmy, nie miało nic wspólnego z jego modnymi i drogimi salonami samochodowymi, ale okazało się brudnym, kocimi łbami wyłożonym podwórzem w South-wark. Dzielnica ta, będąca kiedyś bagniskiem, obecnie była pełną brudu kolekcją slumsów i osmolonych sadzą fabryk, przetykaną brzydkimi, nowymi blokami biurowymi, ponieważ rosnące czynsze wyganiają coraz więcej firm w kierunku południowym Tamizy.

Teren warsztatów naprawczych George'a Kosińskiego był porzuconym placem; miejscem, na które spadła niemiecka bomba w 1941 roku, i do tej pory nie zabudowanym. Zaraz obok stała ciężka i pełna ozdób wiktoriańska kamienica, której mieszkania zamieniły się w slumsy. Po drugiej stronie ulicy nieco nowsze miejskie budownictwo było jeszcze gorsze.

Podwórko George'a otaczał wysoki mur z kawałkami szkła tkwiącymi w cemencie dla utrudnienia wejścia nieproszonym gościom. Na tych, którzy nie lękali się takich przeszkód, czekały dwa psy podwórzowe. Z drugiej strony tego terenu biegł kolejowy wiadukt. Dwa łukowate przesła pod wiaduktem obłożono cegłą i zamieniono w warsztaty naprawcze, z tym że jedna część tych pomieszczeń została przerobiona na biuro.

George siedział za stołem. Miał na sobie kapelusz i płaszcz, ponieważ mały elektryczny grzejnik-wiatrak nie za bardzo ogrzewał zimne, wilgotne powietrze. Sufit wykrzywił się mu nad głową i nie zrobiono nic, aby ukryć bądź izolować stare cegły łuku. W kartonowym pudle w rogu było pełno butelek po piwie i winie, niedopałków, potłuczonego szkła i wyrzuconych ozdób ze Świąt Bożego Narodzenia. Poprzez

cienką ściankę dzielącą to prowizoryczne biuro od warsztatu dochodził dźwięk muzyki rockowej z radia tranzystorowego.

George Kosiński miał trzydzieści sześć lat, chociaż większość ludzi dawała mu pięć, a nawet dziesięć lat więcej. Był to mały człowiek z dużym nosem i dużym wąsem, i zarówno nos, jak i wąs wyglądały nie na miejscu, jeśli wręcz nie fałszywie. To samo można było powiedzieć o jego silnym akcencie typu cockney, do którego musiałem się dostrajać za każdym razem, kiedy się z nim widziałem. Garnitur miał drogi: *Savile Row*, z klapami o ściegach nieco zbyt gęstych, tak że widać było wyraźnie, że to ręczna robota. Jego koszula, buty spoczywające pośród papierów na stole i jego krawat, były tak drogie, jak tylko to możliwe. Włosy kręciły mu się i siewiały na skroniach, przydając całej postaci dystyngowanego wyglądu, jaki jest rezultatem regularnych wizyt u mistrza grzebienia. Na czymkolwiek oszczędzał, na pewno nie były to jego ubrania, ani też jego środek transportu, ponieważ na zewnątrz stał połyskujący nowy rolls.

- No i proszę. Przyszlście potargać wujka George'a za brodę w jego jaskini, tak?

Zdjął nogi ze stołu z westchnieniem. Miałem wrażenie, że wymyślił sobie taką pozę na nasze wejście. Lubił myśleć o sobie, że jest niekonwencjonalny.

Dzieci były zbyt przejęte nabożną czcią, żeby odpowiedzieć. Wychylając się do tyłu w krześle George walnął pięścią w ścianę. Ktoś obok zareagował na tę komendę, bo radio natychmiast przycichło.

- Wasz tatuś przyszedł kupić ode mnie piękny samochód - mówił wam o tym?  
- Podniósł na mnie wzrok i dodał: - Jeszcze go nie dostarczono. - Spojrzenie na zegarek. - Będzie tu lada chwila.

- Przyszliśmy trochę wcześniej, George - powiedziałem.

- Nawet drinka czy czegośkolwiek nie mogę ci zaproponować. Nie trzymam tu nic, co ma jakąś wartość. Sam widzisz, jak tu jest.

Widziałem. Popękane linoleum na podłodze i nagie ściany mówiły wszystko. Oprócz tego była jeszcze wywieszka: SAMOCHODOWYCH RADIOODBIORNİKÓW NIE KUPUJEMY. Spostrzegł, że spoglądam na ten napis, i powiedział:

- Przez cały dzień tylko wchodzi i wychodzi próbując sprzedać mi radia i magnetofony.

- Kradzione?

- Oczywiście. A skąd miałby taki obrabiacz wytrzasnąć samochodowe stereo, jak nie skutkiem wyrwania go z jakiegoś zaparkowanego wozu? Nigdy nie dotykam rzeczy podejrzanych.

- Dużo tu spędzasz czasu? - spytałem. Wzruszył ramionami.

- Od czasu do czasu wpadam. Jak prowadzisz interes, każdy interes, to musisz wiedzieć, co się dzieje. Prawda, Bernard?

- Przypuszczam, że tak.

George Kosiński był bogatym człowiekiem i byłem ciekaw, jak znosi takie ubóstwo. Nie był skąpy - jego szczodrość była dobrze znana i uznawana nawet przez tych, z którymi zawierał twarde transakcje po niższych cenach, z czego był równie dobrze znany.

- Rover 3500, nie będziesz żałował, żeś go kupił, Bernard. A jeśli się pomyliłem, przyprowadź go z powrotem, a ja zwrócę ci pieniądze, OK?

- Okay - powiedziałem.

Mówił w tym samym stopniu do dzieci, co i do mnie. Lubił dzieci. Być może jego małżeństwo byłoby szczęśliwsze, gdyby miał własne dzieci.

- Oglądałem go wczoraj rano. Ciemnozielony, piękna robota lakiernika, jak fabryczna, a ci od woskowania to najlepsi w kraju. Masz wyjątkowo dobry wóz, Bernard. I co lepsze: specjalny. Silnik V-8 prawie nie używany.

- Czy to nie jest czasami jeden z tych wozów, co należał do starszej pani, która używała go raz w tygodniu, gdy jechała po zakupy, i zbyt denerwowała się, żeby jechać ponad dwadzieścia mil na godzinę? - zapytałem.

- Niegrzeczny, oj, niegrzeczny - powiedział George z uśmiechem. - Wasz tatuś jest niegrzeczny - zwrócił się do dzieci. - Nie wierzy w to, co mu mówię. A ja mu w życiu nie skłamałem nawet tygi, tygi.

Nagle dał się słyszeć potworny ryk. Billy drgnął, a Sally zakryła uszy rękami.

- To pociągi - rzekł George. - Mamy je tuż nad głową.

Lecz przechwałka George'a trafiła do wyobraźni Billa i gdy tylko ucichł hałas pociągu, odezwał się:

- Wujku George, naprawdę nigdy nie powiedziałeś nawet malutkiego kłamstewka? Nigdy przenigdy?

- Prawie nigdy - powiedział George. Zwrócił się do mnie. - Jeden z twoich przyjaciół zadzwonił dziś rano. Powiedziałem mu, że tu będziesz.

- Kto?

- To nie jest tajemnica, albo coś takiego? - spytał George. - Nie będę miał z tego powodu kłopotów, że powiedziałem komuś, gdzie jesteś, co?

Był to żart, ale nie do końca. Spotkałem się już z tego rodzaju dotkniętymi uczuciami również u innych osób, które miały tylko mgliste pojęcie o tym, z czego żyłem. Przyjął prawie przepraszający wyraz twarzy.

- Są ludzie, którzy wiedzą, że cię znam... ludzie, którzy wydają się wiedzieć więcej o tym, z czego żyjesz, niż ja.

Używając palca wskazującego nerwowym ruchem poprawił okulary na nosie. Zawsze to robił, gdy był poruszony. Przypuszczam, że oprawki były za ciężkie.

- Ludzie usiłują odgadnąć, co robię. Lepiej ich nie zachęcać, George. Kto to?

- Nazywają go Wykwintny Harry. Wiesz, kogo mam na myśli? On coś znaczy w CIA, prawda? Wydaje mi się, że cię zna całkiem nieźle. Pomyślałem, że nie będzie w tym nic złego, gdy powiem mu, że mam się z tobą zobaczyć.

- Dla CIA pracował dawno temu - powiedziałem. - Ale Harry jest w porządku. Mówisz, że tu przyjdzie?

- Chce się z tobą zobaczyć, Bernard. Sądzi, że ma coś, co ci się spodoba.

- Zobaczymy - powiedziałem. - Ale wiesz, George, jaki on jest. Nigdy go nie spotykam nie zastanawiając się równocześnie, czy przypadkiem nie wciśnie mi pod koniec jakiegoś zestawu encyklopedii.

Wykwintny Harry przyszedł punktualnie. Był to świeży i czyściutki Amerykanin, którego twarz, tak jak garnitury i bielizna, zdawała się nigdy nie mieć zmarszczek. Był hawajskiego pochodzenia i chociaż w tłumie wyglądał na Europejczyka, to jednak miał płaskie rysy, mały nos i wystające kości policzkowe ludzi Orientu. Pół życia spędził w samolotach i nie miał adresu z wyjątkiem hoteli, numerów skrzynek pocztowych i dzielonych z kimś pomieszczeń biurowych. Był zdumiewającym poliglotą i zawsze wiedział, co się z kim działo, od Waszyngtonu po Warszawę, i z powrotem. Był tym, co reporterzy nazywają „źródłem”, i zawsze miał coś do dodania na temat ostatniego skandalu szpiegowskiego, procesu lub dochodzenia, gdy tylko mediom brakowało komentarzy. Jego brat - dużo starszy od Harry'ego - był człowiekiem CIA, którego kariera sięgała OSS z czasów II wojny światowej. Zmarł podczas jakiejś parszywej rozróby CIA w Wietnamie. Mówiono, że Harry był tubą CIA dla przecieku tekstów, jakie chcieli rozpowszechnić, lecz trudno było to pogodzić z historią jego rodziny. Nie należał do ludzi broniących spraw CIA; nigdy im do końca nie wybaczył śmierci brata.

Był dokładnie w typie agenta CIA z Hollywood. Głos też miał taki jak trzeba. Niski, amerykański, bardzo miękki, czysty, wyraźny i pociągający; głos, jakiego sprawozdawcy sportowi używają podczas gier bardzo wolnych i nudnych.

Harry przyszedł mając na sobie angielskie ubranie, jakie można znaleźć tylko w Nowym Jorku. Ciemnoszary popelinowy płaszcz od deszczu, pantofle Oxford z cielecej skóry, tweedową marynarkę i stary angielski krawat szkolny, który wymyślił amerykański projektant mody. Ale zdradzało go nakrycie głowy; kraciasta sportowa czapka, jaką bardzo niewielu Anglików założyłoby, nawet do gry w golfa.

- Cieszę się, że cię widzę, George - powiedział ściskając mu dłoń.

Potem pozdrowił mnie w ten sam sposób, tym niskim, jak gdyby kanciastym, głosem i potrząsnął mi dłoń w szczerym, twardym uścisku.

- Pójdę zobaczyć, czy już jest twój samochód - powiedział George. -  
Chodźcie, dzieciaki.

- Rozmawiałem z Langem przez telefon - wyjaśnił Harry. - Bardzo się ucieszył z waszego ponownego spotkania.

- Co Lange miał ci do powiedzenia?

- Nic, czego bym już nie wiedział. Że dalej ciężko pracujesz, wypełniając rozkazy londyńskiej Centrali.

- I co jeszcze?

- Coś o Brete Rensselaerze - rzekł Harry. - Nie zwracałem szczególnej uwagi.

- To najlepszy sposób w rozmowie z Langem - zgodziłem się. - On ma chyzia na punkcie Breta Rensselaera.

- Więc to nieprawda, że Breta prześwietlają?

- O ile wiem, to nie - powiedziałem.

- Nie jestem szczególnie zaprzyjaźniony z Bretem, jak ci prawdopodobnie wiadomo. Ale Bret jest OK na sto procent. Nie widzę szans, aby Bret mógł popełnić jakąś nielojalność.

- Ach tak? - powiedziałem utrzymując bardzo swobodny ton.

- Całymi latami twoi ludzie trzymali Breta z dala od jakichkolwiek materiałów związanych z USA w obawie, że mogłoby to skruszyć jego lojalność, ale on nigdy nie był żadnym tajniakiem Agencji. Bret to wasz człowiek, możesz być tego pewny.

Przytaknąłem ruchem głowy i zastanawiałem się, skąd Wykwintny Harry wpadł na myśl, że Bret jest podejrzanym o przecieki do Amerykanów. Czy była to wadliwa interpretacja Langego czy Harry'ego? Czy też po prostu nikomu nie

przychodziło do głowy, że może robić tak haniebną robotę, jak szpiegowanie dla Sowietów? A jeśli tak, to może ja byłem w błędzie? A jeśli był winny takiej niegodnej dżentelmena działalności, to kto w to uwierzy?

- Co w ogóle mają do Breta? - spytał Harry.

- Skontaktuj się ze mną drogą służbową, Harry. Nie chcę mieszać do tego moich krewnych.

- No tak, pewnie, przepraszam - rzekł Harry, wcale nie przepraszając. - Ale lepiej, żeby to zrobić trzymając się z dala od tych tam, po drugiej stronie rzeki.

Skinął głową w niezbyt sprecyzowanym kierunku Westminsteru i Whitehall.

- A co to?

- Podam ci coś jak na talerzu, Bernard. Przysporzy ci to chwały wśród twoich ludzi.

- To dobrze - odparłem. Nie wykazywałem nadmiernego zainteresowania. Już kiedyś musiałem odcierpieć parę jego przysług.

- I to jest prawda - rzekł Harry. - Spójrz na to.

Podał mi fotokopię dokumentu pisanego na maszynie. Było tego osiem stron.

- Czy muszę to czytać? Czy też ty mi opowiesz, o czym to wszystko jest?

- Jest to memorandum omawiane przez Gabinet jakieś trzy czy cztery miesiące temu. Dotyczy bezpieczeństwa brytyjskich instalacji w Niemczech Zachodnich.

- Brytyjski Gabinet? To jest memorandum brytyjskiego Gabinetu?

- Tak jest.

- Jest w tym coś szczególnego?

- Coś szczególnego to to, że przynajmniej jedna kopia wylądowała w aktach KGB w Moskwie.

- To stamtąd przyszła ta fotokopia?

- KGB, Moskwa. Właśnie dokładnie tak - uśmiechnął się. To był uśmiech sprzedawcy, szeroki, lecz bezbarwny. - A co to ma wspólnego ze mną, Harry?

- To może być ten moment, przełomowy, na który czekasz, Bernard.

- Czekam na jakiś moment?

- Dobrze, Bernard, dobrze! Czy myślisz, że to tajemnica, że twoi ludzie stali się nerwowi zatrudniając cię teraz?

- Nie wiem, o czym ty mówisz, Harry - powiedziałem.

- No dobrze. Kiedy twoja żona uciekła, to wyciszyli sprawę. Ale nie wyobrażaj sobie, że nie było żadnych nieoficjalnych pogaduszek z chłopakami w

Waszyngtonie i w Brukseli. I jak myślisz, co ci ludzie prawdopodobnie powiedzieli? A co z mężem, zapytali. Nie będę cię traktował jak dzidziusia, Bernie. Sporo ludzi - mam na myśli ludzi z branży - wie, co się stało z twoją żoną. I wiedzą, że jesteś teraz pod mikroskopem. Czy masz zamiar zaprzeczyć temu?

- Jaka jest twoja propozycja, Harry? - spytałem.

- To memorandum to bardzo gorąca sprawa, Bernie. Co za sukinsyn zrobił ten przeciek? Puścił go tak, że nie zatrzymał się, aż w Moskwie?

- Jakiś agent na Downing Street No 10? To mi chcesz sprzedać?

- Numer Dziesięć to twój rejon, kolego. Sugeruję, żebyś zabrał tę kopię i zaczął zadawać pytania. Taka duża sprawa mogłaby ci się bardzo przydać.

- A co chcesz mieć za to?

- Przestań, Bernard. To tak o mnie myślisz? To prezent. Winien ci jestem parę przysług. Obaj o tym wiemy.

Złożyłem stronicę najstaranniej, jak tylko mogłem, i schowałem do kieszeni.

- Naturalnie, napiszę raport.

- Zrób, co chcesz. Ale jak napiszesz raport, to cała pisanina trafi do pudełka i nigdy o tym więcej nie usłyszysz. Dochodzenie zostanie bezpośrednio przekazane w ręce służby bezpieczeństwa. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

- Rozważę to, Harry. W każdym razie, dziękuję.

- Cała gromada ludzi jest za tobą, Bernard.

- A skąd ty to masz, Harry?

Wykwintny Harry trzymał nogę na krześle i paznokciem delikatnie zeszkrobywał z buta grudkę błota.

- Bernard! - powiedział z wyrzutem. - Wiesz, że nie mogę ci tego powiedzieć.

Zwilżył śliną czubki palców i przymierzył się jeszcze raz.

- No dobrze, wyeliminujmy pewne wrednostki - rzekłem. - To nie jest przypadkiem wzięte z jakiegoś biura CIA, prawda?

- Co też przychodzi ci do głowy?

- Bo nie lubię nosić paczki, która tyka.

Skończył z butem, postawił nogę na podłodze i popatrzył na mnie.

- Oczywiście, że nie. To jest świeży, jeszcze ciepły towar. Nie leżał na żadnych biurkach.

- Zatem to jakiś tekst na wabia?

- Za kogo ty mnie masz, Bernard. Za stręczyciela dla KGB na pół etatu! Czy

sądziś, że wytrwałbym tak długo bez umiejętności wycucia podpuchy KGB?

- Zawsze jest ten pierwszy raz, Harry. I każdy z nas może się pomylić.

- Dobrze, Bernard. Tak naprawdę to znam pochodzenie tego dokumentu, przyznaję. To przez niemiecki kontakt, który do tej pory dostarcza mi bez wyjątku samo złoto.

- A kto mu płaci?

- On nie jest na sprzedaż, Bernard.

- Zatem nie jest to ktoś, kogo znam - rzekłem.

Zaśmiał się cicho bez cienia radości, tak jak człowiek przyjmujący słańki dowcip cenionego klienta.

- Robisz się stary i zgorzkniały. Czy wiesz, że kiedyś zezłościłbym się słysząc taki zgryw. Dawniej wygłosiłbyś swój wykład o idealizmie i polityce, o wolności, o ludziach, którzy umierali za to, w co wierzyli. A teraz mówisz, że nikogo takiego nie znasz.

Potrząsnął głową. Było to kpiarstwo, ale obaj wiedzieliśmy, że ma rację. Obaj znaliśmy mnóstwo ludzi, którzy nigdy nie byli na sprzedaż i niektórzy z nich stracili życie dowodząc tego.

- Czy George sprzedaje ci samochód? - spytałem, aby zmienić temat.

- Wynajmuję od George'a. Robię to od lat. On mi pozwala zmieniać samochody, rozumiesz? Wiedziałeś o tym, prawda?

Chodziło mu o to, że George pozwalał mu korzystać z kilku samochodów, gdy Harry miał kogoś pod obserwacją i nie chciał, żeby rozpoznano wóz, którego używał w tym celu.

- Nie - powiedziałem. - George dochowuje tajemnicy konfesjonału. Nawet nie wiedziałem, że ciebie zna.

- Masz fajne dzieciaki, Bernie. - Klepnął mnie po plecach. - Nie patrz takim zmartwionym wzrokiem, przyjacielu. Masz dużo dobrych druhów. Mnóstwo ludzi coś ci zawdzięcza. Oni cię wyciągną z tego. Wykwintny Harry był w połowie swojej wypowiedzi, gdy nagle drzwi biura otworzyły się z hukiem. Stała w nich kobieta, lat trzydzieści, albo coś koło tego i ładna na sposób, w jaki kobiety stają się ładne, jeśli używają dostatecznie dużo drogich kosmetyków. Miała na sobie futro do kostek i przyciskała do siebie wielgachną torebkę, jakby zawierała ona mnóstwo kosztowności.

- Skarbenku - zawołała z rozdrażnieniem. - Ile czasu jeszcze będę musiała



siedzieć w tym śmietniku?!

- Już idę, kochanie - rzekł Wykwintny Harry.

- Pospiesz się! Strasznie się spóźniliśmy.

Miała głos pełen kwiatów magnolii, ten rodzaj akcentu, jaki zdarza się paniom, które oglądając w telewizji *Przeminęło z wiatrem* jedzą czekoladki.

Harry spojrział na zegarek. Potem wykonaliśmy rutynowe czynności wymiany numerów telefonów i wzajemnie sobie obiecaliśmy, że musimy spotkać się na lunch, ale żaden z nas nie wkładał w to zbyt dużego entuzjazmu.

Kiedy wreszcie Harry powiedział do widzenia, George Kosiński powrócił z dziećmi.

- Wszystko w porządku, Bernard? - spytał.

Spojrzał na mnie z wyczekiwaniem. Przypuszczam, że dla George wszystkie spotkania były transakcjami bądź potencjalnymi transakcjami.

- Tak, w porządku - powiedziałem.

- Twój rover już tam jest. Podoba się dzieciakom.

Położył na stole swoją walizeczkę i zaczął w niej grzebać, aby znaleźć dowód rejestracyjny, ale znalazł go dopiero wtedy, gdy wyrzucił całą zawartość na blat. Był tam plik listów do nadania, biografia Mozarta i kunsztownie oprawna Biblia.

- To prezent dla mojego siostrzeńca - powiedział, jakby obecność Biblii wymagała jakiegoś wyjaśnienia.

Znalazł również egzemplarz *Daily Telegraph*, różnego rodzaju kluczyki do samochodów z przyczepionymi danymi, notatnik z adresami, jakieś zagraniczne monety i czerwony jedwabny szalik. Machnął w moją stronę książką o Mozarcie.

- Ostatnio zainteresowałem się muzyką - rzekł. - Chodzę z Tessą na koncerty. Mozart miał okropne życie. Wiedziałaś o tym?

- Słyszałem pogłoski - odparłem.

- Jeśli kiedykolwiek chciałbyś uzyskać dowód, że nie ma na świecie relacji między pracą a nagrodą za pracę, to wystarczy ci przeczytać życiorys Mozarta.

- Nie musisz robić nawet tego - odezwałem się. - Możesz przyjść do mojego biura do pracy, a przekonasz się o tym.

- Koncerty fortepianowe - powiedział George. Znowu popchnął okulary ku górze. - Właśnie najbardziej lubię koncerty fortepianowe. Natychmiast skończyłem z pop musie, kiedy odkryłem Mozarta. Dziś rano zamówiłem w sklepie z płytami komplet kwintetów. Cudowna muzyka, Bernard. Cudowna.

- Czy Tessa podziela ten muzyczny entuzjazm? - zapytałem.

- Jej to nie przeszkadza - odrzekł George. - To wykształcona kobieta, oczywiście. Nie to, co ja; opuściłem szkołę mając czternaście lat, ledwie umiejąc pisać. Tessa zna się na muzyce i sztuce, i tego rodzaju sprawach. Nauczyła się tego w szkole.

Spostrzegłem, że wyglądam przez okno, żeby zobaczyć, co się dzieje na podwórku.

- Dzieciaki są w porządku, Bernard. Mój majster pozwolił im pomagać przy robocie. Wszystkie dzieciaki palą się do mechanicznych rzeczy; prawdopodobnie już się co do tego zorientowałeś. Chłopaków wręcz nie można utrzymać z dala od samochodu. Za młodu też taki byłem. Kochałem samochody. Większość skradzionych wozów to te, które zabierają dzieciaki, zbyt młode, aby mieć prawo jazdy. - Westchnął. - Tak, ja i Tessa jakoś staramy się sobie ułożyć współzycie. Musimy, Bernard. Robi się za stara na uganianie się za innymi chłopami; sama sobie zdaje z tego sprawę.

- Cieszę się - powiedziałem. - Zawsze lubiłem Tessę. George przerwał tę nie klejącą się rozmowę. Popatrzył na mnie i chwilę zastanawiał się, co ma powiedzieć.

- Winien ci jestem przeprosiny, Bernard. Wiem o tym. Kiedyś, gdy podejrzewał o to każdego mężczyznę, który ją znał, wręcz oskarżył mnie o romans z jego żoną Tessą. Teraz miał okazję spojrzeć na to z pewnej perspektywy.

- Nigdy tak nie było - zacząłem. - Ja faktycznie nie znałem jej tak naprawdę do chwili, kiedy Fiona mnie opuściła. Wtedy Tessa robiła wszystko... z dziećmi, z domem, który trzeba było ustawić na nowo, spierała się ze swoim ojcem, i tak dalej. Doceniam to, lubię ją, George. Bardzo ją lubię. Lubię ją tak bardzo, że myślę, iż zasługuje na szczęśliwe małżeństwo.

- Staramy się - rzekł George. - Oboje staramy się. Ale ten jej ojciec. Wiesz, on mnie nienawidzi, rozumiesz. Nie może znieść, że jego znajomi wiedzą o mnie, że jestem jego zięciem. Wstydzą się mnie. Nazywa siebie socjalistą, ale mnie się wstydzą, bo nie mam właściwego akcentu, właściwego wykształcenia czy też właściwych tradycji rodzinnych. On mnie naprawdę nienawidzi.

- Za mną też nie przepada - rzekłem.

- Lecz ty nie musisz spotykać go w swoim klubie lub trafiać na niego w restauracjach, gdy holujesz klienta. Mogę przysiąc, że schrzanił mi kilka korzystnych biznesów włączając, kiedy byłem w połowie lunchu, i robiąc rozległe aluzje na temat

mojego małżeństwa. Życie i tak jest dostatecznie trudne, Bernie. Nie potrzebne mi takie traktowanie, zwłaszcza gdy jestem z klientem.

- Może nie zrobił tego celowo? - powiedziałem.

- Ależ naturalnie, że on to robi celowo. Chce mi dać nauczkę. Ja chodzę i opowiadam ludziom, że jestem jego zięciem, a on chodzi i opowiada, że nie potrafię opanować własnej żony.

- Czy on tak mówi?

- Gdybym go dopadł... - George zawył na myśl o tym. - Aluzje, Bernard. Aluzje. Wiesz, co ten człowiek potrafi sugerować zmruczeniem oka i skinieniem głowy.

- Ma dość dziwne pomysły - odparłem.

- Masz na myśli, że jest nieskończenie głupi. Już ja o tym wiem. Powinieneś posłuchać jego pomysłów co do sposobu prowadzenia mojego przedsiębiorstwa. - George przestał wkładać swoje rzeczy do walizeczki, oparł ręce na biodrach i zadarł głowę z przechyłem na jedną stronę w stylu mojego teścia. Głos miał też jak David Kimber-Hutchinson: - „Trzeba wyjść na szersze wody, George. Szukaj możliwości eksportowych, George. Co więcej, stwórz warunki dla fuzji z jedną z naprawę wielkich firm. Myśl dużymi kategoriami. Nie chcesz całe życie być sprzedawcą samochodów, prawda?” - George uśmiechnął się.

Ohydny David Kimber-Hutchinson był niepowtarzalny, ale George naśladował go dobrze. A nie ma lepszej sposobności wniknięcia głęboko w czyjąś duszę, niż obserwowanie, jak ta osoba naśladuje innych. Rozległa uraza wywołała u George'a gorejącą falę niechęci. I gdyby doszło do otwartego załatwiania porachunków, to nie chciałbym być na miejscu Kimbera-Hutchinsona. A ponieważ i tak już byłem źle nastawiony do teścia, więc odnotowałem ten fakt z zainteresowaniem.

- Ale mimo wszystko on robi duże pieniądze - rzekłem.

- Wzajemnie sobie pomagają, Davidowie tego świata.

- Chciał dzieci. Myślał o adopcji...

- Żeby je przerobić na małych Kimber-Hutchinsonów. Wiem, Tessa mi mówiła. Ale ty go będziesz zwalczał, Bernard?

- Na każdym kroku.

- Wróg mojego wroga... nie ma lepszej podstawy do przyjaźni, jak mówi stare przysłowie.

- Często go widzisz? - zapytałem.

- Za często, cholera - odparł George. - Ale postanowiłem być miły dla Tessy, więc chodzę z nią tam i słucham, jak staruch gada i gada o tym, jaki to on jest wielki.

- George włożył książkę o Mozarcie do walizeczki. - Zamierza kupić u mnie nowego rollsa i postanowił częściowo spłacić go starym, sprzedanym po dobrej cenie.

Pokazywał mi już lakier i tapicerkę trzy razy. Trzy razy!

- A czy nie byłby to dobry interes, George? Nowy rolls-royce musi kosztować ładnych parę groszy.

- I za chwilę mieć go na progu, kiedy tylko nie zapali od pierwszego przekręcenia kluczyka? Słuchaj, nie handluję rollsam, ale kilka w ciągu roku przechodzi przez moje ręce. Te, które ja sprzedaję, są dobre, trzymam się z dala od niepewnych. To jest przewrotny rynek; dzisiaj klient nie może odpisywać z podatków większej części ceny. Ale ty wiesz i ja wiem, że niezależnie od tego, jakiego fabrycznie nowiuteńkiego rollsa dostanę dla tego drania, to i tak zaczną się z nim kłopoty od chwili, gdy mu go dostarczę. Prawda? To jakieś prawo natury; samochód dostarczony mu przeze mnie będzie przynosił problemy. A on natychmiast zdecyduje, że wóz w ogóle nie jest prosto z fabryki; powie, że dostałem go tanio, bo coś z nim jest. - Zatrzasnął walizeczkę. - Nie chcę tego całego bigosu, Bernard. Wolałbym, żeby poszedł i kupił go sobie na Berkeley Square. Powiedziałem mu to, ale on za cholere nie chce uwierzyć, że jest ktoś taki na świecie, kto przepuści okazję.

- To do ciebie nie podobne, George. Uśmiechnął się przeprasząco.

- Pewnie że nie, ale tak go odbieram.

- Chodźmy popatrzeć na mój nowy samochód. Ale George nie ruszył się z za stołu.

- Wykwintny Harry mówi, że masz kłopoty. Czy to prawda, Bernard?

- Wykwintny Harry utrzymuje się ze sprzedaży skrawków informacji. To, czego nie wie, zgaduje, a czego nie zgadnie, to zmyśla.

- Kłopoty pieniężne? Kłopoty z kobietami? Kłopoty w pracy? Jeśli chodzi o pieniądze, to mógłbym ci pomóc, Bernard. Lepiej na tym wyjdiesz niż pożyczając w banku na głównej ulicy. Tessa mi wszystko wyjaśniła. - Dziękuję, George. Myślę, że z pieniędzmi poradzę sobie. Wygląda na to, że mają mi dać jakiś specjalny dodatek na dzieci, nianię, i tak dalej.

- Nie mógłbyś wywieźć gdzieś dzieci chociaż na trochę? Wziąć urlop i odpocząć? Wyglądasz ostatnio na cholernie steranego.

- Nie mogę sobie na to pozwolić. - odparłem. - Ty jesteś bogaty, George. Możesz robić, co ci się żywnie podoba. Ja nie mogę.

- Nie jestem na tyle bogaty, żeby unikać tego, czego nie chcę robić. - George zdjął swoje grube okulary. - Spytałem Harry'ego, po co chce się z tobą zobaczyć. Nie chciał powiedzieć, ale naciskałem. Musi ze mną trzymać, robię tyle dla niego, tak czy inaczej. I znalazłby niewielu tak cierpliwie czekających na zapłatę. Powiedziałem: „Co masz do Bernarda?” Na to on: „Pomagam mu w tarapatach”. „A co za tarapaty?” - mówię. „Jego ludzie myślą, że pracuje na dwie strony” powiedział Harry. „Jak mu udowodnią, to pójdzie siedzieć na trzydzieści lat; nie dadzą mu chodzić po ulicach; cholernie dużo wie o pracy swoich ludzi, za dużo”. - George zamilkł na chwilę. - „Bernard Samson nie pracowałby dla Rosjan” mówię. „Znam go na tyle, żeby to wiedzieć, i jeśli ci, dla których pracuje, nie pojmują tego, to są głupi”. - George podrapał się po karku, wahając się, jak ciągnąć dalej tę historię.

- „Ale jego żona dla nich pracowała - mówi Harry - jeśli on nie będzie robił tego samego, to Sowietci nie zostawią go w spokoju”. „Co masz na myśli?”, zapytałem Harry'ego. „Jest w trudnej sytuacji - mówi Wykwintny Harry - dlatego trzeba mu pomóc. Albo Angole wsadzą go na trzydzieści lat, albo Sowietci przyślą swoich zabijaków”.

George założył okulary ponownie i spojrzał na mnie w sposób, jakby widział mnie po raz pierwszy.

- Wykwintny Harry żyje ze sprzedaży takich opowieści jak ta, George. Fajny materiał na dramatyczną sztukę, prawda? To jak te filmy w telewizji.

- Ale nie wtedy, kiedy zna się jednego z obsady - rzekł George. Kolejny pociąg przejechał z hałasem uniemożliwiającym wszelką rozmowę.

- Cholerne pociągi - powiedział George, gdy dźwięk ustał. - Tuż koło domu, w którym się wychowałem, mieliśmy też pociągi robiące taki sam harmider. Zaklinałem się, że nigdy nie będę musiał znosić czegoś takiego ponownie... no, i masz. - Popatrzył wokół swojego nędznego małego biura, jak gdyby widział je po raz pierwszy oczyma gościa. - Zabawne, co?

- Chodźmy rzucić okiem na mój samochód - zasugerowałem znowu.

- Bernard - rzekł George, wpatrując się we mnie poważnym wzrokiem. - Czy znasz człowieka nazwiskiem Richard Cruyer?

- Tak - odparłem na tyle mgliście, by zaprzeczyć, gdy zajdzie potrzeba.

- Pracujesz z nim, prawda.

Próbowałem przypomnieć sobie, czy George i Tessa jedli kiedykolwiek kolację w moim domu razem z Cruyerami. - Tak, pracuję z nim. A co?

- Tessa musiała się z nim spotkać parę razy. Mówi, że to w związku z jej dobroczynną działalnością na rzecz dzieci, w której tak aktywnie uczestniczy.

- Rozumiem - powiedziałem, chociaż nie rozumiałem. Nigdy nie słyszałem, by Tessa mówiła o jakiejś swej dobroczynnej działalności, i nie wyobrażałem sobie, jaką rolę miałby Dicky Cruyer odgrywać w działalności, która nie miała się przyczyniać do polepszenia jego dobrobytu.

- Nie mogę się oprzeć podejrzeniom, Bernard. Wybaczyłem jej i usunąłem z pamięci wiele złego, które ciągle było w naszych stosunkach. Ale nadal jestem podejrzliwy, Bernard. Jestem tylko człowiekiem.

- A co chcesz wiedzieć? - zapytałem.

Chociaż to, co chciał wiedzieć, było nazbyt oczywiste. Chciał wiedzieć, czy Dicky Cruyer to typ człowieka gotów do romansu z Tessą. I jedyną prawdziwą odpowiedzią byłoby jednoznaczne „tak”.

- O co tu chodzi. Chcę wiedzieć, o co tu chodzi.

- Pytałeś Tessę?

- To oznaczałoby wybuch, Bernard. Zniszczyłoby całą pracę, jaką włożyliśmy próbując złożyć nasze małżeństwo w całość. Ale musisz wiedzieć. To mnie męczy, jestem zrozpaczony. Zrobisz to dla mnie i dowiesz się? Proszę cię.

- Zrobię, co będę mógł, George - obiecałem.

## **Rozdział IX**

Identyfikowałem się ze Stinnesem. Był jak zimna ryba, a jednak myślałem o nim, jak o kimś bardzo do mnie podobnym. Jego ojciec był rosyjskim żołnierzem wojsk okupacyjnych w Berlinie i wychowywał się w Niemczech tak jak ja. Czulem też bliski z nim kontakt dlatego, że nasze drogi nałożyły się na siebie od dnia mojego aresztowania w Berlinie Wschodnim. Namówiłem go do przejścia na naszą stronę; zapewniłem go, że będzie dobrze traktowany i osobiście eskortowałem go z Mexico City do Londynu. Miałem szacunek dla jego profesjonalizmu i to zabarwiało wszystkie moje myśli i działania... Ale tak naprawdę to go nie lubiłem i to również wpływało na mój osąd... Nie mogłem do końca zrozumieć jego niewątpliwych sukcesów u kobiet. Co one, u diabła, w nim widziały? Kobiety zawsze pociągała ukierunkowana na jeden cel siła męska, zdolności organizacyjne i ten rodzaj

pewności siebie, który pozostawia wszystko w domyśle. Stinnes miał tego wszystkiego pod dostatkiem. Ale nie było u niego tych wszystkich innych rzeczy, które się zwykle widzi u kobieciarzy: ani skłonności do zabawy, ani kwiecistości wypowiedzi, ani dowcipnych dykteryjek, ani żadnego z tych gestów, dzięki którym kobiety tak często pamiętają tych, których kiedyś kochały. Nie miał nic z tego ciepłego, ludzkiego bycia sobą, które czyni tak łatwym zakochanie się i tak trudnym wydostanie się z tego, bez krztyny kpiarstwa z siebie samego i bez zdolności przyznawania się do porażek; po prostu zimne oczy, kalkulujący umysł i nieprzenikniona twarz. Wydawał się szczególnie zimnokrwisty odnośnie swojej pracy. Może o to chodziło. Ponieważ kobieciarz jest siłą niszczycielską, skałą, o którą zdesperowane damy roztrzaskują się w proch.

Ale nie można było zaprzeczyć istnieniu dynamicznej energii ewidentnie tkwiącej w tym pozornie bezwładnym ciele. Stinnes miał talent aktorski, niemal hipnotyczną wolę, która zapala się jak promień lasera. Takie bezduszne oddanie sprawie można zaobserwować u wielkich gwiazd Hollywoodu i u niektórych idealistycznie nastawionych polityków. Niczego takiego nie dostrzegałem u Breta Rensselaera, który był całkowicie inną osobowością. Bret nie był typem zawodowca o twardym spojrzeniu, jakim był Stinnes. Niezależnie od tego, że mówił kulawą niemczyzną, Bret nie mógł być nigdy agentem operacyjnym; nie byłby w stanie wytrzymać plugastwa i niewygód. I Bret nie mógł nigdy zostać dobrym agentem operacyjnym dla tej samej przyczyny, dla której nie udawało się to tak wielu innym Amerykanom: Bret lubił być w centrum uwagi. Bret był zwierzęciem towarzyskim i chciał być zauważany. Umiejętność życia w ukryciu, charakterystyczna niemal dla wszystkich Europejczyków, Amerykanom nie przychodzi z łatwością.

Bret robił wrażenie, od kiedy żona go opuściła, że kobiet ma bez liku, ale jego umiejętność czarowania łatwo było zrozumieć, nawet niedoświadczonym i nieczułym. Mimo swego wieku, był atrakcyjny fizycznie, szczodry w wydawaniu pieniędzy i rozrywkowy w towarzystwie. Lubiał jedzenie i wino, kino i muzykę. I robił to wszystko, co ludzie bogaci wiedzą, jak robić: potrafił jeździć na nartach i strzelać, żeglować i jeździć konno; i być obsługiwanym w zatłoczonych restauracjach. Między mną a Bretem były pewne rozbieżności; przetrzymywałem jego obraźliwe wybuchy i z niechęcią podziwiałem jego upór, ale nie był to bezduszny aparatczyk. Jeśli podeszło się do niego w odpowiednim momencie, umiał być bezpośredni i towarzyski, tak jak żaden inny spośród wyższego personelu. I co najważniejsze, Bret

miał tę wyjątkowo amerykańską zdolność elastyczności w działaniu, gotowość spróbowania wszystkiego, aby tylko robota była wykonana. No i Bret wykonywał zadania, za co jestem mu winien należne uznanie; właśnie z tego powodu posuwałem się bardzo ostrożnie, od czasu, gdy po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać nad jego lojalnością.

Bret Rensselaer miał wydatny podbródek i wybitnie uniwersalne rysy bohatera komiksów. Jak większość Amerykanów, Bret dbał o sylwetkę, zdrowie i swoje ubrania do tego stopnia, że jego angielscy koledzy uważali to za dziwactwo nie do przyjęcia. Wywodzący się z prywatnych szkół wyższy personel londyńskiej Centrali wydawał tyle samo pieniędzy na garnitury i ręcznie szyte koszule z *Savile Row* oraz obuwie z Jermyn Street, ale nosili to w beztróskim nieładzie stanowiącym żywozną część ich snobizmu. Prawdziwy angielski dżentelmen nigdy nie mierzy; był to artykuł wiary. A Bret Rensselaer mierzył. Lecz Bret miał rodzinę sięgającą wstecz aż po Wojnę o Niepodległość, i co więcej, Bret miał pieniądze, mnóstwo pieniędzy. A dla każdego snoba pieniądze są kartą atutową, jeśli dobrze się ją rozgrywa.

Bret już był w biurze, kiedy przybyłem. Zawsze zaczynał pracę bardzo wcześnie - była to kolejna z jego amerykańskich cech. Jego wczesne przychodzenie do pracy i punktualność na zebraniach były powszechnie podziwiane, ale nie mogę powiedzieć, że dał początek nowemu trendowi. Na dziś rano umówione było spotkanie między mną, Dickim Cruyerem, Morganem - wtyczką D-G - i Bretem, w gabinecie tego ostatniego. Podczas gdy ja przybyłem na umówioną porę - dorastanie w Niemczech wytwarza w ludziach całkiem nienaturalną potrzebę bycia punktualnym - Morgana nie było, a Dicky jeszcze nawet nie dojechał do biura. Bret Rensselaer miał swoje biuro na ostatnim piętrze razem ze wszystkimi innymi, którzy coś znaczyli w Firmie. Zza jego biurka rozciągał się widok na tę część Londynu, gdzie parki: St James's Park, Green Park, ogród pałacu Buckingham i Hyde Park tworzyły ciągłą linię zielonego dywanu. W lecie był to cudowny widok. Nawet teraz, w zimie, przy lekkiej mgle dymu z kominów i nagich drzewach, był to lepszy widok niż oglądanie poobijanych szaf z aktami w moim pokoju.

Bret pracował. Siedział za biurkiem czytając swoje papierzyska i usiłując nakłonić świat, aby się do nich dostosował. Marynarka od garnituru, nienagannie skrojona, z wykrochmaloną białą lnianą chusteczką w kieszonce, wisiała na oparciu krzesła, które Bret chyba trzymał wyłącznie w tym celu. Miał muszkę z szarego jedwabiu i białą koszulę z monogramem umieszczonym w ten sposób, że widać go



było nawet wówczas, gdy nosił kamizelkę. Kamizelka - albo jak on mówił „westka” - oczywiście była rozpięta, a rękawy koszuli podwinięte.

Gabinet był umeblowany wedle jego własnego gustu - było to jednym z przywilejów wyższych rangą - i pamiętam ten nerwowy szum „wywołany sprowadzeniem przez Breta własnego dekoratora wnętrz. Było dużo oporów ze strony Wydziału Bezpieczeństwa Wewnętrznego, bo uważali, że dekoratorzy wnętrz to duże zespoły w białych kombinezonach taszczące ze sobą mechaniczne młoty, rusztowania i kubły farby. W tym przypadku zjawił się drobny człowiek z bródką, ubrany w kurtkę dżinsową z wyhaftowanym wzorem kwiatowym, a na podkoszulku miał napis: „Atomówki - Nie”. Długo trwało, nim przebrnął przez portiera.

Lecz rezultat wart był całej tej batalii. Główną część gabinetu stanowiło ogromne biurko złożone z kombinacji chromu, czarnej skóry i szkła, specjalnie zamówione w Danii. Dywan był ciemnoszary a ściany także w dwóch odcieniach szarości. Była też długa leżanka, na której siadali goście, podczas gdy Bret obracał się i bujał w dużym krześle, dopasowanym do chromu i skóry biurka. Teoretycznie, ubrania osób zajmujących pokój miały dostarczyć potrzebnego kolorytu. I dopóty, dopóki kolorowy brodaty projektant był w pokoju, to działało. Ale Bret był postacią monochromatyczną i komponował się z wystrojem tak jak kameleon; jedyny problem tkwił w tym, że kameleony dopasowują się do otoczenia, gdy są przestraszone.

- Przejmuję Stinnesa - zapowiedział, kiedy wszedłem do jego pokoju.

- Słyszałem, że próbowali ci to wcisnąć! - powiedziałem. Uśmiechnął się szeroko na moją próbę przygryzienia mu.

- Nikt mi tego nie wciskał, kolego. Cieszę się, że mogę zająć się tą stroną przesłuchań Stinnesa.

- No, to wspaniale - rzekłem. Spojrzałem na zegarek. - Czy przyszedłem za wcześnie?

Obaj wiedzieliśmy, że zrobiłem aluzję do spóźnienia Dicky'ego i Morgana, ale Bret przyjął to łagodnie.

- Spóźniają się - powiedział. - Oni się zawsze cholernie spóźniają.

- No to może zaczniemy? - zaproponowałem. - Czy też mam iść po filiżankę kawy?

- Siedź tam, gdzie siedzisz, cwaniaku. Jak chcesz tak nagle kawy, to przyniosą. - Nacisnął guzik białego telefonu i przez chwilę mówił do pudełka, gapiąc się w przeciwległy koniec pokoju nie widzącym wzrokiem.

Przysłano kawę dla czterech, Bret podniósł się i nalał do wszystkich czterech filiżanek, a więc kawa dla Cruyera i dla Morgana zaczynała już stygnąć. Robiło to wrażenie dziecinnej zemsty, ale może Bret mógł tylko taką sobie wymyślić. Gdy piłem kawę, Bret popatrzył przez okno, a potem przejrzał rzeczy na biurku i uporządkował je. Był niecierpliwy i mimo niesprawnego kolana lubił robić uniki, minięcia i obroty jak bokser po zadanym mu mocnym ciosie. Podszedł i usiadł na krawędzi biurka, by dopić kawę; była to sztuczna i wymuszona poza swobody w wykonaniu wyższych urzędników, w stylu, jaki przyjmują szefowie dużych firm, gdy są fotografowani dla magazynu *Forbes*.

Mimo że przesiedzieliśmy z Bretem dziesięć minut pijąc kawę w milczeniu, tych dwóch nadal nie pojawiało się.

- Widziałem Stinnesa wczoraj - Bret zgłosił akces do rozmowy. - Nie wiem, co robią z ludźmi w tym cholernym Centrum Przesłuchań, ale był w nastroju uniemożliwiającym współpracę.

- Gdzie go odwieźli, Berwick House?

- Tak. Czy wiesz, że tak zwane londyńskie Centrum Przesłuchań ma swoje posiadłości sięgające aż po Birmingham?

- Do ubiegłego roku korzystali z miejsca w Szkocji, ale D-G powiedział, że nie mogą opłacać podróży personelu tam i z powrotem.

- Stinnes nie bawi się tu zbyt wesoło. Nic tylko narzeka. Powiedział, że przekazał nam wszystko, co miał zamiar przekazać. Będzie tego więcej, ale w zamian za pewne ustępstwa z naszej strony. Pierwsze - to chce wyjechać gdzieś indziej.

Gubernator - ten, którego nie lubisz: Potter - mówi, iż Stinnes groził ucieczką.

- A jak ty byś się czuł, ograniczony do Berwick House przez długie tygodnie? Wyposażenie jak w tandetnym hoteliku, a jedyna rozrywka na zewnątrz to przejście wokół ogrodu w pobliżu murów, żeby zobaczyć, ile można uruchomić alarmów, zanim każą ci wracać z powrotem do środka.

- To brzmi, jak byś sam tam siedział - powiedział Bret.

- Nie tam, Bret, ale w bardzo podobnych miejscach.

- Więc tam byś go nie wsadził?

- Tam go wsadzać? - Nie mogłem powstrzymać się o uśmiechu, to było tak cholernie śmieszne. - Czy ostatnio przyjrzałeś się personelowi w londyńskim Centrum Przesłuchań? - zapytałem. - Wiesz skąd rekrutują tych ludzi? Większość to zwolnieni byli pracownicy słynnego Jej Królewskiej Mości Departamentu Celnego i

Akcyzy. Ten gruby, obecnie na stanowisku gubernatora - powiedz mi, żebym przestał, jak będziesz pękał ze śmiechu - przyszedł z biura podatkowego w West Hartlepool. Nie, Bret, nie wsadziłbym tego biednego palanta do Berwick House. I Stalina też bym tam nie wsadził.

- No to mów - rzekł Bret z wystudiowaną cierpliwością. Ześlizgnął się z krawędzi biurka i rozprostowywał plecy, jak gdyby mu zeszywniały.

- Nie bardzo się nad tym zastanawiałem, Bret. Ale gdybym chciał, aby ktoś ze mną współpracował, to ulokowałbym go w prima-sort apartamencie hotelu Dorchester.

- Tak byś zrobił, co? - Wiedział, że chciałem go sprowokować.

- I wiesz co, Bret? Dorchester kosztowałby tylko ułamek tego, ile kosztuje podatnika trzymanie go w Berwick House. Ilu teraz mają tam strażników i urzędników?

- A co miałoby go powstrzymać od ucieczki z Dorchester?

- Wiesz, Bret, może nie tak bardzo chciałby uciekać z Dorchester, jak bardzo chce z Berwick House.

Bret nachylił się, jakby chciał widzieć mnie lepiej.

- Słucham wszystkiego, co mówisz, ale nigdy nie mam pewności, w ile z tego pieprzenia wierzysz - powiedział.

Nie zareagowałem. Wtedy Bret rzekł:

- Nie przypominam sobie żadnej takiej teorii, gdy Giles Trent był trzymany w Berwick House. To ty powiedziałeś, że nie wolno mu palić, i dostarczyłeś mu krótką piżamę bez guzików oraz bawełniany szlafrok bez paska.

- To normalne rutynowe zabiegi z przesłuchiwanymi. O Jezu, Bret, przecież wiesz, o co chodzi; oni mają się czuć niedowartościowani. To nie mój pomysł; rzecz stara jak świat.

- Stinnes dostaje hotelowy apartament, a Trent nawet nie miał guzików u swojej piżamy? Co ty mi tu wciskasz?

- Stinnes nie jest więźniem. Przeszedł na naszą stronę z własnej woli.

Powinniśmy mu schlebiać i starać się, aby czuł się dobrze. Powinniśmy wprowadzać go w taki nastrój, aby chciał nam powiedzieć wszystko, na sto procent.

- Być może.

- I Stinnes to zawodowiec... to były agent operacyjny, a nie jakiś tam urzędnik jak Trent. Stinnes zna swoją robotę od A do Z. Wie, że nie zamierzamy wyrywać mu

paznokci czy przykładając elektrody pod napięciem tam, gdzie to boli najbardziej. On ma się dobrze i dopóty, dopóki nie wyciągniemy do niego ręki, pozostanie *stumm*.

- Czy rozmawiałeś o tym z Dickym? - spytał Bret. Wzruszyłem ramionami. Bret wiedział, że Dicky nie chciał słyszeć o Stinnesie; wszystkim dał to jasno do zrozumienia.

- Po co ma reszta kawy wystygnać - powiedziałem. - Czy mogę wziąć kawę Dicky'ego?

Przesunął kawę w moją stronę i patrząc znowu na drzwi powiedział:

- Nie musi to być jakiś genialny pomysł, aby poprawić obecną sytuację.

- Czy on w ogóle nie mówi?

- Pierwsze dwa tygodnie były w porządku. Starszy przesłuchujący, Ladbrook, były glina - wie, co robi. Ale niezbyt wiele wie o tym, o co nam chodzi. Najpierw czuł się swobodnie, lecz po aresztowaniu w Berlinie stał się bardzo trudny. On jest bardzo rozczarowany, Bernard. Przeżył miodowy miesiąc, a teraz jest w fazie smutku pomiodowego miesiąca. Podniosłem rękę do głowy, jakbym przypomniał sobie coś ważnego.

- Nie, nie mów mi, Bret. „Miesiąc miodowy” i „miesiąc pomiodowy”... Rozpoznaję tę magiczną składnię... w tym jest coś z Hemingwaya, czy może to Shelley? Jaki złotojęzyczny kowal słów powiedział ci, że Stinnes jest - jak to powiedziałaś? - „w fazie smutku pomiodowego miesiąca?” Muszę to zapisać na wypadek, gdyby mi to miało wylecieć z pamięci. Czy to był wicegubernator, ten brodaty, co ma jamnika, który nie może wyhamować i paskudzi na dywan? O Jezuu, gdybym tylko mógł taki towar zamieszczać w moich raportach, to już byłbym Dyrektorem Generalnym.

Bret popatrzył na mnie i z furią zagryzł wargi. Był na mnie wściekły, ale jeszcze bardziej na siebie za powtórzenie mi tych wszystkich słownych śmieci, które personel londyńskiego Centrum Przesłuchań klepie, by ukryć swoją wszechstronną niekompetencję.

- Więc dokąd możemy go teraz przenieść? Z technicznego punktu widzenia, londyńskie Centrum ma nad nim pieczę.

- Wiem, Bret. I właśnie teraz mówisz mi ponownie, jak potrzebne są pozory, iż wypytyują go o moją lojalność, na wypadek gdyby Home Office zaczął troszkę hałasować z powodu przeniesienia go na teren MI 5.

- To prawda - powiedział Bret. - Nieważne, na ile ci się to nie podoba, prawda

jest taka, że tylko z twojego powodu trzymamy Stinnesa u nas.

- Gówno prawda - powiedziałem. - Nawet gdyby Home Office zaczął się dopominać o niego już dzisiaj, to i tak cała robota papierkowa trwałaby trzy miesiące normalnymi kanałami, a cztery lub pięć, gdybyśmy celowo zwolnili tempo.

- To nie jest tak. Mógłbym ci opowiedzieć o trzech czy czterech ludziach przekazanych Piątce w ciągu dwóch do trzech tygodni od wpuszczenia ich na teren Zjednoczonego Królestwa.

- Ja mówię o papierkowej robocie, Bret. Do tej pory odpuszczaliśmy sobie tych facetów, bo nie byli nam potrzebni. Ale robota papierkowa, związana z transferem, zabiera przeciętnie trzy miesiące.

- Nie będę się z tobą sprzeczał - rzekł Bret. - Chyba ty widzisz więcej roboty papierkowej ze swojej pozycji.

- Och, i to ile. Popatrzyl na zegarek.

- Jeśli nie przyjdą do dziewiątej, będziemy musieli to przełożyć na późniejszą godzinę w ciągu dnia. Mam być na zebraniu w sali konferencyjnej o dziewiątej czterdzieści pięć.

Lecz właśnie gdy to wypowiadał, Dicky Cruyer i Morgan weszli, rozmawiając z ożywieniem i radosną poufałością. Byłem trochę zażenowany tym hałaśliwym występem, ponieważ w całym budynku nie było drugiej osoby, której tak nienawidziłem jak Morgana. Morgan był jedyną osobą, której protekcyjna wyższość doprowadzała mnie prawie do fizycznej agresji.

- A co się dzieje, jeśli wracasz do domu po północy? - powiedział Dicky przesadnie głębokim głosem, którego używał, gdy rozmówcy śmiali się wysłuchawszy paru jego dowcipów. - Zamieniasz się w dynię albo co?

Obaj roześmiali się. Być może nie mówił o Tessie, ale chciało mi się rzygać, gdy myślałem o niej będącej razem z Dickim Cruyerem i o George'u wtrąconym z tego powodu w przygnębienie.

Bez słowa pozdrowienia Bret wskazał palcem na krytą czarną skórą leżankę, na której obaj usiedli. Wydawało się, że to ich otrzeźwiło i Dicky ruszył nawet z jakimiś przeprosinami za spóźnienie. Morgan miał ze sobą niebieską tekturową teczkę; położył ją na kolanach i wyciągnął czystą kartkę papieru oraz cienki złoty ołówek. Dicky miał skórzaną aktówkę firmy *Gucci*, zamykaną na zamek błyskawiczny; przywiózł ją z Los Angeles. Wyjął z aktówki gruby plik papierów, wyglądających jak cała dzienna korespondencja skierowana do niego.

Podejrzewałem, że zamierzał mnie to wlepić; tak właśnie zazwyczaj robił. Lecz jakiś czas jeszcze je układał, aby pokazać, jak dobrze przygotowany jest do rozmowy.

- Mam niebawem ważne spotkanie - powiedział Bret - więc darujmy sobie występy rozrywkowe i przejdźmy od razu do rzeczy.

Sięgnął po kartkę z porządkiem dziennym i, poprawiwszy okulary, przeczytał go nam na głos.

Bret był zdecydowany kontrolować zebranie od razu. Jego starszeństwo w hierarchii nie ulegało wątpliwości, ale mógł obawiać się wszystkiego ze strony tych dwóch. Podstępna taktyka Morgana, który wykorzystywał swoją rolę asystenta D-G do manipulowania wszystkimi i wszystkim, była dobrze znana. Jeśli chodzi o Dicky'ego Cruyera, to Bret usiłował przejąć od niego Sekcję Niemiecką i na każdym etapie starań doznawał odprawy. Obserwując sposób, w jaki Dicky wkładał się w łaski Morgana, zacząłem rozumieć, jak Breta wymanewrowano.

- Jeśli musisz iść, Bret, to możemy przenieść się do mojego gabinetu i tam dokończyć - zaproponował Morgan grzecznie.

Twarz miał bardzo bladą i pulchną, z małymi oczkami jak dwie porzeczkę na talerzu z puddingiem ryżowym. Miał silnie śpiewny walijski akcent. Zastanawiałem się, czy miał go zawsze, czy też chciał uchodzić za prowincjusza, któremu się powiodło.

- Kto będzie pisał protokół? - spytał Bret, elegancko oddalając próbę Morgana pozbycia się go.

Było to tuzinkowe spotkanie celem podjęcia decyzji co do uzupełnień w różnych Sekcjach Niemieckich. Mieli trudności finansowe, ponieważ środki dla nich przeznaczone nie były rewidowane mimo niezliczonych rewaloryzacji marki zachodniej. Bret założył okulary, aby odczytać porządek, po czym pognał na łeb na szyję z całością spraw, ucinając dygresje Dicky'ego i pytania Morgana. Kiedy było po wszystkim Bret wstał.

- Przyjąłem zaproszenie Dyrektora Generalnego do sprawowania nadzoru nad przesłuchaniem Stinnesa - oznajmił, chociaż do tej pory każdy obecny w tym pokoju, jeśli nie wszyscy w budynku, wiedział o tym. - I zwrócę się do Bernarda o asystowanie mi w tej sprawie.

- To niemożliwe - powiedział Dicky, reagując jak oparzony kot. - Bernard ma dużo zaległej pracy. Nie mogę ci go przekazać. - Dicky nagle ujrzał przed sobą niemłą perspektywę rzeczywistej pracy w Sekcji Niemieckiej zamiast przekazywania

wszystkiego mnie i zajmowania się powiększaniem swego służbowego konta w banku.

- Będzie miał dosyć czasu na inną pracę - rzekł spokojnie Bret. - Chcę żeby służył mi tylko radą. Ma pewne pomysły, które mi się podobają.

Popatrzył na mnie uśmiechając się, ale nie byłem pewny, z jakiego powodu ten uśmiech. Morgan odezwał się:

- Kiedy zaproponowałem pomoc, nie miałem na myśli ludzi ze stażem. W każdym razie nie pracowników technicznych takich jak Bernard.

- Nie wiedziałem, że to ty cokolwiek mi ofiarowałeś - powiedział zimno Bret.  
- Odnosiłem wrażenie, że D-G nadal kieruje Wydziałem:

- Przejęzyczenie, Bret - powiedział gładko Morgan.

- Bernard jest jedyną osobą zdolną uporać się z problemami, jakie Centrum Przesłuchań ma ze Stinnesem.

Bret utworzył właściwe połączenie składniowe. Problemy ze Stinnesem pozostaną problemami Firmy a nie Breta, a ciągły brak rozwiązania tychże problemów będzie błędem i niedopatrzeniem z mojej strony.

- To po prostu niemożliwe - protestował Dicky Cruyer. - Nie chcę robić wrażenia, że nie chcę współpracować, ale skoro D-G obstaje przy tym, będę musiał mu wyjaśnić, o jaką stawkę chodzi.

W tłumaczeniu znaczyło to, że jeśli Bret nie odwali się, to on spowoduje, iż Morgan będzie udawał, że rozkaz, aby się odwalił, przyszedł od D-G.

- Będziesz musiał poradzić sobie ze swoim problemem korzystając z jakiejś czasowej pomocy, Dicky - powiedział Bret. - Ta konkretna sprawa jest już załatwiona. Wczoraj rozmawiałem z D-G w *Travellers' Club* - natknąłem się na niego przypadkowo i wydawało się to dobrą okazją do omówienia bieżącej sytuacji. D-G powiedział, że mogę mieć, kogo chcę. A właściwie to nie jestem pewny, czy to czasami nie sam Sir Henry wymienił pierwszy imię Bernarda w rozmowie. - Popatrzył na zegarek, potem uśmiechnął się do wszystkich i zdjął swoje sportowe okulary. Podniósł się, a Dick i Morgan też wstali.

- Muszę iść. To następne, to bardzo ważne zebranie - rzekł Bret.

Nie takie jak to, które opuszczał, co sugerowało, że nasze było kompletnie nieistotne.

Przyszła kolej na Morgana, aby trochę poprzeskadzać.

- Jest parę spraw, których nie dostrzegasz, Bret - powiedział, a jego śpiewny

walijski akcent słyszalny był bardziej niż kiedykolwiek. - Ludziom z zewnątrz mówimy, że trzymamy Stinnesa po to tylko, aby zbadać ewentualne służbowe wykroczenie Bernarda. Jak więc będziemy mogli wyjaśnić obecność Bernarda w Berwick House w roli jednego z naszych oficerów śledczych?

Bret wyszedł zza biurka. Wszyscy staliśmy blisko siebie. Bret wydawał się szukać słów. Odwinął rękawy i całą uwagę skoncentrował na wpychaniu złotych spinek od mankietów w dziurki. Być może nie liczył się z takim sprzeciwem.

Chociaż do tej chwili miałem zastrzeżenia, co do przyłączenia się do zespołu Breta Rensselaera, to jednak teraz dostrzegłem potrzebę wygłoszenia mojego własnego punktu widzenia, chociażby w odruchu samozachowawczym.

- Jakie kłamstwa opowiadasz po to, aby trzymać Stinnesa, to twój problem, Morgan - powiedziałem. - Nigdy ze mną ich nie konsultowano i nie widzę powodu do podejmowania operacyjnych decyzji jedynie dla utrzymania twoich nie dających się utrzymać fantastycznych opowieści.

Bret przyjął moją wskazówkę.

- Tak, dlaczego Bernard ma udawać martwego po to, aby ciebie wy dostać z kłopotu? - powiedział. - Bernard jest jedynym, który był blisko ze Stinnesem. Zna się na sprawie jak żaden z nas. Niech ogon nie macha psem. To wyraźnie skierowane było pod adresem Morgana w roli ogona.

- D-G będzie niezadowolony - zagroził Morgan. Wygładził swój krawat. Był to nerwowy gest i takie też było spojrzenie rzucone w kierunku Dicky'ego. Lub też byłoby w kierunku Dicky'ego, tylko że Dicky wrócił do sofy i zajął się zbieraniem i liczeniem pakietu papierów, jakich nie zdążyliśmy przedyskutować. Nawet jeśli to były papiery, jakie nosił ze sobą, aby wyrzucić wrażenie, jaki jest zapracowany, to w sytuacjach zaognionych jak ta wiedział, jak nagle stać się zajęтым i w ten sposób trzymać się z dala od wojujących stron.

Bret podszedł do krzesła, na którym wisiała jego marynarka, i z wolna zaczął ją wkładać. Zapiął spinki od mankietów i poprawił węzeł krawata.

- Omawiałem to z nim, Morgan - rzekł Bret.

Wziął głęboki oddech. Do tej pory był bardzo spokojny i opanowany, ale lada chwila mogło mu odbić. Znałem te sygnały. Bez nadmiernego podnoszenia głosu Bret odezwał się:

- Nigdy nie chciałem brać na siebie odpowiedzialności za sprawę Stinnesa; ty o tym wiesz lepiej od innych, ponieważ to ty mnie nękałeś, abym to przyjął. Ale



powiedziałem okaj i rozpocząłem pracę.

Bret wziął głęboki oddech. Ja już to widziałem; głęboki oddech nie był mu nieodzowny, więc na podenerwowanych widzach robił wrażenie, że gotów jest rozdawać ciosy na lewo i prawo. W tym przypadku popchnął Morgana palcem wskazującym w klatkę piersiową. Morgan ustąpił trochę do tyłu.

- Jak to spieprzysz, to urwę ci jaja. I nie wracaj tu czołgając się z jakąś małą instrukcją parafowaną przez starego. Jedyne, co uda ci się zmienić, to to, że znowu wkleję ci tę parszywą robotę, a nie jest to robota, na której buduje się kariery. Przekonasz się o tym, Morgan, jeśli będziesz miał na tyle źle w głowie, aby próbować to przejąć.

- Spokojnie, Bret - łagodnie odezwał się Dicky, na chwilę podnosząc wzrok znad papierów, ale nie zbliżając się do kręgu gniewu Breta.

Bret był naprawdę zły. Było to coś więcej niż jego normalne fochy i zastanawiałem się, co jeszcze może się za tym kryć. Twarz mu się wydłużyła, a usta drżały, jakby zamierzał pociągnąć to dalej, ale potem chyba zmienił zdanie. Włożył palce do górnej kieszeni, aby upewnić się, czy ma okulary i opuścił pokój nie oglądając się na nikogo.

Morgan wydawał się wstrząśnięty wybuchem Breta. Widział już te wybuchy przedtem, ale nigdy nie był ich odbiorcą, co ja znałem dobrze. Dicky jeszcze raz policzył swoje papiery i trzymał się twardo swego neutralnego stanowiska. Runda była dla Breta, ale tylko na punkty, i Bret nie był na tyle głupi, bądź na tyle amerykański, by sądzić, że kilka prostych na korpus zdecyduje o wyniku meczu z tymi dwoma osiłkami. Prowadzenie małego sporu z mafią ze szkół prywatnych w Firmie było niczym zadanie ciosu ciężkiemu workowi bokserskiemu - efekt wizualny niewielki, a w dwie minuty później wahadło leciało z całym tym ustrojstwem w drugą stronę nokautując boksera.

Po wyjściu Breta zapanowała cisza. Czuję się jak Kopciuszek porzucony przez chrzestną matkę-wróżkę na łaskę brzydkich sióstr. Na potwierdzenie moich obaw, Dicky wręczył mi papiery, które rzeczywiście stanowiły zawartość jego szufladki z korespondencją, i spytał, czy mógłbym rzucić na nie okiem i przynieść je dziś po południu. Następnie Dicky popatrzył na Morgana i rzekł:

- Ostatnio Bret bywa nie w sosie.

- To zrozumiałe - odparł Morgan. - Ostatnio biedny Bret ma ciężkie chwile.

Od czasu jak utracił swoją Komisję Wywiadu Gospodarczego, nie może się

pozbierać.

- Mówią, że Bret dostanie Berlin, kiedy odejdzie Frank Harrington - rzekł Dicky.

- Nie bez twojego słowa, Dicky - stwierdził Morgan. - D-G nigdy by nie trzymał w Berlinie kogoś, z kim trudno się pracuje. Chcesz Breta w Berlinie?

Ach? Więc to tak. Było oczywiste, co mógł zyskać Dicky trzymając Morgana w dobrym nastroju, ale teraz dostrzegłem, czego Morgan chciałby w zamian. Dicky mruknął coś, że to daleka przyszłość, co było sposobem uniknięcia pytania, które Morgan będzie zadawał w kółko, aż usłyszy w odpowiedzi „nie”.

## **Rozdział X**

Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą - powiedział Bret. Cytował Stinnesa, ale równie dobrze mógł nawiązywać do porannej utarczki z Morganem i do tego, co mogło z niej wynikać. Siedzieliśmy na tylnym siedzeniu jego bentleya, prowadzonego przez kierowcę szybkim pasem ruchu. Jechaliśmy na spotkanie ze Stinnesem.

- Czy to jest rosyjskie przysłowie? - zapytał.

- Tak - odrzekłem. - Lecz Rosjanin używa je w formie wyjaśnienia niesprawiedliwości, więzień i masakr za Stalina.

- Ty masz cholernie encyklopedyczny łeb, Samson - powiedział Bret. - A ten facet, Stinnes, to jakiś pokrętny gnojek.

Przytaknąłem skinieniem głowy i rozparłem się na prawdziwej skórze. Z powodów bezpieczeństwa nasi wyżsi funkcjonariusze powinni używać do służbowych wyjazdów wozów Firmy, a jedyny samochód z szoferem był do dyspozycji Dyrektora Generalnego, lecz Bret Rensselaer nic sobie z tego nie robił. Rezydencja w dzielnicy Belgravia, jaką jego rodzina utrzymywała w Londynie jeszcze od czasów sprzed I wojny światowej, miała komplet służby i samochodów. Gdy Bret został na stałe w londyńskiej Centrali, nie można się go było doprosić w żaden sposób o zmianę tego wypieszczonego stylu życia i jeżdżenia osobiście jakimś wydziałowym samochodem, stosownym do jego rangi i starszeństwa.

- No to jesteśmy - powiedział Bret.

Właśnie skończył czytać zapis ze swoich poprzednich rozmów ze Stinnesem i włożył kartki maszynopisu z powrotem do teczki. Czytanie nie wprawiło go w dobry nastrój.

Berwick House, wspaniała, stara rezydencja z czerwonej cegły, został zbudowany na długo przedtem, nim ten materiał budowlany zaczął kojarzyć się z nowymi i niczym nie wyróżniającymi się prowincjonalnymi college'ami. Była to osiemnastowieczna próba naśladownictwa siedzib wiejskich Wrena. Lecz urzędnika z Biura Wojny, który całą posiadłość zasekwestrował tuż po rozpoczęciu II wojny światowej, niewątpliwie zafascynowała fosa otaczająca cały budynek.

Dom był niewidoczny od strony drogi: dawał się ujrzeć dopiero wtedy, gdy samochód skręcił przy wyniszczonym pogodą znaku, który informował, że Berwick House był ośrodkiem szkoleniowym Ministerstwa Rent i Emerytur. Sądzę, że była to najmniej atrakcyjna instytucja, jaka mogła tutejszym lokatorom przyjść do głowy. Przejechaliśmy bramę zewnętrzną, a następnie wjechaliśmy na kawałek terenu pokrytego żwirem, gdzie były urządzenia detekcyjne do sprawdzania każdego pojazdu. Wiedzieli, że mamy przyjechać, i znali dobrze błyszczący czarny bentley Breta, ale odbyli całą procedurę formalną. Ted Riley zechciał nawet zobaczyć nasze i szofera Alberta dokumenty. Ted to był starszy człowiek, który dawno temu pracował u mojego ojca. Znałem go dobrze, ale on nie dał znaku, że mnie poznaje.

- Hello, Ted.

- Dzień dobry panu.

Nie był człowiekiem nadużywającym starych przyjaźni. Po wojnie Ted był kapitanem Korpusu Wywiadowczego w Berlinie, ale uwikłał się w układy z czarnym rynkiem na Potsdamerplatz i ojciec mój przeniósł go gdzie indziej; ku jego niewygodzie stało się to bardzo szybko. Od czasu do czasu Ted dawał mojej matce całe westfalskie szynki i gdy mój ojciec odkrył, że ma on do czynienia z czarnym rynkiem, wpadł w szal, ponieważ myślał, że była to próba wciągnięcia i nas. Teraz Ted miał siwiuteńkie włosy, ale nadal był tym samym panem, który oddawał mi swoją rację czekolady co tydzień, kiedy byłem mały. Ted Riley przepuścił nas machnięciem dłoni. Drugi człowiek otworzył elektrycznie sterowaną bramę, a trzeci wykonał telefon do strażniczej budki przy samym budynku.

- To chamy - powiedział Bret, tak jakby jego definicja była warta zanotowania i konsultowania w czasie przyszłych wizyt.

- Mają pieską robotę, Bret - powiedziałem.

- Powinni tutaj mieć policję z Ministerstwa Obrony. Ci ludzie to kupa gnoju. Sprawdzają. Znają mnie przecież dostatecznie.

- Policja z Ministerstwa Obrony wygląda jak każda policja, Bret. Cała rzecz w

tym, że ci ludzie noszą cywilne ubrania i wyglądają jak cywile.

- No pewnie, cała ta czereda wygląda jak cywile - rzekł z przekorą Bret. - Wyglądają jak cywile w podeszłym wieku. Czy wyobrażasz sobie, jak daliby sobie radę w przypadku prawdziwego włamania do tego miejsca?

- Ale przynajmniej można na nich polegać i nie zwracają uwagi miejscowej ludności. Są starannie dobrani, a Ted Riley, ten kierujący nimi, to człowiek, za którego postawiłbym życie. Sprawą priorytetową, numer jeden tutaj, jest posiadanie na straży ludzi, którzy nie przyjmują łapówek od dziennikarzy i nie przynoszą ginu przetrzymywanym.

Kiedy nie odpowiadał, dodałem:

- Nie mają w planach odpierania ataku dywizji pancерnej.

- Cieszę się, że mi to powiedziałeś - dorzucił sarkastycznie Bret. - Teraz czuję się znacznie lepiej.

Patrzył przez okno na półokrągłe baraki z blachy, w których mieszkali strażnicy, i na szare budynki z betonowych płyt używane czasami do odbywania konferencji. Krajobraz był nagi i w kolorze brązu, tak że miejscami widać było druty i urządzenia alarmowe.

Przejechaliśmy przez stary most nad fosą i skręciliśmy na dziedziniec. Teraz dopiero dawało się zauważyć, jaki był stan faktyczny budynku. Przypominało to dekoracje do filmu: wschodnie skrzydło było niczym więcej, niż fasadą podpartą wielkimi drewnianymi balami. Ta strona budynku była wypalona doszczętnie przez zapalające bomby zrzucone przez pilota Luftwaffe, który rozpaczliwie próbował nabrać wysokości. Nie udało się i heinkel rozbił się sześć mil dalej, po drodze utracając kawałek szpiczastej wieży wiejskiego kościoła.

Londyńskie Centrum Przesłuchań było unowocześnioną wersją tego, co miało nazwę „Londyńska Dzielnicowa Buda”, miejscem, gdzie ważni naziści byli przetrzymywani przez Komisję do Badań Zbrodni Wojennych. Ślady tamtych dni nie zniknęły całkowicie: pozostały resztki starych wojennych plakatów oraz można było zaobserwować dziwne, kreślone na kształt pisma runicznego znaki, którymi więźniowie kontrolowali upływ czasu.

Wyżsi przedstawiciele LCP przybyli tam przed nami. Ich obecność bez wątplenia dawała się wytłumaczyć faktem, że obecnie Bret przejął obowiązki łącznikowe. W czasie moich poprzednich wizyt w Berwick House chodziłem sobie samopas z rzucanym od niechcienia „cześć” czy wymaganym podpisem, ale Bret był

na tyle ważną osobistością dla gubernatora i wicegubernatora, aby uznali za konieczne zjawić się na miejscu.

Gubernator, w połowie gdzieś między trzydziestką a czterdziestką, był olbrzymem z masywną szczęką, czarnymi włosami przylizanymi do czaszki i starannie przyciętym wąsikiem, w stylu Rudolfa Valentino, gdy ten odgrywał bandziora. By dokończyć opis - palił papierosa w bursztynowej cygarniczce i nosił, podobnie jak jego wice, czarne spodnie, białą koszulę i zwykły czarny krawat. Odniosłem wrażenie, że życzyliby sobie widzieć swój personel w uniformach, zwłaszcza z dużą ilością złocień na epoletach.

Biuro gubernatora było w sumie dużym, wyłożonym boazerią pokojem z wygodnymi fotelami i potężnym kominkiem. Jedyne uzasadnienie dla nazywania tego biurem było małe biurko w rogu razem z dwiema szafkami na akta i pudełkiem na małe karty rejestracyjne na parapecie okiennym. Zaproponował nam drinka i chciał, abyśmy usiedli i pogadali sobie, ale Bret odmówił.

- Spójrzmy, co tu mamy - rzekł gubernator, sięgając po kartotekę i dotykając końcami palców poszczególnych kart, jak gdyby Stinnes nie był jedyną osobą trzymaną przez nich. - Sadoff... o, mamy, Sadoff Nikołaj. - Wyjął z pudełka zdjęcie Stinnesa i rzucił nim o blat biurka z miną wygrywającego w pokera. Na zdjęciu Stinnes patrzył w aparat i trzymał na piersi deseczkę z numerem.

- On zwykle mówi o sobie, że jest Stinnesem - powiedziałem. Gubernator spojrział do góry, jakby widział mnie po raz pierwszy.

- My tutaj w Centrum nie pozwalamy ludziom na rozwijanie swoich fantazji. Tylko im pozwól używać pseudonimu, a wnet zaczynają uważać, że mogą błagować na całego.

Położył papierosa i wyciągnął kartę z pudełka na tyle, że mógł odczytać na niej odręczne pismo, ale nie wyjął jej całkowicie. Przypuszczam, że uczymy się takich malutkich sztuczek, gdy życie upływa nam na liczeniu spinaczy kancelaryjnych.

- Kiedy był ostatnio przesłuchiwany? - zapytał Bret.

- Niech się kisi we własnym sosie przez parę dni - powiedział gubernator.

Uśmiechnął się. - Zaczął być wielce zmęczony.

- A co takiego zrobił? - dopytywał się Bret.

Gubernator popatrzył na swojego brodatego zastępcę, który rzekł:

- Krzyczał na mnie, kiedy mu zabrałem parę książek. Dziecinny przejaw

temperamentu, nic więcej. Ale musi wiedzieć, kto tu rządzi.

- Czy jest w celi? - zapytałem.

- Jest ograniczony w ruchu do swojego pokoju - powiedział gubernator.

- Chcemy uzyskać od niego informacje - wyjaśniłem cierpliwie. - Spiesz się nam.

- Sprawa życia i śmierci, co? - gubernator zapytał z niezbyt skrywanym odcieniem sarkazmu w głosie.

- Tak jest - skwitowałem, odpowiadając w ten sam sposób. Znowu zapalił papierosa w bursztynowej cygarniczce. - Z wami to tak zawsze, chłopcy - rzekł gubernator uśmiechając się jak dorosły w czasie zabawy z dziećmi. - Ale tu niczego nie można robić zbyt szybko. Pierwsza sprawa, to ustalenie stosunku między personelem a więźniem. Dopiero wtedy można przejść do sedna sprawy.

Usiadł na krześle o wiele za małym dla niego i skrzyżował nogi.

- Spróbuję to zapamiętać - powiedziałem. Nie patrzył na mnie; spojrzął na Breta i rzekł:

- Jeśli chcecie się z nim zobaczyć, to możecie, ale wolałbym, żeby nie opuszczał swego pokoju.

- I jeszcze to badanie medyczne - brodaty zastępca przypomniał swojemu bossowi.

- Ach, tak - głos gubernatora był smutny, gdy odstawiał karty i fotografię. - Dwukrotnie odmówił lekarzowi poddania się badaniu. Tak nie może być. Gdyby coś mu się stało, to zrobiłoby się piekło, a wy, chłopcy, zwalilibyście winę na mnie. - Duży uśmiech. - I mielibyście rację.

- I w rezultacie czym się skończyło? - spytał Bret.

- Lekarz odłożył badanie, chyba że Sadoff będzie miał na to ochotę. Tak więc przesunęliśmy to do przyszłego tygodnia. Nadal więc nic nie wiemy o jego wzroście, wadze, i tak dalej.

Popatrzył na nas. Chyba wyglądaliśmy na zakłopotanych. Gubernator powiedział:

- To u nas nic nowego. Doświadczaliśmy tego nie jeden raz. Na przyszły tydzień będzie chętny, nie ma obaw.

- Wygląda na to, że przerodziło się to w uporczywe zmagania na przetrzymanie - powiedział Bret.

- Nie wdaję się w żadne zmagania - rzekł gubernator z uśmiechem. - Ja tu

jestem panem. Moi lokatorzy robią to, co ja mówię. I z pewnością nie pozwolę żadnemu z nich uniknąć badania lekarskiego.

- Porozmawiamy sobie z nim - powiedział Bret.
- Pójdę z wami - rzekł gubernator unosząc się z krzesła.
- Nie ma potrzeby - powiedział Bret.
- Obawiam się, że jest - odparł gubernator.

Widziałem, że Bret staje się coraz bardziej zły, więc powiedziałem do niego:

- Nie wiem, czy gubernator jest dostatecznie sprawdzony, biorąc pod uwagę sprawę do omówienia.

Nie było oczywiście żadnej szczególnej sprawy do omówienia, lecz Bret pojął w lot, o co chodzi.

- To rzeczywiście prawda - powiedział. Odwrócił się do gubernatora i rzekł:

- Lepiej trzymajmy się przepisów, gubernatorze. Z tego, co pan mówi, wynika, że Stinnes mógłby złożyć zażalenie na piśmie w tej czy innej sprawie. Jeśli to się stanie, to ja już postaram się, aby pan był całkowicie czysty.

- Czysty? - powiedział gubernator niechętnie.

Lecz kiedy Bret nie dodał słowa wyjaśnienia, usiadł ciężko, przesunął trochę papierów i rzekł:

- Mam tu jeszcze dużo pracy. Jeśli jesteście całkowicie pewni, że dacie sobie sami radę, to proszę bardzo.

Wszedłem sam. Erich Stinnes wyglądał na zadowolonego - na tyle przynajmniej, na ile ktokolwiek przymknięty w Berwick House i pozostawiony na łasce gubernatora i jego zastępcy mógł wyglądać na zadowolonego. Wiedziałem, który pokój wybrali dla niego. Był na drugim piętrze, ściany w kolorze kremowym i zwykle, metalowe łóżko oraz zdjęcie jakiejś bitwy morskiej na ścianie. To był pokój, w którym były mikrofony. A lustro nad zlewem można było ustawić tak, aby kamera w sąsiednim pokoju mogła przez nie filmować.

Zamienili mu lekki bawełniany garnitur, jaki nosił w Meksyku, na angielski, trochę cięższy. Nie leżał co prawda na nim idealnie, ale wyglądał dobrze. W jego okularach odbiło się światło z okna, gdy obrócił się ku mnie.

- O, to ty - powiedział, bez emocji, która by mogła ujawnić, czy ucieszył się, czy też był rozczarowany moim widokiem.

Stał blisko okna coś szkicując. Stinnes miał czterdzieści lat, chuda, koścista figura o słowiańskich rysach i okrągłe w złotych oprawkach okulary, za którymi

błyszczały bystre, inteligentne oczy, czyniąc z bezbarwnej twarzy twarde oblicze. Można go było wziąć za roztargnionego profesora, lecz Sadoff - który wolał używać swego operacyjnego nazwiska Stinnes - był parę tygodni temu majorem KGB. Dwukrotnie żonaty, uciekł z dorosłym synem starającym się o przyjęcie na Uniwersytet Moskiewski, w ten sposób pozbywając się uciążliwej żony i zgarniając ćwierć miliona dolarów za swoje usługi. Dla takiego człowieka czas nie odgrywał większej roli; był jeszcze raczej młody i był Rosjaninem. Dureń tylko mógł myśleć, że „kiszanie się we własnym sosie przez parę dni” będzie miało na niego jakikolwiek Wpływ. Nigdy nie widziałem go bardziej zrelaksowanego.

Podszedłem obejrzyć jego rysunek. Musiał chyba spędzać większość godzin dziennych przy oknie. Był tam egzemplarz Reader's Digest: „Księga ptaków brytyjskich” z zaznaczonymi skrawkami papieru stronicami. Zeszyt szkolny cały był wypełniony jego ostrym pismem. Pilnie odnotowywał ptaki, które zaobserwował.

Książka do identyfikacji ptaków była pierwszą rzeczą, o jaką poprosił po przybyciu do Berwick House. Poprosił również o lornetkę, ale tego mu odmówiono. Odbyla się pewna dyskusja o tym, czy ta obserwacja ptaków była czymś autentycznym, czy Erich miał inny powód, dla którego pragnął lornetki. Jeśli było to udawane, to niewątpliwie poświęcał temu zajęciu wiele czasu i energii. Były tam także szkice ptaków i uwagi o ich śpiewaniu.

Lecz jego obserwacje nie ograniczały się tylko do ornitologii. Przypiął kawałek papieru do ruchomej półki, którą oparł o ramę okienną. Powstała z tego prymitywna sztaluga, tak że mógł rysować krajobraz widziany z jego okna. Był to jakiś brązowy papier do pakowania, więc żeby coś narysować, używał ogryzka starego ołówka i wiecznego pióra.

- Nie wiedziałem, że jesteś artystą, Erich... perspektywa wygląda znakomicie. Chociaż troszkę drzewa ci się chwieją.

- Drzewa zawsze sprawiają mi kłopot - przyznał. - Nagie są dość łatwe, ale mam trudności z iglakami. - Z namysłem dodał parę pociągnięć do linii drzew okalających wzgórze za wsią. - Podoba ci się? - zapytał, wskazując ręką rysunek, ale nie odrywając od niego wzroku.

- Mnie, bardzo - powiedziałem - ale tym tam na dole nie będzie się podobał.

- Nie?

- Będą myśleć, że kompromitujesz system bezpieczeństwa sporządzając rysunek fosy i dziedzińca, i murów, i tego co jest za nimi.



- No to dlaczego mnie umieścili na drugim piętrze? Jak nie chcecie, abym patrzył ponad murem, to dlaczego tu mnie lokujecie?

- Nie wiem, Erich. To nie mój pomysł, żeby cię tu trzymać.

- Ty umieściłbyś mnie w czterogwiazdkowym hotelu, jak sądzę?

- Coś na kształt tego - powiedziałem. Wzruszył ramionami, aby pokazać, że nie wierzy mi.

- Tu jest całkiem dobrze. Jedzenie dobre, pokój ciepły i mogę brać tyle gorących kąpiel, ile tylko zechcę. To jest to, czego oczekiwałem...

Nie pasowało to do słów Breta o Stinnesie i jego zażaleniach. Bez wstępu powiedziałem:

- Zwolnili sekretarza. To było polityczne: Bonn. Mielśmy dość dowodów rzeczowych, ale decyzja była polityczna, aby go zwolnić.

Zdjęliśmy też kuriera. Najpierw sądziłem, że mamy oficera operacyjnego, ale to był po prostu kurier.

- Jak się nazywa? - zagadnął Stinnes, nadal patrząc na swój rysunek krajobrazu.

- Miller... kobieta. Znasz ją?

- Kiedyś ją spotkałem. Członek partii, fanatyczka. Nie lubię używać takich ludzi. - Podniósł ołówek, żeby mi pokazać. - Masz scyzoryk?

- Radiooperatorka - podpowiedziałem mu.

Zastanawiałem się, czy chciał zachować jakieś fragmenty informacji po to, abym poczuł się sprytny wydobywając je od niego. Z całą pewnością nie świadczyło to o wewnętrznym oporze, kiedy mówił mi o reszcie tego, co wiedział.

- To prawda. Przyjechała na kurs do Poczdamu. Właśnie tam ją spotkałem. Nie miała pojęcia, że jestem ze sztabu, nie muszę dodawać.

- Działała z Londynu, prawdopodobnie zajmując się materiałami mojej żony - powiedziałem.

- Jesteś pewny? - Wziął mój szwajcarski scyzoryk i starannie zatemperował ołówek. - Jak używam żyletki, to ona potem nie nadaje się do golenia. Dają tylko jedną żyletkę na tydzień i zawsze zabierają starą.

- To zgadywanka - powiedziałem - Zapuść brodę.

- Chyba dobrze zgadłeś. W naszym systemie łączność jest całkowicie oddzielona od operacji, więc nie mogę ci odpowiedzieć na sto procent.

Oddał mi scyzoryk i wypróbował ołówek na krawędzi swego obrazka.

Rysował nim to i owo, żeby wodząc w określony sposób ołówkiem otrzymać szczególnie ostrą kreskę. I wtedy przymierzył się raz jeszcze do szkicowania drzew.

- Mając dwa kodowe nazwiska? - zastanawiałem się. - Jeden agent z dwoma kodami? Czy to możliwe?

Stinnes przestał bawić się swoim rysunkiem i z namysłem spojrział na mnie, jak gdyby próbując zrozumieć, o co mi chodziło.

- W łączności, oczywiście, ustalają prawa sami dla siebie. Mają różne zwariowane pomysły, ale nigdy nie słyszałem o czymś takim.

- Materiały napływały również wtedy, gdy moja żona uciekła - powiedziałem.

Uśmiechnął się. Był to uśmiech ponurawy, nie obejmujący zimnych oczu.-  
Właśnie tak.

Podtrzymałem czas terażniejszy, ponieważ nie chciałem, aby dowiedział się, że ta kobieta była dla nas stracona.

- Ona jest szalona. - Popatrzył na swój rysunek ponownie. Nic nie mówiłem. Zdawałem sobie sprawę, że rozmyślał nad całością spraw. - Może miała więcej materiału, ale operatorzy nigdy nie wiedzą, co liczy się jako jakościowo najlepsze, a co jako zwykle śmiecie. Ta Miller oszukuje was. Co ona chce od was dostać?

Wyrysował jedno drzewo trochę wyższe. Wyglądało lepiej. Potem zrobił mur w ciemniejszym odcieniu.

- Pomyśl, Erich. To ważne. Popatrzył na mnie.

- Ważne? Chcesz dać sobie wmówić, że jeszcze jeden z naszych siedzi głęboko w waszej londyńskiej Centrali?

- Chcę się dowiedzieć - powiedziałem.

- Chcesz zrobić sobie nazwisko. O to ci chodzi?

Spojrział mi w oczy i wygładził rzadkie włosy na wierzchu głowy. Były bardzo przerzedzone i w świetle z okna wyglądały jak aureola.

- Częściowo się zgadza - przyznałem.

Wpychał ostry czubek ołówka w dłoń, tak jak saper, który uważnie szuka zagrzebanych min.

- Wiedziałbym o tym, gdyby był inny dobrze ulokowany agent w londyńskiej Centrali.

- A powiedzmy, że Millerowa miała bezpośredni kontakt z Moskwą.

- To całkiem możliwe. Ale zostałem o tym powiadomiony. Byłem starszym rangą w Berlinie. Wiedziałbym. - Przestał bawić się ołówkiem i włożył go do górnej

kieszonki. - Ta kobieta o nazwisku Miller stara się skłonić was do chodzenia w kółko. Radzę, żebyście pominęli wszystkie sugestie o innym agencie KGB w Londynie. O to właśnie chodziłoby Moskwie, żebyście się nad tym zaczęli zastanawiać.

- Masz dość do czytania?

- Mam Biblię - powiedział. - Dali mi Biblię.

- To czytasz Biblię?

- Zawsze mnie interesowała, a czytanie po angielsku pomaga przy nauce.

Zaczynam uważać, że chrześcijaństwo ma wiele wspólnego z marksizmem-leninizmem.

- Na przykład?

- Bóg to materializm dialektyczny; Chrystus to Karol Marks; Kościół to Partia, wyborcy to proletariatus, a Drugie Nadejście to Rewolucja. - Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

- A jak do tego wszystkiego pasuje piekło i niebo? - zapytałem. Pomyślał chwilę.

- Niebo to socjalistyczne tysiąclecie, naturalnie. Sądzę, że piekło musi być karą za kapitalizm.

- Brawo, Erich - powiedziałem.

- Czy wiesz, że byłem w Sekcji 44?

Sekcja 44 była Biurem do spraw Wyznań KGB.

- To było w twoich danych - zauważyłem. - W złym momencie wyszedłeś, Erich.

- Z racji Polski, o to ci chodzi? Sekcją 44 kierował w tamtych dniach generał. Aleja nigdy nie dostałbym takiej promocji. Wpuściliby mniej znających się na rzeczy ludzi z góry. Gdybym został, byłbym nadal porucznikiem. Tak się rzeczy mają w Związku Sowieckim.

- Tak się rzeczy mają na całym świecie - powiedziałem. - No więc co, Biblia ci wystarcza?

- Kilka dodatkowych książek byłoby mile widziane.

- Zobaczą, co będę mógł zrobić - obiecałem. - I postaram się, żeby cię przeniesiono do jakiegoś wygodniejszego miejsca, ale to może potrwać.

Wyjąłem z kieszeni pięć małych paczek *cheroots*. Miały fatalną woń i dlatego nie chciałem, żeby zapalił nawet jednego przed moim wyjściem.

- Która godzina?

Pokazał obie dłonie. Nie zrobił tego z humorem, po prostu pogardliwe kpiarstwo.

- Czy musiałeś mówić mu, że Bonn uwolniło tego gościa? - spytał Bret. Stał w pokoju kontrolnym, mając słuchawki w ręku. - To do niczego z tym utrzymaniem tajemnicy, Bernard. Mieliśmy wiele kłopotu, żeby duże dzienniki nie były w to wciągnięte.

Pokoik był mały, słabo oświetlony i miał zaledwie tyle miejsca, że starczało akurat na sprzęt radiowy i telewizyjny, chociaż dzisiaj nie korzystano z niczego oprócz mikrofonów podłączonych do drugiego Piętra.

- Może starałeś się, ale każdy reporter w mieście wie o tym, więc me myśl, że Moskwa nie główkuje. To jest ruch dwustronny, Bret. Stinnes musi wyczuwać, że ma jakąś rolę w tym, co się dzieje.

- Powinieneś starać się bardziej. O to mi chodziło, żebyś Przyspieszył przesłuchania. - Zrobię to, ale nie jestem śledczym i nie potrafię odkręcić tygodni głupoty w ramach jednej krótkiej rozmowy, Bret - powiedziałem. - Powoli, powoli. Najpierw wyprowadzę go stąd i ustalę warunki pracy.

- Nie warto było robić tej wycieczki tutaj - narzekał Bret, odkładając słuchawki na półkę i wyłączając światło. - Mogłem dziś po południu tyle zrobić.

- Mówiłem ci, ale ty nalegałeś na swój przyjazd ze mną.

- Bo nigdy nie wiem, z czym ty wyskoczysz mając wolną rękę. Jedyne światło padało z jakiegoś ponurego okienka i twarz Breta była w pełnym cieniu. Włożył obie ręce w kieszenie spodni, tak że poły jego palta z grubej wełny były rozchylone. Ta agresywna postawa, ubiór i oświetlenie nadawały mu wygląd jak ze zdjęcia w starym gangsterskim filmie.

- Zastanawia mnie w takim razie, dlaczego mnie wybrałeś do tej pracy - powiedziałem.

To, co powiedziałem, to była prawda, najprawdziwsza prawda. Popatrzył na mnie, jak gdyby decydując, czy warto udzielać adekwatnej odpowiedzi. Potem się zdecydował.

- Nikogo w Sekcji Niemieckiej nie mamy z takim doświadczeniem i praktyką. Jesteś wściekle inteligentny, mimo braków w wykształceniu, co powoduje, że stawiasz się. Jeśli chodzi o większość spraw Sekcji Niemieckiej, masz własne źródła informacji i często zdobywasz materiały, jakich nikt nigdy by nie miał. Jesteś bezpośredni. Co ci przyjdzie do głowy, to twoja rzecz, i piszesz raporty mając gdzieś,

czy ktoś je przeczyta. To mi się podoba.

Przerwał i z lekka rozprostował nogę, jakby bolące kolano dawało znać o sobie, po czym dodał:

- Az drugiej strony, stawiasz siebie i swoje własne problemy na pierwszym miejscu przed Wydziałem. Jesteś podle nieokrzesany i twoich sarkastycznych uwag, w odróżnieniu od innych, nie odbieram jako zabawnych. Twoje nieposłuszeństwo graniczy z arogancją. Jesteś samolubny, zwariowany i nigdy nie przestajesz narzekać.

- Chyba czytasz moje listy, Bret - powiedziałem. Ciekawostką było to, że Bret nie skomentował tego, co Stinnes powiedział o Millerowej lub też o mojej sugestii, że KGB miało innego agenta wewnątrz londyńskiej Centrali. Może pomyślał, że to mój sposób na rozpracowanie Stinnesa.

## **Rozdział XI**

Muzeum Nauki było spokojne tego ranka. Była to sobota. Całe bataliony dzieci, chichoczących, żujących gumę, gadających i bijących się, pędzonych przez nauczycieli o szklanym wzroku, tak wszędobyłskie tu w dni powszednie, nie mają ochoty na zwiedzanie tych instytucji w czasie, który jest ich czasem. Szczególnie gdy w telewizji jest mecz piłki nożnej.

Byłem z dziećmi i Glorią. Stało się to już sobotnią praktyką: wizyta w jednym z muzeów na South Kensington, po której jedliśmy lunch w restauracji Maria na Brompton Road. Potem szła do mnie do domu i zostawała aż do wieczora w niedzielę, a czasami do poniedziałkowego ranka.

W galerii lotnictwa na ostatnim piętrze Muzeum Nauki było pusto. Staliśmy na wysoko położonym pomoście pozwalającym nam przebywać wśród starych samolotów zawieszonych pod dachem. Dzieci pobiegły do przodu, aby przyjrzeć się spitfire'owi, zostawiając mnie i Glorię ze starym zakurczonym vickers vimym, który wykonał pierwszy nieprzerwany lot przez Atlantyk. Nie rozmawialiśmy o pracy, ale nagle powiedziałem:

- Czy znasz te formularze, które oni wypełniają, gdy ktoś chce się dostać do Kancelarii Gabinetu i spytać o coś? Bładozielone formularze w linię z małym okienkiem na pieczętkę. Wiesz, o co mi chodzi?

- Tak - odpowiedziała.

Wychyliła się przez balkon na pomoście, usiłując dojrzeć, gdzie były dzieci.

- Czy miałaś kiedykolwiek do czynienia z kimś z Kancelarii Gabinetu? Czy

znasz tam kogoś?

- Od czasu do czasu muszę mieć do czynienia z kimś spośród nich - powiedziała. Nadal zwracała jedynie pobieżną uwagę na naszą rozmowę. Podniosła słuchawkę aparatu z nagraniem informacji o wystawie i musiałem poczekać, aż skończy słuchać. Potem podała słuchawkę mnie, ale ja potrząsnąłem przecząco głową.

- Będzie padało - rzekła. - Powinam była zabrać parasolkę. Dopiero co była u fryzjera, a deszcz jest przyjacielem fryzjerów.

Popatrzyłem przez duże okno. Widać stąd było szczyty dachów zachodniego Londynu. Chmury miały ciemnoszary kolor, tak że wewnątrz sali było ponurawo. Olbrzymie samoloty rzucały ciemne cienie na eksponaty stojące poniżej.

Kiedy odłożyła słuchawkę, odezwałem się:

- Czy znasz kogoś w Kancelarii Gabinetu? Czy znasz kogoś, z kim mógłbym porozmawiać bez oficjalnego pozwolenia?

- Chcesz tam iść i zadać parę pytań? - spytała. Była teraz czujna i obracając się przyjrzała się mej twarzy. - Myślę, że tak, jeśli tego chcesz.

Uśmiechnęła się. Ta jej natychmiastowa radosna ochoczość sprawiła, że nabrałem poczucia winy.

- Nie, daruj sobie - powiedziałem.

Usłyszałem dzieci skaczące po schodach na dół po przeciwległej stronie pomostu i ujrzałem, jak wynurzają się spod niego. Billy natychmiast ruszył w stronę lotniczych silników. Zawsze pociągały go silniki, nawet gdy był jeszcze mały.

- Naturalnie, że to zrobię. - Gloria wsunęła ramiona pod moje i przycisnęła mnie mocno. - Popatrz na mnie, kochanie. Zrobię to dla ciebie. Nic łatwiejszego w świecie.

- Nie, to głupi pomysł - powiedziałem, odsuwając się od niej. - Jeśli muszę mieć ten papierek, to może to się skończyć wyrzuceniem cię z pracy.

Kancelaria Gabinetu była najbardziej czułym organem rządowym. Stamtąd nas kontrolowano. Gdy Dyrektor Generalny szedł na dywanik - a czasami tak się zdarzało - to stawał na nim w Kancelarii Gabinetu.

- Dlaczego nie załatwić tego zwykłą drogą służbową? - zapytała.

Dotknęła swych jasnoblonde włosów. Niebo jeszcze bardziej pociemniało i zaczęło padać; słychać było krople deszczu bębniące o szklane płyty dachu.

- Może zapomnijmy o całej sprawie.

- Nie ma potrzeby się złościć. Powiedziałam, że zrobię to. Lecz powiedz mi,

po co?

- Nie pora i miejsce na to... i w każdym razie nie chcę o tym rozmawiać.

Zapomnij.

Objęła moje ramię.

- Powiedz mi po co, Bernard. Sam chciałbyś wiedzieć po co, gdybyś ty miał załatwić to komuś innemu, prawda?

Mówiła rozsądnie. Lecz było piesko trudno wyjaśnić wszystko bez pozostawienia wrażenia gadającego lunatyka.

- Jest pewien techniczny materiał wskazujący na możliwość istnienia w naszym Departamencie innej penetracji KGB.

Roześmiała się. To był uroczy śmiech. Jej śmiech wystarczał, żebym się znowu w niej zakochał, nawet jeśli było w nim tyle drwiny.

- Jaka mowa wydziałowa. Nigdy nie słyszałam, żebyś używał całego tego żargonu. Brzmisz jak pan Cruyer. Czy to ma być bardzo pompatycznym sposobem powiedzenia, że kobieta, którą pojechałeś zobaczyć w Berlinie, powiedziała, że mamy wtyczkę w biurze?

- Tak, to jest pompatyczny sposób wyrażenia właśnie tego.

- I ty jej wierzysz, Bernard? Wtyczka? Kto to może być, jak sądzisz?

- Nie wierzę jej, ale trzeba to sprawdzić.

- No to powiedz to panu Cruyerowi... O Boże, chyba nie sądzisz, że to Dicky Cruyer, prawda?

Oczywiście starałem się zmniejszyć wrażenie. - Kobieta ta nie jest wysoko postawionym źródłem informacji. Jest po prostu niskiej rangi operatorką radiową. Jest to kwestia zakodowanych słów i procedur radiowych. Nawet jeśli powiedziała nam całą prawdę, to i tak z łatwością może być tu inne wyjaśnienie.

Gloria nadal patrzyła na mnie i czekała na odpowiedź.

- Nie, to nie Dicky - powiedziałem. - Ale nie ma sensu mówić mu o tym.

Dicky nie chce mieć z tym do czynienia. Wspomniałem mu o prawie, ale on nie chce o tym słyszeć.

Nie mogła, naturalnie, oprzeć się pokusie zabawy w szpiegów. A kto potrafi? Ja nie.

- A jeśli jego obojętność jest po prostu maską - powiedziała jak dziecko odgadujące odpowiedź na zagadkę.

- Nie. Jest zbyt zajęty swoimi klubami, lunchami na koszt Firmy i

przyjaciółkami, aby wykonywać swoją pracę, nie mówiąc już o roli podwójnego.

- No, ale jeśli...?

- Słuchaj, serce moje. Ile razy zanosilaś stertę roboty do gabinetu Dicky'ego, a on od razu kazał zanieść to prosto do mnie, nawet bez rzucenia okiem na to, co tam było?- Rozumiem, o co ci chodzi - powiedziała.

- Nie bądź taka rozczarowana - rzekłem. - Nie, to nie jest Dicky. Możliwe, że nikt nie jest.

- Ale gdyby ktoś taki był, to ten ktoś byłby w Sekcji Niemieckiej?

- Tak sędzę. Była szybka.

- Więc to Bret.

- Najprawdopodobniej to nikt nie jest.

- Ale przejmujesz się Bretem. Twoja prośba o pozwolenie udania się do Kancelarii Gabinetu musiałaby przejść przez Breta. To właśnie jego chcesz uniknąć, prawda?

- Jak na razie, tak.

- Ale to jest absurd, kochanie. Bret jest... no, on jest...

- On jest taki prawy, wiem. Tak wszyscy mówią. Niedobrze mi się robi, gdy słucham, jaki on jest prawy.

- Czy masz jeszcze coś wskazującego na Breta?

- Parę głupich drobiazgów. Pewien człowiek w Berlinie sądzi, że gdy Bret był tam wiele lat temu, to rozmontowywał siatki, jakie posyłałiśmy do strefy rosyjskiej.

- A robił to?

- Nie wiem.

Objęła mnie i oparła głowę o mój policzek.

- Nie bądź głupi, kochanie - szepnęła. - Za dobrze cię znam. Ze dwa razy sprawdzałaś to w archiwach. I byleś tam nieledwie wczoraj.

- Oficjalne wyjaśnienie brzmi, że Bret przyspieszał program denazifikacji zgodnie z porozumieniami anglo-amerykańskimi z tego okresu.

- I czy wierzysz, że to właśnie Bret robił?

- Breta wysłano do Berlina dla wykonania roboty. Nie mogę znaleźć dowodów na to, że robił coś złego.

- Ale na nim pełno grudek błota?

- To prawda - odpowiedziałem.

- A teraz coś jeszcze - dodała. - Większa grudka błota?



- Dlaczego tak uważasz?

- Ponieważ, jak dotąd, nie ma nic takiego, co wyjaśniałoby potrzebę twojej rozmowy z personelem Kancelarii Gabinetu.

- Tak - odrzekłem. - Pojawiło się coś innego. Mam u siebie jeden z naszych tajnych dokumentów... Sugestia jest taka, że przyszło to do nas z Moskwy.

- I ty to masz?

- Fotokopię - powiedziałem.

- I nikomu w biurze o tym nie powiedziałaś? To strasznie niebezpieczne, Bernard. Nawet ja wiem, że możesz za to iść do więzienia.

- A komu mam powiedzieć?

- I to wskazuje na Breta?

- Nawet jeśli był to przeciek, to niekoniecznie musi to być ktoś z personelu.

Tracimy różne papiery przez kradzież albo wypadki. Materiał dostaje się w niepowołane ręce i ląduje po drugiej stronie.

- Gdybyś coś znalazł przeciw Bretowi, to nietrudno byłoby przekonać Morgana... on wykorzystałby każdy drobiazg, żeby przypiec Bretowi. On go nienawidzi. Mieli niedawno sprzeczkę. Wiesz o tym?

- Tak, wiem.

- Morgan postanowił obalić Breta Rensselaera.

- Nie chcę w tym pomagać Morganowi. Ale muszę podążać tym tropem, niezależnie dokąd on prowadzi. Nie podoba mi się, gdy dokumenty z Gabinetu wysyłane są do gazet, i nie podoba mi się również, gdy wysyłane są bezpośrednio do Moskwy.

- A czego chcesz się dowiedzieć?

- Chcę porozmawiać z kimś, kto wie, jak pracuje Kancelaria Gabinetu. Z kimś, kto wie, jak krążą ich papiery.

- Znam pewną panią w Kancelarii Parlamentu. Jest miła i zna wszystkich. Nie będzie żadnego problemu. Ona może ci o tym wszystkim powiedzieć. Będzie z nią łatwiej niż z Kancelarią Gabinetu.

- Popatrz, jak Billy objaśnia Sally budowę silnika. Wygląda jak stary, co?

- Oczywiście, że nie - powiedziała. - Jak słodko te dzieciaki wyglądają razem.

- Nie możemy się spóźnić na lunch do Maria; o tej porze w sobotę robi się tam tłoczno.

- Spokojnie. Tobie Mario zawsze znajdzie miejsce - powiedziała. - Ale nie

jedz tyle tych *pappardelle*. Robisz się tłuściutki, kochanie.

To była tylko kwestia czasu. Chęć do reformowania mężczyzny jest tym, czemu nie potrafi się oprzeć żadna kobieta. Powiedziałem:

- *Pappardelle eon lepre* - mają to tylko w zimie. I na ogół dla spóźnialskich już nie ma.

- Czy powiedziałam „tłuściutki”? - rzekła. - Miałam na myśli „duży”, Bernard. Zjedz dwie porcje. Lubię moich mężczyzn kolosalnych.

Wymierzyłem jej żartobliwy cios, ale była przygotowana i uskoczyła.

Nadal padało, gdy wyszliśmy z Muzeum Nauki. Nie ma nigdy taksówek na Exhibition Road w sobotnich godzinach południowych; wszystkie są na West Endzie lub lotnisku, lub biorą sobie wolny dzień. Lokal Maria nie był daleko, ale zanim tam doszliśmy, wszyscy byliśmy przemoczeni.

Oczywiście Mario był na miejscu, śmiejąc się, krzycząc i robiąc mnóstwo rzeczy, których nie lubię, gdy szkolne dzieciaki je robią podczas wizyt w muzeach. Zawsze szliśmy coś zjeść do Maria; no, naturalnie, że to nie całkiem prawda - nie zawsze, ale często. Znałem Maria całe wieki - wszyscy w Londynie go znali - ale jego nowa restauracja została otworzona już po ucieczce Fiony. Nigdy z nią tam nie byłem; nie łączyła się dla mnie z przykrymi wspomnieniami. No i lubiłem Maria. I nigdy nie zapomnę tego razu, kiedy mały Billy zwymiotował na jego śliczną kafelkową posadzkę, a Mario śmiał się i nic sobie z tego nie robił. Tacy ludzie jak Mario nie rodzą się na kamieniu, a jeśli nawet tu i ówdzie zjawiają się, to nie prowadzą restauracji.

Dzieci zamówiły *spaghetti carbonara*, a następnie kurczaka. Było to ich ulubione danie. Gloria uważała, że miałem zły wpływ na ich sposób żywienia, ale zawsze jej odpowiadałem, że one nigdy nie dopominały się o sałatę, gdy ja ją właśnie jadłem.

Gdy zamówiłem *pappardelle*, Gloria powiedziała:

- Proszę mu dać dużą porcję, nie jadł od paru dni. Twarz Maria była nieprzenikniona, więc ja się odezwałem:

- Mario wie, że to nieprawda. Wczoraj byłem tu na lunchu z Dickym Cruyerem.

- Ty świntuchu - powiedziała Gloria. - Mówiłeś mi, że jesteś na diecie.

- Musiałem przyjść - tłumaczyłem się. - To była praca. I Dicky płacił.

Billy poszedł do toalety. Mario sprowadził z Meksyku niezwykle drogie

pisuary i Billy lubił je sprawdzać za każdym razem, kiedy tu był.

Sally odeszła z Mariem wybrać dla Glorii avocado. Sally uważała się za koneserkę w tej materii. Kiedy zostaliśmy sami, Gloria spytała:

- Czy Dicky Cruyer ma romans z twoją szwagierką?

- O ile wiem, to nie - powiedziałem prawdę, chociaż nie do końca, bo George powiedział mi, że możliwe, iż ona ma. - A dlaczego pytasz?

- Widziałam ich w restauracji w Soho tego wieczora, gdy ojciec zabrał mnie na kolację, aby wypytać, dlaczego nie sypiam w domu w czasie weekendów.

- To nie mogła być Tessa. Ona nie jada nigdzie indziej poza Savoyem.

- Nie rób sobie żartów. - Uśmiechnęła się szeroko i próbowała klepnąć mnie po dłoni, ale ja cofnąłem rękę, tak że uderzyła w stół, aż sztućce zadźwięczały. -

Odpowiedz. Czy mam rację?

- A co twój ojciec powiedział tego wieczora? Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

- Dlaczego po prostu nie odpowiadasz na moje pytanie? - upierała się.

- A dlaczego ty nie odpowiadasz na moje? - odparłem. Westchnęła.

- Nigdy nie powinnam była zakochać się w szpiegu.

- Eks-szpiegu - dodałem. - Rzuciłem szpiegowanie dawno temu.

- Ty nic innego nie robisz - powiedziała. Był to dowcip, ale nie za bardzo dowcipny.

\* \* \*

Tego wieczora mieliśmy pójść na kolację do George'a i Tessy Kosińskich. Ale przecież nie można iść na proszoną kolację, gdy deszcz zmienił człowiekowi włosy w mysie ogonki. Było to specjalne wydarzenie, parapetówka, i obiecaliśmy przyjść, ale Gloria lamentowała, że nie może. I w takim oto kłopotliwym położeniu znaleźliśmy się w owo sobotnie popołudnie. Gdyby moja żona, Fiona, była kiedyś tak dziecinna i rozdrażniona, oddaliłbym takie protesty ze złością, a przynajmniej ze złośliwym sarkazmem. Ale Gloria była niewiele więcej niż dzieckiem i stwierdziłem, że sposób, w jaki traktowała takie drobne incydenty, był zarówno głupi jak i śmieszny. Jak to cudownie być tak młodym i tak nieświadomym terroru, jaki niesie ze sobą świat rzeczywisty, że roztrzepane włosy mogą wywołać łzy. Jakie to przyjemne, kiedy za pomocą jednej rozmowy telefonicznej i ceny za ułożenie fryzury w salonie piękności na Sloane Street można wywołać takie okrzyki radości.

I gdybym od was usłyszał, że moje reakcje oznaczały istnienie zasadniczych wad w naszych stosunkach, jeśli powiedzielibyście mi, że te aspekty mojego romansu

to było coś, czego można się spodziewać, gdy mężczyzna czterdziestolatek zakochuje się w młodej kobiecie mogącej być jego córką, to zgodziłbym się. Martwiłem się tym stale, ale zawsze kończyłem pytaniem skierowanym do siebie, czy przypadkiem taki paternalizm nie jest wszechobecny. No, może nie w każdym szczęśliwym małżeństwie, ale na pewno w każdym pełnym radości romansie.

Nadal byłem ostrożny, żeby nie powiedzieć nadmiernie ostrożny odnośnie kwestii, dokąd ją zabierałem i kogo spotykała. Nie chodziło o nieskończoność wyboru. Człowiek pozbawiony żony odkrywa wiele o swoich znajomych. Kiedy moja pierwsza żona zostawiła mnie, oczekiwałem, że będę zapraszany przez przyjaciół i znajomych - tyle żon narzeka, jak trudno jest znaleźć takiego „extra chłopca” na kolację. Ale to nie jest tak, w każdym razie nie chodziło o mnie. Człowiek oddzielony od swojej prawowitej żony staje się trędowatym z dnia na dzień. Ludzie - to znaczy zaprzyjaźnione małżeństwa - postępują tak, jakby rozejście się było chorobą, może nawet zaraźliwą. Unikają cię, zaproszenia przestają napływać, telefon nie dzwoni, a kiedy wreszcie dostaniesz zaproszenie, to możliwe, że będziesz podejmowany solo w wieczór, kiedy ładne córki nastolatki wyszły z domu.

Parapetówka u Kosińskich przebiegła ciekawie. Przypuszczałem, że to wynik praktyki, ponieważ słyszało się, że George i Tessa wydali całą serię takich przyjęć, mówiąc, że każde jest jedyne w swoim rodzaju... Ale wieczór wcale na tym nie stracił. Goście, tak jak jedzenie, byli bardzo ozdobni i bardzo bogaci. Kuchnia ujawniała swój styl w drobiazgach, a wina serwowano rzadkie i stare. Tessa była zabawna, a George przyjacielski na sposób, który sugerował, że lubił widzieć mnie z Glorią; możliwe, że widząc nas razem, zrezygnował z resztek uprzedzeń do mnie, że leciałem na jego żonę.

Mieszkanie George'a na Mayfair było pokazem pełnej smaku ekstrawagancji. Jedyne skromniejszy fragment umeblowania to był stary wiktoriański stół w jadalni, kiedyś własność jego biednych rodziców imigrantów. I teraz ten stół, taki długi stół potrzebny dużej rodzinie, dawał George'owi okazję bycia gospodarzem dla szesnastorga gości, gwarantując przy każdym siedzeniu miejsce na trzy wypolerowane kielichy do wina, mnóstwo sztuców i olbrzymią serwetkę z adamaszku. Inni goście stanowili ozdobną mieszaninę, podkreślającą różnicę między światami, w jakich George i Tessa poruszali się: łysy makler giełdowy, który wachając z uznaniem bordo, upuścił do niego monokl; jakaś aktorka telewizyjna, jedząca wyłącznie jarzyny; projektant samochodów japońskich, pijący tylko brandy;

jakaś siwowłosa kobieta, wyglądająca na babcię, która jadła wszystko i piła wszystko, i okazała się być nieustraszonym kierowcą rajdowym; młody oficer Gwardii Konnej w towarzystwie młodej debiutantki w kręgach towarzyskich oraz dwie panie, właścicielki szkoły gastronomicznej, które przysłały przodującego ucznia, aby u Tessy przygotowywał jedzenie na ten wieczór.

Żadna z kobiet - nawet przepiękna Tessa, cała w nowej jedwabnej sukience koloru zielonego, pełnej plisowań i falbanek - nie mogła równać się z moją damą. Fryzura Glorii była idealna, miała łańcuch pereł i bardzo głęboko wyciętą, białą suknię, doskonale uwydatniającą jej figurę. Obserwowałem ją przez cały wieczór, jak rzuciła urok na każdego bez wysiłku, i nie miałem wątpliwości, że na poważnie zakochałem się w niej. Jak wszystkie przyjęcia w Londynie, to zakończyło się też raczej wcześniej, tak iż byliśmy w łóżku jeszcze przed północą. Nie czytaliśmy.

\* \* \*

Było ciemno. Spojrzałem na zegar radiowy i zobaczyłem, że jest trzecia dwadzieścia rano. Źle mi się spało od jakiegoś czasu. Przeżywałem powracający sen, w którym porywała mnie w swoje brudne nurty jakaś szeroka tropikalna rzeka - na dalekich jej brzegach widziałem palmy - i gdy tonąłem dusiły mnie oleiste szumowiny. I kaszląc przebudziłem się.

- Dobrze się czujesz? - spytała sennie Gloria.

- Dobrze.

- Słyszałam twój kaszel. Zawsze kaszlesz, kiedy budzisz się w nocy tak jak teraz.

Zapaliła światło.

- Mam czasami taki sen.

- Od czasu jak ten chłopak, MacKenzie, został zabity.

- Być może - odparłem.

- Żadnych być może co do tego - rzekła. - Sam mi to powiedziałeś.

- Zgaś światło. Już teraz będzie dobrze. Zaraz zasnę. Próbowałem zasnąć, ale daremnie. Gloria też nie spała i gdy minęło trochę czasu powiedziała:

- Czy to chodzi o Breta? Czy martwisz się o Breta?

- Dlaczego miałbym się o niego martwić?

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Wiem, o co ci chodzi.

Było ciemno. Bardzo chciałem zapalić papierosa, ale zdecydowałem, że nie

zaczę znowu palić. W każdym razie w domu nie było papierosów.- Chcesz mi o tym powiedzieć?

- Nie bardzo - odpowiedziałem.

- Bo mogę być tą wtyczką? Roześmiałem się.

- Nie, nie dlatego, że ty możesz być tą wtyczką - powiedziałem. - Jesteś w Departamencie tylko pięć minut. Dopiero co bardzo dokładnie cię sprawdzono. A mając węgierskiego ojca, zostałeś poddana szczególnie skrupulatnej kontroli. Ty nie jesteś tą wtyczką.

- No to powiedz mi.

- Dokument z Gabinetu, który dotarł do Moskwy, dotyczył bezpieczeństwa pewnych niezwykle ważnych i chronionych instalacji w Niemczech Zachodnich. Premier zapytał, do jakiego stopnia są one zabezpieczone i jakaś mądra głowa pomyślała, żeby poprosić nas o ich spenetrowanie. W końcu zrobiliśmy to. Wyznaczyliśmy godnych zaufania ludzi w Niemczech Zachodnich, aby zajęli się tymi instalacjami. Nazwali to „Operacja Witamina”. Potem sporządzono raport ze wskazaniem na wzmocnienie ich bezpieczeństwa.

- No i co?

- To był idiotyczny pomysł, ale mówią, że premierowi raport się podobał. Był napisany jak powieść przygodowa. Był prosty. Tak prosty, że nawet politycy potrafili zrozumieć, o co w nim chodzi. U nas nikomu się nie podobał, oczywiście. D-G był cały czas przeciwny. Mówił, że tworzymy niebezpieczny precedens. Obawiał się, że stale będziemy proszeni o marnowanie naszych zasobów na sprawdzanie naszych zagranicznych instalacji.

- A co było potem?

- MI 5 było wściekłe. Mimo iż było to robione za granicą, odczuwali, że deptemy im po palcach. Ministerstwo Obrony też zrobiło szum. Mówili, że mają dość problemów z utrzymaniem na dystans komunistów i tych protestujących, żebyśmy jeszcze my sprawiali im kłopoty. I powiedzieli, że istnienie tego raportu stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa. Że byłby to dla Moskwy plan działania, podręcznik instruujący każdego, jak wdrzeć się do naszych najtajniejszych instalacji.

- I Bret podpisał raport z Witaminy?

- Tego nie powiedziałem.

W domu były papierosy; była nie ruszona jeszcze paczka dwudziestu *Benson & Hedges*, które ktoś zostawił na stoliku w przedpokoju. Włożyłem je tam do

szuflady.

- Nie musiałeś tego mówić.

- Czy rozumiesz, dlaczego to jest ważne? Moja żona prawdopodobnie widziała notatkę na ten temat, ale pełny raport został sporządzony, kiedy jej już tu nie było. Moskwa miała notatkę, ale czy widziała pełny raport? Musimy naprawdę to wiedzieć.

Zapaliła światło i wstała z łóżka. Miała na sobie błękitną nocną koszulę z koronkową górą i mnóstwem maleńkich kokardek.

- Chcesz filiżankę herbaty? To potrwa tylko chwilę. Przyćmiony blask nocnej lampy okalał ją złociście. Była niezmiernie pociągająca.

- To może obudzić dzieci i nianię.

Może jeden papieros nie wpędzi mnie znowu w nałóg.

- Nawet jeśli raport dotarł do Moskwy, to nie musiało tak się stać z racji błędu Breta Rensselaera.

- Jego błąd czy nie jego błąd, jeśli ten raport dotarł do Moskwy, to i tak cała wina spadnie na niego.

- To jest nie tak.

- To jest tak. Nieuczciwie, to masz na myśli? Może nie, ale on był tym, który wymyślił zakończenie „Operacji Witamina” z naszej strony. Zrobienie jakiegokolwiek wyłomu w bezpieczeństwie będzie jego sprawą, a to mogłoby być końcem kariery Breta w Departamencie.

A niech to cholera. Teraz sobie przypomniałem, że dałem te papierosy hydraulikowi, który naprawiał termę. Nie miałem pieniędzy na napiwek dla niego.

- Zrobię herbatę. Sama chętnie się napiję - powiedziała stojąc przed lustrem.

Była bardzo blisko mnie. Spojrzała na swoje odbicie, gdy układała włosy, i wygładziła pogniecioną nocną koszulę. Była cieniutka, prawie przezroczysta i przebijało przez nią światło.

- Chodź tu, księżno - powiedziałem. - Na razie nie mam ochoty na herbatę.

## **rozdział XII**

Mój Departament nazwano „ministerstwem bez ministra”. Określenie to nie jest nigdy używane przez nasz własny personel. To określenie jest odnoszone do nas przez zazdrosnych urzędników państwowych, doznających cierpień z rąk ich własnych politycznych panów i władców. W każdym razie, nie jest to prawda. Taki

warunek stawiałby Dyrektora Generalnego na równi z zawodowymi stałymi sekretarzami, którzy szefują innym wydziałom, a tacy sekretarze odchodzą w wieku lat sześćdziesięciu. Jeden rzut oka na D-G i już się wie, że już dawno, dawno minął jego czas, a nadal nie było oznak, żeby miał odejść.

Chociaż w tym sensie, że nie mieliśmy politycznego bossa, to wymyślne określenie było prawdziwe. Ale mieliśmy coś gorszego: mieliśmy Kancelarię Gabinetu, a nie było to miejsce, do którego wszedłbym nie zaproszony. Tak więc z zadowoleniem przyjąłem sugestię Glorii, że jej przyjaciółka, pracująca w gabinecie szychy rządowej, odpowie na wszystkie moje pytania na temat rozprowadzania gabinetowej korespondencji.

Downing Street to nie jest oczywiście ulica zabudowana domami. Wszystko stanowi jeden blok - to znaczy, wszystko jest częścią jednego wielkiego bloku biur rządowych, tak że można przejść całość aż do Gwardii Konnej, a nawet może i do Admiralicji, jeśli zna się górne i dolne klatki schodowe i plątaninę korytarzy.

Pod Numerem Dwanaście, gdzie *Whips Office* było usytuowane, panował spokój. Za dawnych dni, kiedy socjaliści przewodzili, zawsze można było tutaj liczyć na spotkanie z kimś zabawnym. Nieznani urzędnicy partyjni z odległych prowincjonalnych okręgów wyborczych, przywódcy związkowi opowiadający sobie śmieszne historyjki między łykami piwa lub whisky czy kęsami kanapek z szynką, powietrze pełne dymu i oszczerstw.

Obecnie było tu spokojniej. Deputowani nie lubili palić, a przyjaciółka Glorii, pani Hogarth, miała do zaoferowania tylko słabą herbatkę i imbirowe biszkopty. Miała około czterdziestki, atrakcyjna rudowłosa kobieta, nosząca okulary *Chitstrian Dior* i ręcznie robiony rozpinany sweter.

Zaprowadziła mnie do jednego z tych imponujących, wykładanych boazerią gabinetów w tylnej części budynku, wyjaśniając, że w jej własnym gabinecie, w suterenie, nie było gdzie się ruszyć. Zazwyczaj korzystała z tego tutaj, kiedy politycy byli na wakacjach, a to oznaczało większą część roku. Podała mi herbatę i wygodne krzesło, a sama zajęła miejsce za biurkiem.

- Każdy parlamentarny korespondent mógłby panu o tym powiedzieć - wyjaśniła w odpowiedzi na moje pytanie, kto ma dostęp do memorandów Gabinetu. - To żaden sekret.

- Nie znam żadnego parlamentarnego korespondenta - odpowiedziałem.

- Nie zna pan? - zdziwiła się, po raz pierwszy przyglądając mi się z



prawdziwym zainteresowaniem. - Sądziłam, że zna ich pan wielu.

Uśmiechnąłem się niezręcznie. Nie był to komplement. Miałem wrażenie, że wyczuła whisky w moim oddechu. Przez okno z tyłu za nią ogarniało się wzrokiem piękny widok ogrodu premiera, a za murem teren parad Gwardii Konnej, gdzie niektórzy bardzo uprzywilejowani oficjele parkowali swoje samochody.

- Nie mam dużo czasu na pogawędki - powiedziała. - Ludzie myślą, że nic tutaj nie mamy do roboty, gdy nie ma sesji Parlamentu, ale ja jestem strasznie zajęta. I tak jest zawsze.

Uśmiechnęła się, jak gdyby przyznając się do jakiejś wstydlivej wady.

- To miło, że chce mi pani pomóc, pani Hogarth - rzekłem.

- To stanowi część mojej pracy - powiedziała. Odmierzyła łyżeczkę cukru do herbaty, zamieszała bardzo delikatnie, żeby się nie wylała, a potem wypła nieco za wolno.

- Gabinetowe memoranda. - Popatrzyła na fotokopię, którą jej dałem i przeczytała trochę tekstu. - Było tego osiem egzemplarzy. Pamiętam, jak dziś.

- Czy może mi pani powiedzieć, kto je dostał? - spytałem. Zanurzyłem ciasteczko w herbacie. Chciałem zobaczyć, jak to

odbierze. Dostrzegła, co robię, ale pośpiesznie odwróciła wzrok i zatopiła spojrzenie w swoim notatniku.- Jedno dla premiera, naturalnie; jedno dla ministra spraw zagranicznych; jedno dla Home Office; jedno dla Obrony; jedno dla przywódcy Izby Gmin; jedno dla rządowego *Chief Whip*; jedno dla Izby Lordów; jedno dla sekretarza Gabinetu.

- Osiem?

Do ogrodu weszło dwóch ludzi niosąc w dużym pudle róże w opakowaniach ze szkółki. Jeden z nich ukląkł i poruszył ziemię rydłem. Potem wziął garść ziemi i sprawdzał wilgotność.

Pani Hogarth obróciła się na krześle, żeby zobaczyć, na co patrzę.

- To piękny widok w lecie - powiedziała. - Same róże. Premier bardzo je lubi.

- Trochę późno na sadzenie róż - powiedziałem.

- Zbyt mokro - odrzekła. Patrzyła na ludzi przy różach. - Zasadziłam ich trochę w listopadzie, ale nie przyjęły się dobrze. Bo wie pan, mieszkam w Cheam - tam jest dużo gliny.

Ogrodnicy zdecydowali, że gleba nadawała się do sadzenia róż. Jeden z nich zaczął wykopywać rządki dołków, do których wkładał krzewy, podczas gdy drugi

wyjął bambusowe tyczki dla podtrzymania roślin już zasadzonych.

Pani Hogarth kaszlnęła, aby zwrócić moją uwagę.

- To memorandum napisano w brudnopisie w Ministerstwie Obrony. Nie wiem, kto je wykonał, ale niżsi rangą ministrowie widzieli je we wcześniejszych fazach. Być może przerabiano to wielokrotnie.

To by się zgadzało.

- Ciekawi mnie, kto widział ten dokument lub jego kopie - powiedziałem.

- Raczej popatrzmy na to, co mogło się stać z tymi ośmioma kopiami memorandum - rzekła energicznie. - W prywatnym gabinecie każdego ministra urzęduje naczelny prywatny sekretarz plus jeden lub dwóch bystrych młodych ludzi. Oprócz tego jeden człowiek od spraw wykonawczych i kilku urzędników biurowych.

- Czy normalnie wszyscy ci ludzie mieliby wgląd w memorandum takie jak to?

- Na pewno naczelny sekretarz czytałby je. A potem jeden z urzędników biurowych, być może sam wykonawczy, rejestruje je w aktach. To zależy od tego, jak gorliwi i wydajni są pozostali. Powinien pan założyć, że wszyscy ludzie w prywatnym biurze każdego ministra będą dobrze znali treść dokumentu; na wypadek, gdyby minister zaczął głośno dopominać się, a oni musieliby dokument odnaleźć.

- To mnóstwo ludzi - powiedziałem.

Ogrodnicy formowali linię z nowo zasadzonych róż używając do tego białego sznurka.

- Jeszcze nie skończyliśmy. Kancelaria Gabinetu, Home Office i Ministerstwo Spraw Zagranicznych mieliby odpowiedzialność wykonawczą wynikającą z tego dokumentu.

- Ale nie Home Office - łagodnie ją poprawiłem.

- Oni tak nie rozumują - powiedziała.

Oczywiście musiała mieć do czynienia z Home Office, które zakłada, że jest wykonawczo odpowiedzialne za wszystkich i wszystko.

- Ma pani rację - powiedziałem. - Proszę mówić dalej.

- Więc w tych departamentach memorandum poszłoby do stałego sekretarza i do jego prywatnego biura, a potem do odpowiedniego oddziału, który miałby się tym zająć.

- Dodatkowych dwóch administracyjnych urzędników i przynajmniej jeden

funkcjonariusz wykonawczy lub biurowy - powiedziałem. - To całkiem niezły tłum.

- To się wszystko dodaje. Wypiła trochę herbaty.

Do pokoju wszedł jakiś mężczyzna.

- Nie wiedziałem, że tu jesteś, Mabel. Miałem właśnie zamiar skorzystać z telefonu. - Potem zauważył mnie. - O, cześć, Samson - powiedział.

- Cześć, Pete - odrzekłem.

Był on trzydziestoletnim bobaskiem o jasnobrązowych falistych włosach i bladej cerze, przy której jego policzki wydawały się sztucznie uróżowione. Mimo całego ubioru charakterystycznego dla White-hall - sztuczne spodnie i czarna marynarka - Pete Barrett był jedynie bardzo ambitnym zawodowym policjantem, który zdobył stopień prawniczy w szkole wieczorowej. Dostosował się do noszenia lokalnego kostiumu właśnie tak, jak się tego po nim spodziewałem spotkawszy go pięć lat temu. Barrett należał do Oddziału Specjalnego i ze wszystkich sił starał się dostać do Departamentu. Nie udało mu się i, pomimo tej ciepłej posadki, jaką znalazł, był zgorzkniały.

- Czy pani ten człowiek przeszkadza, pani Hogarth? - zapytał z ciężkawym humorem.

Drażnił mnie ostrożnie, ale była to ostrożność zabarwiona pogardą. Podeszedł do okna, spojrzął na ogród, jak gdyby chciał skontrolować ogrodników, a potem rzucił okiem na papiery na biurku. Zamknęła kołonoatnik, w którym przeprowadzała swoje zestawienia. Na okładce miał podwójny czerwony pasek; takie notatki są przeznaczone do utajnienia informacji i mają wszystkie strony ponumerowane. Położyła rękę na zamkniętym notatniku.

- Rutynowe pytania - odpowiedziała, w sposób wystudiowany próbując zniechęcić go do dalszego interesowania się sprawą.

Lecz ten nie dał się odstraszyć. Wydusił z siebie cichy śmiech.

- Rutynowe pytania? To brzmi jak Scotland Yard, Mabel. To ja powinienem to powiedzieć.

Pochylił się do przodu, żeby przeczytać dokument leżący przed nią na biurku. Przytrzymał krawat przy swojej piersi, aby nie opadł na panią Hogarth. Ta sztywna postawa, z ręką płasko na piersi, falująca fryzura i czerwone policzki nadawały mu bardziej niż kiedykolwiek wygląd marionetki.

- Jeśli chcesz herbaty, to nie masz szczęścia. Moja dziewczyna jest na zwolnieniu chorobowym, więc sama sobie parzyłam dziś po południu. A imbirowe

ciasteczka już się skończyły.

Barrett nie odpowiedział na to w ogóle. W innych okolicznościach szturchnąłbym go mocnym słowem, żeby sobie poszedł, ale to było jego terytorium, a ja nie miałem upoważnienia do zadawania pytań w tym miejscu. I nie przychodziła mi do głowy żadna przekonywająca przyczyna, dla której byłem w posiadaniu tego memorandum. Ponadto miałem wrażenie, że Barrett wiedział, że jestem w pokoju, zanim tu wszedł.

- Ni mniej, ni więcej tylko gabinetowe memorandum - powiedział. - W czym dokładnie jest problem, Bernie?

- Tak tylko, dla zabicia czasu - odparłem.

Stał wyprostowany, marionetka na paradzie, podbródek cofnięty, ramiona odchylone do tyłu. Spojrzał na mnie.

- Teraz jesteś na mojej działce - rzekł z udawaną powagą. Na zewnątrz obaj ogrodnicy wykopali już rząd dołków pod róże, ale jeden z nich spoglądał w niebo, jakby właśnie kilka kropli deszczu kapnęło na niego.

- To nic takiego, co mogłoby cię zainteresować - rzekłem.

- Moje biuro nie otrzymało zawiadomienia o twoim przyjeździe - odparował.

Pani Hogarth obserwowała mnie. Przygryzała dolną wargę, ale nie wiem, czy w złości, czy z przejęcia.

- Znasz początek, Bernie - nalegał. - Memorandum Gabinetu... to poważna sprawa.

Pani Hogarth przestała zagryzać wargę i odezwała się:

- Nie życzę sobie, aby pan czytał papiery leżące na moim biurku, panie Barrett. - Włożyła fotokopię memorandum, którą jej dałem, do szufladki z innymi papierami. - Ten konkretny dokument nie ma nic wspólnego z naszym gościem i fakt, że czyta pan to na głos, stanowi dość żenujące naruszenie przepisów bezpieczeństwa.

Barrett poczerwieniał.

- Aa... - rzekł. - Aa. Rozumiem.

- Proszę skorzystać z telefonu w sąsiednim pokoju. Nikogo tam nie ma. A teraz muszę pracować. Może pan nie jest zajęty, ale ja tak.

- Tak, naturalnie - wycofywał się Barrett. - To do zobaczenia, Bernie.

Nie odpowiedziałem.

- I proszę za sobą zamknąć drzwi - nieomal zawołała za nim.

- Przepraszam - powiedział, wracając, żeby je zamknąć.

- No to gdzie skończyliśmy - rzekła. - O, już wiem: Numer Dziesięć. Tu pod Numerem Dziesięć takie memorandum byłoby w rękach dwóch prywatnych sekretarzy. I jeden wykonawczy bądź biurowy pracownik musiał to oglądać. I również powinien pan uwzględnić możliwość, że biuro prasowe oraz jednostka od spraw politycznych byłyby na tyle zainteresowane, żeby to przeczytać. To całkiem normalne.

- Gubię się.

- Mam tu zapisane. Nie dodałam ludzi z Ministerstwa Obrony... Przerwała na chwilę, aby coś zapisać w notesie, mrużąc przy tym

- ...prywatne biuro, powiedzmy dwa; biuro stałego sekretarza, kolejne dwa... jednostka polityczna plus biurowa. Powiedzmy, że w Ministerstwie Obrony wychodzi to na jedenaście.

- Jedenaście w Ministerstwie Obrony? Ale przecież oni nie mają władzy wykonawczej?

- A nie sądzi pan, że chcieliby poinformować swoje jednostki na wypadek, gdyby intruzi z SIS pojawili się.

- Tak, przypuszczam, że tak. Ale nie powinni tego robić. To nie był ten pomysł. Plan nastawiony był na sprawdzenie bezpieczeństwa.

- Niech pan nie mówi głupstw. To jest Whitehall. To jest polityka. To jest władza. Ministerstwo Obrony nie będzie stało bezczynnie i czekało cierpliwie, podczas gdy pan obetnie im jaja.

Dostrzegła zdziwienie na mojej twarzy. Uśmiechnęła się. To była pani pełna niespodzianek.

- Jeśli, będzie pan prowadził skrupulatne dochodzenie, to należy wziąć pod uwagę, że niektórzy ministrowie mają prywatne sekretarki, które zajmują się wszystkimi dokumentami, jakie trafiają na biurkaich szefów. A sposób, w jaki rejestruje się dokumenty, oznacza, że pracownicy rejestru też mają z nimi kontakt.

- To cholernie dużo ludzi - rzekłam. - Nawet najbardziej tajne rzeczy z tajnych nie są bardzo tajne.

- Jestem pewna, że nie muszę mówić, iż takie papiery leżą na biurkach i czasami goście odwiedzający różne biura oraz personel tychże biur mogą je obejrzeć. I nie włączam pańskiego personelu, który miał to w ręku. - Stuknęła leciutko palcem w fotokopię.

- Konkretnie ten dokument? Co pani ma na myśli?

- To, że jest to fotokopia sekretarza Gabinetu. Wiedział pan o tym, nieprawdaż?

- Nie, nie wiedziałem. Numer i data zostały wymazane. Jak to można określić? Wzięła ciasteczko i pogryzła je dla zyskania na czasie.

- Nie wiem, czy wolno mi to panu powiedzieć - rzekła.

- To jest dochodzenie, pani Hogarth.

- Chyba mogę, ale wszystkich szczegółów nie podam panu. Powiem tylko, że gdy taki ważny materiał jak ten idzie obiegiem, przetwarza się słowa w ten sposób, że autentyczny tekst ulega zmianie. Chodzi o składnię, rozumie pan; znaczenie nie jest zmieniane. Ma to na celu zapobieżenie...

- Więc jeśli gazeta wydrukuje cytat z tego, to można ustalić, z której kopii był on zaczerpnięty.

- Mniej więcej tak. Oczywiście nie bardzo chcę o tym mówić.

- Oczywiście. I to jest ten, który dotarł do Kancelarii Gabinetu?

- Tak. Nie marnowałabym pańskiego czasu mówiąc o wszystkich detalach, gdybym wiedziała, że tylko to chce pan wiedzieć. Ja oczywiście pomyślałam sobie, że zrobił pan fotokopię własnej kopii i że usiłuje pan wyśledzić tę, którą ukradziono.

Oddała mi fotokopię.

- To naturalne, że tak pani pomyślała - powiedziałem wkładając dokument do kieszeni. - Głupio postąpiłem nie wyjaśniając tego pani.

- Tak, ta kopia zrobiona została z kopii waszego Wydziału - dodała pani Hogarth.

Wstała, ale ja przez chwilę jeszcze siedziałem, powoli godząc się z koncepcją, że dokument, jaki Bret Rensselaer otrzymał do wszczęcia działań, był skopiowany dla moskiewskich archiwów KGB. Miałem nadzieję, że odpowiedź będzie odmienna, ale teraz musiałem faktom spojrzeć prosto w oczy.

- Odprowadzę pana do drzwi - rzekła. - Staliśmy się teraz bardzo czuli na punkcie bezpieczeństwa. Chciałby pan wyjść przez drzwi Numer Dziesięć? Większość ludzi ma na to ochotę, to frajda, prawda?

- Jest pani całkowicie pewna? - spytałem. - Nie może się pani mylić?

- Nie ma takiej szansy. Sprawdziłam dwukrotnie z moją listą. Nie mogę jej panu pokazać, obawiam się, ale dla potwierdzenia może pan dostać ją od ludzi z bezpieczeństwa...

- Nie ma potrzeby - powiedziałem.

Rozpadało się i ogrodnicy porzucili myśl o sadzeniu róż. Włożyli rośliny do pudła i ruszyli w kierunku domu, aby schronić się przed deszczem.

Pani Hogarth przyglądała się im ze smutkiem.

- Zawsze tak się dzieje, kiedy zaczynają z ogrodem. To zupełnie jak rytualna ceremonia przywoływania deszczu.

We frontowym przedsionku Numer Dziesięć był znudzony inspektor policji, kobieta w kombinezonie rozdzielająca z tacy filiżanki herbaty i jakiś człowiek, który otworzył mi drzwi trzymając w drugiej ręce swoją herbatę.

- Bardzo dziękuję za pomoc, pani Hogarth - rzekłem. - Przepraszam, że nie mam oficjalnej przepustki.

Gdy wychodziłem na słynny próg, podała mi rękę.

- Niech się pan nie martwi o przepustkę. Już ją mam. Przyszła dziś rano.

### **Rozdział XIII**

To nasza rocznica - powiedziała Gloria.

- Czyżby? - odpowiedziałem.

- Nie bądź taki zdziwiony, kochanie. Dokładnie jutro będzie trzy miesiące, jak jesteśmy razem.

Nie wiedziałem, od jakiego wydarzenia rozpoczęła liczenie, ale przez delikatność nie wypytywałem.

- A mówili, że to się nie utrzyma - uśmiechnąłem się.

- Nie żartuj sobie z nas - powiedziała z przejęciem. - Nie mam nic przeciw, jak żartujesz sobie ze mnie, ale nie żartuj z nas.

Siedzieliśmy w pokoju gościnnym mieszkania na jedenastym piętrze blisko Notting Hill Gate, dzielnicy mieszanych ras i stylów życia, po zachodniej stronie od centralnego Londynu. Była ósma trzydzieści w poniedziałek wieczorem. Tańczyliśmy bardzo, bardzo wolno, w ten staromodny sposób, kiedy oboje partnerzy są ciasno przytuleni do siebie. Z radia słyhać było program BBC, prowadzony przez Alana Della, z cyklu big-bend jazz, i właśnie nadawał stare nagrania Dorsey'a *Herbatka we dwoje*. Miała trochę dłuższe włosy. Były w kolorze bladego złota i sięgały do ramion. Miała na sobie ciemnozielony sweter typu polo, w prążki, z kołnierzykiem, ciężki naszyjnik i spódnicę z jasnobrązowego zamszu. Wszystko to bardzo proste, ale przy jej długich nogach i świetnej figurze efekt był oszałamiający.

Rozejrzałem się po pokoju: złożone lustro, jedwabne abażury, kinkiety w

kształcie świec na ścianach i kotary z czerwonego aksamitu. Hi-fi stało ukryte za rzędem sztucznych książek. Był to ten sam pracowicie zgromadzony bałagan elementów wystroju z mniej więcej dziewiętnastowiecznego burdelu, jaki widzi się w meblarskim sklepie na każdej głównej ulicy na terenie całej Brytanii.

Firanki były odsłonięte i lepiej było wyglądać przez okno, podziwiając migocące światła Londynu nocą. I widziałem nasze odbicie w oknie, gdy tańczyliśmy tak blisko siebie.

\* \* \*

Erich Stinnes spóźniony był już pół godziny. Miał tutaj zamieszkać, z Tedem Rileyem w roli „pilnowacza”. Na górze, gdzie Stinnes miał spędzać większą część czasu, była mała sypialnia, gabinet i raczej wyszukana łazienka. To był służbowy budynek niekoniecznie „bezpieczny”, ale jeden z tych używanych do potajemnego lokowania pracowników Wydziału pracujących za granicą. Chodziło o to, żeby tacy ludzie nie byli sprowadzani do biur Centrali Londyńskiej. Niektórzy z nich nawet nie wiedzieli, gdzie są nasze biura.

Przyszedłem tu, żeby powitać Stinnesa, jeszcze raz sprawdzić, czy Ted Riley jest obecny i zabrać Stinnesa na kolację dla uczczenia nowej „wolności”, jaką mu tak niechętnie przyznano. Gloria była ze mną, bo przekonałem Breta i siebie, że jej obecność rozluźni Stinnesa i zmiękczy go przed nową serią przesłuchań, jakie mieliśmy w planie.

- A co się stało z tą notatką dla Numeru Dziesięć? - zapytałem, gdy tańczyliśmy. - Ta twoja przyjaciółka powiedziała, że już jedną ma. Jak ona mogła zdobyć taki rarytas? Nawet się o to nie starałem.

- Opowiedziałam jej smutną historyjkę. Powiedziałam, że gdy notatka już została zaaprobowana i podpisana, zgubiłam ją, i że mnie wyleją z pracy, jak nie będzie mnie kryła.

- Ty figlarna dziewczyno - powiedziałem.

- Tyle jest papierkowej roboty. Jeśli od czasu do czasu nie omijalibyśmy zasad, to nic nie można by zrobić.

Pogłaskała mnie po głowie. Nie lubię być głaskany jak pokojowy pudełek, ale nie bronilem się. Ona była tylko dzieckiem i przypuszczam, że takie ograne drobne pieszczoty były dokładnie tym, co uważała za odpowiednie do swej roli femme fatale. Zastanawiałem się, co ona naprawdę chciała, żebym ja zrobił - obsypał ją różami na długich łożyskach i wziął ją na sobolowym futrze, przed kominkiem, gdzieś w



górach, z muzyką cygańskich skrzypiec dochodzącą z przyległego pokoju.

- Martwisz się o Breta Rensselaera, prawda? - spytała cicho.

- Zawsze to mówisz, a ja zawsze ci odpowiadam, że mam to gdzieś.

- Martwisz się tym, co odkryłeś - powiedziała. Przyjmowała moje małe wybuchy złości z opanowaniem. Ciekaw byłem, czy zdawała sobie sprawę, jak bardzo kochałem ją za to.

- Czułbym się cholernie dużo lepiej, gdybym tego nie odkrył - przyznałem.

Muzyka skończyła się, było tam jeszcze troszeczkę trąbki i solówek na saksofonie tenorowym, zanim zaczęła się nowa płyta: Count Basie grający *Moonglow* (Blask księżycy). Odrzuciła głowę do tyłu, kręcąc nią w obie strony, czym sprawiała, że jej jasne włosy połyskiwały w świetle. Zaczęliśmy tańczyć znowu.

- Co masz zamiar z tym zrobić? Przedstawić raport? - spytała.

- Niewiele jest do przedstawienia w raporcie. To wszystko jest bardzo małe i poszlakowe, z wyjątkiem tego memorandum z Gabinetu, więc nie wmaszeruję do biura Dyrektora Generalnego, aby o tym donieść. Zaraz mnie zapytają, dlaczego nie powiedziałem o memorandum, jak tylko je dostałem. Zapytają, kto mi to przekazał, a ja nie chcę im powiedzieć. I zaczną głęboko rozgrzebywać różne rzeczy. A podczas tego będę zawieszony w czynnościach.

- To dlaczego nie powiesz im, od kogo to dostałeś?

- Wszystkie moje źródła informacji wyschłyby natychmiast, gdybym jedno z nich spalił. Czy możesz sobie wyobrazić, jak Morgan zaaranżowałby przyciśnięcie tego człowieka, który zdobył kopię memorandum Breta.

- Po to, aby pozbyć się Rensselaera?

- Tak, aby się pozbyć Rensselaera.

- To musi być wspaniały człowiek, ten twój kontakt - powiedziała z zamyśleniem.

Nic nie mówiłem jej o Wykwintnym Harrym, więc niechętnie traktowała moją milkliwość.

- To śliski drań - rzuciłem. - Ale nie przekazałbym go Morganowi.

- No to albo ty, albo on - powiedziała z tą prostotą, którą rodzaj żeński nazywa kobiecą logiką.

- Niezupełnie „on albo ja”. I jeszcze długo nie będzie, „on albo ja”.

- Więc nic nie zrobisz?

- Jeszcze nie zdecydowałem.

- Ale jak to możliwe, żeby to był Bret? - zapytała. To był początek tego samego kręgu pytań, jakie wirowały mi w głowie dzień i noc. - Bret cały czas słucha twoich rad. Nawet zgodził się po twojej sugestii na przeniesienie Stinnesa z Berwick House tutaj.

- Tak, to prawda - powiedziałem.

- A ty teraz zastanawiasz się powtórnie nad jego przyjazdem tutaj. Wiem, że tak jest. Czy martwisz się, że może Bret mógłby spróbować go zabić, czy co?

- W Berwick House są strażnicy, alarmy, i tak dalej. Są tam nie tylko po to, żeby zatrzymani nie mogli uciec; oni izolują ich od wszelkich złych ludzi.

- No to wyślij go tam z powrotem.

- On tu za chwilę będzie.

- Wyślij go jutro.

- Jak mogę? Pomyśl, na jakiego cholernego głupka wyszedłbym wchodząc do gabinetu Breta, ze spuszczoną głową, mówiąc mu, że zmieniłem na ten temat zdanie.

- A pomyśl, na jakiego cholernego głupka wyglądałbyś, gdyby coś się stało Stinnesowi.

- Myślałem o tym - powiedziałem, zachowując, w moim mniemaniu, mistrzowskie opanowanie.

Uśmiechnęła się.

- To zabawne, kochanie. Przepraszam, że się śmieję, ale sam sobie tego nawarzyłeś, mówiąc Bretowi, jak niekompetentny jest personel Centrum.

- Ciekaw jestem, do jakiego stopnia Bret mnie w to wmanewrował - rzekłem. Wykazała zniecierpliwienie.

- To będzie na tyle, kochanie. Gdy zostaniesz wmanewrowany w jedną ze swoich tyrad.

Ja też uśmiechnąłem się. Miała oczywiście rację; wlałem w to i konsekwencje były całkowicie mojego autorstwa.

- Ale jeśli Bret jest agentem KGB... - zaczęła.

- Powiedziałem ci, że nie ma...

- Ale powiedzmy „jeśli” - nalegała. - Zajął tak imponującą pozycję we władzach.

Zawahała się. Jej wahanie było wywołane tym, że jakie by nie były domysły na temat Breta i Stinnesa, to i tak wychodziłem na durnia.

- Jeśli Bret Rensselaer jest agentem KGB, to zrobił wszystko dobrze. Zajął się

przesłuchaniem Stinnesa, bo musiał, bez najmniejszej chęci ze swojej strony do prowadzenia tych czynności. Teraz ma izolować najlepsze źródło wywiadowcze, jakie mamy od wielu lat, i zrobi to na twoją sugestię. Wszelkie dane od Stinnesa będą przez niego kontrolowane i jeśli coś nie wypali, to ty będziesz kozłem ofiarnym. - Spojrzała na mnie, ale nie zaregowałem. - Przypuśćmy, że Bret Rensselaer wie, że ty masz fotokopię memorandum rządowego? Pomyślałeś o tym. Bernardzie. Może Moskwa wie, co się stało. Jeśli on jest agentem KGB, toby mu powiedzieli.

- Naprawdę o tym myślałem - rzekłem.

- Bernard, kochanie, boję się.

- Nie ma się czego bać.

Usłyszałem chrobot drzwi frontowych i odgłosy rozmowy, gdy Ted Riley wpuszczał Stinnesa, a potem zamykał zamek na dwa razy. Zostawiłem Głorię i odezwałem się:

- Cześć, Ted.

Ted Riley odpowiedział:

- Przepraszam za spóźnienie. Ci pieprzeni faceci z Berwick House nie potrafią zrozumieć nawet własnej papierkowej roboty.

Podszedł do okna i zaciągnął zasłony. Miał rację; ja powinienem był je zaciągnąć, gdy paliło się światło. Byliśmy na górnym piętrze wysokiego domu i nikt nie zaglądał do okien, ale karabin snajpera zrobiłby swoje. A Moskwa pomyślałaby, że Stinnes wart jest takiego zachodu.

Erich Stinnes patrzył na nas z uporczywym i sardonycznym zarazem szacunkiem. Nawet gdy przedstawiałem go Głorii, reakcją jego był grzeczny uśmiech i ukłon w niemieckim stylu. Pod sztywnym, nowym płaszczem miał szary garnitur, a na głowie miękki filcowy kapelusz z przygiętym ku dołowi rondem, co nadawało mu cudzoziemski wygląd.

- Niewątpliwie czekacie na to, żeby pójść do żarłodajni - rzekł Riley rzucając płaszcz na krzesło i spoglądając na zegarek.

- Nie będzie tłumów - powiedziałem. - To taki mały przybytek, jak w domu.

Stinnes popatrzył na mnie, zdając sobie sprawę, że było to ostrzeżenie pod jego adresem, aby nie oczekiwał bankietu. Dostępne mi środki nie pozwalały na uroczyste przyjęcie, a skromna kolacja z Głorią będzie musiała wyglądać jak duża dla dwóch osób, jeśli mam odzyskać włożone pieniądze.

Zanim wyszliśmy, zaprowadziłem Stinnesa na górę, aby pokazać mu jego

gabinet. Było tam małe biurko z elektryczną maszyną do pisania i stertą papieru. Na ścianie mapa świata, a nad biurkiem mapa Rosji. Na półce różne książki - większość w języku rosyjskim, angielskim i niemieckim. Na biurku leżał ostatni numer *The Economist* i trochę gazet anglo - i niemieckojęzycznych. Również stało tam małe, krótkofalowe radio Sony 2001 ze wszystkimi bajerami. Podłączone było do sieci zamiast baterii, więc ostrzegłem go, że urządzenie przetwarzające spali się, gdyby odłączył odbiornik, ale chyba o tym wiedział. Zresztą nic w tym dziwnego, gdyż model 2001 był standardowym wyposażeniem agentów KGB.

- Wreszcie będziesz mógł wyjść sam na miasto - powiedziałem mu. - Ale póki co, będzie ci towarzyszył Ted Riley, gdziekolwiek będziesz chciał iść. A jeśli on powie „nie”, to nie. Ted jest tu szefem.

- Zadałeś sobie mnóstwo trudu, Samson - rzekł Stinnes oglądając pokój.

Podejrzliwość, dająca się zauważyć w jego oczach, również była zauważalna w jego głosie.

- Nie było łatwo to przygotować, więc nie nawal - skomentowałem. - Jeśli dasz drapak, to wszystko spadnie na mnie... wszystko - powiedziałem to dwa razy dla podkreślenia prawdy, jaka się w tym kryła.

- Nie planuję dać drapaka - powiedział Stinnes.

- No, to dobrze - rzekłem.

Zeszliśmy na dół, gdzie Ted rozpakowywał się, a Gloria trzymała odsłoniętą zasłonę patrząc na Londyn z wysoka. Żle z zabezpieczeniem, ale nie można całe życie żyć wedle reguł i przepisów. Wiem, próbowałem.

- Nie wrócimy późno, Ted - obiecałem.

Ted popatrzył na Głorię, która zaciągnęła zasłonę i zaczęła nakładać płaszcz. Ted pomógł jej.

- O północy zmienia się w żabę - odezwał się wskazując na mnie ruchem głowy.

- Tak, wiem, ale chodzi do kogoś, żeby się wyleczyć - odparła przyjaźnie.

Ted zaśmiał się. Odgadł, że załatwiłem mu tę robotę, i wyglądał, jakby nabrał życia.

Chcąc trochę rozerwać Stinnesa, z początku pomyślałem o dobrym rosyjskim jedzeniu. Ale Londyn, jedyne z wielkich miast na świecie, nie ma ani rosyjskiej, ani niemieckiej restauracji.

Gloria sugerowała hiszpańską, którą знаła w Soho, lecz moja niechęć do

potraw z Hiszpanii czy Portugalii przewyższa jedynie moją niechęć do ognistej michy Ameryki Łacińskiej. Więc poszliśmy do restauracji hinduskiej. Erich potrzebował pomocy przy rozszyfrowywaniu menu. Było to niecodzienne z jego strony; Stinnes nie należał do gatunku ludzi chętnie przyznających się, że potrzebują pomocy w jakichkolwiek okolicznościach, ale był ulubieńcem dam i zaobserwowałem jego zadowolenie, gdy Gloria opisywała mu różnice między ostrymi *vindaloos* a łagodniejszymi *kormas*. Gloria reprezentowała typ, który krytycy kulinarni nazywają „foodie” albo „jadłoduła”; lubiła mówić o jedzeniu, restauracjach i przepisach, nawet bardziej niż jeść. Więc powiedziałem, żeby zamówiła całość, poczynając od gęstego *dhal* po chrupkie smażone *papadoms* plus duże naczynie gotowanego ryżu z dodatkiem orzeszków, suszonych owoców i jadalnych kawałków czegoś, co przypominało srebrną folię.

Patrzyłem na nich, głowa przy głowie, jak przegadywali długie menu. Przez chwilę poczułem ukłucie zazdrości. Powiedzmy, że Erich Stinnes był celowo nadany przez KGB - nigdy tej możliwości nie odrzucałem, nawet gdy wykazywał największą chęć do współpracy - to dałoby Fionie jeszcze jedną okazję do śmiechu, gdyby jeden z jej agentów operacyjnych zgarnął mi moją dziewczynę. Fascynował Glorię, widziałem to. Dziwne, że ten facet o niezdrowej cerze, twardych rysach i łysiejący przyciągał kobiety bez najmniejszego wysiłku. Naturalnie, była w tym jego witalność, ale od czasu do czasu, gdy myślał, że go nie obserwuję, dostrzegałem oznaki załamania. Stinnes był coraz bardziej zmęczony. Lub coraz starszy. Lub przestraszony. Lub może odczuwał to wszystko razem. Znałem to uczucie.

Piliśmy piwo. Byłem za kuchnią hinduską dlatego, że do curry zasadniczo nie pije się niczego mocnego. Bo też nie chodziło o urznięcie Stinnesa, żeby stał się niedyskretny. Ani o wolne konto. Podczas pierwszej wizyty w restauracji Stinnes był wyczulony na taką taktykę, ale wystarczył jeden łyk gazowanej wody, którą Brytyjczycy zwa „lager”, by uśmierzyć te obawy. Z niesmakiem wydał wargi, lecz nie narzekał na wodniste piwo, ani też na nic innego.

Wystrój był typowy dla takich przybytków: mechata czerwona tapeta i granatowy sufit z namalowanymi gwiazdami. Jedzenie było niezłe, przyprawione imbirem, papryką i innymi, łagodniejszymi korzeniami. Erich Stinnes robił wrażenie zadowolonego. Siedział pod ścianą z Glorią u boku i chociaż miał swój udział w konwersacji o niczym, to oczy stale mu latały, jakby chciał dostrzec, czy jakiś inny klient, albo ktoś z obsługi, nie wygląda na pracownika Wydziału. Tak zrobiłaby to

Moskwa; zawsze mają swoich obserwatorów do obserwowania obserwatorów.

Rozmawialiśmy o książkach.

- Erich lubi czytać Biblię - odezwałem się bez przyczyny, byle podtrzymać rozmowę.

- Czy to prawda? - rzekła zwracając się w stronę Stinnesa. Wyjaśniłem, zanim zdążył odpowiedzieć:

- Za dawnych dni był w Sekcji 44.

- Czy wiesz, co to jest? - zapytał Glorie. Niełatwo było ją zagiąć; miała rozeznanie w aktach.

- Biuro KGB do spraw religijnych - odparła. - Ale dokładnie nie wiem, co oni robią.

- Powiem ci, co robią - rzekłem do Glorii, przez chwilę ignorując obecność Stinnesa. - Bezczeszczą groby i malują swastyki na murach synagog w krajach NATO, żeby prasa zachodnia zamieszczała nagłówki o rosnącej działalności neonazistowskiej i wygrywała kilka głosów wyborczych dla lewicowców.

Przypatrywałem się Stinnesowi zastanawiając się, czy kategorycznie odrzuci te moje bezeceństwa.

- Czasami - poważnie stwierdził. - Czasami. Skończyłem jeść, ale Gloria wzięła kuche *papadom*, którego nie zjadłem, i zaczęła gryźć.

- Czy chodzi ci o to, że przerodziłeś się w oddanego sprawie chrześcijanina?

- Ja nie jestem oddany niczemu - rzekł Stinnes. - Ale któregoś dnia napiszę książkę porównując Kościół średniowieczny z marksizmem i leninizmem stosowanym.

Taką właśnie rozmowę lubiła: intelektualna dyskusja, nie zaś burżuazyjna pogawędka, plotki biurowe i odgrzewane kawałki z *The Economist*, jakie ja jej serwowałem.

- Na przykład? - spytała marszcząc brwi.

Wyglądała bardzo młodo i bardzo ładnie w przytłumionym świetle restauracji, czy też może ten brytyjski lager był mocniejszy, niż myślałem.

- Kościół średniowieczny i państwo komunistyczne łączą cztery podstawowe zasady - powiedział. - Pierwsza i najważniejsza to dążenie do życia duchowego: dążenie do czystego marksizmu. Nie marnować czasu na inne trywialne rzeczy. Zysk to pazerność, miłość to chuć, piękno to próżność. - Przyjrzał się nam. - Druga: od

komunistów wymaga się służby wobec państwa, tak jak chrześcijanie muszą ją pełnić wobec Kościoła - w duchu pokory i oddania, nie zaś po to, aby służyć sobie samemu, i nie po to, by powodziło się nam lepiej. Ambicja to zła rzecz: jest to rezultat grzesznej dumy...

- Ale ty przecież... - wtrąciła Gloria.

- Pozwól mi mówić dalej - rzekł spokojnie Stinnes. Był zadowolony. Po raz pierwszy widziałem go szczęśliwego. - Trzecia: zarówno Kościół jak i Marks odrzucają pieniądze. Inwestycje i stopa zysku są szczególnie podkreślane jako najgorsze zło. Czwartą, i tu jest najważniejsze podobieństwo, jest sposób, w jaki na wiernych w Chrystusie wywiera się wpływ, aby odmawiali sobie przyjemności tego świata, bo będą wynagrodzeni po śmierci.

- A komuniści? - spytała. Uśmiechnął się mocno zaciśniętymi ustami.

- Jak będę ciężko pracował odmawiając sobie przyjemności tego świata, to wtedy następne pokolenia będą dorastać w raju - powiedział Stinnes.

Uśmiechnął się znowu.

- No i bardzo dobrze - powiedziała Gloria z uznaniem.

Na półmiskach i talerzach właściwie nic już nie pozostało. Najadłem się - jeśli o mnie chodzi, to trochę curry wystarczy - więc wzięła talerz z kurczakiem *korma* i rozdzieliła na dwa talerze. Stinnes zajął się ryżem i bakłazanami i kiedy odmówiłem, podzielił to między ich dwoje.

- Zabrakło ci piątej zasady - odezwałem się, gdy kończyli całe jedzenie.

Popatrzyli na mnie z takim wyrazem, jakby zapomnieli, że w ogóle tam z nimi byłem.

- Zwycięstwo nad ciałem. I Kościół, i komuniści uczą tego.

Ja mówiłem serio, ale Gloria zbyła mnie.

- Bardzo śmieszne. - Wytarła usta serwetką. Zwróciła się do Stinnesa: - Czy Kościół sprzeciwiał się kapitalizmowi bardzo? Wiem, że był przeciwny pożyczkom i stopie zysku, ale nie oponował co do handlu.

- Nie masz racji - rzekł Stinnes. - Kościół średniowieczny stał na stanowisku, by nie było żadnej wolnej konkurencji. Rzemieślnikom nie wolno było ulepszać swoich narzędzi czy zmieniać metod pracy dla uzyskania przewagi nad sąsiadami. Nie wolno było podkupywać; stała cena obowiązywała na towary. I Kościół był przeciwny reklamie, zwłaszcza jeśli lepsze wyroby były porównywane do gorszych po tej samej cenie i u trzeciego sprzedawcy.

- Już gdzieś to słyszałam - rzekła Gloria. - Prawda, Bernard? Zadała pytanie

mające mnie wciągnąć w rozmowę, a w tym czasie

zerknęła w lusterko, aby upewnić się, że wytarła usta po curry.

- Tak - powiedziałem. - *Homo mercator vix aut nunquam potest Deo placere* - ten, kto jest kupcem, nigdy nie ucieszy Boga - bądź Kongresu czy Zjazdu Partii Komunistycznej. Ani też Centrali Związków Zawodowych.

- Szkoda kupców - rzekła Gloria.

- Tak - odpowiedział Stinnes.

Przyszedł kelner i zaczął sprzątać. Zaproponował wybór bardzo słodkich deserów, robionych na sposób hinduski, ale nikt nie chciał nic prócz kawy.

Stinnes zaczekał, aż wszystko sprzątnięto. Był to jakby powód do zmiany tematu: nachylił się, ramiona na stole, i rzekł:

- Pytałeś o kod... kod radiowy... dwa hasła na jednego agenta. Zatrzymał się, dając mi czas na przymknięcie go, gdybym nie

chciał, aby Gloria słyszała resztę rozmowy. Zachęciłem go, żeby mówił dalej.

- Powiedziałem, że to możliwe. W każdym razie nie ma precedensu. Ale myślę o tym od tamtej pory...

- No i? - odezwałem się po dłuższej chwili, kiedy kelner stawiał na stole kawę.

- Powiedziałem ci, że to bzdura, ale teraz zastanawiam się, że może miałeś rację. Były dane nie dla moich oczu. Załatwiało to nasze radio, ale szło bezpośrednio do Moskwy. Nikt z moich ludzi tego nie widział.

- To było dziwne? - spytałem.

- Bardzo dziwne, ale nie było powodu sądzić, że gubimy coś bardzo dobrego. Pomyślałem, że to jakiś pracownik zza biurka, który chce zrobić sobie nazwisko, działając w bardzo wąskiej branży. Starszy personel moskiewski robi tak czasami; wtedy nagle - pieczołowicie dobierając chwilę - przedstawiają zbiór nowego materiału i zanim ucichnie szum uznania, otrzymują promocję, na jaką mieli oko.

- A jak ty się o tym dowiedziałeś?

- Trzymano to oddzielnie, ale nie było sklasyfikowane jako wysoce tajne. To był może bardzo przebiegły chwyt - w ten sposób nie przyciągało uwagi. Ludzie zajmujący się tym materiałem mogli pomyśleć, że to należy do jakichś nudnych technicznych akt. Jak na to wpadłem? Dostało się to na moje biurko zupełnie przypadkowo. Był drugi lutego zeszłego roku. Pamiętam tę datę, bo były to urodziny mojego syna. Rozszyfrowane zapiski położono na moim biurku razem ze stertą innych materiałów. Przejrzałem ją, aby zobaczyć, czy jest tam coś ciekawego, i



znalazłem właśnie to, z nazwą agenta, której nie rozpoznałem, ale za to z londyńskim kodowaniem. Pomyślałem, że to omyłka. Że jakiś maszynowy błąd nadał temu grupę pięciu liter Londynu. Nie zdarza się często, aby maszynistki robiły takie błędy, ale nie jest to przypadek nieznan. Dopiero w zeszłym tygodniu przypomniałem sobie o tym, w świetle twojego pytania o agentów z podwójną nazwą. Czy to ci się przyda?

- Niewykluczone - odezwałem się. - Czy jeszcze coś pamiętasz?- Więcej nic. Z wyjątkiem tego, że był to długi materiał i że dotyczył jakiejś formy ćwiczeń wywiadowczych, które przeprowadziliście w Niemczech Zachodnich. - Popatrzył na mnie, ale nie reagowałem. - Wysłaliście własnych agentów, aby włamali się do waszych instalacji zbierających dane. Taki rodzaj raportu o stanie bezpieczeństwa, i mnóstwo elektroniki... Nie pojmuję elektroniki, a ty?

- Też nie - powiedziałem.

A więc to tak. Długi komunikat nie mógł być niczym innym, jak tylko pełnym raportem dla premiera wynikającym z gabinetowej notatki. Bret nadzorował sporządzanie go i podpisał.

Jeśli moskiewska kopia notatki przeszła przez ręce Breta - a miałem na to dowody od pani Hogarth - to rozsądne było przypuszczenie, że pełny raport idący w ślad za notatką był również dostarczony przez Breta. O Boże, to był cios, chociaż byłem na to częściowo przygotowany. Być może nawet większy cios dlatego, że gdy nabiera się pewności do czegoś, to spodziewamy się zadziałania cholernego prawa średnich, które zacznie dostarczać nieco dowodów w drugą stronę. Bret. Czyżby to była prawda?

- Bardzo ucichłeś - rzekł Stinnes.

- To ten cholerny *dhal* - powiedziałem. - Zawsze tak na mnie wpływa.

Gloria spojrzała na mnie. Nic nie powiedziała, tylko zaczęła grzebać w torebce, jak gdyby czegoś tam szukając. Była to z jej strony próba wywarcia wrażenia, że nudzi ją ta konwersacja. Może Stinnes dał się oszukać, ale wątpię.

#### **Rozdział XIV**

Towarzyski wieczór ze Stinnesem w hinduskiej restauracji dał szybkie rezultaty. Już w następną sobotę rankiem piłem u Breta Rensselaera gin z tonikiem i przyjmowałem jego gratulacje. Fakt, że gratulacje Breta mogły nasunąć na myśl nieuważnemu obserwatorowi, że śpiewał on faktycznie na swoją cześć, nie przeszkadzały mi bynajmniej. Po pierwsze, byłem przyzwyczajony do nawyków i

zwyczajów Breta, a po drugie, nie było obserwatorów.

- Niewątpliwie opłaciło się - rzekł Bret. - Wszystko, na co wyraziłem zgodę, opłaciło się.

Ubrany był swobodnie: ciemna sportowa koszula z otwartym kołnierzykiem i białe lniane spodnie. Rzadko widywałem Breta w czym innym niż jego garnitury z *Savile Row*, ale też rzadko miałem zaszczyt dostać zaproszenie do jego rezydencji nad Tamizą w godzinach wolnych od zajęć. Bret miał własny krąg przyjaciół - dobrana szlachta, arystokracja pieniądza, bankowcy handlowi i potentaci biznesu. Nikt z Wydziału nie dostawał regularnych zaproszeń do niego, może z wyjątkiem D-G i jego zastępcy, i może Cruyerowie, jeśli Bret potrzebował czegoś od Sekcji Niemieckiej. Poza tym lista gości ograniczała się do kilku szczególnie seksownych dziewczyn z biura, które były zapraszane na weekend, aby obejrzeć artystyczne zbiory Breta.

Przyjechałem z Londynu w suchą pogodę, kiedy słońce przeświecało przez błękitną lukę na niebie. Lecz teraz niebo zachmurzyło się i kolorystyka znikła z krajobrazu. Z miejsca, gdzie siedziałem, widać było długi trawnik, zbrązowiały po ostrych zimowych mrozach, a dalej, na końcu ogrodu, Tamizę. Tu, w Berkshire, był to po prostu zarośnięty strumień szeroki na kilka jardów. Pomimo ogromnych pętli rzeki, trudno było uwierzyć, że byliśmy w dolinie Tamizy, niewielki kawałek od londyńskich doków, gdzie na tych samych wodach mogły pływać statki oceaniczne.

Bret obszedł sofę, na której siedziałem, i nalał mi jeszcze ginu. Był to duży pokój. Trzy miękkie sofy wedle projektu włoskiego, obite szarą skórą, ustawione były dookoła stolika do kawy ze szklanym blatem. Był tam też nie pomalowany drewniany kominek, gdzie płonął ogień ze szczap, od czasu do czasu puszczając kłęby dymu do pokoju, aż oczy mi łzawiły. Ściany miały zwykły biały kolor, by mogły stanowić tło, na którym malowidła Breta prezentowały się jak najlepiej. Po jednym na każdej ścianie: portret pędzla Bratby'ego, brodata dama w stylu pop-art Petera Blake'a, basen kąpielowy W Hockney i drzeworyt Tilsona nad kominkiem. Najlepsi brytyjscy malarze byli tu zgromadzeni.

Bret był tym rodzajem anglofila, który brał wszystko na poważnie. Poza sofami, umeblowanie było angielskie, antyczne i drogie. Stała tam komoda w stylu Regencji z ciemnego mahoni, a na niej mechanizm zegara w szklanej kopułce oraz sekretarzyk - półka kryjąca za szklanymi drzwiczkami trochę porcelany Mino ton. Żadnych książek; wszystkie książki były w bibliotece, w pokoju zachowanym przez Breta dla swojego wyłącznego użytku.

- Przesłuchujący jest zadowolony, naturalnie. D-G jest zadowolony. Dicky Cruyer jest zadowolony. Wszyscy są zadowoleni oprócz być może personelu w londyńskim Centrum Przesłuchań, ale D-G stara się wygładzić stosunki z nimi. Jakiś list gratulujący im fachowego przygotowania to jest to, co uznałem za właściwe.

Czy to odpowiednia chwila, aby zacząć wypytywać Breta o jego oczywiste powiązania z KGB? Zdecydowałem, że nie, i wypłem trochę ginu z tonikiem.

- Dobry - powiedziałem.

- W ciągu tylko dwóch dni Stinnes nadał nam tyle, że możemy rozpracować siatkę działającą w laboratorium badawczym Ministerstwa Obrony w Cambridge. Niewątpliwie wiedzą od miesięcy, że jest jakiś przeciek, i będzie to okazja do wyjaśnienia również tego.

- Anglia? - zdziwiłem się. - Cambridge, England? Zaraz, zaraz Bret, nie wolno nam rozpracowywać siatki KGB działającej w Wielkiej Brytanii. To teren Home Office. To robota dla MI 5. Dostaną kota.

Podszedł do ognia, by przesunąć ręką płonące szczapy. Poleciały iskry. Potem wytarł palce w papierową serwetkę, zanim zasiadł na miękkiej skórze naprzeciw mnie. Uśmiechnął się szerokim, hollywoodzkim uśmiechem. Było to wykalkulowane zagranie dla dodania dramatyzmu jego wyjaśnieniu. Wszystko, co robił, było wykalkulowane i lubił dramatyzm do tego stopnia, że tracił panowanie nad sobą wobec każdego, kto akurat wtedy z nim był. I trafił na taki nastrój.

- Trzymamy go prawomocnie. Home Office odpowiedziało na powiadomienie ze strony D-G i wyraziło zgodę na przeprowadzenie przez nas wstępnych przesłuchań po to, abyśmy uzyskali pewność, że są czyści.

- Masz na myśli, że trzymamy go, podczas gdy mnie się bada - powiedziałem.

- Naturalnie - odparł Bret. - Doskonale zdajesz sobie sprawę, że wykorzystujemy ciebie jako wymówkę. To cudowne. Nie wyładowuj się nagle na mnie, Bernard. To tylko formalność. Do diabła, czy sądzisz, że dopuściliby cię tak blisko Stinnesa, gdybyś był podejrzany?

- Nie wiem, Bret. Mamy w Wydziale trochę cholernie dziwnych ludzi.

- Jesteś czysty, więc nie zwracaj sobie tym głowy.

- A ty masz zamiar wpuścić jakiegoś kutasa do siatki z Cambridge, żeby ją rozsadził? Nie masz szans. Czy nie można dochodzić formalnie - wypytywania, i tak dalej?

- Za długo by to trwało. Musimy działać szybko. Jeśli pójdziemy formalną

drogą, MI 5 przejmie sprawę, gdy Stinnes zostanie przeniesiony, i dokonają areztowań, i zdobędą chwałę. Nie, to jest pilne. Zrobimy to sami.

- I ty zdobędziesz chwałę - zaatakowałem. Bret nie obraził się. Uśmiech.

- Bez nerwów, Bernard - rzekł łagodnie. - Znasz mnie lepiej. Mówił do sufitu, bowiem siedział głęboko pośród poduszek sofy, z głową odchyloną do tyłu i z zamszowymi mokasynami na szklanym blacie stołu. Na zewnątrz robiło się coraz ciemniej i nawet biel ścian nie rozjaśniała pokoju.

Nie poszedłem tym szlakiem. Akurat pod tym względem nie znałem go lepiej. W ogóle go nie znałem.

- Będziesz musiał zawiadomić Piątkę - powiedziałem.

- Zrobiłem to wczoraj wieczorem - odparł.

- Dyżurnemu oficerowi w piątek wieczorem? To zbyt przejrzysta sprawa, Bret. Wściekną się. Kiedy twój człowiek ma tam iść?

- Dzisiaj wieczorem - rzekł. Dziś wieczór! - Aż się zakrztusiłem swoim drinkiem. - Kto go prowadzi? Czy Operacje są poinformowane? Kto ci dał zgodę?

- Nie bądź taki nerwowy, Bernard. Wszystko będzie dobrze. Dyrektor wydał mi pozwolenie. Wydział Operacyjny nie bierze w tym udziału; nawet lepiej, że o tym nie wiedzą. Tajność ma zasadnicze znaczenie.

- Tajność ma zasadnicze znaczenie? A ty zostawiłeś zawiadomienie dyżurnemu oficerowi w Piątce? Czy zdajesz sobie sprawę, że mogą dyżurować ci, co są zatrudnieni na próbę, ledwie po szkole. Kimkolwiek by był ten dyżurny, będzie chciał znaleźć jakiś parawan, więc teraz wydzwania do wszystkich wyznaczonych do kontaktu i główkuje, do kogo by tu jeszcze.

- Robisz się paranoikiem, Bernard - rzekł Bret. Uśmiechnął się, aby mi pokazać, jaki był spokojny. - Nawet jeśli jest to niedoświadczony chłopak po szkole, a wiem, że tacy nie są u ciebie wysoko notowani, to zawiadomienia, jakie zostawi pokojówkom, opiekunkom dzieci czy recepcjonistkom wiejskich hotelików, nie zarysują naszej operacji w sposób dokładny.

Sarkastyczny był, drań jeden.

- Na litość boską, wydorolej, Bret - rzekłem. - Czy nie dociera do ciebie, że taka energiczna działalność, zostawianie powiadomień dla wyższego personelu MI 5 w różnych miejscach poza ich biurem i z napisem „pilne” - wystarczy, żeby skompromitować twoją operację?

- Nie zgadzam się - odparł, ale przestał się uśmiechać.

- Jakiś sprytny dziennikarzyna najprawdopodobniej wpadnie na trop. Jeśli tak się stanie, to ty dostaniesz w nos.

- Ja dostanę w nos?

- No, a co te powiadomienia będą zawierały? Będą zawierały informację o tym, że łazimy po nie swoim terenie, robiąc pomyłki. Będą mówiły o tym, że kradniemy Piątce ich robotę. I będą mieli rację.

- Nadajesz mi nie taki znowu wielki cynk; będą rozsądni - rzekł Bret.

- Całe miasto będzie o tym wiedziało - podkreśliłem. - Wystawiasz swojego człowieka na niebezpieczeństwo, prawdziwe niebezpieczeństwo. Daj temu spokój.

- Chłopcy z MI 5 nie dopuszczają do tego, by takie poufne rzeczy przeniknęły do prasy.

- Ja też mam nadzieję, że tak zrobią. Ale to nie jest ich poufna informacja, to jest nasze. A co ich będzie obchodziło, jak twój harcerzyk dostanie w tyłek? Będą uradowani. Będzie to naučka dla nas. I dlatego mieliby marudzić z udostępnieniem całej historii prasie? Gdyby w nagłówkach było, że włączymy na ich teren, to nic lepszego.

- Nie chcę już dłużej tego słuchać - rzekł Bret z rozdrażnieniem. To właśnie był Bret szykujący się do szlacheckiego tytułu - lojalny sługa Jej Wysokości, i cała reszta. - Ufam MI 5, że będzie tak ostrożna z tajnymi informacjami, jak my jesteśmy.

- Ja też, jeśli byłaby to ich informacja. Ale to nie jest ich informacja. To jest wiadomość - wiadomość od ciebie; nie o jakiejś ich operacji, ale o naszej. A poza tym nadano ją w piątek wieczorem, robiąc ewidentny trick dla utrudnienia wszelkich wysiłków, jakie mogliby podjąć dla powstrzymania nas. Wierzysz w to, że pójdą ci na rękę i pomogą załatwić sprawę?

- Już jest za późno - odrzekł Bret. Wyjął dwie kostki lodu z pojemnika, zrobionego na wzór bębna z orkiestry Gwardii Grenadierów, cały, kompletny, z barwami formacji, i wrzucił je sobie do szklanki. Bret potrafił przedłużać picie drinka. Nigdy nie opanowałem tej sztuki. Chciał mi też dać lodu, ale potrząsnąłem głową. - Jest załatwione i podpisane. Żadnych stapań na paluszkach z powodu naszej chęci wejścia do ich siatki. W Cambridge jest biuro mające komplet akt na ich temat. Jest zakodowane, jak mówi Stinnes, zakodowane w sposób zwykły, tak jakby były to normalne akta biurowe. Ale to nie powinno stanowić większego problemu. Dzisiaj wieczorem będzie tam nasz człowiek. Właśnie zaraz przyjdzie, żeby spotkać się z tobą.

- No, to pięknie - powiedziałem z sarkazmem. - Jeszcze mi tylko tego potrzeba, spojrzenia na mnie twojego oblaskawionego goryla, zanim zawiną go w dywanik i wyślą do Moskwy.

Bret pozwolił sobie na cień uśmiechu.

- To nie ta akcja, Bernard. To z drugiej strony. Będziemy w Anglii. Jeśli będą jakieś zakłócenia, to my nałożymy obrączki tym skurwielom, a nie odwrotnie.

Straciłem siłę argumentowania. Powinienem był pozostać cyniczny, lecz troszkę się poddałem, bo zacząłem czuć, że może się to okazać tak proste, jak Bret Rensselaer powiedział.

- W porządku. Co mam robić?

- Odstaw go do Cambridge i bądź niańką.

A więc o to chodziło. Powinienem był wpaść na to, że nie dostaje się zaproszeń do Breta, ot, tak sobie. Serce podeszło mi do gardła. Poczulem się, jak niektóre z tych dziewczyn, które zdały sobie sprawę, że po drodze do sypialni Breta było jeszcze wiele dzieł sztuki na ścianach. Dostrzegł to na mojej twarzy.

- Czy sądzisz, że spróbowałbym zrobić to sam?

- Nie, tak nie pomyślałem.

- Jeśli naprawdę przypuszczasz, że potrafię to zrobić, Bernard, to spróbuję. - Wstał i znowu nalał mi ginu. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że wypilem resztę nawet tego nie zauważając. - Lecz sądzę, że nasz człowiek musi mieć najlepsze wsparcie, na jakie nas stać. I ty jesteś najlepszy.

Wrócił i usiadł znowu. Nie odpowiedziałem. Przez chwilę siedziałem w tym pięknym pokoju przetrawiając nasze własne myśli. Nie wiem, o czym Bret myślał, natomiast ja wróciłem do rozważań na temat jego stosunków z moją żoną.

Kiedyś byłem pewny, że Fiona i Bret byli kochankami. Popatrzyłem na niego. Była w sam raz dla niego, taka piękna kobieta z bogatej rodziny. Była wyszukana na sposób, w jaki tylko bogaci ludzie być potrafią. Miała pewność siebie, stabilność i intelekt, w które natura wyposaża tylko pierworodnych.

Podejrzenia i zazdrość, z tych jakże nieodległych czasów, nie minęły i uczucia te zabarwiały wszystko, co miało coś wspólnego z Bretem. Szanse na odkrycie prawdy miałem żadne, a tak w istocie to nie byłem pewny, czy chciałem wiedzieć, jak tam było. A jednak nie mogłem przestać o nich myśleć. Czy byli razem w tym pokoju?

- Nigdy cię nie rozumiałem, Bernard - odezwał się nagle. - Przepelnia cię

złość.

Miałem chęć powiedzieć mu, że lepiej to niż być przepelnionym gównem, ale aż tak źle nie oceniałem go. Dużo o nim myślałem w ciągu kilku minionych miesięcy. Najpierw myślałem, że siup do łóżka z Fioną, a teraz zdrada stanu wskazywała na niego. To by się zgadzało. Połączyć fakty razem i wszystko gra. Skoro Bret i Fiona byli kochankami, to dlaczego nie współnikami w przebiegłej grze?

Nigdy nie stanąłem oficjalnie przed sądem, ale Bret usiłował wmówić mi przyznanie się do konspiracji z żoną w celu przekazywania wydziałowych tajemnic. Resztki błota, jakim mnie obrzucił, nadal pozostawały.

Był to piesko cwany sposób zatarcia śladów. Nikt nigdy nie oskarży Breta o współudział z Fioną. Nikt nawet nie podejrzewał, że mają romans. Nikt, że tak powiem, oprócz mnie. Zawsze zdawałem sobie sprawę, jak atrakcyjnym mężczyzną mógł być dla niej. Był tym, który zawsze uosabiał dla mnie rywala, kiedy starałem się o jej względy; ci dojrzały mężczyźni sukcesu, nie absolwenci Oxbridge przymierzający się do kariery w jakimś banku handlowym, ale mężczyźni dużo starsi od Fiony, mężczyźni mający służących i ogromne błyszczące samochody i płacący za wszystko zwykłym podpisem na rachunku.

Zrobiło się bardzo ciemno w pokoju i dało się słyszeć pomruk burzy. A potem rozległ się grzmot. Widziałem, jak mosiężne wahadło zegara przechwytuje światło w przechyle tam i z powrotem. Głos Breta zabrzmiał w półmroku.

- Czy jest to smutek? Złość czy smutek - co cię gnębi, Samson? Nie miałem ochoty na rozgrywanie jego gier rodem z uczelni, czy raczej tych, w które się bawi arystokracja pieniądza.

- Kiedy ten biedny palant ma przyjść? - spytałem.

- Żadnej umówionej godziny. Przyjdzie na podwieczorek.

- To świetnie - rzekłem.

Herbatka! Niewątpliwie Earl Grey i, jak przypuszczam, kucharka Breta poda ją w srebrnym dzbanku razem z bułeczkami na ciepło i tymi sandwiczami z ogórkiem bez twardej skórki.

- Rozmawiałeś z Langem - zaczął. - No i co, obsmarował mnie jak zwykle? Czy tak? Co powiedział tym razem?

- Opowiadał o tym, jak przyjechałeś do Berlina i kazałeś mu rozmontować swoje siatki.

- To jest oszust pierwszej wody. Ciągle odczuwa niechęć do mnie po tyłu

latach.

- Uważa, że rozwalisz dobry system.

- „System Berlina”, ten słynny berliński system, który Lange zawsze traktował jako własny twór. Nie kto inny tylko Lange doprowadził do tego, że Firma wysłała mnie, żebym ratował, co się da.

- Ale dlaczego ty? - zapytałem. - Byłeś bardzo młody.

- Świat też był młody - odrzekł. - Brytania i USA wygrywały wojnę. Mieliliśmy stać ramię w ramię i wygrać pokój.

- Bo byłeś Amerykaninem?

- Masz rację. Amerykanin mógł spojrzeć na sytuację w Berlinie i być bezstronny. To miał być ktoś, kto mógł połączyć od nowa Angoli i Jankesów w jeden zespół. Taka była teoria; faktem było, że jedyne pojednanie wynikło ze sposobu, w jaki mnie nienawidzili i mieli mi za złe. Berliński zespół wywiadowczy zjednoczył się, żeby mnie wykołować. Mówię ci, Bernard, wpuścili mnie w maliny, nie mogłem mieć ludzi, których chciałem, dokumentów, jakich potrzebowałem, ani też żadnej kompetentnej pomocy biurowej. Czy wiedziałeś o tym, że nie miałem nawet odpowiedniego biura? Czy Lange mówił ci, że zadbał o to, aby żaden Niemiec nie pracował u mnie? - Tak jak słyszałem, to dostałem duże mieszkanie i dwie osoby służby.

- Tak mówi Lange? Do tej pory to chyba już sam w to wierzy. A mówił ci o rosyjskiej księżniczce?

- Wspomniał.

- Naprawdę to było tak, że ci dranie przydzielili mi część biura z pewnym urzędnikiem, który codziennie dokonywał przeglądu moich dokumentów i donosił im na bieżąco, co robię. Kiedy chciałem uzyskać jakieś inne pomieszczenie, kompletnie zablokowali moje starania. Wreszcie nawiązałem kontakt z przyjaciółką mojej matki. Nie była młoda, nie była księżniczką i nigdy nie była w Rosji, chociaż jej matka doszukiwała się jakiegoś odległego pokrewieństwa z arystokracją białych Rosjan. Miała duże mieszkanie na Heerstrasse i dzięki temu, że mi oddała połowę, uniknęła całkowitej sekwestracji przez jakiś inny oddział Sojuszników. Używałem tego jako biura, a jej sąsiadka pisała mi na maszynie.

- Lange powiedział, że była nazistką, ta twoja przyjaciółka.

- Przeżyła całą wojnę w Berlinie, a rodzinę wymordowali jej bolszewicy, więc, jak sądzę, nie uganiała się machając czerwoną flagą. Lecz miała bliskich



przyjaciół wśród konspiratorów z dwudziestego lipca. Kiedy Hitlerowi podłożono bombę w 1944, zabrano ją SD na przesłuchanie. Trzy noce spędziła w celi na Prinz Albrecht-strasse. Należało oczekiwać, że wyślą ją do obozu, ale tylu mieli zatrzymanych i podejrzanych, że nie było dla nich miejsca w celach, więc ją puścili.

- Była kłótnia o szwagra Langego - powiedziałem.

- I to jeszcze, cholera, jaka. Gdyby Lange nauczył się trzymać trochę niżej głowę i gębę na kłódkę, to może sprawa nie rozrosłaby się do takich rozmiarów. Ale Lange musiał być tym ważnym facetem. A szczególnie do mnie miał urazę, bo byłem jego rodakiem Amerykaninem. Chciał mieć wyłączne prawo do tytułu oswojonego Jankesa i miał duże pole manewru, odgrywając tę rolę. Biuro wybaczało mu wiele jego tricków, bo myśleli, że to jeszcze jeden przykład starej, dobrej, jankeskiej znajomości rzeczy i niekonwencjonalnego, amerykańskiego podejścia.

- I zrezygnował?

- Nie było mu lekko, ale mówiono mu wiele razy o kobiecie, którą poślubił. Nie mogłem ignorować tego, że w mieszkaniu Langego mieszka esesman, podczas gdy ja tropiłem ludzi za to, że wstąpili do partii tylko w tym celu, żeby zachować pracę szkolnego nauczyciela.

Nie odpowiedziałem. Próbowałem zgrać wersję wydarzeń Breta z pałąką nienawiścią Langego.

- To nie były dobre czasy - rzuciłem.

- Czy słyszałeś kiedyś o CROWCASS? - spytał.

- Niewiele. Co to jest?

- Zaraz po zakończeniu działań wojennych SHAEF rozpoczął tworzenie kartoteki podejrzanych zbrodniarzy wojennych. CROWCASS to był Centralny Rejestr Zbrodniarzy Wojennych i Podejrzanych. Może było to bagno, tak jak wszyscy potem mówili, ale w tamtych czasach CROWCASS to była Biblia, a szwagier Langego był wymieniony w tym rejestrze.

- Czy Lange o tym wiedział?

- Pewnie że tak.

- Kiedy dowiedział się o tym?

- Nie wiem, kiedy się dowiedział, ale wiedział, że szwagier służył w Waffen-SS przed tym, zanim się ożenił. Wiem, ponieważ znalazłem w aktach kopię listu z ostrzeżeniem, żeby tego nie robił. Wszyscy byli esesmani i ci z Waffen-SS automatycznie podlegali aresztowaniu, chyba że przeszli już przesłuchania i zostali

oczyszczeni. Ale Langego to nie obchodziło. Rozgrywał nadal swoją amerykańską kartę. Pozwolił Brytyjczykom sądzić, że ma specjalne zwolnienie od Amerykanów i odwrotnie. To śliski facet, chyba o tym wiesz?

- A ty nie wiedziałeś?

- Wiem i wiedziałem wtedy. Ale wszyscy mówili mi, jaką wspaniałą siatkę prowadził. Nie pozwolono mi obejrzeć niczego, co dostarczał osobiście - bezpieczeństwa nie pozwalała. Więc musiałem im wierzyć na słowo.

- Ściągnął do nas paru dobrych ludzi. W Berlinie był już przed wojną. Znał wszystkich. I teraz też zna.

- No to co miałem zrobić? - odezwał się Bret broniąc się. - Jego pieprzony szwagier latał z *Kennkarte* określając go jako urzędnika działu finansowego pewnej firmy budowlanej. Miał znaczek denazifikacyjny. Lubił rozpowiadać wszem i wobec, że był sanitariuszem w marynarce wojennej. Zabrali go w czasie bijatyki w barze w Wedding. Spity był jak świnia i ciągle chciał się bić, kiedy zabrali go do izby. Stawiają tam pijaków pod zimnym prysznicem, żeby trochę im przeszło, i ten glina, co dostał w nos, zaczął się zastanawiać, skąd u sanitariusza marynarki wojennej jest esesmańska grupa krwi wytatuowana pod pachą.

Na zewnątrz, rzeka i pola leżące poza nią zatarte były przez szarą mgłę i deszcz tłukący w okna. Bret wtopił się w cień i mówił głosem bezosobowym, jak magnetofon przekazujący jakieś dane z komputera.

- Nie mogłem tego zignorować - rzekł. - To był raport policyjny. Dostarczono go do biura, ale nikt nie chciał mieć do czynienia z taką wredną sprawą. Przekazali to mnie. Był to chyba jedyny świstek papierkowej roboty przesłany mi w sposób prawidłowy. - Nie odzywałem się. Bret uświadomił sobie, że jego wyjaśnienia były przekonywające, więc ciągnął dalej. - Lange uważał się za niezastąpionego. Kuszące to zawsze, ale zwłaszcza kusiło kogoś prowadzącego kilka siatek - dobrych siatek, pod każdym względem. Ale nie ma ludzi niezastąpionych. System berliński obszedł się bez Langego. Twój ojciec pozbiierał to do kupy.

- Lange uważa, że mój ojciec pomógłby mu. Myśli, że ojca celowo wycofali z Berlina, po to, abyś ty mógł się tam pojawić i załatwić Langego.

- To gówno prawda, i Lange wie o tym. Twój tata spisywał się w Berlinie bardzo dobrze. Silas Gaunt był jego szefem i kiedy Silas otrzymał awans w Londynie, ściągnął twojego ojca do siebie. Nic nie było na piśmie, ale rozumiało się samo przez się, że twój tata będzie się wspinał po drabinie kariery wraz z Silasem. Czekala go

naprawdę piękna kariera w Firmie.

- No i co się stało? - spytałem.

- Gdy Lange obraził się, usiłował sprzedać wszystkie swoje siatki armii amerykańskiej. Ale, naturalnie, nie chcieli mieć z nim nic wspólnego.

- Miał dobre siatki - powiedziałem.

- Bardzo dobre, ale nawet jeśli byłyby podwójnie dobre, mam wątpliwości, czy mógłby sprzedać je kontrwywiadowi z myślą, że przejmą nad nimi kontrolę.

- Dlaczego?

- Kontrwywiad nie był zainteresowany tym, co dzieje się w rosyjskiej strefie.

Ich zajęciem było bezpieczeństwo, szukali nazistów, neonazistów i komunistycznych wywrotowców, działających na Zachodzie.

- To dlaczego nie przeniesiono Langego do jakiegoś innego wydziału?

- Za tamtych dni USA nie miało organizacji szpiegującej Rosjan. Kongres chciał, by Ameryka grała rolę dobrego wujaszka. Było parę prób ze stroną OSS i pracowali nad czymś, co miało nazwę Oddziału Spraw Wojennych, który to z kolei oddział był częścią Centralnej Grupy Wywiadowczej. Ale podchodzili do tego po amerykańsku;

Rosjanie śmiali się z tego. Lange próbował wszędzie, ale nikt nie chciał jego siatki.

- To wygląda na bazar mięsny.

- I tak też odebrali to agenci operacyjni, kiedy wieści do nich dotarły. Byli zdemoralizowani i Lange był niezbyt popularny.

- Więc mój ojciec przyjechał do Berlina uporządkować sprawy?

- Tak, twój ojciec zgłosił się na ochotnika, że przyjedzie i zrobi porządek, chociaż zdawał sobie sprawę, iż utraci wysługę lat w Londynie. Podczas gdy Langego wysłano do Hamburga, żeby ochłonał.

- Ale on nie ochłonał?

- Wściekał się coraz bardziej. I gdy twój ojciec nie chciał go przyjąć z powrotem, chyba żeby pożegnał się kompletnie ze swoim szwagrem w Waffen-SS, to Lange zrezygnował.

- Chcesz powiedzieć, że mój tata wylał Langego?

- Zajrzyj do teczek. To nie są ściśle tajne materiały.

- Lange wini za to ciebie - dorzuciłem.

- Wobec ciebie on wini mnie - odrzekł.

- To znaczy wini mego ojca?

- Z upływem lat winił każdego, od urzędników biurowych po prezydenta Trumana. Jedyna osoba, której nie wini, to jest on sam.

- To była ciężka decyzja - odparłem. - Esesman czy nie esesman, podziwiałem, jak stawał w jego obronie. Może to i dobrze. Wyrzucenie szwagra na ulicę rozwaliliby jego małżeństwo, a tak to nadal się trzyma.

- Powód, dla którego Lange nie chciał wyrzucić szwagra na bruk, był taki, że szwagier zarabiał do tysiąca dolarów tygodniowo na czarnym rynku.

- Żartujesz?

- Tej pamiętnej nocy, kiedy gliniarze dopadli go w Wedding, miał blisko tysiąc dolarów amerykańskich w kieszeni i drugi tysiąc w kwitach wojskowych na pobranie. To właśnie ruszyło tych gliniarzy. Musiałem coś z tym zrobić. Jest o tym w policyjnym raporcie; zajrzyj do niego.

- Wiesz, że nie mogę zajrzeć. Nigdy starych papierów nie Podają na komputer i nikt nie znajdzie czegoś tak starego w rejestrze.

- Spytaj więc kogoś, kto tam był. Jasne, że Lange ciągnął szwagra. Niektórzy mówili, że Lange ustawiał mu niektóre numery.

- Jak? - spytałem, ale odpowiedź była oczywista.

- Nie wiem. Ale mogę zgadywać. Przez jednego ze swoich agentów Lange dowiadyuje się o czarnorynkowym szwindlu. Zamiast, ich rozwalić, wpuszcza szwagra do sprawy.- Długo nie przetrwałby, gdyby wycinał takie numery.

- Nie udawaj niewiniątka, Samson, bo ci to nie pasuje. Wiesz, co było w tym mieście za tamtych dni. Wiesz, jak to działało. Lange po prostu mówił, żeby nie ruszać tego układu czarnorynkowego, bo jeden z dealerów był ważnym sowieckim szpiegiem. Szwagier grał rolę wtyczki Langego. Wszyscy zarabiali bez obawy aresztowania. To niezawodny system. Nikt nie mógł go ruszyć.

Rozległ się dzwonek u drzwi frontowych. Słyszałem jak gospodarz idzie przez sień.

- To będzie nasz człowiek od włamania na dziś wieczór - rzekł Bret. - Dla ciebie to będzie jak za dawnych dobrych czasów, Bernard.

I wtedy przez frontowe drzwi wszedł Ted Riley.

## **Rozdział XV**

Dlaczego wpakowałeś się w to szambo? - spytałem Teda Rileya, co najmniej

po raz setny. I po raz setny nie udało mu się odpowiedzieć zadowolająco. Nie spieszył się. Popijał irlandzką whisky *Powers*, której wpływ na niego dało się już zauważyć, bo gdy mówił, głos jego wpadał w akcent z Kerry, zamieniając potoczną mowę na śpiewane piosenki. Pamiętam ten głos z dzieciństwa, tak więc wróciły do mnie wszystkie opowieści Teda.

Była wśród nich jedna o jego dziadku zbierającym świeżo wycięty torf w „kupki” i jak ten torf kradziono mu „w każdy łagodny i różowy poranek”. Ten proceder trwał całymi latami, aż wreszcie pewnego dnia dziadek Riley wsadził do torfu prochu i chałupa sąsiada spłonęła doszczętnie. Po to, aby uniknąć gwałtownej reakcji, która groziła mu ze strony krewnych zranionego, Rileyowie przenieśli się do hrabstwa Kerry, gdzie urodził się Ted. He z jego opowieści było prawdą, ile haftował, a ile wymyślił, żeby ucieszyć małego chłopczyka z szeroko otwartymi oczyma, tego nie dowiem się nigdy. Ale Ted był częścią mojego dzieciństwa, jak wspinaczki na zwaly gruzów i jazda na łyżwach na Muggelsee.

- Aaaaaa.

Ziewnięcie Teda było symptomem obawy. U wszystkich stworzeń Pana Boga strach wywołuje senność, samozachowawczą chęć przytulenia się do czegoś poza zasięgiem wzroku i zaśnięcia.

Siedzieliśmy w takim pokoju, w jakim spędziłem przypuszczalnie połowę mego dojrzałego życia. Był to pokój w Cambridge, lecz teraz to nie było to Cambridge z gotykimi wieżami kościołów czy też akademików żyjących jak w klasztorach, była to ulica pełna sklepów po złej stronie miasta, tandetny hotel ze szparą w podłodze, łazienką nadrugim końcu korytarza i umywalką, w której kapiący kran opierał się wszystkim moim próbom, aby go uciszyć.

Był późny wieczór, ale nie zapalaliśmy światła. Firanki były odsłonięte i jedyne światło w pokoju pochodziło z lamp ulicznych, niezdrowy odbłask żółci sodowej, odbijający się od mokrej jezdni i tworzący różne wzory na suficie. Dostrzegłem na łóżku zarys sylwetki Rileya, ubranego nadal w swój wilgotny płaszcz. Twarz miał zakrytą kapeluszem. Odsłaniał ją tylko wtedy, gdy chciał się napić.

Stałem przy oknie, patrząc przez siatkową firankę na dom po drugiej stronie ulicy. Był to stary czteropiętrowy budynek, z poplamionym i miejscami uszkodzonym fryzem. Zgodnie z treścią mosiężnych tabliczek przy drzwiach frontowych, mieściła się w nim firma architektoniczna, biuro projektów przemysłowych, jak również biuro

prawnika, do którego mieliśmy się włamać. Na górnym piętrze mieszkał gospodarz domu, lecz dziś wieczorem, jak wywiedział się Ted, wyjechał do rodziny syna w Londynie. W całym budynku było ciemno.

- No, cóż...! Wiesz...! - powiedział Ted i uniósł szklanę w moją stronę.

Miała to być odpowiedź na wszystkie moje pytania. Ted Riley usiłował powiedzieć mi, że jakkolwiek próbowałyby mi wytłumaczyć, to i tak nie zrozumie. Dzieliło nas jedno pokolenie i to było ważniejsze. Pokolenie Teda walczyło podczas wojny, moje nie. Ted był przyjacielem ojca i wszystko w tym gościu Teda mówiło mi, że mój ojciec nigdy nie zadałby mu takiego pytania; ojciec znałby odpowiedź. I dlatego Ted nie odpowiedział. Dla Teda było wygodnie w to wierzyć.

Nalałem sobie więcej whisky i zaniósłem butelkę do łóżka. Ted uniósł szklanę bez zdejmowania kapelusza z twarzy. Nalałem mu sporą porcję. Będzie mu potrzebna.

- Dziękuję ci, mój chłopcze - powiedział.

Niezależnie od tego, jak blisko czułem się z Tedem Rileyem, on zawsze we mnie widział małego chłopca, któremu powiodło się. Ci, którzy zasiadali za biurkiem w londyńskiej Centrali, byli uważani za odmienną rasę przez tych, którzy wykonywali prawdziwą pracę w owych odosobnionych miejscach, gdzie prawdziwa praca była wykonywana.

- Kiedy twój człowiek robi sugestię, nie mogę jej odrzucić. Pracuję za cierpienie. Departament powiedział mi to właśnie w ten sposób.

Miał, naturalnie, na myśli Breta, a Bret był „moim człowiekiem”, bo towarzyszyłem mu w jego dużym samochodzie do Berwick House.

Podszedłem do okna, aby poobserwować ulicę. Nie miałem daleko: pokój nie był większy niż duża szafa.

- To było dawno temu - usłyszałem własne słowa, podobne do tych, które mówił każdy, kto myślał, że potrzebowałem upewnienia się co do mojej przeszłości.

Czas zwykł być być panaceum na wszystko, lecz obecnie nasze grzechy pamiętają komputery, a ich pamięci nie zawodzą.

Przejechał samochód policyjny. Nie na tyle wolno, by obserwować nasz cel, ale również nie tak szybko, jak byłoby to w przypadku zwykłego przejazdu. Zdecydowałem nie mówić o tym Tedowi, już i tak był dostatecznie nerwowy.

- Nie ma przepisów ograniczających szantaż - powiedział Ted bez specjalnej zgorzkniałości w głosie. - To jest gdzieś tam zapisane w jakichś tajnych aktach na

użytek przeciw mojej osobie, gdy kiedykolwiek zachowam się inaczej niż przykładowie.

Przez chwilę pomyślałem, że kryje się w tym jakieś podwójne znaczenie. Sądziłem, że chciał mi powiedzieć, iż byłem w tej samej sytuacji. Ale to nie było w stylu Departamentu. Jak można szantażować kogokolwiek z racji czegoś, co jest ogólnie znane? Nie, tak jak niełaska Teda Rileya była skwapliwie skrywana, tak samo jakieś przewlekłe podejrzenia na mój temat będą spoczywać na cmentarzu niepamięci.

- Na litość boską, Ted - powiedziałem. - Szynki, sery albo gorzałka, albo coś jeszcze innego... to było tak dawno temu, że nikt się tym już nie przejmuje.

- Byłem młody i bardzo głupi. To nie chodziło o drobne transakcje czarnorynkowe. Wszyscy obawiali się, że zmuszono mnie do wyjawienia także wojskowych informacji. Wtedy tak o tym nie myślałem.

- Ale nie ojciec - powiedziałem. - Życie oddałby za ciebie, tak ci ufał.

Ted chrząknął, aby pokazać, jaki byłem głupi.

- To twój tata podpisał notatkę co do śledztwa. Mogłem być to kryć, aż tu twój tata dowiaduje się. To twój tata wysłał mnie ciupasem do Londynu na dywanik.

Przez moment zrobiło mi się niedobrze. Ted nie tylko był bliskim kolegą ojca, ale również przyjacielem rodziny. Kiedy mieszkaliśmy u Lisi Hennig, Ted zawsze wpadał i wypadał. Był kimś z rodziny. Nasza niemiecka pokojówka zawsze trzymała pod ręką zestaw sztućców i serwetkę na wszelki wypadek, gdyby Ted pojawił się na obiedzie bez zapowiedzi.

- Przykro mi, Ted. Nie miałem pojęcia. Ted chrząknął znowu.

- Nie mam nic przeciwko twojemu ojcu; siebie samego za to winię. Nie ukrywał, co robi z personelem, który złamie przepisy, a ja należałem do personelu z wysługą lat. Twój tata zrobił jedyną rzecz, jaką mógł zrobić. Zrobił ze mnie pokazowy model. Nie mam mu za złe, Bernard.

Jego głos był głosem tego szczupłego młodego oficera, który unosił mnie bez wysiłku, sadzał sobie na ramiona i galopował korytarzem, aby zanieść do kąpieli. Ale w przygnębieniu widziałem, że ten głos pochodzi od grubego, rozczarowanego życiem, starego człowieka.

- Tata był cholernie nieelastyczny - powiedziałem. Podeszedłem i usiadłem na łóżku. Stare sprężyny jęknęły, a materac ugiął się pod moim ciężarem.

- Niech spoczywa z Bogiem - powiedział Ted. Wyciągnął się i dotknął mego ramienia. - Miałeś najlepszego ojca, jakiego każdy życzyłby sobie. Nigdy nie prosił nas o zrobienie czegoś, czego sam nie mógł zrobić.

W jego głosie było napięcie. Zapomniałem, że Ted był jednym z tych sentymentalnych Irlandczyków.

- Czasami ojciec miał w sobie coś z Prusaka - powiedziałem, żeby trochę rozładować sytuację.

Ted nabierał tego sentymentalnego nastroju, w który zaczynał śpiewać *Wróć do Erin, ukochana, ukochana...* wyciskającym łązy barytonem, którym produkował się na bożonarodzeniowych przyjęciach, jakie wydawaliśmy zwykle w berlińskim biurze.

- Wiele prawdziwych słów pada w żartach - powiedział chrypliwie Ted. - Tak, twój ojciec był jak niektórzy z tych Prusaków... tych, których lubiłem. Kiedy wszczęto przesłuchania, to właśnie twój ojciec przyjechał do Londynu i podał dane świadczące za mną. Gdyby nie to, co twój ojciec wtedy powiedział, to wykopaliby mnie ze służby bez emerytury.

- Czy tak się stało z Langem?

- Coś w tym rodzaju - rzekł Ted, jakby nie chcąc o tym mówić.

- Czy Lange brał?

Ted zdjął kapelusz z twarzy, aby spojrzeć na mnie i uśmiechnął się.

- Czy Lange brał? Lange był na drodze do zostania królem berlińskiego czarnego rynku, zanim wyrzucili go do Hamburga.

- Mój ojciec nie wiedział?

- Porównujesz mnie z Langem. To jak porównanie popełniającego wykroczenie pierwszy raz w życiu z Alem Capone. Byłem szczeniakiem; Lange natomiast to był stary dziennikarz, który znał świat i jego sposoby. Czy wiesz, że Langemu pozwolono na osobisty wywiad z Hitlerem w trzydziestym trzecim, gdy po raz pierwszy naziści doszli do władzy? Lange był to dojrzały, bardzo wyrobiony mężczyzna. Wiedział, jak kryć swoje ślady, i potrafił, używając słodkich słów, namówić wszystkich do wszystkiego. Nawet twój ojciec dał mu się zauroczyć. Dopiero wtedy, gdy twój tata wyjechał z Berlina do Londynu, Lange nagle poszedł na całego. Mówią, że wpłacił milion marek do banku.

- Mówią, mówią - powiedziałem. - Odwiedź go teraz, a zobaczysz z tego niewiele. Mieszka w rozlatującej się chałupie w bok od Potsdamerstrasse i pije wino domowej roboty. Czuję się na jego widok tak przygnębiony, że wykombinowałem



jakaś małą wypłatę dla niego od Departamentu. Rensselaer zobaczył teczkę z tą sprawą i zaczął mnie wypytywać, co Lange powiedział.

- Oszczędź sobie łez, Bernie. Lange robił straszne rzeczy za dawnych dni, rzeczy, których nie chciałbym mieć na sumieniu.

- Jakie rzeczy?

- Ludzie Langego z czarnego rynku byli uzbrojeni, i nie mam tu na myśli, że były to otwieracze do puszek. Byli ranni, a nawet zabici. Lange trzymał się z dala, ale wiedział, co się dzieje, gdy te bandziory napadały magazyny i porywały wojskowe ciężarówki. I dane statystyczne o przestępstwach potwierdzają to. Gdy Lange wyjechał do Hamburga, zaczęło się nagle poprawiać w Berlinie.

- Czy to dlatego Langego wysłano do Hamburga?

- Pewnie. Był to jedyny sposób na udowodnienie mu winy. Potem już nigdy nie dostał naprawdę dobrej pracy.

Siedzieliśmy w ciszy, popijając. Za godzinę wszystko będzie załatwione i zakończone. Będę w samochodzie z Tedem, prując szosą londyńską, i będziemy się cieszyć z tej drobnej hysterii, jaka napada człowieka po takich ryzykownych małych gierkach jak ta. Zmieniłem temat.

- No, a jak tam Stinnes i jego radio?

- Wszystko wyszło akuratnie, Bernie. Każdego ranka słucha Radia Wołga.

- Radia Wołga?

- Dla Sowietkich Sił Zbrojnych w Niemczech. Nadają w każdy dzień przez cały tydzień do dziesiątej wieczorem, o której to porze wszyscy dobrzy rosyjscy żołnierze wyłączają odbiorniki i kładą się do łóżka, z wyjątkiem sobót, kiedy nadają do dziesiątej trzydzieści.

- To nie jest chyba zbyt prawdopodobne, aby armia wysyłała komunikaty radiowe dla oficera KGB.

- Nie, ale do piątej po południu Radio Wołga przekazuje moskiewskie wiadomości krajowe na kanale pierwszym. Mogłyby one zawierać dowolne komunikaty na zamówienie KGB.

- O której?

- Jak mówię, słucha każdego ranka. A właściwie powinienem powiedzieć, że wskaźnik czasu wmontowany we wtyczkę wykazuje zużycie prądu każdego ranka o ósmej trzydzieści. Potem robi swoje ćwiczenia, wypija parę kaw, zanim przyjdzie przesłuchujący.

- Czy to jedyna stacja, jakiej słucha?

- Nie, bawi się klawiszami. To piękna zabawka, ten krótkofalowy odbiornik. On ma dużą rozrywkę dzięki niemu. Wschód, Zachód, rosyjski, niemiecki i różne stacje nadające po hiszpańsku, łącznie z Kubą. Naturalnie, jedyny dowód, jaki na to mamy, to sposób w jaki on zostawia pamięć strojenia radioodbiornika. Czy on jest równy, Bernie?

- A jak ci się zdaje?

- Widziałem całkiem sporo przez te lata, odkąd pracuję w Centrum Przesłuchań. - Usiadł, oparł się na łokciu i wypił trochę whisky. Ted przykładał się do picia, nie pociągał łyżkami tylko haustami. - Wszyscy oni są troszkę podenerwowani. Niektórzy byli przestraszeni, niektórzy trochę niespokojni, ale wszyscy wykazywali nerwowość. Ale Stinnes jest inny. To spokojny klient, tak spokojny, jakim tylko można być. Któregoś ranka chciałem go wziąć pod włos. Postawiłem szklankę wody z kawałkiem suchego chleba i powiedziałem, żeby się pakował, że jedzie do Tower of London. Powiedziałem, że odrzuciliśmy go. A on się tylko uśmiechnął i stwierdził, że i tak to się kiedyś zdarzy. Bardzo opanowany.

- Sądysz, że on naprawdę nadal pracuje dla Moskwy? Czy sądzisz, że to wszystko może być starannie opracowanym trickiem, tak abyśmy przyjęli jego dezinformację? I my łykamy wszystko, tak jak on chce?

Na twarzy Teda ukazał się wolno rozszerzający się uśmiech, jak gdybym starał się go zrobić.

- Aleś mi zadał pytanie, za, jak to mówią, sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów. Teraz ty jesteś mózg, młody Beniu. To ja od ciebie oczekuję odpowiedzi na takie pytania.

- Przekazał nam trochę dobrego materiału - powiedziałem.

- Jak to, co mamy dzisiaj wieczorem? Twój człowiek powiedział, że będziemy mogli zdjąć całą siatkę mając materiał, który wydostaniemy z tej szafki z aktami po drugiej stronie ulicy.

- Nie podoba mi się to, Ted. To nie nasza robota i Piątka o tym wie. Jak będziemy w opałach, to te skurwiele z Home Office praktycznie palcem nie kiwną.

- Włamanie, wtargnięcie i kradzież paru akt? Robiliśmy to wiele razy tam, Bernie. Jedyna różnica to ta, że obecnie robimy to w Anglii. Pójdzie jak z płatka. Pamiętam ten czas, gdy wykonałeś podobną robotę w pół godziny i wracałeś pytając o więcej.

- Może - powiedziałem. Nie miałem pewności, czy chciałem, aby mi przypomniano.

- Pamiętasz, jak zostałem wysłany z powrotem do Berlina, aby się włamać do tego dużego domu w Heinersdorf? Jak udało ci się namówić pokojówkę, żeby dała ci poczekać w pokoju od frontu? To było mieszkanie jakiegoś rosyjskiego pułkownika. Pies wygryzł ci spodnie na samej dupie, kiedy wychodziłeś przez okno w łazience trzymając to pudełko fotografii. I całą drogę powrotną jechałeś na rowerze, tak aby nikt nie widział tej dziury w spodniach. Twój tata strasznie mnie obrugał, że pozwoliłem ci to zrobić.

- Byłem jedyny wtedy na tyle chudy, aby móc przejść przez okno.

- Twój tata miał rację. Byłeś tylko dzieckiem. Gdyby ci dranie złapali cię i dowiedzieli się, kim jest twój tata, to Bóg jedyny wie, co mogłoby ci się zdarzyć.

- Wszystko byłoby dobrze. W tamtych dniach nikt nie odgadłby, że byłem wszystkim, tylko nie niemieckim dzieciakiem.

- A cośmy wyrabiali, zanim wzniesli Mur! To były dni, Bernie. Często myślę o tym, jakie zwariowane miałeś dzieciństwo.

- Powinniśmy ruszać - powiedziałem, patrząc ponownie na zegarek.

Podszedłem do okna i otworzyłem je. Wpadło zimne powietrze, ale w ten sposób lepiej widziałem i lepiej słyszałem. Nie chciałem, aby jakaś drużyna detektywów Sekcji Specjalnej dorwała Teda, aby pokazać nam, co dzieje się z ludźmi wtykającymi nos na terytorium Home Office.

- Mamy dużo czasu, Bernie. Nie ma sensu, żebym sterczał w bramie, dopóki ślusarz nie otworzy drzwi. W taki sposób zdarzają się wypadki.

- Nie powinieneś brać takich robót więcej - powiedziałem.

- Zawsze parę groszy extra przyda się - odrzekł Ted. - Pozwól, że ja to zrobię, Ted. A ty mnie wspieraj!

Patrzył na mnie długo, próbując zdecydować, czy mówię poważnie.

- Wiesz, że nie mogę ci na to pozwolić, synu. Jak myślisz, dlaczego twój boss wybrał mnie do tej roboty? Jak mnie dopadnie prawo, to zrobię swoje w sądzie, a reporterzy nawet nie będą się trudzić, aby dowiedzieć się, jak się literuje moje nazwisko. Jeśliby ciebie złapano z rękami w tych aktach, mogłoby to się skończyć pytaniami u samego premiera. Już raczej wolę być złapany za to, niż stawić czoło wściekłości Mr Rensselaera za dopuszczenie do tego, byś robił to za mnie.

- No to zaczynajmy - powiedziałem. Nie podobały mi się jego słowa, ale

całkowicie miał rację. - Ślusarz będzie stał na progu za trzy minuty.

Ted podniósł się i sięgnął po swoje nadawczo-odbiorcze radio. Zrobiłem to samo.

- W porządku? - powiedziałem do mikrofonu.

Ted wetknął sobie do jednego ucha małą słuchaweczkę, a drugie przykrył spłaszczoną dłonią. Będzie zbyt niebezpiecznie włączać głośnik, kiedy Ted zacznie pracować.

Powtórzyłem test, a on kiwnął głową na znak, że słyszy mnie przez słuchawkę. Potem powiedział:

- Wydaje się, że w porządku, stary.

Głos jego było słyhać w moim ręcznym mikrofonie. Zmieniłem długość fali i wezwałem samochód, który miał go zabrać potem.

- Taksówka na dwie osoby? - powiedziałem.

Chociaż siłę głosu miałem skreconą do samego końca, to jednak nadajnik samochodowy o większej mocy dał mocny głos.

- Taksówka gotowa i czeka.

- Masz wszystko? - spytałem Teda.

Stał przy zlewie. Rury wydawały głośny, gulgoczący dźwięk podczas spływania wody. Nie zdejmując kapelusza, spryskał twarz i osuszył się małym ręcznikiem wiszącym pod lustrem. Znużonym głosem odezwał się:

- Matko Boska, mamy za sobą przynajmniej pięć takich akcji, Bernard.

Dało się słyszeć głosy w korytarzu i jakieś dźwięki dwóch osób wchodzących do przyległego pokoju. Słyhać było trzaskanie drzwi od szafy i świszczący dźwięk wieszaków przesuwanych po metalowym pręcie. Tylne ścianki szafy musiały być bardzo cienkie, bo dźwięki rozlegały się donośnie.

- Relaks, synu - rzekł Ted. - To hotel na godziny. Nie przejmuj się.

Tak, byłem bardziej zdenerwowany niż on. Rzadko odgrywałem rolę człowieka, który miał wspierać, a już nigdy przedtem nie wspierałem kogoś, kogo znałem i lubiłem. Po raz pierwszy zdałem sobie z tego sprawę, że to było gorsze niż samo wykonywanie roboty. To była rodzicielska troska, udręka, którą cierpisz, gdy twoje dzieci proszą cię o rower, żeby móc pojeździć sobie w ruchu ulicznym bądź wyjechać na obóz.

Ciągle po ciemku, Ted zapiął guziki płaszcza i poprawił kapelusz. Powiedziałem mu:

- Jeśli zamek okaże się trudny, to wyślę ci duży przecinak. Ted Riley dotknął mego ramienia, uspokajając mnie niczym spłoszonego konia.

- Nie rób szumu, Bernard. Nasz człowiek był tam zaledwie dwa dni temu. To jest cholernie dobry fachman, pracowałem z nim przedtem. Ustalił, jakie to typy szaf i otworzył trzy od tego czasu. Patrzyłem, jak to robi. Mógłbym to zrobić w pojedynkę.

- Idź lepiej teraz. Wezwij mnie, gdy tylko będziesz gotowy do potwierdzenia - powiedziałem.

Nie patrzyłem, jak odchodzi, poszedłem do okna, aby obserwować ulicę.

Spotkanie ze ślusarzem przebiegło jak szkolne ćwiczenie. Nasz spec od zamków przybył dokładnie na czas i Ted Riley przeszedł ulicę wchodząc we drzwi bez żadnej przerwy w krokach. Ślusarz wszedł za nim, zamykając drzwi, i tak je zabezpieczył, że nie było szans, by przechodzący i sprawdzający policjant mógł je poruszyć.

Nie mógł użyć windy, więc długi spacer do góry. Ale Ted był zawodowcem: pomyśli o tym, by tak dojść na górę, aby nie mieć zadyszki, na wypadek gdyby czekał go tam komitet powitalny. Nawet używając mojej kieszonkowej lornetki nie mogłem dostrzec żadnego znaku ich wejścia do biura. Obaj trzymali się tak daleko od okien, jak tylko było to możliwe. Fatalnie, że szafy z aktami były na tej zewnętrznej ścianie.

Byli tam zaledwie kilka minut, kiedy odezwał się przez walkie-talkie.

- Wróc z włosami rozwianymi... - zaśpiewał cicho.

- ... Ty łysa pało - odpowiedziałem.

Nie było uzgodnione, jak ma się identyfikować, ale Ted już nie raz używał swojej parodystycznej wersji *Wróc do Erin* jako znaku rozpoznawczego.

- To będzie małe piwko - szepnął Ted.

- Ulica wolna - powiedziałem. Minęły ponad trzy minuty, zanim Ted znowu się odezwał. Cały czas patrzyłem na zegarek, bo w przeciwnym razie mógłbym pomyśleć, że minęła godzina albo więcej.

- Mały szkopał... ale wszystko jest okay. Dodaj trzy.

- Ulica wolna. Czas odejścia plus trzy.

Samochód był zaparkowany bardzo blisko, kilka minut w tę czy w drugą stronę nie robi im różnicy. Zdecydowałem nie wzywać samochodu, aż zbliżymy się do czasu *rendez-vous*.

Ted dał się ponownie słyszeć po pięciu minutach. Zastanawiałem się, co tam,

do cholery, się dzieje, ale wiedząc, jak takie rozmowy potrafią być denerwujące, pozostałem cicho.

- To nie ten sam zamek - powiedział Ted - wymienili środek. Musimy dodać dziesięć. - Mówił bardzo rzeczowo i spokojnie, ale mnie się to nie podobało.

- Może przecinarkę - zaproponowałem.

Mogliby próbować przeciąć tył szafy, jeśli wszystko inne zawiedzie.

Mieliśmy taką przecinarkę, która cięła prawie wszystko.

- Jeszcze nie.

Nadal padało. Ted nazywał to „cichym dniem”, równomierny kapuśniaczek padający bez końca. Przechodniów było niewiele i nawet samochody przejeżdżały z rzadka. Taka dobra noc na pozostanie w domu i oglądanie telewizji. Ten cholerny samochód policji z Cambridge znowu przejechał wzdłuż ulicy. Czy był to ten sam samochód, wykazujący zainteresowanie naszym celem, czy też widziałem kilka różnych samochodów w drodze do i z komisariatu? Powinienem być zanotować rejestrację.

- Nareszcie mamy szczęście - zabrzmiał głos Teda.

Nie rozwinął swojej uwagi. Trzymał wciśnięty guzik nadajnika, obserwując, jak ślusarz pracuje nad zamkiem szafy. Dochodziły mnie słabe odgłosy ich pracy, postękiwania i wysilania, aby przesunąć szafę.

- Popatrzymy na nią od tyłu.

A potem Ted odezwał się do ślusarza:

- Uważaj na przewody... jest podłączona! Matko święta... Wysilałem się, żeby dojrzeć coś przez okna ciemnego biura. Przez

chwilę myślałem, że zapalili światło, bo oba okna biura prawniczego rozjarzyły się, nabierając wyglądu jasnych, żółtych prostokątów. Potem rozległa się eksplozja. Potężny huk i silna fala powietrza dopadły mnie przez otwarte okno niczym gwałtowna burza.

Okna biura zamieniły się w gejzery odłamków, które razem ze szczątkami obydwu ludzi spadły na ulicę.

- Taksówka. Jazda. Jazda. Negatywnie.

Był to formalny sposób informowania, że należy dać drapak dla ratowania się, toteż załoga samochodu natychmiast odpowiedziała.

- Potwierdź.

Głos był spokojny, ale słyszałem zapuszczenie silnika.

- Jazda. Jazda. Negatywnie. Koniec.

Słyszałem, jak z drugiej strony ktoś mruknął: „Powodzenia”, gdy wyłączyłem radio. Było to niezgodne z procedurą postępowania, ale nie czułem się skłonny do składania raportu w tej sprawie: potrzebni mi byli wszyscy życzliwi, ilu tylko mógłbym znaleźć.

Gdzieś z drugiej strony miasta usłyszałem początek wycia syreny policyjnej. Wychyliłem się z okna i wyrzuciłem radio w kierunku biura, jak tylko mogłem najdalej. Okna były znowu ciemne z wyjątkiem małych odbłyśków ognia.

Zapiąłem płaszcz, na głowę włożyłem czapkę i rozejrzałem się szybko po pokoju, aby mieć pewność, że nie zostawiłem niczego, co by mogło nas skompromitować. Potem zszedłem na dół popatrzeć na przyjazd policji i straży pożarnej.

Strażacy byli na miejscu natychmiast po pierwszym samochodzie policyjnym. A potem karetka. Ich ogromne, dieslowskie silniki głośno dudniły. Przednie światła przebijały się przez ciągle siąpiący deszcz i odbijały w kawałkach potłuczonego szkła, rozrzuconego po całej jezdni i połyskującego jak lód. Były tam kawałki czarnego zwęglonego papieru, drewniane fragmenty i rzeczy, których nie chciałem oglądać zbyt blisko. Drabina strażacka pięła się w górę, aż dosięgła okien biura, w których nadal widać było czerwoną poświatę. Wszedł po niej strażak. Roznosił się okropny swąd spalenizny i dym w takiej ilości, że strażacy musieli użyć aparatów tlenowych. Cała ulica rozjaśniła się, gdyż wszyscy poodsuwali zasłony w oknach, aby przyjrzeć się akcji. Otworzono właśnie drzwi frontowe do biurowego budynku. Sanitariusze z karetki przepchnęli się przez mały tłumek zebranych i weszli do środka, aby się rozejrzeć. Nie wzięli ze sobą noszy. Odgadli, że nie będą im potrzebne.

\* \* \*

Zanim zabrałem samochód i dojechałem do mieszkania Breta Rensselaera w Berkshire, zrobiła się trzecia rano w niedzielę. Bret był kompletnie ubrany, gdy otwierał mi drzwi - dorzucił szybko, że wcale nie poszedł spać - ale jednak zmienił ubranie; teraz miał na sobie kaszmirowy sweter z golfem i odpowiednie do niego granatowe spodnie z popeliny. Czekał na telefon, który miał mu przekazać, że wszystko poszło gładko.

Ale gdy telefon zadzwonił, to dowiedział się, że eksplozja zabiła dwóch ludzi w biurze w Cambridge. Cała historia była już na agencyjnych kablach. Było zbyt

późno, by zamieścić to w niedzielnych wydaniach gazet, ale prawdopodobnie krajowe dzienniki odnotują wypadek w poniedziałek. Jeśli obsługa TV ma zdjęcia, to może się to ukazać w wiadomościach wieczornych.

- Musimy trochę odpuścić - rzekł Bret.

Podał mi do ręki drinka, po czym zajął się rozpalaniem drugiego polana w kominku.

Przykucnąłem przy ogniu. Było mi zimno.

- Tak, potrzeba nam tytułów o zwwyżce cen piwa lub o strajku kierowców autobusowych - powiedziałem. - Ale nie martw się; mała eksplozja na bocznej ulicy w Cambridge niekoniecznie nadaje się na pierwsze strony, Bret.

Bret przyciągnął do kominka mały stolik na kółkach. Stała na nim butelka przedniej whisky, którą wyjął dla mnie z kredensu, i dzbanek lodowato zimnej wody. Zajął miejsce przy ochraniaczu od iskier i grzał dłonie. Zastony były zaciągnięte, ale słyszałem deszcz nadal bębniący o szyby, tak jak niewiele godzin temu, gdy siedzieliśmy tutaj z Tedem Rileyem, słuchając wyjaśnień Breta i jego zapewnień, jakie to wszystko będzie łatwe.

- Pułapka - powiedział Bret. - To skurwiele!

- Nie wyciągajmy pochopnie wniosków - rzekłem. - Może to wcale nie było zamierzone, może nie chciano nikogo zabijać.

- Powiedziałeś, że była to pułapka - rzekł Bret.

- Przejęzyczenie.

- No to co to było?

- Nie wiem. Być może było to urządzenie do niszczenia tajnych dokumentów. Ale stalowa szafa uczyniła z tego bombę.

- Włożyli w to dużo materiału wybuchowego. To dlaczego nie zainstalować urządzenia zapalającego? - spytał Bret.

- Kiedyś mieliśmy taką eksplozję w Berlinie. Użyli tylko niewielkiego ładunku, ale szafa miała specjalną ognioodporną wykładzinę wewnątrz. Jak poszło, to wysadziło całą boczną ścianę budynku. Gorzej było niż tu.

Dlaczego on mi brzęczy za uszami o takich szczegółach? Kogo obchodzi jak wielki był ładunek. Ted Riley nie żyje - pomyślałem.

- Czy nie ma szans, żeby...

- Żadnych w ogóle szans. Dwa trupy. Mówiłeś, że agencje mają już pokarm.

- Czasami nadają nie tak jak trzeba - powiedział Bret. - Czy ich zidentyfikują?



- Nie poszedłem, aby sprawdzić - odburknąłem.
- No, tak, tak - powiedział Bret. - Dzięki Bogu, że to nie ty.
- Riley był starym wygą. Opróżnił kieszenie, a na ubraniu nie było żadnych znaków z pralni. Kazał mi to sprawdzić samemu. O drugim człowieku nic nie wiem.
- Ślusarz był z Duisburga. To był zamek niemieckiej marki. Był ekspertem od tego typu sejfów.
- Zmienił środek zamka - powiedziałem.
- Wiem - rzekł Bret. Napił się trochę toniku.
- Jak mogłeś wiedzieć, jeśli nie miałeś podsłuchu na radio? Bret uśmiechnął się.
- Miałem kogoś od podsłuchu. To żadna tajemnica.
- To dlaczego mnie tak wypytujesz?
- Stary zada mi wiele pytań, a ja chcę znać odpowiedzi. I nie chcę odczytywać mu raportu; może to zrobić sam. Chcę usłyszeć od ciebie, co masz do powiedzenia.
- To dość proste - odparłem. - Stinnes powiedział przesłuchującemu, że w tym biurze jest sporo dobrego materiału. Ty wysłałeś Teda Rileya, żeby go zdobył. Szafa z aktami była jedną wielką bombą, aby zniszczyć dowody - i koniec. Jakie trudne pytania może D-G zadawać z wyjątkiem „dlaczego”?
- Nie dziwię się, że czujesz się rozgoryczony - rzekł Bret. - Ted Riley był przyjacielem twojego ojca, prawda?
- Ted Riley był dobry w swojej robocie, Bret. Miał instynkt do tego. Ale ten biedny palant spędzał życie sprawdzając dowody tożsamości i pilnując, aby alarmy antywłamaniowe stale sprawnie pracowały. Żeby nie to jedno drobne potknięcie...
- On nie nadawał się do londyńskiej Centrali, jeśli to chcesz zasugerować.
- Nie nadawał się? To kogo znasz, kto nadaje się do Centrali? - powiedziałem.
- O Jezu, Bret, Ted Riley miał więcej wywiadowczych umiejętności w małym palcu niż...
- Niż ja mam w całym sobie? Czy może chodziło ci o Dicky'ego? A może o D-G?
- Mogę się jeszcze napić?
- Nie ożywisz Teda Rileya wlewając to w siebie - powiedział Bret. Ale sięgnął po butelkę *Glenlivet* i zanim mi ją podał, zdjął zakrętkę. Nalałem sobie dużo. Bretowi nie zaproponowałem. Był zupełnie ukontentowany swoim tonikiem.
- Miałem rozmowę z Rileyem wczoraj wieczorem - powiedziałem.

Wstrzymałem się. Pod czaszką zapłonęły mi czerwone światła. Wszystko ostrzegало mnie, żeby być ostrożnym.

- To musiało być interesujące - rzekł Bret, utrzymując głos na równym poziomie, abym ja nie wstał i nie rąbnął go w nos.

- Ted powiedział mi, że Stinnes słucha Moskwy każdego ranka o ósmej trzydzięci. Ted uważał, że on odbiera od nich instrukcje. Być może jedna z tych instrukcji kazała mu powiedzieć nam o tej komórce z Cambridge, aby rozwalić Teda Rileya na kawałki.

- Dlaczego mi mówisz, co myślał Riley? Riley był po prostu jednym z bezpiecznieści. Nie potrzebuję opinii ludzi z bezpieczeństwa, gdy przesłuchujacemu tak dobrze idzie.

- No to dlaczego nie wysłałeś tego pieprzonego przesłuchującego na to włamanie ubiegłego wieczora?

Bret podniósł rękę.

- O, czytam cię wyraźnie. Starasz się połączyć dwa wydarzenia. Riley - mimo zadowolenia śledczego z wyników przesłuchań przejrzał Stinnesa i jego zabiegi dezinformacyjne. Więc Riley musi być usunięty przez bombę podłożoną przez Kreml. Czy to jest to, co próbujesz mi sprzedać?

- Mniej więcej coś w tym guście - odparłem. Bret westchnął.

- To ty podbudowywałeś Stinnesa, jakby był najlepszą rzeczą od czasu paczkowanego chleba. Teraz twój przyjaciel nie żyje i wszystko zaczyna jechać na tylnym biegu. Stinnes to łotr. A ponieważ Stinnes jest praktycznie w areszcie domowym, Moskwa musi działać z grubej rury. Czasami rzeczywiście wystawiasz moją cierpliwość na próbę, Bernard.

- Pasuje - odezwałem się.

- I tak samo milion innych wyjaśnień. Najpierw mówisz mi, że bomba była tam po to, by zniszczyć papiery. Teraz chcesz, żeby to była pułapka na Rileya. Zdecyduj się.

- Nie bawmy się w grę słów, Bret. Ważne pytanie to to, czy Stinnes gra na obie strony.

- Zapomnij o tym - rzekł Bret.

- Nie zamierzam zapomnieć o tym, Bret - powiedziałem mu. - Zamierzam wnikać w to dalej.

- Dostarczyłeś nam Stinnesa. Wszyscy mówią, że bez ciebie nie przeszedłby

do nas.

- Nie jestem pewny, czy to prawda - powiedziałem.

- Pomińmy to skromne wypieranie się zasług. Ty go dostałeś i wszyscy przyznają ci to osiągnięcie. Nie zaczynaj chodzić po biurze i opowiadać każdemu, że działa w środku czynny agent KGB.

- Będzie trzeba odebrać mu tę krótkofalówkę - powiedziałem. - Ale to będzie dla niego ostrzeżeniem, że go mamy na oku.

- Powoli, Bernard. Zwolnij do końca. Jeśli przypisujesz winę sobie za śmierć Teda Rileya dlatego, że wydałeś zgodę na posiadanie radia przez Stinnesa, to daruj sobie.

- Nie mogę sobie darować. To była moja sugestia.

- Jeśli nawet Stinnes jest nadal czynny i nawet jeśli fiasko tego wieczoru było rezultatem czegoś umówionego między nim a Moskwą, to i tak radio nie odgrywa w tym większej roli.

Napiłem się trochę whisky. Byłem teraz spokojniejszy; drink pomógł. Postanowiłem nie walczyć z Bretem do chwili, kiedy wstanę i wyjdę trzaskając drzwiami, ponieważ nawet nie czułem się na siłach, aby prowadzić samochód z powrotem do Londynu.

Kiedy nie odpowiedziałem, Bret odezwał się znowu:

- Nie mógł przesłać im żadnych wiadomości. Jeśliby nawet jakimś cudem udało mu się przebrnąć i nadać list, nie było tyle czasu, aby ten list dotarł tam i żeby podjęto odpowiednie decyzje. Co oni mogą mu przekazać, o czym warto wiedzieć?

- Przypuszczam, że niewiele.

- Jeśli w ogóle jest jakaś zmowa, to była opracowana, zanim go dostaliśmy, zanim wyleciał z Mexico City. Używanie tego radia nic nie

znaczy.

- Chyba masz rację - powiedziałem.

- Na górze jest dodatkowa sypialnia, Bernard. Prześpij się, wyglądasz na zmęczonego. Porozmawiamy znowu przy śniadaniu.

To, co powiedział o radioodbiorniku, miało sens i poczułem się lepiej. Ale zauważyłem sposób, w jaki bronił Stinnesa. Czy dlatego, że Bret był agentem KGB? Czy po prostu dlatego, że widział w Stinnesie sposób na odzyskanie mocnej pozycji w Firmie? Czy jedno i drugie?

## Rozdział XVI

Jak zawsze D-G był reprezentowany przez groteskowego Morgana. Było to dziwne, że chociaż nigdy nie miał czasu na branie udziału w tych zebraniach, na których omawiano bardziej banalne aspekty wydziałowej administracji, to zawsze go znajdował, by reprezentować Dyrektora w czasie dyskusji nad operacjami. Zawsze byłem przeciwny sposobowi, w jaki biurokraci z najwyższego piętra bezceremonialnie wkraczali na te zebrania tylko po to, aby czuć się częścią operacji. A zwłaszcza przeciwny byłem takim gryzpiórkom jak Morgan, słuchającym uwag i nawet zgłaszającym swoje komentarze.

Byliśmy w pokoju Breta Rensselaera. Siedział za biurkiem przykrytym szklaną płytą, bawiąc się swoimi piórami i ołówkami. Morgan stał przy ścianie uważnie studiując *Ukrzyżowanie*, maleńki sztych Diirera, odziedziczony ostatnio po jakimś bogatym krewnym. Był to jedyny obrazek w pokoju i wątpię, żeby się tam znalazł, gdyby nie pasował do czarno-białej koncepcji umeblowania wnętrza pomysłu Breta. Poza Morgana sugerowała obojętność, jeśli nie znudzenie, ale uszy aż mu chodziły od wsłuchiwania się w każdy detal rozmowy.

- Musimy teraz się przyczaić - rzekł Dicky. Miał na sobie wyblakłe džinsy oraz koszulę w kratę z otwartym kołnierzykiem, i rozsiadł się na leżance Breta z czarnej skóry, podczas gdy Frank Harrington przycupnął na drugim końcu. - Poruszmy gniazdo szerszeni i Piątka spadnie nam na kark, jeśli pomyślą, że prowadzimy jakieś dalsze działania w tym zakresie.

Dicky naturalnie był wykluczony z tego fiaska, w którym zabito Teda Rileya, i nie odpowiadał mu sposób, w jaki go pominięto, ale nigdy nie był pamiętliwy, powtarzał mi to z milion razy. Zadowolony był tym, że będzie patrzył, jak Bret Rensselaer rąbnie o ziemię całą długością i wykrwawi się na śmierć, ale to nie on, Dicky, wbije mu sztylet. Dicky nie jest Brutusem; to jest tragedia, w której Dicky zadowolony był niemałą rolą. Lecz teraz, gdy Rensselaer chciał przeprowadzić operację uzupełniającą i ocalić z tego bałaganu resztki sukcesu, Dicky nagle zabrał głos.

- Jestem przeciw - powiedział.

- Jest to doskonała okazja - rzekł Bret. - Stracili swoje akta. W tej sytuacji będzie naturalną rzeczą ze strony Moskwy nawiązanie kontaktu.

Przełożył w innym porządku pióra, ołówki, spinacze i duży szklany przycisk do papierów, jak skąpiec liczący swoje bogactwo.

- Czy tak mówi Stinnes? - zapytałem.

Bret popatrzył na mnie, a potem na innych. - Powinienem był wam to powiedzieć... - rzekł.

- Bernard nagle zdecydował, że Stinnes jest tu po to, żeby nas wszystkich rozwalić.

Uśmiechnął się, ale uśmiech ten nie zaprzeczał temu twierdzeniu. Pozostawił to mnie. Byłem zmuszony zmodyfikować tę przesadną uwagę. I Bret oczekiwał tego.

- Powiedziałem to niezupełnie tak, Bret - odezwałem się.

Siedziałem na twardym składanym krześle. Chyba zawsze siadywałem na twardych składanych krzesłach. To było oznaką mojego niskiego statusu.

- No więc co? - rzekł Frank Harrington.

Ściągnął ramiona i barki, jakby chciał stać się jeszcze mniejszy.

- Nie jestem z tego zadowolony - powiedziałem. Chciałem im powiedzieć, że miałem dość dowodów wspierających

pomysł, że należałoby Breta wsadzić do jednego z karnych pokojów w Berwick House, aż do chwili rozpoczęcia dochodzenia. Lecz w obecnej chwili i okolicznościach każda próba podzielenia się moim rozumowaniem i moimi dowodami mogła się jedynie skończyć wsadzeniem tam mnie.

- To tylko takie uczucie - odezwałem się niepewnie.

- No więc, jaki masz plan? - zapytał Frank patrząc na Breta.

- Stinnes mówi, że kurier przywozi pieniądze na opłacenie siatki. Znamy procedurę KGB w tego typu spotkaniach. Skontaktujemy się z siatką, a ja zabiorę dla nich trochę pieniędzy.

- Pieniądzy? A kto ci pokwituje? - spytał Dicky, nagle prostując się i zwracając baczniejszą uwagę na to, co się dzieje.

Dicky potrafił działać bardzo ochronnie, gdy chodziło o fundusze Sekcji Niemieckiej, zwłaszcza gdy wydawał je ktoś inny niż on sam.- Dostaniemy je z centralnego budżetu - rzekł Bret przygotowany na tę uwagę.

- Nie możemy ich dostać z centralnego budżetu - odparł Morgan. - Musiałby być odpowiedni podpis.

Miał na myśli, naturalnie, Dicky'ego i z technicznego punktu widzenia miał rację.

Bret poruszył nogami - przez szklany blat widać było jego buty - i zignorował go. Powiedział do pozostałych:

- Na pewno w czasie eksplozji poszła gotówka i różne wartościowe papiery. A

nawet jeśli tego nie było, potrzebować będą szmalu na dodatkowe wydatki. Mamy doskonałą okazję na głębokie wejście.

- To brzmi jak pieprzone wariactwo, jeśli o mnie chodzi - odezwał się Morgan, zły, że odtrącają go.

- Czy któregoś z nich znamy? - zapytał Frank niejasno. Bret tylko czekał na to pytanie.

- I to jeszcze jak! Znamy ich trzech z dużą dozą szczegółów: jednego z nich mamy w komputerze. Miałem wczoraj długą sesję ze Stinnesem i wiem dokładnie, jak to zrobić.

Frank nadal miał ręce złożone. Zdałem sobie sprawę, że walczył z pokusą, żeby wyjąć fajkę i tytoń; myślenie sprawiało mu kłopot bez fajki w ręku, ale kiedy ostatnio zapalił swój ostry tytoń bałkański *Sobranie*, Bret poprosił go o zaprzestanie palenia. Frank zapytał:

- A może sam byś spróbował, Bret?

Powiedział to głosem normalnym i przyjacielskim, ale nie można było nie zauważyć w nim nuty niewiary, a Bret tego nie lubił.

- Może - powiedział Bret.

- Skąd u ciebie ta pewność, że Bernard się myli? - zaczął Frank. - Skąd masz pewność, że Stinnes nie wysłał twoich dwóch ludzi do tej pułapki? I skąd możesz wiedzieć, że nie planuje czegoś

takiego dla ciebie?

- Bo zabieram Stinnesa ze sobą - odparł Bret.

Zapanowała cisza, którą naruszył jedynie czarny labrador Dyrektora, węszący i drapiący do drzwi. Chciał dotrzeć do Morgana, bo on go wyprowadzał.

- Czyj to był pomysł? - rzucił Dicky.

Dało się słyszeć w jego głosie nutkę podziwu i zazdrości. Tak jak wielu agentów fotelowych tu, na ostatnim piętrze, Dicky zawsze rozprawiał, jak to on chciałby bardzo zadziałać operacyjnie, lecz jak każdy z nich do tej pory, nigdy nic nie zrobił w tej sprawie.

- Mój - rzekł Bret. - To był mój pomysł. Stinnes miał wątpliwości, ale mój amerykański akcent zapewni mi odpowiednie krycie. Mając Stinnesa u boku, uzyskam gwarancję, że nie będą mnie podejrzewać, że pracuję jako agent dla brytyjskiego bezpieczeństwa.

Spojrzałem na niego. Miał dobry argument. Niezależnie od tego jak Bret

wyglądał, nie przypominał żadnego z tych łowców duchów z MI 5, a już niewątpliwie nikogo z Sekcji Specjalnej, tych ciężkobrajnych facetów zabieranych do aresztowań, które miały wyglądać na usankcjonowane literą prawa.

- Może wypali - rzekł Frank Harrington, bez wkładania w tę wypowiedź całej duszy - zakładając, że Moskwa nie nadała sygnału do wszystkich o Stinnesie.

Spojrzał na mnie.

- Jak dotąd nie - odparłem krótko.

Dicky zmienił pozycję i przytaknął ruchem głowy. Potem przecesał włosy palcami i nerwowo uśmiechnął się. Nie wiem, o czym myślał Dicky, byłem natomiast pewien, że chciał, żeby Bret dał mu spokój. Jedynie Morganowi ten pomysł nie leżał. Skamlał i gadał:

- Bret, D-G tego nie zaaprobuje. Przecież, cholera, telefon nadal brzęczy od Piątki z pytaniami na temat tego wybuchu.

Pies, odbierając zarówno woń Morgana jak i dźwięk głosu, drapał znowu do drzwi. Morgan to zignorował.

- Trzeba było im powiedzieć - odezwał się Dicky, którego wspaniałe rady były zawsze spóźnione.

Ale Breta roznosiło. Wiedział, że stawką jest jego kariera. Potrzebny był mu skalp i rozwalenie tej siatki było właśnie tym skalpem.

- Nie muszę mieć żadnego specjalnego pozwolenia. I tak to zrobię.

- Ja bym ci nie radził - rzekł Morgan.

Z obu rękami w kieszeniach przeszedł się po pokoju patrząc na czubki swych butów.

Bret nie lubił, gdy Morgan wykorzystywał swoją pozycję człowieka od załatwiania przykrych spraw w imieniu D-G i zwracał się do wszystkich wyższych stopniem per ty. Nie chodziło tu o wymienianie imienia, ale ten luźny i zbyt familijny sposób, w jaki Morgan zwracał się do ludzi, był niepokojący. Walijski akcent świetnie nadawał się do recytacji poezji, ale również był to akcent, który mógł nadać nawet najprzyjaźniej dźwięczącemu pozdrowieniu odrobinę szyderstwa. Bret rzekł:

- Stary powiedział, że mogę się włamać do biura prawniczego. To część tej samej roboty.

Morgan odwrócił się z uśmiechem. Miał ładne zęby i gdy uśmiechał się, pokazywał je jak w reklamie pasty do zębów. Albo jak ktoś, kto za chwilę ma ugryźć.

- A ja powiem, że nie - wygłosił.

Był tylko jeden sposób, żeby to rozwiązać, i Bret o tym wiedział. Po małej przepychance słownej i rozmowie telefonicznej poszliśmy do biura Dyrektora Generalnego. Nie miał zbytnej ochoty, żeby nas oglądać, ale Bret nalegał łagodnie.

Biuro starego było zabałaganione jak zwykle, chociaż część rzeczy usunięto. Mimo tych poprawek, musieliśmy stać, bo książki leżały na krzesłach i jeszcze piętrzyły się na podłodze.

Sir Henry Clevermore, Dyrektor Generalny, siedział za małym biurkiem koło okna. Nie było tu wiele miejsca do pracy, bo na biurku stały fotografie rodzinne, łącznie z dorosłymi jego dziećmi i ich latoroślami, oraz wazon ciętych kwiatów. Z każdym z nas wymienił pozdrowienia, a potem uroczyście wysłuchał Breta. Nie poprosił Morgana, żeby ten poczynił jakieś uwagi, chociaż Morgan wręcz stawał na palcach, jak to zresztą często robił, gdy czuł się pobudzony.

Bret mówił bardzo wolno. To był najlepszy sposób na rozmowę z D-G, jeśli nie jedyny: rozumiał tylko wtedy, gdy wyjaśniało mu się bardzo powoli. I jeśli człowiek potrafił mówić dość długo, to męczył się i godził na wszystko, byle mieć petenta z głowy. Szczerze mówiąc, stary potrzebował takiego opiekuna jak Morgan, ale Morgan na to nie zasługiwał. Nikt z nas nie zasługiwał.

Bret właśnie wyniszczał najważniejsze rzeczy, kiedy do pokoju wszedł jakiś człowiek z zawiniątkiem materiału pod pachą. D-G wstał, uroczyście zdjął marynarkę i oddał ją nowo przybyłemu, który powiesił ją na wieszaku i schował do szafy w ścianie.

Chociaż Breta w pierwszej chwili niemal zatkało, podjął szybko wątek, aby Morgan nie przejął roli dyrygenta. Ale mówił w sposób mętny.

- Nie przejmuj się Bonym - rzekł D-G, wskazując obcego przybysza. - Był ze mną na wojnie. Przeświełony.

- To raczej delikatna sprawa, sir - rzekł Bret.

- Wychodzę za trzy minuty - rzekł Bony, niski człowieczek w dobrze skrojonym trzyczęściowym wełnianym garniturze.

Zawiesił sfastrygowaną marynarkę na Dyrektorze i całkowicie zapominając o nas, stanął trochę z dala, aby spojrzeć na swoje dzieło. Potem zaznaczył kredą parę miejsc i odpruł kawałki marynarki, tak jak to robią krawcy.

- Klapy były trochę za szerokie w ostatnim - powiedział D-G.

- Teraz nosi się szerokie - rzekł Bony.

Zapisał coś w notesie i bez spoglądania do góry czy przerywania swojej



pisaniny odezwał się:

- Zrobiłem panu bardzo wąskie w porównaniu do tego, co teraz jest noszone.

- Lubię, jak są wąskie - oświadczył D-G, stając prosto jak na paradzie.

- To tylko sprawa pańskiego wyrażenia zgody, Sir Henry - powiedział Bret, starając się wycisnąć zgodę ze starego, gdy ten zajęty był szczegółami swojego nowego garnituru.

- Dwie pary spodni? - spytał Bony.

Włożył parę spinek w usta, kiedy zgarniał obydwoma dłońmi marynarkę.

- Tak - odpowiedział D-G.

- Czy to czasem nie stary zwyczaj, Sir Henry? - zadał pytanie Frank Harrington, zabierając głos po raz pierwszy.

Frank był bardzo blisko ze starym. Szkolili się w jakimś już nie istniejącym ośrodku wojennym i to była ta tajemnicza więź między nimi. Dawało to Frankowi prawo do zwracania się do Sir Henry'ego w sposób, w jaki nikt nie ośmielał się tego robić, nawet zastępca.

- Nie, zawsze tak zamawiam. Zawsze zamawiałem i zawsze zamawiam - odrzekł starszy pan, głaszcząc rękaw.

- Ale można się nieźle spocić, prawda? - rzekł Frank, odgrzebując odwieczny kawał. - Nosić dwie pary spodni na raz.

D-G uśmieł się obowiązkowo, głęboki rechot przypominał trochę ciężki napad kaszlu.

- Uważam, że musimy kontynuować rozmowę - odezwał się Bret, starając się nie mówić niczego, co byłoby zrozumiałe dla Bony'ego. - Źle nam się zaczęło, ale teraz musimy pchnąć sprawę do przodu i coś z tego uzyskać.

- Jestem pod dużą presją - powiedział stary człowiek, macając się ponad obojczykiem. - Bony, muszę tu mieć więcej miejsca, o tu.

Machnął ręką, aby pokazać, że marynarka utrudniała mu ruchy. Bony wygładził tkaninę i siąknął nosem. - Nie oczekuje się od pana gry w golfa w tym garniturze, Sir Henry. To garnitur na co dzień.

- Jeśli przerwiemy teraz, to źle na tym wyjdziemy - rzekł Bret. - Problem, na który natknęliśmy się, to był po prostu brak łutu szczęścia. Żadnych operacyjnych błędów nie ma. Operacja powiodła się, ale pacjent zmarł.

Bony stał za Dyrektorem, ciągnąc za resztki na poły gotowego ubrania. - Nie ruszać się, sir! - rozkazał zapalczywym głosem, który nas wszystkich

zaszokował.

Ani Bret, ani nawet Frank Harrington nie odezwałby się w ten sposób.

- Przepraszam, Bony - powiedział D-G. Ale Bony nie przyjął lekko przeprosin.

- Jak wyjdzie źle, to będzie pan mnie winił - ze wzburzeniem odparł rzemieślnik będący jednoosobową firmą.

- Przyniosłeś te materiały? - spytał D-G. - Obiecałeś przynieść próbki tkanin.

W głosie D-G była pewna odwetowa drażliwość, tak jakby próbki były czymś, co Bony zapomniał przynieść już wiele razy w przeszłości.

- Nie radziłbym syntetyków - rzekł Bony. - Błyszczą się. Nie będą pasować do pańskiego stanowiska, Sir Henry. Ludzie pomyśleliby, że to garnitur ze sklepu.

Aż nim zatrzęśło na myśl, że Sir Henry Clevermore miałby nosić połyskliwy, syntetyczny, gotowy garnitur. Bret odezwał się:

- Mamy znakomite perspektywy, Sir Henry. Byłoby to niewybaczalne odrzucić taką okazję.

- Jak długo? - rzekł D-G.

Bony popatrzył na niego, jakby chciał zorientować się, czy chodzi o czas na wykonanie garnituru, zdecydował jednak, że pytanie nie było do niego, więc powiedział:

- Chcę, żeby pan spojrział na wełnę. To jest akurat dla pana. Pomachał próbkami w powietrzu. Wydawały się być praktycznie

identyczne z materiałem garnituru, jaki D-G nosił, gdy weszliśmy do pokoju; praktycznie identyczne z tkaninami, jakie Dyrektor zawsze nosił.

- Dwa tygodnie - oświadczył Bret.

- Lubisz, żeby było szybko - rzekł D-G.

Zarówno Bony, jak i Bret zaprzeczyli, chociaż okazało się, że oskarżenie skierowane było do Bony'ego, ponieważ D-G dodał:

- Gdyby wszyscy nalegali na materiały odporne na zużycie, to straciłbyś interes.

Bony musiał być bardziej oburzony niż Bret, ponieważ odpowiedział głośno pierwszy.

- Ależ to nonsens, Sir Henry, i pan o tym wie. Ma pan garnitury ode mnie sprzed dwudziestu lat i ciągle są dobre. Moja reputacja zależy od tego, żeby klienci wyglądali jak najlepiej. Gdybym uważał, że sztuczny materiał jest dla pana najlepszy,

to z radością bym go panu dostarczył.

- Nawet tydzień wystarczyłby - odezwał się Bret, wyczuwając, że pierwsza propozycja była nie do zaakceptowania.

- Gdyby syntetyczna tkanina była droższa od wełny, tobyś mi sprzedawał z takim samym entuzjazmem - powiedział D-G.

Pokiwał palcem na krawca jak małe dziecko na rodzica, gdy przyłapie go na kłamstwie.

- Absolutnie nie - rzekł Bonny.

D-G wypowiadał swoje teksty z pewną dozą rutyny, ale Bony zareagował świeżym i poważnym tonem bliskim złości. D-G robił wrażenie, że lubi te wymiany zdań; może ten rodzaj sparringu skłaniał go do zamawiania garniturów u niezłomnego Bony'ego.

- Przetrzymam barbarzyńców przez tydzień - wyraził zgodę Dyrektor.

Nie musiał Bretowi wyjaśniać, że barbarzyńcy byli w Home Office, ani też że po tygodniu głowa Breta może zostać im przekazana.

- Dziękuję, sir - rzekł Bret, rozsądnie kończąc dyskusję.

Ale D-G nie był całkowicie pochłonięty próbkami materiału, które teraz obracał w palcach blisko okna.

- Kogo przeznaczysz do tej roboty? - spytał bez podnoszenia wzroku.

Bony wręczył mu drugą partię próbek.

- Nie bardzo mi na tym zależy - rzucił D-G. Nadal patrzył na próbki i na kilka chwil zapadła cisza, podczas której Bony i Bret próbowali zdecydować, do którego z nich zaadresowana była ta uwaga. - No, ale ty masz tym kierować, więc przypuszczam, że będę musiał ci pozwolić na podjęcie decyzji.

- Tak jest. Dziękuję - odparł Bret.

- Jeśli chce pan błyszczący materiał, to co powie pan na ten? - zapytał Bony, wskazując na jedną z próbek.

- Nie umieram z tęsknoty za błyszczącym garniturem - powiedział D-G ze złośliwością. - Ale chcę spróbować jednej z tych sztucznych mieszanek.

Bret zmierzał w kierunku drzwi. Bony odezwał się:

- One dobrze wyglądają w próbkach, ale niezbyt nadają się do szycia.

- Jedna wełna i jedna mieszanka. Powiedziałem ci to na Początku... pierwsza przymiarka. - Popatrzył za odchodzącym Bretem i dodał: - Będziesz musiał wziąć...

Skinął głową w moim kierunku. Nieźle mnie znał. Od czasu doczasu jadałem

z nim lunch. Widywał mnie praktycznie każdego dnia w Firmie przez prawie sześć lat, ale nadal nie potrafił zapamiętać mojego nazwiska. Tak samo było z większością personelu Firmy, ale mimo to irytowałem się.

- Samsona - podpowiedział Bret Rensselaer.

- Samsona. Tak. - Uśmiechnął się do mnie. - Weź go ze sobą. On wie jak robi się te rzeczy - powiedział D-G.

Wynikało stąd ni mniej ni więcej, że nikt z obecnych tu poza mną nie znał się na robocie, więc przytrzymał mnie wzrokiem, jak gdyby dla podkreślenia, że właśnie dokładnie to miał na myśli. Chyba mnie lubił; w końcu przecież przetrwałem sporo skarg ze strony różnych członków wyższego personelu. A może po prostu był dobry w tym, co nazywa zarządzaniem.

Ale teraz chciałem zaprotestować. Spojrzałem na Breta i zauważyłem, że on też chciał zaprotestować. Ale mówienie czegokolwiek nie miało już sensu. Audiencja u D-G skończyła się. Widząc nasze wahanie, machnął próbkami w naszą stronę, jak odgania się muchy.

- I bądźcie w kontakcie z Morganem - dodał.

Serce mi omdlało, a Bret zacisnął zęby ze złości. Obaj wiedzieliśmy, co to oznacza; da to Morganowi, temu facecinie o nijakiej twarzy, *carte blanche* na obmyślenie całej operacji z powołaniem się na imię D-G, jako osoby go do tego upoważniającej.

- Bardzo dobrze, sir - rzekł Bret.

Tak więc znalazłem się nierozzerwalnie związany z amatorską próbą infiltracji siatki Cambridge Breta Rensselaera. I ja byłem jedyną osobą podejrzewającą go o zdradę stanu. Do pomocy będziemy mieli Stinnesa - jego imię Bret przebiegle pominął w dyskusji - jedyną osobę, której nie wierzyłem.

## **Rozdział XVII**

Dostaję białej gorączki słysząc o twoim wspaniałym tatusiu - rzekł nagle Bret.

Dłuższy czas milczał. Złość wzbierała w nim i nawet bez powodu musiał to wywalić.

A co ja takiego powiedziałem o ojcu, co dotknęło go do żywego? Chyba tylko to, że nie pozostawił mi żadnych pieniędzy - żadna uwaga, żeby reagować na nią z taką pasją.

Siedzieliśmy w całonocnej pralni. Udawałem, że czytam gazetę leżącą na

moich kolanach. Była druga trzydzieści rano, a na zewnątrz bardzo ciemno. Niewiele dało się zobaczyć przez okno, bo ten mały sklep przypominał jasnoniebieską kostkę zawieszoną w ciemnych podmiejskich uliczkach Hampstead. Z głośnika u sufitu dolatywały miękko zgrzytliwe dźwięki muzyki pop, zbyt wyciszzonej, żeby ją rozpoznać. Tuzin dużych pralek stał pod ścianą. Biała emalia tu i ówdzie odpadła albo nosiła różne inicjały porządniejszych wandalii. Na podłodze, niczym żółty śnieg, leżał rozsypany proszek do prania, a z automatu w rogu pomieszczenia zalatywało ostrym zapachem gotowanej kawy. Siedzieliśmy na samym końcu długiego rzędu krzeseł, stojących przed pralkami. Razem z Bretem gapiliśmy się na wielkie cyklopy obracające brudną bieliznę w potokach mydlin. Klienci przychodzili i wychodzili więc większość maszyn pracowała. Co kilka chwil mechanizmy produkowały głośne stukoczące dźwięki, a czasami buczące i przechodzące w pisk, gdy jeden z bębnow zaczął wirować.

- Mój ojciec był pijakiem - odezwał się Bret. - Jego dwaj bracia zmusili go do odejścia z zarządu po tym, jak rąbnął w nos jednego z najlepszych klientów banku. Miałem wtedy około dziesięciu lat. Później tylko ja jeden dbałem o niego.- A co z matką?

- Należy mieć nieskończoność współczucia, aby dbać o moczy-mordę - powiedział Bret. - Matka nie miała tego daru. A braciszek Sheldon zajmował się tylko pieniędzmi starego. Powiedział mi to. Sheldon pracował w banku z moimi wujami. Zamykał drzwi sypialni na klucz i odmawiał otwarcia, gdy ojciec się upijał.

- Nigdy nie próbował przestać?

- Próbował. Naprawdę próbował. Matka nigdy nie wierzyła, ale on naprawdę próbował. Nawet pojechał do kliniki w Maine. Pojechałem z nim samochodem. Ponure miejsce. Nie pozwolił mi przekroczyć progu. Ale po kilku tygodniach od powrotu, znowu pił... Nikt z nich nie chciał mu pomóc. Ani Sheldon, ani matka, nikt. Bardzo nie chciałem zostawić go, gdy odchodziłem do marynarki. Umarł, zanim jeszcze wyszedłem w morze.

Bret spojrział na zegarek, a potem na jedyną oprócz nas osobę w pralni: dobrze ubrany mężczyzna, siedzący w pobliżu drzwi, czytający *Le Monde* i pijący kawę z papierowego kubka.

Mężczyzna rzucił kubek na podłogę, wstał i otworzył szklane drzwiczki, żeby opróżnić maszynę i wepchnąć swoją wilgotną bieliznę do plastikowej torby. Przed wyjściem kiwnął w naszą stronę głową. Bret popatrzył na mnie, niewątpliwie

zastanawiając się, czy to mógł być pierwszy kontakt z ich strony, ale swoich podejrzeń nie wypowiedział na głos. Rzekł:

- Może nie kupią. Powinniśmy mieć tu ze sobą Stinnesa. W zeszłym roku dostarczył im pieniądze w gotówce, dlatego wiej dokładnie, jak to się robi.

Rozpoznaliby go. To byłoby dobre.

Nalegałem, żeby Stinnes został w drugim samochodzie.

- Tak będzie lepiej. Chcę mieć Stinnesa tam, gdzie będzie chroniony. Jeśli będzie nam potrzebny, możemy go mieć w ciągu dwóch minut. Zostawiłem z nim Craiga. Craig jest dobry.

- A mimo to powiem, że powinniśmy wykorzystać Stinnesa do oporu.

- Nie chcę, aby siedział tu, pod lampą; dobry cel dla każdego przejeżdżającego. Nie chcę, żeby siedział tu z gorylem. I na pewno nie chcemy dać Stinnesowi broni.

- Może masz rację.

- Jeśli będą na poziomie, to wszystko będzie OK.

- Jeśli oni pomyślą, że my jesteśmy na poziomie, wszystko będzie OK - poprawił mnie Bret. - Ale oni na pewno będą spięci.

- Oni łamią prawo, nie ty, pamiętaj o tym. Będą nerwowi. Zachowaj spokój, a wszystko pójdzie gładko.

- Nie wierzysz w to tak naprawdę; próbujesz sam siebie przekonać - odparł Bret. - Spierasz się ze mną całą drogę. „- Masz rację - przyznałem.

Bret pochylił się do przodu, aby sięgnąć do torby z praniem umieszczonej między jego stopami. Miał na sobie stary płaszcz od deszczu i tweedową czapkę. Nie wiem, skąd je wytrzasnął; normalnie takich rzeczy Bret nie nosił. Po raz pierwszy miał do czynienia z akcją w terenie i nie mógł się pogodzić z tym, że nie próbowaliśmy wyglądać jak autentyczni klienci pralni, próbowaliśmy wyglądać jak kurierzy KGB, próbując wyglądać jak klienci pralni.

- Stinnes naprawdę był dobry - rzekł Bret. - Rozmowa telefoniczna przeszła idealnie. Miał słowa kodu - oni zwą się „Bingo” - i suma... cztery tysiące dolarów. Uwierzyli, że jestem stałym kontaktem przejeżdżającym tędy tydzień wcześniej. Nie mieli podstaw do podejrzeń.

Pochylił się jeszcze niżej, aby wymacać w torbie pieniądze zwinięte w mały pakiecik pod praniem. Wedle Stinnesa, tak zwykle się robiło. Nie powiedziałem ani słowa. Bret wyprostował się mówiąc:

- Chyba nie można być zbyt podejrzliwym w stosunku do faceta mającego ci dać cztery tysiące dolców bez zadawania żadnych pytań, co?

- I ty to właśnie zrobisz?

- Tak będzie lepiej. Dajemy im forszę i mówimy cześć. Chcę ich podbudować. Na następnym spotkaniu zbliżę się do nich.

- To bardzo buduje zaufanie, cztery tysiące dolarów - odpowiedziałem.

Bret za bardzo denerwował się, żeby doszedł do niego sarkazm zawarty w moim głosie. Uśmiechnął się, kiwnął głową i przyglądał się brudnemu praniu, jak obraca się w maszynie.

- Robił się gwałtowny, mój ojciec. Niektórzy piją i jest im wesoło albo robią się kochliwi. Ale ojciec upijał się na zawadiakę lub na smutno. Czasami, kiedy jeszcze byłem małym dzieckiem, pół nocy Potrafił przesiedzieć mówiąc mi, że zrujnował moje życie, zrujnował życie matce i zrujnował swoje własne. „Jesteś jedynym, jakiego mam, Bret” mawiał. A za chwilę próbował się ze mną bić, bo nie pozwalałem mu wypić kolejnego drinka. Nie zwracał uwagi na mój wiek; zawsze Przemawiał do mnie jak do dorosłego.

Do pralni wszedł mężczyzna. Młody, smukły, w dzinsach i krótkiej ciemnej kurtce. Na głowie miał jasnoniebieską wełnianą kominiarkę narciarską, ze szczelinami na oczy i usta. Kurtkę miał rozpięta

wydobył spod niej obrzynka.- Ruszamy - odezwał się.

Był podniecony i zdenerwowany. Mierzył dubeltówką w naszą stronę i podrzucał głową na znak, żebyśmy ruszali.

- Co to jest? - rzekł Bret.

- Bingo - odparł człowiek. - Mówi Bingo.

- Mam to tutaj - rzucił Bret.

Wydawał się zastygły w swojej postawie, a ponieważ Bret się nie ruszał, chłopak z bronią robił się coraz bardziej nerwowy.

- Już! Już! Już! - wrzeszczał wysokim, napiętym głosem. Bret wstał trzymając w ręku torbę z praniem. Wszedł drugi

mężczyzna. Podobnie zamaskowany, ale większy i, sądząc po jego ruchach, starszy, gdzieś koło czterdziestki. Ubrany był w krótki, obszerny, skórzany płaszcz. Stanął w drzwiach spoglądając najpierw na tego z dubeltówką, potem do tyłu; musiało być ich trzech. Jedną rękę trzymał w kieszeni płaszcza, w drugiej ścisnął bukiet kolorowych drutów.

- Co tak wolno? Mówiłem ci...

Słowa zginęły w stłumionym huku, od którego zatrzęsły się okna w sklepie. Na ulicy widać było wybuch ognia przez chwilę palącego się jaskrawo. Miało to miejsce po drugiej stronie jezdni. Mogła to być jedna jedyna rzecz: wysadzili w powietrze samochód. Ten drugi rzucił wiązkę drutów na podłogę. O Boże! W tym samochodzie był Stinnes. To skurwiele!

Bret stał, gdy samochód wybuchł, bezpośrednio pomiędzy mną a dwoma mężczyznami. Eksplozja odwróciła ich uwagę, dostarczyła mi tak potrzebnej chwili na działanie. Pochyliłem się do przodu, aby spojrzeć za Breta. Pistolet z tłumikiem leżał mi na podolku, zawinięty w gazetę. Strzeliłem dwa razy do młodszego. Nie upadł, ale upuścił dubeltówkę i osunął się na pralki trzymając się za pierś.

- Na dół, Bret! - zawołałem i pchnąłem go na podłogę, zanim ten drugi kawalarz zaczął strzelać. - Nie ruszać się! - wrzasnąłem.

Potem pobiegłem wzdłuż pralek, kopiąc dubeltówkę w stronę Breta. Nie mogłem zostać i odgrywać niańki wobec Breta, lecz jeśli był on agentem KGB, to mógł podnieść dubeltówkę i przyłożyć mi z tyłu.

Starszy nie czekał, by zobaczyć, czego chciałem. Wpadł przez drzwi z napisem: PERSONEL, zanim mogłem do niego strzelić. Pobiegłem za nim. Tu było biuro - najmniejsza przestrzeń biurowa, jaką można sobie wyobrazić: mały stolik, krzesło, tania skarbonka, jakiś termos, brudna filiżanka i stary numer *Daily Minor*.

Przebiegłem przez następne drzwi i znalazłem się u podnóża schodów. Drzwi łomotnęły za mną i nagle zrobiło się ciemno. Jakiś korytarz prowadził do drzwi od ulicy. Nie miał czasu wyjść na ulicę, ale mógł tam czekać na mnie w ciemności. Gdzie on jest? Na chwilę zatrzymałem się, przyzwyczajając wzrok.

Gdy już miałem zacząć przeszukiwać korytarz, doszedł mnie dźwięk kroków na górnym piętrze. Potem rozległ się głośny huk. Błysk oświetlił schody i śrut sieknął po tapecie. A więc ten skurwiel też ma dubeltówkę. Musiał ją mieć pod zapiętym płaszczem; trudno było mu ją wydostać, więc musiał dać drapak. Ten strzał to było tylko ostrzeżenie, oczywiście - aby mi pokazać, co mnie czekało, gdybym wspiął się po schodach.

Nie szukałem okazji, by zostać bohaterem, ale usłyszałem, jak idzie na następne piętro, więc poszedłem na pierwsze, biorąc po dwa stopnie naraz. Miałem gumowe podeszwy. Tyle robił hałasu, że chyba mnie nie słyszał. Ale kiedy zatrzymałem się na następnym podejściu, on też się zatrzymał. W leksykonie walki



wręcz wspinaczka ciemnymi schodami w ataku na dubeltówkę znajduje się wysoko na liście przykazań rozpoczynających się od słów: „Nie wolno nigdy...”.

Miałem złą pozycję. Czy widział mnie, czy też zgadywał, gdzie mogłem być? Ruszył przez podest, wycelował w dół schodów i pociągnął za spust. Rozległ się huk połączony z błyskiem i odgłos uciekających kroków. Próbował mnie zabić, kiedy nie posłuchałem jego strzału ostrzegawczego. Buum! O Jezu! Kolejny strzał i uderzenie fali. Poczułem je i odskoczyłem przestraszony i zdezorientowany. Przez chwilę pomyślałem, że musi ich być dwóch, ale to był tylko objaw mojego strachu. Podobnym objawem była ta zimna klucha w brzuchu.

Znieruchomiałem, serce mi łomotało, a twarz paliła. Było kompletnie ciemno z wyjątkiem przeblýsku światła spod drzwi biura piętro niżej. Wyobraziłem sobie, że widzę bladą plamę tam, gdzie wychylał się przez balustradę, aby mnie dojrzeć. Chyba zdjął wełnianą maskę, za gorąco.

Stałem całkowicie nieruchomo, barki przyciśnięte na płask do ściany i czekałem, czy zrobi coś jeszcze głupszego. Dawaj, dawaj, dawaj! Wkrótce dadzą się słyszeć syreny policyjne, a ja będę stał przed audytorium na zewnątrz. Z drugiej strony, on też tam będzie stał.

Pot skapywał mi po twarzy, ale usta miałem suche i szorstkie jak Papier ścierny. Oddychałem powoli i cichutko, co kosztowało wiele Wysiłku. Wydział będzie dumny, że zastrzeliłem tego na dole, zwłaszcza Jeśli napiszę w raporcie, że zrobiłem to w obronie Breta. Działanie w obronie wyższych rangą członków personelu z górnego piętra w Centrali było czymś, czego Wydział nie będzie starał się ukryć. Ale nie będą zbyt zadowoleni z konieczności wydobycia mnie z łap policji miejskiej. Zwłaszcza teraz, kiedy nasze obecne stosunki z Home Office były zdecydowanie burzliwe.

Aaa... trwanie nieruchomo opłaciło się! To był on. Nachylił się i błysk światła z dołu padł na jego czoło. Nie jestem mściwy, ale byłem przestraszony i zły. Nie chciałem pozwolić jakiemuś łobuzowi wysadzać w powietrze naszych samochodów, podstawiać mi dubeltówkę pod nos i próbować mnie zabić, tak jak zabili Teda Rileya. Ten mi się nie wymknie.

Podniosłem wolno pistolet i starannie wycelowałem. Może dostrzegł mnie, a może tylko ruch pistoletu. Dał nurka z powrotem, kiedy pociągnąłem za spust. Za późno. Stałem nieruchomo, pistolet uniesiony. Policzyłem do dziesięciu i miałem szczęście. Mój bezruch zachęcił go do ponownego wychylenia, tym razem uczynił to

ostrożniej, ale niedostatecznie ostrożnie. Władowałem w niego dwa strzały. Pistolet z tłumikiem zatańczył mi w dłoni i po jego dwóch stłumionych puknięciach usłyszałem wrzask, trzask i łomot drzwi, gdy tamten wpadał do pokoju na podeście nade mną.

Musieli korzystać z tego pokoju. Może jeden, może wszyscy byli na górze czekając na nas. Dlatego nasi ludzie ustawieni po drugiej stronie ulicy nie ostrzegli nas.

Przez chwilę wahałem się. Chciałem obejrzeć ich kryjówkę, ale czas naciskał, a konsekwencje mogły być zbyt poważne. Pobiegłem na dół i poprzez biuro - przewracając przy okazji skarbonkę na podłogę - wpadłem do pralni. Monety i banknoty rozsypały się po podłodze; może to przekona policję, że było to nieudane włamanie. Po ciemności klatki schodowej światła pralni świeciły oślepiającą jasnością: jasność i para. Na poły przymknąłem oczy usiłując zapamiętać wszystkie szczegóły z wnętrza pralni.

Ulicę oświetlały płomienie palącego się samochodu. Zobaczyłem trzeciego. Również ubrany był w krótką kurtkę. Siedział na motocyklu i właśnie udało mu się go zapalić, gdy podniosłem pistolet i oddałem strzał. Był jednak szybki. I na tyle silny, aby obrócić ciężką maszynę prawie w miejscu, otworzyć przepustnicę i odjechać z rykiem silnika. Wystrzeliłem jeszcze raz w jego kierunku, ale potem już tylko widziałem ciemną smugę na tle frontowych domów. Za ciemno, za duży odchył i zbyt wielka możliwość wpakowania paru kul do czyjejś sypialni. Wróciłem więc do pralni, aby zobaczyć, co robi Bret.

Bret nie robił nic, tylko trzymał mocno pod pachą torbę z praniem i patrzył na zamaskowanego chłopaka krwawiącego jasną pienistą krwią. Chłopak nadal trzymał się pralki, jakby chciał przesunąć ją w inne miejsce. Stopy miał szeroko rozstawione, krew widniała na białej emalii, krew na szkle i krew zmieszana z mydlinami wylanymi na podłogę.

- Mam dosyć - powiedziałem. - Chodź, Bret. Wsadziłem pistolet do kieszeni płaszcza. Bret był w szoku. Dałem

niemu kuksańca w zębra, by sprowadzić go do rzeczywistości. Mrugał i potrząsał głową jak bokser, usiłujący rozjaśnić umysł po ciosie. Wrócił do siebie i ruszył za mną do mojego samochodu zaparkowanego na rogu.

- Zostań w wozie - odezwałem się otwierając drzwi i wpychając go na przednie siedzenie. - Muszę iść do innych.

Bret nadal trzymał torbę z pieniędzmi i praniem. Był jak w transie. Kiedy

usiadł na fotelu, położył sobie torbę na kolanach i objął ramionami jak jakieś żywe ciało. Po drugiej stronie ford escort, którym przyjechał Stinnes i jego ochroniarz, nadal płonął, chociaż teraz płomienie przechodziły w czarny dym, gdyż zapaliły się opony.

- On jest tutaj - powiedział Bret mając na myśli Stinnesa.

- O kurwa! - krzyknąłem.

Ku mojemu zdziwieniu Bret miał rację. Stinnes przeżył bombę. Stał przy drzwiach mojego rovera czekając, aż go wpuszczę do środka.

- Siadajcie z tyłu.

Jego ochroniarz stał tuż obok. Dopiero gdy niezdarnie włązili do tyłu, zauważyłem, że byli skuci razem kajdankami. Ochroniarz, przykuwający się do swego obiektu, jest ochroniarzem, który nie chce ryzykować, lecz dzięki temu uratował Stinnesa od niechybnej śmierci. Craig był potężny i muskularny; nawet King Kong musiałby iść tam, gdzie szedł Craig, gdyby był do niego przykuty kajdanami. Uruchomiłem silnik i odjechałem, zanim pojawił się jakikolwiek wóz policyjny. Przypuszczam, że czcigodna część Hampstead nie przyciąga zbyt wielu policji we wtorek o trzeciej nad ranem.

- Co się stało, do cholery? - spytałem.

- Widziałem, jak nadchodzili - rzekł Craig. - Amatorzy, pełni amatorzy. - Był bardzo młody, nie więcej jak dwadzieścia lat. - Więc nałożyłem kajdanki i wyszliśmy.

Miał proste spojrzenie na świat, taka jest większość ochroniarzy. I miał rację; zachowywali się jak amatorzy, więc wyglądało to zagadkowo. Nawet nie zauważyli Craiga i Stinnesa uciekających z samochodu. Amatorzy. Ale KGB nie zatrudniało amatorów-likwidatorów i to mnie niepokoiło. Minęliśmy samochód policyjny Przy Domku Szwajcarskim. Grzali ze sto dziesięć na godzinę po złej stronie jezdni, z błyskającym niebieskim światłem i włączoną syreną. Robili zupełnie to samo, co można oglądać w kinie nocnym TV. Bret wracał do życia.

- Co ty o nich mówiłeś, że przyjdą zdenerwowani? - zaczął. Głos mu drżał; nagle doświadczył życia po tej ostrej stronie Wydziału i było to dlań szokiem.

- Bardzo zabawne, Bret - odezwałem się. - Czy ten żart należy powiedzieć przed czy po tym, kiedy mi podziękujesz za uratowanie ci życia?

Z tyłu młody Craig zakaszlał przypominając mi, że tylne siedzenie zajęte jest przez ludzi mających uszy.

- Uratowanie mi życia, ty sukinsynu?! - krzyknął Bret w histerycznej złości. -

Najpierw strzelasz, używając mnie jako tarczy. Potem wybiegasz zostawiając mnie na pastwę losu.

Zaśmiałem się.

- Takie to już życie agenta operacyjnego, Bret - rzekłem. - Gdybyś był doświadczony lub przeszkolony, od razu runąłbyś na podłogę. I jeszcze lepiej, załatwiłbyś tego drugiego, zamiast zostawiać mi całą robotę.

- Gdybym miał doświadczenie lub przeszkolenie - odezwał się groźnie - to przeczytałbym ci odpowiedni ustęp z regulaminów dotyczący używania broni palnej w miejscach publicznych.

- Mnie tego nie musisz czytać, Bret - odparłem. - Powinieneś być to przeczytać temu skurwielowi z obrzynkiem. I temu drugiemu, próbującemu zrobić mi przedziałek na głowie, zanim poszedłem na górę.

- Zabiłeś go - rzekł Bret. Nadal ciężko oddychał. Był roztrzęsiony, naprawdę roztrzęsiony, podczas gdy mnie rozsadzała adrenalina, tak że mogłem wygłosić takie rzeczy, jakich lepiej byłoby nie mówić. - Wykrwawił się na śmierć. Patrzyłem na niego.

- Dlaczego nie udzieliłeś mu pierwszej pomocy? - odezwałem się sarkastycznie. - Bo musiałbyś stracić te cztery patole? Czy dlatego?

- Mogłeś go po prostu zranić - rzekł Bret.

- To tylko w kinie takie numery, Bret. Dobre dla szeryfa Wyatt Earpa i Jessie Jamesa. W prawdziwym świecie nikt nikomu nie wytrąca sploty z ręki jednym strzałem ani nie rani go tylko w ramię. W prawdziwym świecie albo trafiasz, albo pudłujesz. Jest i tak dużo kłopotu z trafieniem w poruszający się cel, żeby mówić o wybieraniu jakichś tam fragmentów anatomicznych. Więc nie pieprz mi tutaj.

- Zostawiliśmy go, żeby umarł.

- Masz rację. I gdybyś poszedł za mną z tą strzelbą, którą kopnąłem w twoją stronę, i krył mnie, to zobaczyłbyś, jak zabijam drugiego skurwiela.

- Czy napiszesz o tym w swoim raporcie? - zapytał Bret.

- Masz całkowitą rację, że będzie o tym w moim raporcie. I będzie też o tym, jak stałeś niczym manekin krawiecki, gdy ja potrzebowałem wsparcia.

- Jesteś maniakiem, Samson - rzekł Bret.

Erich Stinnes pochylił się z tylnego siedzenia do przodu i łagodnie rzekł:

- Tak to jest, panie Rensselaer. To co zrobił Samson, ja też bym zrobił. Tak zrobiłby każdy prawdziwy zawodowiec.

Bret nic nie powiedział. Trzymał torbę i patrzył w przestrzeń, zagubiony w myślach. Wiedziałem, o co chodzi; widziałem to u innych. Bret już nigdy nie będzie tym samym Bretem. Nie było go wśród nas; wycofał się do jakiegoś wewnętrznego świata, do którego wszelkim parszywym realiom jego pracy wstęp był zakazany.

Potem powiedział cicho jakby myślał mówiąc:

- A naprawdę, to kochał Sheldona. Nie mnie, tylko Sheldona.

\* \* \*

- Nie, nie chcę nic z tych rzeczy - rzekł Dicky. - To nie jest raport, to diatryba.

- Jakbyś tego nie nazwał, jest to prawda - odparłem. Siedzieliśmy obok siebie w saloniku domu Cruyerów. Dicky miał

na sobie bluzę od dresu z napisem „I love New York”, dzinsy i sportowe pantofle do biegania, z tymi specjalnymi, białymi, grubymi skarpetkami, rzekomo zmniejszającymi szok przenoszony na kręgosłup. Oglądaliśmy w telewizji wiadomości, żeby zobaczyć, czy będzie coś o strzelaninie w Hampstead, ale nie było. Gaz syczał w palenisku sztucznego kominka, a w telewizorze pojawiło się czworo nijakich muzyków w strojach punków. Przez chwilę odwrócili uwagę Dicky'ego.

- Popatrz tylko na tych miauczących durniów - rzucił. - Czy wypruwamy sobie flaki po to, by Zachód mógł oglądać takie barachło?

- Niezupełnie - odparłem. - Nam również płacą. Podniósł pilota i zredukował grupę pop do kropki światła, która

znikła z ekranu przy leciutkim trzasku odbiornika. Potem ponownie wziął brudnopis mojego raportu i udawał, że czyta od nowa, ale tylko trzymał go przed sobą zastanawiając się, co powiedzieć dalej.

- To twoja wersja prawdy - powiedział z pedanterią w głosie.

- Jedyne, jaką mam - odpowiedziałem. - Spróbuj jeszcze raz.

- Każdy potwierdzi tę wersję prawdy - rzekłem. - Każdy, kto tam był.

- Kiedy wreszcie wbijesz sobie do swojego zakutego łba, że nie chcę twojego niepokalanego świadectwa? Chcę czegoś, co trafi do starego i nie wpędzi mnie w kłopoty. Rzucił maszynopis na stół. Potem podrapał się w kędzierzawą głowę. Martwił się. Nie chciał znaleźć się w samym środku wydziałowej bitwy. Dicky lubił odnosić zwycięstwa tajnymi sposobami.

Wychyliłem się z krzesła, zabierając moje starannie przepisane stronicę. Lecz Dicky łagodnie wyjął mi je z rąk. Po złożeniu wepchnął je pod przycisk leżący po drugiej stronie.

- Zapomnij o tym, Bernard - rzekł. - Zaczynaj od nowa.
- To może tym razem powiesz mi, co mam napisać - zasugerowałem.
- Ja ci naszkicuję - powiedział. - Bardzo krótko. Wystarczą jedynie

podstawowe sprawy.

- Widziałeś raport Breta? - spytałem.

- Raportu Breta nie było, było tylko spotkanie. Bret musiał podać krótki opis wszystkiego, co wydarzyło się od czasu przejęcia sprawy Stinnesa. - Dicky uśmiechnął się nerwowo. - Nie był to materiał nadający się do budowania kariery.

- Chyba nie - odparłem. Opis wszystkiego, co wydarzyło się od chwili, gdy Bret wziął na

siebie odpowiedzialność za Stinnesa, był jednym pasmem nie kończących się porażek. Ciekaw byłem, ile winy za to Bret zwałił na mnie.

- Zdecydowano, że Stinnes powinien natychmiast powrócić do Berwick House. A Bret ma informować starego o wszystkim, co zamierza w stosunku do niego zrobić.

- Berwick House? Po co ta panika. Wszyscy mówili, że przesłuchanie przebiega dobrze, od kiedy się tam przenieśliśmy.

- Nie chodzi o ciebie, Bernard. Ale Stinnesa mało nie zabili. Gdyby nie ten Craig, toby go załatwili. Nie możemy jeszcze raz ryzykować, Bernard. Stinnes jest zbyt cenny.

- Czy będzie to miało wpływ na wysłanie Breta do Berlina?

- Nie konsultuję tego ze mną, Bernard. - Skromny uśmiech, po to, by pokazać mi, że mogliby konsultować to z nim. W rzeczywistości obaj wiedzieliśmy, że Morgan był zależny od prawa Dicky'ego do wyrażenia weta w sprawie tego berlińskiego przydziału. - Ale dobrze będzie, jeśli Bretowi uda się uniknąć zawieszenia.

- Zawieszenia?

- Tak tego nie nazwą. Raczej urlopem naukowym albo urlopem płatnym.

- No, ale nawet...

- Bret zrobił sobie wielu wrogów w Wydziale - rzekł Dicky.

- Czy masz na myśli siebie i Morgana?

Dicky wzburzył się słysząc takie oskarżenie. Wstał z krzesła, podszedł do kominka i zaczął bawić się oprawnym w ramki zdjęciem swojej łodzi, patrzył na nie przez chwilę, a potem wytarł chusteczką, zanim postawił z powrotem przy zegarze.

- Nie jestem wrogi Bretowi. Lubię go. Wiesz, że usiłował przejąć mój dział, ale nie mam mu tego za złe.

- Ale?

- Ale istnieją różne nieukończone rzeczy, wynikające ze sprawy Stinnesa. Bret zachowuje się jak słoń w składzie porcelany. Najpierw było fiasko w Cambridge. Teraz strzelanina w Hampstead. I czym możemy się pochwalić? W ogóle niczym.

- Nikt nie próbował go powstrzymać - odezwałem się.

- Chcesz powiedzieć, że nikt nie słuchał twoich prób powstrzymania go. Tak, masz rację, Bernard. Ty masz rację, a Bret nie. Ale Bret był bardzo zdecydowany prowadzić to osobiście, a przy jego starszeństwie w hierarchii nie było tak łatwo przeszkodzić mu w tym.

- Ale teraz jest łatwo?

- Nazywa się to „przełamedem” - rzekł Dicky.

- Dlaczego nie można było nazwać tego „przełamedem” w zeszłym tygodniu.

Usiadł na sofie i rozprostował nogi.

- Bo w tym tygodniu wyłonił się cały pakiet komplikacji.

- Dotyczących Breta?

- Tak.

- Czy czeka go seria pytań?

- Nie wiem, Bernard. Ale nawet jeśli wiedziałbym, to i tak nie mógłbym rozmawiać o tym z tobą.

- Czy to będzie mnie dotyczyć? - spytałem.

- Nie sądzę, z wyjątkiem okresu twojej współpracy z Bretem, kiedy to wynikło. - Bawił się sprzączką paska do spodni. - Chyba że Bret będzie ciebie winił.

- A robi to? - zapytałem.

Mówiłem głośniejszym głosem, niż zamierzałem; nie chciałem, aby moje obawy, czy brak zaufania do Breta, ujawniły się. Kiedy to mówiłem, weszła żona Dicky'ego, Daphne. Uśmiechnęła się.

- I co ten Bret robi, Bernard? - zadała pytanie. - Farbuje włosy - pośpiesznie zaimprovizował Dicky. - Bernard zastanawiał się, czy Bret farbuje włosy.

- Ale on ma przecież bielusięnką głowę - rzekła Daphne.

- Niezupełnie bielusięnką. Ma bielejące włosy blond - powiedział Dicky. - Właśnie mówiliśmy, że chyba mu nigdy nie zbieleją. Co ty sądzisz, kochanie? Wy, damy, coś o tych sprawach wiecie.

- Był tutaj któregoś wieczoru. Zjadł z nami kolację - poinformowała mnie. - To taki przystojny mężczyzna... - Dostrzegła wyraz twarzy Dicky'ego i mój. - Jak na swój wiek, mam na myśli. Ale jak mi się wydaje, to nie farbuje włosów, chyba że robi to bardzo dobry fryzjer. W każdym razie nie rzuca się to w oczy.

Daphne stanęła przed kominkiem, abyśmy mogli przyjrzeć się jej nowej kreacji. Była to długa suknia z błyszczącej bawełny w paski, arabska *djellaba*, przywieziona przez sąsiadów z wakacji w Kairze. Włosy miała uplecione w warkocz przetykany koralikami. Studiowała kiedyś sztukę i swego czasu pracowała w agencji reklamowej. Lubiła mieć artystyczny wygląd.

- Stać go na drogiego fryzjera - rzekł Dicky. - Odziedziczył fortunę, kiedy miał dwadzieścia jeden lat. I na pewno wie, jak wydawać pieniądze.

Dicky chodził na studia z pustawą kieszenią, więc teraz szczególnie niechętnie nastawiał się do każdego młodego i bogatego, niezależnie od tego czy były to cudowne dzieci, rozwódki czy gwiazdy pop music. Popatrzył na zegarek.

- Czy to już ta pora? Jeżeli mamy zamiar oglądać video, to ruszmy się. Czy masz przygotowane jakieś jedzenie, kochanie?

Nie czekając na jej odpowiedź zwrócił się do mnie i rzekł:

- W tym domu jada się na tacach. Lepsze to niż pałaszowanie w pośpiechu.

Dicky chciał przeczytać wstępnie mój raport, jaki przygotowałem dla D-G, z tym, że jego rozkaz, abym mu go przyniósł do wglądu, był zakamuflowany jako zaproszenie na kolację plus wypożyczona kasetka video z musicalem Freda Astaire'a jako niespodzianką.

- Będzie tylko zupa i zapiekane sandwicze - oświadczyła Daphne.

- Kupiłem jej jeden z tych zapiekaczy. O Boże, jak ja żałuję tego dnia! Teraz nic tylko ładuje w grzankach: salami, ser, szynka, avocado z boczkiem... Co to za bałagan podałaś któregoś dnia, kochanie? - baranina z curry zapiekana w hinduskich plackach *chapattii*. To był koszmar.

- To był tylko eksperyment, kochanie - odpowiedziała Daphne.

- Tak, ale nie musiałaś odskrobywać z maszyny przypieczonych kawałków, kochanie - rzekł Dicky. - Myślałem, że cała kuchnia się pali. Sparzyłem się.

Pokazał mi palec. Kiwnąłem głową.

- Dzisiaj będzie ser z szynką - oznajmiła. - Na początek zupa cebulowa.

- Mam nadzieję, że tym razem posiekałaś cebulę naprawdę drobno - skomentował Dicky.



- Nie znosi, jak zupa spływa mu po brodzie - powiedziała Daphne, tak jakby to była dziwna awersja nie do wytłumaczenia.

- Poplamiłem sobie jeden z moich najlepszych krawatów - rzekł Dicky. - Było ciemno, nie zauważyłem tego.

- Bret Rensselaer nie rozlał zupy - dorzuciła Daphne. - A nosi piękne krawaty.

- No to może podasz kolację, kochanie?

- Tace są przygotowane.

- A ja włączę video - dodał.

Stał chwilę, podciągnął spodnie i wyjął swój raport spod przycisku, zanim wyszedł z pokoju.

- Taśma leży na magnetowidzie - zauważyła Daphne. - Nie lubi mówić, że idzie do kibelka. W niektórych sprawach jest strasznie pruderyjny.

Kiwnąłem głową. Stała przy drzwiach kuchennych i rzekła:

- Pójdę po jedzenie. - Ale nie poruszyła się.

- Pomóc ci, Daphne?

Ku mojemu zdziwieniu odpowiedziała, że tak. Zazwyczaj Daphne nie lubiła gości w kuchni. Wielokrotnie to powtarzała.

Poszedłem za nią. Od czasu mojej ostatniej wizyty zmieniono wystrój kuchni. Wyglądała jak sklep z szafkami; na całej ścianie pełno było szafek. Wszystkie z plastiku imitującego dąb.

- Dicky ma romans - zaczęła.

- Naprawdę?

Nie zwracała uwagi na moje udawane zdziwienie. - Czy rozmawiał o niej z tobą?

- Romans?

- On polega na tobie - ciągnęła Daphne. - Czy jesteś pewny, że nie wspomniał o niczym?

- Ostatnio od dłuższego czasu przebywam z Bretem Rensselaerem.

- Wiem, że stawiam cię w trudnej sytuacji, Bernard, ale ja muszę wiedzieć.-

Nie rozmawiał o tym ze mną, Daphne. Prawdę mówiąc, nie zwierza mi się z takich spraw, nawet jeśli tak jest. - Twarz wydłużyła się jej. - Ale jestem pewny, że nie jest - dodałem.

- To twoja szwagierka. - Otworzyła maszynkę do zapiekanek i wydłubała z niej sandwicze używając do tego starego noża. Nie obracając się ku mnie, odezwała

się: - Gdyby to była jakaś bardzo młoda dziewczyna, to łatwiej byłoby mi zrozumieć.

Skinałem głowę.

Czy było to ustępstwem - zastanawiałem się - na rzecz moich powiązań z Glorią? - Te sandwicze wspaniale pachną - rzuciłem.

- To tylko ser z szynką - odparła Daphne. - Dicky nie lubi nic egzotycznego. - Wyjęła z piecyka duży talerz uprzednio przygotowanych sandwiczów. - Tessa, o niej mówię. Twoja szwagierka; Tessa Kosiński.

- Mam tylko jedną - rzekłem. I jedna taka jak Tessa zupełnie wystarczy, pomyślałem. Dlaczego musiała tak cholernie komplikować każdemu życie?

- I jest przyjaciółką. Przyjaciółką rodziny. To boli.

- Tessa jest dla mnie dobra, pomaga przy dzieciach.

- Tak, wiem. - Daphne pociągnęła nosem. Nie było to delikatne siąknięcie, jakim damy poprzedzają łzy - bardziej przypominało pociągnięcie nosem sędziów z Old Bailey, wydających wyroki śmierci. - Przypuszczam, że odczuwasz dług lojalności.

Położyła sztucce na tacach. Zrobiła to łagodnie i ostrożnie, abym nie pomyślał, że jest zła.

- Zrobię, co tylko będę mógł, aby ci pomóc - powiedziałem.

- Nie martw się, że Dicky nas usłyszy. Będzie słycać, jak spuszcza wodę.

Zaczęła szukać miseczek do zupy i musiała otworzyć cztery szafki, zanim je znalazła.

- Mieli romans już przedtem. - Przemawiała do wnętrza szafek. - Nie mów, że o tym nie wiedziałeś, Bernard. Tessa i ja pogodziłyśmy się potem. Myślałam, że to się skończyło.

- A tym razem?

- Moja przyjaciółka widziała ich w małym hotelu w pobliżu Deal... wiesz, w Kencie.

- To dość dziwne miejsce jak na wyjazd po to, aby... Zatrzymałem się pragnąc inaczej zbudować to zdanie.

- Nie, w zeszłym miesiącu zostało wybrane przez pewien magazyn dla kobiet jako jedno z dziesięciu najlepszych miejsc na weekend dla zakochanych. *Harper's and Queen*, jeśli się nie mylę. Właśnie dlatego moja przyjaciółka tam była.

- Może Dicky...

- Powiedział mi, że był w Kilonii. - wyjaśniła. - Mówił, że to ściśle tajne.

- Co chcesz, żebym w tej sprawie zrobił?

- Chcę się spotkać z twoim szwagrem - oświadczyła Daphne. - Chcę z nim o tym porozmawiać. Chcę, żeby wiedział, co ja czuję.

- Czy to naprawdę będzie rozsądne? - spytałem. Ciekawiło mnie, jak George zareaguje na takie podejście ze strony Daphne.

- Tego chcę. Przemyślałam to i tego właśnie chcę.

- Może to minie.

- Na pewno. Wszystkie mijają - dorzuciła. - On ma dziewczyny jedna za drugą, a ja czekam, aż to minie. Potem idzie z kimś innym. Albo znowu z tą samą.

- Rozmawiałaś z nim o tym? - spytałem.

- Mówi, że wydaje pieniądze swoje, nie moje. Że te pieniądze zostawił mu wujek. - Odwróciła się do mnie. - To nie ma nic wspólnego z pieniędzmi, Bernard. To zdrada. Nie zdradziłby swego kraju, prawda? Jest takim fanatykiem na punkcie lojalności wobec Wydziału. Więc dlaczego zdradza swoją żonę i dzieci?

- Mówiłaś mu o tym?

- Ciągłe mu powtarzam. Mam już dość. Występuję o rozwód. Chciałabym, aby George Kosiński wiedział, że pozwę go na świadka w procesie.

Biedny George, pomyślałem, jeszcze tylko tego mu brakowało do kompletu nieszczęść.

- To poważny krok, Daphne. Wiem, jak się czujesz, ale masz dzieci...

- Są w szkole. Widuję je tylko w czasie wakacji. Chwilami myślę, że to był straszny błąd, wysłanie ich do szkoły z internatem. Gdyby były w domu, to może Dicky miałby powód, żeby nie schodzić na manowce.

- Czasami działa to w drugą stronę - wtrąciłem, bardziej, aby ją pocieszyć, niż z przekonania. - Czasami dzieci skłaniają mężów do wychodzenia z domu.

- Zajmiesz się tym? - spytała. - Zaraz?

- Spróbuję - odparłem.

Usłyszałem Dicky'ego na górze. Daphne była gotowa z tacami.

- Możesz otworzyć wino, Bernard, i wziąć serwetki? Korkociąg jest w szufladzie.

Przytrzymując otwarte drzwi lodówki, abym mógł wyjąć wino, Powiedziała:- Co za niespodzianka z panem Rensselaerem? Zawsze go lubiłam.

Zamknęła drzwi, a ja zaczekałem na nią, aż zsunęła gorące zapiekanki na półmisek fachowym ruchem, nie parząc sobie palców.

- Tak - powiedziałem.

- Kradnie memorandum Gabinetu i oddaje Sowietom. A teraz jeszcze mówią, że chciał, aby was wszystkich zabili. - Dostrzegła zdziwienie na mojej twarzy. - Ach, tak, jak wiem, to jest jeszcze w fazie dociekań i nie wolno nam o tym mówić, ale Dicky powiedział, że Bret będzie miał kupę roboty, żeby się z tego wytłumaczyć. - Podniosła trzy tace położone jedna na drugiej. - To chyba pomyłka, nie sądzisz? Nie może być szpiegiem, prawda? On jest taki sympatyczny.

- Chodźcie, chodźcie! - krzyknął Dicky z sąsiedniego pokoju. - Już lecą napisy.

- Z Dicky'ego to jednak kawał świntucha - rzekła. - Nie może nawet zaczekać na nas z puszczeniem filmu od początku.

### **Rozdział XVIII**

Powiedziałeś, że się nie spóźnisz. - Gloria była w łóżku i moje wejście do sypialni przebudziło ją.

- Przepraszam - powiedziałem.

Nasz związek przerodził się - czy może powinienem powiedzieć „zdegenerował” - w związek pary małżeńskiej. Spędzała każdy weekend ze mną i trzymała u mnie w domu stroje, kosmetyki i biżuterię. Nie mówiąc o niezliczonych parach pantofli.

Usiadła w pościeli i rozjaśniła ściemnioną lampkę przy wezglowiu. Miała na sobie nocną koszulę z czarnego szyfonu. Jasnoblond włosy spływały na ramiona.

- Poszedłeś dalej?

- Nie, nie poszedłem „dalej”, jeśli masz na myśli jakiś klub nocny czy eleganckie party.

- Nie musisz mi tak przygryzać.

Światła było wystarczająco dużo, bym mógł dostrzec jej schludnie złożone ubranie. To był zły znak; takie skrupulatne przykładanie wagi do szczegółów bywało często oznaką jej tłumionego złego humoru.

- Czy sądzisz, że lubię wieczory z Dickym? - powiedziałem.

- Więc dlaczego tak późno wracasz?

- Wypożyczył kasetę video. Nie mogłem wyjść przed końcem.

- Zjadłeś tam kolację?

- Bardzo lekką; sandwicza i trochę zupy.

- Ja jadłam z dziećmi. Doris upiekła pieróg z mięsem.

- Wolałbym, abys nazywała ją „niania” - powiedziałem. - Niedługo zaczniesz do mnie mówić „Bernard”.

Niania była młoda i chciałem utrzymać odpowiedni dystans między nami.

- Trzeba było powiedzieć mi o tym przedtem. Nie mogę nagle zmienić tego - powiedziała Gloria. - Pomyśli, że czymś mnie zdenerwowała lub coś takiego. - Włosy opadały jej na twarz; odrzucała je dłonią, którą trzymała przy głowie tak jakby pozowała. - Więc to nie były sprawy służbowe?

- Naturalnie, że były. Mówiłem ci, że Dicky nalegał, abym przyniósł mu wstępną wersję mojego raportu.

- A kto był tam jeszcze? Usiadłem na łóżku.

- Słuchaj, kochanie, jeśli wspomniałbym o tobie, Dicky zaprosiłby również ciebie. Oboje o tym wiemy. Ale czy nie uzgodniliśmy, że lepiej nie rzucać się w oczy. Nie chcemy, żeby całe biuro o nas gadało.

- To zależy, co mówią - rzekła Gloria, która była zdania, że powinniśmy każdą minutę wolnego czasu spędzać razem, a szczególnie nie lubiła zostawać sama podczas weekendu.

Nachyliłem się, obejmując ją mocno i całując.

- O czym rozmawialiście? - spytała.

- Bret ma kłopoty - odparłem.

- Z Wydziałem?

- Dicky jest jednym z ostatnich mających pobożne życzenia na dużą skalę. Ale nawet dopuszczając przesadę Dicky'ego, Bret pójdzie na dywanik za wszystko, co wyszło nie tak w przesłuchaniach Stinnesa. Teraz zaczną mówić, że wszystko to odbyło się wedle rozkazów Moskwy.

- To Breta własna wina, kochanie. Myślał, że wszystko będzie takie łatwe. Sam to powiedziałeś.

- Tak, to jego własny pomysł, ale teraz zwałą na niego wszystko, co im przyjdzie do głowy. Czy on jest z KGB, czy nie, zrobią z niego kozła ofiarnego.

- Kozioł ofiarny to niewłaściwe słowo - powiedziała. - Kozły ofiarne były puszczane wolno do dziczy. Chcesz powiedzieć, że Bret zostanie przekazany MI 5 jako osoba uzurpujająca sobie całą ich władzę i funkcje? To nie kozioł ofiarny, ale zakładnik. Czy mam rację?

- Być może wyrażenie, którego szukamy, to „nagroda pocieszenia”. -

Widziałem zbyt wiele ściętych głów dostarczonych Home Office w podobnych okolicznościach, aby być optymistą co do losu Breta. - Tak czy inaczej, Bret stanie wobec dużo poważniejszych zarzutów niż ten.

Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem i zapytała:

- On jest wtyczką KGB?

- Nie wiem.

- Ale taki będzie zarzut?

- Na razie za wcześnie na zarzuty. Może ich w ogóle nie będzie.

- Nikt mi nic nie mówił, ale odbyło się jakieś spotkanie całej góry co do Breta.

Wszyscy zaczynają uważać, że on pracuje dla Moskwy. Zdaje się, że Dicky powiedział o tym Daphne. Ona sądziła, że mnie już o tym doniesiono, więc puściła farbę.

- To będzie dopiero bomba, gdy dostanie się do gazet - powiedziała Gloria.

Pocałowałem ją znowu, ale nie reagowała.

- Powinno się ich rozstrzelać - rzekła. - Zdrajcy. Dranie. Nie podnosiła głosu, ale ciało jej napięło się w złości i autentyczność jej oburzenia zdziwiła mnie.

- To tylko część gry.

- Nie, tak nie jest. Ludzie tacy jak Rensselaer to mordercy. Żeby mieć spokój, gotowi są skazywać kobiety i mężczyzn na tortury. Co za świnię!

- Może robią to, co uważają za słuszne - powiedziałem.

Nie całkiem w to wierzyłem, ale był to jedyny sposób, abym mógł robić swoją robotę. Bronilem się przed myślą, że stanowią część walki dobrego ze złem lub wolności przeciw tyranii. Jedyny sposób, w jaki mogłem wykonywać swoją pracę, to koncentrować się na jej prostych podstawowych punktach i robić to możliwie najlepiej.

- Dlaczego nie wyjadą do Rosji? Wiedzą przecież, że to nie jest ten świat, którego pragniemy, bo inaczej już dawno byśmy głosowali za tym, by rządili nami komuniści. Dlaczego nie wyjadą do Rosji?

- No właśnie, dlaczego? - powiedziałem.

- Chcą mieć wszystko naraz. Zawsze są bogaci i dobrze wykształceni, czyż nie tak? Chcą utrzymać swój uprzywilejowany status na bogatym Zachodzie, jednocześnie na różne sposoby zagłuszając swoje poczucie winy.

- Czy mówisz o Brezie? - Wstałem. - Czy też mówisz o mojej żonie?

- Mówię o zdrajcach - odpowiedziała.

Podszedłem i otworzyłem szafę. Gdzieś tu był garnitur tweedowy, którego od lat nie nosiłem. Przebierałem ubranie za ubranie, aż go znalazłem. Był zawieszony wewnątrz plastikowej torby - Fiona pakowała wszystkie moje garnitury do plastikowych toreb - i zacząłem macać po kieszeniach.

- Podejrzywałem Breta, że miał romans z moją żoną. Czy mówiłem kiedyś o tym?

- Jeśli szukasz papierosów, to wszystkie wyrzuciłam.

- Przypomniałem sobie nagle o paczce, którą zostawiłem w tym tweedowym garniturze - powiedziałem. Garnitur wzbudził wspomnienia. Po raz ostatni miałem go na sobie będąc na pokazach hippiki razem z Fioną i teściem. Było to wtedy, kiedy usilnie pracowałem nad tym, aby okazać się miłym dla niego. Wygrał nagrodę w skokach przez przeszkody i zabrał nas wszystkich do wspaniałej restauracji nad rzeką koło Marlow. Skończyły mi się papierosy i teść nie pozwolił mi zapłacić za zamówioną paczkę; nalegał, aby wliczyć ją do rachunku za obiad. To wydarzenie utkwilo mi w pamięci, ponieważ była to restauracja, gdzie po raz pierwszy dowiedziałem się, iż ustanowił fundusz dla swoich dzieci. Ani on mi o tym nie powiedział, ani Fiona. Co gorsza, powiedział dzieciom, lecz powiedział im również, żeby mi nie mówiły.

- Tak, wszystko wyrzuciłam. Jeśli będą papierosy w tym domu, to znowu zaczniesz palić, wiesz o tym. Chyba nie chcesz, prawda?

Zamknąłem szafę i porzuciłem myśl o papierosie. Miała rację; nie chciałem zacząć znowu palić, ale biorąc pod uwagę poziom stresu, w jakim się znajdowałem, nie byłem pewien, jak długo będę w stanie oprzeć się pokusie.

- Musisz mieć kogoś, kto by cię pilnował - odezwała się pojednawczym tonem.

- Kiedyś byłem pewny, że Bret ma romans z Fioną. Nienawidziłem go. Moja nienawiść wpływała na wszystko, o czym myślałem, co mówiłem i co robiłem. - Potrzeba papierosa zanikała. Nawet gdybym znalazł cały karton na poduszce, już bym go nie otworzył. - Tylko z największą trudnością udawało mi się słuchać tego, co o nim mówiono, bez wewnętrznego przetwarzania i skrzywiania owej informacji. Teraz już panuję nad tym odczuciem. Nawet mnie nie obchodzi, czy miał z nią romans. Mogę spojrzeć Bretowi w oczy z czystym sumieniem. Kiedy mówię ci, że nie wiem, czy on jest, czy nie jest winny, mam to właśnie dokładnie na myśli.

- Chodzi ci o zazdrość. Byłeś zazdrosny o Breta Rensselaera, bo jest bogaty i

powiodło mu się, i może miał romans z twoją żoną.

- Tak - powiedziałem.

- To dość naturalne, Bernard. A dlaczego nie miałbyś być zły i uprzedzony?

Dlaczego miałbyś być bezstronny wobec kogokolwiek, kto podle cię traktuje?

- A powiesz mi, dlaczego?

- Bo lubisz grać Boga, Bernard. Niedawno zabiłeś dwóch ludzi w pralni. Nie ukrywałeś tego. Powiedziałeś mi. Powiedziałeś Dicky'emu. Nie mam wątpliwości, że jest to w twoim raporcie i że ty przyjmujesz jednoznacznie odpowiedzialność za ich śmierć. Nie jesteś przecież tępym olbrzymem ani bandziorem, ani zabójcą. Jedyne sposoby, w jaki możesz sobie poradzić z poczuciem własnej winy za śmierć tych ludzi, to przekonanie samego siebie, że obserwujesz świat, zachowując całkowitą obiektywność. To odgrywanie roli Boga, kochanie. To nie jest droga do złagodzenia poczucia winy. Przyznaj, że jesteś omylny, zaakceptuj fakt, że jesteś tylko człowiekiem, przyznaj, że jeśli Bret pójdzie do Old Bailey będziesz się rozkoszował tym, iż dostał to, na co zasługuje.

- Ale właśnie nie będę się rozkoszował. Nawet zdradzony mąż nie chce widzieć tego drugiego w Old Bailey. A w przypadku Breta, brak mi rzeczywistych dowodów. O ile wiem, Fiona nigdy nie była mi niewierna.

- Jeśli nie znienawidziłeś go za to, że żona cię z nim zdradziła, to nienawidź go za zaprzecanie się komunizmowi. W tego rodzaju nienawiści będę ci towarzyszyć.

- Twój ojciec był jednym z naszych agentów, prawda?

- A skąd wiesz?

- Po prostu zgadłem. Zawsze musi być jakiś specjalny powód, aby córka cudzoziemca była przyjęta do Departamentu.

- Mój wujek i mój ojciec... tajna policja zabrała wujka. Zabili go w komisariacie. Szukali mego ojca.

- Nie musisz o tym mówić - powiedziałem.

- Nie ma problemu. Dumna jestem z niego. Dumna jestem z nich obu. Ojciec był dentystą. Londyn przesłał mu *dental charts* - była to część normalnej wymiany korespondencji z innymi dentystami - a on używał tych d.c. do identyfikowania agentów. Chirurgia dentystyczna była świetną przykrywką dla komunikatów, które miały być przesłane, i tajnej policji nigdy nie udało się przeniknąć do organizacji. Ale wszyscy agenci poznali mego ojca. To było bardzo niekorzystne - każdy w każdej celi znał mego ojca. Policja w końcu zdobyła jego nazwisko od kogoś złapanego



podczas fotografowania granicy. On mówił. Zrobili błąd i aresztowali wujka, ponieważ miał to samo nazwisko. Udało mu się zachować milczenie, aż ojciec i matka wydostali się. Nienawidzę komunistów, Bernard.

- Mam zamiar się napić - powiedziałem. Zdjąłem marynarkę oraz krawat i zrzuciłem buty. - Whisky. A ty?'

- Nie, dziękuję, kochanie.

Poszedłem do swojego pokoju i nałapałem sobie solidnego drinka. Kiedy wróciłem do sypialni, Gloria już uczesała włosy i poprawiała poduszki. Rozbierałem się dalej. Powiedziałem:

- Dicky ma romans z Tessą i Daphne to odkryła.

- Tak ci powiedziała?- Jej przyjaciółka widziała ich w hotelu.

- Zawsze znajdują się wspaniali przyjaciele, przynoszący złe wieści.

- Trudna sprawa, prawda? Dowiadujesz się o jakimś sekrecie i nagle masz na głowie straszną odpowiedzialność. Cokolwiek zrobisz, to najprawdopodobniej i tak będzie źle.

- Mówisz o tej notatce z Gabinetu, prawda?

- Możliwe.

- Nic nie zrobiłeś - powiedziała.

- Wygląda na to, że nie musiałem. Departament wie o Breecie. Daphne rzeczywiście wspomniała o tej notatce.

- A co ona chce, żebyś zrobił?

- Daphne? Ona chce porozmawiać z George'em. Mówi, że wymieni Tessę po nazwisku w procesie rozwodowym.

- Czy ona mówi poważnie?

- Mnie o to pytasz?

- To zrujnowałoby karierę Dicky'ego, prawda?

- To zależy. Gdyby miało się to stać swego rodzaju brudnym rozwodem, trafiającym do gazet, wtedy Departament pozbyłby się Dicky'ego bardzo szybko.

- Czy Daphne wie o tym?

- Jest bardzo rozgoryczona.

- Godziła się na wiele.

- Czyżby?

- Powiedziałeś mi, że Dicky stale ją zdradzał.

- Powiedziałem tak?

- Oczywiście, że tak. I wszyscy w biurze widzą, że w niektóre wieczory taki jest zadbany. I jego żona zawsze dzwoni pytając, gdzie on jest.

- Wszyscy o tym wiedzą?

- Wszystkie dziewczyny.

- Czy jego sekretarka mówi o tym?

- Nie wolno ci zadawać mi takich pytań, kochanie. Nie mogę być biurową wtyczką.

- Nie podoba mi się sekretarka, która gada o swoim szefie. Stąd tylko krok do tajnych spraw...

- Nie bądź taki pompatyczny, kochanie. Dicky, jak to mówią, daje jej popalić. Myślę, że w tych okolicznościach ona jest niezmiernie lojalna wobec niego.

## **Rozdział XIX**

Nie wiem, czy Bretowi Rensselaerowi oficjalnie kazano trzymać się z dala od Stinnesa, czy wręcz zniechęcano go do tego, ale niewątpliwie musiał być ktoś z Wydziału dla utrzymywania z nim kontaktu. Gdyby pozostawiono go w Berwick House sobie samemu, to zawsze mogło się zdarzyć, że Centrum Przesłuchań usiłowałoby skłonić Home Office, aby go przejęli.

Kiedy Stinnes nagle odmówił rozmów z przesłuchującym, sprawa stała się pilna. Wysłano mnie, abym pomówił ze Stinnesem. Na biurku znalazłem czekającą na mnie notatkę z parafką Breta. Nie wiem, kto mnie wyznaczył do tej roboty, lecz przypuszczam, że nie było wielu na liście stosownych kandydatów.

Lało jak z cebra, gdy przyjechałem do Berwick House. Formalności, jakie powitały Bentleya Breta Rensselaera w czasie mojej poprzedniej wizyty, zostały darowane memu używanemu roverowi. Żadnych odjazdów na bok po przejechaniu bramy głównej - po prostu szybkie spojrzenie na mój dokument i niedbale zasalutowanie.

Nikt nie widział, jak parkowałem na podwórku w miejscu oznakowanym dla odwiedzających, ani też nie było śladu gubernatora czy jego zastępcy. Zamiast z głównego wejścia, skorzystałem z drzwi od tyłu. Urzędnik pełniący dyżur znał mnie z widzenia, więc tylko podsunął mi do podpisu rejestr odwiedzających, oferując mi nawet swojego parkera. Sądząc po pustych rubrykach w rejestrze, ostatnio nie było tu wielu gości.

Erich Stinnes nie był zamknięty. W pewnych określonych godzinach wolno

mu było ćwiczyć na dworze. Gdy padało, mógł przyjść do sali i patrzeć przez okna w ołów szybki na nagie krzewy różane. Miał całe pierwsze piętro do dyspozycji, ale musiałem poinformować klucznika, że udaję się tam. Funkcjonariusz odłożył sandwicza z serem i wypisał mi przepustkę umożliwiającą wyjście z budynku. Kiedy podał mi ją, spostrzegłem na kartce tłuste odciski palców. Dobrze, że nie przydarzyło się to Bretowi.

- To nie tak, jak w Notting Hill Gate, prawda, Erich?

- Całkiem nieźle - powiedział.

Przenieśli go do numeru 4, dużego, wygodnego pomieszczenia z frontu. Miał tu salonik z sofą i dwoma fotelami, kolorową odbitkę bitwy pod Waterloo i średniowieczny, elektryczny kominek. Była też mała „kuchnia”, chociaż tak naprawdę to była to tylko wnęka wyposażona w zlew, kuchenkę, trochę garnków i talerzy oraz elektryczny czajnik.

- Zrobisz mi filiżankę herbaty? - spytałem. - Tu jest bardzo ciepło, mam otworzyć okno?

- Przyniosą herbatę o czwartej - powiedział. - Do tej pory już chyba o tym wiesz. Nie, nie otwieraj okna. Czuję, jakbym miał dreszcze.

- Czy mam zawołać lekarza?

- Żadnych lekarzy. Boję się ich.

Głos miał bezbarwny i zimny, tak jak spojrzenie. Coś zmieniło się w atmosferze od czasu naszego ostatniego spotkania. Był w stosunku do mnie podejrzliwy i nie ukrywał tego.

- Nadal rysujesz krajobrazy? - zapytałem. Zdjąłem płaszcz i powiesiłem na haczyku na drzwiach.

- Nie ma nic innego do roboty - odparł.

Cały budynek był dobrze ogrzewany, więc w tym pokoju było również ciepło. Mimo to elektryczny kominek grzał na całego, a Stinnes, oprócz szarych flanelowych spodni i ciemnozielonej koszuli, miał na sobie sweter. Siedział na sofie pokrytej bawełnianą narzutą, a obok leżało kilka londyńskich gazet. Gazety sprawiały wrażenie wielokrotnie czytanych.

Stinnesowi udawało się siedzieć bez ruchu. Nie była to ta rozluźniona nieruchomość, jaka przychodzi z odprężeniem, ani też spięty bezruch powodowany koncentracją, ale coś innego - pewna jakość nie poddająca się definiowaniu, coś, co pozwalało mu zachować postawę obserwatora niezależnie od tego, jak głęboko czuł

się zaangażowany. Zawsze był słońcem; wszystko się poruszało oprócz niego.

Zdjąłem marynarkę i usiadłem na krześle naprzeciw Stinnesa.

- Prowadzący przesłuchanie poszedł wczoraj do domu dość wcześnie - powiedziałem. - I przedwczoraj również.

- Niektóre gatunki ptaków rodzą się po to, by śpiewać, ale inne muszą uczyć się śpiewu od rodziców.

Nie było w tym żartobliwości. Zabrzmiało, jakby miał to przygotowane do wyrecytowania przede mną.

- Czy to fakt ornitologiczny, czy też chcesz mi coś powiedzieć, Erich?

W istocie wiedziałem, że to fakt. Stinnes mówił mi o tym kiedyś. Bardzo lubił popisywać się taką wiedzą.

- Nie można się było spodziewać, abyś nie znalazł jakiegoś sposobu, aby mnie za to winić - powiedział.

- A jakim ty jesteś ptaszkiem, Erich? I jak mamy zacząć uczyć cię śpiewać?

- Przyjąłem waszą ofertę w dobrej wierze. Nie obiecywałem prowadzić waszego Wydziału Tajnych Operacji, i to prowadzić dobrze.

- Więc jaką rolę widzisz w tym dla siebie? - zapytałem.

- Daję przesłuchującemu pełne i wiarygodne odpowiedzi na wszystkie jego pytania. Ale nie mogę mu opowiadać o rzeczach, których nie znam. Chciałbym, abyś mu to wyjaśnił.

- Czterech ludzi zginęło - powiedziałem. - Jednego z nich znałeś: Ted Riley; był z tobą w Londynie. Był moim przyjacielem. Ludzie wściekają się.

- Przepraszam - rzekł Stinnes.

Nie wyglądał bardzo przepraszająco, ale z drugiej strony, nigdy nie wyglądał bardzo cokolwiek.

- Dostaliśmy odprawę, Erich. Dwukrotnie zostaliśmy odprawieni.

- Nie znam wszystkich szczegółów - powiedział.

Była to bardzo rosyjska odpowiedź; znał wszystkie szczegóły.

- Dwukrotnie wpadliśmy w głupią pułapkę.

- Zatem dwukrotnie wyszliście na głupców.

- Nie bądź taki cholernie zarozumiały - zdenerwowałem się, a potem pożałowałem tego, że mnie rozzłościł.

- Czy jesteś zawodowcem, czy też za dużo czasu siedzisz za biurkiem?

Przerwał, a gdy nie odezwałem się, rzekł:

- Niech pan się mną nie bawi, panie Samson. Wiesz, że Rensselaer to amator. Wiesz, że nie zgodził się, aby wasz personel planował te zebrania. Wiesz, że zrobił tak, bo chciał wszystkim pokazać, że potrafi być znakomitym agentem operacyjnym.

Nie była to reakcja, jakiej oczekiwałem. Stinnes nie objawiał złości z powodu akcji Breta Rensselaera, mimo że sprowadziły go na pogranicze śmierci. W rzeczy samej, jego interpretacja tego fiaska ustawiła Breta w roli bohatera - amator, błędzący bohater, ale bohater.

- Czy skrytykowałeś te „amatorskie” pomysły? - spytałem.

- Oczywiście, że tak. A ty nie? Tu mnie miał.

- Tak - przyznałem. - Skrytykowałem je.

- I tak zrobiłby każdy, kto ma chociażby pół godziny doświadczenia operacyjnego. Rensselaer to człowiek z za biurka. Dlaczego nie kazano mu wykorzystać planistów z Wydziału Operacji? Nalegałem na niego w kółko, żeby tak zrobił.

- Były różne problemy - tłumaczyłem się.

- I mogę zgadnąć, co to były za problemy - rzekł Stinnes. - Twój szef, Rensselaer postanowił zdobyć dobre imię, zanim MI 5 przejmie moje przesłuchanie.

- Coś w tym rodzaju - odpowiedziałem.

- On przeżywa niebezpieczny wiek - powiedział Stinnes z wystudiowanym potępieniem. - To wiek, w którym ludzie z za biurka nagle pragną złapać ostatnią szansę do chwały.

Rozległo się pukanie do drzwi i kobieta w średnim wieku i zielonym fartuszkowi wniosła tacę z grzankami z masłem oraz talerzem ciasta pokrojonego w plastry.

- Dogadzają ci tu, Erich - zażartowałem. - Czy codziennie dostajesz taki szykowny podwieczorek, czy tylko gdy przychodzą goście?

Kobieta uśmiechnęła się do mnie, ale nic nie powiedziała. Byli tu dobrze prześwietleni ludzie, oczywiście; niektóre tutejsze pomoce domowe pracowały uprzednio na urzędniczych stanowiskach w Centrali, skąd przeszły na emeryturę.

Postawiła filiżanki oraz dzbanek z herbatą i w milczeniu odeszła. Wiedziała, że nawet jedno słowo z jej strony może zniweczyć nastrój przesłuchania.

- Codziennie - odpowiedział Erich.

Na tacy leżała paczka pięciu małych cygar. Domyśliłem się, że była to jego dzienna dawka, ale chyba przestał palić, ponieważ na kominku widać było całą stertę nie naruszonych paczek.

- Ale mimo to nie podoba ci się tutaj?

Jego niechętna postawa wobec przesłuchującego była powodem mojego przyjazdu tutaj. Niewątpliwie było coś, co mu nie odpowiadało.

- Wierzysz mi na tyle, by działać wedle moich informacji i ryzykujesz życie swoich agentów, ale trzymasz mnie pod kluczem, bo mogę uciec. - Wypił trochę herbaty. - A jak sądzisz, dokąd ja pognani? Pognam do Moskwy z powrotem, aby mi wytoczyli proces?

Kusiło mnie, żeby mu powiedzieć, jak zażarcie oponowałem przeciw sprowadzeniu go znowu do Berwick House, ale to nie był sposób. W każdym razie nie chciałem, aby dowiedział się, jak mały wpływ miały moje opinie na decyzje podejmowane na najwyższym piętrze londyńskiej Centrali.

- Więc jakim jesteś ptaszkiem, Erich? Jeszcze mi nie odpowiedziałeś.

- Wypuść mnie stąd, a pokażę ci - powiedział. - Pozwól mi zrobić to, co nie udało się Rensselaerowi.

- Przeniknąć do siatki z Cambridge?

- Uwierzą mi.

- To ryzykowne, Erich.

- Siatka Cambridge jest najlepszą rzeczą, jaką wam dostarczyłem. To mnie właśnie opóźniło w Mexico City. To zmusiło mnie do powrotu do Berlina przed przyjazdem do was. Czy masz pojęcie, jakie musiałem podjąć ryzyko dla zdobycia informacji pozwalającej na spenetrowanie tej siatki?

- Powiedz mi.

Była to sardoniczna reakcja na jego usprawiedliwianie się i on o tym wiedział.

Rzekł:

- I teraz chcesz to wszystko wyrzucić. No cóż, twoja strata.

- To dlaczego się tak tym przejmujesz?

- Tylko dlatego, że postanowiłeś zwalić na mnie winę za klęski poniesione z własnego powodu. Dlaczego to ja mam być winny? Dlaczego ja mam być ukarany? Nie chcę spędzać tu miesiąca po miesiącu pod kluczem.

- Myślałem, że ci się tu podoba - powiedziałem.

- Jest tu wygodnie, nie powiem, ale jestem więźniem. Chcę żyć jak człowiek. Chcę wydawać te pieniądze. Chcę... Chcę robić różne rzeczy.

- Chcesz spotkać Zenę Volkmann? To miałaś zamiar powiedzieć?

- Widziałaś ją?

- Tak - odpowiedziałem.

- Pytała o mnie?

- Ona myśli, że zrobiła całą robotę, ja zdobyłem wszystkie zasługi, a ty skasowałeś całą forszę.

- Czy tak mówiła?

- Mniej więcej.

- Przypuszczam, że to prawda. Zdjął okulary i starannie przetarł je.

- Nie wiem, czy zrobiła całą robotę, ja na pewno nie zdobyłem wszystkich zasług. Pozostała część, to chyba prawda. Popatrzył na mnie, ale nie skwitował uśmiechem mego zapewnienia.

- Nie musisz się przejmować. Jeśli zostanę zwolniony, to nie zacznę zaraz jej szukać.

- Miłość ostygła?

- Bardzo ją lubię. Ale jest żoną innego. Nie mam już wigoru do tego rodzaju romansu.

- Ale masz wigor, by próbować wniknąć do siatki z Cambridge?

- Ponieważ to jedyny sposób, żeby uwolnić się od was.

- Dając nam pozytywny dowód lojalności wobec nas?

- Jak ci już powiedziałem, ta siatka to najlepsza nagroda, jaką mam do zaoferowania. Z pewnością nawet wy, Anglicy, nie będziecie chcieli mnie trzymać pod kluczem, gdy ich wam dostarczę?

To byli jego ludzie, a mówił o nich bez śladu emocji. Był zimnokrwistym zwierzęciem.

- Mamy problem z twoją ochroną, Erich. Stanowisz dużą inwestycję. Podłożyli bombę pod twój samochód w zeszłym tygodniu.

- Nie była przeznaczona dla mnie. To był przypadek. Chyba nie chcesz powiedzieć, że mnie zidentyfikowali?

Przechylił się na sofie do tyłu, splótł dłonie i zaczął wyłamywać palce w stawach. Był to gest starego człowieka, który mi nie pasował do jego obrazu. Czy to ta niewola tak go postarzała? Był „człowiekiem ulicy” - cała jego kariera opierała się na kontaktach z ludźmi. Gdyby pozwolono mu na demaskację siatki z Cambridge, to przynajmniej robiłby to, w czym był najlepszy. Być może wszystkie zdrady - małżeńskie, zawodowe i polityczne - motywowane są chęcią robienia tego, w czym jesteśmy najlepsi, niezależnie od tego dla kogo to robimy.

- Wydajesz się być bardzo pewny - powiedziałem.
- Nie jestem paranoikiem, jeśli o to ci chodzi. Na chwilę odszedłem od tematu.
- Zauważyłem, że ostatnio nie palisz.

Wziąłem paczkę cygaretek z tacy i powąchałem. Wieki całe nie paliłem.

Położyłem cygaretki z powrotem, ale nie było to łatwe.

- Nie mam ochoty na palenie - powiedział. - Dobra okazja, żeby zrezygnować całkowicie.

Nalałem sobie trochę herbaty i wypilem bez mleka i cukru, tak jak on to robił; była okropna.

- Jak byś zaczął?

Nie musiałem wyjaśniać, o co mi chodziło. Pomysł, że Stinnes będzie próbował wniknąć do sowieckiej siatki stosując własne metody, był dla nas obu najistotniejszą rzeczą.

- Po pierwsze, muszę mieć swobodę. Nie potrafię pracować pod ciągłą obserwacją. Muszę udać się do nich kompletnie wolny od wszelkich powiązań z wami. Rozumiesz?

- Są mocno zaniepokojeni - powiedziałem. - Muszą być w kontakcie z Moskwą. Moskwa mogła już powiedzieć im o tobie.

- Za dużo macie wiary w Moskwę. Tak jak myśmy zawsze mieli za dużo wiary w wydajność londyńskiej Centrali.

- Mam bardzo małą szansę na przekonanie moich szefów, że mógłbyś w pojedynkę załatwić tę siatkę. Nie chcą w to uwierzyć; myślą, że siłą rzeczy będzie stanowić to dezaprobatę ich kompetencji. Boją się kolejnej klęski, tym razem takiej, w której stracimy ciebie. Moskwa cię szuka, Erich. Na pewno wiesz o tym.

- Moskwa nie ogłasza stanu pogotowia z powodu uciekinierów do czasu ukazania się różnych artykułów prasowych. Polityka jest taka, żeby pomniejszać rolę takich przypadków, bo inni obywatele sowieccy mogą mieć te same pomysły.

- Nie byłeś zwykłym uciekinierem - powiedziałem. - Twoje odejście zadało im duży cios.

- Tym bardziej będą siedzieć cicho. Czy wasi analitycy już o czymś donieśli?

- Spróbuję się dowiedzieć - obiecałem.

Erich wiedział, że moja odpowiedź jest unikiem, a jednak nie było sposobu powstrzymania go od zgadywania trafnej odpowiedzi na to pytanie. Analitycy słuchali radia bloku wschodniego, obserwowali telewizję i śledzili doniesienia



prasowe mogące odnosić się do Ericha Stinnesa. A zwłaszcza zwracali baczna uwagę na publikacje o ograniczonym obiegu oraz szczególnie przysłuchiwali się dyplomatycznej obsłudze radiowej pod kontrolą KGB, przy pomocy której Moskwa nadzorowała swoje ambasady i agentów na całym świecie. Jak do tej pory, nie było nic, co można by zinterpretować jako odnośnik do Ericha Stinnesa. Wydawało się, że zniknął w przestrzeni kosmicznej. Uśmiechnął się. Wiedział, że nic nie było.

- Potrzeba mi tylko dziesięciu dni, dwóch tygodni najwyżej. Znam tę siatkę i podszedłbym ich w inny sposób. Jeśli gotowi byłibyście zdjąć ich bez dowodów, to mógłbym przekazać ich wam w ciągu mniej niż tygodnia.

- Nie. Po tej stronie świata podlegamy wymogowi zapewnienia sądowi jasnych dowodów. I nawet wówczas ławy przysięgłych zwalniają Połowę ludzi postawionych w stan oskarżenia.

- Podrzucicie im coś. Ja dostarczę dowodów.- Nie mamy jeszcze przejrzystej decyzji, czy możemy wykorzystać cię w sądzie - powiedziałem.

- Jeśli się zgodzę...

- To nie takie łatwe. Są prawne problemy. Mój Wydział nie ma uprawnień do wysuwania tego rodzaju oskarżeń. Jeśli by cię wzięto w krzyżowy ogień pytań na sali sądowej, to mogłoby to być kłopotliwe.

- A wasze Home Office nie pomoże? Dlaczego nie zmienicie tego przestarzałego systemu? KGB jest centralnie sterowane zarówno w działalności wywiadowczej, jak i kontrwywiadowczej. Oddzielne agencje - jedna do spraw agentów obcych krajów wewnątrz Brytanii, a druga do penetrowania tychże obcych krajów - to nieporęczne i mało wydajne.

- Lubimy kiedy jest trochę nieporęczne i mało wydajnie - odparłem. - Taka agencja jak KGB może przejąć rządy, kiedy zechce.

- To się do tej pory nie stało - powiedział Stinnes z odcieniem pruderii w głosie. - I nigdy się nie stanie. Partia pozostaje nadrzędną siłą i nikt nie stawia czoła jej władzy.

- Nie musisz już więcej proklamować linii partyjnej, Erich. Obaj wiemy, że Związek Sowiecki stoi wobec kryzysu.

- Kryzysu? - powiedział. Pochylił się do przodu, łokcie oparte na kolanach, dłonie ciasno splecione. Jego znękana twarz była blada, oczy rozjaśnione.

- Istnieje pilna potrzeba uzdrowienia rozpadającej się gospodarki. Nie muszę ci o tym wszystkim mówić, Erich.

Uśmiechnąłem się, ale nie odpowiedział na mój uśmiech. Zdaje mi się, że dotknąłem nerwu.

- A kto walczy przeciw takim reformom?

Jeszcze bardziej ściągnął do siebie ramiona. Ciekaw byłem, gdzie dokładnie Stinnes plasował siebie w tej walce. Czy może nadal zaprzeczał, że takowa istniała? No cóż, jeśli to był jedyny sposób, aby go ożywić, to będę to ciągnął dalej.

- Wymierający oficjele partyjni, którzy mieszają się do gospodarki na podstawowym szczeblu i zbierają śmietankę z niej. Nie chcą, żeby zastąpili ich kompetentni dyrektorzy fabryk, eksperci techniczni i wyszkoleni administratorzy, jedyni, którzy mogliby stworzyć rodzaj systemu bodźców, jaki doprowadziłby w końcu do gospodarki opartej na zdrowych zasadach.

- Partia...

- ...pozostaje siłą nadrzędną. Tak, już to mówiłeś.

- Jest blisko świata pracy - rzekł Stinnes. Moje uwagi wyraźnie go poruszyły.

- Jest blisko świata pracy z racji sposobu, w jaki Partia wchodzi w ciche porozumienia z nim. Robotnicy trzymają się z dala od polityki, a Partia zapewnia im to, że nikt za bardzo się nie napracuje. To było dobre za czasów Lenina, ale teraz to już na tym daleko nie zajdzie się. Sowiecka gospodarka to klęska.

Stinnes potarł policzek, pozornie zaalarmowany tym pomysłem.

- Ale jeśli pozwolą fabrykom pozbyć się leniwych i zatrudnią tylko dobrze pracujących, to wprowadzą ponownie do systemu wszelaką pazerność, strach i konflikty kapitalizmu konkurencyjnego. Zdobywcze rewolucji pójdą na marne; odrodzi się na nowo walka klas.

- To jest problem - powiedziałem.

- Partia stanie twardo przeciw tego rodzaju reformie - rzekł Stinnes.

- Ale gospodarka będzie się rozpadać nadal. I pewnego dnia sowieccy generałowie i admirałowie napotkają na opór przeciw ich rozrzutnym wydatkom na karabiny, czołgi i okręty. Gospodarka nie będzie sobie mogła pozwolić na takie luksusy.

- Wtedy wojskowi połączą swój los z reformatorami - rzekł Stinnes z przekorą. - Czy tak utrzymujesz?

- Jest to możliwe - odparłem.

- Nie za twojego życia - rzekł Stinnes - i nie za mojego. Do tej pory siedział pochylony do przodu, oczy jaśniejące

i wyraziście, gdy wdawał się w argumentację, lecz teraz westchnął i opadł na oparcie sofy. Nagle, przez krótką chwilę, dostrzegłem innego Stinnesa. Czy to była ociążałość łącząca się ze stałym bólem? Czy też Stinnes żałował, że pozwolił mi rzucić okiem na to, kim był naprawdę?

- Co cię to obchodzi, Erich? - powiedziałem. - Jesteś teraz kapitalistą, prawda?

- Naturalnie, że jestem - odrzekł.

Uśmiechnął się, ale ten uśmiech nie wyrażał pewności siebie.

Z Berwick House pojechałem prosto do Londynu na konferencję przewidzianą o wpół do szóstej tego popołudnia. Było to dużego kalibru zebranie wydziałowe, które trwało już prawie godzinę. Czekałem w przedpokoju, aż mnie wezwano tuż przed szóstą.

Dyrektor Generalny - mający na sobie jeden ze swoich najbardziej workowatych garniturów - przewodniczył. Przy stole siedzieli: Morgan, Frank Harrington, Dicky i Bret Rensselaer. Nie był to dokładnie pełny skład. Zastępca D-G pojechał w sprawach prywatnych do Nassau, a Kontroler na Europę był na spotkaniu w Madrycie. Każdy miał szklanekę, a na konferencyjnym stole stał dzbanek z lodem; na bocznym stoliku widać było jak zwykle baterię gorzały, lecz wszyscy sprawiali wrażenie, że wolą trzymać się wody Perrier, z wyjątkiem Franka Harringtona, który pieścił w obu dłoniach dużą whisky i patrzył w nią jak Cyganka przeprowadzająca konsultację z kryształową kulą. Z szacunku dla D-G nikt nie palił. Zauważyłem, że wywoływało to pewien stres u Franka. Chyba zgadł, o czym myślałem; uśmiechnął się i zwilżył wargi, jak robił to zawsze, kiedy miał zapalić swoją fajkę.

- Eee... - powiedział D-G.

Morgan wprowadzał mnie do sali konferencyjnej, obrócił się w moją stronę, stracił ze stołu ołówki.

- Samson - uzupełnił Morgan.

Było to jednym z jego obowiązków - przypominać D-G nazwiska personelu. Również podnoszenie rzeczy, jakie D-G nieświadomie strącał na podłogę.

- Ehhh, Samson - powiedział D-G. - Byłeś właśnie u naszego rosyjskiego przyjaciela, żeby z nim porozmawiać. Nalej sobie drinka.

- Tak jest, sir.

Fluorescencyjne światła odbijały się w wypolerowanym blacie stołu. Przypomniałem sobie, jak Fiona mówiła, że oświetlenie fluorescencyjne wywoływało „dziwny” smak ginu. Było to coś, co stanowiło część jej rozpieszczonego

wychowania, racjonalne wyjaśnienie, dlaczego nie chciała pić w tanich restauracjach, narożnych barach lub biurach. I nigdy całkowicie nie odrzuciłem podejrzeń, że może jej teoria jest prawdziwa. Nie przeszkadzało mi to jednak w picciu.

Nalewając sobie duży gin z tonikiem rozejrzałem się po pokoju. Sir Henry Clevermore wydawał się być w dobrej formie w dniu dzisiejszym. Mimo pomarszczonej twarzy i obwisłych policzków, jego grube powieki kryły jasne spojrzenie, a głos miał donośny. Jego rzadkie włosy były starannie uczesane w „pożyczkę” i dzisiaj nie było oznak zdenerwowania, które czasami wywoływało jąkanie.

Zastanawiałem się, o czym rozmawiali. Było mało prawdopodobne, by na takim spotkaniu zadawano Bretowi naprawdę istotne pytania; D-G nie chciał, aby Dicky i Morgan byli świadkami sceny przepuszczania Breta przez wyżymaczkę. Jeśli wiedziałem cokolwiek o starym, to to, że gdy cała sprawa miałaby się rypnąć, wtedy on stanie z boku, tak jak już to robił niejednokrotnie. Przekazałby całość Bezpieczeństwu Wewnętrznemu i niech oni brudzą sobie ręce. Bo stary panicznie bał się nielojalności i uciekał gdzie pieprz rośnie, gdy tylko ją zwałchał.

A Bret na pewno nie objawiał żadnego napięcia. Siedział obok w swojej zwykłej pozie wytwornego manekina ze sklepowej wystawy. Dicky nosił zamszową marynarkę jako swoiste ustępstwo w stroju na rzecz D-G, Morgan wiercił się nerwowo, a Frank wyglądał na znudzonego - był jedyną osobą w tym pomieszczeniu, która by nie zareagowała, gdyby otworzono pomarańczową teczkę z aktami Breta. A tak naprawdę, gdyby Breta odstawiono, prawdopodobnie poprosiliby Franka, aby pozostał w Berlinie. Znając Franka i jego krzykliwe prośby o emeryturę, oznaczałoby to obietnicę większych wypłat emerytalnych i mnóstwo różnych świadczeń, po to tylko, aby czuł się zadowolony.

- Czy zarejestrowałeś swoje przesłuchanie? - spytał Morgan.

- Tak. Ale to nie było przesłuchaniem w dokładnym sensie tego słowa - powiedziałem przysuwając krzesło i siadając przy drugim końcu stołu na wprost D-G.  
- Nagranie jest właśnie transkrybowane.

- Dlaczego nie było to przesłuchaniem? - zapytał Morgan. - Takie miałeś instrukcje.

Morgan wywijał notatnikiem i ołówkiem. Miał nowy garnitur - ciemnoszary, prawie czarny, i bardzo dopasowany, białą koszulę i sztywny kołnierzyk - w sumie wyglądał jak ambitny młodszy reporter gazety, którym zresztą był nie tak dawno

temu.

Nie odpowiedziałem Morganowi. Wpatrywałem się w oczy D-G okolone czerwonymi obwódkami.

- Pojechałem do Berwick House, bo starszy przesłuchujący nie mógł dalej pracować. Miałem za zadanie ustalić, w czym jest kłopot. Nie jestem szkolonym przesłuchującym i mam bardzo małe doświadczenie.

Mówiłem głośno, ale i tak D-G przykładał do ucha dłoń zwiniętą w trąbkę.

- Jak go znajdujesz? - spytał D-G.

Inni grzecznie powstrzymywali się oddając Dyrektorowi pierwszeństwo w zadawaniu pytań.

- On jest chory - powiedziałem. - Robi wrażenie, że go coś boli.

- Czy to najważniejsza rzecz, jaką odkryłeś? - zapytał Morgan z więcej niż dozą sarkazmu.

- To jest coś, czego żadne nagranie nie wyrazi - powiedziałem.

- Ale czy to jest ważne? - powiedział Morgan.

- To może być bardzo ważne - odparłem. - Czy mamy jego kartę zdrowia? - spytał D-G Morgana. Odczekawszy, aż Morgan uświadomi sobie własne zakłopotanie, Bret odpowiedział:

- Systematycznie odmawiał poddania się badaniom. Chyba nie warto było przymuszać go w tej sprawie. I na wszelki wypadek nie gnietliśmy go za bardzo.

D-G skinął głową. Dyrektor, tak jak wielu pracowników z rozległym stażem, potrafił kiwać głową nie wyrażając tym zgody. Był to po prostu znak, że słyszał.

Zachęcony przez D-G, szybko zrelacjonowałem moją rozmowę ze Stinnesem, podkreślając szczególnie jego sugestię, aby pozwolić mu rozłożyć siatkę z Cambridge.

Bret powiedział:

- Mam pewne wątpliwości co do zwolnienia go w nadziei, że on sam to załatwi.

- Nie osiągniemy wiele, trzymając go tam, gdzie jest - rzekł Morgan.

Postukał ołówkiem w notes. Breta denerwował sposób zachowania Morgana na tych zebraniach w roli protokolanta na użytek D-G, który później przemawiał do starszeństwa jak do równych. Innych też to denerwowało. Zastanawiałem się, czy D-G nie rozumiał, czy też nie dbał o to. Jego zdolność wygrywania jednej osoby przeciw drugiej była legendarna. Tak właśnie zawsze Wydział prowadzono.

- Są duże naciski na mnie, aby oddać go ludziom z Home Office - powiedział D-G, wymawiając końcowe słowa prawie z dreszczem niesmaku.

- Mam nadzieję, że pan im nie ustąpi - powiedział Bret. Odzywał się bardzo grzecznie, lecz w jego głosie wyczuwało się sugestię, że D-G utraci szacunek, jeśli ulegnie tym presjom.

Dicky systematycznie dotąd opierał się wszelkim pokusom wciągnięcia go do sprawy przesłuchań Stinnesa, lecz teraz wypowiedział to, co każdy miał na myśli.

- Rozumiałem, że mieliśmy trzymać go przez prawie cały rok. Rozumiałem, że cała koncepcja opierała się na używaniu Stinnesa jako sposobu przykładania miary do naszych sukcesów lub porażek w ciągu minionych dziesięciu lat. Sądziłem, że przestudujemy z nim nasze archiwa.

Dicky spojrział na D-G, a Frank Harrington na Dicky'ego. Frank Harrington nie ujawniłby się jako świetlista postać w razie jakiegoś skrupulatnego przeglądu sukcesów i porażek Wydziału. W Sekcji Niemieckiej mieli maksymę, że sukcesy odnosiło się w Bonn, a nagradzało w Londynie, lecz porażki zawsze grzebano w Berlinie. Berlin był tą robotą, jaką należało czasami wykonać, ale nikt na tym nie zbudował kariery.

- Taki był podstawowy plan - rzekł Morgan.

Zerknął na D-G, czy ten potrzebował dalszych podpowiedzi. Dyrektor odezwał się:

- Tak, był to podstawowy plan, ale mieliśmy różne trudności. Więcej, niż kiedykolwiek słyszeliście.

„Czy to, zastanawiałem się, miało coś wspólnego z nie rozstrzygniętą kwestią przesłuchania Breta?” D-G mówił bardzo wolno i ktokol - wiek odpowiadał mu, natychmiast mimowolnie przegadywał go. Więc wszyscy czekaliśmy, no i oczywiście znowu zaczął mówić.

- To jak gra w pokera. Musimy zdecydować, czy blefować dalej, ufać temu Rosjaninowi i mieć nadzieję, że dostarczy nam towar zapewniający silną pozycję przetargową. - Znowu długa przerwa. - Czy też zmniejszyć nasze straty i przekazać go MI 5?

- To wysoce doświadczony agent sowiecki - rzekł Frank Harrington. - A KGB jest racjonalnie umotywowaną organizacją. Nie zdobyłby tak wysokiej pozycji, gdyby nie dotrzymywał słowa. Jeśli mówi, że potrafi to zrobić, to sądzę, że powinniśmy go traktować serio.

- Nie rozważajmy jego umiejętności, Frank - powiedziałem. - To nie kwestia, czy uda mu się, czy nie uda, dostarczyć nam materiał. Musimy się zastanowić, czy jest on nadal aktywnym pracownikiem KGB.

- Naturalnie, że musimy - powiedział Frank pospiesznie. - Jedyne głupiec przyjmie jego słowa za dobrą monetę. Z drugiej strony, nie mamy z niego żadnego, cholernego pożytku, gdy tak leży na półce zapakowany w bibułkę.

- A na dłuższą metę? - zapytał D-G.

Przypuszczam, że zdał sobie sprawę, że Frank nie wypadłby dobrze podczas systematycznego przeglądu naszej działalności i ciekaw był reakcji Franka.

To dla historyków - rzekł Frank. - Mnie interesuje tydzień miniony, obecny i przyszły. Strategia należy do pana, dyrektorze.

D-G uśmiechnął się na taką cwana odpowiedź.

- Sądę, że wszyscy jesteśmy jednakowej myśli - powiedział - chociaż dowodów na to widziałem niewiele. Musimy pójść na jakiś kompromis.

- Ze Stinnesem? - odezwał się Dicky.

Nigdy nie odkryłem, czy to miał być dowcip, lecz Morgan uśmiechnął się wszechwiedząco, więc być może już powiedział Dicky'emu, co się szykowało.

- Kompromis z MI 5 - oznajmił D-G. - Zaproponuję im, żeby wyznaczili kilka osób do komisji, tak abyśmy przejęli wspólną kontrolę nad przesłuchaniami Stinnesa.

- A kto będzie w komisji? - spytał Bret.

- Naturalnie, że ty, Bret - rzekł D-G. - I chcę, żeby Morgan mnie tam reprezentował. Czy to ci odpowiada, Frank?

- Tak jest, sir. To godne podziwu rozwiązanie - odezwał się Frank.

- A co z Sekcjami Niemieckimi? - spytał D-G, spoglądając na Dicky'ego.

- Tak, ale chciałbym mieć Samsona z powrotem pracującego na pełnym etacie dla mnie. Poświęcał wiele czasu Stinnesowi, a ktoś będzie musiał pojechać do Berlina w przyszłym tygodniu.

- Naturalnie - rzekł D-G. Bret odparł:

- Będzie nam od czasu do czasu potrzebny. Zajmował się przejęciem przez nas Stinnesa. Komisja niewątpliwie będzie chciała go widzieć.

Przypuszczam, że Bret oczekiwał, iż Dicky powie „ależ, tak, naturalnie”, ale Dicky wiedział, jak Bret wykorzystuje takie luźne porozumienia, więc nic nie odpowiedział. Dicky postanowił zatrzymać mnie dla siebie. Prowadzenie sekcji samemu z pewnością godziło w jego życie towarzyskie.

D-G rozejrzał się dokoła.

- Cieszę się, że wszyscy się zgadzamy - rzekł.

Oczywiście tę precyzyjną decyzję podjął, zanim zebranie się zaczęło. Lub też Morgan zrobił to za niego.

- Czy Stinnes pozostanie w Berwick House? - spytał Bret.

- Zastanówcie się nad tym w czasie pierwszego posiedzenia komisji - rzekł D-G. - Nie chcę, aby mówili, że stawiamy ich wobec *fait accompli*; to byłby zły start.

- Naturalnie, sir - powiedział Bret. - Kto będzie przewodniczył?

- Nalegam, żebyś ty się tym zajął - odparł D-G - chyba że nie chcesz, ale ograniczyłoby to twoje możliwości w głosowaniu.

- Myślę, że ja powinienem przewodniczyć - rzekł Bret.

Bret wyglądał doskonale, łokcie na wypolerowanym blacie stołu, ręce w ten sposób złożone, żebyśmy wszyscy mogli zobaczyć jego sygnet i złotą bransoletkę od zegarka. Jak do tej pory wszystko było po jego myśli ale teraz nie odczuje radości, kiedy zapozna się z tym raportem, jaki poszedł na górę, w którym Stinnes opisał go jako strzelającego gafę amatora.

- Ilu ich będzie?

- Wybadam ich - stwierdził D-G. - Może Kancelaria Gabinetu też się będzie chciała wtrącić. - Rozejrzał się wokół stołu i wzrok jego padł na mnie. - Wyglądasz bardzo poważnie i surowo, młody człowieku. Czy masz jakieś uwagi?

Popatrzyłem na Dicky'ego. Cokolwiek powiedział swojej żonie o Breście, jako wtyczce KGB, na pewno Dicky teraz nie wstanie i nie będzie zebrany tego powtarzał. Dicky odwrócił wzrok ode mnie i nagle zainteresował się osobą Dyrektora Generalnego.

- Nie podoba mi się to - oznajmiłem.

- Dlaczego nie?! - wykrzyknął Frank, gotów nie dopuścić, bym obraźliwie zachował się w stosunku do starego człowieka.

- Znajdą jakąś cholerną rzecz do wykorzystania przeciw nam. Nie było potrzeby mówić kto. Wiedzieli, że nie mam na myśli Moskwy.

- Już są dobrze zaopatrzeni w spis rzeczy przeciw nam - rzekł D-G. Zaśmiał się w kulak. - Pora na kompromis. Nie chcę, żebyśmy wdali się w bezpośredni konflikt z nimi.

Powtórzyłem:

- Nadal mi się to nie podoba. D-G przytaknął ruchem głowy.



- Nikomu tutaj to się nie podoba - rzekł miękkim przyjacielskim głosem. -  
Lecz mamy niewielki wybór.

Potrząsnął głową tak gwałtownie, że aż zakołysały mu się policzki.

- Nikomu tutaj to się nie podoba - powtórzył. Niezupełnie miał rację. Za uniesioną szklanką wody Perrier Morgan cieszył się z całej duszy. Przechodził od funkcji chłopca biurowego do roli operacyjnej bez konieczności posiadania dwudziestu lat doświadczenia, jakie zazwyczaj się z tym wiązało. To była tylko kwestia czasu, zanim Morgan poprowadzi cały Wydział.

## **Rozdział XX**

Niezonaci mężczyźni są najlepszymi przyjaciółmi, najlepszymi panami domu i najlepszymi służącymi - powiedziała Tessa Kosiński, moja szwagierka. Biedziła się nad drutem owijającym korek butelki szampana, uważając, żeby nie uszkodzić swoich długich, starannie pomalowanych paznokci. Błysnęła kawałkiem złotej folii w palcach i łagodnie zaklęła.

- Nie potrząsaj butelką, bo będziemy pływać w szampanie - powiedziałem. Uśmiechnęła się i bez słowa wręczyła mi butelkę. - Kto to powiedział? Czy to George?

- Nie, Franciszek Bacon, głuptasie. Dlaczego zawsze uważasz, że jestem ignorantką? Może nie mam za sobą takiej błyskotliwej kariery, jaką zrobiła Fi w Oxfordzie, ale nie jestem nieuczonym głupkiem.

Jej jasne włosy były idealne, jakby wyszła prosto od fryzjera, różowa sukienka ukazywała jej nagie ramiona, a oprócz tego miała złoty naszyjnik i zegarek na rękę błyskający diamentami. Właśnie czekała na George'a, a potem teatr, na koniec zaś party w domu greckiego potentata żeglugi morskiej. Taki rodzaj życia prowadzili.

- Wiem, że nie, Tessa. To po prostu zabrzmiało jak coś, co George mógł powiedzieć.

Była bystra, kiedy chciała. Zdawała sobie sprawę, że chciałem skierować rozmowę na temat jej męskich przyjaciół, ale zrećznie tego unikała. Tej butelki szampana nie dało się łatwo otworzyć. Pokręciłem korkiem i, wbrew tamtym ostrzeżeniom, potrząsnąłem butelką, by było szybciej. Szampan otworzył się z dużym hukiem.

- George stał się religijnym fanatykiem, odkąd się tu wprowadziliśmy -

powiedziała.

Patrzyła, jak nalewam szampana i słowem się nie odezwała, gdy trochę rozlało się na wypolerowany stół.

- Więc tak wpłynęło na niego wprowadzenie się tutaj? Włożyłem butelkę z powrotem do srebrnego kubelka.

- Mieszkamy teraz tak blisko kościoła. Nieuchronnie msza każdego ranka, kochanie - chyba to lekka przesada?

- Nauczyłem się nie robić uwag na temat praktyk religijnych innych osób - powiedziałem ostrożnie.

- I strasznie zaprzyjaźnił się z biskupem. Wiesz jaki z George'a snob i jak łatwo ulega pochlebstwu.

- A skąd to wiesz?

- Zaraz, zaraz - odsłoniła zęby w uśmiechu. - Sama mu schlebiam czasami. Myślę, że jest bardzo sprytny w interesach. I nawet mu to mówię.

- A co w tym złego, że przyjaźni się z biskupem? - zapytałem.

- Ależ nic takiego; to zabawny stary huncwot. Przesiaduje z George'em pijąc jego najlepszą brandy i dyskutując o niuansach teologii.

- To jeszcze nie czyni z niego fanatyka - powiedziałem.

- Nawet biskup mówi, że George jest nadgorliwy. Powiada, że on chyba próbuje odkupić grzechy swoich dwóch wujów.

- Sądziłem, że obaj jego wujowie byli księżmi.

- Biskup o tym wie; tylko żartował, kochanie. Czasami też tak wolno chwytasz jak ten biedny, stary George.

- No, sądzę, że George jest dobrym mężem - nie rezygnowałem, przygotowując grunt pod temat różnych jej niewierności.

- Ha, też tak myślę. Jest cudowny - wstała i rozejrzała się po pokoju, w którym siedzieliśmy. - I popatrz tylko, co on zrobił z tym mieszkaniem. Panował tu okropny bałagan, kiedy pierwszy raz tu przyszliśmy, żeby je obejrzyć. Większość umeblowania została wybrana przez George'a. Uwielbia chodzić na aukcje, próbując każdą rzecz kupić okazjnie. Jedyne, co ja tu zrobiłam, to było kupno tkanin i dywanów.

- To dało znakomity rezultat, Tesso - powiedziałem.

Sofa w kolorze kremowym i blade dywan kontrastowały z dżunglą tropikalnych roślin, które wypełniały narożnik przy przeciwległym oknie, światła

były wpuszczone w sufit, dając beczeniową, różową poświatę w całym pokoju. Rezultat wyglądał kosztownie, a jednak skromnie. To zupełnie nie było to, czego można by się spodziewać po srnaku i guście George'a, krzykliwie ubierającego się, rodowitego londyńczyka-milionera. Całe mieszkanie było wręcz idealne i połyskujące, niczym zdjęcie z rozkładówki w *House and Garden*. Tyle tylko, że nie było życia. Ja mieszkam w pokojach noszących ślady pobytu w nich dwojga małych dzieci: plastikowe zabawki w wannie, stare buty w przedpokoju, plamy na dywanie, tu i ówdzie odpryski tynku na ścianach. Było to, ni mniej, ni więcej, tragiczne, że George i Tessa nigdy nie mieli dzieci. George okropnie chciałby być ojcem, a Tessa kochała moją dwójkę do szaleństwa. Zamiast tego mieli złowieszczo spokojny dom w Mayfair - tej ponuro ekskluzywnej części Londynu. Nie jestem pewny, czy którekolwiek z nich należało do tego życia tak naprawdę.

- Daj mi jeszcze jednego - powiedziała Tessa.

Wyznawała absurdalny pogląd, że szampan był jedynym alkoholem, od którego nie tyła. W pewnych sprawach była jak małe dziecko i George, chociaż narzekał na jej zachowanie, był pobłażliwy dla zwariowanych pomysłów Tessy. Jego należało winić za wszystko, czego w niej nie lubił, bo to on, do jakiegoś stopnia, stworzył tę irytującą postać.

- Nie miałem zamiaru zostać.

- George lada chwila wróci. Zadzwoił z warsztatu mówiąc, że zaraz wychodzi. - Wyjąłem butelkę markowego *Bollingera* z kubelka do wina ze szczerego srebra i nalałem ponownie. - Czy samochód sprawuje się dobrze?

- Tak, dziękuję.

- George na pewno zapyta mnie, czy ci się podoba. Polubił cię. Myślę, że odgadł, iż mnie rugasz za to, że nie zajmuję się nim.

W języku Tessy oznaczało to niewierność. Jej słownictwo było brutalnie szczere we wszystkim za wyjątkiem małżeńskich zrad.

- Zatem musimy porozmawiać o pewnej sprawie, zanim wróci - rzekłem.

- Ta twoja dziewczyna wyglądała absolutnie oszołamiająco wczoraj wieczór - powiedziała Tessa podnosząc się. Podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. - Jeśli George przyjdzie zaraz, to jeszcze będzie miał gdzie zaparkować. - Wróciła do miejsca, gdzie siedziałem, i stając za mną rozwichrzyła mi włosy. - Tak się cieszę, że ją przyprowadziłeś. Co ona robi dziś wieczorem?

- Chodzi do wieczorowej szkoły - powiedziałem. Wiedziałem, że wywoła to

gromki śmiech, i nie rozczarowałem się.

- Szkoła wieczorowa, kochanie? Ile ona ma lat? Wygląda na dziewczynę, którą porwałeś z piątej klasy.

- Studiuje ekonomię - wyjaśniłem. - Zdecydowała się zostać studentką w Cambridge.

- Cóż to za gratka dla takiego niewykształconego niezdary jak ty, kochanie. Żona po Oxfordzie, a kochanka w Cambridge.

Nadal stała za mną, ale gdy próbowałem schwycić ją za rękę, zrobiła unik.

- Chodzi mi o ciebie i Dicky'ego - powiedziałem, zdecydowany poruszyć ten temat.

- Wiedziałam, że to nadejście. Dostrzegłam to w twojej twarzy - rzekła.

- Dużo się napracowałam, żeby uniknąć tej rozmowy - oświadczyłem. - Ale jest coś, o czym powinnaś wiedzieć.

- Nie mów mi, że Dicky Cruyer jest żonaty czy coś równie okropnego - odezwała się.

Usiadła w miękkim fotelu, kopnięciem zrzuciła złote wieczorowe pantofle i położyła stopy na stoliku do kawy w taki sposób, że palcami u nóg dotykała kubelka z lodem.

- Daphne jest wściekła - oznajmiłem.

- Powiedziałam mu, że prędzej czy później ona się wszystkiego dowie o nas - rzekła spokojnie Tessa. - On jest taki beztroski. Tak jakby chciał, żeby każdy o tym wiedział.

- Przyjaciółka Daphne widziała was w hotelu w pobliżu Deal.

- Wiedziałam - odparła. Zaśmiała się. - Dicky spakował obie torby i zapomniał, że zawsze zostawiam nocną koszulę pod poduszką... na wypadek pożaru czy czegoś takiego. Rozpakowałam się po powrocie do domu, lecz w pierwszej chwili nie zauważyłam braku koszuli. Potem wpadłam w panikę. - Wypiła trochę szampana. Podobała się jej ta historia bardziej niż mnie. - Możesz sobie wyobrazić, co wtedy myślałam. Dicky wpisał do książki hotelowej swój prawdziwy adres - on jest taki postrzelony - i już widziałam, jak hotel przesyła moją fatalną koszulkę do Daphne z liścikiem, że zostawiła to u nich czy coś w tym rodzaju.

Popatrzyła na mnie czekając, żebym zapytał, co zrobiła dalej.

- Co zrobiłaś dalej? - zapytałem.

- Nie mogłam zadzwonić do Dicky'ego; wściekał się, jak dzwoniłam do niego

do biura. Ale nie mogłam sobie wyobrazić, jak o tym powiedzieć tym ludziom z hotelu, to znaczy, jak można im wytłumaczyć listownie, że nie chcesz, aby ci odsyłali tę koszulę. Czy powiedzieć, żeby oddali dla biednych, czy że właśnie wyprowadziłam się? To niemożliwe. Więc wskoczyłam do samochodu i pojechałam cały ten kawał drogi do Deal jeszcze raz.

- Odzyskałaś ją?

- Kochanie, można było kompletnie oszaleć. Ta urocza pani w recepcji powiedziała, że pracowała we wszystkich dużych hotelach w Europie. Żaden hotel nie zwraca koszul nocnych lub innych sztuk bielizny damskiej pod adres podany w książce hotelowej, tak powiedziała. Czekają, aż nadejdzie do nich pytanie w danej sprawie. A potem, kochanie, pokazała mi ogromną komodę pełną skąpych ubiorów pozostawionych w czasie weekendów zakazanej namiętności. Trzeba ci było zobaczyć to, Bernard. Zarumieniłam się oglądając niektóre rzeczy w tej komodzie.

- Tak więc wszystko skończyło się pomyślnie? - Chciałem porozmawiać z nią o jej romansie z Dickym, ale stwierdziłem, że chciała ciągnąć opowieść i uniknąć rozmowy aż do powrotu George'a.

- Powiedziałam tej zabawnej pani, że powinniśmy zająć się prowadzeniem interesu, czyli wykupić te wszystkie cudowne drobiazgi od hotelu i zacząć nimi handlować. Wspomniałam o tym nawet członkiniom tego komitetu, do którego zresztą sama należę - to taka forma dobroczynności dla dzieci - ale trzeba było zobaczyć ich twarze! Same stare trufle z farbowanymi włosami, odziane w futra. Gotowe były pomyśleć, że proponuję otwarcie burdelu.

- A nie powiedziałaś im, jak dokładnie uzyskałaś tę informację?

- Powiedziałam, że zdarzyło się to mojej przyjaciółce.

- To nie bardzo przekonujący fortel - oświadczyłem.

- No cóż, wiesz, przecież nie żyję w tym świecie, prawda? Ta uwaga wymierzona była we mnie.

- Tu nie chodzi o koszulkę. Chodzi o przyjaciółkę Daphne, która was widziała.

- Myślę o niej, lecz nie przypominam sobie żadnej znajomej twarzy w tym hotelu, przez cały weekend.

- Daphne mówi o rozwodzie.

- Ona zawsze tak mówi - powiedziała Tessa.

Odrzuciła włosy do tyłu i uśmiechnęła się uśmiechem samoobrony.

- Zawsze? Co masz na myśli, mówiąc „zawsze”?

- Dobrze wiesz, że miałam takie małe co nieco z Pięknisiem Dickym w zeszłym roku, a może to było dwa lata temu? Któregoś wieczoru rozmawialiśmy o tym. Pamiętam, że byłeś taki bardzo ważny i pewny siebie.

- Jeśli Daphne złoży sprawę u prawnika, to może z tego zrobić się parszywa awantura, Tess.

- Dam sobie radę - powiedziała. - Wiem, że chodzi ci o mnie, mój kochany Bernardzie. Ale dam sobie radę.

- Gdybym w to wierzył, to nie siedziałbym tu rozprawiając o tym. Ale znam Daphne na tyle, że wiem, iż może być serio.

- Rozwód? A co z dziećmi? Gdzie by zamieszkała?

- Nie zajmujemy się problemami Daphne. Jak ona zacznie mieszać, to będziesz miała swoich kłopotów aż nadto. Chce, żebym przedstawił ją George’owi.

- To czyste wariactwo - powiedziała Tess.

- Straciłby na tym tylko Dicky - ostrzegłem ją. - Rozpowszechnianie takich wieści, jak podjęcie sprawy rozwodowej o wątpliwym zabarwieniu, zniszczyłoby jego karierę.

- Nie mów, że wyleciałby z pracy. Wiem, że to nieprawda.

- Prawdopodobnie nie, ale zostałby wysłany na jakąś parszywą placówkę na drugim końcu świata i pozostawiony tam, aby zgnił. Wydział nie lubi publicity, Tesso. Nie muszę ci rysować wykresu, prawda?

Jej żartobliwa postawa uległa zmianie. Zdjęła stopy ze stołu i wypita łyk szampana, zamyślając się nad swoją pozycją w układzie.

- George byłby wściekły - powiedziała, jak gdyby miał się bardziej wściekać w związku z rozgłosem koło swojej sprawy niż z powodu jej niewierności.

- Sądziłem, że próbujesz ponownie scalić swoje małżeństwo - powiedziałem. - Pamiętam, jak mówiłaś mi, że George jest najcudowniejszym mężem na świecie i że jedyne, co chciałabyś zrobić, to uczynić go szczęśliwym.

- I chcę, kochanie, i chcę. Ale nie uszczęśliwią go opisy w tych wszystkich parszywych gazetach, że jest skrzywdzonym mężem, i jeszcze ze zdjęciem. Muszę porozmawiać z Daphne. Muszę ją nakłonić do widzenia rzeczy rozsądnie. Byłoby wariactwem z jej strony zostawić Dicky’ego z powodu takiej głupiej drobnostki.

- To nie jest dla niej żadna „głupia drobnostka” - powiedziałem. - I jeśli będziesz rozmawiać z nią w ten sposób, to tylko pogorszysz sprawę.

- No to co chcesz, żebym powiedziała?

- Nie usiłuj mi wmawiać, że robisz to dla mnie - stwierdziłem cierpko. - Nie mogę ci doradzać, co masz powiedzieć. Ale jedyna rzecz, jaką Daphne będzie chciała usłyszeć od ciebie, to to, że nie będziesz się już więcej widywać z Dickym.

- No, naturalnie, powiem jej to.

- Ale musisz rzecz traktować serio, Tess. Nie ma sensu łątać i sciubolić...

Chyba się w nim nie zakochałaś, co?

- Boże broń, nie. Kto mógłby zakochać się w nim? Sądziłam, że robię Daphne przysługę, mówiąc szczerze. Nie wyobrażam sobie, jak mógłby ktoś strawić Dicky'ego mając go cały czas koło siebie. Jest strasznie nużący.

Słuchałem jej protestów z pewnym niedowierzaniem. Nie wiedziałem wiele o kobietach, lecz zdawałem sobie sprawę, że takie wysilone mówienie „nie” często mogło być oznaką głębokiej namiętności.

- Przepróż ją. Pora, żebyś z tym wszystkim skończyła, Tesso. Przecież nie jesteś już dzieckiem.

- Nie jestem stara i brzydka - odpowiedziała Tessa.

- Nie, na pewno nie. Byłoby może lepiej, gdybyś była stara i brzydka. George byłby lojalny, niezależnie od tego ile miałabyś lat i jak byłabyś brzydka, i wtedy zdałabyś sobie sprawę, jakiego masz dobrego męża.

- Wy, mężczyźni, zawsze trzymacie się razem - rzekła Tessa melancholijnie.

- Tessa, ty przyczyniasz się do smutku wielu ludzi. Wiem, że na to tak nie patrzysz, ale ciągle powodujesz kłopoty. Miałas bogatego tatusia, który ci dawał wszystko, o co go poprosiłaś, i teraz myślisz, że możesz mieć wszystko, czego chcesz, bez zastanowienia się nad tym, do kogo to należy lub też jakie mogą z tego wyniknąć konsekwencje.

- Lubisz wyżywać się w roli psychologa-amatora, Bernard. Czy kiedykolwiek mówiłam ci o tym?

- Nie znoszę psychologów-amatorów - odpowiedziałem. Zawsze wiedziała, jaką szpilką mnie ukłuć. Wypiłem szampana i wstałem.

- Nie rób takiej miny, jakby ktoś uraził twoją dumę, kochanie. Wiem, że robisz, co możesz, aby mi pomóc.

- Jeśli chcesz, żebym porozmawiał z Daphne, to zrobię to. Ale nie zrobię tego dopóty, dopóki nie otrzymam od ciebie solennej obietnicy, że kończysz sprawę.

Wstała również. Podeszła do mnie i pogłaskała klapę mojej marynarki. Jej głos przypominał kocie mruczenie.

- Jesteś mistrzem, Bernard. To bardzo pociągająca strona u mężczyzn. Zawsze to mówiłam.

- Skończ to, Tess. Czasami wydaje mi się, że te twoje miłosne przeżycia są ukartowane, aby ci zapewnić ciągle podtrzymywanie wiary w siebie.

- Fi zawsze to mówiła. Tatuś nigdy nie chwalił nas za nic. Fi nie przejmowała się, ale ja chciałam odrobinę pochwały od czasu do czasu.

Było w jej głosie coś, co skłoniło mnie do przyjrzenia się jej. Jakież wieści od Fiony? - To była zwykła zagrywka. - List?

- Miałam zamiar powiedzieć ci, Bernard. Naprawdę. Zdecydowałam, że powiem ci, zanim wyjdiesz.

- Powiedz mi, o co chodzi?

- Widziałam się z Fi.

- Widziałaś się z Fioną. Kiedy?

- Parę dni temu.

- Gdzie?

- Mam kochaną ciocię staruszkę mieszkającą w Holandii. Kiedyś bywałyśmy u niej na wakacjach. Zawsze jeżdżę tam na jej urodziny. Ona kiedyś przyjeżdżała do nas, ale teraz już jest za słaba na podróże - gadała jak najęta.

- W Holandii?

- W pobliżu Eindhoven. Mieszka w takim bloku dla ludzi starszych. Na miejscu jest lekarz i posiłki, jak ktoś chce. Holendrzy robią to tak dobrze, że aż wstyd mi za nas.

- A Fiona?

- Przyjechała na urodziny. Omal nie padłam z wrażenia. Siedziała tam, jakby była to najnormalniejsza rzecz na świecie.

- Co powiedziałaś?

- A cóż ja mogłam powiedzieć, kochanie. Moja ciocia nic nie wiedziała, że Fiona przeszła na stronę tych skubanych Ruskich. Nie chciałam jej zepsuć urodzin. Zachowywałam się, jak gdyby nic, tak jak w latach poprzednich.

- Czy George był z tobą?

- On nie lubi spotkań rodzinnych. To znaczy, nie lubi spotkań mojej rodziny. Gdy chodzi o jego rodzinę, to zupełnie inna sprawa, a ich są tysiące.



Jeśli Georgeowi chodziło o ojca Tessy, to serdecznie podzielałem jego nastawienie.

- Rozumiem. Zatem tylko ty, Fiona i ciotka?

- Ona chce dzieci, Bernard.

- Fiona? Moje dzieci? Billy'ego i Sally?

- To także jej dzieci - rzekła Tessa.

- Chciałabyś zobaczyć, jak je zabiera?

- Nie bądź taki, Bernard, kochanie. Wiesz, że nie chciałabym. Ale ona chce tylko, żeby spędzały z nią kilka tygodni.

- W Moskwie? W Berlinie?

- Nie wiem. Wakacje, jak powiedziała.

- Ale jeśli do niej pojedą na parę tygodni, to jakże je odzyskamy?

- Myślałam o tym. - Napila się łyk szampana. - Ale jeśli Fiona obiecuje, że je odeśle, to dotrzyma słowa. Tak było, gdy byliśmy dziećmi; w sprawach osobistych nigdy nie złamała danego słowa.

- Gdybym tylko miał do czynienia z Fioną, to mógłbym to rozważyć - powiedziałem. - Ale mamy do czynienia z sowiecką biurokracją. A że nie zawierzyłbym nawet brytyjskiej biurokracji, więc pomysł oddania moich dzieci na łaskę sowieckich biurokratów nie wchodzi w ogóle w rachubę.

- Nie rozumiem.

- Te dranie chcą dzieci jako zakładników.

- Za Fionę?

- Ona teraz jest jeszcze pełna uniesienia. Rosjanie puszczają ją na Zachód i wiedzą, że wróci. Ale jest możliwość, że uniesienie opadnie. Rozczaruje się do sowieckiego społeczeństwa. Przekona się, że to nie jest ten raj, o którym marzyła przez te wszystkie lata.

- Zakładnicy?

- Kiedy dzieci już tam będą, odkryje, że nie mogą wszyscy razem wrócić na Zachód. Sowietci już się postarają o to, żeby podróżowała sama. Nie będzie miała wyboru; będzie musiała wrócić do dzieci.

- Ona jest przygotowana na oddanie sprawy do sądu w celu uzyskania praw do opieki.

- Tak ci powiedziała?

- W kółko tak mówiła.

- Dlatego że wie, iż Wydział nie będzie tolerował żadnych rozpraw sądowych.  
Wywrą na mnie nacisk, abym przyznał jej te prawa.

- To byłoby obrzydliwe.

- Tak właśnie robią.

- Dzieci też mają swoje prawa. Dostarczenie Rosjanom dzieci bez dania im szansy byłoby fatalną pomyłką sądową.

- Może nie powinienem mówić, co zrobią, zanim to zrobią, ale powiem, że szanse Fiony są duże.

- Bernard, kochanie, usiądź na chwilę. Nie wiedziałam, że tak cię to dotknie.  
Chcesz może whisky albo coś innego?

- Dziękuję, Tess. Nie, jeszcze trochę szampana - poprosiłem. Usiadłem, gdy nalewała.

- Powiedziała, że nie chce się z tobą kłócić. Ona nadal cię lubi, Bernard, ja to widzę.

- Nie sądzę - odparłem.

Ale czy naprawdę chciałem sam sobie zaprzeczyć?

Tessa usiadła obok mnie. Czuję ciepło jej ciała i zapach perfum. Była to ciężka, egzotyczna woń, harmonizująca, jak przypuszczam, z wieczorem, jaki ją czekał.

- Nie miałam zamiaru mówić ci o tym, ale Fi jest nadal w tobie zakochana.  
Ona zaprzecza, ale ja zawsze byłam w stanie ją przejrzeć.

- Nie ułatwiasz mi sprawy, Tess.

- Musi jej strasznie brakować dzieci. A może po prostu chce z nimi być przez jakiś czas raz do roku?

- Może i tak - zgodziłem się.

- Nie wyglądasz na przekonanego.

- Fiona to niezwykle zdradziecka osoba, Tess. Prawdomówna, kiedy jej to odpowiada, ale zdradziecka. Niewątpliwie nie muszę ci tego mówić. Czy opowiadałaś komuś o spotkaniu z Fioną?

- Oczywiście, że nie. Fi prosiła, żeby nie mówić.

- Nawet George'owi?

- Nawet George'owi. Daję słowo - powiedziała i zrobiła taki dziecięcy gest, przesuwając palcem po gardle na dowód, iż klnie się, że to prawda.

- I nikt jej nie towarzyszył?

- Była sama. Została na noc. Ciocia ma wolny pokój. Przegadałyśmy pół nocy. Fiona miała wynajęty samochód. Następnego ranka pojechała na lotnisko. Miała gdzieś polecieć... chyba do Paryża.

- Dlaczego nie skontaktowała się ze mną?

- Mówiła, że o to zapytasz. Powiedziała, że tak będzie lepiej. Przypuszczam, że jej ludzie nie będą podejrzewać postoju w Holandii, tak jak na pewno byliby nieufni, gdyby przyjechała do Londynu, aby się z tobą zobaczyć.

Przez kilka minut nic nie mówiliśmy. Wreszcie Tessa odezwała się:

- Powiedziała, że cię widziała.

- Od wyjazdu?

- Na londyńskim lotnisku. Powiedziała, że mieliście krótką pogawędkę.

- Będę cię musiał prosić, abyś o tym zapomniała, Tess. To było dawno temu.

- A czy ty nie mówiłeś Dicky'emu czy komuś tam? To było głupie, Bernard.

Czy to dotyczyło dzieci?

- To prawda. Nie, nie mówiłem ani Dicky'emu, ani komukolwiek.

- Ja również nie mówiłam Dicky'emu o moim spotkaniu z siostrą - powiedziała Tessa.

- Myślałem o tym, Tessa. Zdajesz sobie sprawę, że to ma wpływ na twoje stosunki z Dickym?

- Dlatego, że nie powiedziałam mu?

- Nie chcę z tobą rozmawiać o tym, z czego żyje Dicky, ale niewątpliwie pojmujesz, że romans z tobą może doprowadzić do Poważnych przykrości dla niego. - Z powodu Fiony?

- Ktoś, kto chciałby narobić kłopotu, mógłby połączyć Fionę z Dickym via romans, jaki on ma z tobą.

- Ale równie dobrze mogliby połączyć Fionę z Dickym via fakt, że pracujesz dla niego.

- Ale ja nie widuję się z Fioną regularnie.

- I ja też nie.

- To może być trudno udowodnić. I jeszcze to, że jedno spotkanie z Fioną mogłoby spowodować zdenerwowanie szefów Dicky'ego.

- Moja siostra udała się do Rosji. To nie czyni szpiega ze mnie. I nie powoduje, że każdy, kogo znam, staje się podejrzanym.

- Może i nie powinno, ale tak jest. W każdym razie, nie można Dicky'ego

łączyć ze wszystkimi, których znasz... w każdym razie, nie w tym kontekście.

Kontakty Dicky'ego muszą podlegać szczególnej kontroli.

- Chyba masz rację.

- Mam.

- No to co mam zrobić?

- Bardzo bym nie chciał, żebyś się wplątała w jakiś szpiegowski skandal, Tesso. Wiem, że jesteś niewinna, ale wielu niewinnych ludzi zostaje wciągniętych w te rzeczy.

- Chcesz, żebym przestała widywać Dicky'ego?

- Bezzwłocznie powinnaś z nim zerwać.

- Może do niego napisać?

- Absolutnie nie - powiedziałem.

Dlaczego kobiety zawsze odczuwają potrzebę pisania listów kończących jakąś miłośćkę?

- Nie mogę tak po prostu przestać. Pojutrze jestem z nim umówiona na kolację.

- Jesteś pewna, że Dicky nie wie, że widziałas się z Fioną?

- Z pewnością ja mu tego nie mówiłam - powiedziała Tessa. Była nieco opryskliwa, jak gdyby niechętna radom udzielanym jej przeze mnie.

- Nikomu nie mówiłam, nikomu w ogóle. Ale gdy nagle przestanę się z nim widywać, to może zacząć myśleć, że coś w tym jest.

- Zjedz z nim obiad i powiedz mu, że to koniec.

- Nie sądzisz, że będzie pytał mnie o Fionę?

- Nie sądzę, ale jeśli poruszy ten temat, to po prostu powiedz, że nie widziałas jej od czasu, gdy opuściła Anglię i udała się do Berlina.

- Teraz zacznym się tym martwić, Bernard.

- Wszystko będzie dobrze, Tess.

- A powiedzmy, że oni wiedzą?

- Zaprzeczaj temu, żeś ją widziała. Jeśli już nadejdzie najgorsze, to będziesz mogła powiedzieć, że mnie o tym powiedziałaś, a ja kazałem ci nikomu o tym nie mówić. Powiesz, że przyjęłaś tę instrukcję dosłownie.

- A czy to nie wpędzi cię w kłopoty?

- Zorientujemy się, co zrobić, kiedy do tego dojdzie. Ale pomogę ci tylko

wtedy, jeśli naprawdę poważnie podejdziesz do skończenia z tym idiotycznym romansiem z Dickym.

- Mówię poważnie, Bernard. Naprawdę poważnie.

- Obecnie mamy wiele kłopotów w Wydziale. Mnóstwo podejrzeń kierowanych jest przeciw każdemu. Fatalna pora, żeby występować z szeregu.

- Dla Dicky'ego?

- Dla każdego.

- Przypuszczam, że oni sądzą, że miałeś coś wspólnego z odejściem Fiony?

- Mówią, że nie, ale jestem przekonany, że tak.

- Ona mówiła, że sprawiła ci wiele kłopotów.

- Fiona?

- Powiedziała, że jest jej przykro z tego powodu.

- To ona uciekła.

- Powiedziała, że musiała.

- Dzieci nigdy jej nie wspominają. Martwi mnie to czasami.

- To szczęśliwe dzieciaki. Ich opiekunka to dobra dziewczyna. Dajesz im dużo miłości, Bernard. To właściwie wszystko, czego dzieci naprawdę potrzebują. Tego potrzebowałyśmy od taty, ale on wolał nam dawać pieniądze. Jego czas był zbyt cenny.

- Ja zawsze jestem gdzieś z dala albo długo pracuję, albo jakaś inna cholera odrywa mnie od domu.

- Nie to miałam na myśli, Bernardzie. Nie chodziło mi o to, że miłość można wymierzyć w roboczogodzinach. Nie odbijasz godzin miłości na zegarze. Dzieci wiedzą, że je kochasz. Wiedzą, że pracujesz po to, aby dbać o nie; rozumieją to.

- Mam taką nadzieję.

- No, ale co z nimi zrobisz? Pozwolisz, aby Fiona je wzięła?

- Niech mnie szlag trafi, jeśli wiem, Tess - powiedziałem, i to była prawda. - Ale musisz skończyć z Dickym.

## **Rozdział XXI**

Nowo sformowana komisja, która przejęła sprawę przesłuchań Stinnesa, nie traciła czasu na podkreślanie swojej powagi, demonstrując energię w działaniu. Dla niektórych nowo przybyłych komisja dawała przykład nowego ducha w międzywydziałowych działaniach Whitehall, lecz ci z nas, którzy mieli dłuższą

pamięć, dostrzegli w niej po prostu jeszcze jedno pole walki, na którym Home Office i Foreign Office angażowały siły i załatwiały stare porachunki.

Dobrą wiadomość stanowiło to, że Bret Rensselaer i Morgan spędzali większą część każdego dnia na Northumberland Avenue, gdzie komisja miała swoją siedzibę. Było tam dla nich mnóstwo pracy. Tak jak każde dobrze zorganizowane przedsięwzięcie biurokratyczne, zostało to założone bez względu na koszty. Sześć osób stanowiło personel komisji - dla nich znalazły się ogrzewane pomieszczenia biurowe z dywanami na podłodze oraz zainstalowane zostały wszelkie niezbędne rekwizyty administracji: biurka, maszyny do pisania, szafki na akta, jedna kobieta przychodząca bardzo wcześnie, aby posprzątać i odkurzyć, druga do robienia herbaty i człowiek zamiatający podłogi oraz zamykający całość na klucz nocą.

- Bret zbuduje sobie sympatyczne małe imperium w tej komisji - rzekł Dicky.

Szukał czegoś, co mogłoby go zająć, od czasu, gdy jego Komisja Wywiadu Gospodarczego przestała działać. Było to wyrazem raczej nadziei Dicky'ego niż starannie rozważona przepowiednia. Dicky nie miał nic przeciwko temu, aby Bret został tam monarchą, o ile tylko nie będzie się na siłę wpychał do maleńkiego państewka Dicky'ego. Przypatrzyłem mu się uważnie przed odpowiedzią. Ciągle jeszcze nie było oficjalnej wzmianki o tym, że kwestionuje się lojalność Breta, więc poszedłem torem Dicky'ego. Ale zacząłem zastanawiać się, czy nie eliminowano mnie celowo z podejrzeń Wydziału.

- Przesłuchania Stinnesa nie mogą się ciągnąć w nieskończoność - powiedziałem.

- Bret zrobi wszystko, co będzie mógł - odparł Dicky.

Miał na sobie dzinsową kamizelkę. Ręce miał założone i chował dłonie, jakby nie chciał w ogóle pokazywać ciała. Był to neurotyczny manieryzm. Dicky stał się bardzo neurotyczny od czasu tego wieczoru, gdy miał kolację z Tessą, kolację, podczas której miała mu powiedzieć, że z nimi koniec. Ciekaw jestem, co się naprawdę stało.

- Nie podoba mi się to - rzekłem.

- Nie tobie jednemu - rozwinął temat Dicky. - Dziękuj łaskawym gwiazdom, że nie latasz na posyłki dla Morgana, Breta i całej reszty. Obroniłem cię przed tym, prawda?

Przyszedł do mojego mizernego biura i patrzył, jak przebijam się przez całe szufladki materiałów, których nie załatwił w ciągu poprzednich dwóch tygodni.

Siedział na moim stole i bawił się spinaczami oraz pamiątkowym kuflem pełnym ołówków i piór.

- I jestem ci wdzięczny - odparłem. - Ale chodzi mi o to, że nie podoba mi się to, co się tam dzieje.

- A co się tam dzieje?

- Przyjmują zeznania od kogo tylko mogą. Mówią nawet, że komisja pojedzie do Berlina, by porozmawiać z tymi, których tu nie można ściągnąć.

- A co w tym złego?

- Mają za zadanie prowadzić przesłuchania Stinnesa. Nie powinni wtykać nosa we wszystko, co miało miejsce, gdy zwerbowałem go.

- Dla zasady? - rzekł Dicky.

Szybko wyłąpał sprawy mające coś wspólnego z polityką biurową.

- Tak, dla zasady. Nie chcemy, żeby ludzie z Home Office wypytywali i wydawali opinie o naszych operacjach zagranicznych. To nasz teren - przecież na to nalegaliśmy przez te wszystkie lata, prawda?

- Międzywydziałowe starcie, czy tak to widzisz? - spytał Dicky. Rozpiął spinacz i zrobił z niego kawałek drutu, potem rozejrzał

się po zatłoczonym małym pomieszczeniu, jakie dzieliłem z moją sekretarką na pół etatu, jakby widział slumsy po raz pierwszy.

- Będą mnie chcieli przepytwać, może też nawet ciebie. Werner Volkmann przyjeżdża tu dla złożenia zeznań. I jego żona. Kiedy koniec tego? Będziemy mieli tych wszystkich ludzi na karku, zanim komisja skończy swoją działalność. - Zena? Upoważniłeś Zenę Volkman do podróży do Londynu? - Przejechał paznokciami po stercie papierów.

- Pieniądze będą z funduszy komisji - powiedziałem. - Najpierw ustalili skąd miały przyjść pieniądze.

- Urzędnicy zeznający przed komisją nie będą musieli odpowiadać na pytania, które uznają za nie odnoszące się do rzeczy.

- Kto tak powiedział?

- To taka formuła - rzekł Dicky. Rzucił spinacz do koszyka, ale chybił.

- Jeśli chodzi o inne wydziały, tak. Ale tej komisji przewodniczy jeden z naszych wyższych rangą. Hu świadków będzie chciało mu powiedzieć, żeby się wypchał?

- D-G nie był w centrum zainteresowania - odparł Dicky. - To nie to, co

zrobiliby za dawnych dobrych dni. Wytrzymałby i nadal cisnął Stinnesa w nadziei, że dostaniemy coś dobrego.

- Mogę winić Breta - rzuciłem od niechcienia.

- Po co?

- Dlatego, że uczynił kompetencje komisji zbyt rozległymi.

- Dlaczego miałby to robić? - zapytał Dicky.

- Nie wiem. - Nadal nie było sygnału, że Bret jest podejrzany.

- Żeby zrobić się ważniejszym? - nalegał Dicky.

- Możliwe.

- Komisja jest nastawiona przeciw niemu, Bernard. Jeśli przekroczy granicę swoich uprawnień, będzie przegłosowany. Wiesz, nie ma przyjaciół wokół siebie.

- Nawet Morgan? - zdziwiłem się.

Nie było to zamierzone jako poważne pytanie, ale Dicky zareagował poważnie.

- Morgan nienawidzi Breta. Prędzej czy później dojdzie między nimi do prawdziwej konfrontacji. To było szaleństwo ustawiać ich tam dwóch.

- Zwłaszcza z audytorium patrzącym, jak się przepychają - dodałem.

- Masz rację - odrzekł Dicky.

Popatrzył na mnie i zabrał się za swój paznokieć. Chciałem wykonać trochę papierkowej roboty. Ale Dicky nie dał mi tej szansy.

- Ja i twoja szwagierka.

Co miałem powiedzieć - „Przepraszam”? Czy Tessa opowiedziała mu, że znałem układy, czy też zgadywał? Popatrzyłem na niego, aby zobaczyć, czy mówi serio, czy żartował? Chciałem tak zareagować, jak on chciałby, żebym zareagował. Ale Dicky nie patrzył na mnie; patrzył w przestrzeń, być może myśląc o swoim ostatnim i ostatecznym *tete-a-tete* z Tessą.

- Musiało się to skończyć - rzucił Dicky. - Była załamana, naturalnie, ale zdecydowałem. Unieszczęśliwiałem Daphne. Kobiety potrafią być bardzo samolubne, wiesz.

- Tak, wiem.

- Tessa była mi bliska przez ostatnie lata - rzekł Dicky. - Dostrzegałeś, jestem pewny.

- Dziwiłem się - przyznałem.

- Kochałem ją - odezwał się Dicky.



To wszystko, co postanowił powiedzieć o sobie, i ja byłem jedynym nadającym się do tego powiernikiem. Usiadłem głębiej i pozwoliłem mu kontynuować. Nie potrzebował zachęty.

- Raz na całe życie, być może, znajdziesz się w pułapce, skąd nie ma odwrotu. Wie się, że to źle, że zaboli to ludzi, że nie będzie happy endu. Ale uciec nie można.

- Czy tak się stało z tobą i Tessą? - spytałem.

- Przez miesiąc nie mogłem przestać o niej myśleć. Tak było ciągle. Nie mogłem nic zrobić w pracy.

- Kiedy to było?

To, że Dicky'emu nie wychodziło nic w robocie, nie było żadną wskazówką co do daty.

- Dawno temu - rzekł. Ręce nadal złożone, objął się nimi. - Czy Daphne ci powiedziała?

Teraz ostrożnie. W głowie migał mi czerwony sygnał pogotowia.

- Daphne? Twoja Daphne? - Przytaknął. - O czym?

- O Tessie, oczywiście.

- Są przyjaciółkami - odezwałem się.

- Miałem na myśli, czy mówiła, że miałem z nią romans?

- Z Tessą?

- Naturalnie, że z Tessą.

Przesadzałem już z tą swoją niewinnością. Zrobił się zjadliwy, a tego też nie chciałem.

- Daphne by ze mną o takich rzeczach nie rozmawiała, Dicky.

- Myślałem, że otworzyła serce przed tobą. Kilku naszych przyjaciół nękała opowieściami. Mówiła, że weźmie rozwód.

- Cieszę się, że wszystko skończyło się dobrze.

- No, ale nadal bywa nastrojowa. Pomyślałby ktoś, że jest strasznie zadowolona, prawda? A ja unieszczęśliwiłem Tessę - bardzo unieszczęśliwiłem - nie mówiąc o moim własnym poświęceniu. *Finito*. - Wykonał ruch dłonią, coś przecinający. - Zrezygnowałem z kobiet, które naprawdę kochałem. Pomyślałbyś, że Daphne będzie szczęśliwa, ale nie... Wiesz, co powiedziała wczoraj wieczorem? Powiedziała, że jestem samolub. - Dicky obnażył zęby i zmusił się do śmiechu. - Samolub. To dobre, muszę przyznać.

- Rozwód byłby rzeczą straszną - odezwałem się.

- To właśnie jej powiedziałem. Pomyśl o dzieciach, mówię. Jak my się rozejdziemy, to dzieci będą cierpieły więcej niż my. Więc nigdy nie wiedziałeś, że z twoją szwagierką miałem romans?

- Trzymałeś to dokładnie pod poduszką, Dicky - rzekłem. Ucieszył się z tego, co powiedziałem.

- Miałem w życiu wiele kobiet, Bernard.

- Ach tak?

- Nie należę do typów chwalcących się swymi podbojami - wiesz o tym, Bernard - ale jedna kobieta nigdy nie wystarczyłaby mi w życiu. Mam potężne libido. Nigdy nie powinienem był się żenić. Zdałem sobie z tego sprawę dawno temu. Pamiętam mojego starego belfra, który mawiał, że kłopot z małżeństwem polega na tym, że podczas gdy każda kobieta jest w sercu matką, każdy mężczyzna jest w sercu kawalerem - zachichotał.

- Muszę się zobaczyć z Wernerem Volkmanem o piątej - przypomniałem mu. Dicky spojrział na zegarek.

- To już ta godzina? Ależ ten czas leci. Co dzień to samo.

- Czy mam go poinstruować, zanim spotka się z komisją Stinnesa.

- Chodzi ci o komisję Rensselaera. Bretowi bardzo zależy na nazywaniu jej Komisją Rensselaera, tak abyśmy my mieli kontrolę.

Dicky powiedział to w sposób, jakby sugerował, żeśmy ją już utracili.

- Niezależnie od tego, jak ją nazwiesz, czy chcesz, abym poinstruował Wenera Volkmana na temat tego, co ma mówić?

- Czy jest coś, o czym nie chcielibyśmy, aby im powiedział?

- No, powiem mu oczywiście, że nie może ujawniać procedur operacyjnych, kodów, bezpiecznych kryjówek...

- O Jezu! - rzekł Dicky. - Naturalnie, że nie może ujawniać tajemnic wydziałowych.

- Nie będzie wiedział o tym do momentu, aż ktoś mu powie - odparłem.

- Masz na myśli, że powinniśmy wszystkich naszych ostrzegać, zanim pójdą przed komisję?

- Albo to, albo porozmawiasz z Bretem. Mógłbyś się upewnić, że każda osoba wezwana do złożenia zeznań zostanie poinformowana o stosowaniu się do pewnych wytycznych.

- Powiedzieć to Bretowi?

- Albo jedno, albo drugie, Dicky.

Dicky zsunął się ze stołu i zaczął chodzić tam i z powrotem z rękami w kieszeniach dżinsów.

- Lepiej żebyś o pewnej sprawie wiedział - wyrzucił z siebie.

- Tak? - spytałem.

- Wróćmy do tego wieczoru zaraz po twoim powrocie z Berlina z zapisem rozmowy... ta Niemka, która utonęła w Haweli w ostatnie Boże Narodzenie.

Pamiętasz?

- Jak mógłbym zapomnieć.

- Bardzo przejmowałaś się kodami radiowymi, jakich ona używała. Czy mam rację?

- Tak - odrzekłem.

- Może zechciałbyś mi to jeszcze raz opowiedzieć?

- Kody?

- Powiedz mi to samo, co powiedziałaś wtedy.

- Powiedziałem, że przygotowywała materiał, wybrany materiał, do transmisji.

Powiedziałem, że był to towar, którego nie chcieli dać ambasadzie do obsługi.

- Powiedziałaś, że to było dobre. Powiedziałaś, że to, co ta kobieta nadawała jest prawdopodobnie od Fiony.

- To było tylko przypuszczenie.

Zastanawiałem się, co Dicky chciał ode mnie wyciągnąć.

- Dwa kody, powiedziałaś. I powiedziałaś, że dwa kody to coś niezwykłego.

- Niezwykłego dla jednego agenta, tak.

- Zaczynasz szermować nieudomowieniami, Bernard, co bardzo utrudnia życie.

- Przepraszam, ale gdybyś powiedział mi, do czego zmierzasz, to może potrafiłbym wyrażać się jaśniej.

- Masz rację, niech to będzie mój błąd. W tym jesteś dobry.

- Były dwa kody. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

- IRONFOOT i JAKE. Mówiłeś, że Fiona była IRONFOOT. I dodałeś „kto do cholery jest JAKE?” Czy tak?

- Potem stwierdziłem, że IRONFOOT było złym tłumaczeniem słowa PIG IRON, czyli „surówka”.

Dicky nastroszył się.

- Czy pociągnąłeś to dalej, nawet kiedy kazałem ci zarzucić?

- Byłem w domu Silasa Gaunta. Brahms Cztery tam również był. Po prostu wspomniałem o dystrybucji materiałów i zapytałem go o to.

- Jesteś cholernie niezdyscyplinowany, Bernard. Kazałem ci to zostawić.

Czekał na moją odpowiedź, ale nic nie powiedziałem, więc zmusiło go to niejako do wypowiedzi:

- No, dobrze, dobrze. Czego się od niego dowiedziałeś?

- Niczego, o czym bym przedtem nie wiedział, ale potwierdził to.

- To znaczy, jeśli byłyby dwa kody to było dwóch agentów?

- Normalnie, tak.

- No tak, miałeś rację, Bernard. Może teraz spojrzymy na zabójstwo Millerowej w innym świetle. KGB ją zabiło, żeby nie wyspała. Na nieszczęście dla tych palantów po drugiej stronie płotu, już zdążyła zdradzić... tobie.

- Rozumiem - odezwałem się.

Odgadłem, co się szykowało, ale Dicky lubił wydobywać maksymalny efekt z każdego swojego podejścia.

- Więc zapytałeś, kto, do cholery, jest JAKE? No cóż, może teraz dam ci odpowiedź na to pytanie. JAKE to Bret Rensselaer! Bret jest podwójny, prawdopodobnie od lat. Mamy raporty z jego czasów w Berlinie. Nic takiego zdecydowanego, nic, co daje przekonujące dowody, ale teraz wszystko się zaczyna układać.

- Zupełnie szokujące - rzekłem.

- I to po byku szok. Ale nie wyglądasz na bardzo zdziwionego, Bernard. Czy podejrzewałeś Breta?

- Nie, przecież nie...

- To nieuczciwe zadawać ci takie pytanie. Po takim pytaniu wyglądam na Joego McCarthy. Faktem jest, że D-G zajmuje się tym. Teraz już może domyślasz się, dlaczego Bret jest na Northumberland Avenue, kolegując się z tymi facetami dużego kalibru z MI 5.

- Czy stary oddał go w ręce MI 5 bez powiedzenia mu, o co chodzi?

- Sir Henry nie zrobiłby nic takiego, zwłaszcza jednemu z naszych. Nie, MI 5 nic o tym nie wie. Ale stary chciał, żeby Bret wyniósł się z tego budynku i pracował z dala od ważnych, codziennych dokumentów, podczas gdy безпеka będzie dochodzić... Ale wszystko ma pozostać między nami, Bernard. Nie chcę, żeby jakiegokolwiek słowo wyszło poza ten pokój. Nie chcę, żebyś mówił o tym Glorii czy

komuś takiemu.

- Zgoda - odparłem. Pomyślałem, że to zwykła przesada, ponieważ główne punkty sprawy naświetliła mi właśnie Daphne.

Daphne była jego żoną, która ponadto nie miała zbyt wiele powodów do przyjaźni z nim, podczas gdy Gloria Kent była sprawdzonym pracownikiem obsługującym bardzo tajne papiery, których Bret nie widywał.

- Bret nie zdaje sobie sprawy, że jest podejrzany. Bardzo ważne jest, żeby nie nie wyczuł. Jeśli uciekłyby z kraju, byłoby fatalnie.

- Czy czekają go zeznania? - spytałem.

- Stary się waha.

- Kurczę, Dicky, ktoś powinien porozmawiać ze starym. Tak dłużej nie może być. Nie wiem, jakie są dowody przeciw Bretowi, ale nie można nie dać mu szansy odpowiadania za swoje czyny. Nie powinniśmy dyskutować o jego losie, kiedy odstawia się biednego palanta na taką odległość, że nie może dowiedzieć się, co jest grane.

- To nie jest dokładnie tak - odparł Dicky.

- No a jak? - spytałem. - Co byś powiedział, gdybym to ja mówił Bretowi, że ty jesteś JAKE?

- Wiesz, że to absurdalne - odrzekł Dicky.

- Nic takiego nie wiem - powiedziałem. Dicky zmienił się na twarzy. - Nie, nie, nie... Nie miałem na myśli, że mógłbyś być agentem KGB. Miałem na myśli, że to nie jest absurdalne przypuszczenie, że mógłbyś być podejrzany.

- Mam nadzieję, że nie będziesz tego dalej rozpracowywał - rzekł Dicky. - Zastanawiałem się, czy ci o tym powiedzieć. Może był to błąd w ocenie.

- Dicky, byłoby dobrze dla Wydziału i wszystkich tu zatrudnionych, żeby wszelkie wątpliwości co do Breta zostały rozstrzygnięte możliwie jak najszybciej.

- Może Bezpieczeństwo Wewnętrzne potrzebuje czasu na zebranie dowodów.

- Bezpieka zawsze potrzebuje czasu na zebranie jak największej liczby dowodów. To leży w naturze ich pracy. Ale jeśli tak, to należałoby udzielić mu urlopu.

- Załóżmy, że jest winny - ucieknie.

- Załóżmy, że nie jest winny - musi mieć sposobność na przygotowanie jakiejś obrony.

Dicky teraz uważał, że to ja robiłem trudności. Ruszał wargami jak zawsze,

kiedy był poruszony.

- Nie denerwuj się, Bernard. Myślałem, że będziesz zadowolony.

- Zadowolony z tego, że mówisz mi o Brezie jako o wtyczce KGB?- Nie, oczywiście, że nie. Ale myślałem, że przyniesie ci ulgę dowiedzieć się, że rzeczywisty sprawca został w końcu odkryty.

- Rzeczywisty sprawca?

- Podejrzewają ciebie. Musisz sobie zdawać sprawę, że nie masz czystego konta, od czasu gdy Fiona przeszła na ich stronę.

- Mówiłeś mi kiedyś, że to wszystko miniona historia - odezwałem się.

Teraz ja robiłem trudności. Wiedziałem, że powiedział mi to tylko dla zachęty.

- Czy nie dostrzegasz, że jeśli Bret jest tym, którego szukają, to twoje konto będzie czyste?

- Mówisz zagadkami, Dicky. Co masz na myśli mówiąc „ten, którego szukają”? Nie zdawałem sobie sprawy, że w ogóle kogoś szukają.

- Wspólnika.

- Nadal do mnie nie dociera - odparłem.

- Chyba celowo udajesz tępaka. Jeśli Fiona miała wspólnika w Wydziale, to Bret byłby najbardziej odpowiednią osobą do tej roli. Prawda?

- A dlaczego ja nie mógłbym być tą najbardziej odpowiednią osobą?

Dicky klepnął się po udzie gestem sfrustrowanej złości.

- O Boże, Bernard, kiedy ktoś sugeruje taką rzecz, to gotów jesteś odgryźć mu łeb.

- Jeśli nie ja, to dlaczego Bret?

Dicky zrobił minę i parę razy kiwnął głową.

- Byli bardzo blisko, Bernard. Bret i twoja żona - byli bardzo blisko. Nie muszę ci mówić, jak to było.

- Mimo wszystko może coś powiesz na ten temat?

- Nie denerwuj się. Nie sugeruję, że było w tym coś więcej poza poprawnymi stosunkami, ale Bret i Fiona byli dobrymi przyjaciółmi. Wiem, jak to komicznie brzmi w kontekście Wydziału i jak niektórzy ludzie mówią o sobie, ale oni byli przyjaciółmi. Mieli wiele wspólnego; pochodzenie mieli podobne. Pamiętam, jak razu pewnego Bret jadł u was kolację. Fiona mówiła o swoim dzieciństwie... wymieniali się wspomnieniami o miejscach i ludziach.

- Bret mógłby być ojcem Fiony.

- Nie zaprzeczam.

- No to jak mogli dzielić się wspomnieniami?

- O miejscach, Bernard. Miejsca, rzeczy i fakty, jakie tylko tacy jak oni znają. Polowanie, strzelanie i wędkarstwo... wiesz. Ojciec Breta kochał konie i tak samo twój teść. Fiona i Bret nauczyli się jazdy konnej i jazdy na nartach, zanim potrafili chodzić. Instynktownie oboje odróżniają dobrego konia od złego, dobry śnieg od złego, świeży *foie gras* od puszkowanego, dobrego służącego od złego... bogaci są inni, Bernard.

Nie odpowiedziałem. Nie było o czym mówić. Dicky miał rację, mieli wiele wspólnego. Zawsze obawiałem się stracić ją na rzecz Breta. Moja uwaga nigdy nie skupiała się na młodszych, bardziej atrakcyjnych mężczyznach; zawsze widziałem w Brece swego rywala. Od czasu gdy ją spotkałem - a przynajmniej od czasu, gdy udałem się do Breta z propozycją zatrudnienia jej - obawiałem się wpływu jego atrakcyjności na nią. Czy, w jakiś sposób, doprowadziło to do rozwiązania, którego obawiałem się najbardziej? Czy w mojej postawie względem Fiony i Breta było coś, co zapewniało im tę wspólną niedefiniowalną rzecz? Czy był jakiś ukryty czynnik, jakiego ja nie miałem, a który oni w sobie rozpoznawali i dzielili z takim zapałem?

- Wiesz, o co mi chodzi? - zagadnął Dicky, kiedy nie odzywałem się przez dłuższy czas. - Jeśli był wspólnik, to Bret musi być głównym podejrzanym.

- Jeden procent motywacji i dziewięćdziesiąt dziewięć okazji. To jest to, jak mawia George Kosiński, z czego składa się zbrodnia.

- Wiedziałem, że gdzieś to już słyszałem - rzekł Dicky. - Tessa tak mówi, ale ona ma na myśli seks.

- Może oboje mają rację - odparłem.

Dicky wyciągnął rękę, by dotknąć mego ramienia.

- Nie przeżywaj tak tego w związku z Fioną. Między nią a Bretem nic nie było.

- Nic mnie to nie obchodzi - rzekłem.

Nasza rozmowa wydawała się dobiegać końca, ale Dicky nie odchodził. Majstrował przy maszynie do pisania. Wreszcie powiedział:

- Któregoś dnia byłem z Bretem. To miało miejsce w Kilonii. Znasz to miasto?

- Byłem tam - odpowiedziałem.

- Dziwne miejsce. Zbombardowane do cna w czasie wojny, całkowicie odbudowane po wojnie. Nowe budynki i to niekoniecznie takie, które zdobywają nagrody na konkursach architektonicznych. Główna ulica przebiega wzdłuż nabrzeża, pamiętasz?

- Tylko trochę.

Próbowałem odgadnąć, co szykował, ale nie potrafiłem.

- Po jednej stronie ulicy są domy towarowe i biura, a z drugiej wielkie statki oceaniczne. Wygląda to nierealnie, jak dekoracja teatralna, szczególnie w nocy, kiedy wszystkie statki są oświetlone. Przypuszczam, że zanim zostało zbombardowane, pełno tam było zaułków i nadbrzeżnych barów. Teraz są tam lokale strip-tease'u i dyskoteki, ale znajdują się w nowych budynkach, dzielnica ma taką sexy atmosferę jak Fulham High Street.

- Oni celowali w stocznie - odezwałem się

- Kto?

- Piloci bombowców. Tutaj budowano łodzie podwodne, U-boty. Kilonia. Połowa miasta pracowała w stoczniach.

- Nic o tym nie wiem - rzekł Dicky. - Jedyne pamiętam, że Bret zorganizował tam kontakt. Poszliśmy do baru o jedenastej w nocy, ale miejsce było prawie puste. Eleganckie umeblowanie - czerwony welwet i dywan na podłodze - ale było pusto z wyjątkiem paru regularnych gości, rzędu hostes i barmana. Nigdy nie dowiedziałem się, czy nocne życie Kilonii zaczyna się później, czy w ogóle nie istnieje.

- Latem tam jest ładnie.

- Tak właśnie mówił Bret. Zna Kilonię. Jest tam duża impreza żeglarska każdego lata - Kiloński Tydzień - i Bret stara się zawsze tam być. Pokazał mi zdjęcia w jachtklubie. Były tam wielkie jachty z różnokolorowymi spinakerami wydętymi na wietrze. Dziewczyny w kostiumach bikini. *Kieler Woche* - może któregoś roku popłynę tam moim jachtem. Ale tym razem szczęścia nie miałem, bo byłem tam w środku zimy i w życiu tak nie zmarzłem.

Do czego to wszystko zmierza, zastanawiałem się.

- Dlaczego to z Bretem robiliście? Nie mamy tam ludzi? Nie mogło tego załatwić biuro w Hamburgu?

- Wiązało się to z mnóstwem pieniędzy. Oficjalna transakcja: my płaciliśmy Sowiecom, oni zwalniali człowieka, którego trzymali. Sprawa polityczna. Prośba Kancelarii Gabinetu - taka, co to ni mru-mru. Wiesz. Miało to być wykonane



zwykłym sposobem w Berlinie, ale Bret wdał się w spór z Frankiem Harringtonem i wreszcie zdecydowano, że Bret załatwi to osobiście. Ja pojechałem jako pomoc.

- To było wtedy, gdy Bret nadal prowadził Komisję Wywiadu Gospodarczego?

- Było to dawno temu, kiedy nazywało się to Europejska Sekcja Ekonomiczna i Bret był oficjalnie tylko zastępcą Kontrolera. Ale nie ma powodów, by sądzić, że ta robota miała coś wspólnego z sekcją. Domyślam się, że Bret robił to na specjalne zlecenie D-G.

- Europejska Sekcja Ekonomiczna. To troszkę dawno.

- Całe lata. Długo przedtem nim Bret dostał piękne, duże biuro i sprowadził dekoratora wnętrz.

- Co masz zamiar o nim powiedzieć? - spytałem. Miałem odczucie, że Dicky dojechał do kropki.

- Byłem kompletnie świeży. Spodziewałem się dobrze ubranego oficjała dyplomatycznego, ale człowiek, którego spotkaliśmy, ubrany był jak marynarz z jednego ze szwedzkich promów, chociaż zauważyłem, że przyjechał dużym czarnym volvo z kierowcą. Mógł po prostu przejechać granicę, to łatwy kawałek trasy. - Dicky potarł się po twarzy. - Duży był, drań. Stary. Dobrze mówił po angielsku. Dużo rozmawialiśmy o niczym. Powiedział, że kiedyś mieszkał w Bostonie.

- Czy mówimy o sowieckim funkcjonariuszu?

- Tak. Przedstawił się jako pułkownik KGB. Jego dokumenty mówiły, że nazywa się Popów. Takie niezwykle nazwisko, że pamiętam je do dziś.

- Mów dalej, Dicky, słucham. Popów to dość popularne rosyjskie nazwisko.

- Znał Breta.

- Skąd?

- Bóg wie. Ale rozpoznał go. „Dobry wieczór, panie Rensselaer”, powiedział bardzo śmiało.

- Mówiłeś, że miejsce było puste. Mógł odgadnąć, kim byliście.

- Jednak było tam zbyt wiele osób, aby zakładać, że jeden z nich to pan Rensselaer.

- A jak zareagował Bret?

- Było mnóstwo hałasu. Taka dyskoteka, gdzie tak głośno puszczają muzykę, że aż bębenki pękają. Chyba go Bret nie usłyszał. Ale ten gość Popów musiał znać Breta z innej sytuacji. Gwarzył, cały przyjazny. Bret zeszywniał. Miał twarz jak

jedna z tych rzeźb w kamieniu na Wyspie Wielkanocnej. Wtedy jego przyjaciel Popów spostrzegł, że Bret jest mocno zaniepokojony. Nagle skończyły się wszystkie serdeczności. Nazwiska Breta już nie wymieniano; wszystko odbywało się bardzo formalnie. Poszliśmy do toalety przeliczyć pieniądze, wysypaliśmy pieniądze do zlewu i przepakowaliśmy walizkę. Po skończeniu Popów rzekł „dobranoc” i oddalił się. Żadnego podpisu, żadnego kwitu, nic. I nie „dobranoc, panie Rensselaer”. Tym razem było tylko „dobranoc panowie”. Martwiłem się, że może coś zrobiliśmy źle, ale zwolnili człowieka następnego dnia. Czy musiałeś kiedyś robić coś takiego?

- Raz czy dwa razy.

- Mówią, że KGB zachowuje gotówkę. Czy to prawda?

- Nie wiem, Dicky. Nikt nie wie na pewno. Możemy tylko zgadywać. - No to skąd znał Breta?

- Tego też nie wiem - rzekłem. - Myślisz, że znał Breta skądś indziej?

- Bret nigdy nie wykonywał żadnej roboty operacyjnej.

- Może już tak kiedyś wypłacał? - zasugerowałem.

- Mówi, że nie. Powiedział mi, że nigdy nic takiego przedtem nie robił.

- Czy pytałeś Breta o tego Rosjanina?

- Ja byłem nowy chłopak; Bret to był wyższy personel.

- Napisałeś o tym w raporcie?

- Że człowiek z KGB nazwał go „pan Rensselaer”? Nie, to się nie wydawało ważną sprawą. Dopiero teraz wydaje się ważne. Czy sądzisz, że powinienem powiedzieć bezpiecze?

- Nie spiesz się - doradziłem. - Jak na razie to Bret będzie musiał odpowiedzieć na sporo pytań.

Dicky wysilił się na uśmiech, mimo że ogryzał paznokieć. Dicky martwił się, nie o Breta, naturalnie, ale o siebie.

## **Rozdział XXII**

Obchodziliśmy rocznicę małżeństwa Wenera i Zeny. Nie była to akuratna data, ale Gloria zaoferowała się urządzić kolację dla Volkmannów, którzy byli w Londynie celem stawienia się przed komisją.

Nie była z Glorii wielka kucharka. Przygotowała kotlety cielece, sałatkę po francusku i ciasto kupione w sklepie, z czekoladowym napisem: Z GRATULACJAMI DLA ZENY I WENERA.

Nie bez pewnych oporów pozwoliłem dzieciom zostać z nami na kolacji. Wolałbym, żeby zjadły na górze z nianią, ale właśnie miała wolny wieczór i umówiła się z przyjaciółmi. Tak więc dzieci siedziały z nami przy stole i obserwowały Glorię w roli gospodyni, jaką nie tak dawno grała ich matka. Billy wydawał się być dość rozluźniony - jedynie naruszył czekoladowe ciasto, co było raczej nietypowe - natomiast Sally przesiedziała cały posiłek ze ściągniętą twarzą i w ciszy. Obserwowała każdy ruch Glorii i wyrażała swój niemy krytycyzm poprzez niechętnie podawanie różnych talerzy przy stole. Gloria musiała to zauważyć, ale nie dała nic po sobie poznać. Wiedziała, jak postępować z dziećmi: promienna, rozważna, przekonywająca, ale nie matczyna do tego stopnia, aby wzbudzić niechęć. Gloria przyjęła wskazówki od niani, radząc się jej i słuchając jej uwag w taki sposób, że niania pełniła rolę Fiony, natomiast Gloria była jak gdyby supernianią i starszą siostrą.

Lecz subtelny instynkt w sprawach dzieci opuścił Glorię, gdy usiadła na krześle, jakiego zawsze używała Fiona. Zajęła miejsce przy końcu stołu, tak aby móc sięgać po jedzenie i wino. Po raz pierwszy dzieci dostrzegły zamianę i być może po raz pierwszy dotarło do nich, że mamusi już tu nie będzie.

Kiedy Gloria, po toaście na cześć Zeny i Wenera sokiem jabłkowym oraz spróbowaniu ciasta, zabrała je na górę, żeby je przebrać w piżamki i położyć do łóżka, byłem na poły skłonny udać się tam z nimi. Ale Zena właśnie snuła opowieść o swoich bogatych krewnych w Mexico City, więc darowałem sobie. Sporo czasu minęło, zanim Gloria wróciła. Billy miał na sobie nową piżamę i niósł dźwig-zabawkę, którą chciał zademonstrować Wernerowi.

- A gdzie Sally? - spytałem, całując Billy'ego na dobranoc.

- Troszkę się rozplakała - odparła Gloria. - Tyle się tu działo. Przyjdzie do siebie, jak się wyśpi.

- Sally mówi, że mamusia nigdy już nie wróci - rzekł Billy.

- Nigdy to bardzo długo - odpowiedziałem. Pocałowałem go jeszcze raz. -

Pójdę na górę ucałować Sally.

- Ona śpi - powiedziała Gloria. - Nic jej nie będzie, Bernie. Nawet gdy Billy poszedł już do łóżka i Zena skończyła swoją

długą opowieść, martwiłem się o dzieci. Przypuszczałem, że Sally nie miała nikogo, komu mogłaby się zwierzyć tak naprawdę. Biedulka.

- A skąd ty pamiętałeś datę ślubu? - spytała Zena.

- Zawsze pamiętam - odrzekłem.

- Kłamię - odezwała się Gloria. - Powiedział, żebym zadzwoniła do sekretariatu Wenera i zapytała.

- Nie musisz opowiadać wszystkich sekretów Berniego - Werner rzucił do Glorii.

- Co za wspaniała niespodzianka! - to były słowa Zeny. Obie kobiety siedziały razem na sofie. Obie były bardzo młode, ale tak się różniły, jak tylko dwie młode kobiety potrafią się różnić. Gloria była blondynką, jasna cera, wysoka, o grubych kościach i ta spokojna tolerancyjna postawa, często cechująca naukowców. Zena Volkmann natomiast była mała i ciemna, naładowana energią, cechował ją też brak opanowania, tak znamieny u tego typu oportunistów. Miała na sobie drogi strój i biżuterię; Gloria nosiła spódnicę z tweedu i golf, z jedyną małą srebrną broszką.

Werner był tego wieczoru w nastroju wspominkowym, więc opowiadał historyjkę za historyjką z czasów, które spędziliśmy razem w Berlinie. Obie kobiety dzielnie wytrzymały te kawałki o naszej młodości, ale w końcu miały już dość. Gloria wstała.

- Kto kawy? Brandy? - spytała. Rozlała resztkę kawy między Wenera i mnie.

- Rozlej brandy, Bernard. Zrobię jeszcze kawy i posprzątam.

- Pomogę ci - zaproponowała Zena.

Gloria powiedziała, żeby nie zwracała sobie tym głowy, ale Zena koniecznie chciała jej pomóc sprzątnąć ze stołu i załadować maszynę do mycia naczyń. Robiły wrażenie, że dobrze im ze sobą; słyszałem, jak śmiały się w kuchni. Kiedy Zena weszła do pokoju, żeby zebrać ostatnie talerze, miała na sobie fartuszek.

- No i jak poszło, Werner? - wreszcie spytałem Wenera, kiedy nadeszła sposobność do rozmowy.

Nalałem mojej cennej starej brandy, podałem mu kawę i dzbanuszek ze śmietanką. Ale on podziękował więc sam sobie wlałem resztę.

- Cygaro?

- Nie, dziękuję. Jeśli ty potrafiłeś przestać, to ja też - rzekł Werner. Napił się trochę kawy. - Było tak, jak powiedziałeś.

Składał zeznania przed komisją.

Osunął się w krzesło. Mimo tegiej postury wyglądał dobrze - zabiegi dietetyczne Zeny dały znać o sobie - ale był zmęczony. Sądzę, że każdy mężczyzna ożeniony z Zeną i świeżo po złożeniu zeznań przed komisją wyglądałby na

zmęczonego. Teraz ścisnął nos kciukiem i palcem wskazującym, co robił zawsze, gdy się koncentrował. Ale tym razem oczy miał zamknięte i odnosiłem wrażenie, że najchętniej poszedłby spać.

- Żadnych niespodzianek? - zapytałem.

- Żadnych przykrych niespodzianek. Jedyne to, że oczekiwałem tego kretyna Henry'ego Tiptree w składzie zespołu. To ten, co ci narobił kłopotów. Myślałem, że jest związany z Wewnętrznym Bezpieczeństwem.

- Tych z Ministerstwa Spraw Zagranicznych puszczają od wydziału do wydziału. Nikt ich nie chce. Komisja to prawdopodobnie dobra robota dla niego; nie wchodzi w drogę.

- Bret Rensselaer jest przewodniczącym.

- To ostatnia szansa, żeby wyszedł na złotego chłopca - zażartowałem.

- Słyszałem, że ustawił się w kolejce do Berlina po odejściu Franka.

- To samo i ja słyszałem, ale wiem o paru ludziach, którzy zrobiliby wszystko, żeby tego nie dostał.

- Chodzi o Dicky'ego?

- No, tak - odparłem.

- No, ale zaraz? Dicky byłby szefem Breta. Czy to nie to, czego zawsze chciał?

Nawet Werner nie rozumiał w pełni niuansów układów strukturalnych Firmy. Przypuszczam, iż rzecz była bardzo brytyjska. Sekcja Niemiecka jest wyżej niż berliński Rezydent w niektórych sprawach, ale w innych nie. Nie ma sztywnej zasady. Wszystko zależy od wysługi lat osoby mającej tę pracę. Gdy mój ojciec był berlińskim Rezydentem, oczekiwano od niego wykonywania rozkazów, jakie mu przekazywano. Ale gdy Frank Harrington tam pojechał, z wyższej pozycji w Firmie, to nie musiał słuchać Dicky'ego, który był przez wiele lat swojej wydziałowej kariery przypisany do wojska.

- Dicky'emu nigdy nie powinni uwzględnić pobytu w armii do wysługi lat - dorzucił Werner.

- Nie zaczynaj z tym, Werner - rzekłem.

- To nie było w porządku, ani wobec ciebie, ani wobec Wydziału, ani też wobec kogokolwiek pracującego dla Sekcji Niemieckiej.

- Sądziłem, że popierasz Dicky'ego - powiedziałem.

- Tylko wtedy, gdy mówisz mi, że jest skończonym bufonem. Ty go nie

doceniasz, Bernie, i właśnie w tym popełniasz poważny błąd.

- W każdym razie Dicky będzie sprzeciwiał się temu, aby Bret dostał się do Berlina. Morgan - egzekutor D-G - nienawidzi Breta i chce, aby Dicky przeciwstawił się temu. Dicky zrobi, jak Morgan chce.

- To wtedy ty dostaniesz Berlin - powiedział Werner z autentycznym zadowoleniem.

- Nie, nie ma szans.

- Dlaczego? Kto tam jeszcze jest?

- Dużo ludzi stara się o tę robotę. Wiem, że Frank nazywa to Syberią, czyli miejscem, gdzie kończą się kariery, i to wszystko może być prawdą, ale każdy chce tego, Werner, bo to jest robota, którą trzeba zaliczyć.

- Masz dość wysługi lat i jesteś jedyny z odpowiednim doświadczeniem. Nie mogą znowu cię pominąć, Bernie. To byłby nonsens.

- Z tego, co do mnie dochodzi, nawet nie będę na krótkiej liście kandydatów.

- Porozmawiaj z D-G - zasugerował Werner. - Uzyskaj jego wsparcie.

- Ale, Werner, on nawet nie pamięta mojego nazwiska.

- No to Frank Harrington? Chyba możesz na niego liczyć, co?

- Nie posłuchają Franka odnośnie kwestii, kto ma przejąć sprawę. Silne poparcie od Franka miałyby odwrotny efekt.

Uśmiechnąłem się: „odwrotny efekt” to było wyrażenie Dicky’ego, rodzaj żargonu, jakiego nie cierpiałem. Za tym biurkiem najwyraźniej miękkim.

- Czy Frank Harrington sprzeciwiał się udziałowi ludzi z MI 5 w komisji Stinnesa? - odezwał się Werner.

- Byłem przy tym, Werner. Frank po prostu powiedział „Tak jest”, bez żadnej dyskusji czy sporu. Powiedział, że to było „nad podziw dobre rozwiązanie”. Jest w bliskim kontakcie z D-G. Dyrektor powiedział mu, jakie ma zamiary, i otrzymał jego poparcie, zanim cokolwiek się stało.

- To Frank Harrington powiedział OK? Dlaczego? To wszystko jest dla mnie niejasne - rzekł Werner.

Przestał drapać się po nosie i spojrzał na mnie, mając nadzieję na rozwiązanie.

- D-G chce się pozbyć Breta z Wydziału. Dużo jest rozmów na temat Breta. Historycznych rozmów.

Werner przyglądał mi się przez dłuższy czas. Miał nieprzeniknioną maskę na twarzy i usiłował pokazać, że nie jest pewny siebie.

- To nowy wątek - rzekł, nie będąc w stanie ukryć triumfu w głosie. - Chyba przypominam sobie gwiazdkowe przyjęcie; kiedy przyszedłeś od Langedo miałeś głowę pełną podejrzeń co do Breta Rensselaera.

Udało mu się utrzymać głos równy, jakby nie kpił sobie ze mnie, lecz ot tak, opowiadał jeszcze jedną historyjkę.

- Powiedziałem tylko, że wszystkie donosy należało zbadać. Werner przytaknął głową. Wiedział, że wycofałem się z mojej poprzedniej pozycji prokuratora i rozbawiło go to.

- A teraz tak nie sądzisz?

- Naturalnie, że tak. Ale to mi się nie podoba. Breta spychają na boczny tor. Szczególnie nie lubię tej techniki izolacji. Wiem, jak to odbierać, Werner. Nie tak dawno byłem jednym z tych, których przyjaciele przechodzili na drugą stronę ulicy, aby uniknąć spotkania.

- Ale poszedłeś z tym dalej? Napisałeś raport o swoich podejrzeniach?

- Byłem u Wujka Silasa podczas weekendu... trochę czasu minęło... przed Bożym Narodzeniem. Brahms Cztery był tam również. Pytałem go, kto odbiera dane z tamtej strony.

- To wszystko już mi powiedziałaś. Ale co on o tym wie? - rzekł Werner przekornie.

- Niezbyt dużo, ale jak ci mówiłem, wystarczyło, abym nabrał przekonania, że Millerowa prowadziła dwóch agentów.

- U nas w Firmie? Zdecyduj się, Bernie. Ciągłe próbujesz dowieść, że Bret jest człowiekiem KGB, czy nie?

- Nie wiem. Chodzę w kółko. Ale było dwóch agentów: Fiona była zakodowana jako PIG IRON, czyli „surówka”, a drugi jako JAKE. B-Cztery potwierdził to, Werner.

- Nie, nie, nie. Gdyby Bret nadawał materiały do Moskwy... to się nie trzyma kupy. Znaczyłoby to, że oni znali dokładnie cały materiał B-Cztery w tym samym czasie, gdy docierał on do nas...

- A więc musimy się dowiedzieć, czy Moskwa cały czas miała wgląd w jego materiały.

- A jak do tego dojdiesz?

- Nie wiem, czy nam się to uda. To byłaby cholerna robota przekopać się przez archiwum, a do tego mam wątpliwości, czy D-G aprobowałby ten pomysł.

- Wyglądałoby cholernie zabawnie, gdyby ci kazali grzebać w archiwum, no nie?

- Nie musieliby mówić, że mi nie ufają - odparłem. - Powiedzieliby po prostu, że strasznie trudno będzie to ustalić na podstawie materiałów archiwalnych. I dodaliby, że jeśli Moskwa ma dobre źródło, nie kompromitowałyby go pierwszą lepszą rzeczą, jaka jej wpadnie w ręce. I mieliby rację, Werner.

- Nie mogę uwierzyć w to, że Moskwa wiedziała o wszystkim, co latami mówił nam B-Cztery, i puściła go. Nawet jeśli Bret miał wgląd w te rzeczy.

- W końcu pozwolili Muntemu uciec - powiedziałem.

- Niezupełnie pozwolili mu uciec - rzekł Werner. - Ty wyciągnąłeś go z opresji.

- My obaj, Werner, razem, ty i ja.

- Jeśli Bret nadawał do Moskwy, B-Cztery nadal siedziałby w Berlinie Wschodnim.

- Nie mieli ostrzeżenia, Werner. Upewniłem się co do tego, żeby Bret nie wiedział, co mam zamiar zrobić. I aż do ostatniej chwili, kiedy ty przyjechałeś do Londynu i powiedziałeś Dicky'emu, nikt w Firmie nie wiedział, że zamierzam wyjąć Brahmsa Cztery.

- Twoja żona wiedziała i uciekła. Ona mogła Bretowi powiedzieć.

- Nie było czasu - odparłem. - Myślałem o tym, ale Bret nie miał dość czasu, żeby dowiedzieć się i zawiadomić Moskwę.

- Więc Bret jest podejrzany i D-G odstawił go do czasu decyzji, co ma z nim zrobić?

- Na to wygląda - powiedziałem.

- Tylko Millerowa zna prawdę, jak przypuszczam - rzekł Werner.

Miał taki niezwykle wyraz twarzy, że przyjrzałem mu się baczniej.

- Ale ona jest w Haweli - dodałem.

- Przypuśćmy, że widziałem Millerowa.

- W kostnicy? Czy wynurzyła się koło służby w Spandau?

- Ona żyje - rzekł Werner z chytrym uśmieszkiem. - Widziałem ją całą i zdrową. Jest urzędniczką. Pracuje w Rote Rathaus.

Czerwony Ratusz był ośrodkiem władz miejskich w Berlinie Wschodnim, masywny budynek z cegły koło Aleksanderplatz, który, jak niewiele zabudowań wokół niego, przetrwał ponad stulecie.



- Całą i zdrową? Jesteś pewny.

- Jestem pewny.

- No to o co tu chodzi? Kim ona jest? Czy to był tylko kaskaderski numer?

- Trochę się o niej dowiedziałem; znam kogoś, kto tam pracuje. To, co mówiła o ojcu pracującym w Anglii, o małżeństwie, i tak dalej, wydaje się być prawdą. Nie mogłem, oczywiście, sprawdzić jej, ale to, co ci opowiadała, to prawda, jeśli chodzi o jej tożsamość.

- Zapomniała dodać, że była rezydentem wywiadu Republiki Demokratycznej i pracowała dla rządu.

- Masz rację - przyznał Werner.

- Co za szczęście, że ją odkryłeś! Sądzę, iż myśleli, że dobrze ją przed nami ukryli w takim miejscu. Małe jest prawdopodobieństwo, by ktoś, kto widział ją po tej stronie, zauważył, jak wchodzi do wschodniobrzeźnińskiego ratusza.

- Była to szansa jedna na milion, że musiałem tam wrócić. Zapamiętałem ją, ponieważ pomogła mi pewnego razu w trudnej sprawie. Wschodnioniemiecka ciężarówka, której używam, zepsuła się po zachodniej stronie w czasie wyjazdu dostawczego. Łaziłem w kółko próbując znaleźć kogoś z pozwoleniem na holowanie z Zachodu na Wschód. Było to z rok albo więcej temu. A teraz, w zeszłym tygodniu, znowu tam byłem po swoje kartki żywnościowe.

- I nie rozpoznała cię? Przecież musiała widzieć cię tego wieczoru, kiedy ją aresztowano, a ja zdobyłem od niej oświadczenie.

- Ty ją przesłuchiwałeś. Ja czekałem na zewnątrz. Widziałem ją tylko przelotnie. Wiedziałem, że gdzieś ją widziałem, ale nie mogłem sobie przypomnieć gdzie. To nie jest twarz, jakiej się nie zapomina. Potem, gdy dałem już sobie spokój, wchodzę do ratusza, a ona siedzi przy biurku. Tym razem przyjrzałem się trochę bliżej.

- To nie była amatorka, Werner. Próba samobójstwa była na tyle przekonywająca, że zabrali ją do kliniki w Steglitz.

- Samobójstwa w aresztanckich celach; gliny się bardzo takimi sytuacjami denerwują, Bernie. Sprawdziłem. Był tam młody policjant na nocnym dyżurze. Wolał mieć spokój, więc wezwał karetkę.

- A oni potem zatarli ślady, zabierając ją z kliniki w Steglitz i spychając karetkę do wody.- To było dla zmylenia, bowiem innym wozem odjechała na wschodnią stronę.

- Zdziałało to sprawnie - rzekłem. - Kiedy sobie przypomnę, jak w Wigilię stałem na mrozie przy nabrzeżu czekając, aż wyciągną ten cholerny pojazd...

- Mam nadzieję, że nie chcesz znowu jej dopaść. Nie moglibyśmy jej tknąć, Bernie, nie tam, w samym środku miasta. Zgarnęliby nas, zanim wsadzilibyśmy ją do samochodu.

- Byłoby to trudne, co?

- Nie byłoby trudne - odparł Werner. - Byłoby niemożliwe. Nawet o tym nie myśl.

- Napisz o wszystkim w raporcie, Werner.

- Mam już szkic. Pomyślałem, że lepiej poczekać, aż przyjadę do Londynu i będę mógł to omówić z tobą.

- Doceniam to, Werner. Dzięki.

Przez kilka minut siedzieliśmy w ciszy popijając kawę. Zajęty byłem wszystkimi nowymi konfiguracjami, które ten nowy kawałek łamigłówki umożliwił. Potem odezwał się Werner:

- A jak to dotyczy Breta?

- Nic nie powiedziałaś komisji, że Millerowa żyje, prawda?

- Radziłeś, żeby nie mówić im o tajemnicach wydziałowych. Wydawało mi się, że jest to tajemnica wydziałowa.

- Tak tajne, że tylko ty i ja o tym wiemy.

- Tak jest - rzekł Werner.

- Dlaczego, Werner? O co tu, do cholery, chodziło? Po co użyli Millerowej do przejęcia materiału?

- Powiedzmy, że wszystko, co ci powiedziała, jest zgodne z prawdą.

Powiedzmy, że nadawała przez radio materiał Breta i twojej żony. Powiedzmy, że Fiona ją wyciągnęła, kiedy do nich przeszła. Millerowa decyduje, że jest za stara na szpiegostwo, i mówi Moskwie, że opuści cały interes - chce iść na emeryturę. Fiona zachęca ją, bo Millerowa za dużo wie. Więc znajdują jej łatwą robótkę przy wydawaniu zezwoleń w ratuszu. Takie rzeczy dzieją się ciągle, Bernie. Może ma niską rentę i kartę do sklepów „Waluta”, tak że może kupować sobie zachodnie towary. Wszystko pięknie i ładnie. Aż tu pewnego dnia potrzebują kogoś pilnie, aby pojechał do Wannsee odebrać pakiet. Potrzebują kogoś z właściwymi papierami do przejścia na Zachód. Wydaje się, że to rutynowa sprawa. Nie ma niebezpieczeństwa. Będzie po zachodniej stronie tylko kilka godzin i nikt jej nie przeszuka, gdy będzie

przechodziła z paczką - bawił się łyżeczką do kawy, posuwając ją w tył i w przód. -  
Może to nie jest taka jednorazówka.

Może robi mnóstwo takich drobnych robótek dla podreperowania swojej pensji. Tak czy inaczej, nietrudno mi w to uwierzyć. Wszystko tu pasuje.

- Może i tak. Ale to nie jest sposób, w jaki ja traktowałbym kogoś takiego jak ona. Pomyśl, że my mamy doskonałe źródło w biurach KGB w Moskwie. Czy pozwolilibyśmy jakiemuś oficerowi prowadzącemu sprawę bądź radiotelegrafiście tego agenta wracać tam na dziesięć minut, nie mówiąc już o paru godzinach? Wiesz, że nie.

- Ci z KGB są inni - rzekł Werner.

Przejechał łyżeczką po stole, nieomal zawadzając o naczynie z owocami.

- Może są inni, ale nie dokończyłem supozycji. A gdyby mieli nie jedno znakomite źródło, ale dwa? I jeden z nich jest nadal na miejscu, Werner. Źródło tu, w Firmie, nadal bardzo pewne. Czy ci z KGB są aż tak inni, że mimo to pozwalają Millerowej iść i włożyć sobie pętlę na szyję. Czy zaryzykowałiby, że ją aresztujemy, a ona powie nam tyle, że ten drugi będzie spalony.

- Myślenie ich kategoriami na nic się nie zdaje. Musiałem się tego nauczyć, kiedy zacząłem mieć z nimi do czynienia. Oni nie myślą tak jak my. A ty jesteś mądry po fakcie. Nie mieli pojęcia, że pojawimy się na tym party w Wannsee. Dla nich musiało się to wydawać zadaniem rutynowym i bezpiecznym.

Werner usiłował pić z filiżanki, którą już opróżnił. Nawet kiedy wiedział, że filiżanka jest pusta, to i tak przechylał głowę, aby wysączyć resztki. Nie ruszył brandy.

- Mimo to trudno mi uwierzyć, że takie ryzyko by podjęli - odezwałem się.

- Jakie ryzyko? Nasi ludzie ryzykują wszystko, kiedy idą przez Mur. Ryzykują w czasie szczegółowej inspekcji dokumentów, strażnicy obserwują ich każdy ruch i słuchają każdego ich słowa. Na paszportach i dokumentach podróży robione są tajne znaki. Każdy udający się na Wschód jest oglądany pod mikroskopem niezależnie od tego, kim jest. A co ryzykują ich ludzie przychodzący pospiesznie u nas? Nikt przechodzący na naszą stronę nie jest rzetelnie sprawdzany. Bycie agentem KGB jest jednym z najbezpieczniejszych zajęć. Oddajemy walkowerem, Bernie. Ta kobieta miała synekurę. Szansa, że ją aresztują była jedna na milion.

- A i tak jej się udało.

- Właśnie. Jedynie wystarczyło zrobić drobną inscenizację, mającą

przypominać samobójstwo, a już zostaje spokojnie odwieziona do kliniki Steglitz. Cholera, Bernie, dlaczego jesteśmy tacy miękcy?- Jeśli masz rację, Werner, to oznacza, że KGB nie wie, co ona ujawniła nam w sprawie kodów radiowych.

Werner przekreślił filiżankę na spodku i zamyślił się, lecz nie odpowiedział. Nalegałem.

- Czy z powrotem daliby jej tę pracę w ratuszu, gdyby przyznała się do spowiedzi przed nami?

- Prawdopodobnie nie.

- Ona im nie powiedziała, Werner, założę się. Być może własna efektywność zrobiła na nich wrażenie. Może byli tacy z siebie zadowoleni, że wybawili ją tak szybko i gładko, że nigdy nie przyszło im do głowy, że już było za późno.

- Wiem, o czym myślisz - rzekł Werner.

- O czym ja myślę?

- Że można by ją obrócić. Myślisz o szantażowaniu jej, grożeniu, że powiemy KGB o jej zeznaniach...

- Żeby pracowała dla nas? Taka zmęczona stara kobieta jak ona? Cóż mogłaby nam powiedzieć... ostatnie doniesienia na temat kartek żywnościowych? Plotki z ratusza? Nie, Werner, nie myślałem o przerabianiu jej.

- O czym więc?

- Nie wiem. Werner zmienił temat.

- Czy pamiętasz to straszne miejsce pod gruzami na Koch-strasse, gdzie ten stary sprzedawał modele samolotów?

- Ten brodaty, który zbudował warsztatik ze starych opakowań? Dobrze pamiętam. Byliśmy dziećmi; „stary” nie miał prawdopodobnie więcej niż trzydzieści lat, ale wówczas było w Berlinie mnóstwo bardzo starych trzydziestolatków. Był saperem w pancерnej dywizji, zręczny ślusarz, ledwie utrzymujący się przy życiu ze sprzedaży modeli samolotów zwycięzcom. Mimo iż byłem dzieckiem, dostrzegłem ironię tego, jak siedział na gruzach w śródmieściu Berlina robiąc z przejęciem modele bombowców B-17, które amerykańscy lotnicy kupowali jako pamiątki. Był to groźnie wyglądający człowiek z bezwładną ręką. Nazywaliśmy go Czarnym Piotrusiem i chodziliśmy tam, aby popatrzeć, jak pracuje, a wtedy, od czasu do czasu, pozwalał nam szlifować papierem ściernym albo gotować śmierdzący klej kostny.

- Czy wiesz, że piwnica, gdzie mieszkał, była częścią cel więziennych pod

Prinz Albrechtstrasse? Prinz Albrechtstrasse było zakamuflowaną nazwą siedziby głównej Gestapo, używaną w tamtych czasach przez dorosłych Niemców.

- Myślałem, że budynek Gestapo był po stronie wschodniej.

- Byłem tam w zeszłym tygodniu z moim przyjacielem, fotografem przygotowującym materiał dla jekiegoś magazynu - zdjęcia graffiti na Murze. Niektóre są bardzo śmieszne.

- Tylko z tej strony - powiedziałem. - Wypij swoje brandy, Werner. To prezent gwiazdkowy od Wujka Silasa.

- No więc, poszedłem na to miejsce, gdzie odwiedzaliśmy Czarnego Piotrusia. Nic tam nie zostało. Coś tam budują. Znalazłem dużą tablicę leżącą napisami do dołu. Podniosłem ją i zobaczyłem, że była to tablica informacyjna w czterech językach, więc musiała być stara - STOISZ NA MIEJSCU BYŁEGO WIĘZIENIA GESTAPO, GDZIE ZMARŁO WIELU PATRIOTÓW.

- A czy piwnica Czarnego Piotrusia nadal tam jest?

- Nie, buldożery ją załatwiły. Lecz pośrodku ruin ktoś położył bukiet kwiatów, Bernie.

- W pobliżu tablicy?

- Nie, ona leżała odkręcona. Ktoś udał się do tego opuszczonego miejsca i położył drogą wiązkę kwiatów na ziemi. Nikt tam nie chodzi od lat. Ilu berlińczyków wie, że ta sterta gruzu, to stare gestapowskie więzienie? Czy możesz sobie wyobrazić, że ktoś przynosi tam kwiaty dla kogoś...? Po tylu latach. Wyobraź sobie, nadal to robi, Bernie. Jak jakiś tajemny mały rytuał. Aż mnie dreszcz przeleciał.

- No, tak - odparłem. - To dziwne miasto. Czuję się trochę zażenowany głębią uczuć Wenera.

- Nie brakuje ci go?

- Berlina? Tak, czasami tak - przyznałem.

- To zadziwiające miasto. Całe życie tam mieszkam i nadal odkrywam rzeczy zaskakujące. Żeby mój ojciec trochę dłużej żył... Nie mógłbym nigdzie indziej mieszkać - rzekł Werner.

Dla niego i dla mnie Berlin stanowił część życia naszych ojców, którą mieliśmy nadzieję poznać jeszcze.

- A ty mówisz stale o przejściu na emeryturę i wyjeździe w ciepłe strony - odparłem.

- Bo Zena tak bardzo by chciała. Zawsze mówi o zamieszkaniu w jakimś kraju, gdzie jest ciepło i słonecznie. Chyba któregoś dnia to zrobimy. Jeśli tylko to ma uszczęśliwić Zenę, to pogodzę się z tym.

- Mówiąc o bukietach, czy pamiętasz ten dzień, jak szliśmy za Czarnym Piotrusiem, aby ustalić, dokąd on chodził?

- Nie wiem, kto z nas był bardziej wystraszony, on czy my - dodał Werner.

- My - odpowiedziałem. - Pamiętasz, jak często zsiadał z roweru i oglądał się za siebie. - Ciekaw jestem, ile zapłacił za ten wielki bukiet?

- Chyba kosztowało go to z tydzień pracy - rzekłem. - Czy wiedziałeś, że to był żydowski cmentarz?

- A ty nie wiedziałeś?

- Wtedy nie - odparłem.

- Każdy Żyd o tym wie.

Przez chwilę zapomniałem, że ojciec Wenera przetrwał reżim nazistowski kopiąc groby na żydowskim cmentarzu, zajęcie, jakiego nie wolno było wykonywać żadnemu „aryjczykowi”. Była tam szkoła żydowska i żydowski dom dla starców. Grosse Hamburgerstrasse leżała w sercu starej żydowskiej dzielnicy Berlina, mającej paręset lat.

- Tak, znam ten żydowski dom dla starców. To było tam, gdzie trzymano berlińskich Żydów przed odtransportowaniem ich na Wschód.

- To dziwne, że wybrali takie publiczne miejsce - rzekł Werner. - W innych miastach Żydów gromadzono na bocznych torach kolejowych lub pustych terenach pofabrycznych. A tu byli w samym centrum miasta, tylko o krok od Unter den Linden. Z sąsiednich kamienic i biur setki ludzi oglądało apele i załadowywanie.

- Pamiętam, jak przymocował łańcuchem rower do bramy, a ty powiedziałaś, że Czarny Piotruś nie może być Żydem, bo był w armii.

- Potem oglądaliśmy groby oznaczone krzyżami - mówił dalej Werner. - Było ich tam chyba ze dwieście.

- Sposób, w jaki położył kwiaty na grobie, podsunął mi myśl, że był to jakiś jego krewny. Ukląkł i odmówił modlitwę. Wiedział, że go obserwujemy.

- Nie byłem w stanie powiedzieć, czy był Żydem, gdy przeżegnał się - dodał Werner - ale ja ciągle nie wiedziałem, o co tu chodzi. Kto mógłby odgadnąć, że pogrzebią tych wszystkich esesmanów na starym żydowskim cmentarzu?

- Ciała pochodziły z walk wokół stacji S-bahn o nazwie Börse. Pierwsze

rozkazy, jakie Armia Czerwona wydała, gdy walki ustały, dotyczyły grzebania zwłok. Myślę, że stary żydowski cmentarz na Grosse Hamburgertrasse był najbliżej położony.

- Rosjanie bali się tyfusu - dodał Werner.

- Ale jeśli cmentarz był bardzo stary, to musiał być pełen - rzekłem.

- Nie, w 1943 przekopano go i groby zniszczono. Oświadczono, że Berlin, mniej więcej wtedy, był *judenrein* - oczyszczony z Żydów. Teren cmentarza był pusty od tamtej pory aż do zakończenia walk.

- Myślałem, że on cię zabije po tym, gdy cię złapał.

Ukrył się w krzakach i złapał Wenera, gdy odchodziliśmy.

- Zawsze trochę się go bałem; był taki silny. Pamiętasz, jak wyginał te kawałki metalu robiąc podstawki do samolotów?

- Byliśmy jeszcze dziećmi, Werner... Podobała nam się myśl, że on jest niebezpieczny. Ale Czarny Piotruś był w nędznym stanie i przymierał głodem, tak jak połowa ludności.

- On się bał. Sądzę, że musiał się jakoś dowiedzieć, iż twój ojciec był angielskim oficerem.

- Czy uważasz, że Czarny Piotruś był ze swoim bratem w SS? - spytałem.

- Czy esesmani odmawiają modlitwy? Nie wiem. Po prostu wierzyłem we wszystko, co nam wtedy mówił. Ale jeśli nie walczył razem z bratem, to nie wiedział, gdzie go pochowano.

- Pamiętasz ten wieczór, wtedy, gdy wzięłeś ze sobą latarkę, żeby odczytać nazwisko na grobie?

- To nie byli prawdziwi frontowi żołnierze... Urzędnicy z Prinz Albrechtstrasse i komendy policji, kucharze i ci z Hitlerjugend. Co za fatalność zostać zabitym, kiedy wojna była prawie skończona.

- Ciekaw jestem, kto zdecydował podać ich dane na tabliczkach z nazwiskami, rangą i pododdziałem.

- Nie była to Armia Czerwona - rzekł Werner - możesz być tego pewien. Czasami tamtędy przechodzę. Teraz jest tam park pamięci. Grób Mosesa Mendelssohna znajduje się tam i położyli mu nowy kamienny nagrobek.

- Nie powinniśmy byli za nim chodzić. Nigdy nie wybaczył nam odkrycia jego małego sekretu. Już nas nie witał chętnie w swojej piwnicy.

Z kuchni doleciał mnie odgłos maszyny do mycia naczyń. Było to hałaśliwe

urządzenie, więc Gloria włączała je, kiedy skończyła pracę w kuchni.

- Idą panie z kawą - powiedziałem.

- Porozmawiam z nią - odparł Werner, tak jakby przez cały ten czas zajęty był myślami o Millerowej. - Może nic z tego nie wyjdzie, ale spróbuję.

- Lepiej nic nie rób, Werner. Jest to problem wydziałowy, niech Wydział tym się martwi. Nie ma sensu, żebyś pakował się w jakiś kłopot.

- Wybadam ją - odrzekł.

- Nie, Werner. To rozkaz.

- Jak sobie życzysz, Bernie.

- O to mi chodzi, Werner. Nie zbliżaj się do niej. Wtedy weszła Gloria niosąc dzbanek świeżej kawy. - O czym rozmawialiście? - spytała.

- O tym, o czym zawsze rozmawiamy: o nagich dziewczynach  
odpowiedziałem.

Gloria dała mi kuksańca między łopatki, po czym wszystkim naląła kawy.

Zena Volkmann zaśmiała się; była podniecona. Ledwie weszła do pokoju, gdy powiedziała:

- Werner, Gloria pokazała mi antyczną amerykańską kołdrę, jaką kupił jej Bernard. Czy możemy też taką kupić, Werner, kochanie? Z aplikacjami - ma sto pięćdziesiąt lat. Podała mi adres sklepu. Kosztuje cały majątek, ale cudownie wyglądałaby na naszym łóżku. Byłby to rodzaj rocznicowego prezentu dla nas.

- Naturalnie, kochanie.

- Czy on nie jest doskonałym mężem? - zapytała Zena, pochylając się, przytulając i całując go w ucho.

- Pamiętaj, co powiedziałem, Werner. Na razie nie rób nic.

- Pamiętam - odparł.

- Jak nie chcesz tej brandy, Werner, to ja ją wypiję.

### **Rozdział XXIII**

Gloria wyrażała swoją miłość do mnie z taką desperacką intensywnością, że byłem tym przerażony. Czy jest to, zastanawiałem się, taka wyjątkowa namiętność, jakiej sobie życzyła? Czy to jedyna w swoim rodzaju szansa dla nas obojga, by znaleźć wiecznotrwale szczęście? Czy też poglądy, jakie były jedynie miarą jej młodości? Potrafiła być tak wieloma naraz ludźmi: zabawnym kompanem, bystrym kolegą, nadąsanym dzieckiem, pełnym seksu partnerem w łóżku i troskliwą matką



moich dwojga dzieci. Czasem patrzyłem na nią jak na spełnienie wszystkich moich nadziei i marzeń. Innym razem widziałem w niej piękną, młodą dziewczynę, balansującą na krawędzi kobiecości, a siebie jako okłamującego się rozpustnika w średnim wieku.

Być zakochanym, to jak być uwolnionym, i Gloria ukazywała całe radosne uniesienie, jakiego miłość z oddaniem dostarcza. Ale być kochanym, to coś zupełnie innego. Być kochanym, to cierpieć pewną miarkę tyranii. Dla niektórych poświęcenie przychodzi łatwo, ale Gloria potrafiła być zaborcza w sposób jednostronny, tak jak tylko bardzo młodzi albo bardzo starzy potrafią. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nie proponuję jej stałego zamieszkania w moim domu na Duke Street. Była oburzona z powodu każdego wieczoru, którego nie spędziłem z nią. Kiedy była ze mną, oburzała się na czas poświęcony czytaniu, ponieważ czuła, że jest to przyjemność, jakiej nie możemy dzielić... A najbardziej oburzała się na moje wyjazdy zagraniczne, tak więc ociągałem się z mówieniem jej o nich do ostatniej chwili.

- A więc wracasz do Berlina - powiedziała zirytowana, gdy jej to oznajmiłem. Staliśmy w kuchni, potem jak Zena i Werner wrócili do hotelu.

- To nie mój pomysł - odparłem. - Ale Berlin to moja sekcja. Nikt za mnie tam nie pojedzie. Jeśli odłożę to w tym tygodniu, to będę musiał pojechać w następnym.

- A co takiego pilnego jest w Berlinie?

- Nie ma tam nic pilnego. To rutynowy wyjazd, ale pewnych raportów nie można dokładnie zanotować na papierze.

- Dlaczego nie?

W jej głosie dawało się wyczuć podenerwowanie, nad którym przeszedłem do porządku. Powinno było być to ostrzeżeniem dla mnie, ale ja gadałem dalej.

- Lepiej wysłuchać dłuższej mowy przy szklance piwa. Czasami uwagi na marginesie są więcej warte niż cały raport. I muszę zobaczyć się z Frankiem Harringtonem.

- Jedno długie picie, prawda?

- Wiesz, że nie chcę jechać - rzekłem.

- O niczym takim nie wiem. Słyszysz, jak mówisz o Berlinie z taką miłością i czułością, że robię się zazdrosna. Kobieta nie może konkurować z miastem, kochanie.

Uśmiechnęła się zimno i nieprzekonywująco. Nie umiała ukrywać swoich emocji; to jedna z rzeczy, jakie uważałem w niej za atrakcyjne.

- Tam dorastałem, kochanie. Kiedy Werner i ja spotykamy się, to mówimy o

naszym dzieciństwie. Czy ludzie nie wspominają, gdy spotykają starych szkolnych przyjaciół? To był mój dom.

- Oczywiście, że tak, kochanie. Nie musisz być taki defensywny co do tej brudnej starej kurwy. Jak mogłabym być zazdrosna o zimną, brzydką kupę cegieł?

- Wrócę najszybciej, jak będę mógł - obiecałem.

Przed wyłączeniem światła w kuchni i przedpokoju, zapaliłem je u szczytu schodów.

Było ciemno, jedynie odrobina światła tworzyła aureolę wokół jej jasnożółtych włosów. Kiedy obróciłem się, żeby z nią dalej rozmawiać, zarzuciła mi ramiona na szyję i całowała jak szalona. Nigdy nie mogłem przyzwycząić się do obejmowania tej młodej kobiety, która była prawie tego samego wzrostu, co ja. A kiedy mnie ścisnęła i całowała, to była w niej jakaś podniecająca mnie siła.

- Kochasz mnie, prawda? - szepnęła. Objąłem ją bardzo mocno.

- Tak - odpowiedziałem.

Przestałem już zaprzeczać. Naprawdę już nie wiedziałem, czy ją Kocham, czy nie; jedyne co wiedziałem, to to, że strasznie mi jej brakowało, kiedy nie była ze mną. Jeśli to nie była miłość, to poczekam, aż nadejdzie.

- Tak, Kocham cię.

- Ach, Bernard, kochanie - jej radość wyraziła się prawie krzykiem.

- Obudzisz dzieci - ostrzegłem.

- Zawsze boisz się obudzić dzieci. Nie obudzimy ich, a nawet jeśli tak, to zaraz znowu usną. Chodź do łóżka, Bernard. Tak bardzo cię Kocham.

Na palcach poszliśmy na górę, przechodząc koło dzieci i niani. Kiedy już byliśmy w sypialni, przypuszczałem, że powinienem był zapalić górne światło, ale ruszyłem w kierunku stolika przy łóżku, aby na nim zapalić lampkę. I właśnie dlatego potknąłem się o dużą i ciężką walizkę postawioną przy nogach łóżka. Straciłem równowagę i całą długością ciała runąłem na podłogę powodując tyle hałasu, że mogłem obudzić całą ulicę.

- Co to, do jasnej cholery! - wrzasnąłem, siadając na dywanie i rozcierając głowę w miejscu, gdzie uderzyłem nią o łóżko.

- Przepraszam, kochanie - rzekła Gloria.

Włączyła światło w łazience, żeby lepiej widzieć i pomóc mi wstać.

- Co to jest? Ty to zostawiłaś tutaj?

Nie chciałem pomocy przy wstawaniu; po prostu nie chciałem, żeby

zamieniała sypialnię w tor przeszkód.

- To moje - szepnęła.

Przez chwilę stała patrząc na mnie, a potem weszła do łazienki i zaczęła nakładać krem na twarz, aby usunąć makijaż.

- Boże, kobieto! Skąd to się tu wzięło?

Przez dłuższy czas nie odpowiadała, potem pchnęła drzwi i rzekła:

- To moje niektóre rzeczy.

Zdjęła sweter i biustonosz. Umyła twarz i zaczęła szorować zęby, przyglądając się sobie w lustrze nad umywalką, tak jakby mnie tam nie było.

- Rzeczy?

- Ubrania i książki. Nie wprowadzam się, Bernard, wiem, że nie chcesz, abym tu się wprowadziła. Walizka będzie tu tylko do jutra, potem ją zabiorę.

Wyjęła szczoteczkę z ust i wyprostowała się, teraz patrząc na siebie w lustrze, rozmawiając jakby z własnym odbiciem i coś sobie obiecując.

- Musiałaś to postawić pośrodku sypialni? A po co w ogóle było to tu przynosić? Nie można było schować pod schodami?

Zacząłem się rozbierać, rzucając części ubrania na krzesło, jeden but rąbnął w ścianę trochę mocniej, niż zamierzałem.

Skończyła w łazience i wyłoniła się mając na sobie nową nocną koszulę z falbankami, której przedtem nie widziałem.- Łazienka jest twoja - rzuciła. A potem: - Pani Dias, twoja sprzątaczką, musi dostać się do szafy pod schodami, żeby wyjąć odkurzacz.

- No to co?

- Więc spytałaby mnie, co to, prawda? Lub ciebie? I ty byś robił z tego powodu wiele szumu. Więc pomyślałam, że tu będzie lepiej. Wsadziłam ją pod łóżko; potem musiałam kilka rzeczy z niej wyjąć. Miałam zamiar znowu wsunąć ją pod łóżko. Przepraszam, kochanie. Ale ty jesteś marudny.

- Już dobrze - odparłem, ale byłem trochę zły i nie potrafiłem ukryć swojej złości.

To głupie wydarzenie z walizką zepsuło nam nastrój. Kiedy wyszedłem z łazienki, leżała zwinięta w kłębek na łóżku, z poduszką na głowie, patrząc w drugą stronę. Wszedłem do łóżka i objąłem ją za ramiona.

- Przepraszam. Powinienem był patrzeć pod nogi. Nie odwróciła twarzy. Miała ją w poduszce.

- Zmieniłeś się ostatnio, Bernard. Jesteś bardzo daleki. Czy ja coś zrobiłam?
- Ty nic nie zrobiłaś.
- To może Dicky? Chodził jak niedźwiedź z bolącą głową przez ostatnie kilka dni. Mówią, że zrezygnował ze swojej przyjaciółki.
- To ty wiesz, że widywał się z Tess Kosiński?
- Ty mi powiedziałeś - rzekła Gloria, nadal mówiąc w poduszkę.
- Ja.
- Przyjaciółka Daphne widziała ich w hotelu. Wszystko mi opowiedziałeś.

Wiem, że się tym przejąłeś.

- To było wariactwo.
- Dlaczego?

Obróciła ku mnie twarz. Znała odpowiedź, ale chciała porozmawiać.

- Tessa jest siostrą agentki pracującej dla KGB. Nie byłoby niczym złym dla Dicky'ego, gdyby utrzymywał z nią normalne towarzyskie kontakty. Nie byłoby niczym złym dla Dicky'ego widywać się z nią w ramach swojej pracy. Ale zdrada stanu i niewierność mają zbyt wiele ze sobą wspólnego. Dicky spotykał Tess potajemnie, a takie postępowanie bardzo, ale to bardzo denerwuje Bezpieczeństwo Wewnętrzne.

- Dlatego z niej zrezygnował?
- Kto ci powiedział, że on z niej zrezygnował?
- Czasami myślę, że mi nawet nie wierzysz.
- Kto ci powiedział, że on z niej zrezygnował? Głębokie westchnienie.
- Więc ona zrezygnowała z niego.
- Dlaczego myślałaś, że to był jego pomysł?
- Przewracanie się przez walizkę robi z ciebie paranoika, wiedziałeś o tym,

kochanie?

- Wiem o tym, ale w każdym razie odpowiedz na moje pytanie. Gloria pogłaskała mnie po twarzy i przesunęła palcem po moich ustach.

- Ty właśnie dopiero co powiedziałeś mi, że Dicky mógł wszystko stracić w wyniku takiego układu. Więc naturalnie doszłam do wniosku, że to on postanowił z tym skończyć.

- I to jest jedyna przyczyna?
- Jest mężczyzną; mężczyźni to samoluby. Jeśli muszą wybierać między pracą

a kobietą, to pozbywają się kobiety. Wszyscy wiedzą, jacy są mężczyźni.

To, naturalnie, było aluzją do jej obaw o mnie.

- Tessa go odpuściła, ale Dicky lubi o tym mówić po swojemu: Dicky o silnej woli, który wie, co dla nich obojga jest najlepsze, i Tessa o złamanym sercu, próbująca pozbierać się jakoś w życiu.

- On taki jest - rzekła Gloria. - To najgorszy gatunek szowinistycznej męskiej świni. Czy Tessa naprawdę go kocha?

- Nie wydaje mi się. Nie sądzę, by wiedziała, czy go kocha, czy też nie. Myślę, że ją bawi; jej tylko o to chodzi. Poszłaby do łóżka z każdym, kto jest zabawny z jej punktu widzenia. Myślę, że Tessa nie jest zdolna do kochania kogokolwiek.

- To podłość tak mówić, kochanie. Uwielbia cię i mówiłeś mi tysiące razy, że bez pomocy, jakiej ci udziela, nie dałbyś rady.

- To prawda, ale mówiliśmy o miłości.

- Chyba masz rację. Miłość to co innego.

- Nie są w sobie zakochani, Dicky i Tessa. Gdyby naprawdę byli, toby nie znalazło się nic, co mogłoby ich rozłączyć.

- Tak jak w przypadku mojego ganiania za tobą? Objęła mnie i ścisnęła.

- Tak, właśnie tak.

- Jak twoja żona mogła cię zostawić? Musi być zwariowana. Ja tak cię uwielbiam.

- Tessa widziała się z Fioną - nagle rzuciłem.

Nie chciałem jej o tym mówić, ale ona była z nami związana. Lepiej, żeby wiedziała, co się dzieje. Zawsze przychodzi taki moment, w którym praca i życie osobiste zachodzą na siebie. To był jeden z najgorszych aspektów tej pracy, mówienie innym półprawd i kłamstw o wszystkim. Kobieciarczowi takie rzeczy, jak sądzę, przychodzą łatwiej.- Twoja żona tu przyjechała?

- Spotkały się w Holandii, w domu ich ciotki.

- A czego chciała twoja żona?

- To były ciotki urodziny. Obie siostry odwiedzają ją co roku z tej okazji.

- Ona nie przyjechała tam tylko po to, Bernard; ona czegoś chciała.

- Skąd wiesz?

- Znam twoją żonę, Bernard. Myślę o niej stale. Pojechałaby do Holandii odwiedzić swoją ciotkę i zobaczyć się z siostrą z jakiejś bardzo ważnej przyczyny.

Musiała czegoś chcieć. Nic wydziałowego

są sposoby, żeby zająć się tym inaczej; ona chce czegoś od ciebie.

- Chce dzieci - powiedziałem.

- Nie wolno ci ich puścić.

- Tylko na wakacje - powtórzyłem żądanie Fiony. - Potem ma je odesłać.

Nadal starałem się przekonać samego siebie, że to było takie proste. Na poły miałem nadzieję, że Gloria podtrzyma to mniemanie, ale tego nie zrobiła.

- Która matka wysyłałaby swoje dzieci z powrotem, nie wiedząc, czy je znowu zobaczy? Jeśli zadaje sobie tyle trudu, żeby je mogła spotkać, to nigdy nie będzie chciała ich oddać.

Opinia Glorii nie poprawiła mi samopoczucia. Miałem chęć wstać i napić się jeszcze, ale oparłem się pokusie; miałem już dość.

- Ja też tak myślę - zgodziłem się. - Ale jeśli pójdzie do sądu domagać się prawa do opieki, to może je dostać. Muszę uzyskać opinię prawnika o tej sprawie.

- Powiesz teściowi?

- Nie mogę zdecydować. Ona grzecznie prosi i tylko chce je mieć na wakacje. Jeśli jej odmówię, to sąd może uznać to za odmowę dostępu do dzieci. Może się to obrócić przeciwko mnie, w razie gdyby chciała ciągnąć dalej sprawę o opiekę.

- Biedactwo, masz duże zmartwienie. Czy Tessa powiedziała ci o tym w zeszłym tygodniu, jak byłeś u nich na drinku?

- Tak - odparłem.

- Od tamtej pory jesteś w podłym nastroju. Szkoda, że nie wiedziałam.

Martwiłam się, że może...

- Że co?

- Ty i Tessa - dodała.

- Ja i Tessa?

- Wiesz, jak bardzo by chciała mieć cię w łóżku.

- Ale ja nie chcę iść z nią do łóżka - odparłem.

- Kto tu krzyczy tak głośno, że aż dzieci się budzą?

- Lubię Tessę, ale nie od tej strony. A poza tym jest żoną George'a. I mam ciebie.

- Właśnie dlatego jesteś dla niej interesujący. Stanowisz wyzwanie.

- Nonsens.

- Czy mówiłeś Wernerowi o spotkaniu Fiony z Tessą? Czy powiedziałeś mu,

że ona chce dzieci?

- Nie.
- Ale Werner to twój najlepszy przyjaciel.
- Nie mógłby nic pomóc. Gotów rozchorować się ze zmartwienia.

Pomyślałem, że to nieuczciwe obciążać mu tym głowę.

- Powinieneś. Będzie zły, że nie zwierzyłeś mu się. Łatwo go urazić, każdy to widzi.

- Tak jest najlepiej - odrzekłem, nie mając naprawdę co do tego pewności.
- Kiedy stajesz przed komisją?
- Nie wiem.
- Krążą pogłoski, że odmówiłeś stawienia się.
- Krążą?
- Czy to prawda?

- To nieprawda. Dicky mi powiedział, że komisja wyznaczyła mi termin składania zeznań, ale ja powiedziałem, że muszę od nich mieć to na piśmie.

- Żeby stawić się przed komisją?
- Chcę pisemnych rozkazów uściślających to, co mogę im powiedzieć.
- A Dicky tego ci nie da?
- Nie chce nawet Wernerowi dać wskazówek, co może ujawnić.
- Odmówił?

- Wahał się i zmienił temat. Wiesz, jaki jest Dicky. Gdybym go poprosił jeszcze raz, dostałby takiego bólu głowy, że musieliby odwieźć go do domu na noszach.

- Wszyscy zeznają. Czy nie przesadzasz, kochanie?
- W komisji nie ma naszych ludzi.
- Oni są z MI 5.
- Nie mam upoważnienia, by opowiadać MI 5 cokolwiek, co dotyczy naszych operacji.

- Jesteś po prostu uparciuch.

Roześmiała się, jak gdyby z uciechy, że komuś innemu sprawiam kłopot, a nie jej.- To nie jest tylko kwestia mieszanej komisji: mieliśmy już takie przedtem, całe mnóstwo. Ale wygląda to tak, że Breta postawiono na jej czele na czas podejmowania decyzji, czy on nie powinien być poddany przesłuchaniu. Jeśli Bret jest podejrzany... jeśli Bret może okazać się agentem KGB, to dlaczego ja mam tam iść i wypełniać

formularz za niego?

- Jeśli Bret jest podejrzany, ludzie z komisji muszą o tym wiedzieć. - rzekła Gloria. - W tym przypadku zrobią wszystko, byś nie składał zeznań mogących mieć znaczenie, gdyby miało to wrócić do Rosjan.

- Cieszę się, że tak sądzisz - rzekłem. - Ale oni są bardziej przebiegli.

Podejrzewam, że komisja Stinnesa chce mnie użyć jako narzędzia do zadania Bretowi ciosu w łeb. To jest prawdziwą przyczyną, dla której nie pójdę.

- Co masz na myśli?

- Komisja nie nazywa się „komisją Stinnesa” - ma nazwę „komisji Rensselaera”. Czy to była freudowska pomyłka? Jest to w każdym razie nazwa dość dobra, ponieważ komisja zasadniczo nie interesuje się Stinnesem, z wyjątkiem traktowania go jako źródła dowodów przeciw Bretowi. A jeśli mnie tam w końcu ściągną, to nie będą bynajmniej chcieli dowiedzieć się, jak przekabaciliśmy Stinnesa - będą mi zadawać pytania mogące uwikłać Breta.

- Jeśli Bret jest winien, to co w tym złego?

- Niech sami dostarczą dowodów. Myślą, że pogram po ich myśli i pójdę na wszystko, czego chcą. Myślą, że będę współpracował po to, aby udowodnić, że jestem bielszy od świeżo spadłego śniegu. Tak mniej więcej powiedział mi Dicky. Powiedział, że powinienem być zadowolony, że podejrzenie padło na Breta, bo w tej sytuacji będą mniej skłonni wierzyć w to, że pomagałem Fionie.

- Jestem pewna, że tego nie chciał powiedzieć - odezwała się.

- Właśnie chciał.

- Postanowiłeś wierzyć w to, że Wydział nie ma do ciebie zaufania. Ale żadnych ograniczeń co do ciebie nie ma. Przynoszę codziennie informacje z Rejestru. Jeśli byłoby jakiegokolwiek ograniczenie tego, co możesz oglądać, to wiedziałabym o tym.

- Może masz rację - przyznałem. - Ale ciągle istnieje jakiś ukryty tok podejrzeń. Może to po prostu sposób wywierania presji na mnie, ale mnie się to nie podoba. I nie podoba mi się, gdy Dicky mówi do mnie, że skazanie Breta przyniesie mi ulgę.

- Czy sądzisz, że komisję powołał Dyrektor Generalny dla zbadania Breta Rensselaera?

- Komisja jest pomysłem kogoś stojącego wyżej na drabinie.

Stary nie zabiegałby o to, żeby MI 5 pomagało nam prać nasze brudy, chyba



że dostał taki rozkaz.

- Wyżej na drabinie?

- Widzę w tym rękę Kancelarii Gabinetu. Koordynator ds. Wywiadu i Bezpieczeństwa jest jedynym człowiekiem, który może powiedzieć mnie i Fionie czego od nas chce. D-G przedstawił to jako swój własny pomysł, aby Wydział nie czuł się upokorzony.

- Upokorzony tym, że MI 5 bada jednego z naszych ludzi?

- Tak mi się wydaje - odparłem.

- Jeśli Bret jest winien, to czy ważne jak go złapią?

- Jeśli winny. Ale nie ma na tyle mocnych dowodów, aby udowodnić mu winę. Albo Bret jest superagentem nigdy nie popełniającym dużych błędów, albo chcą go zeszmacić.

- Kto go chce zeszmacić?

- Nie widziałaś z bliska tej paniki, jaka powstaje, gdy mówi się, że jakiś agent przeniknął do Wydziału. To histeria. Niedawno Dicky przypomniał sobie różnego rodzaju zadziwiające wątki podróży do Kilonii w towarzystwie Breta. Dicky zmieniał reakcje Breta na zachowanie się pewnego faceta z KGB w ostateczne dowody przeciw samemu Bretowi. I tak rośnie histeria.

- Mówią, że miejsce, gdzie Bret popełnił błąd, to była pralnia - rzekła Gloria.

- Początkowo ja też tak myślałem. Ale teraz jestem skłonny widzieć w tym świadectwo na korzyść Breta. Ten młody, który wszedł drzwiami, wrzasnął do nas „Idziemy”. Dlaczego to zrobił, jeśli by nie brał Breta za Stinnesa? Spodziewał się, że ktoś z nim pobiegnie. Wszyscy usiłują przekonać samych siebie, że akcję zaaranżował Bret celem eliminacji Stinnesa, ale to nie ma sensu. Zaplanowane to było jako ucieczka, teraz tak uważam. I nie zapominaj, że Bret mógł podnieść dubeltówkę i zabić mnie.

- A bomba pod samochodem?

- Bo myśleli, że Bret był w samochodzie.

- I mówisz, że to ma oczyścić Breta?

- Mówiłem ci, że te bandziory chciały zaskoczyć Stinnesa.

- Albo go porwać - odparła.

- Nie na motocyklu. Pasażer z tyłu musi mieć chęć, żeby jechać.

- Jeśli Bret jest niewinny, to i tak wiele pozostaje do wyjaśnienia. A co z memorandum Gabinetu, które Bret wysłał do Moskwy?

- Są na to dowody, że kopia Breta dotarła do Moskwy. Ale na Wydziale była tylko jedna kopia memorandum. Dlaczegoż by nie Fiona miała wysłać fotokopię do Moskwy? Miała dostęp.- A potem użyć tego dla wrobienia Breta?

- Mówię jedynie, że wszelkie dowody przeciw Bretowi są poszlakowe. Nie jesteśmy nawet pewni, czy Moskwa dostała raport idący za memorandum. Nie ma przeciw Bretowi nawet jednego dobrego dowodu, dowodu nie budzącego najmniejszych wątpliwości.

- Nie można mieć dwóch rzeczy naraz, Bernard. Powiedziałeś, że podłożyli bombę w samochodzie, w którym siedział Stinnes, ponieważ myśleli, że tam siedzi Bret. Albo Moskwa robi ogromne zabiegi, aby wrobić Breta, albo próbowali go zabić. Lecz te dwa działania nie przystają do siebie.

- Oba działania przyniosłyby korzyść Moskwie... Jeśliby bomba zabiła Breta, Wydział opanowałaby jeszcze większa panika. Jak na razie mają Breta pod obserwacją, mają pewien wpływ na to, z kim się spotyka i co robi. Wszyscy uważają, że jeśli Bret jest winny, to stanie się ofiarą przesłuchującego, zwłaszcza ze Stinnesem wymyślającym pewne trudne dla niego pytania. Pocieszają się pomysłem, że Bret pójdzie na pełną współpracę ze śledczym, aby uniknąć długiego wyroku. Lecz jeśli Bret byłby nieboszczykiem, to nie wyglądałoby to tak różowo. Nie byłoby sposobu na wyciągnięcie kasztanów z ognia. Musielibyśmy przekopać się przez cały materiał przechodzący przez jego ręce, poddać superstarannym badaniom wszelkie kontakty Breta i wykonać ten sam rodzaj podwójnego skomplikowanego badania, jakie prowadziliśmy, gdy Fiona przeszła do nich.

- Jeśli nieżywy Bret jest gorszy dla nas od żywego Breta, to dlaczego nie spróbowali jeszcze raz?

- Nie mają gotowych likwidatorów, którzy by tylko spokojnie czekali w sowieckiej ambasadzie, skarbenku. Takie zabójstwa muszą być zaplanowane i autoryzowane. Taki zespół kasujący musi być poinstruowany i zaopatrzony w fałszywe dokumenty. Wszystko się im pochrzaniło w pralni, więc prawdopodobnie jest tam teraz grupa funkcjonariuszy KGB optująca przeciw ponownej próbie. To potrwa.

Nie powiedziałem, że Fiona może być jedną z osób przeciwnych ponownej próbie zabicia Breta, bo podejrzewałem, że życie Breta może zależeć od tego, co ona zdecyduje.

- Czy sądzisz, że Bret wie, iż jest w niebezpieczeństwie?

- To tylko jedna z teorii, kochanie. Mogę się mylić. Bret może być wtyka KGB, tak jak każdy uważa.

- Czy zmusza cię to do stawienia się przed komisją?

- D-G nie będzie chciał wracać do Kancelarii Gabinetu z informacją, że robię trudności. Mimo wszystko jednak Koordynator pozostaje jedynym, który może mi kazać to zrobić. Jak sądzę, D-G zdecyduje, że lepiej opóźnić sprawę w nadziei, że komisja postanowi dać sobie radę beze mnie. Mam, w każdym razie, trochę oddechu. Wiesz, jak to jest w Wydziale; jeśli komisja będzie żądać mojej obecności, muszą to wyrazić na piśmie. W każdym razie nic się nie wydarzy do momentu, aż wrócę z Berlina.

- Kiedy jedziesz? - spytała.

- Jutro.

- Ach, Bernard. Czy mógłbyś to odłożyć na tydzień? Jest tyle rzeczy, o których chciałabym z tobą porozmawiać.

- O, tak? - odezwałem się, będąc w pełnym pogotowiu. Było coś w jej głosie, jakaś smutna nuta. - Czy ma to coś wspólnego z tą walizką?

- Nie - powiedziała, ale na tyle szybko, abym uznał, że nie mylę się.

- Co w niej jest?

- Ubrania, mówiłam ci.

- Jeszcze ciuchy? W tym domu już pełno jest twoich ciuchów.

- Wcale nie. - Głos miała szorstki i pełen złości. A potem bardziej przeprasający: - Wiedziałam, że będziesz jak bestia.

- Pamiętasz, na co zgodziliśmy się, Gloria? Nie będziemy budować tu jakichś stałych układów.

- To ja jestem twoją dziewczyną na weekend, tak?

- Jeśli tak uważasz. Ale nie ma innych dziewczyn, jeśli to masz na myśli.

- Nie zależy ci na mnie.

- Oczywiście, że zależy, ale muszę mieć trochę miejsca w szafie. Nie mogłabyś zabrać paru rzeczy z powrotem do rodziców... i stosować wymianę, w miarę, jak będziesz ich potrzebowała?

- Powinnam była wiedzieć, że mnie nie kochasz.

- Ależ kocham cię, ale nie możemy mieszkać razem, nie cały tydzień.

- Dlaczego?

- Są różne powody... dzieci i niania i... no, ja po prostu nie jestem

przygotowany do takiej stałej scenki domowej. Muszę mieć wolną przestrzeń. Zbyt szybko po odejściu żony.

Te słowa popłynęły jak rwący potok, lecz żadne z nich nie oddawało istoty rzeczy.

- Boisz się słowa „małżeństwo”, prawda? Naprawdę cię przeraża.

- Nawet nie mam jeszcze rozwodu.

- Mówisz, że przejmujesz się tym, co ona robi starając się prawo do widywania dzieci. Gdybyśmy się pobrali, sąd mógłby bardziej być skłonny do pozostawienia ich tobie.

- Może masz rację, ale nie można ożenić się, zanim nie dostanie się rozwodu, a sąd nie patrzy przychylnie na bigamistę.

- Ani na ojca żyjącego z kochanką. Więc to taka przyczyna?

- Ja tego nie powiedziałem.

- Traktujesz mnie jak dziecko. Strasznie cię nie lubię.

- Porozmawiamy o tym, jak wrócę z Berlina. Ale są jeszcze inni łączący się z tą decyzją. Czy wzięłaś pod uwagę, co mogą twoi rodzice powiedzieć na przeprowadzkę tutaj?

- Chodzi ci o to, co powiedzieliby tobie o tym, tak? Przejmujesz się tym, co powiedzieliby moi rodzice.

- Tak, martwię się o nich. Zaczęła płakać.

- No co się stało, kochanie? - powiedziałem, wiedząc naturalnie o co chodzi. - Nie śpiesz się tak ze wszystkim. Jesteś młoda.

- Odeszłam od rodziców.

- Co?

- Wszystkie moje rzeczy są w tej walizce - moje książki, moje obrazki, reszta sukienek. Miałam straszne przejście z matką i ojciec stanął po jej stronie.

Przypuszczam, że musiał. Rozumiem, dlaczego to zrobił. W każdym razie miałam ich już dość. Spakowałam rzeczy i odeszłam. Nie wrócę do nich nigdy.

Zrobiło mi się niedobrze. Kontynuowała:

- Nigdy do nich nie wrócę. Powiedziałam im to. Matka wyzywała mnie.

Okropne rzeczy o mnie mówiła, Bernard.

Teraz płakała na poważnie, głowa jej opadła mi na bark i czułem ciepłe łzy na gołej skórze.

- Idź spać, kochanie. Jutro o tym porozmawiamy - powiedziałem. - Samolot

odlatuje aż po obiedzie.

- Nie zostanę tu. Mam do kogo iść. Nie martw się o mnie, Bernard. Jak wrócisz z Berlina wszystkie moje rzeczy znikną stąd. W końcu mogę zobaczyć, jaki jesteś naprawdę.

Nadal leciała mi przez ręce, nadal szlochała z przytłumionym i smutnym zmęczeniem, ale w jej głosie dało się wyczuć determinację. Nie zostanie tu z wyjątkiem obietnicy małżeństwa, a było to coś, do czego nie mogłem się zmusić. Odwróciła twarz ode mnie i objęła się ramionami. Nie można jej było pocieszyć. Długo nie mogłem zasnąć, a ona ciągle cichutko łkała. Wiedziałem, że nie mogę nic zrobić. Żaden smutek nie równa się żalości młodych.

#### **Rozdział XIV**

Berlin to chłodne miasto z szarego kamienia. Surowe, protestanckie, gdzie nigdy nie dotarły pełne rozmachu ekscesy baroku z południowych Niemiec. Ulice są tak szerokie, jak wysokie są domy przy nich stojące, a ludzie wyglądają jak karzelki spieszące wietrznymi przestrzeniami; jakoś inaczej niż na Manhattanie, gdzie drapacze chmur nie redukują ludzkiej postaci. Nawet nowoczesne budownictwo Berlina robi wrażenie wykutego w kamieniu, z jego fasadami odbijającymi ponure, szare, monolityczne niebo.

W hotelu Lisi Hennig dominowały meble. Miały te same olbrzymie proporcje, charakterystyczne dla miasta. Masywne, wzniosłe i nie idące na kompromis dębowe stoły, mahoniowe szafy i zwinne bieder-meierowskie kredensiki, a także szafki z drewna brzoskwiniowego i gruszkowego, gdzie trzymano porcelanę. Nawet w moim niewielkim pokoiku na samej górze mało było wolnego miejsca, bo pełno tu stało narożnych szafek, komódek, krzeseł wyrzeźbionych w drewnie, na koniec zaś łoża z kilkoma materacami.

Zawsze sypiałem w tym pokoju. Tu właśnie przebywałem, podczas gdy rodzina miała do dyspozycji górne piętra, wyznaczone im przez Brytyjską Armię Okupacyjną. Właśnie z tego okna puszczałem papierowe samoloty, bańki mydlane i zrzucałem bomby wodne na podwórko w dole. Dzisiaj nikt nie chciał korzystać z tej małej, zatłoczonej klatki z dala od łazienki. I została stara tapeta o wzorze w kraty, a nad malusieńkim kominkiem ciągle wisiał sztych średniowiecznego Drezna, który Lisi Hennig powiesiła, żeby ukryć ślady, jakie zrobił Werner strzelając z wiatrówki do rysunku przedstawiającego *Herr* Storcha, grubego nauczyciela matematyki. Storch

był oddanym nazistą, ale udało mu się jakoś uniknąć znanych procedur denazifikacyjnych i wrócił do pracy po wojnie. Poruszyłem obrazek, żeby pokazać Wernerowi, że ślady nadal tu były.

- Trach! Trach! - palnął Werner, strzelając z wyimaginowanego pistoletu w miejsce, gdzie kiedyś był wizerunek Storcha.

- Przywał mu - powiedziałem bez wymieniania Storcha po nazwisku. - Trzymał się twardo swoich poglądów.

- To była nazistowska gnida - rzekł Werner bez przejęcia.

- I nawet przez jakiś czas nie próbował tego kryć - powiedziałem.

Niebo ściemniało od chmur burzowych i zaczął padać deszcz, duże krople wody tłukły o szybę z głośnym hałasem i ryły ślady na brudnym parapecie.

- Storch był przebiegły - powiedział Werner. - Zmienił całe swoje faszystowskie trele-morele na anty brytyjskie i antyamerykańskie tyrady. Mogli go zapuszkować za rozpowszechnianie poglądów nazistowskich, ale zarówno Brytyjczycy jak i Amerykanie wszystkim mówili, jak dalece wierzą w swobodę wypowiedzi. Niewiele mogli Storchowi zrobić.

Werner stał przy kominku, obracając w rękę figurkę Wilhelma Telia, którą zesłano do tego pokoju po tym, jak upuściła ją do zlewu sprzątaczką podczas mycia. Fragmenty figurki zostały sklezione niedbale, tak że brązowy klej wystąpił poza powierzchnie połamanych rąk i nóg.

Szukałem dogodnej sposobności, aby powiedzieć Wernerowi o spotkaniu mojej żony z Tessą i jej prośbie o dzieci, ale właściwy moment jeszcze nie nadszedł.

- Widujesz go? Widziałeś go kiedyś, tego *Herr* Storcha?

- Znowu ożenił się - powiedział Werner. - Ożenił się z wdową, która miała sklep zegarmistrzowski w Monachium.

Werner miał na sobie ciemnoszarą marynarkę z dobrej gatunkowo wełny i sztruksowe spodnie, zwane przez Niemców *Manchesterhosen*. Koszula była zielona, a na polyestrowym krawacie, również w kolorze zieleni, hasały małe czerwone koniki. Na haczyku z tyłu drzwi powiesił znoszony, stary, szary płaszcz. Wiedziałem, że tego popołudnia ma umówione spotkanie z przedstawicielami pewnego banku ze wschodniego bloku, ale gdyby nawet mi o tym nie powiedział, to i tak odgadłbym, że udaje się na wschodnią stronę; zawsze wkładał takie proletariackie ubranie, kiedy wybierał się tam. Czarny płaszcz z karakułowym kołnierzem i któryś z tych garniturów krojonych na miarę, które zdecydowanie wolał, nie mówiąc o pantoflach -

wszystko to byłoby zbyt rzucające się w oczy na ulicach Berlina Wschodniego.

- Uwierz, że Storch padnie.

- Dał ci cholernie popalić - powiedział Werner.

- Nie, nie powiedziałbym tak.

- Te wszystkie ekstra domowe prace i to wyciąganie ciebie przed klasę, byś robił geometrię na tablicy.

- To mi się przydało. Przez dwa lata byłem najlepszy w klasie z matematyki.

Mój tata nie mógł wyjść z podziwu.

Rozległ się grzmot i zaraz potem błysnęło.

- Ale i tak nawet wtedy stary Storch ciebie się czepiał.

- Nienawidził Anglików. Na pustyni libijskiej zabito jego syna. Mówił chłopakom z najstarszej klasy, że Anglicy rozstrzelali wszystkich swoich więźniów.

- To tylko propaganda - powiedział Werner.

- Nie musisz mnie oszczędzać. Sukinsynów mamy wszędzie, Werner. Obaj o tym wiemy.

- Storch nie musiał się tak ciebie czepiać.

- Byłem jedynym *Englander*, którego mógł dopaść.

- Nigdy nie słyszałem, żebyś coś złego powiedział o dobrym, starym Storchu.

- To był stary drań o zakutym łbie - powiedziałem. - Musiał zdawać sobie sprawę, że jedno słówko do mojego ojca o jego przeszłości żołnierza oddziałów szturmowych pozbawiłoby go roboty, ale robił wrażenie, że się tym nie przejmuje.

- Ja bym na niego nadał - powiedział Werner.

- Ty bardziej niż ja go nienawidziłeś.

- Nie pamiętasz tego wszystkiego, co mówił o żydowskich wyzyskiwaczach i w jaki sposób na mnie patrzył przez cały czas?

- A ty powiedziałaś: „Niech pan na mnie tak nie patrzy, proszę pana, mój ojciec był grabarzem”.

- To było wtedy, kiedy stary *Herr Grossmann* był na zwolnieniu chorobowym i Storch zastępował go na lekcjach historii.

Rozległ się długi grzmot, burza nadchodziła nad miasto i szła w kierunku Polski. Werner zawył:

- Jedyne, co Storch wiedział o historii, to to, co wyczytał w nazistowskiej propagandzie - o żydowskich wyzyskiwaczach, którzy spowodowali przegranie wojny przez Niemcy i upadek ich gospodarki. Nigdy nie powinno się mieć takiego

zakłamańca na zajęciach z historii.

- Wiem, co chciałeś powiedzieć, Werner.

Werner usiadł na starym fotelu, uśmiechnął się do mnie i, chociaż dobrze wiedziałem, co nas w opowieści czekało, powiedział:

- Był sobie drań nad dranie, powiedział nam. Już bogaty, podwoił majątek w kilka miesięcy. Pożyczył od centralnego banku na wykupienie kopalni węgla, prywatnych banków, papierni i gazet. I spłacił w pieniądzach tak zdewaluowanych przez inflację, że całość nic go prawie nie kosztowała.

- Wygląda na to, że zagłądałeś do encyklopedii, Werner - powiedziałem. - Hugo Stinnes. Tak, myślałem o tym długim emocjonalnym wykładzie starego Storcha nie dalej jak wczoraj.

- No to dlaczego jakaś rosyjska świnka mająca zadanie wyznaczone przez KGB, miała sobie wybrać operacyjne nazwisko Stinnes?

- Żałuję, że nie wiem - powiedziałem.

- Hugo Stinnes był niemieckim kapitalistą, wrogiem klasowym z obsesją groźby ze strony światowego bolszewizmu. Jaki to rodzaj dowcipu,, żeby wybrać dla człowieka z KGB takie nazwisko?

- Co mógłbyś powiedzieć o takim facecie? - zapytałem.

- Że jest bardzo zaufanym komunistą - rzekł Werner. - Człowiekiem, któremu z racji takiego nazwiska nie grozi żadna konfrontacja.

- Pomyślałeś o tym dopiero teraz? - spytałem.

- Odkąd po raz pierwszy usłyszałem to nazwisko, wydawało mi się ono zbyt wydumane jak dla komunistycznego agenta. Ale teraz gdy tak wiele zależy od jego lojalności znowu o tym myślę. I martwię się.

- Tak, ja też, Werner - dodałem.

Werner na chwilę przestał mówić i podrapał się małym palcem po swych krzaczastych brwiach.

- Kiedy partia nazistowska wysłała doktora Goebbelsa na otwarcie swego pierwszego biura w Berlinie, to wykorzystali tę małą piwnicę przy Potsdamerplatz, która należała do wuja Storcha. To była parszywa dziura: naziści nazywali ją „opium nora”. Mówią, że wujek Storch pozwalał im z niej korzystać bez płacenia czynszu, a w zamian Storch miał ciepłą posadkę w Partii.

Popatrzyłem na deszcz, który polerował dachy budynków po drugiej stronie podwórka. Dachy były kryte dachówką, garbate, i niedołączne, jak z „Jasia i Małgosi”.



Myślami już byłem daleko od *Herr* Storcha, chyba tak jak i Werner. Powiedziałem:

- Dlaczego nie używa swojego prawdziwego nazwiska - Sadoff - dlaczego korzysta z niemieckiego nazwiska w ogóle? A jeżeli już niemieckie, to dlaczego Stinnes?

- To budzi wiele pytań - powiedział Werner, myśląc zupełnie o czymś innym.

- Jeśli Stinnes był ustawiony tylko po to, aby dać nam fałszywe informacje, to w takim razie Millerowa została użyta, aby wesprzeć ten trick.

- Nietrudno w to uwierzyć, Werner - powiedziałem. - Skoro już wiemy, że nie utonęła w Haweli, skoro już wiemy, że jest w dobrym stanie i pracuje dla rządu wschodnich Niemiec, to zmieniłem zdanie na temat całej sprawy.

- Jaka cała sprawa? To, że wzięła materiał z samochodu w czasie dużego przyjęcia w Wannsee? Czy chciała być aresztowana tej nocy, kiedy tak to starannie obmyśleliśmy i tak byliśmy zadowoleni z siebie? Czy to wyznanie - czy wszystko było ustawione?

- Żeby wpędzić Breta? Tak. Millerowa zrobiła ze mnie głupka. Uwierzyłem jej we wszystko, co powiedziała o dwóch słowach kodu. Pojechałem do Londynu przekonany, że mamy kolejnego agenta w Centrali. Nie posłuchałem rozkazów. Poszedłem do Brahmisa Cztery. Byłem przekonany, że ktoś w londyńskiej Centrali - prawdopodobnie Bret - był głównym agentem KGB.

- Na to wyglądało - powiedział Werner.

Był przyjazny, jak zwykle. Widział moje zdenerwowanie.

- Dla mnie też. Ale nikt inny nie dał się przerobić. Powtarzałeś mi to w kółko. Dicky kręcił nosem na sam pomysł, a Silas Gaunt zezłościł się, gdy to zasugerowałem. Nawet zacząłem zastanawiać się, czy było w ogóle duże krycie. Ale prawdą jest, że, w odróżnieniu ode mnie, nie dali się wrobić w konia opowieścią tej baby.

- Nie zwałaj winy na siebie, Bernard. Nie widzieli jej. Robiła przekonujące wrażenie, wiem o tym.

- Zrobiła ze mnie głupka. Miała ślady nikotyny na palcach i ani śladu papierosów! Miała ślady atramentu na palcach i brakowało jej pióra wiecznego! Tonie, ale ciała nie znajdujemy. Jak mogłem być tak głupi! Urzędniczka z Berlina Wschodniego, tak, naturalnie. Wszyscy w londyńskiej Centrali mieli rację, a jedynie ja myliłem się. Jest mi strasznie przykro, Werner. Mam więcej doświadczenia z terenu niż ktokolwiek z tych ludzi. Powinienem był ją prześwietlić. Tymczasem

zajmowałem się dokładnie tym, czego oni chcieli.

- To nie było tak, Bernie, dobrze wiesz. Silas Gaunt i Dicky, i inni nie sprzeczekali się z tobą, ani też nie wysuwali żadnych rozsądnych kontrargumentów. Nie chcieli wierzyć w twoją teorię, bo byłoby niezbyt wygodnie w nią wierzyć.

- Za to Wykwintny Harry dał mi dokumenty wspierające koncepcję, że w Londynie, w Centrali jest wtyka.

- Chyba nie mówisz, że Harry wiedział coś na ten temat?

- Nie wydaje mi się. Wykwintny Harry był starannie wybranym pośrednikiem. Używali go w sposób, w jaki myśmy go też często używali. To był chyba pomysł Fiony. - Mieli cholernie skomplikowany scenariusz - powiedział Werner, pocierając twarz. - Czy jesteś pewny, że teraz wiesz, o co chodzi? Czy warto by im było posuwać się aż tak daleko? Kiedy wydostałeś Stinnesa z Meksyku, omal nie zostałeś zabity. Facet z KGB z ambasady został postrzelony.

- To strzelanie było przypadkowe, Werner. Ten, który zadał mi bobu w Berlinie Wschodnim, to był Paweł Moskwin. Jeśli Stinnes jest wtyka, to Moskwin stoi za tym. Nie mogę tego udowodnić, naturalnie, ale Moskwin to taki właśnie bezczelny członek Partii, którego Moskwa wykorzystuje do kontrolowania i opracowywania działań we wszystkich ważnych wydziałach.

- Sądysz, że Moskwin umieścił go bez żadnych kontaktów, prowadzącego oficera bądź skrzynki kontaktowej? Sądysz, że Stinnes jest zupełnie niezależny?

- „Samotnicy”, tak ich nazywają Rosjanie, agenci, którzy podlegają tylko jednej bądź dwóm osobom na samym szczycie władzy zwierzchniej. Jedyny ślad ich zadania to podpisany kontrakt zamknięty w szafie panczernej w Moskwie. Czasami, gdy tacy umierają, nie oplakiwani, nawet ich najbliżsi - żona, mąż, dzieci - nie są informowani o tym, jak sprawy faktycznie się miały.

- Ale Stinnes zostawił żonę. Nawet była między nimi bójka.

- Tak - powiedziałem - i to mnie przekonało, że naprawdę chciał przejść na Zachód. Jednak bójka była prawdziwa - jego relacja fałszywa. Powinniśmy byli dopuścić taką możliwość.

- Tak więc teraz uważasz, że Stinnes jest samotnikiem? - spytał Werner.

- Dla nich samotnik, to nic takiego niezwykłego, Werner. Komuniści zawsze robili wielkie halo z tajemniczości; to komunistyczna metoda; dywersja, tajne szyfry, lewe nazwiska, niewidzialne atramenty, żaden z agentów nie może kontaktować się z więcej niż dwoma innymi, komórki, aby być pewnym, że jeden sekret stracony nie

prowadzi do utraty drugiego. Wszystkie te rzeczy nie są domeną wyłącznie Sowietów i KGB; ten rodzaj tajności jest rzeczą naturalną dla każdego komunisty. To jest to, co światowy komunizm ma do zaproponowania zgorzkniałej samotnej osobie. Jeśli dobrze zgaduję, Moskwin jest jedyną osobą znającą całość. Najprawdopodobniej nie powiedzieli całej prawdy zespołowi porywaczy, który zaatakował pralnię. KGB rozumowało, że jedna osoba ekstra znająca prawdziwą historię całej sprawy zwiększyłaby ryzyko odkrycia przez nas, że Stinnes jest wtyczką.

- Człowiek, który się sam poświęca? Czy Stinnes jest taki? - zapytał Werner. - Ja określiłbym go jako upartego i zżeranego ambicją oportunistę. Rzekłbym, że Stinnes to jest taki człowiek, który wysyła innych, aby się poświęcili, podczas gdy on pozostaje z tyłu i zbiera wszelkie promocje.

Werner dotknął sprawy, którą trudno było mi pogodzić z faktami. Od początku, gdy Stinnes zaczął mówić o przejściu na naszą stronę, trudno było mi uwierzyć w jego szczerość. Stinnesowie z KGB nie przybywali na Zachód - nie jako uciekinierzy, nie jako agenci, a zwłaszcza nie jako „samotnicy”, którzy mieliby spędzić resztę życia bez nagrody, bez miłości i bez zaangażowania w pracę, wykonując swoją rolę bez przekonania. Jak Werner powiedział, Stinnes był z gatunku tych, co skazują innych na tego rodzaju los.

- Jak Moskwa go zechce z powrotem, to znajdzie na to sposób - powiedziałem.

- Mnie to przekonuje - dorzucił Werner z ociąganiem. - Ale nie przekonasz wielu innych. Oni wolą tak, jak jest. Mówisz, że londyńska Centrala praktycznie spisała Breta na straty. Komisja do sprawy Stinnesa dopiero zaczyna się ruszać. Jeśli to, co mówisz o Stinnesie jest słuszne, to obrzucą ich jajami, dużą liczbą jaj. Będziesz musiał mieć solidne dowody na to, że Stinnes jest wtyka, zanim pójdziesz ich przekonywać. To jest komisja połączonych służb, które wzajemnie się przekonują, że Stinnes jest największą bombą, jaką mieli od lat. Będziesz miał mnóstwo trudności z wytłumaczeniem im, że dali się wrobić w dezinformacyjny numer z strony KGB.

- To więcej niż numer, Werner - powiedziałem. - Jeśli Stinnes zrobi dużą dziurę w londyńskiej Centrali, zmusi Wydział do pójścia na kompromis z Piątką, troszkę obrzuci mnie błotem i doprowadzi do tego, że Bret stanie przed wydziałową komisją, nazwę to triumfem KGB pierwszego rzędu.

- Ja byłem już przed tą komisją - rzekł Werner. - Będą w to wierzyć, w co zechcą wierzyć. Rozhuśtaj tę łódź, a zobaczysz, że będziesz tym, który wpadnie do

wody i utonie. Radzę ci, abyś zachował swoje teorie dla siebie. Trzymaj się od tego z dala, Bernie.

Grzmiało wciąż, ale łagodniej wraz z uspokajaniem się burzy, i słońce przeblyskiwało tu i ówdzie przez chmury.

- Trzymam się z dala. Powiedziałem Dicky'emu, że nie pójde na komisję bez szczegółowych instrukcji na piśmie.

Werner popatrzył na mnie, zastanawiając się, czy był to dowcip. Kiedy zdał sobie sprawę, że nie, powiedział:

- Głupio zrobiłeś, Bernie. Powinieneś być zrobić to, co ja. Trzeba było przejść całą ceremonię: mieć uśmiech na twarzy w odpowiedzi na ich pozdrowienia, śmiać się z ich dowcipów, przyjmować ich papierosy i wysłuchiwać ich idiotycznych komentarzy z wyrazem zafascynowania na twarzy. Odmówiłeś? Będą traktować cię jak wroga. Co oni sobie pomyślą, gdy pójdziesz tam i powiesz, że Stinnes to naciąganie i jedna wielka pułapka?

- No i co pomyślą? - powtórzyłem pytanie.

- Odgrzebią wszystkie najciemniejsze podejrzenia na twój temat - rzekł Werner. - Ktoś w tej komisji na pewno powie, że mógłbyś być agentem KGB usiłującym wyciągnąć Breta i że próbujesz rozwalić tę wspaniałą robotę, jaką daje przesłuchanie Stinnesa.

- To ja sprowadziłem Stinnesa - powiedziałem.

- Bo nie miałeś alternatywy. Nie pamiętasz, jak niektórzy mówili, że się ociągasz?

Spojrzał na zegarek z nierdzewnej stali, nie zaś ten złoty, który zazwyczaj nosił.

Miał mnóstwo czasu, ale był nerwowy. Werner miał mnóstwo pieniędzy z całkowicie czystych operacji bankowych, ale zawsze denerwował się przed wyprawą na Wschód. Zastanawiałem się czasami, czy to warto.

- Gdzie masz samochód?

- To szybki numer. Kilka podpisów, aby potwierdzić, że towar już tam przybył. Im szybciej dostanę potwierdzenie odbioru, tym szybciej mi wypłacą, a przy obecnych potrąceniach bankowych... pojedę S-Bahnem. Jak już będę na Friedrichstrasse, to stamtąd tylko pięć minut.

- Pójde z tobą na stację ZOO i poczekam do odjazdu pociągu - powiedziałem.

Nadal nie wspominałem mu o Fionie i dzieciach.

- Zostań, Bernie. Zmkniesz.

Kiedy zeszlśmy na dół, Lisi Hennig siedziała w jadalni. Był to duży pokój z widokiem na ponure podwórko. Ściany pomalowano na kremowo, jak też niektóre z szafek. Stary wschodni dywan krył wydziobane linoleum tuż przy wejściu, a na ścianach wisiały oprawne w ramki kopie starodruków - sceny z wiejskiego życia - oraz jeden odróżniający się od innych. Był to rysunek Georga Grosza, widać było na nim zmaltretowanego żołnierza, kombatanta zniszczonego przez wojnę. Rysunek wyrażał złość, przekorę i rozpacz; linie, rzucone przez artystę, atakowały wręcz papier. Lisi siedziała blisko owego rysunku, przy stole pod oknem. Zawsze przesiadywała tam koło południa. Na stole piętrzył się, jak zwykle, stos gazet. Nie mogła żyć bez gazet - miała obsesję na tym punkcie i niech ręka boska broni tego, który przerwałby jej czytanie. Spędzała całe ranki czytając je wszystkie, strona po stronie: ogłoszenia, plotki, teatr, recenzje z koncertów, ceny akcji na giełdzie i nawet ogłoszenia drobne. Właśnie skończyła i była znowu towarzyska.

- Werner, kochanie. Dziękuję za piękne kwiaty, *Liebchen*. Chodź i daj buzi swojej Lisi. - Zrobił to. Obejrzała go od stóp do głów. - Jest przejmujące zimno na zewnątrz. Nie będzie ci ciepło w tym płaszczu, kochanie. Straszna pogoda. - Czyżby rozpoznała po ubraniu Wenera, że udawał się na Wschód? - Powinieneś włożyć jesionkę.

Była dużą kobietą i staromodna czarna jedwabna sukienka z koronkowym wykończeniem z przodu bynajmniej nie kryła jej rozmiarów. Włosy miała polakierowane, a niegdysiejsza ładna buzia była starannie, acz nadto upacykowana i na dokładkę zbyt dużo tuszu nałożyła na rzęsy. Za kulisami w teatrze jej wygląd pozostałby nie zauważony, ale w zimnym ostrym świetle o dwunastej w południe była raczej groteskowym stworzeniem.

- Siadaj i napij się kawy - rozkazała królewskim gestem dłoni. Werner spojrział na zegarek, lecz usiadł, jak mu kazano. Lisi Hennig chroniła jego żydowskich rodziców, a gdy został osierocony wychowywała go jak syna. Choć nie objawiali oznak głębokiej afektacji, to jednak była między nimi nierozzerwalna więź. Lisi rozkazywała; Werner był posłuszny.

- Kawa, Klara - zawołała. - *Zweimal!*

Odpowiedź z głębi odległej części kuchni oznaczała, że jej „dziewczyna”, Klara - jedynie niewiele młodsza od Lisi - przyjęła imperatorskie zamówienie. Lisi zjadła swój zwykły lunch: maleńki kawałek sera, dwa wafle z grubo mielonej mąki,

jabłko i szklanka mleka. W jadalni oprócz niej nie było nikogo. Jadalnia mieściła około tuzina stolików, na każdym sztuce i kielichy do wina, i róża z plastiku, lecz tylko na jednym stoliku leżały lniane serwetki, i to był prawdopodobnie jedyny stół do obsługi w czasie lunchu. Niezbyt wielu gości Lisi jadło u niej lunch; niektórzy z nich byli na wpół stałymi mieszkańcami, przez cały dzień w pracy, a reszta to jacyś trudniący się handlem, których nie było stać na żywienie się u Lisi lub gdziekolwiek.

- Czy przyniosłeś mi to, o co cię prosiłam? - Lisi spytała Wenera.

- Zapomniałem, Lisi. Bardzo przepraszam. - Werner był wielce zakłopotany.

- Masz mnóstwo ważniejszych rzeczy do zrobienia - rzekła Lisi z uśmiechem cierpiętnictwa obliczonym na to, że ów nóż w ranie biedaczyska Wenera jeszcze raz się przekręci.

- Zaraz to przyniosę - powiedział Werner wstając.

- A co to jest? - zapytałem. - Zaraz to kupię, Lisi. Werner ma ważne spotkanie. Idę do stacji ZOO. Co mam ci przynieść?

Tak naprawdę, to wiedziałem, o co chodzi: ołówek do brwi. Wszelkie inne elementy jej makijażu nie wytrzymały porównania z przesadzonym rysunkiem brwi. Odkąd artretyzm utrudnił jej robienie zakupów, Wenerowi powierzono kupowanie kosmetyków w domu handlowym KaDeWe. Lecz był to sekret, sekret, do którego nawet ja nie byłem oficjalnie dopuszczony; wiedziałem tylko dlatego, że Werner mi powiedział.

- Werner to załatwi. To nic ważnego - powiedziała Lisi. Klara przyniosła tacę z dzbankiem kawy oraz najładniejszymi

filiżankami i spodeczkami, te ze słonecznikami, i trochę *Kipfel* na srebrnym półmisku. Klara wiedziała, że małe ciasteczka-półksiężycy Werner uwielbiał.

Jakiś mężczyzna w eleganckiej brązowej skórzanej kurtce i szarych spodniach wszedł do jadalni i położył swoją naramienną torbę na krześle. To było właśnie tam, gdzie leżały te lniane serwetki. Uśmiechnął się do Lisi i wyszedł bez słowa.

- Zachodniaczki - wyjaśniła Lisi, używając berlińskiego słowa określającego turystów z Niemiec Zachodnich. - Jadają tu codziennie lunch.

- Rodzina z dorosłymi synami; widziałem ich w hallu - powiedział Werner.

Nawet nie słysząc akcentu, berlińczycy byli zawsze w stanie odróżnić takich przybyszów, a jednocześnie trudno było powiedzieć, co ich właściwie różniło od berlińczyków. Twarze były mniej więcej te same, ubrania zazwyczaj także, lecz było coś w ich obejściu, co różniło ich od „wyspiarzy”, jak zwykli mówić o sobie zachodni

berlińczycy.

- Nienawidzą nas - odezwała się Lisi, która zawsze była skłonna do przesady.

- Zachodniaczkę nas nienawidzą? Nie wygłupiaj się - rzekł Werner.

Popatrzył znowu na zegarek i wypił trochę kawy.

- Nienawidzą nas. Winią nas za wszystko, co najgorsze.

- Winią was za tak wysokie podatki - powiedziałem. - Wielu zachodnich Niemców ma pretensje, że muszą płacić, aby Berlin się utrzymał. Ale na całym świecie duże miasta muszą być opłacane z centralnego funduszu.

- Więcej jest spraw - powiedziała Lisi. - Nawet słowo „Berlin” jest nie lubiane i unikane w Bundesrepublik. Jeśli chcą mieć nazwę mydła, jakiegoś zapachu, bądź radia lub monitora, to nazwą te rzeczy „Nowy Jork” albo „Rio”, albo „Paris”, ale za żadne skarby podłym słowem „Berlin”, słowem, którego nikt nie chce.

- To nie tak, że nienawidzą nas - powiedział Werner. - Ale mają nam za złe wszystko, co wynika z zimnej wojny. Niezależnie od tego, czy Bonn, czy Moskwa decyduje, zawsze Berlin obrywa.

Werner był na tyle dyplomatyczny, żeby trzymać stronę Lisi.

- Jeśli o mnie chodzi, to nie wiem - powiedziałem. - Bonn dostaje więcej niż powinno szturchać w bok i płaci więcej, niż należy mu się z udziału.

- Czyżby? - rzekła Lisi.

Nie wydawała się przekonana. Nie znosiła płacić podatków.

- To bardzo wygodne dla DDR, że gdy ktoś chce wygodnych pieniędzy, to są tylko jedni Niemcy. Reparacje dla Izraela nie były wypłacane przez obie części Niemiec - płaciła tylko strona zachodnia. Po wojnie długi wywołane działalnością hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy nie były dzielone - jedynie zachodnia połowa pokrywała je. A teraz, kiedy DDR oferuje zwolnienie więźniów politycznych w zamian za twardą walutę, to zachodnia połowa płaci połowie wschodniej żądany okup. Lecz gdy ktokolwiek na świecie chce wyrazić się z uprzedzeniem o Niemcach, to nie mówi, jak nienawidzi Niemców ze Wschodu - którzy i tak cierpią swoje - wszelkie antyniemieckie odczucia kieruje przeciw tym przepracowanym zachodniaczkom, którzy płacą podatki i mają utrzymać tych przepłacanych, niekompetentnych biurokratów ze Wspólnego Rynku i finansują ich ciągle rosnące nadwyżki tak, aby mogli sprzedawać Rosji więcej wina i masła po zaniżonych cenach.

- Bernard stał się zachodniaczkiem - powiedziała Lisi.

To był dowcip, ale humoru było w nim niewiele. Werner schrupał ostatni *Kipfel*, wstał i powiedział jej do widzenia. Lisi nie reagowała na nasze spory i całusy. Nie lubiła zachodniaczków, nawet jeśli jedli u niej lunch codziennie.

Poszedłem z Wernerem wzdłuż Kantstrasse do stacji ZOO. Przestało padać, ale z drzew okapywało na smutno. Deszcz ciągle wisiał w powietrzu. Na stacji był ruch jak zwykle. Przy wejściu grupa japońskich turystów fotografowała się wzajemnie; jakaś kobieta i mężczyzna - oboje w futrach do kostek - kupowali pocztówki; chłopak z dziewczyną ze sztywno ufarbowanymi włosami i w połyskujących skórzanych spodniach nucił bez frazy do gitary; francuscy żołnierze, obciążeni sprzętem, wspinali się na ciężarówkę; dwie dziewczyny o wyglądzie członkiń bohemy sprzedawały obrazki z koralików; staruszek z końskim ogonem na głowie zbierał na pomoc dla zwierząt; brodaty mężczyzna spał w przejściu, bogato ubrana mamusia trzymała na dystans dziecko wymiotujące do ścieku, a dwóch młodych policjantów zdawało się niczego nie widzieć. To była zwykła mieszanka ze stacji ZOO. Środek Starego Świata. Tu stawały pociągi jadące do Berlina i tu również stawały pociągi jadące bezpośrednio z Paryża do Warszawy i Moskwy.

Wszedłem z Wernerem i kupiłem peronówkę, by móc mu towarzyszyć. S-Bahn jest szybką koleją miejską, którą najłatwiej przejechać ze środka Berlina Zachodniego (stacja ZOO) do serca Berlina Wschodniego (Friedrichstrasse). Na peronie było chłodno, pociągi przejeżdżały z hałasem wnosząc za każdym razem wilgotne powietrze i wzbijając chmurę papierów. Stacje są na kształt olbrzymich lotniczych hangarów, wspartych żeliwnymi podporami.

- Nie przejmuj się tym ołówkiem do brwi dla Lisi - powiedziałem Wernerowi.

- Kupię, jak będę wracał.

- A czy wiesz, jakiego chce koloru?

- Oczywiście, że wiem. Ty zawsze zapominasz jej kupić.

- Mam nadzieję, że mylisz się co do Stinnesa - rzekł Werner.

- Zapomnij o tym wszystkim - powiedziałem. - Jedź tam, odbierz podpisane papiery i wracaj. Zapomnij o mnie i o Wydziale. Zapomnij o wszystkim, dopóki nie wrócisz.

- Może przenocuję - powiedział Werner. - Jest ktoś, z kim muszę się zobaczyć rano, i są długie kolejki przy kontroli paszportów.

Pociąg do Friedrichstrasse przyjechał, ale Werner nie wsiadł. Miałem



przecucie, że nie chciał tam jechać. Werner zwykle tak nie postępował; mógł trochę denerwować się, ale nigdy nie wzbraniał się z wyjazdem. Czasami czułem, że odpowiadały mu te wyjazdy. Rozstawał się z Zeną i mieszkał po kawalersku w wygodnym mieszkaniu, które urządził nad garażem. Teraz trochę ociągał się. Była to idealna szansa dla mnie, aby powiedzieć mu, jak Fiona przyjechała do Holandii i jak rozmawiała z Tessą o dzieciach. Ale nie powiedziałem mu.

- Gdzie będziesz jadł wieczorem? - spytałem, jak to zwykle w rozmowach mających miejsce na dworcach i lotniskach.

- Znam parę osób w dzielnicy Panków - powiedział Werner. - Zaprośili mnie.

- Czy ich znam? - spytałem.

- Nie - rzekł Werner. - Nie znasz ich.

- No to o której jutro?

- Nie kłopotz się, Bernie. Czasami jesteś gorszy niż Lisi. Przyjechał następny pociąg.

- Trzymaj się - powiedziałem, gdy wsiadał.

- Wszystko jest, jak trzeba, Bernie.

- Ale oni nie muszą o tym wiedzieć.

Werner wyszczerzył zęby, drzwi się zamknęły i pociąg ruszył. Zrobiło się bardzo, bardzo zimno na peronie, ale może mi się tak tylko wydawało.

## **Rozdział XXV**

O północy frontowe drzwi hotelu Lisi Hennig zamknięte były na klucz. Odkąd pamiętam, zawsze tak było. Każdy gość hotelowy wracający incydentalnie po tej godzinie dostawał go na życzenie. Każdy gość wracający po tej godzinie dość często, proszony był o znalezienie sobie innego hotelu.

Goście, którzy przychodzili po północy i nie mieli klucza, musieli uruchamiać stary dzwonek. Na zewnątrz nie było go słyhać i czasami bardzo hałasowali, zanim weszli do środka. Nie słyszałem go w moim małym pokoiku na samej górze na poddaszu. Inaczej Lisi, która spała na dole. Sypiała tam od czasu, kiedy rzeczywiście zrobiło się źle z jej artretyzmem. Nigdy nie chodziła otwierać drzwi; naturalnie, ten mały krok po schodach z saloniku do wejściowego hallu, nie należał do jej obowiązków. Jeśli dzwonek zadzwonił, otwierał ktoś z personelu. Robili to na zmianę. Zazwyczaj była to Klara, ale tego wieczoru kiedy Werner udał się na Wschód, był to Richard, młodawy gość z Bremy, który pracował w kuchni. Klara

oczywiście była na miejscu tej nocy - spała i obudziła się na dzwonek jak zawsze. Ale kiedy Klara miała wolne, to miała wolne, po prostu przekręcała się na bok i miała to w nosie.

Tak więc Richard otworzył drzwi, gdy dzwonek zadzwieczał o wpół do trzeciej nad ranem. Było nadal ciemno i padało, więc Richard zabrał ze sobą drewnianą pałkę używaną do bicia kawałków cieleciny na sznycle wiedeńskie. Jak potem powiedział, wiedział, że jeszcze paru gości brakuje i chciał mieć coś do obrony.

Więc był to Richard, który wyrwał mnie z głębokiego snu, w którym stary pan Storch zmuszał mnie do recytacji poematu o Hitlerze. Był to głupi sen, w którym nie znałem poematów o Hitlerze z wyjątkiem pewnego brzydkiego, którego bałem się powiedzieć panu Storchowi.- Pewien dżentelmen do pana, sir - powiedział Richard, potrząsając mnie za ramię i powodując ucieczkę moich kolegów z klasy i pana Storcha. - Jakiś dżentelmen chce się z panem widzieć. - Powiedział to po angielsku.

Przypuszczam, że przejął to od jakiegoś filmowego lokaja, bo miał precyzyjnie poprawny akcent i modulację głosu, podczas gdy reszta jego angielszczyzny była zatrważająca.

- Kto? - zapytałem.

Włączyłem lampkę przy łóżku. Jej żółty plastikowy abażur tworzył wzory na ścianie, a światło nadawało Richardowi wygląd chorego na żółtaczkę, a zarazem okrutnika.

- To ja.

Nałożyłem okulary i spojrzałem w kierunku drzwi. Był to Bret Rensselaer. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Przez moment myślałem, że to część mego snu. Wstałem z łóżka i włożyłem szlafrok.

- Na Boga, Bret, co ty tu robisz w Berlinie? - powiedziałem. - W porządku - rzekłem do Richarda. - To mój znajomy.

Gdy Richard odszedł zamykając drzwi, Bret wyłonił się z ciemności. Trudno było go rozpoznać. To nie był ten Bret, którego znałem. Jego ciemna jesionka przesiąknięta była deszczem do tego stopnia, że ze skapujących kropli tworzyły się małe kałuże na stareńkim dywanie. Miał zabłocone buty i brudną koszulę rozpiętą pod szyją. Nienaturalnie rozszerzone oczy były głęboko zapadłe w spopielalej twarzy i niczego tak nie potrzebował, jak ogolenia.

- Wyglądasz, jakby tylko kieliszek mógł cię uratować - powiedziałem.

Otworzyłem narożną szafkę, gdzie miałem butelkę wolnoctowego *Jo mnie Walkera* i parę szklaneczek. Nalałem mu dużą lufę whisky. Prawie wyrwał mi ją i wypił kilka łyków.

- Musiałem cię znaleźć, Bernard. Jesteś jedyny, który może mi pomóc.

Czy to naprawdę był Bret Rensselaer? Nigdy mi nie przyszło do głowy, że dożyję dnia, kiedy Bret będzie prosił kogokolwiek o pomoc, nie mówiąc już o tym, że poprosi mnie.

- Co się stało, Bret?

- Jesteś jedyną osobą, której jeszcze mogę wierzyć.

- Siadaj - powiedziałem. - Wyłaż z tego mokrego płaszcza i rozsiądź się. Zrobił to, co mu kazałem, poruszając się niezadarnym krokiem lunatyka.

- Do ciebie też się dobiorą - powiedział Bret.

- Zaczynij od początku, Bret - powiedziałem.

Ale był zbyt zmęczony, aby zrozumieć, co do niego mówię. Nie spojrzął na mnie, osunął się na krzesło i studiował swoje zabłocone buty.

- Aresztowali mnie. - Powiedział to tak cicho, że musiałem się blisko nachylić, aby go usłyszeć.

- Kto?

- Zespół z Piątki... wszystko było bardzo ucziwie. Mieli całą dokumentację... nawet kwitek od zastępcy z dwoma potwierdzonymi podpisami.

- Morgan podpisał?

- Tak, Morgan podpisał. Ale to nie tylko jego robota; mają całą teczkę na mnie.

Nalałem sobie whisky gromadząc myśli. Czy Bret wyznawał przede mną, że był wtyczką KGB? Czy przyszedł do mnie przekonany, że ja także byłem agentem KGB? I jak miałem to, do cholery, stwierdzić? Pociągnąłem mały łyk i poczułem ciepło whisky spływającej do przetyku. Nie rozjaśniło mi to umysłu, ale był to najlepszy sposób na przebudzenie się.

- No i co teraz? - powiedziałem z wahaniem. - Jak mogę ci pomóc?

- Wszystko zaczęło się od wyjazdu całego komitetu do Berwick House - powiedział Bret, jak gdyby nie słysząc mojego pytania. - Niektórzy chcieli być obecni przy przesłuchaniu. Wiele było sporów na temat tego, czy Stinnes naprawdę współpracuje, czy tylko bawi się z nami. Był tam Ladbrook. Ladbrook jest w porządku, wiesz o tym.

Przytaknąłem skinieniem głowy. Ladbroom był starszym śledczym. Trzymał się z dala od zagrywek biurowych, o ile tylko mógł.

- Skorzystaliśmy z jednego z dużych pokoiów na dole; nie było miejsca dla wszystkich w pokoju nagrań.

Bret wyciągnął rękę ze szklanką po następną porcję. Nalałem mu, tym razem mało. Nie wypił od razu. Mieszał, obracając szklaneczkę w rękach.

- Przesłuchanie dotyczyło kodów i łączności. Z początku nie przysłuchiwałem się temu zbyt uważnie; myślałem, że to ten sam materiał, którego wysłuchałem przedtem. Ale potem zdałem sobie sprawę, że Stinnes serwuje parę dobrych rzeczy. Piątka przysłała jednego ze swoich profesorków od łączności tylko na ten fragment, i ten zapalił się. Nie podskakiwał i nie śpiewał *Rule, Britannia!*, ale może tak by zrobił, gdyby było tam więcej miejsca - powiedział.

- Coś, czego nie słyszałeś przedtem?

- Naprawdę dobry materiał, Bernard. Stinnes rozpoczął od zaoferowania nam całej procedury szyfrowej w ambasadzie i profesorek z Piątki zadał kilka pytań, na które Stinnes odpowiedział z łatwością i jednoznacznie. To był zupełnie inny Stinnes, był łagodny i uroczy, grzeczny i pełen szacunku. Cholernie dobrze u nich wypadł. Jego kawały także. Nawet śmiali się, a Stinnes był bardziej rozluźniony niż kiedykolwiek przedtem. Potem jeden z ludzi z Piątki powiedział, że szkoda, iż nie dał nam tych materiałów kilka tygodni wcześniej, ponieważ lada moment może dojść do zmiany szyfrów, w świetle przejścia Stinnesa na naszą stronę. A Stinnes na to spokojnie odrzekł, że opowiedział mi o tym wszystkim w ciągu pierwszych moich z nim spotkań.

- A ty temu zaprzeczyłeś? Głos Breta zabrzmiał ostro.

- Nigdy nam nie przekazał tego solidnego materiału wywiadowczego. Nie przekazał mnie, nie przekazał Ladbroomowi i nie przekazał tobie.

- Więc jaka była twoja reakcja?

- Jestem przewodniczącym tej parszywej komisji. Co mam robić, przywołać się do porządku i wybrać podkomisję? Zostawiłem to swojemu biegowi. Co mogłem zrobić ponadto, jak tylko siedzieć i słuchać tego trucia?

- A oni to połknęli?

Pewna myśl uderzyła Breta Rensselaera.

- Nic ci z tych rzeczy nie opowiadał, prawda? Kody i łączność? Listy kontaktowe ambasady? Obcokrajowe trasy? Bezpieczeństwo pokoju szyfrów? Czy

mówił ci coś o tym? Na litość boską...

- Nie, nie mówił mi nic takiego - odparłem.

- Dzięki Bogu za to - potarł brwi. - Są chwile, kiedy zastanawiam się, czy nie dostaję kręcka...

- Aresztowali cię?

- Dopiero po dwóch dniach. Z tego, co usłyszałem później, wydaje mi się, że ludzie z Piątki zebrali się tamtej nocy na jakąś naradę. Byli przejęci, Bernard, i przekonani. Nigdy przedtem Stinnesa nie widzieli. Wiedzieli o nim tylko tyle, że był to gładki, dynamiczny facet, wychodzący z siebie, aby przekazać nam sowieckie tajemnice. I co mogli innego wymyślić oprócz tej jednej rzeczy: że ja go wyhamowywałem?

- A Ladbroom?

- To dobry człowiek, Bernard. Poza tobą, Ladbroom jest jedyną osobą, która widzi, co się dzieje. Ale to nie robi różnicy. Ladbroom powie im prawdę, ale mnie to nie pomoże.

- A co on powie?

Bret spojrzał zaalarmowany i zaniepokojony. Teraz ja stałem się przesłuchującym, ale nic nie mogłem na to poradzić; byłem jego ostatnią nadzieją.

- Powie, że Stinnes przekazał nam jedynie materiały operacyjne.

- Dobre materiały operacyjne - powiedziałem.

Nie było to stwierdzenie, nie było to pytanie, było jednym i drugim po trochu.

- Cudowny materiał operacyjny - powiedział Bret sarkastycznie. - Ale ilekroć z niego korzystaliśmy, wszystko się psuło bez uzasadnienia.

- Powiedzą, że to twoja wina - odparłem.

I do pewnego stopnia był to jego błąd: Bret chciał wszystkim pokazać, jaki to doskonały agent operacyjny mógłby z niego być, i nie udało mu się.

- Oczywiście, że tak. Na tym polega genialność tego podejścia. Po prostu nie ma sposobu na udowodnienie, czy to myśmy zrobili coś złe, czy też materiał był tak opracowany, aby zawiódł od pierwszego ruchu.

- Stinnes to wtyczka. Samotnik. Jego instruktaż musiał być długi i złożony.

Dlatego też tak to się ciągnęło, zanim wykonał ruch. Dlatego wrócił do Berlina przed ponownym wyjazdem do Meksyku - powiedziałem.

- Dziękuję, kolego - rzekł Bret. - Gdzie byłeś, kiedyśmy cię potrzebowali?

- Teraz to łatwo dostrzec - przyznałem. - Ale wtedy wyglądało to okay. I

niektóre materiały były dobre.

- To wczesne aresztowania w Hanowerze, skrzynki kontaktowe, szczeniak w naszym biurze w Hamburgu. Tak, to było dobre, ale nic takiego, czego nie mogliby sobie oszczędzić.

- Jak cię aresztowali?

- Piątka wysłała dwóch ludzi z K 7, którzy przeszukali mój dom. To był wtorek... nie, może poniedziałek... Straciłem już rachubę czasu.

- Nic nie znaleźli?

- A jak myślisz, co znaleźli? - powiedział Bret ze złością. - Radiostację nadawczą, atrament sympatyczny i szyfry jednorazowego użytku?

- Chcę po prostu ustalić porządek faktów - wyjaśniłem.

- To jest podpucha - rzekł Bret. - Sądziłem, że będziesz tą jedyną osobą, która to dostrzeże.

- Widzę to. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy podrzuciono ci coś do domu. - Szlag by trafił! - powiedział Bret. Zbladł. - Teraz sobie przypominam!

- Co?

- Z antresoli zabrali walizkę.

- Co w niej było?

- Papiery.

- Jakie papiery?

- Nie wiem; maszynopisy, całe rzyzy tego. Zabrali to do zbadania. Na antresoli było kilka walizek. Myślałem, że wszystkie są puste.

- A teraz jedna jest pełna papierów. Czy miałeś ostatnio jakichś gości w domu?

- Nie, nikogo. Całymi tygodniami.

- Żadnych ludzi od napraw czy też od drutów telefonicznych?

- Był jeden człowiek do naprawy telefonu, ale to było w porządku. Nasi inżynierowie przyszli na drugi dzień sprawdzić cały dom.

- Sprawdzić dom co do pluskiew i drucików, nie sprawdzić co do walizki pełnej papierów.

Zagryzł wargę.

- Byłem głupi.

- Wygląda na to, że tak, Bret. Najpierw uszkodzili telefon, a potem pojawili się pod domem.

- Tak jest, pojawili się, kiedy miałem problem z telefonem; powiedzieli, że byli na ulicy, pracując na liniach. Była sobota. Powiedziałem, że nie zdawałem sobie sprawy, że pracują w soboty.

- KGB ma długi tydzień pracy, Bret.

- On nie może tego podtrzymać - powiedział Bret, mając nadzieję, że zgodzę się z nim. Mówił o Stinnesie. Nie odpowiedziałem. - To brawurowy spektakl i komisja je mu teraz z ręki. Ale nie będzie w stanie tego podtrzymać.

- Kiedy cię aresztowali?

- Najpierw starszy stopniem oficer K 7 przyszedł do mnie do domu.

Powiedział, że mam nie opuszczać domu.

- Twojego domu?

- Nie wolno mi było chodzić do biura. Nawet nie wolno mi było chodzić do sklepów we wsi.

- A co ty na to?

- Nie wierzyłem własnym uszom. Powiedziałem, żeby został w pokoju, gdy będę dzwonił do biura. Próbowałem dzwonić do D-G, ale Sir Henry właśnie był w pociągu jadącym do Manchesteru.

- Sprytny Sir Henry - powiedziałem.

- Nie, to wyglądało dość autentycznie. Jego sekretarka usiłowała dotrzeć do niego z wiadomościami.

- Zwariowałeś, Bret? Piątka wysłała drużynę od rewizji i aresztowań z K 7, aby przechwyciła starszego stopniem oficera, a tu się tak właśnie składa, że D-G ma inne spotkanie, którego nie może opuścić, i nawet nie zostawia kontaktu telefonicznego? Chcesz mi wmówić, że D-G nie wiedział o całej sprawie?

Bret spojrzał na mnie. Nie chciał wierzyć, że mogli mu to zrobić. Albo że chcieli. Bret nie urodził się tak po prostu w Anglii jak cała nasza reszta - Bret był anglofilem. Kochał każde ździebełko jasnozielonej trawy, po której mógł być stąpać Szekspir.

- Przypuszczam, że masz rację - rzekł w końcu.

- I wtedy prysnąłeś?

- Zostawiłem wiadomość, że muszę pilnie porozmawiać z D-G, i podałem swój numer telefonu. Powiedziałem, że będę czekał pod telefonem.

- I wtedy wystartowałeś. Dobra robota, Bret - powiedziałem z autentycznym podziwem. - Tak właśnie ja bym zrobił. Ale oni będą cię mieli na liście pasażerów,

nawet jeśli nie zostałeś zidentyfikowany przez służbę graniczną.

- Mam przyjaciela, który ma awionetkę - rzekł Bret.

Tego nie musiał mi mówić; poczułem, że gotów był uzupełnić szczegóły.

- Czy zostawili kogoś przed twoim domem? - Bret wzruszył ramionami. - Czy sądzisz, że jechali za tobą?

- Zmieniałem samochody.

- A wypatrywacze nie ruszają za niczym, co mogłoby podążać za cenną, więc zostają i usiłują prześledzić lądowanie samolotu.

- Poleciałem do Hamburga, a potem przyjechałem samochodem. Na szczęście dziewczyna za kontuarem niezbyt skrupulatnie czytała prawo jazdy, bo wynająłem wóz pod fałszywym nazwiskiem.

- Wszystkiego nie pokonasz, Bret. Zapomniałeś o komputerze przy wjeździe na *autobahn*. Za jego pomocą wyłapują nawet tych, co popełniają wykroczenia drogowe.

- Jestem niewinny, Bernard.

- Wiem, że jesteś niewinny, Bret. Ale trudno będzie to udowodnić. Czy ktoś coś mówił o memorandum Gabinetu!

- Memorandum Gabinetu?

- Usiłują przyskrzynić cię na dobre, Bret. Jest takie memorandum; miałeś dostęp do numerowanego egzemplarza. Było w Moskwie i wróciło.

- Poważnie?

- Od tego czasu wielu ludzi o tym poinformowano.

- Kogo?

- Kopię pozwolono mi obejrzeć, a także Dicky'owi Cruyerowi. Założę się, że byli jeszcze inni. Wniosek z tego taki, że pełny raport też poszedł do Moskwy.

- Powinienem być o tym poinformowany.

- Zmagasz się nie tylko ze Stinnesem - powiedziałem. - Masz przeciw sobie całe moskiewskie Centrum, a oni poświęcili temu dużo czasu.

Wypił malutki łyk whisky, jak gdyby już dłużej sobie nie dowierzał. Nie pytał o co chodzi, ani nic w tym rodzaju. Miał dużo czasu, żeby przemyśleć o co tu chodzi. Do tej pory musiał zdać sobie sprawę, że szanse na wygrzebanie się z tego i powrót do roli Mister Czysty były bardzo mizerne. Wokół niego rozszalał się sztorm. Bret po raz trzeci szedł na dno i wszystko wskazywało, że pociągnie mnie za sobą.

- No to co mam zrobić, Bernard?



- Przypuśćmy, że powiem: „Poddaj im się”.

- Tego bym nie zrobił.

- Przypuśćmy, że ja cię wydam.

- Tego byś nie zrobił - powiedział Bret.

Odwrócił wzrok ode mnie, jakby spotkanie naszych oczu zwiększało szanse na potwierdzenie tego, co powiedziałem.

- Skąd ta pewność? - spytałem.

- Bo ty jesteś egomaniak. Jesteś cyniczny i niereformowalny. Jesteś jedynym sukinsynem w całym Departamencie, który gotów byłby wystąpić przeciw nim w pojedynkę.

Niekoniecznie to chciałem usłyszeć, ale było w tym dość szczerości, i to wystarczy.

- Nie mamy wiele czasu. Znajdą twój trop aż do tego pokoju. Przyjazd do Berlina bez pozostawienia śladu jest prawie niemożliwy, chyba że przyjeżdżasz ze Wschodu, to wtedy nic nie ma w kartotekach.

- Nigdy o tym nie myślałem w taki sposób - powiedział Bret. - To wariactwo, prawda?

- Tak, to prawda, ale nie mamy czasu na pisanie o tym do *Ripleya*. Na nic nie mamy czasu. Powiedziałbym, że Firmie zejdzie ze dwa do trzech dni, nim cię wytropi aż do Berlina i może do mnie tutaj, w tym hotelu.

- Czy mówisz o tym samym, o czym ja myślę, że mówisz?

- Tak. Będziemy musieli porozmawiać z Frankiem. Jedyne wyjście dla ciebie, to wyjechać z tego miasta jak najszybciej. Dlaczego

tu przyjechałeś, Bret?

- Zdecydowałem, że jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc.

- Będziesz musiał lepiej się postarać, Bret - powiedziałem.

- Mam pieniądze - odrzekł. Ciągle patrzyłem na niego. - I pistolet.

- Uczciwość to najlepsze podejście, Bret - powiedziałem.

- Wiedziałaś, prawda?

- O pieniądzach, nie. Ale kiedy starszy oficer robi coś niezwykłego w Berlinie, to lubię wiedzieć i są ludzie, którzy wiedzą, że lubię wiedzieć.

- Kto ci, do cholery, powiedział o tej spluwie?

- Zakup pistoletu to nie taki zwykły zakup, Bret - odparłem. - Zwłaszcza dla człowieka, który może podpisać odbiór w rejestrze i dostać go jawnie od Franka

Harringtona.

- Więc Frank także wie«?

- Ja mu nie powiedziałem.

- Czy Frank mnie wyda?

- Nie można go zbyt kusić. Powiedzmy, że pójde ci na rękę i porozmawiam z nim, gdy znikniesz.

- Będę wielce zobowiązany.

- Frank może stawiać czoło Wydziałowi całymi tygodniami, a jeśli Piątka wyśle tu kogoś, to Frank ma taki tutaj autorytet, że odmówią wpuszczenia go w porcie lotniczym. Jeśli pozyskamy Franka dla naszej sprawy...

- ... to zacznie wszystko wyglądać dobrze - rzekł Bret z uznaniem.

- Nie tyle dobrze, Bret, co mniej rozpaczliwie.

- Więc spotkasz się z Frankiem rano?

- Pójde do niego teraz. Nie mamy czasu na takie luksusy jak noc i dzień. I w nocy nie będzie tam jego personelu. Jeśli spotkamy go na jego własnym terenie i on powie: „Nie ma mowy”, to możemy go przekonać do tego, żeby zapomniał o jakimkolwiek spotkaniu z nami. Ale gdy jego sekretarka odnotuje to w jego kalendarzu umówionych spotkań, to trudniej będzie się z tego wykręcić.

- Będzie spał.

Bret niewątpliwie myślał, że pomniejszamy szanse powodzenia, jeśli przebudzimy Franka z głębokiego, pozbawionego marzeń, snu.

- Frank nigdy nie śpi.

- Będzie z dziewczyną? O to ci chodzi?

- Ciepło, ciepło, coraz cieplej.

## **Rozdział XXVI**

Frank Harrington, berliński Rezydent i szef Berlińskiej Jednostki Operacyjnej, nie spał. Siedział na podłodze dużego salonu w swoim wspaniałym domu przy Griinewald otoczony płytami gramofonowymi. Z każdej jego strony piętrzyły się płyty Duke'a Ellingtona, a z jego hi-fi płynęła muzyka. *Frenesi* - bogata orkiestrowa aranżacja, na tle której piosenkarka śpiewała... *A long time ago I wandered down in to old Mexico...* Czy też było to coś zupełnie innego? Czy było tak, że nadal czułem się podle, ponieważ wymyśliłem, że wciągnięcie Stinnesa na naszą listę miało miejsce w Meksyku raczej niż w Berlinie, gdzie Frank dostałby swoją działkę zasług?

Niezależnie od muzyki, nadal czułem się winny pozbawienia Franka tego wyróżnienia i skrępowany moimi prośbami o pomoc w sprawach wynikających z tego właśnie faktu...*Stars were shining bright and I could hear romantic voices in the night...*

Wprowadził mnie lokaj Franka, nieprzenikniony Tarrant. Miał na sobie szlafrok, a włosy nieco w nieładzie, ale nie okazał, że dziwi go wizyta o tak wczesnej porze. Przypuszczam, że częste miłostki Franka zapewniły Tarrantowi dość niespodzianek na całe życie.

- Bernard - rzekł Frank bez śladu zaskoczenia, jakbym bywał u niego często o tej porannej godzinie. - Napijesz się?

W rękę trzymał płytę. Tak jak wszystkie inne płyty tkwiła ona w dziewiczo białej okładce z numerem zapisanym w rogu. Chwilę wahał się, zanim odłożył ją na jeden ze stosów, a potem popatrzył na mnie.

- Whisky z wodą?

- Tak, proszę. Mam sobie sam nalać?

Na wózku barowym była wysoka kryształowa szklanka z paroma kawałkami lodu, jeszcze nie rozpuszczonymi, i śladami jasnej szminki na krawędzi. Podniosłem ją i powąchałem.

- *Campari* i sok pomarańczowy - powiedział Frank obserwując mnie. - Nadal bawisz się w detektywa, Bernard?

Był tu inny gość, niewątpliwie kobieta, ale Frank nie podał jej imienia.

- Siła przyzwyczajenia - rzekłem.

*Campari* i sok pomarańczowy był jednym z ulubionych koktajli Zeny Volkmann.

- To musi być pilna sprawa.

Nie podniósł się ze swojego miejsca pośrodku dywanu. Sięgnął po fajkę, kapciuch i dużą popielniczkę już do połowy wypełnioną popiołem i resztkami tytoniu.

- Tak - powiedziałem. - Dobrze, że pozwoliłeś mi przyjść natychmiast.

- Nie dałeś mi wielkich szans na odmowę - powiedział ponurawo.

Odesłał ją z mojego powodu, czy też czekała na niego na gorze w sypialni? Czy była to Zena Volkmann, czy inna dziewczyna, którą spotkał na jakimś szalonym party, tak jak bywało z wieloma kobietami w jego życiu.

- Komisja Stinnesa zwariowała - powiedziałem.

- Nie siadaj tam! - Był to krzyk, prawie okrzyk bólu. - To moje

najwcześniejsze. Chyba umarłbym, gdyby choć jedna z nich została uszkodzona.

- To jest ta twoja kolekcja Ellingtona, tak? - spytałem spoglądając na leżące wszędzie płyty.

- Jedyna okazja, jaką mam, to w nocy. Wysyłam je do Anglii. Muszą mi je wycenić dla ubezpieczenia. Dla tych rzadkich nie tak łatwo ustalić cenę.

Grzecznie odczekałem, a potem odezwałem się ponownie:

- Komisja Stinnesa oszalała, Frank.

- Zdarza się - powiedział.

Siedział nadał jak wtedy, gdy wszedłem do pokoju. Nabił fajkę, napełniając główkę tytoniem i upychając go palcami. Robił to bardzo uważnie, jak gdyby chcąc mi pokazać, że była to trudna sztuka.

- Wydaje się, że Stinnes przekonał ich, iż Bret Rensselaer jest wtyczką KGB. Nakazali mu areszt domowy.

- No i co chcesz, żebym zrobił? - zapytał Frank.

Nie zapalał fajki. Oparł ją o popielniczkę, czytając naklejkę na kolejnej płycie, zapisał szczegóły w kołonotatniku i położył płytę na odpowiedniej stercie.

- Czy wiedziałeś, że tak będzie? - Nie, ale powinienem był się domyślić, że na coś takiego zanosi się. Byłem przeciwny tej cholernej komisji od samego początku. - Wypił łyk. - Powinniśmy byli odstawić Stinnesa do Piątki i na tym zakończyć. Te łączone komisje zawsze kończą się walką o władzę. Nie widziałem takiej, w której nie byłoby tak, jak mówię.

- Stinnes wbija klin głęboko, Frank.

Nie przypomniałem mu, że nie wypowiedział się przeciw komisji, gdy widziałem go w towarzystwie D-G. Frank podniósł fajkę rozmyślając.

- Areszt domowy? Bret? Jesteś zupełnie pewny? Mówiono o dochodzeniu, ale areszt...?

Zapalił fajkę zapalką, trzymając główkę odwrotnie, tak aby płomień mógł przeniknąć w głąb ściśle upchanego tytoniu.

- Polowanie na czarownice rozpoczęło się, Frank. Mogłoby to wywołać głęboki uraz do Wydziału. Bret ma wielu przyjaciół, ale ma również zawziętych wrogów.

- Lange?

Czy to był przytyk do mnie? Pociągnął fajkę patrząc na mnie, ale bez uśmiechu.

- Ktoś bardziej wpływowy niż Lange - odparłem. - A nawet gorsze jest to, że ludzie - nawet wyżsi funkcjonariusze - próbują znaleźć dowody na potwierdzenie winy Breta.

- Czyżby? - Nie wierzył w to.

- Dicky wygrzebał jakąś nie dopieczoną historyjkę o swoim pobycie z Bretem w Kilonii, podczas którego jakiś człowiek KGB rozpoznał go.

- I to nie była prawda?

- To była całkowita prawda. Lecz gdyby Dicky zadał sobie trud, aby odszukać raport Breta na temat tego wydarzenia, to przekonałby się, że Bret wyjaśnił wszystko dostatecznie i całkowicie. Ludzie robią się nerwowi, Frank, a to wydobywa z nich wszystko, co najgorsze.

- Ludzie są nerwowi od czasu, jak twoja żona zmieniła strony. To ogrom tej zdrady wstrząsnął Wydziałem aż do podstaw.

- Za pozwoleniem...

- Nie denerwuj się, Bernard. - Podniósł rękę i pochylił głowę, jakby chciał ustrzec się ciosu. Frankowi sprawiało przyjemność odgrywanie roli słabowitego starca wobec mojej roli wojowniczego syna. - Nie zwałam winy na ciebie, lecz stwierdzam fakt.

- Bret jest tutaj. On jest tu, w Berlinie - rzekłem. - I jest w złym stanie.

- Właśnie tak myślałem - odparł Frank. Pyknął z fajki. Stracił zainteresowanie sortowaniem swojej kolekcji płyt. Nawet gdy muzyka Ellingtona ucichła, nie położył na talerzu następnej płyty. - Nie mam na myśli złego stanu, ale domyśliłem się, że może być w Berlinie.

- Jak?

Jeśli Frank oficjalnie wiedział o przybyciu Breta, to raport musiałby iść normalnymi kanałami i byłby w Londynie w południe następnego dnia.

- Dla jakiego innego powodu przychodziłbyś tu w środku nocy? Z pewnością nie w odpowiedzi na telefon od Breta z Londynu. Bret musi być tutaj, nie ma innego wyjaśnienia.

- On sądzi, że postawią na nogi cały Wydział w jego sprawie.

- Na pewno do tego jeszcze nie doszło - zapewnił Frank spokojnie.

- Sądzę, że tak mogło się stać, Frank. Starego nie można było uświadczyc, gdy Breta osadzili w areszcie domowym.

- A sądzisz, że to zły omen?

- Znasz D-G lepiej niż ktokolwiek, Frank.

Pociągnął fajkę i nic nie powiedział na temat swojej możliwej wiedzy o sposobach, w jakie D-G schodzi do podziemia, gdy mają aresztować jego wyższych funkcjonariuszy. Wreszcie odezwał się:

- Co mógłbym zrobić dla Breta? Przypuśćmy, że chciałbym coś dla niego zrobić.

- Musimy zneutralizować Stinnesa. Bez niego cała akcja przeciwko Bretowi załamie się.

- Zneutralizować go? Co masz na myśli?

- Uważaliśmy Stinnesa za ostatniego agenta zapędzonego w ślepią uliczkę swego zadania. Wszystkie nasze zapiski i dociekania wskazują na to. Ale sądzę, że całość była jego doskonałą przykrywką. Sądzę, że Stinnes jest jednym z ich najbardziej niezawodnych ludzi. Mogli go szykować do tej roboty od bardzo dawna.

- Lub być może przybycie tam twojej żony dało im konieczne ekstra informacje umożliwiające mu wykonanie roboty.

- Byłoby nierozsądne zaprzeczać takiej możliwości - odrzekłem bez złości. - Synchronizacja w czasie wskazuje na Fionę. Ona mogła grać rolę wentyla, ale tło całej sprawy musiało mieć wcześniejsze początki.

- Zneutralizować go?

- Jak to zrobimy, nie ma naprawdę wielkiego znaczenia, ale musimy przekonać Moskwę, że Stinnes nie jest już ich człowiekiem i nie jest tam, gdzie powinien być.

- Chyba nie myślisz o wyekspediowaniu go na tamten świat? Bo na to chyba nie pójdę.- Nie chcę, żeby go zabito. Najlepszym rozwiązaniem byłoby przekonanie Moskwy, że Stinnes rzeczywiście zmienił skórę i pracuje dla nas.

- To może trochę potrwać - rzekł Frank.

- Dokładnie tak. Więc zrezygnujmy z tego. Powiedzmy im, że wiemy o Stinnesie, że trzymamy go pod kluczem i dajemy mu wycisk.

- Jaki wycisk?

- Cholerny wycisk.

- A oni się tym przejmą?

- A jak my byśmy się czuli, gdyby to był jeden z naszych?

- Gdyby dawali mu mocno w kość, to zrobilibyśmy wszystko, aby go wydostać.

- I to właśnie będą chcieli zrobić - powiedziałem. - Wszystko wskazuje na to, że Stinnes jest chorym człowiekiem. Przesiaduje, jakby miał jakieś bóle, opiera się wszelkim próbom poddania go badaniu lekarskiemu i przestał palić. Naturalnie to wszystko może być grą.

- Czego więc oczekujesz ode mnie?

- Jest coś, o czym powinienesz wiedzieć, Frank - rzuciłem. - Millerowa żyje, ma się dobrze i pracuje po drugiej stronie miasta w Czerwonym Ratuszu.

- Jesteś pewny?

- Werner z nią rozmawiał.

- Powinien był napisać o tym raport.

- Wrócił, żeby przyjrzeć się jeszcze raz.

- Więc to tak było - powiedział Frank do siebie.

- Co?

- Lepiej, żebyś o tym wiedział. Mają Wernera Volkmana. Aresztowano go w Berlinie Wschodnim ubiegłej nocy i zabrano do Babelsbergu.

- Babelsberg?

- Jest to część starego studia filmowego. Policja Stasi używa go, gdy chce mieć z głowy jurysdykcję Sojuszników, która może być stosowana w przypadku wewnętrznej części miasta. Nie możemy wysłać kontroli żandarmerii do Poczdamu, jak możemy to zrobić w reszcie Berlina.

- Biedny Werner.

- Odgadłeś, że to była Zena: *Campari* i sok pomarańczowy - to jej napój.

Posłałem po nią, gdy tylko dostałem raport.

- A jak ona to przyjęła?

- Jak wszystko inne - rzekł Frank. - Bardzo osobiście.

- Gdzie to się stało?

- Czerwony Ratusz. Rozmawiał tam z kimś i zbyt wiele pytań zadawał. Jeden z moich ludzi zobaczył podjeżdżającą pod Czerwony Ratusz furgonetkę i rozpoznał Volkmana, jak go do niej wsadzali. Potem zostało to potwierdzone przez jednego z naszych po tamtej stronie, który widział raport policyjny.

- Oskarżyli go?

- Nie wiem nic oprócz tego, co ci powiedziałem. To się stało wczoraj wieczorem.

- Będziemy musieli coś zrobić, Frank.

- Wiem, o czym myślisz, Bernard, ale to niemożliwe.

- Co?

- Wymiana Wenera na Stinnesa. Firma nigdy na to nie przystanie.

- To mamy dostarczyć Breta do Londynu po to, aby Stinnes nasłał Piątkę, żeby go wykończyła? - spytałem.

- Bret jest niewinny. Bardzo dobrze; ja też wierzę, że Bret jest niewinny. Ale nie przesadzajmy z reakcją. Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że myślisz, iż wytoczą mu proces i wsadzą do więzienia?

- Moskwa wyprodukowała fałszywe dowody. Bóg wie, ile tego jest.

- Fałszywe dowody czy prawdziwe dowody, nie wyślą przez to Breta do pudła, i dobrze o tym wiesz.

- Nie zrobią mi nawet procesu - dodałem. - Nigdy nie robią procesów wyższemu personelowi, niezależnie od dowodów. Ale Bret zostanie przeniesiony na emeryturę i zdyskredytowany. Bret ma wyolbrzymione pojęcie lojalności - wiesz, jaki on jest. Nie mógłby z tym żyć.

- A co ty na to, żebyś ściągnął tu Stinnesa bez upoważnienia? Co mi się stanie?

No, wreszcie Frank doszedł do koniecznego wniosku. Władza Franka była ograniczona do terenu Berlina. Jedyne co mogliśmy zrobić, aby w krótkim czasie pomóc Bretowi, to sprowadzić tutaj Stinnesa.

- Masz niedużo do emerytury, Frank. Jak przekroczysz swoje granice, to się rozzłoszczą, ale nie będą cię specjalnie tarmosić. Zwłaszcza kiedy zdadzą sobie sprawę, że uratowałeś ich przed fiaskiem.

- Nie będę poświęcał mojej pieprzonej emerytury dla twoich stukniętych pomysłów - odparł Frank. - To ponad moje możliwości.

- Chodź zobaczyć się z Bretem - powiedziałem. - Czeka w samochodzie. Zobacz się z Bretem, to może zmienisz zdanie.

- Zobaczę się z Bretem, ale zdania nie zmienię.

Nie udało mi się przekonać go bez Breta Rensselaera. Bret był tą stłamszoną patrycjuszowską postacią, która spowodowała, że Frank wyrzucił za okno regulaminy i wysłał dwóch swoich ważnych do Anglii po Stinnesa. Było też dużo roboty papierkowej. Stinnes nie otrzymał jeszcze żadnego dokumentu na podróż oprócz karty bezpieczeństwa. Ważna była na podróż, lecz wymagało to kilku szybko sporządzonych dodatkowych dokumentów z nabazgranymi podpisami.



Dla stworzenia zasłony dymnej Frank nadał wiadomość do prywatnej sekretarki D-G oraz wysłał teleks do Londynu, który mówił, że Stinnes ma być przesłuchiwany w związku z zatrzymaniem wydziałowego pracownika w Berlinie Zachodnim. Nazwisko Wernera Volkmana nie było wymienione, a proponowany tok przesłuchania Stinnesa podany był w mało jasnej formie.

Druga połowa całej procedury była prostsza. Wykwintnego Harry'ego znalazłem we Frankfurcie. Kiedy usłyszał, że jest dla niego dobrze płatna robota, przyleciał następnym samolotem do Berlina.

Spotkałem go w kawiarni Leuschnera, wielkim jak stodoła lokalu w pobliżu pozostałości dworca Anhalter, tego zarośniętego chwastami kawałka terminalu kolejowego, jaki pozostał w środku miasta, niczym kaprys bogacza w jakimś ogrodzie Starego Świata.

Ogromna kawiarnia wyglądała na jeszcze większą dzięki rzędowi luster w złożonych ramach. Wisiały na ścianie tak, że marmurowe półki nad kontuarem wypełnione błyszczącymi butelkami były lekko przechylone w lustrzanym odbiciu.

Jako dziecko zawsze wolałem siedzieć przy kontuarze niż przy stoliku. Za tamtych dni krzesła z giętego drewna pomalowane były na oliwkowy kolor, jedyny kolor farby, jaki można było zdobyć w mieście. Meble w kawiarni Leuschnera - jak wiele innych przedmiotów w tym czasie wymagających farby - dokładnie pasowały kolorem do ciężarówek US Army.

Kawiarnię odwiedzałem w soboty. Był to ważny moment mojego tygodnia. Spotykałem ojca w jego biurze i razem z nim, ubranym w swój odświętny mundur, szliśmy do Leuschnera, gdzie zjadałem jeden z gatunków lodów *Herr* Leuschnera, jakie wolno było kupić tylko dzieciom. Potem któregoś dnia ojciec dowiedział się od informatora, że lody pochodziły z dostaw US Army. Miał napisać raport w tej sprawie, ale moja matka wyperswadowała mu to, tłumacząc, że stary *Herr* Leuschner zawsze karmił głodne dzieciaki za darmo. Ale od tego czasu ojciec mnie tam już nie zabierał.

Teraz za kontuarem stał syn Leuschnera, Willi. Był to mój rówieśnik. Nie Wilhelm, nie Willy, tylko Willi. Pamiętam, jak denerwował się zawsze, kiedy dorośli mieli kłopoty z jego imieniem. Willi nosił takie same sumiaste wąsy, jak jego ojciec - ten sam rodzaj, jaki nosił kaiser i wielu jego poddanych, aż ludzie zaczęli uważać, że duże kręcone wąsy nadawały każdemu wygląd Turka.

Młody Leuschner pozdrowił mnie, gdy wchodziłem.

- Jak leci, Bernd? - zapytał.

Nabrał nawyku, którego uczą się wszyscy barmani - przyjacielskość na wyciągnięcie ręki, rezerwująca sobie prawo do wyrzucenia cię na ulicę, gdybyś się upił.

- Cześć, Willi. Czy był tu Wykwintny Harry?

- Od dawna już go tu nie było. Kiedyś bywał bardzo często - napędzał dużo dobrego biznesu - ale teraz dzieli z kimś biuro w Tegel. Lubi być blisko lotniska, jak mówi, więc nie widuję go tak często.

W tym samym momencie wszedł Wykwintny Harry. Przyszedł o wyznaczonej godzinie: był zawsze bardzo punktualny. Przypuszczam, że tak jak ja, nauczył się, że była to cecha konieczna do współpracy z Niemcami.

Miał na sobie znakomity płaszcz z wielbłądziej wełny i szary, miękki, filcowy kapelusz. Nie bardzo pasowały do siebie, ale Wykwintny Harry był na tyle pewny siebie, że nosił to, co chciał. Mógł przyjść w czapce baseballowej i zaprasowanej w kant pizamie, a Willi pozdrowiłby go z tym samym głębokim szacunkiem, jaki teraz słyszałem w jego głosie.

- Właśnie mówiłem, jak bardzo się cieszymy z pańskich wizyt u nas, *Herr* Harry.

Nawet Willi nie znał nazwiska Wykwintnego Harry'ego; była to jedna z najlepiej strzeżonych tajemnic Berlina. Kiedy Wykwintny Harry odpowiadał, to słychać było nienaganną niemczyznę z ćwierkającym berlińskim akcentem.

Willi zaprowadził nas do spokojnego miejsca przy stoliku z tyłu. Willi był spryciarzem; potrafił rozpoznać, którzy klienci chcieli siedzieć przy oknie i pić wino, a którzy woleli miejsca z tyłu i whisky. I tych, którzy chcieli usiąść tam, gdzie nikt nie mógł podsłuchać ich rozmów. Aby dostać takie miejsce, trzeba było pić szampana; ale niemiecki szampan był do tego w sam raz.

- Chcemy zorganizować spotkanie, Harry - odezwałem się do Harry'ego.

Willi podał nam *Sekt*, napisał cenę na podstawce do piwa, którą klasnął o blat stolika, i wrócił na swoje miejsce za barem.- Jacy my? - zapytał Wykwintny Harry, bawiąc się podstawką do piwa w taki sposób, abym wiedział, ile mnie to kosztuje.

- Bez nadmiernej liczby zbyt istotnych pytań, Harry. Ustalmy szczegóły, po czym zgarniasz pieniądze, i już.

- Tak właśnie lubię działać - rzekł.

Uśmiechnął się. Był to szeroki, odsłaniający komplet uzębienia uśmiech

człowieka Wschodu.

- Mamy człowieka KGB; robocze nazwisko Stinnes. Złapaliśmy go w gorącej sytuacji.

- Czy mogę zapytać, co to jest gorąca sytuacja?

- Złapaliśmy go, jak obrabiał pewną starowinkę w sklepie ze słodyczami.

- Czy mówisz serio, Bernie?

Teraz była to poważna twarz i niski szczery głos zawodowca. Wiedziałem, dlaczego był dobry w takich działaniach; potrafił zrobić wrażenie, że naprawdę mu zależy.

- Nie, wiele z tego nie jest serio, ale nasi przyjaciele z KGB będą wiedzieli, co jest co. Masz im powiedzieć, że trzymamy go w izolatce i że dostaje straszny wpierdol.

- Chcesz, żebym powiedział, że jesteś w to osobiście zaangażowany?

- Tak, powiedz im, że Bernie Samson spuszcza okropny wpierdol Erichowi Stinnesowi za to, że Erich robił z nim to samo, kiedy w zeszłym roku trzymano go na Normannenstrasse. To zemsta, powiedz im tak.

Wszedł starszy człowiek. Miał na sobie frak z cylindrem do kompletu i grał na niewielkiej harmonii. Była to słynna berlińska postać - zwali go „Baronem Cygańskim”. W kafejkach na Ku-Dam grywał muzykę lubianą przez zagranicznych turystów - Strauss, Lehar i wybór kawałków z *Kabaretu* - ale to było miejsce dla berlińczyków, więc trzymał się ich ulubionej *Schmai'zmusić*.

- I co?

- Czujesz, że oni powinni o tym wiedzieć?

- W porządku.

Był mistrzem nieprzeniknionej twarzy.

- Niech to przeżują przez jakieś pięć minut, a potem dodaj, że Firma skończyła z tym typem. Że Firma przekaże go Piątce, chyba że przyjdzie jakaś lepsza oferta skądinąd - na przykład z Moskwy.

- Kiedy? - spytał Wykwintny Harry, sięgając do kubelka z lodem po ociekającą butelkę i nalewając drugą kolejkę.

- Już niebawem. W rzeczy samej niebawem. Nie ma szans, żeby piątka ustalała coś z Moskwą, więc czas ma tu istotne znaczenie. Gdyby chcieli mieć Stinnesa z powrotem, to umówiłbyś mnie na spotkanie dla przedyskutowania jego uwolnienia.

- Tutaj?

Użył papierowej serwetki do zebrania wody z lodu, rozlanej na stole.

- Jego uwolnienie tu w Berlinie. Ale najpierw chcę spotkania - powiedziałem.

- Z kim?

- Z moją żoną. I kimkolwiek, kogo ze sobą przyprowadzi.

- O co tu chodzi? Puszczasz Soweciarza - coś chcesz w zamian? Czy też na okres Adwentu rezygnujesz z dawania Sowietom w dupę?

- Oni będą wiedzieć, czego chcę w zamian. Ale nie chcę, żeby zostało to gdziekolwiek odnotowane, więc nawet nie zaczynaj zgadywać - odparłem. - W trakcie rozmowy mają się dowiedzieć, że Bret Rensselaer dostał specjalny awans i specjalne zadanie. Nie wiesz dokładnie co, ale wszystko wynikało z tego, że on był tym, który załatwił Stinnesa. To on go przygwoździł. Kontaktujesz?

- To nietrudne, Bernie. Aż wstyd brać pieniądze.

- Weź pieniądze tak czy inaczej.

- Wezmę.

- Spotkanie ma być po naszej stronie. Proponuję apartament dla VIP-ów na najwyższym piętrze hotelu Steigenberger. Dobre zabezpieczenie; jest miejsce na ruchy... parking, skąd można wszystko widzieć... Rozumiesz?

- I świetne jedzenie. To ich może pociągać.

- I świetne jedzenie.

- Prawdopodobnie będą chcieli przeszukać pokój.

- Nie ma sprawy - odpowiedziałem.

- Kiedy wymiana?

- Ich człowiek, Stinnes, cały czas będzie w mieście.

- Chodzi mi o to... Chcesz to zrobić po zakończeniu spotkania, prawda? To nie jest jedna z tych wymyślnie przygotowanych scenerii, dokąd przyjeżdżają w dziesięć dni później, aby zabrać kamery telewizyjne?

- Żadnej zwłoki. I zupełny sekret po obu stronach'.

- Twoja żona, powiedziałaś... Pojadę tam jeszcze dzisiaj. Może uda mi się załatwić całą sprawę przez weekend.

- Dobrze pomyślane, Harry. Dziś wieczorem będę u Lisi Hennig. W każdym razie dzwoń tam i zdawaj sprawę na bieżąco. Czy masz numer?- Żartujesz? Twoja żona?

Grajek skończył *Das war in Schönberg im Monat Mai...* i zgiął się w ukłonie.

Wykwintny Harry opadł na oparcie krzesła i dziękował głośnymi oklaskami. Uśmiechnął się do mnie, pokazując, jaki jest szczęśliwy. Tym razem był to uśmiech numer 2, tak że mogłem policzyć jego złote zęby.

- Ona będzie tą osobą, z którą będziesz rozmawiał, Harry.

- Myślę, że ją odnajdę.

- Jeśli znam ją na tyle, jak myślę, że ją znam, to ona zaplanowała całą tę sprawę. Będzie czekała na twój telefon.

Wstałem od stolika. Powiedziałem właściwie już wszystko.

- A więc to tak?

- Scenariusz został napisany, musimy tylko przeczytać nasze role. Harry wyjął zwitek banknotów z tylnej kieszeni i zapłacił za

szampana. Napiwek był królewski, zresztą na konto Firmy.

- Czy ten materiał, który dostałeś ode mnie, był dobry? - zapytał.

- To był *Spielmaterial* - odrzekłem.

- Przykro mi z tego powodu - powiedział. - Czasami wygrywasz, czasami tracisz, a czasami...

- ... a czasami odpadasz z gry - skończyłem za niego. Wzruszył ramionami.

Powinienem wtedy domyślić się, że nie ma zaufania do tych materiałów. Przecież dał mi je za nic, a nie było to w stylu Wykwintnego Harry'ego.

## **Rozdział XXVII**

Lisi siedziała w miejscu, skąd mogła oglądać kwiaty. Była to ogromna wystawa różnorodnego kwiecica - miałbym niejakię trudności z wymienieniem wszystkich - starannie skomponowanego w koszyku przewiązanym kolorową wstążką. Kupiony został zapewne w jakiejś drogiej kwiaciarni. To Werner przyniósł kwiaty. Teraz płatki zaczynały opadać. Werner nie był ostentacyjny, ale zawsze dawał Lisi kwiaty. Czasami potrafił wybierać godzinami. Nawet jego ukochana Zena nie była traktowana z takim przejęciem. Lisi uwielbiała kwiaty, zwłaszcza te, które przynosił jej Werner.

Czasami, gdy uśmiechnęła się, widziałem w Lisi Hennig piękną kobietę, którą spotkałem, gdy po raz pierwszy przyjechałem do Berlina. Byłem wtedy dzieckiem, a Lisi musiała już mieć z pięćdziesiątkę. Ale była tak piękna, że każdy mężczyzna był na jej życzenie.

Teraz była stara, a jej władcze skłonności, będące w tamtych czasach częścią

jej powabu, zmieniły się teraz w ponure przywary starej baby. Ale pamiętałem ją jako boginię, którą swego czasu była, i taką pamiętał ją Lothar Koch, mały pomarszczony urzędnik na emeryturze, który grywał z nią w brydża Siedzieliśmy w gabinecie Lisi, małym pokoju, który stał się muzeum jej życia. Każda półka i każdy kredens pełne były wspominków - jakieś ozdoby z porcelany, tabakierki i mnóstwo pamiątkowych popielniczek. Z radia płynął Czajkowski.

Tylko troje z nas grało w brydża. Jak powiedziała Lisi, tak było zabawniej, gdy licytowaliśmy i decydowaliśmy, która ręka idzie na dziadka. Ale Lisi lubiła towarzystwo, a powód, dla którego było nas tylko troje, to zarazem problem ze znalezieniem czwartej osoby.

Na stole leżała okazała sumka. Lisi lubiła grać ostro, niezależnie od tego, jakie były stawki. Gdy była młodą dziewczyną, wysłano ją do szkoły w Dreźnie - ulubione miejsce bogatych rodzin posyłających tam swoje dorastające córki - i tam miała skłonność do narzucania swoich nawyków. Lecz teraz już cieszyła się, że była starą *berlinerisch*, którą prawdziwie była. A nie było nic bardziej *berlinerisch* jak gra na pieniądze.

- To teraz poważny interes - powiedział *Herr Koch*. - Od 1963 ci z Niemiec Wschodnich zarobili na nas prawie trzy miliardy Deutschemark.

- Wychodzę w zwykłego pika - powiedziała Lisi spoglądając w karty. - Trzy miliardy?

- Czekam - powiedział *Herr Koch*. - Tak, trzy miliardy marek.

- Jeden kier - odezwałem się.

- Nie możesz tak wychodzić - zaprotestowała Lisi.

- Przepraszam - powiedziałem. - Nie wychodzę. - Dlaczego nagle zaczęli mówić o więźniach politycznych w DDR. Nie mogli wiedzieć o Wernerze. Na koniec Lisi zameldowała dwa piki.

- Mniej więcej tysiąc czterysta osób w roku wykupywanych jest przez boński rząd. Żadna z nich nie jest kryminalistą. Większość to ludzie, którzy ubiegali się o wizę wyjazdową, a potem słyszano, że jej nie dostali.

- Muszą być zwariowani, żeby ubiegać się o wyjazd - powiedziała Lisi.

- Są zdesperowani - rzekł Koch. - Zdesperowani ludzie łapią się każdej sposobności, niezależnie od tego, jak wydaje się wątpliwa.

Lisi położyła królową kier na rzecz *Herr Kocha*. Od tej pory będzie wychodziła w kiery, chyba że się myliłem. Wiedziałem, że nie ma asa; ja go miałem.

Grałem nisko; to była sztuczka Kocha. Może nie wymienią Wenera na Stinnesa. Być może będziemy musieli zapłacić, aby odzyskać Wenera. Czy sprzedadzą go nam, czy też wybiorą dużą rozprawę pokazową z mnóstwem publiczności? Może źle to wykonałem?

Może powinienem pozwolić KGB, aby myśleli, że Stinnes zwiódł nas całkowicie? Wtedy nie ryzykowaliby popsucia sprawy przez publikację o Wenerze. Czy mogliby postawić przed sądem bez ujawnienia roli Millerowej w wystawieniu Breta Rensselaera?

Koch zrzucił treflowego asa. Wiedziałem, że Lisi pobije go atutem i tak też zrobiła, używając trójki. Tak było z kartami i z życiem; najmniejsza karta mogła pobić asa, jeśli wybrało się odpowiedni moment.

Lisi zebrała lewą i wyszła w czwórkę pik. Musiała mieć całą garść atutów.

- Powinnaś była licytować dużego szlema - powiedział sarkastycznie Koch. Nie mogłem przeboleć pobicia atutem jego asa.

- Ludzi wycenia się wedle ich wartości - rzekła Lisi, kontynuując rozmowę, jak gdyby chciała Kocha uspokoić.

- Wykładowca uniwersytecki kosztuje do dwustu tysięcy marek - powiedział Koch. - Wykwalifikowany robotnik około trzydziestu tysięcy.

- A skąd to wszystko wiesz? - zapytałem go.

- Było o tym w *Hamburger Abendblatt* - powiedziała Lisi. - Pożyczyłam mu.

- Rząd Republiki Demokratycznej ma konto we Frankfurcie - rzekł Koch, bez potwierdzenia, że hamburską gazetę pożyczył od Lisi. - Więźniów dostarcza się w dwa tygodnie po otrzymaniu płatności. To handel niewolnikami.

Lisi wyszła kierem z dziadka, tak żeby mogła go pobić atutem. Moje kiery były teraz bezużyteczne, kiedy ona nie miała już ani jednego. Można grać tylko wartościami, które dzieli z tobą przeciwnik. Wyszędłem w waleta kier.

- Wyjdź w asa, Bernard - nalegała.

Wiedziała, że mój as był także bezużyteczny. Lisi zaśmiała się. Uwielbiała wygrywać w karty.

Lisi wyszła w atutową blotkę i straciła lewą do *Herr* Kocha.

- Przegrałaś tę lewą - powiedziałem.

Nie mogłem się powstrzymać. *Herr* Koch uśmiechnął się.

- Ona się tym nie przejmuje. Dziadek nie miał atutów.

- Nie można nauczyć go grać w brydża - powiedziała Lisi. - Od czasu jak miał

dziesięć lat, staram się mu to wyjaśnić.

Lecz Koch nastawał.

- Wzięła jeden atut twój i jeden mój.

- Ale straciła lewą - powiedziałem. - Wziąłeś ją swoim waletem. Usunęła potencjalne zagrożenia. Koch odwrócił lewą, pokazując mi dziesiątkę i waleta, którego rozegraliśmy.

- Teraz już wie, że nie masz atutów, i w co byś nie wyszedł, i tak zarżnie cię.

- Niech gra po swojemu - rzekła Lisi bez miłosierdzia. - Nie jest dostatecznie subtelny do brydża.

- Nie daj mu się oszukać - powiedział *Herr* Koch, tak jakby mnie tam w ogóle nie było. - Wszyscy Anglicy są subtelni, a ten jest subtelny w najbardziej niebezpieczny sposób.

- A w jaki? - spytała Lisi.

Mogła była po prostu wyłożyć rękę pełną atutów i musielibyśmy przyznać, że wszystkie lewe należą do niej, lecz nie odmówiłaby sobie przyjemności wygrywania biorąc po jednej lewej za każdym razem.

- On nie ma nic przeciwko naszemu braniu go za głupka. To jest największa siła Bernarda, zawsze tak było.

- Nigdy nie zrozumie Anglików - powiedziała Lisi. Wyszła atu, zebrała lewą, uśmiechnęła się i wychodziła dalej.

Powiedziawszy, że nie rozumie Anglików, kontynuowała dalej wyjaśnienia na ich temat. To było też *berlinerisch*; mieszkańcy Berlina niechętnie przyznają się do ignorancji w jakiejś dziedzinie.

- Jeśli Anglik mówi, że nie ma pośpiechu, ma na myśli, że to należy zrobić natychmiast. Jeśli mówi, że nie ma nic przeciw, to faktycznie ma bardzo przeciw. Jeśli pozostawia jakąś decyzję tobie mówiąc „jeśli chcesz” lub „kiedy chcesz”, strzeż się - on ma na myśli, że wszystkie swoje wymagania wyłożył jasno i spodziewa się ich precyzyjnego spełnienia.

- Czy pozwolisz sobie przejść do porządku nad tym pomówieniem, Bernard? - zapytał Koch.

Lubił trochę sporu, jednak tylko w przypadku, gdy mógł być rozjemcą. Uśmiechnąłem się. Wszystko to już słyszałem przedtem.

- A co z nami, Niemcami? - nalegał Koch. - Czy jesteśmy tacy swobodni w sposobie bycia? Powiedz mi, Bernard, ja chcę twojej opinii.



- Niemiec nie ma odcieni szarych - powiedziałem i natychmiast pożałowałem, że wdaję się w taką dyskusję.

- Szarych odcieni? Co to znaczy? - dopytywał się Koch.

- Powiedzmy, że w Niemczech następuje zderzenie dwóch samochodów; jeden kierowca jest winny i dlatego ten drugi jest niewinny. Dla Niemca wszystko jest albo czarne, albo białe. Pogoda jest dobra albo zła, człowiek jest chory albo zdrowy, restauracja jest dobra albo straszna. Na koncercie ludzie biją brawo albo gwizdzą.

- A Werner - powiedział Koch. - Czy on jest bez szarych odcieni?

Pytanie było skierowane do mnie, lecz Lisi musiała tu odpowiedzieć.

- Werner to Anglik - rzekła.

To naturalnie nie była prawda; to był przykład zamiłowania Lisi do szokowania i prowokowania. A Werner był tak nieangielski, jak tylko Niemiec potrafi, i nikt o tym nie wiedział lepiej niż Lisi.

- Ty go wychowałeś - powiedziałem. - Jak mógłby Werner być Anglikiem?

- Z ducha - rzekła Lisi.

- Uwielbiał twojego ojca - powiedział *Herr* Koch, bardziej dla pogodzenia opinii niż dla powtórzenia prawdy.

- Podziwiał go - poprawiłem go. - A to niezupełnie to samo.

- To twoja matka, która pierwsza polubiła Wenera - powiedziała - Lisi. - Pamiętam, jak twój ojciec uskarżał się, że Werner zawsze bawił się z tobą na górze i że robiliście dużo hałasu. Lecz twoja matka zachęcała go do tego.

- Wiedziała, że miałaś hotel do prowadzenia - przypomniałem. - Miałaś i tak dużo pracy bez zajmowania się Wernerem.

- Któregoś dnia pojedę do Anglii, żeby się znowu z nią spotkać. Zawsze przysyła mi kartę na Boże Narodzenie. Może na przyszły rok pojedę, żeby się z nią zobaczyć.

- Ma wolny pokój - powiedziałem.

Ale w rzeczywistości wiedziałem, że ani Lisi, ani moja matka nie wytrzymałyby trudów podróży lotniczej. Tylko bardzo sprawni ludzie dawali sobie radę na liniach lotniczych. Lisi jeszcze nie zapomniała swojej niewygodnej podróży do Monachium pięć lat temu.

- Twój ojciec był taki oficjalny z małym Wernerem. Zawsze mówił do niego jak do dorosłego mężczyzny.

- Ojciec mówił do wszystkich dokładnie w ten sam sposób - powiedziałem. -

To była jedna z jego cech, które najbardziej lubiłem.

- Werner się nie mógł nadziwić. „*Herr Oberst* podał mi rękę, *Tante Lisi!*”

Było nie do pomyślenia, by pułkownik Wehrmachtu podawał rękę i rozmawiał tak uroczyście z małym dzieckiem. Nie słuchasz, Bernardzie?

Nie, już dłużej nie słuchałem. Oczekiwałem, że powiedzą, iż jestem Niemcem, ale taka myśl nigdy nie przyszła im do głowy. Byłem zdruzgotany. Tu właśnie wyrosłem. Jeśli nie byłem z ducha Niemcem, to czym? Dlaczego oboje nie przyznawali, że tak było naprawdę? Berlin był moim miastem. Londyn był miejscem, gdzie mieszkali moi angielscy przyjaciele i gdzie urodziły się moje dzieci, ale ja należałem do tego miasta. Było mi dobrze, gdy siedziałem w mizernym pokoiku ze starym *Herr Kochem*. Było to jedyne miejsce, które naprawdę mogłem nazwać swoim domem.

Zadzwonił telefon. Byłem pewny, że to Wykwintny Harry. Lisi tasowała karty, a *Herr Koch* po raz setny obliczał punkty. Telefon zadzwieczał parokrotnie bez odpowiedzi, a potem przerwał.

- Czy oczekujesz od kogoś telefonu, Bernard? - zadała pytanie Lisi, patrząc na mnie uważnie.

- Możliwe - powiedziałem.- Jeśli ja nie odpowiadam, to Klara podnosi słuchawkę. Prawdopodobnie pomyłka. Ostatnio zdarza się wiele pomyłek.

A co będzie, jeśli podejście Wykwintnego Harry'ego zostało odrzucone. Znalazłby się w bardzo trudnej sytuacji. Nawet jeśli Bret Rensselaer był niewinny, to nie oznaczało jeszcze, że cała reszta mojej teorii była poprawna. Stinnes mógł być autentyczny. Wtedy właśnie zacząłem się martwić, że Stinnes może nie wiedzieć o całej strukturze moskiewskiej zagrywki, aby zdyskredytować Breta Rensselaera. Powiedzmy, że Stinnes to kamikadze wysłany, aby rozwalić Centralę Londyńską na kawałki, ale nigdy nie wtajemniczono go w szczegóły. Stinnes był człowiekiem, który poświęciłby samego siebie za coś, w co naprawdę wierzył. Ale w co naprawdę wierzył? To było pytanie wymagające odpowiedzi.

A co zrobiłbym na miejscu Fiony! Trzymała wszystkie karty; w każdej chwili mogła poświęcić Stinnesa. Czy wierzyła w to, że mogłem ulec ich grze?

Prawdopodobnie tak. Ale czy mogła uwierzyć w to, że zdolny byłem przekonać Firmę o tym jaka jest prawda? Nie, prawdopodobnie nie. Bret Rensselaer decydował o tym, jak zagra Fiona. Miałem nadzieję, że Wykwintny Harry zrozumiał tę część całej historii właściwie. Może Fiona nie uwierzy, że potrafiłbym przekonać

nieporadnych biurokratów, że Stinnes robił z siebie głupca, ale prawdopodobnie uwierzyłaby, że obaj, Bret i ja, połączonym wysiłkiem byliśmy w stanie tego dokonać. W opinii Fiony, mogliśmy zrobić wszystko. Przypuszczam, że typ mężczyzny, jakiego naprawdę potrzebowała, to była jakaś niespójna i niemożliwa kombinacja nas dwóch.

- Drinkies? - rzekła Lisi wyobrażając sobie, że mówi po angielsku.

Nie czekając na odpowiedź, nalala nam wszystkim sherry. Nie lubiłem sherry, zwłaszcza tego ciemnego gatunku, który Lisi odpowiadał, ale udawałem, że lubię, ponieważ nie miałem odwagi poprosić o coś innego.

Była dziewiąta trzydzieści wieczorem, gdy odezwał się telefon. Miałem sto pięćdziesiąt punktów mniej niż Lisi i miałem na ręku dwa kiery, które właściwie nie były warte licytowania. Lisi podeszła do aparatu. Musiała zdawać sobie sprawę, że czekam na telefon. Oddała mi słuchawkę. Był to Wykwintny Harry.

- Bernard?

Podejrzywałem istnienie podsłuchu, ale i tak nie było po co ukrywać, kim jestem; zapewne już o tym wiedzieli.

- Tak?

- Rozmawiałem.

- I co?

- Przyjadą do mnie za godzinę.

- Co sądzisz?

- Ona mnie spytała, czy Bret będzie na spotkaniu.

- Można to zorganizować.

- Mogą zrobić z tego warunek.

Spojrzałem na Lisi i *Herr* Kocha. Bardzo uważnie wpatrywali się w swoje karty, w sposób, w jaki ludzie studiują różne rzeczy, próbując zrobić wrażenie, że nie podsłuchują.

- Bret tu jest szefem, żeby to było jasne - powiedziałem.

- Powiem im. Przyjadą z wyposażeniem, zdajesz sobie sprawę. To oznaczało, że będą uzbrojeni. Nie było sposobu, żeby temu

zapobiec; nie mieliśmy prawa rewidować rosyjskich samochodów bądź personelu, który przechodził do Berlina Zachodniego.

- Okay - powiedziałem.

- Gwarantowane bezpieczne przejście i powrót dla kobiety? To była Fiona,

przestraszona, że moglibyśmy ją aresztować. Lecz

do tej pory na pewno wyposażyli ją w różne papiery, czyniące z niej sowieckiego obywatela, pułkownika KGB i możliwe, że członka Partii. Dla prawnika byłoby to zmorą aresztować ją w Berlinie Zachodnim, gdzie ZSRR był ciągle Mocarstwem Okupacyjnym, z uprawnieniami porównywalnymi do posiadanych przez brytyjskie, francuskie i amerykańskie władze. Wszystko wyglądałoby inaczej w Zjednoczonym Królestwie.

- Gwarantowane dla całej ekipy. Czy chcą to dostać na piśmie?

- Nie chcą tego dla całej ekipy, jedynie dla tej kobiety. - powiedział Harry.

Rzecz sama w sobie wydawała się dziwna, ale wtedy nie poświęciłem temu większej uwagi. Dopiero potem zrozumiałem, że to miało znaczenie.

- Wszystko, czego chcą, Harry.

- Oddzwonię do ciebie - powiedział.

- Będę czekał - rzekłem.

Odłożyłem słuchawkę i wróciłem do brydża. Lisi i *Herr* Koch nie robili żadnych uwag na temat mojej rozmowy telefonicznej. Na zasadzie cichego porozumienia byłem pracownikiem jakiejś międzynarodowej firmy farmaceutycznej.

Rozegraliśmy jeszcze jednego robra, zanim Wykwintny Harry oddzwonił mówiąc, że wszystko zostało uzgodnione przed spotkaniem w hotelu Steigenberger. Do końca negocjacji Harry nie wiedział, że onimieli Wernera. Było to typowe dla KGB; nikomu niczego nie mówiono aż do chwili, gdy dana osoba powinna wiedzieć.

Zadzwoniłem do Franka Harringtona i powiedziałem mu, że zgodzili się, ale że potrzebują jakiejś gwarancji na piśmie, że kobieta będzie mogła powrócić bez przeszkód.

Frank mrukiwie wyraził zgodę. Znał implikacje, ale nie komentował ani Fiony, ani zainteresowania Wydziału jej aresztowaniem.

- Są już, całe tłumy - powiedział Frank. - Obserwatorzy KGB przechodzą punkty kontrolne od dwóch godzin. Wiedziałem, że odpowiedź będzie pozytywna.

- KGB? Przechodzą na Zachód?

- Tak, węższą wkoło, odkąd ty tu jesteś. Prawdopodobnie widzieli przyjazd naszego przyjaciela. - Miał na myśli Breta.

- A ich przyjaciela także? - zapytałem. Myślałem o Stinnesie; przyleciał dziś po południu.

- Mam nadzieję, że nie - powiedział Frank.

- Ale obaj są bezpieczni?

- Bardzo bezpieczni - zapewnił mnie Frank. - Nie wypuszczam ich.

Frank umieścił obydwu w swojej oficjalnej rezydencji w Griinewald.

Aparatury i wszelkich zabezpieczeń było tam za pół miliona funtów. Nawet KGB miałyby problemy z dotarciem tam do nich. Po chwili przerwy Frank odezwał się:

- Masz wyposażenie, Bernard?

Miałem pistolet Smith and Wesson, który zostawiłem w sejfie u Lisi razem z paroma osobistymi rzeczami.

- Tak - powiedziałem. - A co?

- Zespół zabójców KGB przeszedł około trzydziestu minut temu. Mieliliśmy wiarygodną informację. Nie przysyłają ich dla zbierania pietruszki. Martwię się, że to ty możesz być wyznaczony.

- Dziękuję, Frank. Zastosuję zwykłe środki bezpieczeństwa.

- Na noc zostań tam, gdzie jesteś. Wyślę po ciebie rano samochód. Bądź bardzo ostrożny, Bernard. Nie podoba mi się to. Ósma, okay?

- Ósma to bardzo wygodna pora dla mnie - powiedziałem. - Dobranoc, Frank. Do zobaczenia rano.

Podczas rozmowy ściszyłem radio; teraz dałem głośniej. Jakaś szwedzka stacja grała symfonię Brucknera; pierwsze akordy wypełniły pokój.

- Wy, ludzie z tego pigułkowego biznesu pracujecie do późna - powiedziała Lisi sarkastycznie, gdy odłożyłem słuchawkę.

*Herr Koch* utrzymywał swoją ministerialną posadę przez cały okres nazistowski dzięki temu, że nie był ciekawski ani też skłonny do takich porywczych uwag. Uśmiechnął się i rzekł:

- Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku, Bernard.

- Wszystko absolutnie w porządku - powiedziałem mu. Wstał i poszedł wyłączyć radio.

- Dziękuję, kochanie - powiedziała Lisi.

- Bruckner - wyjaśnił *Herr Koch*. - Kiedy ogłosili klęskę pod Stalingradem, w radiu nic nie było, tylko Beethoven i Bruckner przez trzy pełne dni.

- Tylu wspaniałych młodych ludzi... - powiedziała Lisi ze smutkiem. - Daj jakąś płytę, kochanie. Coś wesołego. *Bye, Bye, Blackbird*.

Ale gdy *Herr Koch* nastawił płytę, była to jedna z jego ulubionych, *Das war in Schöneberg im Monat Mai...*

- Marlena Dietrich - westchnęła Lisi, przechylając się do tyłu i zamykając oczy. - *Schón!*

### **Rozdział XXVIII**

Przechodzą teraz przez Checkpoint Charlie. Rozpoznałem głos wydobywający się z malutkiego głośniczka, choć nie mogłem skojarzyć go z nazwiskiem. Był to jeden ze starych wyjadaczy z Berlińskiej Jednostki Operacyjnej. Był na punkcie i obserwował zespół KGB przechodzący na Zachód na spotkanie.

- Trzy czarne volvo.

Używałem mojego małego radia, trzymanego w dłoni, do odbioru raportów. Usłyszałem, jak ktoś powiedział z tego końca:

- Ilu ich jest?

Stojący koło mnie w apartamencie dla VIP-ów w hotelu Steigen-berger Frank odezwał się: - Trzy volvo! O Jezu! Toż to cała cholerna inwazja!

Frank zaangażował się w sprawę, ale teraz, gdy to się rzeczywiście działo, zrobił się nerwowo. Powiedziałem mu, żeby sobie wziął jakiegoś drinka, ale odmówił.

- I nagle robi się zielono - rzekł Frank, ciągle wyglądając przez okno na ulicę daleko w dole. - Mam na myśli, w Berlinie. Zimy wydają się nigdy nie kończyć. Potem nagle przychodzi słońce i widzisz kasztany, magnolie, wszędzie kwiaty. Szare chmury, śnieg i lód znikają, i wszędzie jest zielono.

Powiedział tylko tyle, ale to wystarczyło. Kochał Berlin tak jak ja. Całe to jego gadanie, żeby się stąd wyrwać, osiąść na emeryturze w Anglii i nigdy nie myśleć o Berlinie, to był nonsens. Kochał tu być. Przypuszczam, że jego nieuchronne ustąpienie kazało mu spojrzeć prawdzie prosto w oczy: pakowanie płyt Ellingtona, podział rzeczy na te osobiste i te stanowiące część wyposażenia rezydencji, wszystko to sprawiało, że czuł się fatalnie.

- Trzech kierowców plus dziewięciu pasażerów - powiedział głos.

- A to kto? - spytałem Franka. - Chyba rozpoznaję głos.

- To stary Percy Danvers - odparł. - Człowiek z czasów twojego ojca. Matka była śląską Niemką, ojciec Anglikiem, sierżantem w Gwardii Irlandzkiej.

- Nadal pracuje?

- Idzie na emeryturę w przyszłym roku, zaledwie kilka miesięcy po mnie. Ale on zostaje w mieście - rzekł Frank z nutką żalu w głosie. - Nie wiem, jak biuro da

sobie radę bez Percy'ego.

- Kto dostanie Berlin, jak ty odejdziesz? - zadałem pytanie. Pociągnąłem troszkę whisky, potrzebnej dla stawienia im czoła.

Czy Fiona rzeczywiście przyjedzie?

- Mówili o Breście.

- Teraz tak nie będzie - powiedziałem.

- Wszystko mi jedno, kto przyjdzie na moje miejsce - rzucił Frank. - Obym tylko ja poszedł sobie.

Popatrzyłem na niego. Obaj wiedzieliśmy, że to nieprawda. Frank uśmiechnął się.

Wtedy Bret Rensselaer powrócił i rzekł:

- Dziewięciu; przeszli punkt kontrolny Checkpoint Charlie. Będą tu lada chwila.

Z tyłu za Bretem stał młody Niemiec, Peter, mający zapewniać osobistą ochronę Bretowi. Sympatyczny był, ale brał wszystko zbyt poważnie i teraz właśnie nie spuszczał go z oka.

Bret skinął głową i podszedł na chwilę do nas, zanim zatonął w jednym z szarych miękkich zamszowych foteli. Apartament dla VIP-ów w hotelu Steigenberger przebiega przez całą długość budynku, lecz wejście jest mało zauważalne, tak więc niewielu z mieszkających wie nawet, że coś takiego istnieje. Z tego właśnie powodu apartament jest używany przez handlowców i polityków do spotkań na wysokim szczeblu oraz stroniących od publicity potentatów i gwiazdy filmowe. Z jednego końca jest tam jadalnia, a z drugiego eleganckie biuro. Między nimi znajduje się pokój telewizyjny, salonik, sypialnie i nawet pomieszczenie, gdzie kelnerzy mogą otworzyć szampana i przyrządzić kanapki.

Szampan i kanapki gotowe były dla grupy z KGB, lecz na liście priorytetów wyżej stały dodatkowe zamki, różne urządzenia zabezpieczające tę część górnego piętra, a także prywatna winda do apartamentu, która umożliwi delegatom KGB przyjazd i wyjazd bez mieszania się z innymi gośćmi hotelowymi.

- Jaki jest ich najslabszy punkt? - zapytał Bret, mówiąc jakby do siebie. Bret już odzyskał pewność siebie. Posiadał tę istic amerykańską umiejętność szybkiej regeneracji; jedyne, co było mu potrzebne, to gorący prysznic, czysta bielizna i sportowe stronicie *Herald Tribune*.

Nie odezwałem się, lecz Frank rzucił:

- Fiona.

- Fiona?

Czyżbym słyszał ton niechęci w jego głosie? Czy wiązało się to z pewnym uczuciem, które niegdyś dla niej żywił?

- Fiona jest ich najsłabszym punktem? Co chcesz przez to powiedzieć, Frank?

Frank odwrócił się i usiadł w fotelu naprzeciw Breta. Od czasu, kiedy sprowadziłem Breta do domu Franka w Grunewaldzie, zauważyłem między nimi pewien dystans, prawie chłód. Nie mogłem zdecydować, do jakiego stopnia była to ukryta wrogość, a do jakiego zażenowanie, znak troski Franka z powodu poniżenia, jakiego doświadczał Bret. Frank odezwał się:

- Ona jest nowa w organizacji. Niektórzy z nich na pewno nadal patrzą na nią z pewną podejrzliwością i niewątpliwie wszyscy odczuwają jakąś wrogość do niej.

- Czy to jest oparte na raportach? - spytał Bret.

- Jest cudzoziemką - rzekł Frank. - Uhonorowanie jej kierowniczą pozycją oznacza zmniejszenie dla innych szans na awans. Porównaj jej sytuację z naszą. My znamy się wszyscy od wielu lat, zarówno w sensie niesienia pomocy jak i przeszkadzania. Ona jest w izolacji. Nie ma sojuszników na dłuższą metę. Brak jej doświadczenia w tym, jakich działań i opinii może oczekiwać od kolegów. Jest stale pod mikroskopem; każdy z jej współpracowników będzie się starał znaleźć dziurę w całym. Wszystko, co mówi, będzie poddane badaniu, sylaba po sylabie, przez ludzi, którzy nie odczuwają za grosz do niej sympatii.

- Wyznaczyła ją Moskwa - powiedział Bret.

I znowu była w jego głosie nuta czegoś, co mogło być uczuciem lub nawet dumą. Spojrzał na mnie, ale ja przyglądałem się swojej szklaneczce. Frank dorzucił:

- Tym większe będą powody, dla których personel jej berlińskiego biura będzie jej niechętny.

- To co proponujesz? - spytał Bret Franka.

- Musimy jej stworzyć okazję do negocjowania bez udziału pozostałych jej kolegów. Musimy dać jej szansę, aby mówiła nie będąc podsłuchiwana.

- To nie będzie łatwe, Frank - odezwałem się. - Wiesz, dlaczego wysyłają tak duże zespoły. Nie chcą, żeby ktokolwiek był z nami sam.

- Musimy znaleźć sposób - rzekł Frank. - Bernard musi przejść w rozmowie na tematy domowe. Musi być coś, o czym mógłby z nią mówić.

- Pomów o dzieciach - rzekł Bret.



Z wielką przyjemnością zadusiłbym go, ale tylko się uśmiechnąłem.

- Może sama coś wymyśli - dodał Frank, który znał Fionę dobrze.

- Zastosuje jakiś swój wybieg, żeby z nami porozmawiać na osobności.

- A co, jeśli chodzi o nas? - spytał Bret. - Jaki jest nasz najsłabszy punkt.

Goryl Breta, Peter, obserwował go cały czas i próbował nadążyć za tokiem rozmowy.

- To łatwe - rzekł Frank. - Naszym najsłabszym punktem jest Werner Volkmann.

To, że Frank nie lubił Wenera, wynikało z romansu, jaki Frank miał z żoną Wenera, Zeną. Poczucie winy rodzi niechęć; Frank nie lubił Wenera, bo zrobił z niego rogowca.

- Imienia Wenera nawet nie wymieniono - powiedział Bret. - Przynajmniej tak twierdzi Bernard.

- Jestem pewny, że Bernard powiedział nam prawdę - skomentował Frank. - Ale trzymają Wenera Volkmana, a Werner jest bliskim przyjacielem Bernarda. Wiedzą, czego chcemy w zamian.

- Co udajemy, że chcemy w zamian, Frank - uściśliłem. - Naszą prawdziwą korzyścią jest ujawnienie w Firmie, że Stinnes to człowiek Moskwy, który próbował zrobić Breta i namieszać każdemu z nas. Musimy to przeprowadzić bez podsuwania Moskwie jaki jest nasz prawdziwy cel. Uwolnienie Wenera jest wygodną zasłoną dymną.

Frank uśmiechnął się z mojego racjonalnego uzasadnienia. Uważał, że rzeczywistym moim motywem był Werner. Ale Frank mylił się. Nie pozwoliłbym żadnemu z nich odkryć mojej prawdziwej motywacji. Rzeczywistą motywacją były dzieci.

\* \* \*

Nagle do pokoju weszła moja żona.

- Bernard, co za wspaniały apartament. Czy ty go wybierałeś? Zimny uśmiech, na wszelki wypadek, gdyby ktoś pomyślał, że

była szczerą. Stała, jak gdyby czekając na zwyczajowy pocałunek ode mnie, ale zawahałem się, a potem wyciągnąłem dłoń. Potrząsnęła ją z kpiarskim uśmiechem.

- Cześć, Fi - odparłem.

Była ubrana w szarą wełnianą sukienkę. Prosta, ale droga. Nie żyła jak

robotnica, ale tak jak ci, którzy mówili robotnikom, w czym wolno im chodzić.

- Cześć, Frank; cześć, Bret - odezwała się.

Uśmiechnęła się i potrząsnęła im dłonie. Kierowała tą grupą i zdecydowana była to zademonstrować. To był jej pierwszy oficjalny pobyt na Zachodzie. Analizując wszystko później zrozumiałem, że mimo naszych zapewnień zastanawiała się, czyjej nie aresztujemy. Ale pokryła to energiczną pewnością siebie, taką samą, z jaką robiła wszystko. Miała inne włosy. Wyrosły jej dłuższe i były zebrane w coś na kształt koka. Była to fryzura, jaką Hollywood mogło dać komunistycznej funkcjonariuszce w tym typie filmów, gdzie na ostatniej szpuli zdejmuje okulary, rozpuszcza włosy i zostaje kapitalistką. *Ninotchka*. Ale nie było żadnych oznak rzucenia kokona komunistycznej poczwar. W rzeczy samej, jeśli wygląd o czymś tam świadczył, było jej w tym kokonie dobrze.

Kiedy już wszyscy wymienili między sobą uściski dłoni, kelner - to znaczy jeden z naszych ludzi, uzbrojony, lecz przebrany za kelnera - podał drinki. Frank zaproponował szampana. Założyłem się z nim o pięć funtów, że nie będą chcieli. Załatwił jeszcze trochę rosyjskiego białego wina, spodziewając się takiego właśnie zamówienia z ich strony. Lecz Fiona rzekła, że szampan to znakomita propozycja i wszyscy na to przystali. Z wyjątkiem mnie; wziąłem kolejną szkocką.

W pokoju nie było ich dziewięciu. Dwóch uzbrojonych ludzi KGB stało w hallu, inny strzegł kierowców, aby nikt nie próbował robić czegoś z samochodami, a jeszcze jeden doglądał prywatnej windy. Było tylko trzech negocjatorów i dwóch pracowników pomocniczych. Jedyna osoba, jaką znałem oprócz Fiony, to Paweł Moskwin, którego ścieżki krzyżowały się z moimi. Zdjął swój długi do kostek płaszcz i rzucił na sofę. Popatrzył na mnie. Uśmiechnąłem się, a on odwrócił wzrok.

Był z nimi jeszcze jeden bardzo młody blondyn, lat około dwudziestu pięciu, noszący rodzaj ubrania, jakie mieli ci z KGB, którym nie wolno było wyjeżdżać z Moskwy. Musiał chyba przejść przeszkolenie w laboratorium językowym, bo jego niemiecki i angielski brzmiały doskonale, bez akcentu, i nawet pozwalał sobie na drobne dowcipy. Ale był całkowicie związany z Fioną i stale ją obserwował na wypadek, gdyby trzeba było coś dla niej zrobić. Razem z nim był jeszcze trzeci negocjator; siwowłosy facet, który nic tylko marszczył brwi.

- Mam nadzieję, że zgadzacie się, iż czas jest najważniejszym czynnikiem - rzekł Bret.

To był jego występ: Frank przystał na to od samego początku. Bret miał

najwięcej do stracenia. Jeśli spotkanie miało zakończyć się fiaskiem, to mógł winić tylko siebie. I nie ma wątpliwości, że Frank rzuciłby go wilkom na pożarcie, byleby tylko desperacko uratować siebie. „Gdzie ja wyląduję z tymi wszystkimi wyjaśnieniami Franka?” - zastanawiałem się.

- Tak - powiedziała Fiona. - Czy możemy robić notatki?

- Więc pomyśleliśmy, że podzielimy spotkanie na dyskusje pojedynczych osób. Główna dotyczyć będzie waszego człowieka, Stinnesa. Możemy w tym samym czasie omówić procedurę i, mamy nadzieję, dojść do porozumienia. Czy ty tu pełnisz funkcję przełożonego waszej strony? - dokończył Bret.

- Tak - odpowiedziała Fiona.

Wypiła trochę szampana. Wiedziała do czego to zmierza, ale zachowywała się bardzo serio.

- Naszym starszym negocjatorem jest pan Samn - oświadczył.

Zapanowała długa cisza. Pawłowi Moskwinowi to się nie podobało. Nie ruszył swojego szampana, który wietrzał na stole. Wykazał wrogość złożeniem do tyłu ramion i bardzo groźną miną.

- Co pan sądzi, pułkowniku Moskwin? - zapytała Fiona. Pułkownik Moskwin, czyżby?...uważaj, majorze Stinnes, pomyślałem.

- Lepiej bądźmy razem - odparł Moskwin. - Żadnych tricków.

- Bardzo dobrze - rzekł Bret.

Gestem zaprosił ich do okrągłego stołu. Kelner napelnił kieliszki. Młody blondyn postawił krzesło za Fioną, tak aby móc usiąść z notatnikiem na kolanach.

- Czego chcecie? - spytał Moskwin.

Próbował przejąć rolę Fiony, która siedziała i nic nie mówiła. Jego złożone ramiona uciskały marynarkę na grzbiecie i ujawniały pistolet schowany pod pachą.

- Mamy waszego człowieka, Stinnesa - odpowiedział Bret. - Była to dobra próba, ale wam nie wyszła. Jak do tej pory utrzymujemy prasę z dala od tego, ale gdzieś jest granica naszych możliwości.

Blondyn przetłumaczył Moskwinowi. Ten skinął głową.

- Czy dlatego przywieźliście go do Berlina? - spytała Fiona.

- Częściowo tak. Ale Niemcy też mają gazety. Kiedy historia dostanie się do prasy, nie będzie innej alternatywy, tylko przekazać go do DPO, a wtedy wymknie nam się z ręki.

- DPO - rzekł Moskwin. - Co to takiego? Niewątpliwie na tyle rozumiał po

angielsku, że mógł śledzić o czym była mowa.

- Dyrektor Publicznych Oskarżeń - rzekł Bret. - Brytyjski oskarzyciel państwowy. To inny wydział. Nie mamy nad nim kontroli.

- A w zamian? - spytała Fiona.

- Aresztowaliście Wenera Volkmana.

- Czyżby? - rzuciła Fiona. To było bardzo rosyjskie.

- Nie przyjechałem tu po to, aby tracić czas - odparłem. Chyba moja uwaga rozżłóciła ją.

- Nie - powiedziała cichym głosem, ale bulgoczącym nienawiścią i oburzeniem. - Przybyliście tutaj, aby omówić dalsze losy Ericha Stinnesa, dobrego i lojalnego towarzysza porwanego bezwstydnie przez waszych terrorystów mimo jego statusu dyplomatycznego, i który, zgodnie z naszymi źródłami, jest głodzony i torturowany w sposób systematyczny w celu nakłonienia go do zdrady swego kraju. - Szybko opanowała sowiecką frazeologię.

To brzmiało ostro i aż korciło mnie, żeby odpowiedzieć z sarkazmem, ale powstrzymałem się. Popatrzyłem na Franka. Obaj teraz wiedzieliśmy, że ja mam rację, i dostrzegłem na jego twarzy ulgę. Jeśli oficjalne stanowisko KGB miało być takie, że Ericha Stinnesa porwano, głodzono i torturowano, to będzie mu przywrócona jego ranga i pozycja w KGB. Wtedy najbardziej twardogłowi w Londynie będą musieli przyjąć do wiadomości fakt, że Stinnes został zainstalowany, aby bruździć.

- Nie zamieniamy naszego spotkania w forum politycznych sporów - odrzekłem. - Werner Volkman za majora Stinnesa, prosta wymiana.

- Gdzie jest towarzysz Stinnes? - spytała Fiona.

- Tu, w Berlinie. Gdzie jest Werner?

- Checkpoint Charlie - odparła Fiona.

Było to zabawne, że po tylu latach komunizmu nadal używali amerykańskiej wojskowej nazwy tego miejsca.

- Zdrów i cały?

- Chcecie wysłać kogoś, żeby to sprawdził? - zapytała.

- Mamy kogoś na Checkpoint Charlie. Czy zgodzicie się, że sprawdzą to w czasie, gdy nadal będziemy prowadzili rozmowę? - zapytałem.

Popatrzyła na Moskwina. Ten prawie niezauważalnie skinął głową.

- Bardzo dobrze. A towarzysz Stinnes? - rzekła Fiona.

Spojrzałem na Breta. Wymiana była jego zmartwieniem.

- Trzymamy go tu, w hotelu - odparł. - Lecz musicie wyznaczyć jedną osobę ze swego grona, która zobaczy się z nim. Jedną. Nie mogę was wszystkich do niego wpuścić.

Dobry start, Bret. Nie wiedziałem, że jeszcze to ma, ale zrobił to leciutko i łatwiutko jak ptaszek.

- Ja pójdę - oznajmiła Fiona.

Moskwin nie był zadowolony, ale niewiele mógł tu zdziałać. Jeśli sprzeciwiłby się, to wysłałaby jego, zyskując również okazję do prywatnej rozmowy ze mną.

\* \* \*

Erich Stinnes był w jednym z apartamentów na korytarzu. Ludzie Franka właściwie porwali go z Berwick House machając upoważnieniem i przepustką podpisanymi przez Breta jako przewodniczącego komisji - pozycja, którą nadal formalnie utrzymywał. Aleja zabrałem ją do pustego apartamentu, położonego tuż obok tego, gdzie trzymano Stinnesa.

- Co jest grane? - zapytała Fiona.

Rozejrzała się po pustym apartamencie; nawet pogrzebała w różach szukając mikrofonu. Fiona nie należała do ludzi oblatanych w elektronice podsłuchowej.

- O co chodzi? - Wydawała się zaniepokojona.

- Uspokój się - rzekłem. - Nie będę się upominał o prawa małżeńskie.

- Przyszłam zobaczyć Stinnesa - odparła.

- Przyszedłaś, bo szukałaś okazji, by porozmawiać prywatnie.

- Ale ja chcę go zobaczyć - dodała.

- Czeka na nas trochę dalej.

- Czy jest zdrow?

- A co cię obchodzi, czy jest zdrow?

- Erich Stinnes to wspaniały człowiek, Bernard. Zrobię wszystko, co będę mogła, aby nie dopuścić do jego śmierci w więzieniu.

Udawana choroba Stinnesa była częścią ich planu. Teraz stało się to oczywiste.

- Nie przejmuj się - rzekłem. - Oboje wiemy, że Erich Stinnes jest zdrow jak ryba. Pojedzie do domu i obwieszą mu pierś medalami.

- To dobry człowiek - powiedziała, jakby chciała mnie przekonać, że to dla

niej ważna sprawa.

Nie zaprzeczyła temu, że jest w formie. Jego choroba była częścią scenariusza - bez wątpienia staranie Fiony, żeby Stinnesowi było lżej.- Nie marnujmy czasu na rozmowy o Stinnesie - rzuciłem.

- Nie, przyszedłeś tu zapewne porozmawiać o swoim ulubieńcu Wernerze - odparła.

Nawet teraz, kiedy mnie zostawiła, ciągle w jej głosie był ton urazy. Czy wszystkie żony obawiają się i są niechętne przyjaźniom nawiązanym przed małżeństwem?

- Znowu się mylisz - powiedziałem. - Musimy porozmawiać o dzieciach.

- Nie ma o czym rozmawiać. Chcę je na wakacje. Nie proszę o dużo. Czy Tessa mówiła ci?

- Tak, ale nie chcę, żebyś zabierała dzieci.

- Są równie moje, jak i twoje. Czy myślisz, że nie jestem człowiekiem? Czy nie sądzisz, że kocham je tak samo, jak ty?

- Jak mogę ci uwierzyć, że kochasz je tak samo jak ja, skoro odeszłaś od nas?

- Czasami są sytuacje wymagające posłuszeństwa i są pewne aspiracje wykraczające poza rodzinę.

- Czy to ma być jedna z tych rzeczy, jakie będziesz wyjaśniać małemu Billy'emu, oprowadzając go po moskiewskim metrze?

- To są moje dzieci - odpowiedziała.

- Nie widzisz niebezpieczeństwa, jakie się za tym kryje? Nie widzisz, że staną się zakładnikami twojego dobrego zachowania? Czy nie jest dla ciebie oczywiste, że gdy już tam raz będziecie, to nie pozwolą wyjechać wam na Zachód razem?

Zatrzymają dzieci, aby mieć pewność, że wykonujesz swoje obowiązki dobrej komunistki i że wracasz na Wschód jak każdy dobry obywatel sowiecki.

- No, a co z ich życiem teraz? Zawsze pracujesz. Niania całe życie gapi się w telewizor. Są przerzucane od twojej matki do mojego ojca i z powrotem. Wkrótce połączysz się z jakąś kobietą i będą miały macochę. Co to za życie? Ze mną mogłyby mieć prawdziwy dom i stabilne życie rodzinne.

- Z ojczymem?

- Nie ma drugiego mężczyzny, Bernard - powiedziała bardzo cicho. - Nie będzie drugiego. Dlatego potrzebuję dzieci tak bardzo. Ty możesz mieć inne dzieci, tuziny całe, jeśli będziesz chciał. Dla mężczyzny to proste, może mieć dzieci do lat

osiemdziesięciu, ale ja wkrótce pożegnam się z wiekiem macierzyństwa. Nie odmawiaj mi dzieci.

Tak jak wszystkie kobiety, ulegała tyranii swojej własnej biologii.

- Nie zabieraj ich do kraju, z którego nie będą mogły wyjechać. Fiona! Spójrz na mnie, Fiona. Mówię to dla twojego dobra, dla dobra dzieci i dla mojego własnego dobra.

- Muszę je zobaczyć. Muszę.

Nerwowo podeszła do okna, wyjrzała i znowu powróciła do mnie.

- Widuj się z nimi w Holandii lub Szwecji, lub jeszcze na innym neutralnym gruncie. Błagam cię, nie zabieraj ich na Wschód.

- Czy to kolejny z twoich tricków? - spytała ostro.

- Wiesz, że mam rację, Fi.

Załamano ręce i kręciła pierścionkami na palcach. Ciągle miała obrączkę i diament, jaki kupiłem jej za pieniądze ze sprzedaży mojego starego ferrari.

- Jak one się mają? - Był to już inny głos.

- Billy nauczył się nowej sztuczki, a Sally z kolei uczy się pisać prawą ręką.

- Jakież one słodkie. Mam od nich listy i rysunki. Dziękuję.

- To był pomysł Tessy.

- Tessa nagle wydorosła.

- Tak, właśnie.

- Czy ona nadal ma te swoje głupie romanse?

- Tak, ale George bardzo poważnie ją ostrzega.

- Myślę, że zaczyna się zastanawiać, czy warto. Co to za sztuczka?

- Jaka sztuczka?

- Billy'ego.

- Ach! Przecinasz kawałek linki na połowy, a potem znowu jest całość.

- Trudne do odgadnięcia?

- Niania nadal nie potrafi tego zrobić.

- To rodzinne, jak sądzę.

- Chyba tak - bąknąłem, chociaż nie miałem pewności, czy miała na myśli moje, czy jej tricki.

- Czy aresztują mnie, gdybym przyjechała do Anglii na mój stary paszport? - zapytała.

- Dowiem się - obiecałem. - Ale dlaczego nie miałabyś się z nimi spotkać w

Holandii!?

- Lepiej, żebyś nie miał w tym udziału, Bernard.

- Teraz oboje konspirujemy - rzekłem. - Kto z naszych chlebodawców będzie to tolerował?

- Żaden - odpowiedziała.

Było to ustępstwo, maleńkie ustępstwo, ale pierwsze uczynione przez nią.

- Będzie mi ciebie brakować, Fi.

- Ach, Bernard - odezwała się. W jej oczach były łzy. Gotów byłem wziąć ją w ramiona, ale zrobiła krok w tył.

- Nie - powiedziała. - Nie.

- Zrobię, co będę mógł - obiecałem.

Nie wiem, co dokładnie miałem na myśli, a ona nie pytała; był to zresztą tylko abstrakcyjny hałas, mający zapewnić jej psychiczny komfort, i tak go też przyjęła.

- Nie puszczą Wenera - rzekła.

Rozejrzała się po pokoju, podenerwowana możliwością nagrania jej głosu.

- Myślałem, że to ustalone.

- Paweł Moskwin jest tutaj władny. On jest szefem grupy negocjującej. Nie ja.

- Werner nic poważnego nie zrobił.

- Wiem, co robił. Millerowa stale obserwowano od zeszłego tygodnia.

Czekaliśmy, aż Werner nawiąże kontakt.

- Cała operacja ze Stinnesem wzięła w łeb. Jest skończona, zdyskredytowana, załatwiona. To, co powiedział Werner Millerowej, nie ma znaczenia.

- Spokojnie. Wiem. Ale działałam pod rozkazami.

- Nie ma Wenera, nie będzie Stinnesa.

Nic nie powiedziała, ale twarz jej zbladła. Fiona oddychała w sposób charakterystyczny dla niej, gdy stres zaczynał przekraczać jej możliwości.

- Moskwin zabił małego MacKenzie w kryjówce w Bosham - rzekłem.

Wzruszyła ramionami.

- Dlaczego on to zrobił? - kontynuowałem. - MacKenzie nie potrafiłby zabić muchy bez wyrecytowania ostrzeżeń Mirandy.

Popatrzyła na mnie i głęboko westchnęła.

- Musisz go zlikwidować, Bernard.

- Co? - zapytałem.



Z dziecięcą irytacją w głosie, który z pośpiechu stał się bełkotliwy, powiedziała:

- Musisz go zlikwidować - Moskwin.

Przez moment odebrało mi mowę. Czy to mówiła moja żona? Jak? Gdzie?

- To jedyny sposób. Mam Wenera na parkingu autobusowym przy Checkpoint Charlie. Powiedziałam Moskwinowi, że może będziesz chciał zobaczyć go, jak do ciebie macha, aby się upewnić, czy jest cały i zdrowy. Było to zanim otrzymałeś zgodę Moskwin na wysłanie tam waszego człowieka.

- Jak to wyjaśnisz? - spytałem

- Zdejmij mi tego człowieka, a nie będę musiała nic wyjaśniać. Nadal nie byłem pewny.

- Zabić go, masz na myśli?

Opanowała ją nerwowość i podniecenie. Odpowiedziała przeszywającym głosem.

- Ludzie giną. Nie będzie to pierwszy raz, gdy ktoś zginie przy Murze, prawda?

- Nie, ale nie mogę zacząć strzelać do takiej delegacji jak wasza. Byliby gotowi ściągnąć czołgi. Nie chcę być tym, który rozpęta trzecią wojnę światową. Mówię poważnie, Fi.

- Musisz wykonać to osobiście, Bernard. Nie wolno ci nikomu dawać takiego rozkazu. Nie chcę, aby ktokolwiek inny wiedział o naszej rozmowie na ten temat.

- W porządku - usłyszałem swój głos wyrażający zgodę.

- Obiecujesz? Zawahałem się.

- To Werner, twój przyjaciel - dodała. - Robię, co mogę. Więcej, niż powinnam.

Bo tak jej pasowało, pomyślałem. Nie robiła tego dla Wenera. Ani nawet dla mnie. A tak w ogóle, to co ona robiła? Ja oddam za to głowę. I chciała pozbawić mnie możliwości wyjaśnienia wszystkiego moim przełożonym.

- Obiecuję - powiedziałem zdesperowany. - Wsadź jego i Stinnesa do ostatniego samochodu i pozwól mi z nimi pojechać. Ale dzieci zostaną ze mną. To warunek, Fi.

- Uważaj, Bernard. To ogromny kawał chłopa.

Popatrzyłem na nią. Była bardzo piękna, piękniejsza niż kiedykolwiek. Miękkie spojrzenie i delikatny zapach perfum nasunęły wspomnienia.

- Zostań tu, Fi - odezwałem się. - Zostań tu, na Zachodzie. Jeszcze wszystko możemy naprawić.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Po raz ostatni, żegnaj - odrzekła. - Nie martw się, odeślę Wenera z powrotem. I nie zabiorę dzieci, przynajmniej przez jakiś czas.

- Zostań.

Pochyliła się i pocałowała mnie delikatnie, aby nie rozmazać szminki i tym samym nie zdradzić się przed tamtymi.

- Nie rozumiesz, ale kiedyś do tego dojdzie.

- Nie sądzę - odparłem.

- Chodźmy zobaczyć się z towarzyszem Stinnesem - oświadczyła.

Znowu miała głos twardy i zdecydowany.

## **Rozdział XXIX**

Dopuszczałem mnóstwo różnych możliwości wynikających z mego spotkania z Fioną, ale jej żądanie, żebym zabił Pawła Moskwin, jednego z jej wyższych funkcjonariuszy, kompletnie mnie zaskoczyło. A jednak nie było wątpliwości, że mówiła poważnie. Jak Bret i Frank przyznali to na parę minut przed spotkaniem, moja przyjaźń z Wernerem była dla mnie cholernie ważna. Jeśli zabicie takiego bandziora jak Paweł Moskwin mogło uratować Wenera przed perspektywą dwudziestu lat gułagu, to nie wahałbym się. I Fiona

o tym wiedziała.

Ale pozostało mnóstwo pytań bez odpowiedzi. Trudno mi było przyjąć wyjaśnienia Fiony za dobrą monetę. Czy będzie chciała, żebym zabił Moskwin po to tylko, by ona utrzymała swoją cenę przetargu? Wydawało się daleko bardziej prawdopodobne, że Moskwin stał na drodze jej ambicji. Lecz trudno było uwierzyć, że Fiona chciała posunąć się aż tak daleko. Wołałem sobie wyobrazić, że jej chęć zobaczenia go martwym przysła skądś wyżej w eszelonach KGB z Centrali moskiewskiej, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa.

Ale dlaczego nie postawili go przed sądem, nie skazali go i nie wykonali egzekucji? Oczywistą odpowiedzią na to był *blat*, wszechstronne rosyjskie słowo, oznaczające wpływy, przekupstwo i nieoficjalną władzę. Czy Moskwin był przyjacielem czy też krewnym kogoś, kogo nawet KGB nie chciało spotkać na swojej drodze? Czy pozbycie się go na Zachodzie - otwierające możliwość przypisania jego

śmierci imperialistom - nie było zręcznym manewrem oczyszczenia sobie rąk?

Bardzo możliwe.

Werner Volkmann ciągle był po złej stronie Checkpoint Charlie - nasz człowiek widział go wyraźnie z punktu obserwacyjnego na Kochstrasse. Zgodnie z tym, co przekazywano przez radiotelefon, Werner miał na sobie swój szary deszczowy płaszcz i chodził tam i z powrotem, w towarzystwie strażnika po cywilnemu.

Jak było to ułożone z Fioną, siedziałem w ostatnim z trzech volvo KGB, które odjechały sprzed hotelu Steigenberger. Było tam sporo policjantów, niektórzy po cywilnemu, ale nie aż tak wielu, aby ekipa KGB przyciągała większą uwagę niż odjazd z hotelu jakiejś pomniejszej osobistości. Przed trzema czarnymi volvo ustawiono biały mikrobus VW, nie oznakowany samochód policyjny, poprzedzany przez policjanta na motocyklu. Za nami jechał inny biały mikrobus VW, w którym siedzieli Frank Harrington, Bret Rensselaer i trzech członków Berlińskiej Jednostki Operacyjnej. To był nasz mikrobus łącznościowy z dwiema długimi antenami i stałym prętem UKF na dachu.

Konwój samochodów ruszył i przejechał obok słynnej czarnej, utraconej wieży Świątyni Pamięci, ni przypiął, ni przyłatał stojącej pośród eleganckich sklepów, ulicznych kawiarni i pretensjonalnych restauracji Kurfurstendamu. Żadnych migających świateł i policyjnych syren dla oczyszczenia trasy. Samochody i eskortujące je mikrobusy wjeżdżały na pasy ruchu łagodnie i zatrzymywały się pod światłami.

Odwrociłem głowę, żeby zobaczyć biały autobusik za nami. Frank był na przednim siedzeniu, obok kierowcy. Breta nie widziałem. Samochody jechały za policjantem na motocyklu, trzymając odpowiedni dystans między sobą, żeby nie wyglądało, że jesteśmy wszyscy razem. W ten sposób zwracaliśmy na siebie mniejszą uwagę.

Wzdłuż Tauentzienstrasse ruch zmniejszył się, lecz zatrzymały nas czerwone światła przy dużym domu towarowym KaDeWe. Światła zmieniły się i znowu ruszyliśmy do przodu. Wtedy ktoś wszedł na jezdnię i rzucił plastikową torbę białej farby w samochód, którym ja jechałem. Czy była to część planu Fiony, czy też akcja jakiegoś demonstratora, który widział samochody volvo - z ich ernerdowską rejestracją - zaparkowane przed hotelem Steigenberger, nigdy nie odkryłem. Ani też nigdy nie doszedłem do tego, czy Paweł Moskwin był ostrzeżony o

niebezpieczeństwie i możliwych zamachach na jego życie. Lecz gdy torba białej farby uderzyła w nasz samochód i rozlała się na szybie, kierowca nacisnął gwałtownie hamulec. I wtedy, bez żadnego ostrzeżenia, Paweł Moskwin otworzył drzwi i wyskoczył na jezdnię. Natychmiast zacząłem go gonić w powodzi samochodów na jezdni. Czerwony mercedes zatrafił i omal mnie nie przejechał; jakiś młodociany na motorowerze gwałtownie skręcił obok Moskwin i prawie że huknął we mnie.

Moskwin biegł w kierunku starej stacji U-Bahnu widniejącej między pasami ruchu na Wittenbergplatz. Byłem daleko za nim. Policja była wszędzie. Usłyszałem gwizdki i zauważyłem, że jedno z pozostałych czarnych volvo zatrzymało się po drugiej stronie ronda.

Niewątpliwie Moskwin nie znał dobrze miasta. Dał nura w wejście na stację U-Bahnu spodziewając się tam znaleźć drogę ucieczki, a potem zdawszy sobie sprawę, że zostałby tutaj uwięziony, wybiegł i pognął między szybko jadącymi pojazdami, wymijając je z zadziwiającą zręcznością. Wbiegł na chodnik przepychając się i waląc pięściami w tłum, aby się przebić. Był to gwałtowny mężczyzna, pełen teraz rozpędu i energii, i mimo swej dużej postury i średniego wieku, biegł jak sportowiec. Dystans wydłużał się. Płuca pękały i kręciło mi się w głowie, tak za nim gnałem.

Odwrócił się w moją stronę. Podniósł ramię. Rozległ się trzask i zaraz po tym krzyk. Jakaś kobieta przede mną zwinęła się i padła na ziemię. Uskoczyłem w bok i biegłem dalej. Moskwin sadził długimi susami. Gonił w stronę Nollendorferplatz. Na ulicy Kleiststrasse tory kolejowe wynurzały się spod przejazdu i szły środkiem ulicy. Wspiął się na barierkę, przebiegł po torach i zeskoczył na drugą stronę. Zrobiłem to samo. Stałem na barierce usiłując go dojrzeć i z wdzięcznością chwytając powietrze w płuca, podczas gdy serce waliło mi z wysiłku. Bang! Kolejny strzał. Poczulem podmuch pocisku i umknąłem z pola widzenia. Czy on, zastanawiałem się, biegnie do Muru? Nie był daleko; rozległy teren pełen reflektorów, kolczastego drutu, min i karabinów maszynowych na Potsdamerplatz był właściwie tuż. Ale jaki sposób wybierze, by przedostać się na tamtą stronę? Czy były jakieś tajne przejścia, z których korzystało KGB, a myśmy o nich nie wiedzieli? Od dawna podejrzewaliśmy ich istnienie, ale nigdy żadnego nie odkryliśmy.

Złapałem drugi oddech i pobiegłem dalej. Musiał pędzić w kierunku Nollendorferplatz, jeśli nie miał na tej ulicy żadnej kryjówki. I wtedy zobaczyłem go. A po drugiej stronie ulicy jeden z mikrobusów VW przedzierał się pod prąd. Teraz

mignęło na nim niebieskie światło. Ale bez syreny. Zastanawiałem się, czy Moskwin je widzi. Frank i jego oddział BfV starali się dostać na drugą stronę placu i odciąć mu drogę. Zobaczyłem, jak stary Percy Danvers wyskakuje z białego mikrobusa VW i puszcza się biegiem. Ale Percy był za stary.

Nollendorferplatz jest dużym skrzyżowaniem w formie ronda, na którym obracają się koliste wstęgi pojazdów. Środek tego skrzyżowania zajmuje starodawny budynek stacji, który stoi ponad ulicą jak na szczudłach. Stare porzewiałe tory kolejowe wylaniają się spod Kleiststrasse i łagodnie opadają ku stacji.

Zobaczyłem Moskwiną znowu. Jakiś samochód błysnął światłami, inny zatrał głośno i wtedy dostrzegłem go, jak przedzierał się przez nurt pojazdów ku wejściu na stację. Właściwie były tu dwie stacje: nowoczesna, kolei podziemnej, i stara, stojąca na słupach, którą tamta zastąpiła. Czy zmienił zamysł? Czy zamierzał zbiec w dół do kolei podziemnej, z nadzieją, że złapie się na pociąg i zostawi nas daleko z tyłu? Nadzieja minimalna. Ale za chwilę wbiegł po klekoczących żelaznych schodach do stacji kolejki nadziemnej. Myślał, idiota, że tam złapie pociąg. Albo pomyślał, że zeskoczy z peronu i pobiegnie wzdłuż nadziemnych torów przekraczając Mur, tak jak robiły to pociągi nadziemne jadące z Lehrter Bahnhof do Friedrichstrasse.

Widziałem go teraz wyraźnie. Był w połowie żelaznych schodów i nikogo poza nim nie było. Strzeliłem dwa razy. Podskoczył, ale moja ręka trzymająca pistolet trzęsła się ze zmęczenia, więc nie trafiłem. Po drugiej stronie drogi Percy Danvers usiłował go wyprzedzić. Dobry, stary Percy. Muszę się dowiedzieć, jakiego rodzaju pigułek używa.

Potem usłyszałem kolejne dwa strzały z ulicy i zobaczyłem biały mikrobus VW. Podskoczył wjeżdżając na chodnik. Otworzyły się drzwi i wyskoczyli z nich ludzie. Między nimi był Frank Harrington, z pistoletem w dłoni. Oraz Bret, cały naładowany bojowością.

„Co Frank wyczynia ze spluwą?” - pomyślałem sobie. On nie odróżnia jednego końca broni od drugiego. Czyżby Frank przejął się tym, że spotkanie w hotelu Steigenberger mogło się skończyć odprowadzeniem nas przez KGB pod groźbą użycia broni? Frank zawsze był odrobinę romantykiem. Wbiegłem na starą stację kolei nadziemnej. Było tu ciemniej. Dotarłem do podnóża następnej klatki schodowej i trzymałem się blisko ściany wspinając się na peron. Rozległa się cała seria. Strzały padały z przeciwnej strony ulicy. Może policja bądź ludzie z drugiego

mikrobusu, ale nie widziałem ich, nie widziałem też żadnego z trzech czarnych volvo.

Stopy Moskwinia łomotały po schodach. Rozległ się krzyk, gdy zepchnął kogoś z drogi. Jakiś mężczyzna niosący żeliwne popiersie Wielkiego Elektora upadł, a popiersie runęło z dużym hałasem na schody, odbiło się i pękło. Byłem teraz tuż za Moskwinem. Na szczycie schodów zatrzymał się. Zdał sobie sprawę, że stacja kolejki nadziemnej nie jest w ogóle stacją; od dawna była używana jako pchli targ. Ten jasnożółty pociąg jechał donikąd; jego drzwi prowadziły do małych sklepików, a peron zajmowały kramiki ze starymi ciuchami, zabawkami i lekko podniszczonymi, choć wartościowymi rzeczami. Napisy z docelową stacją brzmiały: BERLINER FLOHMARKT. Odwrócił się i zaczął strzelać na oślep. Widziałem na jego twarzy dezorientację. Ja też strzelałem. Przeszkadzał nam kłębiący się, przerażony tłum. Wśród dźwięków tłuczonego szkła leciały pociski.

Moskwin nadal miał nadzieję, że tory kolejki nadziemnej dadzą mu szansę ucieczki. Tłum opanowała panika, rozległy się wrzaski. Jakaś kobieta upadła i została stratowana. Moskwin odwrócił się i oddał dwa strzały w tłum na chybił-trafił, aby spowodować maksymalne zamieszanie. Polała się krew. Antyczne meble runęły, kryształowa lampa spadła na podłogę, pudło starych monet przechyliło się i cała zawartość rozsypała się po peronie. Jakiś brodaty mężczyzna usiłował pozbierać monety, ale został przewrócony.

Poprzez „pociągi” Flohmarkt udało mi się dostrzec drugi peron. Frank i jego drużyna byli tam. Wyprzedzili mnie nawet, ponieważ nie biegli śladami, okrutnymi i strasznymi śladami Moskwinia.

- Trzymaj się z dala, Bernard! - To był głos Breta. - My go weźmiemy.

Mieli strzelców wyborowych z odpowiednią bronią i pragnąłem, żeby się wykazali. Inaczej mógłbym znaleźć się na muszce Moskwinia.

Dało się słyszeć brzęk tłuczonego szkła i zobaczyłem, jak Bret wspina się na dach pociągu. Stamtąd mógł dostrzec koniec peronu i Moskwinia. Ale Moskwin dostrzegł go pierwszy. Strzelił i Bret stracił równowagę, poślizgnął się, odwrócił raz jeszcze i spadł na kolana na ziemię ze strasznym okrzykiem bólu.

Posuwałem się wolniutko. Z dala dochodził pojęk syren policyjnych w towarzystwie przemieszanych krzyków. Raz po raz widziałem Moskwinia, ale chował się za kramiki; nie było sposobu, aby mieć wolną linię strzału. Zleciał mu kapelusz i krótko ostrzyżone włosy wyglądały jak nieledwie odrastająca szczecina. Wyglądał teraz na dużo starszego. Stary człowiek, rozwścieczony stary człowiek, z oczami

zionałymi nienawiścią, gdy odwrócił się i popatrzył na mnie, wzywając do ostatniego pojedynku.

Kiedy dotarł do końca peronu był absolutnie sam. Ostatnia para przestraszonych klientów mignęła koło niego i zbiegła po schodach w dół, aby wykrzyknąć się na ulicy. Widział tory wiodące do następnej stacji kolejki nadziemnej. Czy zdawał sobie sprawę, że to też był bazar? Może już mu na niczym nie zależało. Kiedy odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć, zobaczył Franka i jego ekipę, która powoli zbliżała się po drugiej stronie. Odgłos strzałów przypominał werbel w zamkniętej przestrzeni.

Dla Moskwinia była tylko jedna droga. Wskoczył na ławkę, odsuwając stare nazistowskie uniformy i parę hełmów przyozdobionych orłami. Kopnął w brudne okno, wykorzystując siłę, jaka napędza tych, którzy nie mają nic do stracenia. Szkło i rama rozleciały się pod uderzeniami jego ciężkich butów, tak iż wyskoczył w potoku potłuczonego szkła.

Wylądował na torach na zgiętych kolanach i jedną ręką łapał równowagę. Ale za chwilę był znowu wyprostowany i pobiegł na wschód. Płaszcz, długi po kostki, falował na wietrze niczym skrzydła jakiejś zranionej wrony, a pistolet trzymał dumnie w powietrzu, niby płonąca pochodnię niesioną przez biegacza olimpijskiego.

- Nie strzelaj! - To był głos Franka Harringtona. - Nie może nam uciec, idiota.

W tej samej chwili rozległy się dwa strzały i czarna wrona potknęła się. Miał w sobie energię i determinację tuzina zwykłych ludzi. Pobiegł jeden, dwa, trzy, cztery kroki, lecz znowu potknął się, upadł, skrzydła załopotwały po raz ostatni. Pistolet wyleciał mu z ręki. Twarz zmarszczyła się w grymas wściekłości. Desperacko łapał szyny, żeby podnieść się znowu, lecz, gdy nie dał rady, przetoczył się twarzą do góry i z ust buchnęła mu krew.

Z drugiego końca torów dolatywała wschodnia muzyka. Był to turecki bazar i dzisiaj było tam tłoczno.

Jak przepisy regulaminu szkoleniowego wymagały, wszyscy trzymali się pod osłoną. Ale usłyszałem, jak ktoś zawołał:

- Gdzie, do cholery, jest doktor!

To było zawołanie po angielsku z drugiej strony peronu.

- Pan Rensselaer jest mocno zraniony. A potem głos Franka:

- Każdy niech pozostanie na swoim miejscu, każdy! Potem powtórzył to po niemiecku.

Trzymałem się w ukryciu, jak Frank rozkazał. To był jego show: Berlin to było miasto Franka. Stałem w wejściu do jednego z małych sklepików. Wysadziłem głowę na zewnątrz obrotowych drzwi. Zobaczyłem Moskwiną. Nie poruszał się. Frank Harrington podszedł do niego sam. Był pierwszą osobą, która do niego dotarła. Widziałem, jak pochylił się nad nim, zbadał puls i zaciągnął na głowę stary futrzany płaszcz. Paweł Moskwin nie żył, tak jak chciała tego Fiona. Wszędzie panował spokój, pomijając turecką muzykę i łagodne łkanie Breta, spowodowane bólem.

### **Rozdział XXX**

Była noc. W ciemności trudno było ustalić, skąd się brał regularny trzaskający odgłos. Widziałem tylko Franka. Siedział na twardej drewnianej ławce.

- Musimy być wdzięczni za te skromne łaski - powiedział Frank Harrington. - Przynajmniej zwolnili Wenera Volkmana. Mogli przecież narobić jaszgotu wokół śmierci Moskwiną, bądź co bądź starszego w hierarchii.

- Tak, zwolnili Wenera.

Właśnie wróciłem z kostnicy, gdzie Paweł Moskwin spoczywał w szufladzie w chłodni z metką przyczepioną do palca u nogi. Usiadłem na ławce.

- Ponieważ nie gwarantowaliśmy im bezpieczeństwa, spodziewałem się rozpętania piekła. Sądziłem, że może dojść do oficjalnego protestu.

- Mam dla ciebie wiadomość, Frank - powiedziałem. - Raport balistyczny mówi, że Paweł Moskwin nie został zabity jednym z naszych pocisków.

Podrzuciłem pogięty kawałek metalu w powietrze i schwyciłem.

- Co?

- Powiedzieli, że ten raport leży na twoim biurku.

- Nie wracałem do biura.

- Dosięły go trzy nasze pociski, ale ten, który go zabił, pochodzi z broni sowieckiego kalibru.

Podąłem mu ten pocisk, ale Frank był dziwnie przeczulony na punkcie broni i nie wziął go.

- No to co? - powiedział Frank. - Ale dlaczego mieliby używać własnej broni?

- Ktoś stamtąd chciał go załatwić, Frank. I chcieli, żebyśmy o tym wiedzieli. - Był to, naturalnie, drobny akcent Fiony - sposób na odwrócenie uwagi ode mnie, a tym samym od niej także.

- To właśnie dlatego nie było protestu?



- I dlatego Wenera zwolnili zgodnie z obietnicą - wyjaśniłem. Nie powiedziałem Frankowi o mojej rozmowie z Fioną i jej

prośbie, by Pawła Moskwin „wykasować”. Jasne się teraz stało, że KGB nie polegało na nas; mieli swojego własnego snajpera ganiającego za Moskwinem.

Przypuszczam, że mieliby zbyt wiele do stracenia, gdybyśmy go dostali żywcem.

- Żałowna sprawa - powiedział Frank. - Nigdy nie ma czystego zakończenia, co?

- Właśnie dlatego mamy akta, Frank.

- Więc Moskwin przeznaczono na odstrzał - Frank zadumał się. - To wyjaśnia sprawę zespołu KGB do zabijania, który zidentyfikowaliśmy. Myślałem, że chcieli dopaść ciebie.

- Stinnes powróci triumfując. Moskwin stanowił dla niego zagrożenie. Kiedyś podsłuchałem rozmowę między nimi. Moskwin zdecydowany był dostać Stinnesa - powiedziałem.

Rozmawialiśmy ściszymi głosami. Była noc i znajdowaliśmy się na terenie szpitala Wolnego Uniwersytetu, tego samego, gdzie odratowano *Frau* Miller po jej pozorowanej próbie samobójstwa. Była to straszna noc i porwana twarz Franka Harringtona mówiła sama za siebie. Stary Percy Danvers, jeden z najlepszych ludzi Franka i jego bliski przyjaciel, był martwy. Paweł Moskwin strzelił mu w głowę. Stało się to na Kleiststrasse, nim dobiegliśmy na pchli targ i zanim rozpoczęła się strzelanina na stacji. Młody Peter - ochroniarz Breta - był poważnie ranny.

Czekaliśmy na przyjazd Sheldona Rensselaera. Bret znajdował się na oddziale intensywnej terapii i nie wrócono mu przeżycia tego weekendu. Jego brat Sheldon właśnie leciał samolotem US Air Force. Sheldon Rensselaer miał duże wpływy w Waszyngtonie.

- A co z jego żoną? - zapytałem.

Była żoną, to miałem na myśli. Żona Breta zaczęła wydawać swoje alimenty rok temu.

- Tak, wreszcie ją znaleźli. Najwyraźniej spędza zimę w Monte Carlo.

- Przyjedzie?

- Przysłała trzy tuziny róż.

- Może nie zdaje sobie sprawy, jak z Bretem jest źle.

- Może - powiedział Frank głosem, z którego wynikało, że ona wie.

- Szkoda mi Breta - rzuciłem. - On mnie nie poznaje - powiedział Frank.

Czekał, żeby zobaczyć się z Bretem raz jeszcze i nadal miał na sobie biały kitel lekarski, jaki podali mu przy wejściu na oddział.

- Był nieprzytomny - powiedziałem.

- Powiniennem kazać mu powstrzymać się od wsiadania do tego pociągu.

Zobaczył, jak ten dzieciak dostał, i uznał, że musi coś zrobić.

- Wiem.

Zupełnie bez potrzeby Frank robił sobie wyrzuty, z powodu tego co stało się Bretowi.

- Rozmawiałeś z Londynem? - zapytałem, żeby zmienić temat.

- Stary nie jest w najlepszym z nastrojów - poinformował mnie Frank.

- Zdjęliśmy go z haka - powiedziałem. - Wszystkich ich zdjęliśmy z haka. Bez tego, co zrobiłeś, te głupie osły nadal wierzyłyby w knoty, które nadawał im Stinnes.

- Ale oni się do tego nie przyznają - stwierdził Frank.

- Jak mogą zaprzeczać? Wczoraj wieczorem służba nasłuchowa odebrała komunikat, jak to honorowano Stinnesa w Moskwie.

- Wiemy obaj, że zaoszczędziliśmy tym z Londynu wątpliwej przyjemności zrobienia z siebie kompletnych idiotów, ale oni zwierają szeregi udając, że cały czas wiedzieli o Stinnesie. Nawet stary powiedział, że można uzyskać cenne informacje nawet od podstawionego uciekiniera.

- No, a co z tym, co zrobili z Bretem?

- Mówią, że w gruncie rzeczy, to on nie dostał aresztu domowego. Mówią, że ten, który z nim rozmawiał, działał bez oficjalnych instrukcji.

- Pieprzenie - powiedziałem.

- I teraz facet, o którym mowa, jest gdzieś służbowo, a więc nieosiągalny.

- No chyba - rzekłem.

- Rozmawiałem z nimi wszystkimi. To stado palantów, Bernard. Zawsze miałem ci za złe, że mówisz takie rzeczy, ale teraz wszystko odwołuję.

Wszędzie było ciemno. Przez uchylone drzwi przeszła siostra, pchając wózek jazgoczący szkłem i stalowymi nierdzewnymi pojemnikami. Przeszła wolno i zniknęła w ciemności, jaka panowała na końcu korytarza.

- A co z tobą, Frank?

- Byłem w kolejce do tytułu szlacheckiego.

- Słyszałem.

Frankowi bardzo zależało na tym tytule. Mimo iż udawał, że nic sobie z tego nie robi, to jednak miało to dla niego duże znaczenie.

- Stary mówi, że byłoby niewłaściwe polecać mnie teraz, kiedy tak jawnie nie wykonałem rozkazów.

- Ale ocaliłeś ich.

- Ty to mówisz - rzucił Frank z rozdrażnieniem. - A ja ci mówię, że oni tak tego nie widzą.

- Bez ciebie nie dałoby się tego zrobić, Frank. Ty ryzykowałeś wszystko i okazało się, że mieliśmy rację.

- Mówiono o nadaniu tytułu szlacheckiego Bretowi - powiedział Frank. - Nie wiem, co teraz będzie.

- Chirurg mówi, że Bret nie przeżyje.

- Chirurg mówi, że nikt nie jest w stanie przewidzieć, co taka rana od kuli może zrobić. Owinęli go w jakieś folie aluminiowe, czy coś w tym rodzaju, dla utrzymania ciepłoty ciała. Robią wszystko, co mogą.

- W każdym razie, pójdziesz na emeryturę? - spytałem.

- Stary mówi, żeby tu został. Za dwa lata jest perspektywa na tytuł szlachecki.

- A co ty odpowiedziałeś?

- Powiedziałem, że powinni mieć Berlin - stwierdził Frank. - Ale stary odpowiedział, że miałem szczęście, że nie postawiono mi poważnych zarzutów.

Skoro już oczy mi przywykły do mroku, dostrzegłem duży elektryczny zegar nad drzwiami wiodącymi na oddziały. To właśnie ten zegar wydawał głośne trzaśnięcie co sekunda. Był to jedyny dźwięk, jaki można było usłyszeć.

- O której godzinie przyleci samolot jego brata?

- Nie sądzę, żeby przed upływem godziny - zerknął na zegarek.

- Sheldon był ulubieńcem tatusia. Bret był temu niechętny. Czy mówił ci o tym kiedykolwiek?

- Bret nigdy nie wywnętrzał się za bardzo.

- Tak, dziwię się, że zwierzał się mnie.

- Wiedział, że można ci wierzyć, Bernard, i miał rację. Przyszedł do ciebie w chwili, gdy nie było nikogo, komu mógłby zaufać.

- Niezbyt dobrze go znałem - powiedziałem. - Zawsze podejrzewałem go, że miał romans z Fioną.

- Wiedział, że go nie lubisz, niemniej ciągnęło go do ciebie. Bret był wdzięczny za to, co zrobiłeś. Mówił mi. Mam nadzieję, że tobie też powiedział.

- Ani ja, ani ty nie zrobiliśmy nic dla Breta - powiedziałem. - To nie miało w sobie nic osobistego. To nie było to samo, co gdybyś ty zrobił coś dla mnie lub ja dla ciebie. - Lub ty zrobił coś dla Wenera - odezwał się Frank sprytnie.

- To było dla dobra Wydziału - powiedziałem, nie zwracając uwagi na jego słowa. - Bret był wystawiony, a ci idioci w Londynie pozwalali na to, żeby tak było. Trzeba było coś zrobić.

- Będzie duże przemeblowanie - powiedział Frank. - Dicky ma nadzieję dostać europejskie *desk*, ale, dzięki Bogu, nie ma wielkich szans na to. Bret dostałby Europę, gdyby to się nie stało. Morgan, ten od wykańczania, też jakoś pójdzie wwyż.

- A czy Bret jest już czysty?

- Tak. Bret, nie mając tego cholernego pocisku w brzuchu, mógłby znowu zostać złotym chłopcem. Zabawne, jak się to czasami dzieje, prawda?

- Tak, bardzo zabawne.

- Powiedziałem D-G, żeby ciebie polecił, Bernard. Ale to na nic. On jest temu przeciwny, a ja obecnie nie jestem w stanie, obawiam się, w niczym ci pomóc.

- W każdym razie dziękuję, Frank.

- Nie popadaj w przygnębienie, Bernard. To jest klęska jedynie odsunięta, Dunkierka dla Wydziału. Za zwycięstwa takie jak Trafalgar czy Waterloo jest cały komplet dekoracji, uszlachciana i promocji, ale nie ma nagród za Dunkierki, niezależnie od tego, jak dzielni czy sprytni są ci, co przeżyli. Londyńska Centrala nie rozdaje medali personelowi, który im udowadnia, że się mylą, i to w czasie, gdy ci wyżsi z Piątki przyglądają się. Nie nadają promocji po takich zakończeniach, jak to w ostatnim akcie „Hamleta” z krwią i posoką z każdej strony oraz z nie wyjaśnioną śmiercią wyższego funkcjonariusza KGB, nawet jeśli nie dano mu gwarancji bezpieczeństwa.

- Ale myśmy ich uchronili od zrobienia z siebie głupców. Ocaliliśmy pracę D-G, Frank.

- Może tak. Lecz można uzyskać więcej z dawania złej rady, gdy rezultat jest dobry, niż z dawania dobrej rady, gdy rzeczy wychodzą fatalnie.

\* \* \*

Jakiś lekarz przeszedł przez drzwi wiodące wzdłuż długiego korytarza na oddział intensywnej terapii, gdzie nieruchomy, nie widzący, o białej twarzy Bret

podłączony był do maszynierii wypełniającej cały pokój, a służącej do podtrzymania życia: pompy zastępujące pracę serca, dostawa tlenu i kroplówki. Uważne siostry obserwowały ciemny ekran monitora, na którym drobne linie elektroniczne podskakiwały, załamywały się i migotały.

- Może pan podejdzie? - zaproponował lekarz, Turek o silnym akcencie i z dużym wąsem. - Tym razem może będzie mógł pana rozpoznać.

- Dziękuję - powiedział Frank do doktora. A do mnie: - Życie to jak show-business - zawsze lepiej dać piątaaka za przebój niż pięć tysięcy za chałę.

- Wsadziliśmy pięć patoli w chałę - powiedziałem.

- Pozdrów ode mnie Wenera. Nigdy bym go nie zawiódł, Bernard. Nawet gdyby ciebie tu nie było i gdybyś nie wykręcał mi ręki, to i tak Werner mógł na mnie liczyć.

- On o tym wie, Frank. Wszyscy wiedzą!

\* \* \*

Werner czekał na zewnątrz w samochodzie Zeny. Wyglądał na zmęczonego, ale nie na bardziej zmęczonego, niż wiele razy przedtem. Nadal nosił starą marynarkę i sztruksowe spodnie.

- Dostałem twoją wiadomość - powiedział.

- A nie mówiłem ci, żebyś nie zbliżał się do tej przeklętej Millerowej? - odrzekłem.

- Wiedziałeś, że to pachnie ryzykiem? Pozwoliłem jego pytaniu zawisnąć na chwilę.

- Nie, nie wiedziałem, że to pachnie ryzykiem, ale miałem na tyle rozumu, aby odgadnąć, że może tak być.

- Właśnie wszedłem do mieszkania, gdy zadzwonił telefon - powiedział Werner. - To była twoja dziewczyna. Próbowwała cię złapać przez cały dzień.

- Moja dziewczyna?

Wiedziałem, naturalnie, że mówi o Glorii, lecz zaniepokoiło mnie to, że dzwoniła i że w ogóle połączyła się z Wernerem.

- Gloria. Myślała, że jesteś u nas. Różne pogłoski krążyły po Londynie. Martwiła się o ciebie.

- A która to była godzina?

- Właśnie teraz.

- W środku nocy?

- Była w jakimś śmierdzącym hoteliku w Bayswater. Nie mogła zasnąć. Powiedziała, że pokłóciliście się i ona się wyprowadziła.

- Zgadza się.- Powiedziałem jej, żeby się spakowała, wzięła taksówkę i sprowadziła się z powrotem do ciebie.

- Żeby co?

- Chyba nie chciałbyś, aby biedactwo siedziało w jakimś parszywym domu noclegowym na Bayswater, co?

- Próbujesz mi złamać serce, Werner. Ma dosyć pieniędzy, żeby zameldować się w Savoyu, skoro Bayswater jest takie okropne.

- Nie bądź bydlakiem, Bernie. To miła dziewczyna i ona cię kocha.

- Stój, Werner! Czy powiedziałeś jej, że to mój pomysł, to wprowadzenie się do mnie z powrotem?

Milczenie.

- Werner. Czy powiedziałeś Glorii, że to mój pomysł?

- Myślała, że to twój pomysł. A ja pomyślałem sobie, że będzie lepiej, jak to sobie przekartkujecie, gdy wrócisz do Londynu.

- Ty się robisz kimś w rodzaju typowego cholernego swata, no nie, Werner?

- Masz kota na jej punkcie, wiesz, że tak jest. Powinieneś rwać, póki masz okazję, Bernie. Co to za życie w nadziei, że Fiona pewnego pięknego dnia powróci do ciebie.

- Wiem o tym - powiedziałem.

- Widziałeś ją dzisiaj... to znaczy wczoraj. Ja też ją widziałem. Fiona zmieniła się, Bernie. Ona teraz jest jedną z nich. I pokonała nas w naszej własnej grze. Jest twarda i ona decydowała o wszystkim. Zrobiła z wszystkich nas głupków.

- I o co ci chodzi? - zapytałem.

Byłem zmęczony i poirytowany. Nie prosiłem, żeby Werner podziękował mi za wydostanie go z tego, ale również nie odbierałem dobrze jego krytyki.

- No to weź Stinnesa. Nadal będziesz mówił mi, że jest chory? Nie odpowiedziałem.

- Bo go widziałem zaraz po przyjeździe tutaj. Widziałem go, jak zapalał dużą *Hawanę* i dowcipkował o tym, że udawanie, iż skończyło się z tytoniem, było najgorszą częścią sprawy. Nie unikał badań lekarskich dlatego, ponieważ był bardzo chory; ale unikał tychże badań, bo nie chciał, żebyśmy dowiedzieli się, jaki jest silny.

- Wiem - powiedziałem, ale Werner musiał ciągnąć dalej.

- To był tylko mały fragment zwojniczego planu. Pozwalając nam sądzić, że jest chory, unikał ryzyka poddania go intensywnym przesłuchaniom.

Traktowaliśmy go w jedwabnych rękawiczkach...

- Z kozłej skórki - poprawiłem.

- Traktowaliśmy go tak jak przewidywała Fiona, że potraktujemy chorego człowieka. Wykiwała nas na wszystkich polach. To jest gem, set i mecz dla Fiony, Bernie. Nie masz się po co kłócić ze mną, to jest gem, set i mecz dla Fiony.

- Nie powtarzaj w kółko tego samego - powiedziałem.

- Nie powtarzaj w kółko rzeczy, o których nie chcesz słyszeć. O to ci chodzi, prawda?

- Wyszliśmy z tego nietknięci - powiedziałem. - Ja jestem, ty jesteś, a Wydział ciągle wpłaca nasze pensje do banku...

- Spójrz prawdzie w oczy, Bernie. Spójrz, jak szybko jej sukces nastąpił. Pamiętasz tę noc naszego czekania w moim starym audi przy przejściu Checkpoint Charlie? Zena gdzieś wyszła, a ty spałeś na mojej sofie. Spodziewaliśmy się, że Brahms Cztery spróbuje. Pamiętasz? To było tylko rok temu, Bernie, i to było na długo przed zmianą barw przez Fionę. Popatrz tylko, co ona od tego czasu zdziałała. Brahms Cztery jest na emeryturze. Departament ekonomiczny Breta zamknięto. Obsmarowała cię tak przemyślnie, że potrwa lata całe, zanim będziesz czysty. Breta czeka jakiegoś wypytywanie. Stinnes narozrabiał za nas w MI 5, tak że też upłyną lata, zanim złe nastawienie minie. A wszystko to zrobili takim małym kosztem. Fiona jest jedną z najbardziej aroganckich i skutecznych osób, jakie znam wśród czołowych funkcjonariuszy KGB - a znam wielu - podczas gdy Stinnes jest repatriowany i niewątpliwie wykorzysta zdobytą wiedzę i doświadczenie w następnych operacjach przeciwko nam. Spójrz na fakty, Bernie.

Werner przekręcił kluczyk i zapuścił silnik. Zjechał w dół i minął budkę strażnika przy wyjeździe. Berlin nigdy nie chodzi spać, więc panował całkiem spory ruch na Griinewaldstrasse, gdy jechaliśmy do jego mieszkania w pobliskim Dahlem. Przyjął na wiarę, że prześpi to, co zostało z nocy, tak jak ja przyjąłem, że Frank Harrington zadzwoni tam do mnie, żeby mi powiedzieć, jakie instrukcje przysły z Londynu. Z nami wszystkimi tak było. Znaliśmy się między sobą bardzo dobrze, czasami za dobrze. I właśnie dlatego, kiedy przyjechaliśmy pod jego mieszkanie i wyłączył silnik, powiedział:

- Przyznaj mi rację.

- Spójrz na to z innej strony - powiedziałem. - Fiona, jedna z najbłyskotliwszych i najlepiej ulokowanych agentek, została wykurzona i musiała tak szybko nawiewać, że właściwie wcale prawie nie straciliśmy danych. Brahms Cztery, dobry zasłużony człowiek, który przez lata dostarczał nam bankowych danych oraz perspektyw odnośnie wschodniego bloku tak dobrych, że Amerykanie byli żywo nimi zainteresowani, został bezpiecznie wyciągnięty z tego...

- No bo...Ale ja prulem dalej:

- Przetrwiałem ich wysiłki, aby mnie zdyskredytować, i nawet tę ich niewydarzoną nadzieję, że ucieknę. Przetrzyłmalem to tak znakomicie, że musieli przemontować swoje układy, aby podejrzenie skierować na Breta. No dobrze, to byli wytrawni fachowcy - kupilem to za pierwszym razem, inni też kupili, a byli przecież lepiej poinformowani i powinni byli wiedzieć. Ale w końcu reputacja Breta przetrwała, i udowodniliśmy, że jesteśmy na tyle elastyczni, że możemy nagiąć zasady, bądź wręcz je złamać. Chęć złamania zasad od czasu do czasu stanowi o różnicy między człowiekiem a robotem. I zagwoździliśmy im spluwy, Werner. Zapomnij o gemie, secie i meczu. Nie gramy w tenisa: ta gra idzie bardziej ostro, z większymi szansami na oszustwo. Zablefowaliśmy, poszliśmy dużym szlemem mając na ręku pełno dwójek i jokerów i oszukaliśmy ich. Odetchnęli, jak dostali Stinnesa, i nawet nie próbowali utrzymywać tej fikcji, że zdawali sobie sprawę, iż on rzeczywiście był u nas na liście.

- Na szczęście dla ciebie - powiedział Werner.

- Na szczęście dla nas obu - powiedziałem. - No bo gdyby trzymali się historyjki, że Stinnes był zdrajcą, to teraz leciałbym do Londynu przykuty do człowieka z naszej bezpieki, a ty byłbyś po złej stronie Checkpoint Charlie. To prawda, że są rany i będą szramy, ale nie ma czegoś takiego jak gem, set i mecz dla Fiony. Nikt tu nie zdobywa gema, seta i meczu. Nikt i nigdy.

Werner otworzył drzwi i gdy wewnątrz samochodu zapaliło się światło, zobaczyłem jego zmęczony uśmiech. Nie był przekonany.

„KB”